

James Follett

Tytuł oryginału: SAVANT

First published 1993 under the title "SAVANT"

by Heinemann Limited,

part of Reed Consumer Books Limited,

Michelin House, 81 Fulham Road,

London SW3 6RB

© 1993 James Follett

The author has asserted his moral rights.

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by EM s.c.

Ilustracja na okładce: Andrzej Wroński Redakcja: Krystyna Grzesik HSejska bt

Dystrybucja: EM - Warszawa ul. Kolejowa 19/21 tel. 632-32-95 w. 9

Skład: EM - Warszawa

ul. Jana Pawła II 68 tel. 635-25-20

Korekta: Anna Naczulska

ISBN 83-86396-36-9

To co czyni prawdziwy, wyczuwający czas „sawant” jest rzeczą tak zupełnie odmienną, że niemal strach o tym myśleć. Potrafi naprawdę poczuć i pojąć bieg czasu i przerażającą potęgę przestrzeni. To tak jakby trzymał palec na pulsie samego Wszechświata. Czas jest ogniwem, które łączy nas ze Stwórcą. Być może są oni tymi wybranymi - mędrcami, którzy powiodą nas ku zrozumieniu początków czasu i Wszechświata... i dalej.

„Bacźcie na tych z pomieszzanymi umysłami, bowiem osiągnęli oni dziwną mądrość”.

Asyryjska inskrypcja z VI w p.n.e., odnaleziona na murach Niniwy, koło Mosulu w północnym Iraku.

„Zwycięzę jeśli przetrwam”.

Saddam Husajn.

ROZDZIAŁ 1

POŁUDNIOWY IRAK

Godz. 00.40. Niedziela, 24 lutego 1991

Iracki czołg nie został bynajmniej zniszczony.

Pierwszy przeciwpancerny pocisk kumulacyjny kalibru 120 mm wystrzelony z challengerza w normalnych okolicznościach odrywał bez trudu od podwozia wieżę T-55.

Drugi strzał odniósł podobny skutek jak poprzedni: błysk płomieni w noktowizorze kaprala Alana Dearborna. Kapral spostrzegł jednak wkrótce, że średni czołg iracki sunął dalej z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, zamiast zmienić się w gorejący stos pogrzebowy dla czteroosobowej załogi. Widać było nadto, iż kierowca doskonale panuje nad wozem bojowym. Silnik T-55 wciąż pracował na wysokich obrotach.

Jezu Chryste! Bezpośrednie trafienie przeciwpancernym, a wygląda na to, że ten czołg jest cały! Alan zajmował stanowisko kierowcy w challengerze. Za nim, w wypełnionej urządzeniami różnego rodzaju wieży, siedział dowódca czołgu, kapitan Jack Roper. Obok tegoż — obsługujący działą Harry Williams oraz ładowniczy Mike Scott. Wszyscy mieli na uszach słuchawki. Wysokoprężny silnik challengerza wydawał z siebie głuchy ryk.

Rozgrywała się decydująca faza bitwy o Kuwejt. Jack Roper nie musiał mówić Alanowi Dearbornowi, że trzeba rzucić się w pościg za umykającym T-55.1. Dywizja Pancerna winna oczyścić drogę dla wielkiej armady cystern oraz ciężarówek z zaopatrzeniem. Należało zniszczyć każdy iracki wóz bojowy, każde stanowisko broni maszynowej, każdy samochód. I przyznać trzeba, że iracka machina wojenna niszczona

była z chłodną, zabójczą precyzją — wyjątek stanowił ten szczęśliwie ocalały T-55. Rakietowa salwa przeszła nocne niebo jak meteoryt i po chwili irackimi pozycjami wstrząsnęła potężna eksplozja.

Pociski rozprysnęły się na tysiące odłamków. Za nią nastąpiła kolejna salwa. I jeszcze jedna. Wybuchy przesłoniły na moment obraz w noktowizorze. I wtedy właśnie nieprzyjacielski czołg jakby zapadł się pod ziemię. Alan ściągnął okulary noktowizora przymocowane do hełmu. Rzucił okiem na ekran przekazujący obraz pola bitwy, rejestrowany przez kamery zainstalowane w wieży.

Czołg wprost naszpikowany był elektroniką — załoga wozu mogła dostrzec dosłownie wszystko w każdych warunkach.

Takiego komfortu czołgiści wcześniej nie znali. Czołg dowodzony przez Jacka Ropera eksperymentalnie wyposażono w najnowocześniejsze urządzenia na polecenie Ministerstwa Obrony. Naturalnie załoga nie musiała korzystać ze sprzętu, gdyby ten okazał się w bitewnych warunkach niezbyt przydatny. Tym razem jednak Alan był zadowolony, że może uciec się do wynalazków zaprojektowanych przez speców od elektroniki pracujących na użytek przemysłu zbrojeniowego — na zielonkawym ekranie dostrzegł bowiem zarys wieży T-55, mknącego po pustyni. Po ułamku sekundy iracki czołg zniknął w zagłębieniu terenu. Pokładowy komputer challenger'a natychmiast wyliczył prawdopodobieństwo trafienia nieprzyjacielskiego pojazdu na 90 procent, wyświetlając to w prawym dolnym rogu ekranu. Alan dopiero teraz dostrzegł dziwne białe oznaczenia na wieży irackiego wozu. Z pewnością nie były to numery taktyczne ani też symbole jednostki. Zwykle nawet najgłupszy dowódca każe zamazywać przed bitwą symbole, które ułatwiają przeciwnikowi celowanie.

Jack Roper zauważył czołg w tej samej chwili. Alan usłyszał polecenia, jakie dowódca wydał Harry'emu i Mike'owi, gdy challenger zbliżał się do rozpadliny.

Wtedy Roper zwrócił się do niego:

— Kierowca! Czy na tym naszym cacku można rejestrować przebieg akcji?

— Tak jest.

— Więc włączyć patent. Jak nas obsmarują, że mamy zeza, to przynajmniej będziemy mieć coś na swoją obronę.

8

Alan szybko zamrugał powiekami. Magnetowid został natychmiast automatycznie uruchomiony. Wcześniej pewien drobny cywil w Rijadzie poinstruował Alana o szczegółach najnowszych rozwiązań technologicznych — wiązka laserowa sterować miała ogniem z zabójczą skutecznością. Eksperci spodziewali się ponoć, że w przyszłości umożliwi to ograniczenie załogi przeciętnego wozu pancernego do dwóch osób.

— Melduję, że zapis został uruchomiony! — wrzasnął do zainstalowanego w hełmofonie mikrofonu.

T-55 wyjechał z zagłębienia. Jego spłaszczona sylwetka wyłoniła się z piasków pustyni niczym stalowy Feniks.

— Odległość pięć-pięć-zero! — rozległ się głos Harry'ego Williamsa. Alan dostrzegł teraz wyraźniej biały znak na tyle wieży irackiego czołgu. Odwrócona swastyka! Cóż to, u diabła, znaczy?

— Załadować przeciwpancerny! — zatrzeszczał w słuchawkach krzyk Jacka Ropera. Mike przewidział tę komendę i pocisk o pomalowanym na żółto czubie był już w armacie. Lufa działa tkwiła wycelowana w słaby punkt irackiego czołgu. System stabilizujący położenie armaty sprawiał, iż nawet jazda po pofałdowanym terenie nie utrudniała oddania skutecznego strzału.

— Jest przeciwpancerny!

— Ognia!

Błysk. Odrzut zatrzęsł challengerem i pocisk kumulacyjny, wypłuty z lufy, pomknął w mrok. Rdzeń pocisku sunął ku irackiemu pancerniowi. Nic nie było się w stanie oprzeć rażącej mocy kumulacyjnej amunicji. Nawet jeśli trafienie nie doprowadziłoby do zlikwidowania nieprzyjacielskiej załogi, to siła uderzenia z pewnością unieszkodliwiłaby czołg na dobre, czyniąc straszliwe spustoszenie wewnątrz celu. Za posuwającymi się w czołówce czołgami i działami samobieżnymi 7. Brygady Pancerniej pozostały dopalające się wraki licznych irackich wozów — a w ich wnętrzach zwęglone zwłoki irackich pancerniaków, którzy podjęli nierówną walkę z challengerami.

Znowu oślepiający blask zmaścił kontury widoczne w noktowizorze. Tym razem challenger oddał strzał ze znacznie mniejszej odległości. Podmuch eksplozji dał się odczuć nawet w brytyjskim czołgu. Hydrauliczne stabilizatory wieży jęknęły za głową Alana.

— Na rany Chrystusa...! Wystrzelamy w tego sukinsyna wszystkie pociski! — w słuchawkach Alana Dearborna rozległ się rozwścieczony głos Jacka Ropera.

9

Teraz dotrzeć już można było T-55, któremu nic się nie stało, jadącego zakosami w nadziei na ponowne uniknięcie trafienia. Jego wieża z działem 100 mm zaczęła się powoli obracać, nabierając teraz innych, jakby groźniejszych kształtów. Irakijczykowi ponowne naładowanie armaty zabrało wiele czasu — ale teraz, z tak niewielkiej odległości, pocisk wystrzelony z T-55 mógł sprawić sporo kłopotów challengerowi.

Kapral Alan Dearborn przybył w rejon Zatoki Perskiej we wrześniu zeszłego roku, przerzucony tu wraz z całą 7. Brygadą Pancerną z bazy Fallingbommel w Niemczech w ramach operacji „Pustynna Tarcza”. I od tamtej pory obawiał się właśnie tej chwili: chwili, w której stanie oko w oko ze śmiercią. Nie był na nią przygotowany — nic na tym zagonionym świecie nie mogło go przygotować na śmierć. W trakcie dłużących się godzin nudy, wypełnionych nieznośnym oczekiwaniem na podjęcie akcji, wyobrażał sobie siebie, krzyczącego z trwogi w takiej dramatycznej chwili, przypominającego sobie w ułamku sekundy minione dwadzieścia pięć lat życia, spędzone w nędznej dzielnicy Bristolu.

Teraz, gdy ów moment nadszedł, nie tyle obawiał się śmierci, co tego, że ogarnie go panika, zawiedzie swoich towarzyszy walki.

Alan nie uległ jednak panice. Dokładnie w chwili, gdy z lufy T-55 trysnął błysk, challenger nagle zanurkował w głęboki rów, który wcześniej wykopali sami Irakijczycy na stanowisko jakiegoś samodzielnego działka. Ciężki czołg zsunął się po stromym zboczu. Jego gąsienice na moment straciły kontakt z piaszczystym podłożem. Pojazd podskoczył na potężnych resorach. Pocisk z T-55 gwizdnął ponad wieżą i eksplodował jakieś pięćset metrów dalej, wznecając chmurę piasku i kamyków, które uderzyły o burtę challengerera. Alan przez moment sądził, że jego czołg został poważnie uszkodzony. Szybko jednak odzyskał rezon i nie musiał czekać na dalsze instrukcje Jacka Ropera. Niemal odruchowo wycisnął całą moc z dieslowskiego silnika typu Perkins. Challenger ruszył ostro naprzód, miażdżąc pozostawione przez wojska irackie zasieki z drutu kolczastego. Dziwna biała swastyka ukazała się na nowo oczom Alana. Oznaczało to, że lufa armaty irackiego czołgu wycelowana jest akurat w przeciwnym kierunku. Sześciotonowa wieża challengerera zaczęła obracać się ze zgrzytem.

— Jest przeciwpancerny...!

— Odległość dwa-dwa-zero! Chryste! Tym razem nie możemy spudłować! Laserowy celownik zadziałał dopiero po chwili, gdy opadła

10

chmura wzniesionego przez podwozie pyłu. Wreszcie pokładowy komputer ustalił cel.

— Ognia!

Studwudziestomilimetrowe działo zagrzmiało, wypływając śmiertelny pocisk. Podobna do błyskawicy jasność ponownie oślepiła Alana. Potworny wybuch wywołał silną falę

uderzeniową. Nagła struga światła trysnęła w niebo z irackiego czołgu. Zaraz potem rozległ się przeciągły huk, przypominający grzmot pioruna.

Jasna cholera... W środku pewnie prawdziwa jatka! Krwawa jatka! Następne parę minut zdało się Alanowi chaotycznym kalejdoskopem wydarzeń, których pewnie nie potrafiłby dokładnie i po kolei odtworzyć.

Przez szkła noktowizora ujrzał nietkniętego T-55...

Wciąż sunącego zakosami...

Mknącego na południe z maksymalną prędkością...

Uwagę Alana przykuła jednak głównie smuga najonizowanego gazu, przecinająca niebo po wystrzale oddanym przez T-55. A potem białawe plamy na tle ciemności.

Odwrócił głowę.

Zwidy ze snów — coś, co nie pasowało do zwyczajowego obrazu bitwy. Niewyraźne kształty zbliżające się do challenger. Ciemna miazga z białymi rozbłyskami, które zdawały się wykwitać na pustyni przed czołgiem. Alan wykonał gwałtowny zwrot w lewo.

— Na litość boską! — usłyszał wrzask dowódcy. Osobliwymi kształtami okazali się iraccy żołnierze.

Było ich tylu, że nawet w przybliżeniu nie mógł określić ich liczby. Biegli, kuśtykali w stronę czołgu, czołgali się...

Niektórzy z rękami w górze, inni z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Z każdą chwilą wyłaniało się ich coraz więcej.

Każdy z nich trzymał coś białego; ręcznik, strzęp koszuli podartej naprędce, kawałek mapy lub innego papieru.

Cokolwiek, co mogło wydawać się choć nieco białawe.

Obojętnie w którą stronę Alan zwrócił front czołgu, zawsze miał przed sobą ludzi: wijących się, nie wyspanych od wielu dni, roztrzęsionych dywanowymi nalotami bombowymi amerykańskich B 52. Zwolnił przed kolejną skarpią i gorączkowo zerkał w nowoczesne pokładowe ekrany, usiłując na próżno znaleźć przejazd pomiędzy tłoczącą się ludzką ciżbą.

11

— Nie zatrzymuj się! — krzyknął Jack Roper, gdy Alan zredukował obroty. — Zejdą nam z drogi!

Jednak wielu irackich żołnierzy było w stanie tylko pełznąć. Niektórzy, boso, z poranionymi stopami, zdawali się sparaliżowani z przerażenia. Inni sami starali się opatrywać sobie otwarte, bądź opatrzone byle jak, rany.

Trzymali nad głowami kartki, pokryte arabskim drukiem, jakich tony zrzuciły wcześniej B 52. Ulotki obiecywały irackim żołnierzom żywność, schronienie i opiekę medyczną, jeśli oddadzą się do niewoli. Jeden z nieszczęśników dotarł do kadłuba challenger. Alan dostrzegł w jego zapadniętych oczach przestrah i rozpacz. Ten widok irackiego żołnierza, młodzieńca w jego wieku, uświadomił mu, w jakiej kondycji znajdują się te wijące się zjawy w postrzępionych mundurach, wcześniej wciśnięte w stare czołgi radzieckiej produkcji. Jack Roper otworzył usta, by powtórzyć rozkaz swemu kierowcy, ale zamknął je ostatecznie. Jak każdy dobry oficer nie był w stanie zmusić się do wydania polecenia, którego sam nie mógłby spełnić. Otworzył hermetyczny właz.

Te hordy Irakijczyków były żywym dowodem, że dowódcy Husajna nie uciekli się do użycia gazów bojowych. Wysunął głowę i ramiona przez otwór i gestem wskazał w kierunku granicy Arabii Saudyjskiej.

— Jeść! Wody! Proszę! — jęczały głosy.

— Jedzenie i wodę dostaniecie tam! — krzyknął Jack Roper, machając ramieniem. Zdawał sobie sprawę, że bardzo ryzykuje, wychylając się z wieży. Wystarczyło, by jeden z Irakijczyków cisnął ręczny granat. Te żalosne stworzenia nie przejawiały jednak najmniejszej ochoty do walki. Ich rozpaczliwe błagania były z pewnością szczerze.

W tej samej chwili następna salwa raketowa przecięła niebo; pociski spadły na pustynię z piekielnym hukiem. W łunie bitewnego pola Jack Roper dostrzegł odwróconą swastykę oddalającą się ku ciemności i bezpieczeństwu w którymś z kuwejckich miast.

Zaklął gorzko, mieszając z błotem szefostwo służb zaopatrzeniowych, które najwyraźniej dostarczyło mu przed batalią ślepej amunicji.

ROZDZIAŁ 2

RUAD, ARABIA SAUDYJSKA Poniedziałek, 25 lutego 1991

Prasę poinformowano o embargu na informacje. Tłumek sfrustrowanych dziennikarzy o lisich oczach sterczał pod hotelem „Hyatt”, oczekując pojawienia się jakiejś osobistości u wyjścia z budynku saudyjskiego Ministerstwa Obrony i Lotnictwa. Wśród żurnalistów krążyły pogłoski, jakoby generał brygady Richard Neal miał wystąpić ze swym codziennym oświadczeniem w holu na trzecim piętrze hotelu.

Max Shannon, w świeżo odprasowanej kurtce polowej, pokazał przepustkę pracownikowi ochrony hotelowej, przecisnął się przez zgraję reporterów, nie zwracając przy tym uwagi na dziennikarza włoskiej agencji RAI podtykającego mu mikrofon pod nos i wszedł do wyłożonego marmurowymi płytami lobby. Reporterzy i ekipy kamerzystów cisnęły się także do wnętrza. Naiwni spece od łowienia nowin podążyli przed japońską restaurację, gdzie jakiś oficjel mówił: „Na razie wiem tyle co wy...” Inni spoglądali na Anglika w mundurze niczym wyglodniałe wilki na swą ofiarę. Ów przez chwilę pożałował, że ubrał się w mundur — obowiązujący także cywilnych pracowników brytyjskiego Ministerstwa Obrony, przebywających w Rijadzie. Miał kilka identycznych mundurów, uszytych na miarę przez najlepszych krawców z materiału najwyższej jakości. Był perfekcjonistą—podchodził z chirurgiczną precyzją nie tylko do kwestii podziału budżetu ministerstwa. Aż do dzisiaj dziennikarze na ogół zostawiali Maxa w spokoju. Znali go jako uprzejmego, lecz wyjątkowo lakonicznego cywila, pracującego w kwaterze głównej brytyjskich sił na Bliskim Wschodzie. Dotąd nikt nie odkrył jego prawdziwej roli. Obecnie jednak oficjalny, szykowny wygląd i sztywny krok Shannona zwrócił uwagę spragnionego nowin tłumu dziennikarzy. Jak zwykle powitał ich nikłym uśmiechem. Nie, nie zna szczegółów operacji wojskowych.

Owszem, był w sztabie, ale nie rozmawiał ani z generałem Normanem Schwarzkopfera, ani z brygadierem Richardem Nealem.

Niewiele wskazywało na to, jak ważną figurą jest w rzeczywistości Max Shannon. W Londynie zwykle nosił szary garnitur, wyglądając na człowieka interesu. Przyprószone siwizną włosy obcięte miał bardzo

13

krótko, co pasowało do jego smukłej sylwetki i wzbudzającego zaufanie wyrazu twarzy.

W istocie Maxa Shannona darzyli znacznym respektem wojskowi różnych narodowości — w tym i obecni wrogowie, Irakijczycy. Liczył sobie pięćdziesiąt lat, był żonaty, miał dwoje dorosłych dzieci, a kilka lat temu zaczął odnosić sukcesy jako szef firmy konsultingowej. Ostatnie dziesięć lat kariery wojskowej poświęcił projektowaniu, konstruowaniu i testowaniu tajnej broni.

Ówczesny minister obrony zasugerował mu otwarcie prywatnego interesu. W latach osiemdziesiątych łatwiej było wywierać wpływy w innych krajach pod przykrywką biznesu. Max podpisał więc lukratywny kontrakt i szybko zdobył znaczącą pozycję na europejskim rynku militarnym, gdzie uznano go za człowieka obdarzonego wyobraźnią i niezwykle uzdolnionego. Teraz nadarzyła się okazja wypróbowania w warunkach bojowych wielu jego idei — choć wojna w Zatoce Perskiej wybuchła dwa lata przed ostatecznym ukończeniem najważniejszych projektów. A Max nie cierpiał, kiedy coś szło niezgodnie z planami.

— Czy są dla mnie jakieś wiadomości? — zapytał portiera. Powiedział to po arabsku, wolno, lecz precyzyjnie cedząc słowa. Dzięki znajomości tego języka załatwił już wiele na Bliskim Wschodzie.

Portier spojrział niepewnie. Był tu nowy. Max przebywał w hotelu „Hyatt” od czasu rozpoczęcia „Pustynnej Tarczy” w trakcie gorących dni ubiegłego roku. Znał całą obsługę. Kiedy jednak Irak zaczął odpalać rakiety Scud i straszyć zastosowaniem broni gazowej, wielu gasterbeiterów z Maroka i Pakistanu przestraszyło się i uciekło z Rijadu.

Saudyjczycy i obywatele państw koalicji mieli maski przeciwigazowe, co stało się przyczyną zadrażnień z gasterbeiterami, którzy postrzegali to jako rodzaj dyskryminacji. Max nosił swą maskę w sportowej torbie firmy Adidas. Zwykle kupował wyroby markowe. Nie znosił kompromisów. Bo kompromis postrzegał jako sprzeniewierzenie się perfekcjonizmowi.

— Jestem Max Shannon — wyjaśnił cierpliwie portierowi. — Pokój 505.

Tamten pogrzebał w papierach i wreszcie wyciągnął z nich kartkę.

— Chce się z panem widzieć pan Stephen Ramsay, panie Shannon. Czeka od dziesięciu minut

— powiedział i położył na blacie klucz od pokoju Maxa.

— Nie sprawdzi pan mojej przepustki?

14

Zmieszany portier spojrział w szare oczy Maxa i pod pozornym ciepłem dostrzegł w nich lodowaty chłód. Wybąkał słowa przeprosin i obejrzał przepustkę Shannona.

— Witaj, Max.

Max odwrócił się i wymienił uścisk dłoni z wysokim, łysiejącym, czterdziestoparoletnim mężczyzną. Stephen Ramsay był mniej więcej w wieku Maxa, lecz łysina i niezdrowy wygląd dodawały mu lat. W rękach też jakby brakowało mu sił.

Ramsay uśmiechnął się nieznacznie do Maxa.

— Powiedzieli mi, że jesteś po drugiej stronie ulicy, w ministerstwie, więc pomyślałem, że zaczekam tutaj. Sam wiesz, jak trudno tam kogokolwiek znaleźć.

Max ze zrozumieniem pokiwał głową. Saudyjskie Ministerstwo Obrony i Lotnictwa przypominało miniaturowy Pentagon. Saudyjczycy lubili rozmach: Max zorientował się szybko, do jakich kontrastów to prowadzi. Karawany beduinów ciągnęły w tym kraju poboczami sześciopasmowych autostrad.

— Masz coś dla mnie? — spytał obojętnym tonem Max. Ramsay przytaknął i rozejrzał się po zatłoczonym holu.

— Możemy gdzieś pogadać?

— Napijmy się czegoś w moim pokoju — zaproponował Max.

* * *

Numer Maxa znajdował się na czwartym piętrze hotelu „Hyatt” — na tę kondygnację dostać się można było tylko za pomocą specjalnego klucza, którym zatrzymywało się we właściwym miejscu windę. Ramsay, odrzucając oferty pracy w przemyśle i pozostając w wojskowości, z żalem pomyślał o rautach w cywilu — rozkoszach szwedzkiego stołu i drinkach za darmo. Choć piastował posadę dyrektora ośrodka badań nad bronią najnowszej generacji, nie miał swobodnego wstępu na czwarte piętro „Hyatta”. Sam mieszkał w Rijadzie w schludnym apartamencie hotelu brytyjskiej spółki lotniczej.

— Oaza spokoju na burzliwym morzu — powiedział z zawiścią do Maxa. — Czy dziennikarze tu nie docierają?

— Niektórzy wślizgiwali się czasem, gdy na schodach trwała zaimprovizowana konferencja prasowa — odparł Max. — Ale było to

15

w czasach, kiedy stacjonowały w mieście wojska saudyjskie. Jak zaczął rządzić Norman, to gość, który chce dotrzeć do mojego pokoju, musi przejść niezliczone kontrole.

Max otworzył drzwi i obaj weszli do środka. Ramsay z zainteresowaniem rozejrzał się po apartamencie. Od pięciu lat, w trakcie których współpracował z Maxem, po raz pierwszy znalazł się w prywatnych rewirach konstruktora. W swej firmie w hrabstwie Dorset, w Anglii, Max nigdy go nie zaprosił do własnego pokoju na piętrze.

Numer Maxa w „Hyacie” nie przypominał raczej pokoju hotelowego — ale w owym czasie rzecz się miała podobnie z większością hoteli w Rijadzie. Zwyczajni goście ulotnili się, a ich miejsce zajęli na dłużej ludzie w jakiś sposób związani z wojskiem. Z pokoju Maxa wyniesione zostało jedno z łóżek. Miast tego wstawiono regał i stół kreślarski. Koło okna, na biurku, które Max ściągnął z hotelowej sali konferencyjnej, stał walizkowy komputer firmy Toshiba oraz faks. Na blacie nie było ani skrawka papieru; zapewne znajdowały się w idealnym porządku w segregatorach. Pojedyncze łóżko zajmowało miejsce w kącie pomieszczenia.

W sumie wyglądało to na czyste i wygodne miejsce do pracy i do spania. W Arabii Saudyjskiej nie było poza tym specjalnie nic innego do roboty. Nie było teatrów ani nocnych klubów. Nocne życie ograniczało się niemal wyłącznie do kibicowania na wyścigach wielbłądów. Jedyne osobiste elementy w pokoju Maxa stanowiła fotografia przystojnej brunetki w jego wieku, prawdopodobnie żony. Pomimo szczerości i pozornej otwartości Max nigdy nie mówił o rodzinie. Strzegł swej prywatności.

Za to potrafił przegadać całą noc o nowinkach technicznych przemysłu zbrojeniowego, o czym Ramsay już niegdyś przekonał się na własnej skórze.

— Chcesz się czegoś napić, Steve? Whisky? Dżinu? Rumu? Ramsay spojrzał ze zdumieniem.

— Co takiego? Masz alkohol? Max uśmiechnął się.

— Tylko żartowałem. Po pięciu miesiącach w Arabii Saudyjskiej chciałem sobie po prostu przypomnieć brzmienie tych słów — otworzył miniaturową chłodziarkę i dodał: — Mam tu pepsi-colę z kofeiną i bez kofeiny. No i takie same gatunki coca-coli. Lubię dobrze zaopatrzone barki.

— Poproszę pepsi — powiedział Ramsay, wzdychając. Saudyjczycy to przyjaciele, gościnni ludzie z poczuciem humoru.

Nie trawia tylko jednego: żartów na temat swych neuroz związanych

16

z alkoholem. W przeciwieństwie do Maxa Ramsay, jako praktykujący katolik, nigdy nie zaakceptował w pełni konserwatywnego rygoryzmu wyznających sunnicką odmianę islamu Saudyjczyków. W tym kraju ludzie z innych części świata nie czuli się zbyt pewnie. Aby otrzymać wizę, należało mieć finansową porękę obywatela Arabii Saudyjskiej. Ponadto na każdym kroku człowiek musiał poddawać się ograniczeniom. Ruch uliczny zamierał pięciokrotnie w ciągu każdego dnia podczas głośniejszych wezwań do modlitwy... Pewnego razu Ramsay był świadkiem działań „policji religijnej” — zwanej Mutawwah. Patrol zaparkował swego nissana przed sklepem i dopadł dziewczynę z gumą do żucia. Nie zrobili jej wprawdzie krzywdy, ale porządnie nastraszyli.

— No więc co masz dla mnie? — zapytał zwyczajnie Max, kiedy obaj usiedli z colą w dłoniach.

— Zapewne ucieszy cię wieść, że kierowca challengerów dowodzonego przez kapitana Ropera zrobił dobry użytek z nowego sprzętu pozwalającego obserwować pole bitwy.

Jeśli nawet Maxowi sprawiło to radość, nie dał tego po sobie poznać.

— Ach... Kapral Dearborn? Ten inteligentny młody człowiek, który składał mi raport w zeszłym miesiącu?

Ramsay skinął głową. Trzymał w ręku szklanę z prawdziwego kryształu. Wykonaną w Irlandii. Max Shannon miał zwyczaj wozić ze sobą drobiazgi w dobrym gatunku.

— A więc wynalazek się sprawdził w warunkach bojowych? — zapytał Max.

Ramsay upił nieco brunatnego płynu.

— Owszem, Max. Sprawdził się. Właściwie okazał się rewelacyjny. Dzięki niemu zniszczyliśmy sporo irackich czołgów.

Max tylko poruszył się nieznacznie na siedzeniu.

— Nagrywali przebieg akcji. System włączał się automatycznie.

— Tak.

— Rozumiem, że przyniosłeś mi zapis? — Max okazywał już wyraźne zainteresowanie. Jego zwyczajowy uśmiezek zastąpiony został przez wyraz napiętego oczekiwania.

Ramsay zdawał sobie sprawę, że oto teraz ma wreszcie przed sobą prawdziwego Maxa Shannona, co sprawiło, iż poczuł się nieswojo. Max zawsze wywierał na niego dziwny wpływ, bo prawda była taka, że miał go w ręku. Pięć lat temu Max namierzył Steve'a Ramsaya. Szybko zorientował się, że ze swym

17

z alkoholem. W przeciwieństwie do Maxa Ramsay, jako praktykujący katolik, nigdy nie zaakceptował w pełni konserwatywnego rygoryzmu wyznających sunnicką odmianę islamu Saudyjczyków. W tym kraju ludzie z innych części świata nie czuli się zbyt pewnie. Aby otrzymać wizę, należało mieć finansową porękę obywatela Arabii Saudyjskiej. Ponadto na każdym kroku człowiek musiał poddawać się ograniczeniom. Ruch uliczny zamierał pięciokrotnie w ciągu każdego dnia podczas głośnych wezwań do modlitwy... Pewnego razu Ramsay był świadkiem działań „policji religijnej” — zwanej Mutawwah. Patrol zaparkował swego nissana przed sklepem i dopadł dziewczynę z gumą do żucia. Nie zrobili jej wprawdzie krzywdy, ale porządnie nastraszyli.

— No więc co masz dla mnie? — zapytał zwyczajnie Max, kiedy obaj usiedli z sobą w dłoniach.

— Zapewne ucieszy cię wieść, że kierowca challengerera dowodzonego przez kapitana Ropera zrobił dobry użytek z nowego sprzętu pozwalającego obserwować pole bitwy.

Jeśli nawet Maxowi sprawiło to radość, nie dał tego po sobie poznać.

— Ach... Kapral Dearborn? Ten inteligentny młody człowiek, który składał mi raport w zeszłym miesiącu?

Ramsay skinął głową. Trzymał w ręku szklankę z prawdziwego kryształu. Wykonaną w Irlandii. Max Shannon miał zwyczaj wozić ze sobą drobiazgi w dobrym gatunku.

— A więc wynalazek się sprawdził w warunkach bojowych? — zapytał Max.

Ramsay upił nieco brunatnego płynu.

— Owszem, Max. Sprawdził się. Właściwie okazał się rewelacyjny. Dzięki niemu zniszczyliśmy sporo irackich czołgów.

Max tylko poruszył się nieznacznie na siedzeniu.

— Nagrywali przebieg akcji. System włączał się automatycznie.

— Tak.

— Rozumiem, że przyniosłeś mi zapis? — Max okazywał już wyraźne zainteresowanie. Jego zwyczajowy uśmiezek zastąpiony został przez wyraz napiętego oczekiwania.

Ramsay zdawał sobie sprawę, że oto teraz ma wreszcie przed sobą prawdziwego Maxa Shannona, co sprawiło, iż poczuł się nieswojo. Max zawsze wywierał na niego dziwny wpływ, bo prawda była taka, że miał go w ręku. Pięć lat temu Max namierzył Steve'a Ramsaya. Szybko zorientował się, że ze swym

17

doświadczeniem i stanowiskiem Ramsay będzie człowiekiem, którego wpływy mogą się przydać. Nie wystarczyło wejść w interes — należało znaleźć jeszcze wpływowych przyjaciół. I kupić przyjaźń Steve'a Ramsaya za dwadzieścia pięć procent udziałów spółki oraz ciepłą synekurkę po odejściu Ramsaya z wojskowości. Wszystko, rzecz jasna, odbyło się zgodnie z prawem. Brytyjski system umożliwia współpracującym z siłami zbrojnymi cywilom wic sobie gniazdko na przyszłość przez nawiązywanie kontaktów z przedstawicielami kręgów przemysłowych. Naturalnie udziały zapisano na żonę Ramsaya, tak by nie wywęszył sprawy jakiś przesadnie dociekliwy dziennikarz. Korupcja w dopuszczalnych granicach — umożliwiająca Ramsayowi spełnienie najskrytszych planów: zakupu willi z ogrodem w Portugalii i spędzenie tam jesieni życia.

— Tak, przyniosłem taśmę — rzekł Ramsay. — No, ale wyłonił się problem. Wedle przepisów nie mogę ci zostawić kopii.

Szare oczy Maxa rozszerzyły się na moment.

— Służby specjalne utrudniają rozwój obronności kraju, Steve? Czy to nie brzmi troszkę absurdalnie?

— Nie chodzi o twój wynalazek, Max. Mamy większy problem. Powiem ci teraz coś w zaufaniu, rozumiesz...? Challengeira Jacka Ropera zapakowano ślepą amunicją przeciwpancerną. Wystrzelał kilka pocisków kumulacyjnych w T-55 i nie unieszkodliwił drania. Zwykłego T-55, pojmujesz? Rozpętała się dzika kłótnia między dowództwem Pierwszej Pancерnej, służbami tyłowymi i Ministerstwem Obrony.

— Ale co to ma wspólnego z moim patentem?

— Sporo. Twój wynalazek zarejestrował całą akcję.

— A... — teraz Max pojał. Odwrotnie niż w samolotach, czołgów, poza specjalnymi ćwiczeniami, nie wyposażano w sprzęt wideo.

Ramsay osuszył szklanekę i otworzył swoją teczkę.

— Tak więc twój wynalazek...

— Nasz wynalazek — poprawił go Max. Wolał przy każdej okazji przypominać Ramsayowi o powiązaniach z jego firmą.

Ramsay wzruszył ramionami.

— Dobra. Nasz wynalazek sprawił, że dowództwo armii przekonało się, co było nie tak.

Wręczył miniaturową kasetę wideo Maxowi i dodał:

— Wszystko jest na tym, Max. Możesz obejrzeć sam... Jeśli to naprawdę konieczne, pokaż materiał swym najbliższymi współpracownikom,

18

ale nikomu więcej. Kiedy oficjalne dochodzenie się zakończy, dostaniesz taśmę znowu... Teraz wiemy o tym tylko ty i ja, rozumiesz?

— A kroi się oficjalne dochodzenie? Ramsay przytaknął ruchem głowy.

— Owszem. I to na znaczną skalę. Podchodzą do tego bardzo poważnie.

— To może spece z mojej firmy załapią się na konsultantów? Znamy najlepiej nasz sprzęt, bo sami go zaprojektowaliśmy. Możemy przeprowadzić szczegółową analizę nagrania.

Ramsay zastanawiał się przez chwilę.

— Niezły pomysł, Max. Tylko że twoja firma bierze ciężką forszę za swoje usługi.

— Bynajmniej, jeśli weźmiesz pod uwagę, że pracujemy szybko... i bezbłędnie.

Ramsay wiedział, iż to prawda.

— To brzmi sensownie. Sądzę, że uda mi się coś wskórać. Max wyraźnie się rozpromienił.

— Oczywiście, uda ci się, Steve. Mam do ciebie pełne zaufanie. Ramsay odpowiedział słabym uśmiechem, rozumiejąc, iż nie ma sensu

zwodzić Shannona. Rzekł:

— Dobrze, Max... Załatwione. Potwierdzą to jutro. — Wstał. — Cóż, muszę spadać. Dzięki za drinka.

— Postawię ci lepszego w Londynie, kiedy będzie już po wszystkim. Swoją drogą, co tam na wojnie? Sam nie mogę dowiedzieć się niczego.

Obaj podeszli do drzwi.

— Na razie idzie jak po maśle — stwierdził Ramsay z nutą dumy w głosie. — Jedyne prawdziwe kłopot stanowią iraccy jeńcy. Poddają się tysiącami, nie ma co z nimi zrobić.

Wiesz, problemy natury logistycznej... No cóż, do zobaczenia.

Max został sam i postanowił wziąć prysznic. Taśma, choć ważna, musiała poczekać. Max wchodził pod prysznic trzy razy dziennie. Stało się to jakby rytuałem. Woda w Rijadzie była czysta, przefiltrowana. A czystość to słowo bliskie doskonałości.

Potem narzucił na siebie jedwabny szlafrok — prezent od żony na srebrne wesele — i jego uwagę przykuła taśma Ramsaya. Z jednej z szuflad wyciągnął miniaturowy odtwarzacz wideo firmy Sony i włożył doń taśmę. Przewijanie zajęło trochę czasu; najwyraźniej Ramsay obawiał się, że zapis może trafić w niepowołane ręce. Max odszukał początek

19

nagrania kaprała Dearborna i zaczął oglądać rejestrację bezskutecznego ataku na iracki czołg T-55. To, iż challengerowi dostarczono najwyraźniej ślepej amunicji, mało zainteresowało Maxa. Skoncentrował się na działaniu własnego urządzenia, umożliwiającego pełny przegląd pola walki.

Z tego, co widział, działało bezbłędnie. Dostrzegał ostry obraz na ekranie obok kaprała Dearborna. System namierzania celu szybko zlokalizował sylwetkę wieży nieprzyjacielskiego czołgu. Komputer wyliczył prawdopodobieństwo unieszkodliwienia irackiego wozu bojowego. Ów komputer — urządzenie najnowszej generacji — pracował na podobnej zasadzie jak ludzki mózg, ale znacznie szybciej. Błyskawicznie przetwarzał informacje i natychmiast wprowadzał stosowne korekty.

Taśma, którą Max właśnie przeglądał, nie miała ścieżki dźwiękowej. Obrazowi bitwy towarzyszyła więc dziwna cisza.

Max szybko się zorientował, jakie usprawnienia mógłby jeszcze wprowadzić. Obiektywy miniaturowych kamer zainstalowano na wieży challengerera w nieco za dużym oddaleniu od siebie. Z emisją promieni podczerwonych najwyraźniej nie było żadnych problemów. Max poczynił parę notatek i znowu skupił uwagę na miniaturowym ekranie odtwarzacza. Biała swastyka, namalowana na wieży T-55, zdumiała go. Naraz obraz zatrzęsł się — wypaliło główne działo challengerera. Max znowu zanotował jakąś uwagę. Kolejny strzał. Max wiedział, że z tak bliskiej odległości załoga challengerera nie mogła spudłować. Ekran odtwarzacza na sekundę pokryła biel. Potem powrócił obraz — nie uszkodzonego nawet T-55, kierującego swą armatę ku challengerowi. Później zapanowała chwila chaosu, kalejdoskop niewyraźnych plam i na ekranie ponownie ukazał się iracki T-55.

I znów challenger oddał strzał — raz jeszcze T-55 jakimś cudem uniknął zguby. Iracki czołg nie podjął jednak walki, lecz rzucił się do ucieczki.

Max był wstrząśnięty. Po jakiego diabła Ministerstwo Obrony płaciło ciężkie pieniądze jego firmie za opracowywanie skomplikowanych technologicznie systemów, skoro odpowiedzialni ludzie nie potrafili nawet zaopatrzyć czołgu w ostrą amunicję? Tego rodzaju zaniedbania wołały o pomstę do nieba. Max mógł sobie wyobrazić wściekłość dowódcy czołgu, bezsilnie obserwującego rejteradę nieprzyjacielskiego T-55.

Jeszcze jeden strzał z challengerera.

Tym razem odległość od celu była znacznie większa, więc eksplozja nie zmaćla całkowicie obrazu. Max aż otworzył usta ze zdumienia. Nie był pewien, ale odniósł wrażenie, że pocisk rozerwał się w pewnej odległości od

20

T-55. Pocisk wybuchający przed osiągnięciem celu? Czy ktoś kiedyś słyszał o czymś podobnym? Niemożliwe.

Zatrzymał taśmę, odwinął ją do tyłu i ponownie wcisnął odtwarzanie. Tym razem wyzbył się wątpliwości — pocisk eksplodował w powietrzu. A więc może amunicja nie była ślepa, tylko trefna, wadliwie skonstruowana? Wszystko jedno, niepowodzenie akcji nie było winą jego, Maxa Shannona. Urządzenie do obserwacji pola walki znakomicie przeszło ogniową próbę. Max postanowił poprosić Steve'a Ramsaya o zorganizowanie spotkania z kapralem Alanem Dearbomem natychmiast po zakończeniu kampanii. Teraz wziął słuchawkę telefonu i wybrał numer do Leo Bullera przebywającego w Anglii. Buller był jego partnerem w interesie. Czekał na połączenie, patrzył w ekran odtwarzacza, w znikający T-55 z dziwną, odwróconą swastyką namalowaną na wieży.

ROZDZIAŁ 3

WZGÓRZA MUTLAH. GRANICA KUWEJCKO-JJRACKA Świt. Wtorek, 26 lutego 1991
Porucznik Danny Kappelhof z 354. Skrzydła Myśliwców Taktycznych ledwie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy samolot typu A 10 Thunderbolt przebił się przez chmurę szarego dymu ku dziwnemu, żółtawosiar-czanemu światłu ponad płonącymi szybami naftowymi. O Jezu... Nic dziwnego, że podeksycytowani piloci maszyn A 6 z okrętu USS Ranger niemal dostawali kota! Mógł dostrzec czteropasmową autostradę z Kuwejt do Basry, zatłoczoną tysiącem pojazdów uciekających z Kuwejtu.

Osobowe auta, autobusy wycieczkowe, ciężarówki, karetki, wozy strażackie, motocykle, wozy kempingowe, nawet ciągniki. Wszystko na kołach zarekwirowane zostało przez wycofujących się Irakijczyków. Tłok jak na ulicach Nowego Jorku w gorący sobotni poranek. Pomędzy cywilnymi samochodami znajdowały się również czołgi i działa samobieżne. Ponieważ Irak nie skapitulował, według prawa wojennego wolno było atakować tę kolumnę. Exodus trwał całą noc — Irakijczycy zdołali ewakuować pokaźną część sprzętu wojskowego. Brytyjska jednostka pancerna mknęła już przez pustynię, chcąc zamknąć wroga w kotle, akcja 21

ta jednak wyglądała na spóźnioną. Szybciej ruszyli do boju Amerykanie i to im zapewne przyspaść miał operacyjny sukces.

Kołujące w powietrzu samoloty A 6 co chwila nurkowały jak sokoły, ziejąc ogniem z broni pokładowej, zrzucając bomby odłamkowe, a potem ponownie nabierając wysokości przed kolejnym atakiem. Zniszczone wozy kopcily na czarno, zatrzymując ruch całej kolumny. Danny po raz pierwszy w swej pięcioletniej karierze w armii miał przed sobą żywe cele, prując z siedmiolufowego działka zainstalowanego w dziobie thunderbol-ta. Utwardzone uranem pociski z pokładowej broni były w stanie przebić nawet grube pancerze. Pokraczny z wyglądu thunderbolt (nie bez kozery nazywany przez lotników „Dziką świnia”) był w istocie skutecznym i groźnym szturmowcem. Danny Kappelhof mógł czuć się bezpiecznie w osłoniętej tytanowymi płytami kabinie, którymi obłożono również zbiorniki paliwa, silniki i inne żywotne części maszyny. Naturalnie odbiło się to ujemnie na prędkości samolotu, A 10 nie był jednak przeznaczony do wyścigów. W zamierzeniu konstruktorów thunderbolt stanowił latający czołg, zdolny unieść mnóstwo uzbrojenia. Pokładowy komputer odbierał sygnały z latających na znacznych wysokościach maszyn AWACs, zataczających kręgi ponad całym obszarem Zatoki Perskiej. Danny przejął informację, że pozostały mu trzy minuty, w trakcie których mógł kontynuować dzieło zniszczenia. Atak na Mutlah stanowił pierwszą w historii masakrę, sterowaną przez komputery. Danny zredukował ciąg silników; prędkość A 10 spadła do dwustu kilometrów na godzinę. Wybrał cel — sunący powoli sznur irackich pojazdów. Położył palec na czerwonym spuście działka, zamierzając zniszczyć długi autobus typu Volvo.

Wykonując zwrot maszyną Danny poczuł charakterystyczny ucisk w kroczu. Nacisnął spust i usłyszał znajome, przygłuszone grzechotanie wielolufowego działka.

Trzydziestomilimetrowe pociski podziurawiły jasny dach autokaru, który w jednej chwili zaczął przypominać rzeszoto. Następny cel stanowiła ciężarówka. Kule z działka maszyny Danny'ego przeszły przez kabinę kierowcy jak przez papier. Potem przyszła kolej na buicka — Danny'emu przemknęło przez głowę, że identycznym wozem jego żona odwoziła kiedyś dzieci do szkoły. Wreszcie na celowniku znalazł się półciężarowy samochód, z zainstalowanym na budzie karabinem maszynowym, zapchany żołnierzami, którzy na widok nurkującego A 10 zaczęli rozpaczliwie machać rękami. Seria z działka w jednej sekundzie zamieniła zbitą

22

gromadę w krwawą, bezkształtną masę martwych i konających ciał. To zabijanie otwarło w Dannym służę emocji. Podobnych uczuć doświadczał jako dzieciak na zawodach sportowych,

w których brał udział, kiedy tylko mógł. Podniecenie opanowywało go bez reszty, znieczulało mózg, zwiększając jednak przy tym bystrość oka i refleks. Zawsze był znakomity w grach komputerowych — adrenalina dostająca się do krwi pomagała mu osiągać wyborne wyniki i pokonywać przeciwników. Nie był to wprawdzie nienawistny amok, ale jego skutki przedstawiały się podobnie.

Kolejny autokar... Tym razem mercedes. Wydłużony, w wielkich szybach, które rozprysły się na drobiny, gdy autobus wpadł na płonącego T-72. Kobiety i dzieci zaczęły uciekać z autokaru. Danny'emu nie przyszło do głowy, że mogą to być kuwejccy czy palestyńscy zakładnicy, uprowadzeni przez wycofujących się Irakijczyków. Dla niego był to po prostu wróg. Szatkowani kulami ludzie zdawali się rozpadać i zastygali w groteskowych pozach. Dostrzegł teraz białego cadillaca, którego także dosięgną! ogień z wielolufowego, szybkostrzelnego działka. Maszyna stoczyła się z szosy, zsunęła po poboczu i wywróciła się na dach. I znów Danny poczuł coś w rodzaju zawodu — oczekiwał, że samochód eksploduje. Na komputerze, który niegdyś sprezentował mu ojciec, trafione cele zawsze wybuchały. Tak, pamiętał te stare komputery... typu Atari i Amiga.

Jeśli cele nie eksplodowały, Danny tracił zainteresowanie grą. Z cysterną z paliwem poszło już lepiej — spłonęła na pomarańczowo, niczym wrogi statek w programie „Thunderfighter”. Danny wydarł się radośnie jak pijany i wykonał nawrót na autostradę. Ponownie nacisnął spust; działko siało zniszczenie i śmierć. Kolejna furgonetka rozpadła się na kawałki.

Danny starał się oszczędzać amunicję. Gdy cel został trafiony, natychmiast zdejmował palec ze spustu. Cały czas zerkał na ekran pokładowego komputera, który informował go na bieżąco, na ile kul może jeszcze liczyć. Zupełnie jak w grach komputerowych. Tyle że zapewne nie pojawi się w końcu na ekranie napis: GAME OVER. Poza tym wszystko jak w „Thunderfighterze”. Zabawne, nawet kolor tła podobny.

Zielony. Zielony dla ataku.

Cel! Pal! Dostał! Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie. Czołg! T-55, zjeżdżający z szosy i kierujący się ku piaszczystym wydmom nad morzem.

23

Jezu! — pomyślał. — Prawdziwy, sprawny czołg! Modląc się, by któryś z pilotów lotnictwa marynarki nie wypatrzył teraz jego czołgu, Danny wykonał ostry zwrot i uzbroił pocisk klasy powietrze—ziemia typu Maverick. A 10 zabierał sześć rakiet bojowych kierowanych na podczerwień i wyposażonych w pięćdziesięciosiedmiokilowe głowice. Jedna tylko wystarczyła, by całkowicie zniszczyć średni czołg w rodzaju T-55.

Czołg zniknął za wydumą. Nim ukazał się ponownie, komputer pokładowy określił położenie i dane celu.

— Wal, dziecinko! — zaśpiewał Danny wesoło. Rakieta Maverick sunęła ku źródłu podczerwieni, jakie stanowił iracki czołg. Pocisk płynął w powietrzu trochę dziwnym, spiralnym jakby kursem, co wynikało z korekty jego lotu przez zainstalowane w rakiecie urządzenia elektroniczne.

Danny spostrzegł osobliwy biały znak na wieży T-55.

Przypominał swastykę, tylko odwrotnie namalowaną. A 10 ostrzelany został z jakiejś broni maszynowej niewielkiego kalibru, Danny jednak nie przejął się tym ani trochę.

Położył maszynę na lewe skrzydło, aby móc obserwować z kabiny zagładę czołgu. Nie powinien oczywiście tak robić, tylko zająć się następnymi celami, rozprawienie się z czołgiem pozostawiając samo-sterującemu maverickowi. Chciał jednak zobaczyć na własne oczy, jak ginie pierwszy zniszczony przez niego wóz bojowy.

I wtedy zdarzyła się dziwna rzecz: pocisk eksplodował, nim uderzył w pancierz czołgu. Nie był to zwyczajny wybuch — nastąpiło jakby potężne wyładowanie elektryczne, huk, który Danny dosłyszał nawet przez ryk silników swego samolotu.

— Och... Cholera! — Podmuch wybuchu uniósł w powietrze tumany piasku i kurzu. Kiedy chmura się rozwiła, nienaruszony T-55 sunął dalej przez wydmy, pozostawiając na jasnym podłożu odciski gaśnic. Danny wykonał następny zwrot, uzbroił drugą z rakiet i ponownie wziął czołg na cel.

Ognia! Wal, dziecko! Wal! Od sylwetki samolotu odłączył się kolejny pocisk.

Rezultat był taki jak poprzednio. Maverick eksplodował tuż przed uderzeniem w czołg.

Wtedy to Danny usłyszał informację z AWACsa, że winien już wracać do bazy.

— Jeszcze minutkę, na rany Chrystusa! — ryknął Danny, z podekscytowania zapominając o procedurze składania meldunków w eterze. — Daliście mi trefne rakiety!

24

Na facetach kontrolujących przebieg działań z pokładu AWACsa prośby Danny'ego nie zrobiły większego wrażenia. Wielu lotników czekało już na pozwolenia wkroczenia w strefę bojową. Któryś z nich na pewno upora się z T-55.

Danny odłączył mikrofon i zaklął. Musiał jednak podporządkować się rozkazowi i wykonał zwrot w prawo, odlatując od brzegu na zwiększonym ciągu silników.

GRA SKOŃCZONA.

GRATULACJE, PILOCIE „THUNDERFIGHTERA”.

OSIĄGNAŁEŚ DZISIAJ NAJWYŻSZY WYNIK. ZOSTAŁEŚ AWANSOWANY NA KAPITANA SIŁ KOSMICZNYCH, A TWÓJ WYNIK ODNOTOWANO W HALLU SŁAWY „THUNDERFIGHTERA”.

Naraz powrócił do rzeczywistości. To zabijanie miało miejsce naprawdę. Przypominało zabawy na komputerach najnowszych generacji. Nie było jednak grą. Danny pomyślał o kobietach z dziećmi uciekających z autobusu i zrobiło mu się niedobrze.

ROZDZIAŁ 4

Pilotowana przez Danny'ego Kappelhofa maszyna typu A 10 odleciała, a nietknięty T-55, po części przesłonięty przez wydmy, stanął. Goniący na resztkach paliwa silnik wysokoprężny zagrzeczał jeszcze i w końcu umilkł. Otworzyła się kłapa nad stanowiskiem kierowcy i z wjazdu wyłoniła się głowa i barki gładko ogolonego, bardzo szczupłego młodego mężczyzny. Oczy zapadły mu w głąb czaszki z braku snu. Jego blada skóra naciągnięta była na kościach twarzy niczym prezerwatywa na pięści. Dłonie w rękawach zielonej, podniszczonej kurtki wojskowej przypominały szpony drapieżnego ptaka. Wspiął się na wieżę czołgu i błędnym wzrokiem patrzył na masakrę, jaka dokonała się na drodze z Kuwejtu do Basry.

Chwilę później otworzył się też wjazd dowódcy. Dowódca — oficer — znajdował się w podobnym stanie jak kierowca. Dostrzegł terenowego łazika z oznakowaniami Dywizji „Hammurabi”, który leżał w pobliżu wywrócony do góry kołami. Sztywna ręka szofera łazika wystawała spod drzwiczek, zdając się ścisnąć kawałek zastygniętego muły, jakby stanowił on rzecz nadzwyczajnej wartości. Zapasowe kanistry z paliwem, leżące

25

Na facetach kontrolujących przebieg działań z pokładu AWACsa prośby Danny'ego nie zrobiły większego wrażenia. Wielu lotników czekało już na pozwolenia wkroczenia w strefę bojową. Któryś z nich na pewno upora się z T-55.

Danny odłączył mikrofon i zaklął. Musiał jednak podporządkować się rozkazowi i wykonał zwrot w prawo, odlatując od brzegu na zwiększonym ciągu silników.

GRA SKOŃCZONA.

GRATULACJE, PILOCIE „THUNDERFIGHTERA”.

OSIĄGNAŁEŚ DZISIAJ NAJWYŻSZY WYNIK. ZOSTAŁEŚ AWANSOWANY NA KAPITANA SIŁ KOSMICZNYCH, A TWÓJ WYNIK ODNOTOWANO W HALLU SŁAWY „THUNDERFIGHTERA”.

Naraz powrócił do rzeczywistości. To zabijanie miało miejsce naprawdę. Przypominało zabawy na komputerach najnowszych generacji. Nie było jednak grą. Danny pomyślał o kobietach z dziećmi uciekających z autobusu i zrobiło mu się niedobrze.

ROZDZIAŁ 4

Pilotowana przez Danny'ego Kappelhofa maszyna typu A 10 odleciała, a nietknięty T-55, po części przesłonięty przez wydmy, stanął. Goniący na resztkach paliwa silnik wysokoprężny zagrzecgotał jeszcze i w końcu umilkł. Otworzyła się kłapa nad stanowiskiem kierowcy i z wjazdu wyłoniła się głowa i barki gładko ogolonego, bardzo szczupłego młodego mężczyzny. Oczy zapadły mu w głąb czaszki z braku snu. Jego blada skóra naciągnięta była na kościach twarzy niczym prezerwatywa na pięści. Dłonie w rękawach zielonej, podniszczzonej kurtki wojskowej przypominały szpony drapieżnego ptaka. Wspiął się na wieżę czołgu i błędnym wzrokiem patrzył na masakrę, jaka dokonała się na drodze z Kuwejtu do Basry.

Chwilę później otworzył się też wjazd dowódcy. Dowódca — oficer — znajdował się w podobnym stanie jak kierowca. Dostrzegł terenowego łązika z oznakowaniami Dywizji „Hammurabi”, który leżał w pobliżu wywrócony do góry kołami. Sztywna ręka szofera łązika wystawała spod drzwiczek, zdając się ścisnąć kawałek zastygniętego muły, jakby stanowił on rzecz nadzwyczajnej wartości. Zapasowe kanistry z paliwem, leżące

25

obok wozu, wyglądały na nietknięte. Oficer ostatkiem sił zeskoczył z czołgu i chwiejnym krokiem ruszył w stronę łązika, nakazując gestem swemu kierowcy, by ten poszedł za nim. Jasnowłosy kierowca T-55 rzucił okiem na niebo i zobaczył następnego A 10 w locie nurkowym, który swym trzydziestomilimetrowym działkiem niszczył wszystko pod sobą. — Abbi! — zakrzyknął po kurdyjsku. — Wracaj!

Ostrzeżenie przyszło jednak za późno. Jeden z pocisków przeszył pierś oficera, zwalając go na plecy. Na tym nie wyczerpała się potężna energia kinetyczna — pocisk przebił osłonę silnika terenowego ziła, koło i zarył się głęboko w piasku. A 10 przeleciał na niskiej wysokości i zniknął za horyzontem w poszukiwaniu dalszych celów.

Mężczyzna o jasnych włosach krzyknął i próbował zeskoczyć z czołgu, został jednak powstrzymany przez ładowniczego, który wychylił się z wjazdu dowódcy.

— Nie, Khalid! — rzucił Nuri. — On nie żyje! Będziemy trzymać się razem! Musimy opuścić ten czołg! — Zajrzał do wnętrza T-55 i wrzasnął: — Kez! Abbi nie żyje! Uciekamy! Ruszaj się! Szybciej!

Czwarty członek załogi, kanonier, wyłonił się z pancerza. Był to właściwie jeszcze chłopak i znajdował się w najgorszym stanie fizycznym spośród całej trójki.

Nuri i Khalid musieli wyciągnąć go przez wjazd i pomóc mu stanąć na ziemi. Nogi natychmiast ugięły się pod Kezem, lecz podtrzymał go Nuri i oparł o osłonę gaśnic. Po śmierci dowódcy komendę przejął Nuri, gdyż jako jedyny był żołnierzem regularnej armii, no i liczył sobie najwięcej lat. Khalid, powolny kierowca czołgu, został wcielony siłą po mobilizacji, podobnie jak Kez, mający teraz już zwidy z głodu i pragnienia.

Nuri był niższy od Khalida. Gęsta, czarna broda nadawała mu dziki wygląd. Choć słał się z wyczerpania, to wola przeżycia lśniła jeszcze w jego ciemnych oczach niczym pochodnia w nocy. Rozejrzał się szybko wokoło i doszedł do wniosku, że najwięcej szans da im ukrycie się pomiędzy wydmami, z dala od szosy.

— Musimy pozbyć się czołgu! — zacharczał do Khalida i pokazał ręką w stronę hałd piasku.

— Rozumiesz?

Khalid przytaknął. Prawie się uśmiechnął, ale w jego ociężałym mózgu zrodziła się wątpliwość. Obaj mężczyźni wzięli między siebie kanoniera i ruszyli ku wydmom. Kiedy znaleźli się kilkanaście metrów od T-55, Nuri

26

odwrócił się i potoczył granat dymny pod gasienice czołgu. Chmury czarnego dymu otoczyły wóz, jak gdyby stanął on w ogniu. Nuri rozglądał się w pobliżu za jakimś miejscem na odpoczynek, gdyż wyglądało na to, że nie zajdą z nieprzytomnym niemal Kezem zbyt daleko, a ponadto należało się schować, by nie stanowić celu dla amerykańskich pilotów, ziejących ze swoich maszyn morderczym ogniem.

Uginając się pod ciężarem kolegi, Nuri i Khalid przeszli szczyt diuny i zaraz zapadli się po kolana w piasku. Dostrzegli skalną półkę, pod którą można się było schronić. Obaj wczołgali się pod nią, ciągnąc za sobą bezwładne ciało Keza.

Wilgotny piasek pod skałą podekscytował Khalida.

Zdrapał garść błotnej mazi i już niemal wepchnął ją sobie w usta, niby najsmaczniejsze jedzenie, ale Nuri wrzasnął na niego i kazał mu przestać. Po chwili Nuri wyciągnął z kieszeni chusteczkę, którą trzymał przezornie na wypadek, gdyby zdarzyła się okazja trafienia do niewoli, i zawiąnął w nią nieco wilgotnego mułu. Potem skręcił zawiąniętą tak mocno, jak tylko zdołał osłabłymi palcami. Na powierzchni materiału pojawiły się krople brudnej wody. Khalid usiłował zlizać to językiem, ale Nuri odepchnął go brutalnie.

Kierowca znowu głupekowato się uśmiechnął. Po raz tysięczny Nuri zastanawiał się, dlaczego takiego tłumoka powołali do wojska. I zaraz sam sobie odpowiedział: Khalid był wprawdzie tępy, ale świetnie spisywał się jako kierowca. Miał wyborne wyczucie szybkości, przestrzeni i odległości; potrafił przejechać T-55 na maksymalnej prędkości przez szczelinę niewiele szerszą od samego czołgu. Jeszcze ważniejsze było niebywałe szczęście Kurda — pociski i rakiety eksplodowały, nim uderzyły w pancerz ich wozu.

Nuri oparł głowę Keza na swoich kolanach i przyłożył chusteczkę do spieczonych warg młodzika. Język chłopaka wysunął się odruchowo, zlizując chciwie krople wody z wilgotnego zawiąniętka. Kez przypominał dziecko, ssące łapczywie matczyną pierś.

Khalid wyciągnął rękę po chustkę.

— Możesz zrobić to samo! — warknął nań Nuri. — Czy ja zawsze muszę o wszystkim myśleć?

Uśmiezek Khalida sprawił, że Nuri natychmiast zdał sobie sprawę, jak głupie pytanie zadał. Przechylił się i stuknął w żebra swojego jasnowłosego towarzysza. Dwie maszyny typu Intruder przeleciały na niewielkiej wysokości.

27

Jeden z samolotów wykonał zwrot w lewo i zaczął schodzić na cel bardzo powoli. Pilot był pewien, że dostrzeżę trzech irackich żołnierzy pod skalnym występem. Wzmagający się huk silników intrudera sprawił, że Nuri z każdą sekundą wyczuwał wzrastający ucisk w żołądku. Miał nadzieję, że i tym razem ocali ich fart, jaki dotąd wyraźnie sprzyjał Khalidowi.

Niespodziewanie atakujący samolot zrezygnował ze strzału i odleciał. Nuri szczękał zębami, oddychając z ulgą.

— Nie potrzebowaliśmy szczęścia tym razem — powiedział Khalid, wciąż się uśmiechając. Nuri popatrzył w oczy swego płowowłosego kolegi i doznał bardzo szczególnego uczucia. Za tymi wiecznie roześmianymi oczami coś się kryło. Coś dziwnego. Coś, co nie pasowało do Khalida, którego znał

— wesołkowatego, lubiącego się w sztuczkach, ulubieńca całego oddziału; idioty, który potrafił wsadzić głowę do wiadra z wodą, jeśli się mu to poleciło. Błazna, który uwielbiał, jak się z niego śmiano. Wyśmiewanie było dlań oznaką akceptacji.

— Racja — Nuri zgodził się z Khalidem. — Tym razem nie potrzebowaliśmy szczęścia. Jeszcze trochę go zostało, co?

— Nie musimy go oszczędzać — odparł enigmatycznie Khalid.

— Zawsze jest z nami.

Była to prosta odpowiedź, lecz Nuri zastanawiał się, dlaczego tak bardzo go przeraziła.

ROZDZIAŁ 5

TRASA Z SINGAPURU DO LONDYNU Środa, 27 lutego 1991

Na szczęście wojna w Zatoce Perskiej odstraszyła ludzi od korzystania z samolotów na trasach azjatyckich, więc w pierwszej klasie pasażerskiego boeinga niewiele osób było świadkami wzrastającego rozwścieczenia dziewczyny.

— Nie — powiedziała nagle, kręcąc głową tak, że aż spadły jej z uszu słuchawki, w których piszczął monotony sygnał.

— Proszę cię! Natychmiast przestań!

Lloyd Wheeler spojrział ponad fotelami ku miejscu zamieszania. Matka

28

usiłowała uspokoić nieco swą córkę. Ileż lat miała ta ostatnia? Piętnaście? Szesnaście?

Domyślił się już, że biedna dziewczyna dotknięta była autyzmem.

Wcześniej zerkiała z zaciekawieniem na jego laptopa, więc usadził się tak, by mogła obserwować jego poczynania. Teraz była tak wytrącona z równowagi, że nie mogła skoncentrować się na niczym. Dziwne, jak autystyczne dzieci potrafią z nagłego skupienia przejść w jednej chwili w stan całkowitego rozkojarzenia. Lloyd starał się nie słuchać upomnień matki i jęków dziewczyny, skupiając się na własnym zajęciu.

Jego wrażliwa natura nie pasowała jakby do jego fizjonomii. Miał długie kości i mocne mięśnie, wyrobione w młodości, kiedy pracował na gospodarstwie rodziców w Oxfordshire. Teraz starał się utrzymywać w formie, grając regularnie w squasha ze swoją przyjaciółką, która zresztą miała kota na punkcie sportu i sprawności fizycznej. Miał włosy koloru dojrzalej kukurydzy i chyba dzięki nim właśnie nie wyglądał na swoje trzydzieści dwa lata, lecz znacznie młodziej. Niedawno podjął nową pracę jako wydawca „Science UK”. Jego duże palce niezgrabnie biegały po niewielkiej klawiaturze laptopa. Zwykle potrafił pracować bez spoglądania na ekran komputera, teraz jednak męczył się, usiłując wyklepać cztery tysiące słów mające stanowić pokłosie nieudanej wyprawy do Singapuru. Doroczny zjazd Federacji Astrofizyków okazał się wielką pomyłką.

Amerykańska delegacja, podobnie jak kilka innych, wycofała się w ostatniej chwili z udziału, bojąc się irackich terrorystów i zamachów bombowych na zachodnie samoloty pasażerskie. W rezultacie na konferencji nie zaprezentowano najnowszych osiągnięć naukowych — po dwóch dniach jałowych obrad Lloyd sam postanowił spasować i wrócić do Londynu.

Dziewczyna — o imieniu André — stała się znowu niespokojna, wierząc się na siedzeniu.

Laura Normanville ujęła dłoń córki i łagodnie ją ścisnęła.

— Już dobrze, Andy... Wkrótce wylądujemy.

Spostrzegła wzrok Lloyda Wheelera i oblała się rumieńcem zażenowania i złości, pragnąc po raz setny chyba przesiąść się na inne miejsce i ukryć André przed oczami zdziwionych współpasażerów. Lloyd wyczuł jej wrogość. W trakcie długich godzin lotu znajdował rozrywkę w odgadywaniu zawodów i pochodzenia towarzyszy podróży na podstawie ich strojów. Elegancka kobieta w obcisłej, wełnianej sukience i butach

29

sięgających tydek (w których w samolocie musiały puchnąć stopy) wracała do Londynu, pragnąc ponownie podjąć karierę modelki po rozpadzie swego nieudanego małżeństwa. Żyd, o wyglądzie uczonego, który spędził cały lot z nosem w Torze, zapewne był handlarzem biżuterią który zawarł w Singapurze lukratywną umowę, a teraz wracał do luksusowego domu na przedmieściu, gdzie czekała nań samotna, wiecznie pijana małżonka. Jednak ta matka z córką...? Nie mógł ich przejrzeć na pierwszy rzut oka, choć obie były do siebie podobne — miały dość ostre rysy i wydatne kości policzkowe

— tyle że ubrane były odmiennie. Spódnica i jedwabna bluzka dziewczyny musiały zostać uszyte na zamówienie, gdyż znakomicie kamuflowały niedostatki jej niezgrabnej sylwetki. Dla kontrastu strój matki wyglądał na prosty i tani, jakby ta celowo chciała wyglądać szaro u boku córki. Piwne oczy aż prosiły się o makijaż. Nawet gęste, ciemne włosy upięte były w

skromny, staroświecki kok, podczas gdy włosy dziewczyny spływały czarną kaskadą na ramiona i plecy.

Widać było, że taka fryzura wymaga znacznej troski w pielęgnacji i układaniu.

— Nie! — odezwała się Andy wściekle.

— Proszę cię, Andy...

— Nie! — Andy teraz już krzyczała. — Wszystko nie tak! — machnęła w powietrzu zaciśniętą, białą pięścią.

Laura chwyciła dłonie Andy, starając się wcisnąć je pod pas bezpieczeństwa. Zapewne знаła symptomy zbliżającego się napadu szału córki. Wyglądało na to, że pragnie, by lot jak najprędzej dobiegł końca.

— Proszę, Andy — zaklinała. — Nie teraz. Nie tutaj. Musiała jednak przeczuwać próżność swych błagań.

— Nie! Nie! Nie! Wszystko źle...!

Kilku innych pasażerów przebudziło się z drzemki i wychyliło głowy ponad oparcia foteli, aby zobaczyć, co się dzieje. Ching, stewardesa o przyjaznym wyrazie twarzy, zamierzała już interweniować, gdy nagle przez kadłub boeinga 747 przeszedł krótki wstrząs, który zaowocował odgłosem tłuczonego szkła i potokiem przekleństw na górnym pokładzie. Laura zerknęła z rozpacźliwą obawą na szarpiącą się córkę, która najpewniej pragnęła na własne oczy przekonać się, co się stało.

Lloyd wychylił się przez poręcz fotela.

— Być może pani córka chciałaby zobaczyć, co piszę na komputerze?

— zaproponował. — Widziałem, że ją to zaciekało...

30

Słowa Lloyda wywarły na dziewczynie niespodziewany skutek. Przestała się miotać i wbiła w niego wzrok. Lloyd dostrzegł coś osobliwie znajomego w jej oczach, coś, co go zmieszało — nim odkopał w pamięci pewne zdarzenie z przeszłości. W styczniu zeszłego roku, po burzliwej rozmowie z szefem, wybrał się, aby ochłonać, do londyńskiego zoo. Gdy zastanawiał się nad swoimi perspektywami w profesji dziennikarskiej, jego uwagę przykuł drapieżny wzrok wspaniałej, czarnej pantery. Przez moment, który zdał się dłużyć w nieskończoność, człowiek i dzikie zwierzę wpatrywali się w siebie nawzajem. Lloyd miał wrażenie, że spogląda w duszę istoty obdarzonej wszechmocnym intelektem. Trudno było pogodzić się z myślą, że to smukłe stworzenie jest niemym zwierzęciem. Teraz doznał tego samego odczucia, wpatrując się w zielone oczy tej dziwnej dziewczyny.

Rzucony urok zmałyły słowa matki:

— To bardzo uprzejmie z pańskiej strony — powiedziała chłodno — ale nie sądzę, by Andy zainteresowała się...

— Chcę popatrzeć! Chcę popatrzeć! — zawołała Andy, wierząc się na siedzeniu. Nim matka zdążyła zgłosić dalsze wątpliwości, André odepchnęła ją i usiadła obok Lloyda. Lloyd zaśmiał się.

— Wygląda na to, że nie czekała na pani pozwolenie.

— No cóż. Ale tylko na kilka minut, panie...

— Lloyd Wheeler.

Sięgnął do kieszeni marynarki i podał jej swą wizytówkę. Zwrócił uwagę na obrączkę i pierścionek zaręczynowy na dłoni kobiety.

— Lloyd D. Wheeler. Wydawca. „Science UK”... Pod jego personaliami figurował adres siedziby magazynu oraz adres jego mieszkania, znajdującego się zresztą przy tej samej ulicy.

— Z uwagi na wykonywany zawód prowadzę koczowniczy tryb życia, ale często można mnie zastać pod jednym z tych numerów — stwierdził pogodnie.

Kobieta obojętnym gestem wsunęła wizytówkę do kieszonki taniej torebki. Lloyd czuł na sobie nieufny wzrok Laury, kiedy otwierał wieko laptopa i wciskał kolejne klawisze. Na

ekranie ukazało się logo, a litery ułożyły się w napis COMPAQ. Najwyraźniej zaintrygowało to André, więc Lloyd raz jeszcze powtórzył całą operację.

— Compact — odezwała się dziewczyna.

— Chcesz obejrzeć kilka wpisanych gier?

31

— Gry... — André kiwnęła głową. — Lubię patrzeć na gry.

Z napięciem wpatrywała się w palce Lloyda, kiedy ten wchodził w program. Tak jak większość ludzi posiadających przenośne komputery i używających ich do pracy, miał na twardym dysku parę ulubionych gier. Bawił się nimi, gdy przychodziło mu spędzać długie godziny na lotniskach lub w oczekiwaniu na konferencje prasowe. Zastanawiał się teraz nad wyborem.

Warcaby? — myślał. Nie. Szachy? Też nie.

W końcu postawił na „Gwiezdnego wojownika”. Była to jedyna „myśliwska” gra na jego komputerze, ale za to jedna z najatrakcyjniejszych. Pokazał André, jak posługiwać się kursorem do pilotowania statku kosmicznego pośród wrogich planet i jak strzelać z laserowego działka. Milczenie dziewczyny niepokoiło go trochę. Położył jej laptopa na kolanach. Jej długie, szczupłe palce zaczęły tańczyć po klawiaturze z zadziwiającą zręcznością. Już po chwili z miniaturowego głośnika laptopa wydostał się piskliwy dźwięk eksplozji i na ekranie ukazała się liczba zdobytych punktów, która szybko się powiększała. André likwidowała „wrogów” z niezwykłą wprawą. Lloyd odwrócił głowę i uśmiechnął się do Laury, która nadal obserwowała oboje z zaniepokojeniem.

— Ona jest dobra. Pewnie ma tę samą grę w domu? Jednak talent André najwyraźniej zaskoczył również jej matkę.

— Nie... Nie mamy w domu komputera.

Lloyd zerknął na profil André. Ta z kolei wpatrywała się gorączkowo w ekran, z miną wyrażającą rozkosz, a zarazem skupienie. Palce pracowały na klawiaturze, jakby żyły własnym życiem. Głośniczek komputera co chwila informował o kolejnych eksplozjach. Lloyd z niejakim zdziwieniem skonstatował, że André weszła już na drugi poziom. Oznaczało to, iż po drodze musiała nauczyć się paru wcale nie najprostszych sztuczek.

— Ona jest świetna — powiedział Lloyd, próbując jakoś ożywić niemrawą rozmowę. Ta kobieta mimo wszystko go intrygowała. Chciał dowiedzieć się więcej o niej i jej dziwnej córce.

Laura zapytała:

— Czy sądzi pan, że powinnam sprawić André komputer?

— No, jak widać, znakomicie sobie radzi. Szkoda, że nie kupiła pani komputera w Singapurze. Są tam znacznie tańsze niż w Europie.

— A ile kosztuje takie urządzenie?

— Około półtora tysiąca funtów.

32

Laura wyglądała na zaskoczoną.

— W takim razie to nadzwyczaj uprzejmie z pana strony, że pozwolił pan jej się pobawić, panie... hm... Wheeler.

Lloyd sztucznie się uśmiechnął.

— Komputery stacjonarne są dwukrotnie tańsze. Czuł się niezręcznie, rozmawiając o André w jej obecności, jednak dziewczyna jakby go nie zauważała. Zapadło znów milczenie; matka otworzyła czasopismo, dając tym samym znak, że rozmowa skończona.

Chociaż Laura nie dawała tego po sobie poznać, to jednak była wdzięczna nieznanemu blondynowi, że uwolnił ją od użerania się z André. Lot do Singapuru w zeszłym tygodniu przypominał po prostu koszmar. André uspokoiła się wtedy dopiero, kiedy samolot wylądował na lotnisku Changi.

Czuła ciężące powieki. Założyła słuchawki i odkręciła potencjometr w nadziei, iż głośna muzyka odegna od niej senność. Symfonia „Pastoralna” Beethovena wywarła jednak wprost przeciwny efekt.

Rysy André pozostawały napięte przez całą grę. Nie wyglądała na przesadnie zachwyconą, ale to niby normalne: zwykle ludzie tak się zachowują, grając z komputerem.

Głośnik laptopa popiskiwał teraz niemal bez przerwy, a wynik w punktach zdobywanych przez dziewczynę rósł w niebywałym tempie. Pewnie w szkole ma podobny sprzęt, pomyślał Lloyd.

André nadal nie zwracała uwagi na Lloyda, więc zajął się rozwiązywaniem krzyżówki, zerkając na dziewczynę tylko kątem oka. Wydała z siebie stłumiony okrzyk radości, gdy weszła na następny poziom. Klasnęła też w dłonie. Lloyd zauważył, że nie nosiła zegarka. Pomyślał, że to dziwne, nastolatki bowiem lubią na ogół elektroniczne cacka, wydające rozmaite odgłosy o równych godzinach.

Zerknął na własny zegarek, usiłując obliczyć, która godzina była obecnie w Londynie.

Różnica między Londynem a Singapurem wynosiła...

— Po trzecim sygnale minie dwudziesta druga trzydzieści jeden i dziesięć sekund... Bip... bip... bip...

Zdumiony Lloyd spojrział na André. Przestała grać i obserwowała go uważnie. Zapewne spostrzegła, że patrzył na zegarek. Rzuciła też okiem na uśpioną matkę. Lloyd się uśmiechnął.

— CzemU jej nie powiedziałaś, André? Naprawdę mamy taką godzinę?

33

— Po trzecim sygnale... — André recytowała matowym głosem — minie dwudziesta druga trzydzieści jeden i trzydzieści sekund. Bip... bip... bip... — Zapadła w milczenie. Wpatrywała się w Lloyda swymi niepokojącymi, zielonymi oczami jak kot w mysz.

Lloyd nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Jego komputer miał wmontowany zegar na baterie z litu, lecz on sam nigdy z niego nie korzystał podczas podróży. Mimo to czuł się lepiej ze świadomością, iż może sprawdzić, która godzina jest w Londynie. Zegar w komputerze był niezwykle dokładny — do setnych części sekundy na rok. Teraz Lloyd doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi pokazać André, którą naprawdę mieli godzinę.

— Pozwól, coś ci zademonstruję, młoda damo.

Nie sprzeciwiła się, kiedy odebrał jej laptopa i wyszedł z gry. Rozparła się tylko wygodniej w fotelu. Lloyd wywołał zegar. Właśnie miał zamiar podsunąć jej ekran, gdy ona, bez patrzenia, oznajmiła:

— Po trzecim sygnale minie dwudziesta druga trzydzieści dwie i czterdzieści sekund. Bip... bip... bip...

Lloyd ze zdumieniem spojrział na ekran, gdzie, równo ze słowami André, ukazały się kolejne cyfry: 22.32.40. Niemożliwe, by dziewczyna zdołała, to jakoś podejrzeć. Lloyd trzymał laptopa tak, aby André nie widziała ekranu. Zresztą patrzyła teraz wprost przed siebie.

— No dobra, Andy — odezwał się Lloyd, usiłując zachować spokojny głos. — Powiedz jeszcze raz, która godzina.

— Po tizecim sygnale minie dwudziesta druga trzydzieści cztery i dziesięć sekund. Bip... bip... bip...

Po trzecim „bipie” istotnie ukazały się jaskrawe cyferki: 22.34.10. Lloyd, kompletnie oszołomiony, patrzył to na dziewczynę, to znów na ekran. Wydało mu się, iż dojrzał przez moment błysk tryumfu w jej oczach, lecz zgasł on po ułamku sekundy.

Fart, przypadek, pomyślał. Wiedział jednak, że wmawia coś sobie wbrew oczywistym faktom. To zdumiewające dziecko, wyglądające na niedorozwinięte lub przynajmniej autystyczne, miało niesamowite poczucie czasu. Przypomniał sobie telewizyjny program o Stephenie Wiltshire, autystycznym chłopcu, który potrafił rysować z pamięci rozmaite

budowle z najdrobniejszymi szczegółami architektonicznymi. Zaskoczenie Lloyda najwyraźniej ośmieliło dziewczynę.

— Po trzecim sygnale minie dwudziesta druga trzydzieści pięć i trzydzieści sekund. Bib... bip... bip...

34

Lloyd popatrzył na ekran. Niewiarygodne.

— Po trzecim sygnale minie dwudziesta trzydzieści pięć i pięćdziesiąt sekund. Bib... bib... bip...

— Jak pan śmie!?

Lloyd i André aż drgnęli z przestachu. Stała nad nimi Laura z twarzą wykrzywioną wściekłością. — Jak pan śmie zmuszać do tego André!?

— Przepraszam, ale ja nie...

— A ja myślałam, że mogę panu powierzyć to dziecko! Nadużył pan mojego zaufania!

— Zaraz, chwileczkę — Lloyd już się opanował. — Nie rozumiem, co... Nie miał jednak szans, aby dokończyć zdanie. Laura chwyciła André za rękę i ściągnęła ją z fotela.

— Powinnam była wiedzieć! Powinnam wiedzieć, że nie można panu ufać! — stwierdziła wściekle i usadziła André na miejscu koło okna.

Lloyd wzruszył ramionami i zajął się czytaniem gazety.

Myślał o tym, żeby jakoś odgryźć się temu babsztyłowi, a potem wybąkać słowa przeprosin. Odrzucił jednak ten pomysł.

Dlaczego niby miał przepraszać? Nie zrobił nic złego, pozwolił tylko dziecku popisać się rzadkim talentem. A może nawet napisałby o tej małej artykulik? Krótki materiał na wypełnienie kolumny. Już zaczął układać w głowie wstęp. Był dobry w pisaniu wstępów. Gorzej szło mu z puentami...

Myśląc o drugim akapicie, przysnął. Miał zły sen: o parze nawiedzonych, kpiących zielonych oczu, które tańczyły przed nim niczym na tle galaktyk i chmur materii wszechświata. Gdzie tylko się obrócił, tam tysiące gwiazd błyszcząły tak jasno, że nie sposób było spojrzeć wprost na nie. Dziwne, że lśniące punkty nie oddalały się od siebie — zgodnie z teorią rozszerzającego się uniwersum — lecz zbliżały. Centrum kosmosu stanowiły te zielone oczy, a echem odbijał się ów głuchy głos, informujący o czasie co dziesięć sekund: „... Czterdzieści dwie i pięćdziesiąt sekund... Bip! Bip! Bip! ... I czterdzieści sekund... Bip! Bip! Bip! ... I trzydzieści sekund... Bip! Bip! Bip!” Wszechświat zapadał się w sobie, kurczył, a czas płynął wstecz. Dziewczęcy głos stawał się coraz wyższy, szybszy, bardziej piskliwy, jak dźwięk na taśmie, która obraca się coraz szybciej, wreszcie przeszedł w jeden pisk.

Zbudził go ostry ból głowy. Poduszka wysunęła mu się zza karku, on sam zwałił się na boczne oparcie. Obudzony się usiadł, czując się

35

fatalnie. Roztarł czoło i ujrzał, że André mu się przygląda. Obserwowała go podczas snu, co sprawiło, iż poczuł się nieswojo. Pomachał jej ręką, jednak wcale nie zareagowała.

Wstał i ruszył po kręconych schodkach do barku, gdzie podczas lotu serwowano wyborną kawę. Żyd o wyglądzie mędrca wciągnął go w rozmowę. Okazało się, że nie jest handlarzem biżuterią, tylko wesołym dentystą, który lubił opowiadać śmieszne historyjki o swym fachu.

Na gadaniu i piciu zeszło parę godzin. Gdy Lloyd wrócił na swoje miejsce, dostrzegł, że André znowu ogarnęło wzburzenie. Dziewczyna miotła głową z lewa na prawo. Laura czyniła wszystko, co w jej mocy, by uspokoić córkę. Przez moment spojrzała na Lloyda ze złością w piwnych oczach.

Odległy huk silników samolotu zmienił jakby ton; maszyna zaczęła łagodnie tracić wysokość. Zapaliła się lampka i kapitan obwieścił, że boeing 747 zaczyna schodzenie nad lotnisko Heathrow.

— Panie i panowie, wkrótce będziemy lądować. Proszę zgasić papierosy i usiąść w fotelach w wyprostowanej pozycji. Dziękuję.

— Źle — mamrotała André, rzucając głową, jakby chciała otrząsnąć się z halucynacji. — Wszystko źle.

Ching, wraz z jedną ze stewardes, zjawiły się w przejściu, sprawdzając, czy pasażerowie mają prawidłowo zapięte pasy.

— Proszę państwa. Obecnie, zgodnie z obowiązującą procedurą, wygaszone zostaną w kabinie światła.

Lloyd poczuł znajomy, ciśnieniowy ucisk u uszach, który zmusił go do przełknięcia śliny. Z kadłuba wysunęło się podwozie samolotu. W okienku obok Lloyda ukazał się sznur światła okalających pas startowy na lotnisku. Lloyd raz jeszcze zerknął w stronę André. Dziewczyna była bardzo podenerwowana — wiła się na siedzeniu i histerycznie trzęsła kolanami.

— Wszystko źle! — krzyczała. — Wszystko źle!

Laura ścisnęła mocno jej dłonie i mówiła coś cicho bez przerwy, nie spodziewając się żadnej odpowiedzi. Wiedziała, że ciepły i stanowczy ton słów działał na André lepiej od wszelkich uspokajających medykamentów.

Lloyd nie był w stanie dosłyszeć poszczególnych wyrazów, lecz miłość i czułość matki w stosunku do dziecka wyraźnie go poruszyły. Dwa lata wcześniej napisał artykuł o opiece nad autystycznymi dziećmi. Poświęcenie wielu rodziców wywarło na nim wielkie wrażenie.

36

Za oknem był wieczór. Panowała głęboka ciemność. W kabinie pilotów odczytywano wskaźniki z zegarów. Dwieście metrów do powierzchni lotniska.

Wiatr zmienny o prędkości trzydziestu kilometrów na godzinę. Sto metrów... Pięćdziesiąt metrów...

Boeing dotknął kołami głównego podwozia płyt pasa startowego. Maszyna rozpoczęła hamowanie.

André z przerażeniem przewróciła oczami, pojękując ze strachu i bólu. Laura zacisnęła jeszcze mocniej palce na jej przegubach.

— Imogen powiedziała, że było jej tak miło. Obiecała przyjechać do nas w lecie. To wspaniale, prawda? Chyba ją polubiłaś?

— Nie!!

Boeing zmniejszył prędkość do stu kilometrów na godzinę. Lądowanie przebiegało idealnie.

— Nie cieszysz się z powrotu, Andy? Chociaż ja spodziewam się, że ogród jest trochę zaniedbany. Szkoda, że nie uporządkowałyśmy go lepiej przed wyjazdem.

— NIE! ! — André wyszarpnęła jedną rękę i z furją uderzyła w miejsce przed nią — szczęściem puste.

Laura znów chwyciła córkę za nadgarstki.

W kabinie pilotów usłyszano huk. Kapitan natychmiast zorientował się, że najpewniej doszło do uszkodzenia przedniego podwozia. Przekazał swe obawy wieży kontrolnej.

Drugi pilot uczynił wszystko zgodnie z instrukcjami.

Zwolnił hamulce i skontrolował pulpit przed sobą. Gdy szybkość maszyny spadła poniżej stu kilometrów na godzinę, zameldował kapitanowi o sterowności przedniego podwozia.

Choć wszyscy pasażerowie dosłyszeli huk, to jednak nikt nie dopuszczał myśli, że coś może być nie.tak. Laura wzmagała starania, pragnąc uspokoić André.

— Kiedy tylko otworzą sklepy, zaraz ci coś kupimy. Czy nie cieszysz się, że Imogen sprawiła ci aparat fotograficzny? Jestem pewna, że te zdjęcia, które zrobiłaś orchideom w ogrodzie botanicznym, wyszły wspaniale — sęczyła ciche słowa do ucha córki.

Boeing 747, sunący teraz z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, przemierzył już dwie trzecie długości pasa startowego. Z wieży kontrolnej podano kapitanowi wiadomość, iż główne podwozie jego

samolotu wygląda na całe i sprawne. Mimo wszystko drugi pilot wolał nie ryzykować. Nie używać bez potrzeby hamulców. Coś się przecież jednak stało. Silniki przestały hałasować; samolot kołował z prędkością ledwie czterdziestu kilometrów na godzinę. Čhing nie była świadoma tych kłopotów, chociaż bardziej doświadczona obsługa kabiny pierwszej klasy domyśliła się już, że musiała strzelić któraś z opon.

Zdarza się to częściej, niż byłyby skłonne przyznać się kierownictwa towarzystw lotniczych. Wzięła mikrofon i powiedziała:

— W imieniu „Singapore Airlines” witam państwa w londyńskim porcie lotniczym Heathrow. Mam nadzieję, że lot upłynął państwu miło i wkrótce znów się spotkamy. Proszę pozostać na miejscach i nie odpinać pasów aż do chwili, gdy samolot się zatrzyma.

Jak zwykle polecenie zostało zignorowane. Pasażerowie, pragnąc rozprostować nogi po długim locie, podnosili się już i sięgali do półek nad fotelami. Laura łudziła się, iż to nagłe poruszenie zajmie trochę André, jednak dziewczynka miotała się jak w obłędzie. Dokładnie w chwili, kiedy boeing stanął, wydała z siebie straszny wrzask i wygięła się w łuk na swoim miejscu.

I wówczas rozległ się grzmot — tak jakby w samolot uderzył piorun. Za oknami kabiny coś błysnęło oślepiająco.

Natychmiast przez maszynę przeszedł potężny wstrząs. Przez kilka strasznych chwil kapitan był pewien, że dziób boeinga zaryje w podłogę. Obserwatorzy z wieży kontrolnej także widzieli całe zdarzenie, chociaż nie potrafili go wyjaśnić.

Podejrzewali, iż w maszynę huknęła błyskawica. Dziwne jednak, że samolot nie ucierpiał od uderzenia. Straszliwy grzmot i drzenie, jakie po nim nastąpiło, wywołały konsternację w przedziale pasażerskim — prędko na szczęście uciszoną przez bystrego kapitana, który oznajmił, że niemal doszło do uderzenia błyskawicy, lecz nie ma powodu do obaw, gdyż samolot posiada zabezpieczenie przeciwko podobnym wypadkom.

Kapitan musiał kalkulować szybko. Mógł zarządzić alarmową ewakuację. Przez przednią szybę dostrzegł już jednak na płycie lotniska pojazdy obsługi naziemnej oraz kilka wozów strażackich. Miał na pokładzie zaledwie osiemdziesięciu pasażerów, a to oznaczało, że wydostaliby się szybciej normalną drogą — jeśli weźmie się pod uwagę, że ogłoszenie alarmu zawsze wywołuje panikę. Dostał informację, iż ludzie są zaniepokojeni, jednakże bynajmniej nie ulegli panice. Tymczasem André tłuła chudymi nogami, usiłując wysunąć się z pasów na podłogę.

38

— Nie! Nie! Nie! — krzyczała. — Wszystko źle! Wszystko! Po trzecim sygnale...! — słowa uwieźły jej w gardle, zaciśniętym przez pas bezpieczeństwa.

Čhing posłyszała te odgłosy, ale niecierpliwi pasażerowie już tłoczyli się w przejściu, zmierzając ku wyjściu. Laura usiłowała uwolnić dziewczynkę z pułapki, utrudniała jej to niestety sama André, młócąc pięściami w powietrzu. Lloyd przecisnął się przez przejście, odsunął jednego z pasażerów, który stał i gapił się z otwartymi ustami, wreszcie zdołał chwycić lewą ręką nadgarstek André, a drugą rozpiąć nieszczęsne pasy. Ukląkł przy dziewczynie i pomógł Laurze usadzić Andy z powrotem na fotelu. Kark dziecka zdał się zeszytnieć z szoku, lecz jej ramiona i nogi młóciły dalej w powietrzu niczym cepy.

Wtedy rozbrzmiał głos kapitana:

— Proszę państwa, bardzo nam przykro, ale zmuszeni są państwo opuścić pokład tutaj. Autobusy dowiozą państwa do terminalu.

— Wszystko źle! Wszystko źle! — wrzeszczała André.

— Musi mi pani pomóc wyprowadzić córkę z samolotu — powiedział Lloyd.

— Ona nie pozwoli tknąć się nikomu poza mną — odparła zdesperowana Laura.

Wówczas André zemdlął. Lloyd puścił mimo uszu protesty Laury i wziął André na ramiona. Przypadkiem wyczuł opuszkami palców dziewczęcy sutek. Andy była cięższa, niż się spodziewał. Miała przymknięte powieki, lecz poruszała pod nimi gwałtownie gałkami ocznymi.

— Proszę wziąć moją teczkę i komputer — polecił Laurze — a ja zajmę się André.

Nie czekając na odpowiedź, skierował się ku wyjściu.

Balansował ciałem, nie chcąc, by stopy dziewczyny zaczepiały o fotele. Drzwi były już otwarte, a pasażerowie pospiesznie zbiegali po schodach. Lloyd wybąkał słowa pożegnania do stewardes. Ktoś oferował mu pomoc — odmówił. Zniósł André do oczekującego na płycie autokaru. Tymczasem dziewczyna na tyle odzyskała siły, by stanąć na nogach. Laura oddała Lloydowi aktówkę i komputer i objęła ramionami córkę.

— Dziękuję panu — powiedziała krótko do Lloyda.

— Gdybym mógł w czymkolwiek...

— Już sobie poradzę, panie Wheeler. Dziękuję za pomoc.

39

André nie sprawiała już kłopotu, ale wyglądała na istotę pograżoną w głębokim transie, kiedy wspinała się po stopniach do wnętrza autobusu.

ROZDZIAŁ 6

POŁUDNIOWA ANGLIA Czwartek, 28 lutego 1991

Kiedy wszyscy pasażerowie znaleźli się już w autobusie, kapitan, drugi pilot i inżynier pokładowy rozpoczęli „obchód” — młynową inspekcję samolotu, jaką przeprowadza się po każdym locie. Nie dostrzegli żadnej wady w odrzutowcu. Sprawdzili poszycie kadłuba, główne podwozie, opony, przewody paliwowe — wszystko grało. Nie było nawet najmniejszej usterki.

Dwaj mechanicy z obsługi lotniska również niczego nie stwierdzili. Ściągnięto ciężarówkę, by odholować maszynę do hangaru.

* * *

W holu bagażowym trudno było Lloydowi zbliżyć się niezauważenie do Laury i André. Miał zamiar podejść na tyle blisko, by ukradkiem odczytać ich adres na zwracanych walizkach. André dostrzegła go pierwsza; te zielone oczy widziały wszystko. Odezwała się do matki — Laura odwróciła się do Lloyda i gniewnie zmarszczyła czoło, potem popchnęła przed siebie wózek z bagażem. Na metce Lloyd zdołał wypatrzeć jedynie imię „Laura” i to wszystko. Poza tym potknął się, doprowadzając do małego karambolu na pasie transmisyjnym. Kiedy się podniósł, André z matką już zniknęły.

Cholera! A taki świetny artykuł się kroił — mógłby nim zakamuflować singapurskie niepowodzenie. Postanowił pospieszyć za nimi, jednak ten pośpiech wzbudził podejrzenie urzędnika celnego, który raz jeszcze zapragnął rzucić okiem na jego walizkę. Gdy kontrola dobiegła końca, pozostali pasażerowie już przepadli.

Nie miał sumienia, by dzwonić do Sarah i wyciągać ją z łóżka o tej porze, więc wziął taksówkę i kazał zawieźć się do swojego mieszkania.

Lloyd mieszkał w osiemnastowiecznej, odrestaurowanej kamienicy, w której znajdowały się również liczne biura: firm samochodowych,

40

handlarzy fortepianów, agencji turystycznych i fotograficznych atelier. Jego apartament znajdował się na piątym piętrze. Umeblowanie stanowiły dość chaotycznie poustawiane przedmioty codziennego użytku.

Lloyd gotował tutaj, jadł, spał i odpoczywał. Część rzeczy nabył na aukcjach i wyprzedazach.

W sypialni znajdował się obszerny, podwójny materac, na którym leżało kilka kołder — Lloyd wolał oszczędzać na ogrzewaniu. Z okien rozciągał się widok na Tamizę; u nadbrzeży rzeki wciąż sterczały stare, pordezwiątałe żurawie, za pomocą których wyciągano niegdyś z

pokładów berek pakunki juty. Lloyd szybko zdjął ubranie i po ciemku rzucił się na łóżko. Nie namacał jednak ciepłego, miękkiego ciała Sarah.

Zaniepokojony wstał i zapalił światło. Szybko zorientował się, że z chromowanej rury, na której wisały wieszaki z ubraniami, zniknęły jej sukienki. Wheeler owinał się w kołdrę i ponownie zwałił się na materace, jak znudzony Tyberiusz w swojej willi na Capri. Wtedy natknął się na notatkę, nagryzmołoną pospiesznie ręką Sarah. Znowu ją gdzieś wysłali... Tym razem do Nassau i nie miała pojęcia, kiedy wróci. A jednak zostawiła kostiumy plażowe i rakietki tenisowe: Sarah nigdy nie mieszała pracy z przyjemnościami.

Lloydowi zawsze jej brakowało, gdy zniknęła. Zgrywała zepsutą ego-centriczkę i potrafiła się wybornie całować.

Zrobił sobie filiżankę gorącej czekolady i tym razem na dobre zaległ w skotłowanym łóżku. Jednak i tak nie mógł zasnąć. Za każdym razem, kiedy zamykał powieki, widział przed sobą André, wpatrującą się w niego swoimi hipnotyzującymi, zielonymi oczami. A gdy w końcu pogrążył się w drzemce, to ona została z nim, odliczając cicho lata, godziny i minuty życia, które mu pozostały.

ROZDZIAŁ 7

Dopiero kiedy światła Londynu pozostały z tyłu, Laura zwolniła nieco dźwignię gazu i zdołała się trochę odprężyć.

Dziesięć lat temu wszystko wyglądało inaczej; oboje z Davidem uwielbiali miasto, jego rwetes, neony i tłoczne ulice. A także przyjęcia wydawane przez szeroki krąg przyjaciół Davida. Wydawało im się, że

41

handlarzy fortepianów, agencji turystycznych i fotograficznych atelier. Jego apartament znajdował się na piątym piętrze. Umeblowanie stanowiły dość chaotycznie poustawiane przedmioty codziennego użytku.

Lloyd gotował tutaj, jadł, spał i odpoczywał. Część rzeczy nabył na aukcjach i wyprzedazach. W sypialni znajdował się obszerny, podwójny materac, na którym leżało kilka kołder — Lloyd wolał oszczędzać na ogrzewaniu. Z okien rozciągał się widok na Tamizę; u nadbrzeży rzeki wciąż sterczały stare, pordzewiałe żurawie, za pomocą których wyciągano niegdyś z pokładów berek pakunki juty. Lloyd szybko zdjął ubranie i po ciemku rzucił się na łóżko. Nie namacał jednak ciepłego, miękkiego ciała Sarah.

Zaniepokojony wstał i zapalił światło. Szybko zorientował się, że z chromowanej rury, na której wisały wieszaki z ubraniami, zniknęły jej sukienki. Wheeler owinał się w kołdrę i ponownie zwałił się na materace, jak znudzony Tyberiusz w swojej willi na Capri. Wtedy natknął się na notatkę, nagryzmołoną pospiesznie ręką Sarah. Znowu ją gdzieś wysłali... Tym razem do Nassau i nie miała pojęcia, kiedy wróci. A jednak zostawiła kostiumy plażowe i rakietki tenisowe: Sarah nigdy nie mieszała pracy z przyjemnościami.

Lloydowi zawsze jej brakowało, gdy zniknęła. Zgrywała zepsutą ego-centriczkę i potrafiła się wybornie całować.

Zrobił sobie filiżankę gorącej czekolady i tym razem na dobre zaległ w skotłowanym łóżku. Jednak i tak nie mógł zasnąć. Za każdym razem, kiedy zamykał powieki, widział przed sobą André, wpatrującą się w niego swoimi hipnotyzującymi, zielonymi oczami. A gdy w końcu pogrążył się w drzemce, to ona została z nim, odliczając cicho lata, godziny i minuty życia, które mu pozostały.

ROZDZIAŁ 7

Dopiero kiedy światła Londynu pozostały z tyłu, Laura zwolniła nieco dźwignię gazu i zdołała się trochę odprężyć.

Dziesięć lat temu wszystko wyglądało inaczej; oboje z Davidem uwielbiali miasto, jego rwetes, neony i tłoczne ulice. A także przyjęcia wydawane przez szeroki krąg przyjaciół Davida. Wydawało im się, że

naprawdę można żyć tylko w wielkim mieście. Wieś stanowiła ledwie teren rozrywek, takich jak polowania konno na lisy i dzikie nocne hulanki w porośniętych bluszczem domach, gdzie goście nie stronili nawet od narkotyków...

Dziesięć lat wstecz małżeństwo z Davidem wydawało się jej najcudowniejszą rzeczą pod słońcem. On wywodził się ze starego, bardzo zamożnego rodu. Jego rodzina z początku nie bardzo akceptowała Laurę, ostatecznie doszli jednak do wniosku, że arystokracji potrzebny jest zastrzyk świeżej krwi — inaczej, zgodnie z prawami genetyki, mogło dojść do degeneracji. Matka Davida nie mogła wyzbyć się przekonania, że Laura wyszła za jej syna dla pieniędzy. Nie było to prawdą — Laura bowiem namiętnie kochała Davida, co dostrzegała nawet matka Laury, zawsze trzymająca stronę swej trudnej córki.

Jako nastolatka Laura lekceważyła pieniądze i obowiązki, czym stale zamartwiała rodziców. Otrzymywane funty lekką ręką wydawała na stroje. I to nie te praktyczne, lecz znacznie droższe: uważała, że to przejaw dobrego gustu. Pomiedzy siedemnastym a dziewiętnastym rokiem życia angażowała się w kolejne związki z mężczyznami, co nieustannie kończyło się na łzach i rozpachy. Facetów poznała znacznie lepiej niż jej starsza siostra Imogen. Wyszła za Davida jako dwudziestolatka, gdyż była już w trzecim miesiącu ciąży. Rodzina Davida uważała, że Laura będzie wredną matką, rodzice Laury zaś nie ukrywali zastrzeżeń do męża córki. W pewnym sensie obie strony miały rację. Kiedy André przysła na świat, stanowiła dla swych rodziców — uczestniczących w ożywionym życiu towarzyskim — coś w rodzaju ciężaru.

Wypadek zdarzył się podczas jednego z licznych przyjęć, pewnej deszczowej, ponurej niedzieli w 1980 roku, kiedy André miała pięć lat. David zaniósł uspięte dziecko na tylne siedzenie porsche. Ponieważ David wypił wcześniej sporo, za kierownicą usiadła Laura. Uwielbiała zresztą szybką jazdę sportowymi samochodami.

Z samego nieszczęśliwego zdarzenia w pamięci Laury pozostały jedynie niejasne migawki. Jechali szosą A27 wzdłuż wybrzeża, poprzecinaną licznymi drogami wiodącymi do Londynu. Światła sznuru wozów... Znak drogowy, ostrzegający przed zakrętem; znak, który Laura dostrzegła, gdy było już za późno... Krzyk Davida...

Ich porsche był znakomitym wozem. Świetną maszyną, względnie bezpieczną nawet przy znacznej szybkości. Pod jednym wszakże warun-

42

kiera: że wszystkie cztery koła miały styczność z podłożem. Bez tego drobiazgu wszelkie zabezpieczenia — hamulce, potężne zderzaki, wyprofilowane opony, pasy bezpieczeństwa — okazały się tylko śmiesznym, zbytecznym balastem, przydającym jedynie zabójczej energii kinetycznej. Pamięć Laury urywała się na momencie, kiedy wóz wyleciał z drogi. Odzyskała ją w szpitalu Św. Ryszarda koło Chichesteru, w ponurej poczekalni, w ramionach swojej matki. Lekarz policyjny pobrał od Laury próbkę krwi, ponieważ balonik zmienił kolor. Ciągłe ktoś wchodził do pomieszczenia, a Laura z matką podnosiły oczy, licząc, iż usłyszą nowiny z sali operacyjnej, gdzie chirurdzy starali się usunąć kawałek metalu, który uszkodził mięsień sercowy Davida. Kiedy jednak podeszła do nich pielęgniarka ze zmartwionym wyrazem twarzy, było już jasne, że David nie żyje.

Laura wyszła z wypadku ze złamanym palcem i płytką raną na czole.

Rankiem matka zawiozła ją do innego szpitala, gdzie wcześniej przetransportowano André śmigłowcem marynarki wojennej. Po drodze minęły miejsce na drodze A27, gdzie Laura straciła panowanie nad kierownicą. Szczątki wozu tkwiły pośród drzew, otoczone rojem policjantów, którzy zdawali się odprawiać jakąś makabryczną uroczystość.

W szpitalu mogły popatrzeć na André przez szybę na oddziale intensywnej terapii. Głowa dziewczynki, poraniona odłamkami przedniej szyby, obwiązana była szczelnie bandażami.

Nadawało to Andy rozpaczliwy wygląd — mimo to André żyła, oddychała, a jej serce biło miarowo.

Laure przestraszył niespodziewany głos pielęgniarki:

— Ona jest niesamowita... Pan Houseman mówi, że przeprasza. Nie mógł się z paniami widzieć, bo wezwano go z domu, kiedy przyjmowano André, więc teraz wrócił się wyspać. Laura usiadła bez słowa, pozostawiając prowadzenie rozmowy matce. Pielęgniarka wzięła starszą z kobiet pod rękę i przemówiła cicho:

— Pan Houseman polecił mi opowiedzieć paniom o wszystkim. To był naprawdę dziwny wypadek. Wycieraczka po prostu przebiła półkulę mózgu... — dotknęła punktu na czaszce, tuż ponad linią włosów. — ...O, tu. Spowodowała stosunkowo niewielkie uszkodzenia w płacie mózgowym, ale jednak w nim utkwiała.

Terminy medyczne niewiele mówiły matce Laury.

— Naruszony został rdzeń mózgu — wyjaśniła siostra, widząc zakłopotanie kobiety. —

Rzadko się tak dzieje, bo przeważnie dochodzi

43

wcześniej do poważnego uszkodzenia tkanki mózgu i śmierci. W tym przypadku tak się nie stało. To dosyć niezwykle. Jej twarz też nie została zniekształcona. Przednia szyba najpewniej pękła wcześniej. Będą blizny, ale pod włosami.

— Więc co właściwie stało się André? Czy dojdzie do siebie? Co mam powiedzieć córce? Siostra się zawahała.

— Jeszcze nie potrafimy odpowiedzieć na te pytania. Jednak pan Houseman nie sądzi, by André utraciła zdolność mówienia i poruszania.

— Nie potrafimy...? Nie sądzi...? A cóż w takim razie pan Houseman wie? Pielęgniarka ze zrozumieniem pokiwała głową, nie reagując złością na ten wybuch.

— Żaden neurochirurg nie jest w stanie przewidzieć, jak uda się operacja. To pokaże tylko czas. Będziemy mogli ustalić znacznie więcej w ciągu najbliższych dni, ale na razie lepiej się wstrzymać z wyrokowaniem. Przykro mi.

— No i co ja powiem córce? — naciskała matka Laury. — Dlaczego nie przeprowadzono zabiegu od razu?

— Pan Houseman podchodzi do tego przypadku ze szczególną troską, proszę mi wierzyć. Stwierdził, że przede wszystkim musi zapoznać się z opisami wszystkich podobnych przypadków. Prawda jest taka, że nasza wiedza w tej materii wydaje się trochę ograniczona...

— Chciała pani powiedzieć, że w ogóle nie istnieje, tak? Siostra znów zawahała się i w końcu przytaknęła.

— Ten przypadek jest naprawdę niezwykle, unikalny — przyznała. — Obiecuję jednak, że zrobimy wszystko, co tylko w naszej mocy... Proszę to przekazać córce.

To dramatyczne zdarzenie głęboko odmieniło Laurę. Za poręczeniem pewnego pracownika służby społecznej policja odstąpiła od skierowania sprawy do sądu. Ostatecznie też zezwolono, by Laura zachowała prawo opieki nad córką.

Laura wzięła na swe barki całą winę za to, co się wydarzyło, i choć miała dopiero dwadzieścia pięć lat, całkowicie poświęciła się André. Zerwała z rodziną Davida i jego przyjaciółmi, oddała swe drogie suknie organizacji charytatywnej i ukończyła przerwany kurs nauczycielski.

Pieniądze ze spadku po Davidzie przeznaczyła wyłącznie na potrzeby córki. Przy tym sama pracowała na swoje utrzymanie.

44

Ponieważ Houseman stwierdził, że André źle znosi stres życia w mieście, Laura wykupiła dom w wiosce o nazwie Durston w hrabstwie Surrey i podjęła dorywczo pracę jako

nauczycielka w okolicznych osadach. Jednym słowem, wybrała to monotonne, wiejskie życie, z którego dawniej kpiła.

Liczyła się dla niej teraz wyłącznie André.

Z czasem pokochała wieś — gościńce, ponurawe żywopłoty, dzikie lisy, wiewiórki i króliki. Wyprawa do Singapuru okazała się pomyłką, Laura powinna była to przewidzieć. Długi, męczący lot samolotem, chaos gwarne miasta — wszystko ponad wątle siły André. Laura obiecała sobie, że nie powtórzy tego błędu.

— Jak to dobrze wrócić do domu, prawda, André?

André nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie na oświetloną przednimi światłami samochodu drogę.

— Miło było zobaczyć się znowu z Imogen, co? Ale naprawdę nie potrafię zrozumieć, jak moja siostra może wytrzymać w takim miejscu. Tam jest tak upalnie i wilgotno, słońce wschodzi i zachodzi o tej samej porze przez cały rok. Dwanaście godzin dnia i dwanaście godzin nocy. Żadnych pór roku. Boże... jakie to musi być nudne. Pomyśl sobie, że nie ma tego oczekiwania na wiosnę. Na przylatujące ptaki...

W ciągu ostatnich lat Laura wypracowała przy córce specyficzną technikę nieustannego trajkotania. Rok po wypadku Houseman upomniał ją, że kluczową sprawą jest kontakt słowny z André.

— Nawet jeśli ona nie będzie odpowiadać, to musi pani mówić do niej tak dużo, jak to możliwe. To uchroni ją przed poczuciem wyizolowania.

Nie przerywając monologu, Laura co chwila spoglądała we wsteczne lustro. Tamten dziennikarz bez wątpienia usiłował wyczytać ich adres na plakietce przy bagażu. Mógł jechać za nimi od Heathrow. Boże, jak mógł tak kazać André odgadywać czas. Typowy, arogancki samiec! Czemu jednak André tak łatwo uległa jego umizgom? Czy kilka lat wbijania jej w głowę, że nie należy tego robić, nie przyniosło żadnego skutku? Poza tym André nie ściągnęła pioruna już od... Laura odegnała od siebie ponure wspomnienie. Przez ostatnie lata wyspecjalizowała się w błyskawicznym odpychaniu złych myśli.

Nikt za nimi nie jechał.

Nazwy miejscowości na kolejnych znakach drogowych zaczynały pobrzmiwać znajomo. Witley, Godalming, Plaistow, Northchapel... Laura

45

czuła się dobrze i bezpiecznie w swoim otoczeniu. Tę część Anglii ominął postęp, a czas się tu zatrzymał. Nie przebiegały tędy autostrady. Wczasowicze szczęściem omijali ów region, nie zdając sobie sprawy z jego uroków. Wóz Laury minął zaciemnione okna kawiarenki i zjechał w boczną dróżkę. Po przebyciu następnej mili minął staroświecki przystanek autobusowy, nawiedzany latem przez gruchające parki.

Laura zwolniła. Robiła to zawsze w tym miejscu już od dziesięciu lat, skręcając w stary las. Obawa przed zakrętami zakodowała się na stałe w jej podświadomości. Majątek Durston Wood, położony na skraju wsi, nie przypominał typowych brytyjskich ziemskich posiadłości. Jej właściciel wyprzedawał różnym nabywcom kolejne hektary. W rezultacie Durston Wood stał się kolonią budynków w rozmaitych stylach architektonicznych. Starsze, drewniane domy pokryte były wielkimi dachami. Wszystkie budowle stały w pewnym oddaleniu od dojazdowej drogi, wszystkie też znajdowały się w romantycznym otoczeniu drzew starego lasu.

Domostwo Laury stanowił względnie skromny bungalow, ukryty pośród sosen i innych drzew. Przednie reflektory samochodu wymacały klatkę Oskara, ulubionego królika André. Wszystko wyglądało tak jak zwykle. Żadnego novum, które mogłoby wprawić Andy w stan nerwowego strachu. Laura zatrzymała auto przed wjazdem do garażu z cedrowego drewna i zaciągnęła ręczny hamulec.

— Nareszcie w domu — powiedziała bardziej do siebie niż do André. — Uśmiechnęła się i uścisnęła dłoń córki. — Oskar wygląda zdrowo. Pewnie młoda Janice dawała mu dwa razy więcej karmy niż zwykle. Jesteśmy u siebie, kochana. Teraz już wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ 8

GRANICA KUWEJCKO-IRACKA

Nuri ocknął się na dźwięk silników szturmowego śmigłowca typu Apache. Do chwili szczęśliwie zakończonego starcia z A 10 obawiał się przede wszystkim nieprzyjacielskich szturmowców. Latały nocą, na niskim pułapie, przeczesując kotliny i napełniając je czynionym przez siebie hałasem. Jedna maszyna była w stanie wykryć i zniszczyć całą kompanię czołgów. Wojna z koalicją zachodnich mocarstw różniła się znacznie od

46

wcześniejszej, długotrwałej kampanii irańskiej, w której uczestniczyła jednostka Nuriego. Podczas wojny z Iranem walki na ziemi ustawały po zapadnięciu zmroku. Teraz było inaczej. Noc należała do Amerykanów i Brytyjczyków, których pancerne kolumny mknęły cichaczem po pustyni. Brały wojska irackie w kocioł i przypuszczały szturm z najmniej oczekiwanego kierunku. Jakie szanse mieli Irakijczycy, dowodzeni przez despotycznego, szalonego megalomana, w starciu z siłami NATO wyekwipowanymi do walki z wojskami radzieckimi nie tylko za dnia, ale i w nocy? Nuri służył w armii od piętnastu lat. Był Kurdem w siłach zbrojnych Bagdadu. Przetrwiał osiem gorzkich lat wojny iracko-irańskiej, odnosząc w jej trakcie dwie rany.

Pozostały mu trzy lata do odejścia do rezerwy, które to odejście wiązało się ze znaczną gratyfikacją finansową.

Jego dwie siostry zginęły podczas lotniczego ataku gazowego na rodzinną miejscowość Nuriego w 1988 roku. Do tamtego czasu Nuri żywił ambitne plany: pragnął po powrocie do cywila otworzyć warsztat samochodowy i — być może — ożenić się.

Tragedia zmieniła jednak wszystko. Teraz chciał, po odejściu z pieniędzmi ze służby, wspomóc kurdyjską partyzantkę. Tyle że wielu jego ziomków poległo w ostatnim okresie. Nadto Nuri zaczął podejrzewać, iż nigdy nie zobaczy obiecane wynagrodzenia za służbę. Spodziewał się, że w nowej wojnie Irak poniesie klęskę i dojdzie do okupacji kraju przez obce wojska.

Usiłował wcisnąć oświetlenie tarczy swego taniego cyfrowego zegarka, ale nie był w stanie tego zrobić kompletnie zeszywniałymi palcami. Oczywiście mógł obudzić Khalida. Ten stuknięty młodzik nie potrzebował chronometru, aby dokładnie określić czas. Była to jedna z jego sztuczek. W końcu Nuri zdołał jednak jakoś wcisnąć właściwy guziczek.

Dwadzieścia minut po północy. Na niebie nie widział ani księżyca, ani gwiazd. Gęsta chmura ciężkiego dymu z płonących szybów naftowych zasnuwała pole walki. W ciągu dnia temperatura podnosiła się znacznie w porównaniu z nocą. Wiatr gonił kłęby dymu przed siebie — dymu, który gryzł teraz Nuriego w oczy. Kuwejcka ropa zawierała dużo siarki i chloru, które podczas spalania łączyły się w powietrzu z tlenem w ciężkie, duszące związki. Ludzie, narażeni na wdychanie tego dymu, mogli w przyszłości zapaść na choroby nowotworowe.

Nuri zerknął z niepokojem na mizerne sylwetki swoich śpiących towarzyszy. Mimo iż byli piekielnie głodni i spragnieni, spali już od

47

kilkunastu godzin. Zmęczenie bowiem okazało się silniejsze od głodu i zimna. Od wielu dni żołnierze irackiej armii musieli nieustannie kryć się przed bombami i odłamkami.

Paradoksalne, iż zdołali znaleźć wytchnienie nie opodal strasznego pobojowiska, w strefie działań wojennych. Zeszłego dnia masakra pod Mutlah dobiegła końca i amerykańskie szturmowce opuściły scenę.

Helikopter zniknął w oddali. Nuri nasłuchiwał pilnie, nim odważył się poruszyć. Od północy dobiegały sporadyczne odgłosy wystrzałów. Czy Basra już padła? A jeśli tak, to ile czasu zajmie Amerykanom i Brytyjczykom dotarcie do Bagdadu? Kto by przypuszczał, że Anglicy wrócą do Mezopotamii po tylu latach? W szkole dowiedział się o zaciekłych walkach Brytyjczyków z Kurdami u progu wielkiej wojny światowej. Nuri przypuszczał, że bitwa o Bagdad będzie szczególnie krwawa. Nigdy nie uciekał od walki, ale tym razem był rad, że znalazł się poza obrębem głównego starcia. Chciał wyjść z tej jatki cało i dożyć swych dni w ojczystych stronach, z dala od cienia Saddama Husajna i jego tajnej policji. Może Brytyjczycy tym razem nie będą oglądać się na Turków — nienawistnych wobec Kurdów — i doprowadzą do powstania niepodległego Kurdystanu...

Podczołgał się do Khalida i Keza i potrząsnął nimi lekko. Młodszy ze śpiących pochodził z tego samego okręgu co Nuri. Znał nawet rodziców chłopaka i obiecał im pilnować syna. Kez zawsze był słabowity; w normalnym kraju nie zostałby powołany do wojska.

— Kez! — szepnął i potrząsnął nim znowu.

Chłopak poruszył się i coś wymamrotał. Nuri poczuł ulgę. Przez straszną chwilę obawiał się, że Kez zasnął już na amen.

— Kez! Pójdę się rozejrzeć za jedzeniem i wodą! Rozumiesz, co mówię?

Kez poruszył ustami, lecz z jego gardła nie wydostał się żaden dźwięk. Tymczasem Khalid już usiadł i spojrzał pytająco na Nuriego.

— Pilnuj Keza! — rzekł Nuri krótko. — Zaraz wrócę.

— Musisz zostać ze mną! — błagał Khalid.

— Nie bądź tchórzem! — parsknął Nuri i zaraz tego pożałował. Khalida można było posądzić o wszystko, tylko nie o tchórzostwo. Podczas walki doskonale panował nad sobą i czołgiem i uchronił całą załogę od śmiertelnego niebezpieczeństwa.

— Nie jestem tchórzliwy — mówił Khalid, czepiając się kurtki Nuriego. — Trzymaj się blisko mnie, a nie spotka cię nieszczęście.

48

Nuri zignorował te słowa. Odepchnął Khalida, podpełzł na skraj urwiska i ostrożnie wychylił głowę zza skalnej półki. Wiał przenikliwy, nocny wiatr. Płonące pojazdy oświetlały niczym pochodnie okolice, przydając scenerii nieco piekielnej atmosfery. Śmigłowiec krążył nad pobojuwiskiem, obmacując je reflektorem.

Nuri wiedział, że przez ten rejon przebiegał szlak karawan beduinów i innych muzułmanów, wiodących wędrowny tryb życia, ciągnących ku żyznym obszarom w zbiegu Tygrysu i Eufratu. Nocami potrafili oni zakradać się do żołnierskich obozów, cichcem podcinać gardła wartownikom i błyskawicznie umykać ze zrabowaną bronią. Tak, Nuri dobrze znał te tereny. Służył w piechocie podczas ofensywy w 1988 roku, kiedy to wojska irackie wyparły Irańczyków z wąskiego pasa nadmorskiego, okupowanego przez Teheran od 1986. Nie wiedział natomiast, że wcześniejsze postępy sił irańskich wywołały panikę w krajach zachodnich. Obawiano się w europejskich stolicach, że Irańczycy przetoczą się przez Irak i nic już ich nie powstrzyma przed podbojem Kuwejtu i Arabii Saudyjskiej. Zachód uważał, że Saddam Husajn stanowi zaporę dla ekspansji szyickiego fundamentalizmu i wspomógł irackiego przywódcę bronią i sprzętem. Rozmyślnie obchodząc z daleka płonąca ciężarówkę, Nuri zsunął się po zboczach i położył się płasko za górą z piasku.

Nasłuchiwał, nie mając pojęcia, za pomocą jakich to diabelskich przyrządów Amerykanie penetrowali ciemności. Po chwili ruszył pędem ku stercie zniszczonych aut. Kosztowało go to resztkę sił, lecz głód i desperacja pchały go naprzód. Dotarł do wraka furgonetki. Nie zrobiło mu się wcale żal irackiego pułkownika leżącego bezwładnie na kierownicy ze zmasakrowaną czaszką. Tacy sukinsynowie jak ten kazali strzelać w plecy żołnierzom cofających się jednostek frontowych. Tacy jak ów nienawidzili chrześcijańskich Kurdów. Nuri znalazł na tylnym siedzeniu karabinek Kałasznikow AK 47 i wepchnął zapasowe magazynki do kieszeni

swojej kurtki. Stwierdził, że przyda mu się broń, choć przede wszystkim szukał prowiantu. To samo zrobił ze zwitkiem kuwejckich banknotów, wycamanym w skrytce tablicy rozdzielczej. Nie miał czasu na refleksję, że tylu pieniędzy nie widział jeszcze w życiu. Potraktował je jako należną mu odprawę.

Następnie podpełzł do rozbitego transportera. Gdy wcisnął się do jego wnętrza, wyczuł swąd benzyny. Wolał nie używać latarki. Czołgając się po omacku natrafił na pełny, dziesięciolitrowy pojemnik z wodą. Nuri był

49

tak osłabiony, że wylał połowę zawartości, nim umoczył wreszcie usta. Pił łapczywie; woda sączyła mu się na i tak wilgotny anorak.

Płyn niczym czarodziejska ambrozja pobudził na powrót zmysły Nuriego. Gdy ugasił pierwsze pragnienie, natrafił na karton batoników Mars, rozerwał go i napchał batonami kieszenie. Chwycił kanister z wodą i wydostał się z transportera. Zataczając się brnął przez piaski, obciążony bezcennymi zdobyczami, aż dotarł do skalnej półki, skąd rozpoczął wyprawę. Kiedy Nuri wrócił, Khalid już się nie uśmiechał.

Nerwowo wskazywał na Keza i chciał coś powiedzieć, ale Nuri uciszył go gniewnym syknięciem. Obaj posadzili nieprzytomnego kolegę. Nuri nalał wodę do plastikowego kubka, który następnie uniósł do warg Keza. Głowa chłopaka opadła bezwładnie na chudą pierś, a woda ściekła po jego podbródku. Nuri objął kark Keza ramieniem. I wtedy właśnie zorientował się, że nie wyczuwa pulsu. Gorączkowo rozdarł kurtkę i podkoszulek chłopca i przyłożył ucho do klatki piersiowej Keza. Khalid zerkał na to z boku. Po kilku chwilach Nuri wstał, kiwając głową z rozpaczy i smutku.

Popatrzył na syna swych ziomków, a potem pochylił się i ucałował Keza w policzek. Teraz nad chłopcem mógł już tylko ronić łzy.

ROZDZIAŁ 9 RU AD

Max Shannon miał kłopoty z zamknięciem drzwi samochodu — i ten drobny incydent miał zaważyć na całym jego życiu.

Ponieważ drzwiczki wozu przez cały dzień pozostały nie domknięte, we wnętrzu toyoty paliło się światło i w efekcie wyczerpał się akumulator. Teraz silnik auta nie chciał zaskoczyć. Przeklinając swą niestaranność, Max wrócił do hotelu. Była dziesiąta wieczorem. Przed hotelem stało mnóstwo taksówek, a w środku tłoczyli się dziennikarze. Ubyło ich jednak nieco — wydawcy największych światowych gazet odwołali część reporterów z Arabii Saudyjskiej, biorąc pod uwagę ogromne koszty utrzymania (mimo prohibicji obowiązującej na obszarze tego kraju). Odlatujący dziennikarze śmiali się i żartowali, chcąc się odprężyć przed wejściem na pokład wojskowego transportowca. Arabscy taksówkarze zacierali ręce z radości, że tego dnia zarobią więcej niż zwykle.

50

Max zadzwonił z automatu w holu do firmy wynajmującej samochody, aby poinformować o pechowym zdarzeniu. Facet po drugiej stronie linii obiecał niezwłocznie podstawić inny wóz. Shannon miał wcześniej zamiar udać się do hotelu „Intercontinental”, gdzie odbywała się feta z okazji sukcesów militarnych na froncie. Chciał się tam spotkać ze Steve'em Ramsayem i jego kumplami z Ministerstwa Obrony.

Zastanawiał się nad wzięciem taksówki, gdy naraz odechciało mu się całego przyjęcia. Miasto euforycznie świętowało łatwe zwycięstwa nad Irakijczykami. W Rijadzie wszyscy się cieszyli i bawili. Rano Max usiłował nieco popracować, ale szybko dał za wygraną. Nie miał nic w ustach już od ładnych paru godzin, lecz nie czuł jeszcze głodu. Mimo wszystko postanowił przejść się na hamburgera i kawę.

Nisko nad miastem przeleciał z hukiem potężny transportowiec. Max przestał już zwracać uwagę na olbrzymie lockheedy; nie przeszkadzały mu nawet we śnie, choć lotnisko znajdowało się w pobliżu jego hotelu. Każdego dnia dostarczały paliwo dla frontowych

jednostek pancernych i zmechanizowanych. Chociaż generał Norman Schwarzkopf szybko zmiotł przeciwnika, to jednak na wszelki wypadek nadal gromadził rezerwy. Max znalazł się w kompleksie sklepów i punktów usługowych. Pełno tu było kobiet z czarnymi chustami, przesłaniającymi pół twarzy; niosły one wypchane plastikowe torby. Niektórym towarzyszyli mężowie. Dopiero przed paroma laty zniesiono tu przepis, nakazujący mężczyznom i kobietom dokonywania zakupów osobno. Coś więc jednak zmieniło się w Arabii Saudyjskiej. Maxowi zdarzyło się już nawet widzieć arabskie niewiasty za kierownicą samochodu — ku wzburzeniu tutejszych mężczyzn, rzecz jasna. Okazało się, że kobiety zorganizowały protest przeciwko prawu zabraniającemu im korzystania z aut. Dziennikarze naturalnie nie pisali o tym zajściu, bojąc się, że saudyjskie władze cofną im wizy. Ostatecznie zmówili się jednak wszyscy i o tej samej porze wysłali relacje do swych redakcji — Saudyjczycy nie mogli oczywiście wyprosić wszystkich przedstawicieli zachodnich mediów. Max wspinał się na górę po spiralnych schodkach wokół fontanny. Z niesmakiem zauważył, że wszystkie stoliki przed kafejką serwującą najlepszą kawę w Rijadzie zajęte były przez hałaśliwą czeredę brytyjskich i amerykańskich wojskowych. Żołnierze rozmawiali głośno, racząc się lemoniadą i colą.

51

Max zadzwonił z automatu w holu do firmy wynajmującej samochody, aby poinformować o pechowym zdarzeniu. Facet po drugiej stronie linii obiecał niezwłocznie podstawić inny wóz. Shannon miał wcześniej zamiar udać się do hotelu „Intercontinental”, gdzie odbywała się feta z okazji sukcesów militarnych na froncie. Chciał się tam spotkać ze Steve'em Ramsayem i jego kumplami z Ministerstwa Obrony.

Zastanawiał się nad wzięciem taksówki, gdy naraz odechciało mu się całego przyjęcia. Miasto euforycznie świętowało łatwe zwycięstwa nad Irakijczykami. W Rijadzie wszyscy się cieszyli i bawili. Rano Max usiłował nieco popracować, ale szybko dał za wygraną. Nie miał nic w ustach już od ładnych paru godzin, lecz nie czuł jeszcze głodu. Mimo wszystko postanowił przejść się na hamburgera i kawę.

Nisko nad miastem przeleciał z hukiem potężny transportowiec. Max przestał już zwracać uwagę na olbrzymie lockheedy; nie przeszkadzały mu nawet we śnie, choć lotnisko znajdowało się w pobliżu jego hotelu. Każdego dnia dostarczały paliwo dla frontowych jednostek pancernych i zmechanizowanych. Chociaż generał Norman Schwarzkopf szybko zmiotł przeciwnika, to jednak na wszelki wypadek nadal gromadził rezerwy.

Max znalazł się w kompleksie sklepów i punktów usługowych. Pełno tu było kobiet z czarnymi chustami, przesłaniającymi pół twarzy; niosły one wypchane plastikowe torby. Niektórym towarzyszyli mężowie. Dopiero przed paroma laty zniesiono tu przepis, nakazujący mężczyznom i kobietom dokonywania zakupów osobno. Coś więc jednak zmieniło się w Arabii Saudyjskiej. Maxowi zdarzyło się już nawet widzieć arabskie niewiasty za kierownicą samochodu — ku wzburzeniu tutejszych mężczyzn, rzecz jasna. Okazało się, że kobiety zorganizowały protest przeciwko prawu zabraniającemu im korzystania z aut. Dziennikarze naturalnie nie pisali o tym zajściu, bojąc się, że saudyjskie władze cofną im wizy. Ostatecznie zmówili się jednak wszyscy i o tej samej porze wysłali relacje do swych redakcji — Saudyjczycy nie mogli oczywiście wyprosić wszystkich przedstawicieli zachodnich mediów. Max wspinał się na górę po spiralnych schodkach wokół fontanny. Z niesmakiem zauważył, że wszystkie stoliki przed kafejką serwującą najlepszą kawę w Rijadzie zajęte były przez hałaśliwą czeredę brytyjskich i amerykańskich wojskowych. Żołnierze rozmawiali głośno, racząc się lemoniadą i colą.

51

— Za dwie godziny — grzmiał walijski wojak — będziemy mieli dzień świętego Dawida. Wy, jankesi, możecie się jeszcze nauczyć pieśni „Men of Harlech"! Może nawet pozwolimy

ją zaśpiewać razem z nami Angolom, o ile znają słowa... — i tu Walijczyk zaczął trąbić gardłowym barytonem.

Max nadstawił ucha, ale Walijczyk zamilkł, widząc marsową minę swojego rozmówcy, amerykańskiego lotnika.

Shannon stwierdził, iż tym razem nie napije się tu kawy. Poczł się też trochę sztywno w swoim odprasowanym mundurze u boku ludzi, którzy pewnie wrócili prosto z frontu. Chciał się już oddalić, kiedy nagle sierżant z naszywką 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej odsunął przed nim krzesło.

— Hej, kolego, nie ma co się tak czaić. Znajdzie się miejsce i dla pseudowojaków.

Max szybko nawiązał wesołą rozmowę z żołnierzami.

Poczł urok dawnych czasów. Oczywiście, każdy z nich wyolbrzymiał rolę swojej jednostki w pokonaniu Saddama Husajna. Pewien lotnik z 354. Skrzydła Myśliwców Taktycznych chęplł się udziałem w akcji na Mutlah.

— Ejże, gadasz brednie, Danny — wtrącił się kapitan marynarki. — Jeszcze przed godziną opowiadałeś, że nie mogłeś rozwalić zwyczajnego T-55.

— Jak rany — odparł Danny Kappelhof. — Mówiłem tylko, że tamten T-55 miał cholernego farta...

Max natychmiast nadstawił ucha, choć starał się nie okazywać przesadnego zainteresowania.

— Fartowny T-55...? — zapytał.

Danny kiwnął głową i upił łyk coli z puszkii. Chciał się już odezwać, ale zagadali go koledzy.

— No tak... Mieli szczęście, że trafili na takiego zezulca jak ty, Danny. Danny Kappelhof zaczynał się irytować.

— Ile razy mam wam powtarzać, ciemniaki? Odpaliłem dwa cholerne, trefne mavericki.

Dwa!

— Że też Danny zmarnował dwie rakiety, warte po sto tysięcy dolców każda — drażnili go tamci.

— Hej, Danny... A gdyby Irakijczycy mieli lotniskowca... Też byś spudłował?

— Jak to było, Danny? — spytał spokojnie Max.

Kappelhof podejrzliwie zerknął na Anglika. Co innego gadać o niepowodzeniach z kumplami, a co innego zwierzać się Angolowi. No, ale

52

ostatecznie brytyjscy lotnicy też sprawili niezłą łaźnię wojskom Saddama na swoich tornado. Powiedział:

— Brałem udział we wtorkowej akcji na Mutlah. Max skinął głową.

— Słyszałem o niej. Wy, chłopaki, odwaliliście tam podobno kawał niezłej roboty.

— Tak... — odparł Danny zimno, przypominając sobie masakrowanie kobiet i dzieci. Na to wspomnienie miał szczerą ochotę urznąć się w trupa.

— Kurewsko dobrej roboty.

— Opowiedz mi o tamtym czołgu.

Danny wzruszył ramionami, jak gdyby chciał otrząsnąć się ze złego snu.

— Odpaliłem w grata dwie kierowane rakiety. Obie wybuchły, zanim doszły do celu. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Pieprzněto jak grom. A potem musiałem już zawracać do bazy. Kończyło mi się paliwo.

— Ktoś inny dokończył ten czołg — odpowiedział któryś z pilotów.

— Pod Mutlah wszystko poszło z dymem.

— A czy miał jakiś dziwny znak na wieży? — spytał Max konkretnym tonem.

— Czerwony półksiężyc w kółku?

— Nie... Nie chodzi mi o to.

— No to o co?

— Cóż... Coś w rodzaju białej swastyki, tyle że namalowanej na odwrót.

Danny właśnie uniósł do ust puszkę coli. Ręka jednak jakby zamarła mu w powietrzu. Spojrzał Anglikowi w oczy.

— Cholera. Skąd o tym wiecie?

ROZDZIAŁ 10

POŁUDNIOWA ANGLIA

Chociaż Lloyd usiłował zakopać się w kołdrach na łóżku możliwie najgłębiej, pragnąc odpocząć po locie z Singapuru, to jednak dobiegające zza okna hałasy dnia nie dawały mu usnąć. Najpierw pobliski warsztat

53

samochodowy zaczął pracować pełną parą. Wiertarki i szlifierki wydawały piekielne piski i zgrzyty. Około południa zaczął się hałas w znajdującym się w budynku studiu nagraniowym. Lloyd dał wreszcie za wygraną. Wziął prysznic i ogolił się, a w kuchence mikrofalowej podgrzał znalezione w lodówce spaghetti. Kiedy zabrał się do jedzenia, stwierdził, że środek potrawy nadal jest zmrożony, co nie poprawiło mu nastroju. Pomyślał, że jego matka chyba ma rację: pora zacząć żyć po ludzku.

Włączył sobie płytę Fleetwood Mac, ale murzyńskie rapowanie dobiegające zza ścian i tak wszystko zagłuszało.

Panna Millicent Dyson, wyrabiająca peruki i kostiumy teatralne, wyszła ze swojego małego warsztatu i zaczęła upychać puste pudła w stojącym na ulicy kontenerze na śmieci. Była to kostyczna, siwa dama — skwaszona jak ogórek, z ostrym jak żyłotka językiem. Była też głucha.

— Straszne zamieszanie — poskarżyła się, kiedy Lloyd pomógł jej wynieść ostatni z kartonów. — Czy to ten tłusty bigbitowiec, pański kolega od studia?

Dla Millicent Dyson czas się chyba zatrzymał. Na świecie nie było już „bigbitowców”.

— Dziwię się, że pani to słyszy, panno Dyson — odparł. Kobięcina wyczytała odpowiedź z jego ust.

— Odczuwam wibracje — parsknęła. — Nie jestem całkiem bez zmysłów.

— Rik wspominał coś o jakiejś próbie — stwierdził Lloyd oddalając się.

— Szkoda, że nie trafi go szlag — rzuciła panna Dyson. — Najlepiej rakieta Scud. Niektórzy ludzie są straszni. Pan tu jest przewodniczącym związku lokatorów... Proszę się z nim rozmówić, bo inaczej poskarżę się właścicielowi posesji.

— Zaraz szepnę mu słówko — obiecał Lloyd.

Przeszedł do drugiego skrzydła budynku, gdzie odnalazł spoconego Rikkiego Steadmana, użerającego się z dwoma facetami za konsolą.

— Myślałem, że ta stara klempa jest całkiem głucha — stwierdził Rikki, gdy Lloyd powtórzył mu słowa panny Dyson.

— Mówi, że czuje wibracje.

— Powiedz jej, że jakby nie była taka wstrętna, to nauczyłbym ją odczuwać wibracje.

Skończymy za kwadrans.

Lloyd przekazał zredagowaną wersję odpowiedzi Rikkiego pannie Dyson i ruszył do siedziby swojego magazynu, która znajdowała się

54

zaledwie sto metrów od jego domostwa. Redakcja „Science UK” mieściła się na parterze nowoczesnego, chociaż niewielkiego biurowca, postawionego w końcu lat osiemdziesiątych. Budynek wyglądał, jakby zbudowano go z ogromnych klocków lego.

Gdy przeszedł przez drzwi, recepcjonistka Della Smith zaszczyciła go spojrzeniem. Miała trzydzieści lat, a za sobą dwa małżeństwa i kilka nieudanych przygód.

— Cześć, Lloyd. Dostaliśmy twój faks, że wrócisz wcześniej. Tak paskudnie w Singapurze?

Podobali jej się blondyni, jednak szczególnie podobał się jej Lloyd. Ludzie nabierali się na jego powierzchowność, uznając go za sympatycznego, równego gościa. W istocie Wheeler raczej nie lubił kompromisów.

I łatwo było wyprowadzić go z równowagi.

— Traciłem tam tylko czas — rzucił przeglądając pocztę, którą podsunęła mu Della. Kiedyś miał osobistą sekretarkę, ale było to przed rokiem, zanim zredukowano personel. Teraz rolę sekretarki, recepcjonistki i osoby zajmującej się korespondencją przejęła Della. Nadeszły ciężkie czasy dla miesięczników, utrzymujących się głównie z wpłat za prenumeratę i dotacji od towarzystw naukowych.

„Science UK” miało szczęście, że należało do bogatego koncernu wydawniczego. Jednak nawet to nie uchroniło magazynu przed cięciami.

— Będę jakiś czas pracował u siebie, Della. Oficjalnie jeszcze nie wróciłem. Miałem parszywy lot. Nie wyspałem się poza tym. Czuję się fatalnie. Lepiej, żebym dziś z nikim nie gadał. Co gorsza, straciłem partnerkę od squasha. Sarah znów wyjechała.

— Rozumiem, Lloyd. A może chcesz kawę? Prawdziwą.

Lloyd wiedział, że zaopatrywała biuro w kawę kupowaną za własne pieniądze. Pomimo złego humoru zdobył się na nikły uśmiech.

— To może sprawić, że porzucę swoje sztywne zasady, odnoszące się do wykorzystywania kobiet w pracy i zrobię coś wbrew sobie.

— W takim razie — odparła Della wstając — zaraz ją przygotowuję. Wykorzystywanie zniosę. Gorzej z tym squashem. Nie nadaję się na twoją partnerkę, bo nie umiem grać.

Na to oboje się roześmiali. Takie rozmówki zawsze nieco podnosiły Lloyda na duchu. Wszedł do swego ciasnego gabinetu i zaczął przeglądać pocztę. Nie znalazł nic, co nie mogłoby zaczekać. Na głowie miał teraz ważniejsze sprawy.

55

Pamiętał, że w którymś z magazynów naukowych opublikowany został artykuł o szczególnie uzdolnionych dzieciach — było to może pięć lat wstecz. Mógł to sprawdzić w katalogu, łatwiej jednak posłużyć się komputerem. Włączył urządzenie i wprowadził słowo-klucz: „utalentowane dzieci”. Na ekranie ukazało się kilka tytułów wraz z datami publikacji i innymi informacjami. Zabrał się do przeglądania materiałów. Nie znalazł w nich nic szczególnego, poza tym że w tekstach przewijało się słowo „geniusz”.

Do pokoju cicho weszła Della niosąc kawę, lecz Lloyd był tak pochłonięty lekturą, że nawet jej nie zauważył.

Della przywykła już do dni, kiedy Lloyd bujał gdzieś w obłokach. Czasem owe dni zamieniały się w długie tygodnie.

Przez intercom wezwał Gary'ego Peppera.

— Gary? Czy mamy w kraju ekspertów od młodocianych geniuszy?

— Genialnych dzieci?

— Zgadza się. Przeglądałem materiały, ale zdaje mi się, że wszyscy spece to Amerykanie.

— Jest taki jeden, nie pamiętam nazwiska. Daj mi kwadransik, to znajdę.

Gary oddzwonił po pięciu minutach.

— Edward Prentice. Specjalista zajmujący się autystycznymi dziećmi w centrum Horton Manor koło Epsom. Chcesz jego numer?

— Daj. Gary ostrzegł:

— Mike powiada, że jedna z gazet obsmarowała go jakieś pięć lat temu. Prentice tak się wkurzył, że aż chciał założyć sprawę w sądzie. Może okazać się upierdliwy, ale jest najlepszy w swojej dziedzinie.

— Podejdę do niego w białych rękawiczkach — obiecał Lloyd.

— Lepiej weź rękawice robocze — odparł sucho Gary. — Podobno miałeś kiepską podróż i teraz jesteś na kwarantannie?

— Dzięki za informację, Gary — uciął rozmowę Lloyd.

Zaraz potem wybrał numer do Edwarda Prentice'a. Odebrała sekretarka.

— Pan Prentice jest bardzo zajęty — stwierdziła kobieta. — Obecnie uczestniczy w konferencji naukowej. Spotkanie wchodzi w grę dopiero po jej zakończeniu — ton głosu miała taki, jakby spotkanie z szefem automatycznie oznaczało wyrzucenie jej samej z posady.

— Dobrze, panie

56

Wheeler. Przyszły wtorek... Godzina czternasta, wtorek, piątego marca. Zanotowałam. Proszę o potwierdzenie terminu w poniedziałek.

Lloyd podziękował i odłożył słuchawkę.

Cholera! — zaklął. Nienawidził czekania.

ROZDZIAŁ 11

Piątek, 1 marca 1991

Nagle morświn drgnął konwulsyjnie. Ten ruch spowodował, że odpadło kilka przewodów, rejestrujących impulsy nerwowe przebiegające przez mózg zwierzęcia.

Nieprzytomny morświn uderzył potężnym ogonem w tacę z narzędziami chirurgicznymi, które rozsypały się po podłodze. Tylko natychmiastowa reakcja asystentki Leo Bullera ocaliła od zniszczenia komputer Vigien 486. Helen Frost odciągnęła wózek z komputerem od stołu operacyjnego, przy okazji wyciągając przez nieuwagę kilka dalszych czujników z mózgu morświna. Popatrzyła na szefa rozszerzonymi oczami.

— Przepraszam, Leo.

— Do diabła, Helen — mruknął Leo, instalując na powrót czujniki. — Łatwiej o komputer niż o morświna.

Wykres na ekranie, przedstawiający pracę serca zwierzęcia, stał się nieregularny. — To była odruchowa reakcja — wyjaśniła Helen.

Leo miał ochotę siarczyście zakląć. Był wysokim, postawnym mężczyzną. Sprawiał wrażenie wiecznie zadumanego i tłumiącego uczucia. Kontrolował emocje podobnie jak panował nad przebiegiem swoich eksperymentów — nawet gdy coś szło nie po myśli, tak jak teraz.

— Damy mu parę minut. Niech wróci do siebie. A ty obwiniaj jedynie swój mózg — zwiększył dawkę adrenaliny i intensywnie wpatrywał się w zwierzę. — W sytuacji stresowej nadal działamy instynktownie, zamiast zdać się na logikę, Helen. Miliony lat ewolucji nie wykorzeniły prymitywnych instynktów. Twój Bóg nie okazał się bezbłędnym stwórcą. Helen nie odpowiedziała. Była katoliczką; miała już okazję się przekonać, że Leo pozwalał sobie na takie docinki nie z przewrotnej złośliwości, ale ze szczerego zadziwienia, jak racjonalna, obdarzona inteligencją istota może wierzyć w Boga.

57

Zdjął z nosa okulary i przetarł je, zerkając jednocześnie na monitor. Leo liczył sobie czterdzieści dziewięć lat — osiągnął więc wiek, w którym wzrok często zaczyna się gwałtownie pogarszać.

Płynęły kolejne minuty. Oddech i rytm serca ssaka wracały do normy, więc Leo ponownie wprowadził sondę do rdzenia mózgu zwierzęcia. Dokonywał pomiarów reakcji mózgu.

Helen wyczuła skupienie szefa i zachowywała milczenie. Na monitorze widać było przebieg skomplikowanej operacji.

Wreszcie Leo spojrzął na asystentkę i uśmiechnął się tryumfalnie.

— Udało się, Helen.

— Czy to hormon? Leo przytaknął.

— Zapewne odmiana melatoniny lub czegoś bardzo zbliżonego. Któż by pomyślał, że taką substancję może wyprodukować mózg, stymulowany bardzo słabą wiązką światła? —

Odprężył się i zaśmiał. — Musisz to zanotować w swym dzienniku, Helen. Kiedyś opowiesz

wnucom, że uczestniczyłaś w odkryciu, które umożliwiło uwolnienie planety od plagi roznoszących choroby insektów.

— Jak to będzie działać?

— Cóż, jeżeli zaburzymy rytm serca organizmu za pomocą nowego hormonu, to zdołamy zniszczyć także ich system oddechowy.

Helen uśmiechnęła się na to.

— Jeśli się jednak tak nie stanie, Leo, to w każdym razie odkryłeś bardzo skuteczny afrodyzjak.

— Jak to?

Helen wskazała uśpionego morświna. Miał niesamowitą erekcję. ROZDZIAŁ 12

Godzinę po tym, jak Helen poszła do domu, Leo trafił do gabinetu, który dzielił z Maxem, i zaczął spisywać notatki.

Był zmęczony, dochodziła już bowiem północ, musiał jednak dokończyć robotę. Wreszcie zabrał się do formułowania wniosków i wtedy dopiero zaczęło doń docierać prawdziwe znaczenie jego odkrycia. Zatopił się w myślach i podszedł do okna, przez które widać było światła zacumowanych łodzi rybackich. Zwykle lubił przebywać w tym solidnym domostwie w Dorset. Wzniesiono je sto lat temu dla zamożnego handlarza.

58

Później przekształcono na hotelik, który jednak ze względu na złe zarządzanie nie przynosił spodziewanych dochodów. W latach wojny zorganizowano tu skład amunicji — jeszcze w zeszłym roku ogrodnik natknął się w ziemi na niewypał.

Obecnie około trzydziestu pomieszczeń budynku przemieniono na biura, laboratoria oraz bibliotekę Towarzystwa Cybernetycznego. Największy apartament zajął Max z żoną, nieco mniejszy — Leo.

Wrócił do biurka i zaczął dumać nad kolejnymi zdaniem. Tym razem to miejsce solidnie mu doskwierało.

Przypominało pensjonat ze starych, francuskich nowel. Chciał natychmiast zadzwonić do któregoś z kolegów po fachu w Ameryce i pochwalić się odkryciem. Chciał z kimś pogadać. Rozważał nawet pomysł zatelefonowania do Maxa z dobrymi nowinami, ale był zbyt zmęczony, by zastanawiać się, którą godzinę mieli teraz w Rijadzie. Tak czy owak, to właśnie Max interesował się przede wszystkim wykorzystaniem jego badań w technice wojskowej. Jego poprzedni wynalazek okazał się niemal doskonały. Jednakże Leo nie potrafił zgłębić dotąd struktury i funkcji najbardziej pierwotnej części ludzkiego i zwierzęcego mózgu. Tworzenie takiego modelu nieodmiennie kończyło się katastrofą. Tak jakby natykał się na tabliczkę: „Koniec. Dalej nie wolno”. Ale Leo nie wierzył w Boga. Uważał, że mózg to machina, uzależniona od interakcji zachodzących pomiędzy komórkami nerwowymi a chemicznymi związkami. I twierdził, że jak w maszynie, każdą część da się wyekstrahować i stworzyć jej duplikat — czym też zajmował się zawodowo.

Firma należała do niego i Maxa Shannona. I przynosiła dochody. Znaczne dochody.

Połączenie talentów Leo i Maxa zakończyło się rejestracją ponad setki patentów. Rozkręcili ten interes pięć lat temu, zaczynając od mikroprocesorów.

Wkrótce wzięli się do opracowywania systemów ostrzegawczych na pokładach samolotów bojowych. Leo Buller skoncentrował się na pracach nad urządzeniami, działającymi wedle wzorów kopiowanych z funkcji mózgu. Sukces finansowy zawdzięczali także temu, iż Max współdziałał wyłącznie z poważnymi i solidnymi kontrahentami.

— Jesteśmy naukowcami, wynalazcami i ludźmi interesu. W takiej kolejności — powiedział Max, kiedy podjęli współpracę. — Nie bawmy się w inżynierów. I tak nie przebijemy w tym Japończyków. Otworzymy tylko

59

kilka małych warsztatów, gdzie będą powstawać prototypy i odbywać się wstępne testy. Nie traćmy rozpędu na uruchamianie masowej produkcji. Zamiast tego zajmujmy się kolejnymi projektami. Zgłaszajmy patenty i sprzedawajmy licencje.

I Leo był rad, że ich działalność przyjęła taki kierunek. Zorientował się szybko, że Max — podobnie jak on sam — pragnie zdobyć sławę i bogactwo. Tyle że ambicje Leo sięgały jeszcze dalej: myślał o Nagrodzie Nobla. Wcześniej zaskarbił już sobie znaczny rozgłos w Ameryce, gdzie prowadził badania nad funkcjonowaniem mózgu i systemu nerwowego na Uniwersytecie Stanford w Kalifornii.

Niestety, jego kariera w USA załamała się po emitowanej przez telewizję dyskusji z jego udziałem, podczas której określił Boga jako niekompetentnego twórcę niedoskonałego buba, jakim jest ludzki umysł.

— Umysł powstał według prymitywnej technologii — oświadczył przed kamerami. — Umysł nie zmusza człowieka do eliminacji błędów. Gdybyśmy jako konstruktorzy kopiowali Boga, to chyba staralibyśmy się przebudować stare dwupłatowce na promy kosmiczne. — Gdy jeden z dyskutantów głośno zaproponował, Leo rozpiął koszulę, wskazał na swoje sutki i powiedział: — Jak powie mi pan, po co one, to ja, dając słowo, zacznę się modlić do waszego Boga.

Dwadzieścia lat wcześniej John Lenn on popełnił podobny błąd i w rezultacie „miłujący wolność Amerykanie” niszczyli publicznie płyty Beatlesów. Leo istotnie pozwolił sobie na przesadną szczerość, co było skutkiem dwóch szklaneczek whisky, wypitych dla kurażu przed wejściem do studia. Społeczność zareagowała gniewnie. Zaczęto palić jego artykuły i książki, porzuciła go poznana w Ameryce żona. Utracił też prawa rodzicielskie — nie mógł się nawet widywać z córką. Po tym wszystkim nie miał innego wyjścia, jak tylko wracać do Anglii, gdzie czekała już nań oferta Maxa.

Leo wpadł jakby we własne sidła. Jako dwudziestolatek brał udział w marszach pokojowych. Postrzegał swą pracę jako służbę na rzecz rozwoju ludzkości. A teraz, wraz z Maxem, zajmował się opracowywaniem coraz doskonalszych systemów, wykorzystywanych przez wojsko.

— Nawet przemysł farmaceutyczny pracuje na rzecz armii — pocieszał go Max, gdy Leo domagał się opracowania czegoś dla „szarych ludzi”. I jak zwykle Max miał rację. Zresztą kontrakty z Ministerstwem Obrony owocowały napływem na konta firmy znacznych sum. Ich wielkim osiągnięciem był dwuosobowy, „niewidzialny” czołg Mamba Była to niezgrabna kupa żelastwa; załogę stanowiło zaledwie dwóch

60

żołnierzy: kanonier i kierowca. Projekt uznano za pojazd dwudziestego pierwszego stulecia. Ministerstwo wykazało znaczne zainteresowanie, a firma Vickers przygotowywała się do produkcji prototypowego egzemplarza.

Wartko szły też prace nad symulatorem lotu. Badania sponsorowane były szczerze przez Ministerstwo Obrony. Ideą było opracowanie systemu reagującego siedmiokrotnie szybciej od receptorów nerwowych przeciętnego pilota. Aby jednak stworzyć sztuczny intelekt, należało oczywiście całkowicie pojąć ludzki mózg. Problem w tym, że Leo nosił w sobie pewne obiekcje natury etycznej, Max natomiast sprzedawał bez wahania każdą nowinkę wojskowym.

Leo ziewnął i spojrzął na zegarek. Do północy pozostało kilka minut. Dwadzieścia lat temu był w stanie pracować na okrągło i nie czuć zmęczenia. Nagle zadzwonił telefon. Na ten dźwięk Leo aż jęknął. To mogła być Helen — pewnie w drodze do domu zepsuł jej się samochód... albo żona Maxa prosząca, by zredukował nieco ogrzewanie budynku. Pomylił się jednak. Dzwonił Max.

— Max! Niebawem. Właśnie myślałem o tym, żeby do ciebie zatelefonować. Nastąpił wreszcie przełom w sprawie...

— Przykro mi, Leo — przerwał mu Max. — To będzie musiało poczekać. Jesteś potrzebny tutaj. I to szybko.

W głowie Leo rozpoczęła się gonitwa myśli.

— W Rijadzie? Przecież Irak już chyba pokonany. Poza tym nie mam wizy do Arabii Saudyjskiej.

— Dostaniesz ją. Posłuchaj uważnie. Zanieś jutro swój paszport do wydziału wizowego saudyjskiej ambasady, razem ze świadectwem urodzenia i dwiema fotografiami. Reszta formalności zostanie załatwiona na miejscu od ręki.

— Dobrze, Max, ale chciałem ci opowiedzieć o przeło...

— Na razie mnie to nie interesuje — stwierdził Max miękkim głosem, który oznaczał ukrytą groźbę. — Jest coś znacznie ważniejszego, Leo. Niestychanie ważnego. Pamiętaj: jutro, plac Belgrave, paszport, świadectwo urodzenia, dwa zdjęcia. Potrzebny jesteś tutaj tylko na parę dni. Zadzwoń do mnie, jak wszystko załatwisz, będę na ciebie czekał na tutejszym lotnisku. W porządku?

— O co właściwie chodzi, Max?

— Dowiesz się, kiedy się spotkamy. Nie mogę o tym rozmawiać przez telefon.

61

Leo machnął ręką. Zawsze ustępował Maxowi.

— Dobra. Zadzwoń do ciebie jutro, kiedy będę już gotowy do drogi.

— Świetnie — odparł Max ze słyszalną ulgą. — Jeszcze jedno, Leo. Weź jakieś lekkie nakrycie głowy... Tutaj robi się naprawdę gorąco.

ROZDZIAŁ 13 POŁUDNIOWY IRAK

Dwóch brudnych, zarośniętych ludzi wlokło się ścieżynką pośród jałowych wzgórz; wyglądali na zagubionych derwiszy — bo Nuri chciał, by tak było. Zamienili zniszczone mundury na cywilne ubrania, które znaleźli w Mutlah. Umoczyli je w błocie, by nie sprawiały wrażenia nowych. Po płaszczem Nuri trzymał ukrytego kałasznikowa.

Podobnie uczynił ze znalezionym plecakiem — bez wątpienia zabranym przez jakiegoś Irakijczyka w jednym z kuwejckich sklepów i następnie porzuconym. Nuri miał na nogach parę wspaniałych skórzanych teksańskich butów. Wiedział, że to szaleństwo zakładać nowe buty na długą podróż, ale cóż — był z nich dumny. W przeciwieństwie do Khalida Nuri wywodził się z ubogiej rodziny, która nie mogła sobie pozwolić na luksusy. Za każdą cholewą ukrył po kilka tysięcy dolarów w banknotach studolarowych. Normalnie świadomość posiadania przy sobie pieniędzy dodawała mu otuchy, tym razem jednak było odwrotnie. Khalid miał na stopach wygodne obuwie z wielbłądziej skóry — noszone tradycyjnie przez Arabów, którzy nienawidzili nowinek z Zachodu.

Noc była zimna, szczęściem jednak nie padało. Khalid owinał sobie twarz chustą w czerwone wzorki. Jako Kurd nie nosił zwykle takiego nakrycia głowy jak Arabowie, ich chusty okazały się jednak bardzo przydatne tu, na pustyni.

Prosty strój chronił przed piaskiem i moskitami.

Szli powoli po stromym zboczach, patrząc pod nogi, na nierówny grunt. Nuri nalegał, żeby bardzo uważać. Zwichnięcie kostki mogło skończyć się fatalnie.

Gdyby znaleźli ich Irakijczycy, obaj zostaliby rozstrzelani jako dezercerzy. Gdyby dopadli ich Amerykanie, rozwaliliby ich jako szpiegów. Beduini z kolei zabiliby ich jako odszczepieńców — szyccy Arabowie

62

darzyli niemal patologiczną nienawiścią irackich sunnitów. Tak samo wrogo usposobieni byli wobec chrześcijańskich Kurdów.

Obaj wędrowali już drugą noc, za dnia sypiając w opustoszałych szałasach pasterzy. Żywili się czekoladowymi batonami, daktylami i rodzynkami. Pod Mutlah zdobyli nieco żywności, teraz czuli się więc fizycznie znacznie mocniej.

Wrócił im też dobry nastrój. Choć wspomnienie śmierci Keza nadal gnębiło Nuriego, to trudno było smucić się w towarzystwie Khalida. Jasnowłose młodzian jak zwykle tryskał humorem, drwiąc z każdego niepowodzenia.

Nuri zaczął traktować młodszego kolegę niczym brata.

Przekonał się, że w duszy Khalida nie było ani śladu złośliwości. Chociaż Khalid okazywał wielki entuzjazm z powodu powrotu w ojczyście granice, to Nuri podejrzewał, iż wynikało to raczej z pragnienia ponownego spotkania z rodziną niż z chęci przypatrywania się kłęsce Saddama Husajna i jego popleczników. Do Kuwejtu Khalida skierowano stosunkowo niedawno.

Przydzielono go jako kierowcę do załogi czołgu, kiedy poprzedni szofer zmiażdżył dłoń podczas grzebania w silniku. Początkowo pozostali trzej członkowie załogi spoglądali na Khalida podejrzliwie. Szybko jednak zaimponował on umiejętnościami jako kierowca. Jego bezpośredni sposób bycia sprawiał, iż uznali go za swego.

Wszyscy lubili Khalida. Zabawiał ludzi pajacowaniem i cyrkowymi sztuczkami w trakcie długich godzin nudy, nim rozpoczęły się działania wojenne. A gdy się już rozpętała prawdziwa wojna, przynosił swoim towarzyszom nieprawdopodobne szczęście. Pomimo bombardowania ich pozycji przez amerykańskie samoloty B 52, ostrzału z morza, żaden pocisk nie trafił w skarpe, gdzie tkwił okopany ich czołg.

Potem dowództwo jednostki nakazało pogardzanej, kurdyjskiej załodze opuszczenie pozornie bezpiecznego stanowiska i zajęcie przez ich T-55 wysuniętej placówki.

Mimo to czołg znów uniknął trafienia. Wyszedł też cało z bitwy lądowej — nieprzyjacielskie pociski rozrywały się w pobliżu, żaden nie trafił jednak bezpośrednio w cel. Udało się nawet przetrwać mordercze naloty pod Mutlah. Starego T-55 unieruchomił wreszcie brak paliwa, czemu nie był w stanie zapobiec w czepku urodzony Khalid.

Wędrownicy dotarli do krawędzi wzniesienia. Dalej otwierała się pusta przestrzeń, po której hulały wiatry.

63

Daleko na południu widzieli łunę pożarów nad Al Ahmadi.

Nuri rozluźnił sprzączki swych kowbojskich butów, a Khalid zaczął przygotowywać posiłek na turystycznej kuchence gazowej. Nuri zastanawiał się, czy tu, na szczycie, jest może lepszy odbiór i wyciągnął z plecaka małe radio. Dwie baterijki były już niemal na wyczerpaniu, Nuri nie wyrzucił jednak radyjka sądząc, że dalej na północy może jeszcze okazać się przydatne. Przekręcił gałkę i zaczął kręcić strojeniem. Basra wciąż nadawała, co było zdumiewające, bo przecież na port bez przerwy sypały się bomby. Odzywał się też Bagdad, ale sygnał okazał się bardzo słaby, prawie niesłyszalny. Złapał za to inną stację, jakiej wcześniej nie słyszał. Nuri znał kiepsko angielski, ale był w stanie rozpoznać amerykański akcent.

— Khalid! Co oni mówią?

Khalid przestał zajmować się herbatą i nastawił ucha.

— Wojna skończona — powiedział krótko i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Iraccy generałowie i Amerykanie uzgodnili zawieszenie ognia.

Nuri był wstrząśnięty. Czy to możliwe, by cały Irak został podbity tak prędko? Czy to znaczy, że jego rodzinna kraina otrzyma teraz upragnioną wolność? Khalid przyciskał miniaturowy odbiornik do ucha, starając się wyłowić zrozumiałe słowa, ale baterie się wyczerpały, nim zdołał dowiedzieć się czegoś więcej.

— Wrzaski Saddama Husajna sprawiły, że radio ogłuchło — zażartował. Nie rozbawiło to jednak Nuriego. Wściekle cisnął bezużyteczne radio w przepaść.

Usiedli przy herbacie, Nuri jednak milczał uparcie.

Nie miał zielonego pojęcia, co teraz zrobić. Nadal mógł usłyszeć odgłosy walki dochodzące ze wschodu, z okolic Basry. Poderwał się na równe nogi. Skoro uzgodniono zawieszenie ognia, to dlaczego nadal walczą? Co się właściwie dzieje? Skończyli herbatę, spakowali się i ruszyli znów na północ. Po dwóch godzinach dotarli na rozwidlenie dróg. Nuri wyciągnął z kieszeni kompas. Mapka tego obszaru, jaką znalazł w Mutlah, wydawała się bezużyteczna, ale nic lepszego nie mieli.

— Lewa odnoga jest dalej od traktu na Basrę — powiedział Khalid.

— Jesteś pewny?

To było zbyt proste pytanie. Khalid doskonale się orientował w terenie. Uśmiechnął się, gorliwie potrząsnął głową i wepchnął sobie w usta garść daktyli.

— Lewa dalej od szosy — powtórzył.

64

Wybrali więc lewą odnogę. Nuri miał istotne powody, aby trzymać się z daleka od głównych traktów. Nawet gdyby Amerykanie nie rozstrzelali ich na miejscu jako szpiegów, to już z pewnością zabraliby ich do obozu jenieckiego. A Nuri nie miał ochoty spędzić tam najbliższych miesięcy albo i lat. Ważne sprawy wzywały go w rodzinne strony.

Logika podpowiadała mu, że Amerykanie nie mogli w tak krótkim czasie wyprzeć irackich wojsk z Kurdystanu. Czyż prezydent Bush nie powtarzał przy każdej okazji, iż nie chce, by Ameryka wplątała się w wojnę podobną do wietnamskiej? Czy Amerykanie nie twierdzili, że nie spoczną, póki nie zniszczą maszyny wojennej Saddama Husajna? Nuri pragnął obecnie tylko jednego: powrotu do ojczyzny. Jeśli wojska Husajna nadal tam rezydowały, to chciał zorganizować powstanie i wyrzucić znienawidzonych okupantów z Kurdystanu. Aż do teraz nie miał szans na spełnienie tych zamiarów. Poprzednie powstania zostały zgniecione przez Husajna z całym okrucieństwem, łącznie z użyciem gazów bojowych. Czyż ten okrutny tyran nie miał na sumieniu śmierci jego sióstr? Pod Mutlah Nuri przekonał się na własne oczy, jaką potęgą militarną dysponowali Amerykanie. Zapewne mogli unicestwić wszystkie dywizje Saddama Husajna. Nuri bardzo chciał, by tak się stało, ale wciąż dręczyły go wątpliwości. Wokół Saddama Husajna narosły już legendy — irackie media trąbiły, że jest on niepokonany i niezniszczalny.

— Ludzie — powiedział spokojnie Khalid, kiedy Nuri wpychał do kieszeni plecaka kompas. Coś w głosie towarzysza zaalarmowało Nuriego. Obrócił się i serce w nim zamarło. Opór byłby bezcelowy. Początkowo myślał, że ma przed sobą pięciu, lecz po chwili wyłoniło się z ciemności drugie tyle beduinów. Ich oczy i lufy karabinów połyskiwały groźnie w mroku. Niczym duchy otoczyli bezszelestnie Nuriego i Khalida.

— Są za blisko, żeby szczęście mogło zadziałać — odezwał się beznamytnie Khalid, jakby czytając w myślach Nuriego. Światło latarki padło po kolei na twarze Nuriego i Khalida. Przywódca beduinów mówił szybko dialektem, którego Nuri nie pojmował.

— Jesteśmy Kurdami — powiedział Nuri z naciskiem, pewien, że tamci zrozumieją jego słowa. — Chrześcijańskimi Kurdami — dodał.

— Kurdowie? — padło pytanie z ciemności.

— Kurdowie — potwierdził Nuri. Zabrał się do wyjaśniania, co tu robią, ale uciszyło go ostrzegawcze warknięcie. Obmacujące go ręce

65

szybko natrafiły na plecak i kałasznikowa pod szatą. Beduin zerwał broń i rzucił na ziemię. Podobnie potraktowano Khalida. Chciał zaprotestować, ale szybko zorientował się, że to bezcelowe.

Banda naradzała się cichymi głosami. Naraz ktoś inny zadał pytanie:

— Jak się nazywacie?

Nuri ledwie mógł uwierzyć własnym uszom. Pytano go po kurdyjsku! Z akcentem z okolic Mosulu. Zaczął tłumaczyć, kim jest i skąd pochodzi, tamten jednak przerwał mu szorstko.

— Wystarczy. Czy twój przyjaciel też jest Kurdem? — Światło latarki powędrowało na twarz Khalida, który skłonił się i zaczął rozdawać w powietrze pocałunki, niby piosenkarz na scenie, na którego skierowano reflektor. Z mroku rozległy się przytłumione chichoty. Ów, który pytał, nie wydawał się jednak rozbawiony.

— Jestem Kurdem — przyznał Khalid. Podał nazwisko i miejscowość, z której pochodził.

— Pójdziecie z nami — padła odpowiedź.

Pozwolono Nuriemu i Khalidowi wziąć plecaki i cała grupa mszyła gęsiego stromą ścieżką. Tamtych było dziewięciu — wysokich, szczupłych, postawnych, poruszających się lekko, z niemal kobiecą gracją. Nuri nie zorientował się, który z nich jest jego ziomkiem. Wszyscy bowiem osłaniali twarze czarnymi zasłonami i nie odpowiadali na pytania. Khalid próbował żartować z jednym z Arabów, lecz tamten kazał mu zamilknąć. Khalid istotnie zamilkł, ale nadal zgrywał górską kozicę, podskakując i przytykając sobie wysunięte palce do czoła.

— Twój przyjaciel jest trochę stuknięty — stwierdził ten, który mówił po kurdyjsku, a Nuri musiał się z nim zgodzić.

Szli w milczeniu przez godzinę, bacząc na ewentualne miny. Arabowie zdawali się porozumiewać między sobą na migi. Nuri nabrał przekonania, że znalazł się rękach doświadczonych partyzantów.

Z czasem grunt zaczął stwać się miękki. Nuri zorientował się, iż weszli na moczary u zbiegu Eufratu i Tygrysu. Jego drogie buty zapadały się w rozmiękłym podłożu.

W powietrzu unosiły się roje natrętnych owadów. Khalid otulił szczelniej twarz chustą, pozostawiając wąską szparę na oczy. Bagna porastało tu wybujałe zielsko. Arabowie z pewnością dobrze znali teren, ponieważ bezbłędnie wynajdywali dróżki pośród zdradzieckich mokradeł. Nuri pamiętał rok 1987, kiedy to jako iracki żołnierz starał się z innymi

66

szybko natrafiły na plecak i kałasznikowa pod szatą. Beduin zerwał broń i rzucił na ziemię. Podobnie potraktowano Khalida. Chciał zaprotestować, ale szybko zorientował się, że to bezcelowe.

Banda naradzała się cichymi głosami. Naraz ktoś inny zadał pytanie:

— Jak się nazywacie?

Nuri ledwie mógł uwierzyć własnym uszom. Pytano go po kurdyjsku! Z akcentem z okolic Mosulu. Zaczął tłumaczyć, kim jest i skąd pochodzi, tamten jednak przerwał mu szorstko.

— Wystarczy. Czy twój przyjaciel też jest Kurdem? — Światło latarki powędrowało na twarz Khalida, który skłonił się i zaczął rozdawać w powietrze pocałunki, niby piosenkarz na scenie, na którego skierowano reflektor. Z mroku rozległy się przytłumione chichoty. Ów, który pytał, nie wydawał się jednak rozbawiony.

— Jestem Kurdem — przyznał Khalid. Podał nazwisko i miejscowość, z której pochodził.

— Pójdziecie z nami — padła odpowiedź.

Pozwolono Nuriemu i Khalidowi wziąć plecaki i cała grupa mszyła gęsiego stromą ścieżką. Tamtych było dziewięciu — wysokich, szczupłych, postawnych, poruszających się lekko, z niemal kobiecą gracją. Nuri nie zorientował się, który z nich jest jego ziomkiem. Wszyscy bowiem osłaniali twarze czarnymi zasłonami i nie odpowiadali na pytania. Khalid próbował żartować z jednym z Arabów, lecz tamten kazał mu zamilknąć. Khalid istotnie zamilkł, ale nadal zgrywał górską kozicę, podskakując i przytykając sobie wysunięte palce do czoła.

— Twój przyjaciel jest trochę stuknięty — stwierdził ten, który mówił po kurdyjsku, a Nuri musiał się z nim zgodzić.

Szli w milczeniu przez godzinę, bacząc na ewentualne miny. Arabowie zdawali się porozumiewać między sobą na migi. Nuri nabrał przekonania, że znalazł się rękach doświadczonych partyzantów.

Z czasem grunt zaczął stwać się miękki. Nuri zorientował się, iż weszli na moczary u zbiegu Eufratu i Tygrysu. Jego drogie buty zapadały się w rozmiękłym podłożu.

W powietrzu unosiły się roje natrętnych owadów. Khalid otulił szczelniej twarz chustą, pozostawiając wąską szparę na oczy. Bagna porastało tu wybujałe zielsko. Arabowie z pewnością dobrze znali teren, ponieważ bezbłędnie wynajdywali dróżki pośród zdradzieckich mokradeł. Nuri pamiętał rok 1987, kiedy to jako iracki żołnierz starał się z innymi

66

zbudować w tej okolicy solidną, przejezdną drogę. Pracował wówczas niemal dwadzieścia godzin na dobę w straszliwym znoju. Dowództwo irackie pragnęło traktu, którym można przerzucać ciężki sprzęt na południe. Oczywiście całe przedsięwzięcie okazało się niewypałem. Pewnego dnia bagna pochłonęły cztery ciężarówki z żołnierzami.

Doszli teraz do wodnego zbiornika. Woda połyskiwała ponuro w słabym świetle księżyca. Za miesiąc czy dwa topniejące śniegi z Anatolii zasilą nurty rzek i delta Tygrysu i Eufratu zniknie z powierzchni ziemi.

Dwaj ludzie odgarniali długimi tyczkami trzciny, torując przejście. Oczy Khalida rozbłyły nagle, gdy wpadło mu do głowy, iż czeka ich teraz przejażdżka łodzią. Tutejsi Arabowie od niepamiętnych czasów budowali prymitywne tratwy, którymi w czasach pokoju dostarczali towary do Basry. Tratwa, którą obecnie mieli przed sobą, była długa; miała około dziesięciu metrów. Nuriemu i Khalidowi kazano usiąść na pudle, w którym znajdowały się — jak się okazało — samochodowe akumulatory, połączone ze sobą kablami. Kiedy wszyscy znaleźli się na tratwie, zahuczał elektryczny silnik. Toporna łódź mszyła przed siebie. Płynęli szybko, w głuchym milczeniu.

Po upływie pół godziny jeden z ludzi zredukował obroty motoru, gdyż tratwa pokonywała labirynt kanalików.

Znaleźli się wreszcie pod wbitymi w dno balami, na których rozpięta była wojskowa siatka maskująca. Nieopodal, na lądzie, widać było kobiety uwijające się wokół prowizorycznych kuchenek, najpewniej wykradzionych irackiej armii. Niewiasty przerwały zajęcia i zaczęły ciekawie przyglądać się Nuriemu i Khalidowi.

— Witamy w naszym obozie. Wołają mnie Nidel.

Kurd ściągnął z twarzy chustę. Był mniej więcej w wieku Nuriego, gładko ogolony; jego błękitne oczy groźnie błyszcząły. Uścisnął dłonie Nuriemu i Khalidowi — Kurdowie mają zwyczaj witać się bardzo wylewnie. Następnie przedstawił ich innym członkom oddziału, lecz Nuri nie był w stanie spamiętać od razu wszystkich twarzy i imion. Jeden z nich, być może przywódca, wyglądał jak Europejczyk z domieszką orientalnej krwi. Ów właśnie skłonił się grzecznie, przywitał się tak, jak to wcześniej uczynił Nidel. Następnie zwrócił się do patrzących na przybyszów kobiet i wydał im po arabsku jakieś polecenia.

ROZDZIAŁ 14

Niedziela, 2 marca 1991

Tłusty wywar na baraninie, z marchwią i ziemniakami, był pierwszym porządnym posiłkiem, jaki Nuri i Khalid zjedli od ponad dwóch miesięcy. Pochłonęli z równym apetytem dokładkę, podczas gdy inni siedzieli w kręgu, pijąc kawę, przygotowaną przez kobiety. Obaj przybysze umyli się, ogolili i przebrali w nowe ubrania. Podczas rozmowy rolę tłumacza wziął na siebie Nidel. Nuri i Khalid dowiedzieli się, że sam Nidel zdezerterował z irackiej armii w marcu 1988, kiedy nadeszła wieść o ataku gazowym na tereny zamieszkałe przez ludność kurdyjską.

— Jesteś z Halabji? — wtrącił zaskoczony Nuri.

— Mieszkałem w pobliżu bazaru, gdzie handlowano dywanami — odpowiedział Nidel. — A ty?

— Z Qara.

Obaj mężczyźni od razu nabrali do siebie większego zaufania. Zaczęli wspominać swe losy. Rodzice Nuriego już nie żyli, a on sam jeszcze się nie ożenił. Stracił dwie ukochane siostry podczas irackiego nalotu. Dom Nidela znajdował się bliżej centrum miasta — zagazowana została cała jego rodzina, w tym żona i dwoje dzieci. Natychmiast potem zdezerterował i

dołączył do szyickich Arabów, dzieląc się z nimi swym wojskowym doświadczeniem. Od tamtej pory grupa miała na koncie kilka udanych wypraw przeciwko Irakijczykom. Nidel zmontował nawet silniki do tratw, którymi łatwo było umykać na zalanych przez wodę obszarach.

— Znakomity pomysł — przyznał Nuri z entuzjazmem. — Możecie dotrzeć na nich wszędzie. Irackie amfibie są na bagnach do niczego, bo zielisko szybko wkręca się w śruby silników. Poza tym, waszych tratw nie można namierzyć radarami, bo są całkiem płaskie. Przywódca oddziału pokiwał głową gdy Nidel przetłumaczył to zdanie. Następnie wysoki Arab popatrzył na Nuriego i Khalida i odezwał się wprost do nich. Pozostali zaczęli potakiwać na zgodę.

— Ali pragnie, byście dołączyli do nas i razem z nami walczyli — przełożył Nidel. Nuri zmarszczył czoło.

— Az kim tu teraz walczyć?

— Z Saddamem Husajnem i jego zbirami oczywiście.

68

— Ależ oni chyba zostali już zgniecenii!?

Nidel i przywódca grupy wymienili parę pospiesznych zdań, wreszcie Nidel odparł:

— Nie słyszeliście nowin? Wojska ONZ wstrzymały natarcie. Wybuchło powstanie w Basrze, a pewnie i na północy, jednak alianci nie czynią nic, by nam pomóc. Francuzi podeszli prawie pod Bagdad, ale zostali wezwani do odwrotu.

Nawet Khalid, który z pewnym trudem nadażał za tokiem rozmowy, wydał się zaskoczony i przestał się uśmiechać.

Nuri wprost poderwał się na nogi ze wzburzenia.

— To niemożliwe! Mówicie mi, że Amerykanie zebrali siły do zniszczenia Saddama Husajna, a potem się zatrzymali!?

Nidel pokiwał głową.

— Ależ to niewiarygodne!

— Niewiarygodne, lecz prawdziwe — stwierdził Nidel ze smutkiem. — Saddam Husajn stracił dwie trzecie swoich czołgów, ale nadal ma ich ponad tysiąc. Ocalił od zniszczenia prawie całe lotnictwo. A teraz Amerykanie i wszyscy inni chcą wracać do domu tak szybko, jak to możliwe.

Nuri usiadł znowu. Posiłek, który pochłonął z takim smakiem, zastygł mu w żołądku ściśniętym rozpaczą. Khalid, choć wielu spraw nie pojmował, dostrzegł jednak przygnębienie przyjaciela. Dotknął ramienia Nuriego.

— Być może — podsunął Nidel — iracka armia jest teraz słaba na północy. Może tym razem powstanie zakończy się zwycięstwem.

— Rozwścieczony Saddam jest bardzo niebezpieczny — skonstatował gorzko Nuri. — Nie zawaha się znowu użyć gazów. Są tanie i skuteczne.

— Co więc chcesz zrobić, Nuri?

— Trzeba wrócić w rodzinne strony i walczyć. Podziękuj Alemu za jego propozycję, ale chcemy wrócić do domu. Przyłączę się do kurdyjskiej partyzantki i będę walczył.

— Walczył — powtórzył jak echo Khalid, uśmiechając się od ucha do ucha.

Nidel z troską spojrział na młodszego z Kurdów. Zapytał:

— Weźmiesz go ze sobą?

— Tak. On przynosi mi szczęście — odparł Nuri obejmując Khalida ramieniem.

69

— To jest argument — zauważył Nidel, nie do końca przekonany o słuszności tej decyzji, ale poruszony szczerością Nuriego.

Przywódca uniósł palec do ust. Wszyscy umilkli. Syknięciem uciszono kobiety zmywające naczynia po posiłku. W nocnej ciszy słyszało się tylko kumkanie żab i dalekie odgłosy strzelaniny.

— Basra — stwierdził lakonicznie Nidel. — Toczą się tam zacięte boje. Nawet nocą. Docierają do nas stamtąd wiadomości. Wczoraj szyicy sądzili, że wygrają. Do Gwardii Republikańskiej nie dotarły posiłki... już

O to zadbaliśmy. Niestety, Brytyjczycy wypuścili dwa tysiące irackich jeńców, którzy zaraz weszli do walki. Saddam Husajn wysłał też śmigłowce, a Amerykanie nawet nie zareagowali — przerwał i dodał po chwili. — To już długo nie potrwa.

Nuri pokręcił głową jakby chciał otrząsnąć się ze zmy. —

— A co się dzieje w naszej ojczyźnie? — spytał. Nidel ponuro wzruszył ramionami.

— Podobno toczą się walki w Mosulu i Arbil, ale nasi partyzanci są bardzo źle zorganizowani. Jakie oni mają szanse...?

— Chcemy się do nich przyłączyć — rzekł Nuri.

Nidel spojrział ze współczuciem. Dobrze rozumiał uczucia swoich ziomków. Zerknął na pozostałych i rzucił coś szybko po arabsku.

Jak większość Kurdów Nuri znał arabski, ale niewiele pojmował z tego lokalnego dialektu. W każdym razie słowa Nidela tak wyprowadziły Alego z równowagi, że zerwał się w jednej chwili na nogi i zasypał go lawiną pytań.

Odpowiedzi zbytnio chyba go nie uspokoiły. W końcu Ali opanował się na tyle, by skinąć na jedną z kobiet, ta zaś przyniosła mu nadajnik radiowy. Lider grupy zajął na powrót miejsce w kręgu i przemówił do Nidela. Kurd wysłuchał jego słów, a następnie zwrócił się do Nuriego i Khalida.

— Zapadła decyzja, że pomożemy wam wrócić do ojczyzny — rzekł po kurdyjsku. — Drogi są dla was zbyt niebezpieczne. Agenci i donosiciele tajnej policji są wszędzie. Poza tym większość mostów została zniszczona przez bombowce. Łatwiej i bezpieczniej podróżować rzeką. Pewien kupiec w Umm Qasr ma dostarczyć do Bagdadu ładunek suszonych ryb. Przyłączycie się do załogi jego barki, opuścicie ją jednak, nim dotrzecie do Bagdadu. W samym Bagdadzie nie możecie się pokazywać.

70

Nagle Ali wtrącił po arabsku pytanie. Nidel przetłumaczył:

— Macie dokumenty? Jakież papiery?

— Zostawiliśmy wszystko w czołgu.

— A pieniądze?

— Trochę — przyznał przebiegle Nuri. — Trochę amerykańskich dolarów, jakie znaleźliśmy w Multah. Przy zabitym oficerze, któremu i tak by się już nie przydały.

Nidel odpowiedział uśmiechem.

— Możemy wam załatwić papiery, ale będą kosztowały po pięćset dolarów. Stać was na to?

— Chyba tak — odparł Nuri ostrożnie.

— Gdy znajdziecie się pod Bagdadem, to będziecie kontynuować dalszą podróż jako kurdyjscy biznesmeni. Jest ich sporo i mają powody, by jechać na północ. Zostanie wam jeszcze pieniędzy na kupno zachodnich ubrań? Odpowiedni strój jest najlepszym paszportem. Ubiór kurdyjski lub szyicki to samobójstwo.

— Wystarczy nam na to pieniędzy — stwierdził Nuri i chcąc zmienić temat spytał. — Jak daleko rzeką do Bagdadu?

Dobrze wiedział, że drogą odległość wynosiła około pięciuset kilometrów, a szosa biegła wzdłuż koryta Tygrysu; chociaż z drogiej strony sama rzeka miała na kilku odcinkach wiele zakrętów.

— Sześćset kilometrów.

Nuri starał się tego nie okazać, ale był nieco wstrząśnięty. Czekala ich podróż długa kruchą łodzią po wielkiej rzece, i to jeszcze w okresie wiosennych roztopów. Taka wyprawa w górę rzeki, pod prąd, mogła potrwać i dwa tygodnie.

— W Tygrysie wody jeszcze nie wezbrały — poinformował Nuriego Nidel, jakby czytając w jego myślach. — Łódź wyruszy dopiero za dwa dni, więc macie sporo czasu na odpoczynek. I trzeba wam zrobić zdjęcia do nowych dokumentów.

Nuri skłonił się i podziękował gospodarzom. Mimo wszystko nie chciał tracić dwóch tygodni. Jeśli w jego rodzinnych stronach toczyła się wojna, to pragnął tam dotrzeć możliwie najszybciej.

ROZDZIAŁ 15

RU AD

Max spojrział na zdjęcia satelitarne, rozłożone na jego biurku.

— A więc które przedstawiają wzgórze Mutlah, Steve?

— Mutlah?

— Rozwalono tam mnóstwo wojskowych pojazdów.

— Nie przypuszczasz, że jakiemuś czołgowi mogło się udać?

Max uśmiechnął się do Ramsaya. Nie miał zamiaru przejść do porządku dziennego nad opowieścią Danny'ego Kappelhofa o ataku na T-55, którego nie sposób było zniszczyć pod Mutlah.

— Nie lubię przypuszczeń, Steve. Powinieneś to wiedzieć. Nie znoszę zgadywanek. No, gdzie te zdjęcia Mutlah?

Ramsay wyglądał nieswojo. Zerknął na satelitarne fotografie Kuwejtu. Były tak ostre, że przypominały zdjęcia lotnicze, wykonane z wysokości czterech tysięcy metrów. Satelity szpiegowskie typu KH-11 krążyły wokół Ziemi po eliptycznych orbitach, w perigeum, czyli najniższym punkcie, zbliżając się na odległość dwustu kilometrów od powierzchni planety. Ich kamery rejestrowały przedmioty wielkości kilkunastu centymetrów

— T-55 był oczywiście znacznie większy.

— Amerykanie chcą na razie utrzymać szczegóły tej operacji w tajemnicy — powiedział Ramsay. — Z tego, co wiem, nie życzą sobie, by ktoś inny oglądał te zdjęcia. W każdym razie prawdopodobieństwo, że stary czołg zdołał wycofać się z Kuwejtu aż na Mutlah, jest bardzo niskie.

— Tak jak to, że przetrwał starcie z challengerem — dodał sucho Max. — Dobra, Steve. Rozumiem, że nadużywam twojej sympatii. Sam wybiorę się do Mutlah.

Ramsay spojrział ze zdumieniem.

— Jedziesz do Kuwejtu? To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Po prostu. Niemożliwe.

Max zebrał zdjęcia i włożył je do koperty.

— Nie doceniasz własnych możliwości, Steve. Ktoś, kto wypożyczył te fotografie, nie będzie miał też kłopotów z przetransportowaniem mnie do Kuwejtu.

72

— Max, lepiej nie przeciągać struny.

— No cóż, wolisz, żeby jakaś szyszka została oskarżona o to, że odpowiada za zaopatrzenie naszych dzielnych chłopaków w trefną amunicję? Skoro już współuczestniczę w śledztwie, to żądam od innych, by też się wykazali.

Ramsay pojął, że nie ma wyjścia.

— Wiesz, jak nazwałbym cię, Max, gdyby nie moje dobre maniery i wychowanie, jakie odebrałem?

— Sukinsynem? — zaśmiał się Max.

— Właśnie.

ROZDZIAŁ 16

Plastikowa lalka na okładce taniej książki miała różowe, sterczące sutki, co wyraźnie podrażniło uśmiechniętego saudyjskiego celnika, kontrolującego bagaż Leo Bullera.

— Bardzo mi przykro, proszę pana — stwierdził, odrywając okładkę książki — ale takie rzeczy są niedozwolone w Arabii. Saudyjskiej.

Leo przełknął ciętą, złośliwą ripostę. I tak stracił już na tym lotnisku dwie godziny.

Wystarczająco dużo, by zdenerwować się, że Max oderwał go od zajęć i ściągnął do tego kraju. Odprawa poszłaby znacznie szybciej, gdyby nie to, iż każdy komputer obsługiwało czterech urzędników, z których żaden nie miał większego pojęcia, jak to należy robić.

— Ma pan pozwolenie na ten aparat fotograficzny?

— Nie wiedziałem, że muszę mieć takie pozwolenie — stwierdził Leo — ale myślę, iż brytyjska armia jakoś mi je załatwi.

— W Arabii Saudyjskiej należy mieć zgodę nawet na oddychanie, proszę pana — zażartował niespodziewanie celnik. Uśmiechnął się ciepło i pozwolił Bullerowi wstąpić na te piaszczyste ziemie, po których niegdyś stąpał Prorok.

Max czekał na Leo przed budynkiem, gdzie taksówkarze skupili się koło fontanny niczym ćmy.

— Nie jestem szczęśliwy, że mnie tu ściągnąłeś, Max — powiedział Leo, nie podejmując wyciągniętej ręki Maxa. — Dokonałem akurat epokowego odkrycia, kiedy zadzwoniłeś.

Max wziął walizkę Leo.

73

— Chyba znasz mnie na tyle, by wiedzieć, że nie niepokoiłbym cię, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego.

— I to wkurza mnie jeszcze gorzej. Dwie godziny, żeby przebrnąć przez te ich kontrole! Dwie godziny!

— Zapomniałem cię uprzedzić.

— Nie oszczędzili nawet książeczki, którą kupiłem w kiosku na Heathrow.

Max zarechotał.

— Nie wolno tu wwozić nawet gazet, które kiedykolwiek źle pisywały o saudyjskiej rodzinie królewskiej.

Leo zachnął się i spojrzał kpiąco na odprasowany mundur Maxa.

— Po co jeszcze nosisz te ciuchy? Myślałem, że ta idiotyczna wojna już się skończyła.

— Tędy do samochodu.

Leo mszył za Maxem. Kiedy przechodzili przez jezdnię, popatrzył rozczarowany na ciemne niebo. Czytał, że w Rijadzie, najgorętszej stolicy świata, powietrze jest suche i spodziewał się ujrzeć Drogę Mleczną. Jednak niebo pokrywały chmury.

— Pogoda jest fatalna — Max uprzedził pytanie. — Miejscowi twierdzą, że to przez płonące szyby naftowe.

— Widziałem je z samolotu. Sceneria jak z Dantego.

Max otworzył drzwi toyoty i rzucił walizkę Leo na tylne siedzenie. Gdy Buller znalazł się już w wozie, spytał znowu:

— Więc po co tu jestem? — jego zdenerwowanie, wywołane męczącym lotem, stopniowo wyparowywało.

Max wyjechał z parkingu.

— Po pierwsze, Leo, szczerze cię przepraszam za to nagłe wezwanie. Fakty są jednak takie, że oto stanąłem w obliczu czegoś, z czym sam sobie nie poradzę.

Leo spojrzał na niego ze zdziwieniem. Tego typu wyznanie nie było zupełnie w stylu Maxa.

— Chodzi o pewien iracki czołg — ciągnął Max, patrząc przed siebie. — Ale pogadamy o tym w hotelu.

W drodze z lotniska do centrum miasta rozmawiali więc o głupstwach. Gładka nawierzchnia zachęcała do szybkiej jazdy. Jezdnia była dobrze oświetlona i raczej pustawa.

Kwadras po opuszczeniu lotniska Max skręcił w obwodnicę.

74

Minęli baterię antypocisków typu Patriot.

— Wprowadzono zaciemnienie, kiedy Irakijczycy odpalali scudy? — zapytał Leo, zerkając z zaciekawieniem ku ogromnej, jasno oświetlonej wieży ciśnień. Architektura tego bogatego miasta najwyraźniej go interesowała.

— Nie oglądałeś dzienników w telewizji?

— Rzadko. Byłem zbyt zajęty — powiedział Leo. — A kiedy już tak było, to zamiast konkretnych informacji słyszałem jakiegoś mędrka, który gadał, co się teraz stanie. Oczywiście, zawsze się mylił. Coś mi się zdaje, że jestem jedyną osobą na świecie, która nie spędziła ostatnich tygodni z nosem w ekranie.

— Przerwa dobrze ci robi, Leo. Chyba się przepracowujesz. Zastanów się: jaki sens ma zaciemnienie w przypadku ataku rakiet balistycznych?

— Niewielki — przyznał Leo. — A jednak przypominam sobie, że podczas wojny iracko-irańskiej niektóre typy pocisków potrafiły się samonaprowadzać na skupiska światła. Sam mi tłumaczyłeś, jak to działa, o ile sobie dobrze przypominam.

— Tu, w Rijadzie, zapomnij o tamtej rozmowie — rzucił cicho Max.

— Lepiej nie chwalić się dawnymi kontraktami z Irakiem.

Leo się zaśmiał. Lubił zaganiać Maxa w kozi róg — nikomu innemu się to nie udawało. Często wymieniali złośliwości, stanowiło to w zasadzie część ich pracy. Kiedy jeden z nich wpadał na pomysł czegoś nowego, drugi starał się wynajdywać w idei słabe miejsca. Nie traktowali tych przytyków zbyt serio, nie brali ich do serca, choć Leo zarzucał Maxowi brak poczucia humoru. W każdym razie Max przeważnie stawiał na swoim

— tak jak w przypadku tamtego kontraktu z irackim ośrodkiem badań nad bronią rakietową w Mosulu. Irakijczycy byli dobrymi, wypłacalnymi klientami. Przed paroma laty sami Saudyjczycy udzielili im znacznej pomocy finansowej, bojąc się, iż po ewentualnej klęsce Saddama Husajna z Iranem szyicki fundamentalizm rozleje się nad Zatoką Perską.

Toyota zatrzymała się przed hotelem „Hyatt”.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Max. — Zarezerwowałem dla ciebie numer obok mojego. Właśnie opróżniają apartament.

ROZDZIAŁ 17

Hotelowy szlafrok zupełnie nie pasował na Leo. Ów przysiadł na krawędzi łóżka i z napięciem wpatrywał się w ekran. W odtwarzaczu

75

kręciła się taśma z nagraniem starcia challengerów dowodzonego przez kapitana Jacka Ropera z irackim T-55.

— I co o tym sądzisz? — zapytał Max, kiedy kasetą dobiegła do końca. Przedtem uważnie obserwował Butlera.

— Obejrzyjmy ją jeszcze raz. Max ponownie odtworzył zapis.

— A co mam sądzić? — rzekł Leo po powtórnej prezentacji. Napił się łyk coli.

— Na litość boską, Leo. Sam widziałeś. Trzy bezpośrednie trafienia, a czołg umyka nawet nie uszkodzony.

— Logika podpowiada, że challengerowi dostarczono ślepej amunicji. Max niecierpliwie machnął ręką.

— To nonsens. Znasz procedurę kontrolną w fabrykach zbrojeniowych i arsenałach. Testują każdy pocisk po siedem razy w poszczególnych stadiach produkcji. Służby tyłowe zaklinają się, iż to wykluczone, by doszło do takiej pomyłki.

Na Leo nie zrobiło to wrażenia.

— Mnie się zdaje, że jedynym prawdziwym testem pocisku jest po prostu wystrzelenie go. I tak się dzieje w wojsku.

— A co z tym pilotem A 10? Dwa mavericki odpalone w T-55. Dwa! Leo rozwalił się na łóżku, gniotąc wyprasowaną pościel.

— I cóż z tego? W ciągu ubiegłych tygodni zrzucono tony bomb, rakiet, min i czego tam jeszcze... Jakiś drobny procent okazał się zawodny. Tak już bywa.

— Tak się złożyło, że zawiodły w przypadku tego samego czołgu.

— Tego nie wiesz na pewno, Max. Tamten krzyż mógł być symbolem jednostki...

— Ale nie był — rzucił poirytowany Max.

— Sprawdziłeś?

— Oczywiście.

Leo spojrział przeciągle na rozmówcę.

— Znając cię, domyślam się, że sprawdziłeś nie tylko to.

Max przytaknął mchem głowy. Był na tyle dobrym aktorem, że potrafi ukryć zły humor. Leo nie zbywało jednak na bystrości. Zapytał:

— Co więc oznacza odwrócona swastyka, Max?

— To dawny, indyjski symbol szczęścia, przyjaznego losu. Słowo „swastyka” oznacza w sanskrycie „powodzenie”.

76

Informacja nie przypadła do gustu Leo. Usiadł i ściągnął brwi.

— Wiesz co? To idiotyczne. Chryste, ciągniesz mnie na drugi koniec świata, żeby pokazać znak tak często spotykany jak wielbłądzie gówno. Założę się, że napacykowali to na setkach irackich czołgów.

— Powtarzam ci: sprawdziłem i mylisz się — powiedział Max z zimnym spokojem. Zarzuty Leo nie wyprowadziły go z równowagi. — Jestem przekonany, że ludzie z irackiego ośrodka, z którym niegdyś współpracowaliśmy, obmyślili sposób niszczenia nadlatujących na cele pocisków.

Leo parsknął.

— Żartujesz? Te pajace nie byłyby w stanie bez pomocy wyjąć nawet rolki filmu z aparatu fotograficznego.

— Było wśród nich paru zdolnych inżynierów — zauważył Max. — Kerhan, Hailid i kilku jeszcze...

— Egipcjanie. A Saddam Husajn dawno już ich przegnał z Iraku. Chyba teraz Egipt jest po stronie koalicji, prawda?

Max skinął głową.

— Zgadza się z tobą, że to mało prawdopodobne... Ale fakt, że challenger i A 10 nie były w stanie kropnąć tego samego czołgu, nie wygląda już na czysty zbieg okoliczności. Irakijczycy coś mają, Leo. Coś, o czym powinniśmy wiedzieć.

Leo zastanawiał się przez chwilę.

— W porządku. Założmy, że na coś wpadli. Skoro z Zachodu płynęły do Iraku w ubiegłych latach miliardy dolarów, to wszystko jest możliwe. Jednak dlaczego w cud techniki obronnej wyposażyli starego T-55, opracowanego przed ponad trzydziestu laty? Dlaczego nie nowe T-72 z jednostek Gwardii Republikańskiej?

— Mogli wypuścić ten czołg na próbę.

— Rzykując, że wpadnie w ręce wroga?

Max umilkł. Leo znalazł kilka słabych punktów jego teorii, które zresztą jemu samemu nie dawały wcześniej spokoju. Pokręcił głową.

— Może masz rację, Leo. Nie wiem, co o tym myśleć. Dodam tylko, że tamten pilot A 10 dawał głowę, iż z jego maverickami wszystko było w porządku. A starcie czołgów mamy na taśmie.

— Wszystko jedno. Spece z wywiadu pewnie już łamią sobie głowy nad problemem.
— Nie — stwierdził Max ostro. — Na razie jestem jedynym człowiekiem po naszej stronie, która zna oba wypadki. Mamy właściwie wolną

77

rękę w ustaleniu, czemu pociski nie zniszczyły celu. I nie powinniśmy się na razie z nikim dzielić wiedzą...

— ...bo może w tym wszystkim chodzić o pieniądze?

— Otóż to.

Leo wzruszył ramionami.

— A więc co możemy zrobić?

— Polecimy jutro transportowcem RAF-u do Kuwejtu i poszukamy tego czołgu.

ROZDZIAŁ 18 KUWEJT

Niedziela, 3 marca 1991

Leo wyjrzał przez okienko transportowego herculesa RAF-u i popatrzył ze zdumieniem na saudyjską pustynię. W blasku wschodzącego słońca ukazały się na piaskach koleiny wyżłobione wcześniej kołami i gąsienicami pojazdów.

Wkrótce spostrzegł też sznury czołgów i dział samobieżnych, a także wielu innych wojskowych pojazdów.

— Jasna cholera! — zawołał do Maxa, usiłując przekrzyczeć ryk czterech silników transportowca. Starł się usadowić wygodniej na prostym siedzeniu, nie przypominającym w niczym wygodnego fotela pasażerskiego.

Max podszedł do niego i próbował krzyknąć mu coś wprost do ucha. Leo zaczynał żałować, że nie oglądał wcześniej pilniej dzienników telewizyjnych. Wiedział, że do akcji przeciwko siłom irackim mszyła potężna pancerna armada, ale nie miał pojęcia o skali tej akcji militarnej.

Ledwie mógł uwierzyć własnym oczom. Widział długie konwoje, ciągnące na wschód ku wybrzeżu. Zaraz potem spostrzegł smugę gęstego, czarnego dymu z płonących kuwejckich szybów naftowych. Coś osobliwego przykuło jego uwagę i już po chwili zorientował się co: ze wszystkich ciężarówek usunięto przednie szyby, tak że blask słońca nie odbijał się w nich. Przelecieli nad miastem Khafji, gdzie na początku lutego wojska irackie stawiały zacięty opór siłom koalicji.

Kilka minut później spostrzegli miasto Kuwejt. Hercules zatoczył łuk nad wodami Zatoki Perskiej i zbliżył się do lotniska, leżącego na południe

78

od aglomeracji. Początkowo stolica nie wydawała się zbyt zrujnowana, mimo doniesień o wcześniejszych irackich grabieżach i gwałtach. Kopuły pałacu emira zdawały się nienaruszone. Na południe od miasta Leo spostrzegł widok, który nasunął mu skojarzenia z wrotami do piekieł: pod gęstą chmurą ciężkiego dymu płonęły jasno szyby pól naftowych Al Ahmadi. Do pasażerów podszedł przyjaźnie usposobiony sierżant.

— Łądujemy za dziesięć minut, panowie! — zawołał, wskazując na pasy bezpieczeństwa.

Potem zniknął znowu w kabinie pilotów.

Potężny hercules wypuścił główne podwozie. W okienkach pas startowy rósł w alarmującym tempie. Stutonowa maszyna dotknęła kołami betonowego podłoża. Cztery turbiny marki Allison, stanowiące napęd samolotu Lockheed C 130 Hercules, zawyły przeciągle. Dobieg transportowca był zdumiewająco krótki. Maszyna nie wytracała łagodnie prędkości jak samoloty pasażerskie. Silniki natychmiast wyłączyono.

Ciągnik odtransportował herculesa ku poboczu lotniska. To szorstkie lądowanie sprawiło, że Leo z większą wyrozumiałością odniósł się do traktowania pasażerów przez cywilne linie lotnicze. Spojrzał na towarzysza i z cichą radością stwierdził, iż oblicze Maxa jakby stężało. Może twardej Max też nie był ze stali?

— Przepraszamy za małe niedogodności, panowie — powiedział sierżant z wesołym uśmiechem — ale z pełnym obciążeniem ładuje się jeszcze gorzej. Poza tym ledwo co załatano leje na pasach startowych. W zeszłym tygodniu toczyły się tu jeszcze ciężkie walki. Dopiero po opuszczeniu samolotu obaj pasażerowie mogli przekonać się, jakim zniszczeniom uległo tutejsze lotnisko.

Wybite były wszystkie szyby w wieży kontroli lotów, a ściany podziurawione przez kule. Obok budynku ział lej po pocisku artyleryjskim znacznego kalibru. Widzieli też wypalone, poczerniałe wraki T-72 — jednego z najnowocześniejszych czołgów radzieckiej produkcji. Dwa z nich miały odstrzelone wieże i wciąż dymiły. Najbardziej ponury widok przedstawiał jednak zepchnięty na bok szkielet pasażerskiego boeinga 747 Brytyjskich Linii Lotniczych. Maszyna przypominała nieco usmażonego wieloryba.

Nieszczęsny samolot wylądował na kuwejskim lotnisku w sierpniu zeszłego roku — dokładnie w dniu irackiej inwazji na Kuwejt. Przed pierwszą inwazją Iraku na Kuwejt — w 1961 roku — brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wysłało ostrzeżenie do towarzystw lotniczych

79

o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Nie postąpiono podobnie trzydzieści lat później, mając nikłą nadzieję, że pasażerskie samoloty można będzie wykorzystać do ewakuacji personelu tutejszej ambasady. Skończyło się niestety na tym, iż załoga boeinga trafiła w ręce Irakijczyków w charakterze zakładników. A teraz, osiem miesięcy później, kilku angielskich żołnierzy pozowało do pamiątkowego zdjęcia z wypalonym wrakiem odrzutowca w tle.

Leo i Max odeszli od herculesa, z którego zaczęto wylądowywać wielkie kontenery z zaopatrzeniem. Obaj mieli ze sobą racje żywności, przygotowane jeszcze w hotelu. W Kuwejcie obecnie brakowało dosłownie wszystkiego, łącznie z wodą do picia.

Max skrzywił się nieco, czując nikłą, lecz obrzydliwą woń płonącej nafty.

Podjechał do nich nissan, kierowany przez drobną, ciemnowłosą kobietę w mundurze sierżanta. Max zdziwił się nieco na jej widok, gdy otworzyła drzwi wozu.

— Panowie Shannon i Buller? — spytała ze szkockim akcentem. Max i Leo przywitali się z dziewczyną i okazali jej dokumenty oraz

przepustki, które bardzo skrupulatnie obejrzała. Znaleźli się na tylnym siedzeniu i nissan po chwili mszył. Kobieta przedstawiła się jako sierżant Caroline Morgan.

— Przejedziemy szybko przez miasto — wyjaśniła. — Zwykle objeżdżam centrum od północy, ale teraz w Kuwejcie jest tak niebezpiecznie, jak dawniej na Dzikim Zachodzie. Panuje rozgardiasz i bezprawie. Policja dopiero zaczęła rekwirowanie broni ludności. Proszę się nie bać, kiedy usłyszają panowie wystrzały... Miejscowi oddają w powietrze salwy na naszą cześć. W razie poważniejszych kłopotów liczę na to, że pomoże mi znajomość arabskiego. Mam nadzieję jednak, iż do tego nie dojdzie. Na razie bardzo nas tu lubią.

ROZDZIAŁ 19

Nissan, kierowany przez sierżant Morgan, mknął szerokimi, zaśmieconymi alejami Kuwejtu. Nie działała sygnalizacja świetlna, kobieta błyskała jednak przednimi światłami, naciskała klakson i nie zwalniała nawet na chwilę. Uśmiechnięci piesi uskakiwali jej z drogi, pozdrawiając wesoło.

80

Większość mężczyzn miała kałasznikowy AK 47 z zakrzywionymi magazynkami. Pewien chłopak, nastolatek ledwie, dźwigał nowoczesną, sztormową broń — karabinek AKS 74. Sierżant ostro zakręciła kierownicą, omijając gmpkę dzieci, które bawiły się wypaloną oponą.

Mijali ludzi strzelających na wiwat w powietrze, zniszczone domy i bloki, splądrowane sklepy z powybijanymi szybami; szczątki rozbitych straganów zalegały na chodnikach.

Pasażerowie nissana milczeli, za to dziewczynie nie zamykały się usta. Widok za oknami nie nastrajał bynajmniej Maxa i Leo optymistycznie.

— Irakijczycy wpadli w szal, zanim się wycofali — informowała sierżant Morgan. —

Rabowali wszystko, co tylko mogli unieść. Zrywali nawet szyldy nad sklepami.

Nissan skierował się autostradą numer 8 na północ. Na poboczu tliły się zepchnięte, zniszczone pojazdy. Iracki T-72 tkwił wbity w słup sieci wysokiego napięcia. Max i Leo rozglądali się pilnie za poszukiwanym T-55. Shannon poprosił nawet w pewnej chwili sierżant o to, by się zatrzymała. T-55, wbity w ziemię, nie był jednak tym czołgiem, o jaki im chodziło. Realności scenerii przydawały nieco latarnie i oświetlone znaki drogowe, informujące, ile kilometrów pozostało do Bagdadu i Basry. Były niby pomniki dawnego pokoju i kruchej przyjaźni pomiędzy Kuwejtem i Irakiem.

Po obu stronach szosy sklepiki ustąpiły miejsca rezydencjom otoczonym ogrodami. Te — o dziwo — wyglądały na nietknięte.

— Niektóre rejonny pozostawili w spokoju — Caroline Morgan odpowiedziała na pytanie Leo.

— Dziwne, prawda? Nie sposób ich zrozumieć... O, na przykład tutejszy lunapark zdewastowali kompletnie. Zabrali nawet tanie zabawki.

Obłąd. Skręciła drogą na wschód, a potem znowu na północ.

Słońce zaczęło przebijać się przez ponure chmury, połyskując na tafli morza. Na plażach francuscy saperzy poszukiwali antypiechotnych min produkcji włoskiej, zainstalowanych przez Irakijczyków. Stosy wykopanych granatów leżały przygotowane do detonacji. Z daleka przypominały zabawki.

— Sądziłem, że plaże są skażone wyciekającą ropą — powiedział Leo. Sierżant Morgan spojrzała na niego we wstecznym lusterku.

— Prasa nieco przejaskrawiła ten obraz — stwierdziła. — Mimo wszystko spustoszenia ekologiczne są straszne. W telewizji pokazano

81

pewną saudyjską plażę... Dowcip w tym, że została skażona przez ropę z uszkodzonego tankowca. Saudyjskie kobiety opiekują się nadmorskimi ptakami i są szczęśliwe... To jedyna praca, jaką wolno im wykonywać.

— Ironiczne słowa — zauważył sucho Max. — Dobrze, że pani zwierzchnicy, młoda damo, tego nie słyszą.

Dziewczyna na to wybuchła niespodziewanie:

— Tu, w Kuwejcie, zgorzkniałam nie tylko ja — rzuciła, ze złości zaciskając dłonie na kierownicy. — W sierpniu zeszłego roku z Irakijczykami tak naprawdę walczyli tylko palestyńscy wygnańcy. Bogaci Kuwejtczykowie uciekali do Arabii Saudyjskiej w swych limuzynach, aż się kurzyło. A teraz mszczą się na Palestyńczykach, bo Jaser Arafat poparł Saddama Husajna. To Palestyńczycy byli siłą roboczą w tym kraju. Przeciętny Kuwejtczyk nie jest w stanie zrobić nic. Potrafi gadać tylko o procentach i pożyczkach. Proszę sobie wyobrazić, że zażądali od brytyjskich żołnierzy ciężkich pieniędzy za noclegi! I to w jakich warunkach: bez wody, bez światła... Trzysta dolarów za noc! — Zamilkła zeżłona, skupiając całą uwagę na prowadzeniu, wyczuwając, że powiedziała za dużo. Jednak miała to w nosie. Za trzy miesiące miała wyjść za mąż i wystąpić z wojska.

Teraz wóz znalazł się na wzniesieniu na obrzeżach miasta. Słoneczne ciepło z trudem przedzierało się przez kłęby dymu. Blask spadł upiornie na spalone pojazdy zepchnięte na pobocza. Nissan przejechał obok brytyjskiego wozu bojowego w pustynnym kamuflażu. Wartownik w randze kaprała nakazał się zatrzymać. Dziewczyna podała mu przez okno przepustki, ten jednak je zignorował.

— Przykro mi. Nie ma wjazdu — stwierdził.

— Ci panowie są naukowcami pracującymi dla Ministerstwa Obrony — oświadczyła sierżant.

— Poszukują irackiego sprzętu.

— Niestety, sierżancie. Mam wyraźne rozkazy. Tędy nie wolno.

— To jakiś absurd — powiedział Max wytykając głowę. — Przybyliśmy tu z Anglii. Nasze przepustki zostały potwierdzone przez kwaterę główną brytyjskich sił bliskowschodnich. Proszę spojrzeć na te pieczętki.

Kapral zerknął na pasażerów nissana, a potem obejrzał papiery. Nie mógł się zdecydować. Za nissanem przystanął następny samochód terenowy. Trzasnęły drzwiczki. Kapral wyraźnie poczuł ulgę i oddał honory majorowi, który akurat wysiadł z łazika.

— Coś nie w porządku, kapralu? — spytał tamten.

82

— Ci cywile... To jest ci panowie mają przepustki z kwatery głównej, majorze.

Tym razem major rzucił okiem na dokumenty.

— Mamy pozwolenie na dokonanie rekonesansu w tej okolicy — rzekł Max, uśmiechając się słabo. — Wszystko zostało uzgodnione z...

— Jestem tego pewien — odparł major. — Problem w tym, że sytuacja zmienia się z każdą godziną.

— Po co to całe zamieszanie? — zapytał Leo. — Jakaś wielka tajemnica?

Major wyglądał na zmieszanego.

— Nie. Tyle że szykujemy się na przyjazd dziennikarzy. I musimy im zapewnić bezpieczeństwo. Pełno tu niewypałów i Bóg wie czego jeszcze.

— Jesteśmy ekspertami od uzbrojenia — powiedział Max.

— Zatoszczymy się o własne bezpieczeństwo.

— Mają panowie kamery lub aparaty fotograficzne?

— Oczywiście.

Major zastanawiał się przez moment.

— Cóż. Proszę je pozostawić kapralowi Robertsowi w depozyt. Max uśmiechnął się na to.

— Niestety, kamery będą nam niezbędne. Po to tu przyjechaliśmy, żeby coś sfilmować.

Major mszył do swojego wozu.

— Przykro mi, panowie. Albo je panowie zostawiają, albo nie zostaną wpuszczeni do strefy.

Max i Leo musieli ustąpić. Kapral Roberts dokładnie przejrzał ich bagaże. Pozwolił im wziąć ze sobą tylko wodę, kanapki i notesy oraz walizkowe komputery. Wreszcie machnął ręką: droga wolna.

Nissan wspiął się na pobliski pagórek. Tam sierżant zatrzymała wóz i powiedziała szeptem:

— Nie miałam pojęcia, że to tak... Nie miałam pojęcia...

Max milczał, za to Leo wy dobył z siebie jedyne, dosadne słówko:

— O kurwa.

Wpatrywali się niemo przed siebie. Minął niespełna tydzień, odkąd Danny Kappelhof przeleciał nad tą okolicą na swoim A 10. Pobojowisko było przerażające. Cały horyzont zasnuwały dymiące jeszcze niekiedy wraki... wprost niezliczona ilość zniszczonych pojazdów. Max wysiadł z wozu i stanął na miękkim asfalcie. Za nim wy dostał się z wnętrza Leo.

83

— Nie wiem, ile czasu nam to zajmie — Max zwrócił się do sierżant Morgan. — Wcześniej sądziłem, że wystarczy parę godzin, ale... Zdaje się, że trochę więcej.

Sierżant kiwnęła głową. Wyraźnie pobladła, nadal kurczowo ściskając kierownicę.

— Poczekam na punkcie kontrolnym. Chyba przyda mi się łyk mocnej herbaty.

Przez dłuższą chwilę miała problemy z uruchomieniem silnika. Wreszcie odjechała.

— A więc... Od czego zaczniemy? — zapytał Leo dziwnie odmienionym głosem.

Max nie odpowiedział. Wyciągnął połową lornetę i zaczął nią lustrować horyzont. Szosa usiana była wrakami. Jego interesowały jedynie wozy bojowe. Dostrzegł pływający czołg

typu PT-76, z dziurą ziejącą w burcie. Dalej T-72 z odstrzeloną wieżą. Stary transporter typu ZIL. Wreszcie jakiegoś T-55.

— Mam jednego — odezwał się i po chwili dodał. — I następnego.

— Stoimy na pagórku. Może zrobimy prowizoryczny szkic — podsunął Leo.

Max przytaknął:

— Dobry pomysł.

Przez pół godziny oznaczali na mapie położenie zniszczonych T-55.

— Wystarczy — stwierdził Max, gdy postawili około dwudziestu krzyżyków. — Teraz obejrzymy je z bliska.

Wsiedli do wozu. Leo zaczął się pocić. Zdumiewało go opanowanie Maxa. Niektóre dogorywające czołgi rozgrzane były niemal do czerwoności. Dojechali do wielkiego dołu, gdzie żołnierze w maskach składali zwłoki w plastikowych workach. Trudno było im stwierdzić, ile warstw trupów już ułożono. Nad lejem unosił się mdlący swąd.

Zbiorowy grób dla ofiar komputerowej masakry... Suchy piasek pustyni miał zmumifikować ludzkie szczątki. Być może po upływie setek lat archeologowie odkryją ten wielki grobowiec pod Multah.

Żołnierze, którym przypadła niewdzięczna rola grabarzy, nie zwracali uwagi na przybyszów. Z jednego z worków wystawała zeszywniała ręka. Bez ceremonii wsunięto ją butem do wnętrza.

— Jezu Chryste — odezwał się Leo. — Chowają tu też zwłoki kobiet i dzieci.

84

Kobiety z dziećmi i tu miały pierwszeństwo. Gdy reporterzy zobaczą zwłoki irackich żołnierzy, nie będzie afery. Chodziło jednak o to, by na zwycięstwo nie padł ludobójczy cień. Wiktoria pod Mutlah miała stać się legendą, opowiadaną z dumą następnym pokoleniom.

— Irakijczycy wzięli kuwejckie dzieci i kobiety na zakładników — wyjaśnił obojętnie Max, stąpając po piachu. Wskazał na pozbawionego wieży T-55. — Poszukajmy wieży. Musi być gdzieś blisko.

Nie zwrócił uwagi na czaszkę denata sterczącą z luku.

Leo owszem. Zdał sobie też sprawę, skąd bierze się ten uporczywy bzyk, jaki słyszał już od pewnego czasu. To były muchy. Całe roje, krążące w rozgrzanym powietrzu nad pobojuwiskiem. Znaleźli zniszczoną wieżę, która przypominała skorupę ogromnego, czarnego żółwia. Max przyjrzał się jej i stwierdził:

— Nie, nie ta.

Historia powtórzyła się w następnych przypadkach. Max, zimny i nieporuszony wskazał palcem.

— Jeszcze jeden, tam, po prawej.

Wrak ciężarówki zdał się przyssać do T-55. Dwa wraki wyglądały jak zwłoki mechanicznych kochanków. Leo otarł się przypadkowo o wystającą, poczerniałą rękę kierowcy ciężarówki, sterczącą z kabiny. Mimowolnie krzyknął.

Max odwrócił się i popatrzył na bladego kolegę.

— Co się stało, Leo? Leo aż się skrzywił.

— Chryste, człowieku. Nie rozumiesz? Nic tu nie znajdziemy, Max. Na Boga, wynośmy się stąd.

Max ironicznie machnął ręką.

— Nie znajdziemy, jak nie będziemy szukać.

— Straszne miejsce. Max rozejrzał się wokół.

— Owszem, straszne. Ale taka jest rzeczywistość, Leo. Jeśli przeraża cię pole bitwy, nie powinieneś konstruować broni.

— To nie pole bitwy, do licha! To cholerna masakra!

— Co za różnica, Leo?

Leo wiedział, że Max potrafi być zimny i bezwzględny. Dzięki tej cesze odnosił sukcesy w interesach. Tu chodziło jednak o coś innego.

85

— Chodźmy — rzekł Max. — Znajdźmy tamten czołg — urwał i wskazał na autobus typu Mercedes, który wydawał się nie zniszczony. Ocalały nawet szyby. — Może wejdiesz na dach i rozejrzysz się wokoło? Autobusy mają czasem z tyłu drabinę.

Ten drabinki nie miał. Leo wszedł przez otwarte drzwi do wnętrza pojazdu. Przez chwilę przyzwyczał wzrok. Z początku zdawało mu się, że widzi kolorowe zwoje ubrań, porzucane na siedzeniach. Zaraz jednak poczuł ucisk w żołądku. Zakrwawione ubrania kryły nieruchome zwłoki zastygłych w dziwacznych pozach kobiet i mężczyzn.

Wyglądało to jak fotografia jakiejś makabrycznej orgii.

Jeden z nieboszczyków zdawał się spoglądać na Leo spod przymkniętych powiek, uśmiechając się jak w ekstazie. Leo popatrzył na boki; ściany autobusu podziurawione były niczym rzeszoto. I to pociskami znacznych kalibrów — nie tymi z broni ręcznej, jakie pokazywano po zamachach dokonywanych przez IRA w Irlandii Północnej.

Coś poruszyło się u jego stóp. Dotknęło jego kostki.

Spojrzał w dół i dostrzegł szczupłe palce; dłoń kurcząca się i otwierająca z wolna. Kobięcą rękę. Wtedy usłyszał zduszony jęk. Ktoś przeżył tu tydzień, co samo w sobie było koszmarnie. Owa nieszczęsna ofiara usiłowała schwycić Leo za nogę, zatrzymać go, wciągnąć w ten horror. A Leo bynajmniej tego nie pragnął. Nie chciał, by Mutlah utkwilo w jego pamięci — bo wtedy czułby się współwinny tej potwornej masakry. Na słabych nogach wytoczył się z autobusu i pobiegł ku wydmom, w stronę odległego morza. W widoku morza chciał właśnie znaleźć ukojenie. Wody były czyste i przejrzyste.

Słyszał, jak Max woła za nim, ale nie przestawał uciekać.

Buty zapadały mu się w piasku. Dotarł na skraj wydmy i o mało się nie przewrócił. Stracił teraz z oczu Mutlah, choć nawet tu widział jakiś wojskowy pojazd. Podeszedł bliżej i oparł się ręką o stalowy kadłub. Sięgnął po bidon, ale dłonie drżały mu tak, że prawie upuścił go na piasek. Wypił potężny łyk, by splukać z gardła mdlący smak, obraz smukłej, delikatnej dłoni z wnętrza autobusu wciąż tkwił mu przed oczami.

Dobry Boże, błagał w myślach. Obym o tym zapomniał. Spraw, bym zapomniał!

— Dobra robota, Leo! Brawo! — to był głos Maxa.

Leo otworzył oczy. Szedł ku niemu Max i szeroko się uśmiechał. Już dawno nie widział Maxa tak zadowolonego.

87

— Chodźmy — rzekł Max. — Znajdźmy tamten czołg — urwał i wskazał na autobus typu Mercedes, który wydawał się nie zniszczony. Ocalały nawet szyby. — Może wejdiesz na dach i rozejrzysz się wokoło? Autobusy mają czasem z tyłu drabinę.

Ten drabinki nie miał. Leo wszedł przez otwarte drzwi do wnętrza pojazdu. Przez chwilę przyzwyczał wzrok. Z początku zdawało mu się, że widzi kolorowe zwoje ubrań, porzucane na siedzeniach. Zaraz jednak poczuł ucisk w żołądku. Zakrwawione ubrania kryły nieruchome zwłoki zastygłych w dziwacznych pozach kobiet i mężczyzn.

Wyglądało to jak fotografia jakiejś makabrycznej orgii.

Jeden z nieboszczyków zdawał się spoglądać na Leo spod przymkniętych powiek, uśmiechając się jak w ekstazie. Leo popatrzył na boki; ściany autobusu podziurawione były niczym rzeszoto. I to pociskami znacznych kalibrów — nie tymi z broni ręcznej, jakie pokazywano po zamachach dokonywanych przez IRA w Irlandii Północnej.

Coś poruszyło się u jego stóp. Dotknęło jego kostki.

Spojrzał w dół i dostrzegł szczupłe palce; dłoń kurcząca się i otwierająca z wolna. Kobięcą rękę. Wtedy usłyszał zduszony jęk. Ktoś przeżył tu tydzień, co samo w sobie było koszmarnie. Owa nieszczęsna ofiara usiłowała schwycić Leo za nogę, zatrzymać go, wciągnąć w ten

horror. A Leo bynajmniej tego nie pragnął. Nie chciał, by Mutlah utkwiło w jego pamięci — bo wtedy czułby się współwinny tej potwornej masakry. Na słabych nogach wytoczył się z autobusu i pobiegł ku wydmom, w stronę odległego morza. W widoku morza chciał właśnie znaleźć ukojenie. Wody były czyste i przejrzyste.

Słyszał, jak Max woła za nim, ale nie przestawał uciekać.

Buty zapadały mu się w piasku. Dotarł na skraj wydmy i o mało się nie przewrócił. Stracił teraz z oczu Mutlah, choć nawet tu widział jakiś wojskowy pojazd. Podszedł bliżej i oparł się ręką o stalowy kadłub. Sięgnął po bidon, ale dłonie drżały mu tak, że prawie upuścił go na piasek. Wypił potężny łyk, by spłukać z gardła mdlący smak, obraz smukłej, delikatnej dłoni z wnętrza autobusu wciąż tkwił mu przed oczami.

Dobry Boże, błagał w myślach. Obym o tym zapomniał. Spraw, bym zapomniał!

— Dobra robota, Leo! Brawo! — to był głos Maxa.

Leo otworzył oczy. Szedł ku niemu Max i szeroko się uśmiechał. Już dawno nie widział Maxa tak zadowolonego.

87

— Dziwiłem się, gdzie cię tak goni.

Leo zdał sobie naraz sprawę, że stoi oparty o czołg. Czołg typu T-55.

Na jego wieży widniała namalowana białą farbą odwrócona swastyka. ROZDZIAŁ 20

Max porównał swastykę z wieży T-55 ze zdjęciem utrwalonym przez obiektyw kaprala Alana Dearborna, kierowcy challenger. Nie było mowy o pomyłce. Szczegóły wskazywały na identyczność. Obszedł wolno czołg wokół; nie dostrzegł większych uszkodzeń — poza drobnymi usterkami lewej gąsienicy. — Prawie zupełnie nie uszkodzony — powiedział Max do Leo. — Nawet karabiny maszynowe całe. Dobra... Zajrzyjmy do środka.

Obaj wspięli się na osłonę podwozia. Max zajrzał do wnętrza przez właz dowódcy. W środku nikt nie zginął, co ucieszyło Maxa — nie chciał bowiem poplamieć sobie nowego munduru.

— Jeśli w tym czołgu rzeczywiście zainstalowali jakiś niezwykły sprzęt, to pewnie też zabezpieczyli się przed intruzami... Ładunek eksplodujący przy dotknięciu — ostrzegł Leo, gdy Max wsuwał się do wnętrza T-55.

Max tylko kiwnął głową.

— Wiem. Uprawiamy ryzykowne zajęcie, Leo.

W środku Max rozglądał się pilnie. Poczuł się nieco rozczarowany — nie dostrzegł nic niezwykłego. Żadnych cudów techniki. Nawet szwajcarskich celowników, jakie zdarzały się w nowszych irackich czołgach. Zwyczajny, przestarzały T-55 — niewiele się różniący od T-34 z czasów drugiej wojny światowej, stojącego w muzeum w Bovington. Kilka pocisków kalibru 100 mm. Niewiele śladów walki.

— Masz coś? — spytał Leo, zaglądając z góry.

— Nic — odparł krótko Max, przyglądając się stanowisku kierowcy.

Uwagę Leo natomiast przykuło pudełko na cygara, do którego przytwierdzona była na łańcuszku srebrna figurka świętego Krzysztofa. Wyciągnął rękę i podniósł pudełko.

Było ciężkie.

— Znalazłem twoją tajemniczą broń, Max.

Max zerknął szybko i na widok figurki skrzywił się z niesmakiem.

88

— To miał być żart? Bo ja się na takich dowcipach nie znam. Wysunął się przez właz, usiadł obok Leo na wieży czołgu i zapytał: — A co takiego niezwykłego w świętym Krzysztofie?

— Irakijczycy to muzułmanie, tak?

— Nie wszyscy. W Iraku żyją społeczności chrześcijańskie i żydowskie. Było straszne zamieszanie, kiedy nasza bomba trafiła w synagogę. Saddam Husajn nie prześladował ludzi z powodów religijnych. Sam jest tylko malowanym muzułmaninem. Na pielgrzymkę do Mekki wybrał się zaledwie raz.

Tymczasem Leo otworzył pudełko. Zawierało kilka rodzinnych fotografii i plik listów napisanych po arabsku.

— Nie rozumiem — rzekł Max. — Na pewno znaleźliśmy przecież właściwy czołg... Leo go nie słuchał. Zdumiała go znakomita jakość papieru listowego. Dla kogoś te listy stanowiły cenną rzecz, może pamiątkę. Na znaczkach, na kopertach widniał profil jakiegoś Araba, lecz nie Saddama Husajna. Był to Saa'd bin Abi Waqqass, dawny władca Mezopotamii, z którym Saddam lubił się identyfikować. Zaczął przeglądać zdjęcia. Pierwsze przedstawiało małżeństwo w zachodnich strojach, trzymające za ręce dziesięcioletka o poważnym wyrazie twarzy. Chłopiec, podobnie jak jego matka — i to zdziwiło Leo — miał jasne włosy. Dla kontrastu włosy ojca było kruczoczarne, a cera śniada. Typowe zdjęcie radosnej rodziny. Następne było jeszcze dziwniejsze. Najwyraźniej zostało wykonane w tym samym czasie i w tym samym miejscu... które Leo w tej chwili rozpoznał. Obie fotografie zrobiono w Londynie — na moście westminsterskim, z budynkiem Parlamentu w tle.

Znalazł jeszcze inne zdjęcia: rodzina przed bankiem, wokół sportowego jaguara. Ów bank był londyńską filią Kurdyjskiego Narodowego Banku Inwestycyjnego. Zdjęcia w bardzo angielskich ogrodach... Dalej fotka z ojcem obok jaguara. Samochód zasłaniał pierwsze litery napisu na kamienicy, który dalej brzmiał: ...INGHAM COURT. Na ostatniej fotografii zobaczył samotną matkę. Uśmiechała się; wyglądała zgrabnie i smukło w sukience. Jej jasne włosy przewiązane były wstążką.

— Spójrz na to — zwrócił się do Maxa Leo. Max bez entuzjazmu przejrzał zdjęcia.

— I co powiesz, Max?

— A co mam powiedzieć? Jeden z członków załogi to nadziany facet, który mógł sobie pozwolić na wakacje w Anglii. Interesujące.

89

Leo potrząsnął głową.

— Nie sądzę, by w skład załogi wchodził ten ciemny gość. Raczej chłopak. Przyjrzyj się tablicy rejestracyjnej jaguara. Takich nie używa się od dziesięciu lat. Chłopakowi pewnie stuknęła już dwudziestka. Wiek w sam raz na poborowego.

Max przytaknął.

— Możliwe. Ale schowaj to z powrotem. Niech wojskowi się tym zajmą i dopilnują, by Czerwony Krzyż przekazał zdjęcia rodzinie.

Leo znowu go nie słuchał. Zerknął na jeden z listów.

— Wielkie nieba — mruknął. — Ten jest po angielsku. Max odebrał mu list i zaczął czytać:

DROGA ANDY

TWÓJ LIST DOTARŁ OZDOBIONY CZERWONĄ PIECZECIĄ I DOPIERO PO TRZECH TYGODNIACH Z POWODU BOMBARDOWAŃ. NIE MOGĘ NAPISAĆ CI GDZIE TERAZ JESTEM, ALE BYŁEM BARDZO SZCZĘŚLIWY, ŻE ODEZWAŁAŚ SIĘ DO MNIE. NAUCZYŁEM SIĘ ROBIĆ GRZMOTY, TAK JAK MI POKAZAŁAŚ I WCIAŻ UCZĘ SIĘ NOWYCH SZTUCZEK Z PIŁECZKAMI TENISOWYMI. ZNÓW ROZPOCZĘŁO SIĘ BOMBARDOWANIE, WIĘC DOKOŃCZĘ LIST JUTRO....

Było jasne, że pisanie listu zostało zakłócone.

Litery były duże, wyraźne, drukowane. Max powtórnie przebiegł wzrokiem osobliwy list i spojrzał na Leo. Tym razem wyglądał na skołowanego.

—,potrafię teraz wywołać grom, tak jak mi pokazywałaś..." — powtórzył. — Na Boga, Leo! O tym właśnie wspomniał pilot A 10. Grom! Załoga challengerów również! Coś huknęło jak grom!

ROZDZIAŁ 21

POŁUDNIOWY IRAK

Trudno uwierzyć, że ten płaski sumeryjski krajobraz po obu stronach łodzi był kilka tysięcy lat temu kolebką cywilizacji. Piętnastometrowa tratwa, na której teraz płynęli Nuri i Khalid, niewiele różniła się od prymitywnych stateczków, jakimi żeglowano przed wiekami po Tygrysie.

90

Jedyne novum stanowił rachityczny, krztuszący się motor. Z Babilonii mnóstwo pokoleń spławiało Tygrysem i Eufratem jedwab, złoto, kamienie szlachetne, korzenie i cenne gatunki drewna.

Czterdzieści stuleci wstecz Hammurabi zapewnił temu regionowi względną stabilizację polityczną. Skodyfikował starożytne babilońskie prawa, obejmujące niemal każdą dziedzinę ludzkiej działalności — handel, zatrudnienie, stosunki między kobietami i mężczyznami; założył biblioteki, szkoły i uniwersytety. Potem ziemia ta przeżyła wiele najazdów — zapanowały rządy okrutnych despotów i tyranów. Najgorszy z nich był jednak ten obecny. Traktował swój lud z wyjątkowym barbarzyństwem, odznaczając się przy tym arogancją, chciwością, sadyzmem. I ściągnął na siebie nienawiść sąsiadów oraz całego cywilizowanego świata.

Mrok panował we wsiach i osadach mijanych po drodze.

Elektrownie były systematycznie bombardowane w ostatnim czasie. Pompy nie pracowały, co oznaczało groźbę powodzi dla pobliskich wiosek i miast. Wzdłuż lewego brzegu biegła autostrada z Basry do Bagdadu i dalej na północ do Kurdystanu. Ku zaskoczeniu Nuriego na szosie panował znaczny ruch. W ciągu dnia traktem przeciągały wojskowe transporty — ciężarówki, transportery opancerzone, samobieżne działa i przysadziste T-72 z 10. Irackiej Brygady Pancерnej. Jednostka posuwała się na południe, aby zgnieść szyckie powstanie. Wyglądało na to, że Saddam Husajn nadal dysponuje znacznymi rezerwami paliwa. Można było jednak także ujrzeć cywilne pojazdy: autobusy, samochody, nawet taksówki z Bagdadu. Nawoływania sternika wyrwały Nuriego z zadumy. Arab wskazywał na zniszczony most przed nimi, trafiony w sam środek: jego fragmenty wpadły do rzeki. Trzeba było zręcznie manewrować, aby nie wpaść na sterczące zwały betonu. Owo manewrowanie zajęło dobrą godzinę. Bez wątplenia w dalszej drodze na północ czekało ich jeszcze wiele takich przeszkód. Alianci zniszczyli bowiem wszystkie ważniejsze przeprawy na Tygrysie i Eufracie — część z nich saperzy Husajna szybko zastąpili mostami pontonowymi, które w razie zagrożenia można było szybko zdemontować.

Gdy ruszyli dalej, Nuri zaczął naradzać się po cichu z Khalidem. Postanowili opuścić łódź, kiedy dotrą do Amarah.

— Jak będzie trzeba — odpowiedział Nuri na pytanie Khalida

— weźmiemy taksówkę do Mosulu. Pieniądzy nam wystarczy. Skoro świat oszalał, to czemu nie mielibyśmy zaszaleć i my?

ROZDZIAŁ 22

POŁUDNIOWA ANGLIA Wtorek, 5 marca 1991

Liczący trzydzieści dwa lata Lloyd Wheeler nadal kipiał młodzieńczą energią. Był w stanie pracować bez ustanku. Do południa zrobił szkic rozkładówki do kolejnego numeru magazynu, zdążył spotkać się z finansistami, zerwał umowę leasingowa z towarzystwem wynajmującym samochody i nawet nakreślił parę zdań o swej nieudanej wyprawie do Singapuru. Della przyniosła mu lunch: kanapki z kurczakiem i kawę w plastikowym kubku. Rzadko miał zwyczaj wyskakiwać na posiłek do pobliskiej knajpki.

To właśnie dzięki pracowitości Lloyd awansował szybko w „Science UK”. Co roku jakiś skok w górę. Raz na miesiąc odwiedzał swoich rodziców, którzy prowadzili sklepik w okolicach Oxfordu. Matce nie podobało się mieszkanie, a także dziewczyny, które przewijały się przez jego życie.

Miała konserwatywne poglądy i upierała się, by wreszcie się ustatkował. Słowo „stateczność” napawało jednak Lloydą zgrozą. O wpół do pierwszej zostawił Delii wiadomość, że można go złapać pod numerem telefonu komórkowego i wyruszył za kierownicą żółtego lotusa ku Epsom. Ten wóz także nie przypadł do gustu matce — twierdziła, że trzeba płacić za niego horrendalnie wysokie ubezpieczenie. I miała rację; pewnie by zemdląła, dowiadując się, ile naprawdę kosztował. Lloydowi jednak podobały się takie wozy już od dzieciństwa, gdy oglądał w telewizji sensacyjne seriale.

ROZDZIAŁ 23

Ted Prentice nie cierpiał imienia „Edward”, które uważał za pretensjonalne. Był on niskim facetem, ze zgryźliwym poczuciem humoru i mierzwą siwych włosów. Wyglądał starzej niż na swoje sześćdziesiąt lat. Cieszył się opinią zdolnego psychiatry, ale miał wyjątkowy talent czynienia sobie z ludźmi wrogów. Mimo to Lloydowi od razu się spodobał.

92

— Musimy wyjść na zewnątrz — warknął Ted Prentice, siadając na ławeczce obok małego boiska. — Terroryzują mnie tu, każąc palić na dworze. Z początku dobieierałem specjalnie łagodny tytoń, ale tego im było mało... Zgodziłem się na rozmowę z panem, licząc na przeprosiny za artykuł, jaki pan kiedyś o mnie naskrobałeś.

— Po pierwsze — stwierdził Lloyd — to nie ja go napisałem. A po drugie, ukazał się w innej gazecie... Nie tej, w której pracuję.

— A więc nie będzie przeprosin?

— Nie.

— Jesteś pan szczery. No to możesz pan spadać. — Psychiatra nabił staroświecką fajkę tytoniem.

— Przyjechałem tutaj, aby porozmawiać o autystycznych dzieciach, wykazujących pewne szczególne zdolności. Skoro oczekuje pan komplementu, to proszę: uważają pana za czołowy autorytet w tej dziedzinie.

— Jestem największym autorytetem w tej dziedzinie — poprawił Prentice. — Niechże pan spocznie.

Lloyd usiadł. Wolał wprawdzie przechadzkę, bo ubrał się zdecydowanie za lekko jak na marzec i czuł, że się przeziębi. Prentice jednak wyglądał na typa, który nigdy nie marznie i co rano bierze lodowaty prysznic.

— A co pan wie, młody człowieku, o kretynkowatych geniuszach?

— Nie takiego zwrotu użyłem — rzekł Lloyd, wyczuwając, że konwersacja kiepsko się zaczyna.

Prentice odpowiedział śmiechem.

— Naturalnie. Wpoili w pana stereotypowe myślenie. „Kretyn” to przecież termin medyczny, choć i staroświecki. W Ameryce można teraz trafić na krzesło elektryczne za posługiwanie się słowami „kulawy” albo „ślepy”. Spece od Orwellowskiej nowomowy wymyślili „niepełnosprawnych” — spojrzął na Lloydą spod krzaczastych brwi. — Termin „kretynkowaci geniusze” wprowadził Langdon Down. Słyszał pan chyba o nim, co?

— Ten od zespołu Downa?

Lloyd zdobył punkt. Prentice chciał coś powiedzieć, ale zagłuszyła jego słowa grupa hałaśliwych nastolatków, którzy znaleźli się na boisku.

— Będzie mecz, jak co wtorek. Może się panu spodoba.

Dzieci, na wózkach inwalidzkich, pokrzykując, zaczęły odbijać wielką lekką piłkę. Miały od dziesięciu do trzynastu lat. Niektóre z nich nie

93

były w stanie nawet utrzymać prosto głów, ale wszystkie bawiły się znakomicie. Od czasu do czasu dochodziło do niegroźnych zderzeń aluminiowych wózków.

— Jestem chyba jedynym lekarzem, który posługuje się jeszcze dawną terminologią — zauważył Prentice. — Inni wypełniają bezsensowne instrukcje ministerialne. W czasach Downa idiotą określano człowieka, który osiągał bardzo kiepski wynik w testach na inteligencję. Teraz rządzą bezmyślni biurokraci... — tu Prentice zaśmiał się, najwyraźniej nie mając pojęcia, że Lloyd wszystko nagrywa na miniaturowym magnetofonie trzymanym pod pazuchą. — Geniusz albo „savant”... To francuskie słowo. Znaczy tyle co „mądry”. Więc co chce pan wiedzieć, panie Wheeler?

— Wszystko. Widziałem dokumentalny film zrealizowany przez BBC o Stephenie Wiltshire. Moja wiedza jest ograniczona, chociaż kiedyś napisałem artykuł o opiece nad autystycznymi dziećmi.

Jedna z drużyn zdobyła gola, co wywołało radosne okrzyki. Doktor Prentice zaciągnął się dymem z fajki.

— Stephen Wiltshire to niezwykle chłopiec. Ale nie on jedyny. Weźmy Richarda Wawro. Zdębiałby pan na widok jego obrazków. Iloraz inteligencji około trzydziestu punktów, zupełnie niewidomy, a jednak potrafi rysować kredkami tak jak nikt. Stworzył już tysiące rysunków

I wszystkie dokładnie pamięta. Jego dzieła kolekcjonuje Margaret Thatcher. I jeszcze jedno dziecko, chyba najstawniejsze. Leslie Lemke. Amerykanka. Ślepa. Zahamowana w rozwoju. A mimo to Leslie potrafi odegrać na pianinie każdy utwór muzyczny, jaki wcześniej słyszała tylko raz. Potrafi też improwizować na temat. Geniusz muzyczny. Mentalnie... upośledzone dziecko. Doskonała pamięć słuchowa. Dalej... Nick Mollart... Obecnie pracuje dla prywatnej agencji detektywistycznej w Londynie. Iloraz inteligencji: czterdzieści. Trzeba go karmić, ale za to pamięta miliony nazwisk, adresów, numerów telefonicznych. Przytacza na zawołanie personalia zaginionych przed laty. Tak jakby połknął książkę telefoniczną. Komputer zamiast mózgu... Chce pan zamienić kilka słów z jednym z takich osobników?

Pytanie zaskoczyło Lloyda. Nim odpowiedział, Prentice zawołał:

— Paul! Chodź tu na chwilę!

Jasnowłosy dziesięciolatek podjechał do ławki na elektrycznym wózku.

94

— Paul to genialne dziecko — powiedział Prentice.

Lloyd przywitał się z chłopcem i uśmiechnął się. Dostrzegł to osobliwe, bezosobowe spojrzenie, jakie wcześniej widział w oczach André.

— Paul zna na pamięć kalendarz stuletni. Proszę podać mu datę i rok, a on odpowie, jaki był wtedy dzień tygodnia. Proszę go zapytać o daty wszystkich piątków w 1066 roku, a on poda je bez wahania. Wie, kiedy przypadała Wielkanoc miliony lat wstecz. Można będzie wszystko sprawdzić na komputerze w moim gabinecie.

Lloyd wyciągnął z plecaka własnego laptopa.

— Ma pan wgrany kalendarz? — spytał Prentice.

— Specjalny program — wyjaśnił Lloyd uruchomiwszy komputer. Paul czekał cierpliwie, aż przybysz upora się z klawiszami. — W porządku, Paul. 19 marca 1856... Jaki to był dzień tygodnia?

— Środa — odparł Paul beztrząsco.

— Świetnie.

Paul uśmiechnął się wesoło. Teraz Lloyd wybrał datę swojego urodzenia:

— A 20 czerwca 1960?

— Poniedziałek — dziecko nie zawahało się nawet na sekundę.

— Znakomicie, Paul.

Lloyd odnalazł pierwszy dzień stulecia.

— 1 stycznia 1901?

— Wtorek.

Lloyd zapomniał, że jest mu zimno. Uśmiechnął się do chłopca. Było jasne, że ów uwielbia popisywać się swym talentem.

— A 1 stycznia 2001?

— Będzie to poniedziałek.

Lloyd podjął jeszcze parę prób. Za każdym razem Paul bezzwłocznie podawał właściwą odpowiedź. Potem pytanie wtrącił Prentice:

— Paul, powiedz, ile sekund zawiera się w stu latach? Tym razem dziecko odpowiedziało po krótkim namyśle.

— 3.155.760.000, jeśli uznamy, że na rok wypada 365 i 25 setnych dnia. Doktor w nagrodę uściskał chłopca i pozwolił mu się oddalić i wrócić do gry.

— Niesamowite — przyznał Lloyd, potrząsając głową i patrząc za wózkiem Paula.

95

— A jednak, gdyby zapytał go pan, ile jest dwa plus dwa, zdenerwowałby się i popadł w stupor.

— Nie umie dodawać? Jak to?

— Nie powiedziałem, że nie potrafi dodawać. Po prostu nie radzi sobie z abstrakcyjnymi pojęciami. Przeciętny człowiek, zapytany ile jest dwa i dwa, odpowiedziałby natychmiast: cztery, nie zastanawiając się „cztery czego”. Ale dni, miesiące, lata nie są już abstrakcją.

— Jak on to robi? — zainteresował się Lloyd, patrząc z daleka na Paula. — Błyskawicznie wyszukuje datę? Pamięta cały kalendarz?

— Gdyby posługiwał się pamięcią, jego zdolności byłyby siłą rzeczy ograniczone. Nie... On liczy. Zwrócił pan uwagę, jak zastanawiał się, ile jest sekund w stuleciu. Podał dokładny wynik?

— Owszem. Nawet z uwzględnieniem poprawki.

— Skąd pan wie, że nie odwołuje się do pamięci? Na pewno pytał go pan już o to w przeszłości.

Prentice potrząsnął głową.

— Paul nie potrafi odwoływać się do minionych chwil. Gdyby pokazał mu pan kilka przedmiotów i następnie je schował, to on nie powiedziałby, co widział przed sekundą. A jednak rachuje z niesłychaną szybkością. Czasem musi się zastanowić...

— Na przykład kiedy?

— Pytanie o Wielkanoc sprawiło mu kłopot. Corocznie datę Wielkiej Nocy ustala się na podstawie skomplikowanej formuły, ustalonej w czwartym wieku na soborze nicejskim. Święto wypada w różnych miesiącach. Rozwiązanie problemu, kiedy wypadała Wielkanoc milion lat wstecz, zabrałoby Paulowi sporo czasu.

— Jak długo?

— No... Z dziesięć sekund. Nie więcej niż piętnaście.

Lloyd wybuchnął śmiechem. Czuł, że lubi tego Prentice'a coraz bardziej.

— Właściwie — przyznał — Paul jest drugim tego rodzaju dzieckiem, jakie spotkałem.

— A kto był pierwszym? Znam wszystkie takie przypadki na obszarze Wielkiej Brytanii.

Lloyd opowiedział mu o locie z Singapuru, o André i jej niezwykłym poczuciu czasu.

Prentice natychmiast wykazał zainteresowanie:

— Jak się nazywała?

96

— A jednak, gdyby zapytał go pan, ile jest dwa plus dwa, zdenerwowałby się i popadł w stupor.

— Nie umie dodawać? Jak to?

— Nie powiedziałem, że nie potrafi dodawać. Po prostu nie radzi sobie z abstrakcyjnymi pojęciami. Przeciętny człowiek, zapytany ile jest dwa i dwa, odpowiedziałby natychmiast: cztery, nie zastanawiając się „cztery czego”. Ale dni, miesiące, lata nie są już abstrakcją.

— Jak on to robi? — zainteresował się Lloyd, patrząc z daleka na Paula. — Błyskawicznie wyszukuje datę? Pamięta cały kalendarz?

— Gdyby posługiwał się pamięcią jego zdolności byłyby siłą rzeczy ograniczone. Nie... On liczy. Zwrócił pan uwagę, jak zastanawiał się, ile jest sekund w stuleciu. Podał dokładny wynik?

— Owszem. Nawet z uwzględnieniem poprawki.

— Skąd pan wie, że nie odwołuje się do pamięci? Na pewno pytał go pan już o to w przeszłości.

Prentice potrząsnął głową.

— Paul nie potrafi odwoływać się do minionych chwil. Gdyby pokazał mu pan kilka przedmiotów i następnie je schował, to on nie powiedziałby, co widział przed sekundą. A jednak rachuje z niesłychaną szybkością. Czasem musi się zastanowić...

— Na przykład kiedy?

— Pytanie o Wielkanoc sprawiło mu kłopot. Corocznie datę Wielkiej Nocy ustala się na podstawie skomplikowanej formuły, ustalonej w czwartym wieku na soborze nicejskim. Święto wypada w różnych miesiącach. Rozwiązanie problemu, kiedy wypadała Wielkanoc milion lat wstecz, zabrałoby Paulowi sporo czasu.

— Jak długo?

— No... Z dziesięć sekund. Nie więcej niż piętnaście.

Lloyd wybuchnął śmiechem. Czuł, że lubi tego Prentice'a coraz bardziej.

— Właściwie — przyznał — Paul jest drugim tego rodzaju dzieckiem, jakie spotkałem.

— A kto był pierwszym? Znam wszystkie takie przypadki na obszarze Wielkiej Brytanii.

Lloyd opowiedział mu o locie z Singapuru, o André i jej niezwykłym poczuciu czasu.

Prentice natychmiast wykazał zainteresowanie:

— Jak się nazywała?

96

— André.

— A nazwisko?

— Nie miałem okazji się dowiedzieć.

— Taki z pana dziennikarz? — Prentice postukał cybuchem fajki w oparcie ławki.

Zmarszczył czoło. — Ta André ciągle mi umyka... Chyba się starzeję. Dziewczyna bezbłędnie odgadująca godzinę. Osobliwe.

— Czemu?

Prentice wyjaśnił mu, że przypadki niezwykłych uzdolnień muzycznych, plastycznych czy matematycznych są względnie często odnotowywane. Przypadek odgadywania czasu trafił się dotąd tylko raz. Poza tym, wyjątkowo rzadko zdarzają się obdarzone podobnymi zdolnościami dziewczyny.

— Diabelnie chciałbym poznać tę André. Niechże ją pan odszuka.

— Zamierzam to zrobić. Od spotkania z nią myślę tylko o tym.

— I nie ma pan pojęcia, gdzie ona mieszka?

— Niestety, nie — odparł, widząc jednak pogardliwą minę Prentice'a dodał pospiesznie. — Jej matka starała się trzymać ją pod kloszem. Wścicka się na mnie, kiedy André zaczęła się popisywać swoimi zdolnościami.

— Głupia kobieta. Jak pan widział, takie dzieci uwielbiają się popisywać. Nie przynosi im to krzywdy, za to podbudowuje wiarę w siebie. Czują się potrzebne, docenione. Stephen Wiltshire jest najszcześniejszy, kiedy rysuje, a Leslie Lemke, gdy gra... Odmawianie im tej przyjemności to okrutna zbrodnia.

Lloyd opowiedział o zdenerwowaniu André, które sięgnęło zenitu po wylądowaniu na Heathrow.

— Gdy samolot wylądował, po prostu zasłabła. Musiałem ją wynieść z kabiny pasażerskiej. Na lotnisku koło samolotu uderzyła błyskawica, dziewczynka jednak już wcześniej znajdowała się w bardzo złym stanie.

Doktor zachnął się na to.

— Pewnie tak na nią wpłynęło zaburzenie codziennego rytmu zajęć. Singapur leży piekielnie daleko. Autystycznym dzieciom należy zapewnić spokojne, stabilne otoczenie — kiwnął w stronę boiska. — Oni grają w piłkę dwa razy w tygodniu, bez względu na porę roku. Kiedy pogoda jest zła, przenosimy się do sali gimnastycznej. Ale nigdy nie odwołujemy meczu. Obaj przez kilka chwil śledzili wzrokiem piłkę.

97

— A więc jak one to robią? — zapytał Lloyd. — Jak to jest, że potrafią rzeczy, których my nie umiemy?

Prentice westchnął.

— Musiałbym to tłumaczyć przez ładnych parę lat... Po pierwsze, trzeba zrozumieć, że „savants” to nie to samo co „cudowne dzieci”. To autystyczne stworzenia, których mózgi nie rozwijały się normalnie w łonach matek, a w związku z tym pracują całkiem odmiennie od naszych. Hormony wpływają na to, że większość „savants” to osoby płci męskiej. Czasami zaburzenia są wynikiem wypadku... jednak tak rzadko, iż nie warto nawet wspominać — doktor przerwał i po chwili dodał. — Chce pan wiedzieć, jak one to robią? Rozmawiam teraz z panem... moją mowę warunkuje lewa półkula mózgowa. Wypowiadam szereg dźwięków, które pański mózg pojmuję. Mowa, reguły gramatyczne, logiczne rozumowanie... Za to wszystko odpowiada lewa półkula. Za logikę, porządek i dyscyplinę. Za wysyłanie i odbieranie bodźców. Jeżeli dwoje ludzi mówi jednocześnie, to w pańskim mózgu powstaje zamieszanie. Natomiast prawa półkula, którą niestety nie posługujemy się zbyt często, odpowiada za wizje i zdolności artystyczne. To potężna moc, którą dopiero zaczynamy pojmować. Proszę pamiętać, że znamy nieźle strukturę mózgu, ale wiemy bardzo niewiele o jego funkcjach. Może pan patrzeć jednocześnie na tysiąc ekranów telewizyjnych i dzięki prawej półkuli natychmiast znajdzie pan ten, gdzie zamiast czytelnego obrazu widać jedynie zakłócenia. Jeśli jednak zagra panu stu muzyków i tylko jeden z nich będzie fałszował, to lewa półkula tego nie wyłowi...

Prentice wziął przerwę na oddech i kontynuował:

— Oczywiście, przedstawiłem to teraz w sposób skrajnie uproszczony. Zdarza się coś takiego jak niespodziewana „migracja funkcji” pomiędzy obiema półkulami. Tak się dzieje podczas nauki pływania czy jazdy na rowerze... Pocimy się całymi godzinami, nic z tego wychodzi i nagle: bingo! To, co było trudne, staje się naraz jakby automatyczne. Cugle złapała prawa półkula. Lewa to codzienny ład i rozsądek, prawa: zdolności artystyczne i anarchia. Zwykle nie do nas należy wybór, z której korzystamy. Lewa, ze wszystkimi swoimi brakami, zdaje się dominować.

— A te niezwykle dzieci potrafią pokonać tę przeszkodę? — podsunął Lloyd.

Doktor Prentice przytaknął.

98

— Właśnie... Możliwe jest jednak, wysiłkiem woli, odwołanie się do prawej półkuli. Proszę spróbować małego eksperymentu przed pójściem spać. Proszę sobie powtarzać, by obudzić się o określonej porze, w jakiej zwykle pan nie wstaje. Lewa półkula ma podczas snu mnóstwo roboty do wykonania: segregując rzeczy zapamiętane podczas minionego dnia na ważne i mniej istotne. Swoją drogą, gdyby ludzki mózg był lepiej ukształtowany, nie potrzebowalibyśmy snu. Tak to się dzieje z niektórymi „savants”... Wracając do rzeczy, obecność „programu na budzenie” przejdzie z jednej półkuli do drugiej. Rezultat? Obudzi się

pan o żądanej porze, bo do dzieła wezmą się hormony w najgłębszych sferach mózgu, które kontrolują też rytm serca. To taki zegar w ciele. W każdym z nas tkwi „savant” panie Wheeler.

Dalsza rozmowa miała miejsce w gabinecie Prentice'a. Psychiatra dał Lloydowi fotokopie materiałów, jakie mogły zainteresować dziennikarza.

— Proszę tego nie pożyczać... Chcę ją mieć z powrotem — zastrzegł, podając Lloydowi kasetę wideo. — To zapis programu dla Kanału 4. Nadano go jakieś sześć lat temu.

Nagrywaliśmy scenki z dziećmi w studiach London Weekend Television. Z około trzydziestki kandydatów wybraliśmy sześcioro.

— A więc znalazła się w tej grupie jakaś dziewczyna? Prentice zmarszczył czoło i zaczął czyścić fajkę.

— Tyle czasu upłynęło... Tak... Jedna, w tej liczniejszej grupie. Do licha, nie pamiętam jej nazwiska. Ale jej matka wspomniała, że dziecko potrafi... ściągać pioruny.

— Co takiego!?

Prentice kwaśno się uśmiechnął.

— Nikt jej nie uwierzył, mimo to wzięliśmy ją na próbę.

— No i...?

— Był pan kiedyś w starych studiach LWT? Koło stacji Waterloo. Panuje tam straszny hałas. Przeprowadziliśmy test, ale nikt nie usłyszał niczego specjalnego. Matka zaklinała się, że córka wywołuje odległe grzmoty. Cóż, zwróciliśmy jej za podróż i odesłaliśmy do domu. Ludzie z telewizji powiadali, że nie mają czasu na bzdury. No, ale proszę dokładnie obejrzeć ten program. Zobacz pan młodego irackiego chłopaka Khalida al Karniego. Przez jakiś czas próbowałem go odnaleźć, ale potem dałem sobie spokój.

— A czym on się wyróżniał?

99

— Odgadywał czas, jak pańska André... Miał też inne zdolności, których ostatecznie nie mogliśmy zademonstrować w telewizji. Zdumiał nas, tak jak i swoją matkę.

— Jakie?

Prentice pogrzebał w szufladzie biurka i podał Lloydowi osobliwą kulkę czy też piłkę, pokrytą nierówną warstwą lateksu.

— Jak pan myśli, co to jest?

Lloyd zważył przedmiot w dłoni. Na powierzchni widniały dziwne odciski; ktoś wyciął też dziurę, zbyt ciasną, by mógł się w niej zmieścić palec dorosłej osoby. Przy potrząsaniu ze środka dochodził cichy odgłos.

— Nie mam pojęcia. Piłka do palanta? Do krykieta? No ale po co ta dziura?

Prentice zaśmiał się.

— Ciepło, ciepło. To piłka tenisowa, którą ten iracki chłopiec... odwrócił wnętrzem na wierzch. Firmy Dunlop, co zostało potwierdzone. Te odciski to fabryczne znaczki.

Na moment zapadła cisza.

— Żartuje pan — odezwał się w końcu Lloyd cicho.

— Nie.

Lloyd zajrzał przez otwór do wnętrza piłki.

— Nie wierzę. Chce mi pan wmówić, że jakiś dzieciak wziął zwyczajną piłkę do tenisa i zrobił z nią to?

— Owszem.

— Jak? Powiedział „abrakadabra”?

— Nie dziwię się wcale, że pan nie wierzy. Wszyscy byliśmy tym wstrząśnięci. Dzieci znalazły w studiu pudło z piłkami i zaczęły się nimi bawić. Zrobiło się straszne zamieszanie. Rozmawiałem akurat z matką Khalida, kiedy podszedł jej syn z jedną z piłek. „Mogę ją wyrzucić środkiem na wierzch”, powiedział... — Prentice na to wspomnienie aż pokiwał

głową. — Zaczęliśmy z niego żartować. A on zdenerwował się i cisnął piłką o ścianę. Zaraz przyniosło mi ją inne dziecko... To właśnie piłka, którą pan trzyma.

— Wielkie nieba — mruknął Lloyd.

— Po chwili powtórzył to przed kamerami. Następną próbą już mu się jednak nie udało. Nie mógł tego zrobić i wpadł w szal.

— A czy stracił też umiejętność podawania czasu?

— Bynajmniej. Obejrzy go pan na tej kasecie.

100

Lloyd patrzył na piłkę w ręku i zastanawiał się, jak to możliwe. Potem dał sobie spokój.

Rozsądek podpowiadał mu, że to niewykonalne.

— Jednak powiedział pan, że w telewizji tego nie puścili.

— Namówiłem Kanał 4 na realizację programu o dzieciach autystycznych... Zdolnych dzieciach, które będą mogły zademonstrować umiejętności przed kamerami. Pokazać, jak malują, jak grają, jak liczą. Ale taki numer z piłką tenisową? To kojarzy się z wyginaniem łyżeczek przez Uri Gellera. Z cyrkiem — odebrał Lloydowi piłkę i przyjrzał się jej. — Ja sam nie jestem dotąd w stanie tego pojąć.

— Czy Khalid zrobił sztuczkę przed kamerą?

— Tylko raz. Znajdzie to pan na końcu taśmy. Proszę nie zapominać: chcę ją z powrotem.

Mam niewiele kopii.

Lloyd podziękował doktorowi i obiecał zwrócić taśmę. Obaj poszli do zaparkowanego samochodu.

— A więc chce pan odnaleźć tamtą dziewczynkę? — spytał Prentice, gdy Lloyd znalazł się za kierownicą lotusa.

— Zdecydowanie.

— Hm, kiedy się panu uda, to chciałbym się z nią spotkać.

— Postaram się to umożliwić. Jednak najpierw muszę ją znaleźć. A jak już ją odszukam, to wyłoni się problem z matką.

— Musi ją pan znaleźć — rzekł Prentice z naciskiem, który zaskoczył Lloyda. — Tamten młody Irakijczyk już pewnie nie żyje, sukinkot jeden. Więc pańska André być może pozostała jedyną osobą na świecie zdolną określać czas. To coś niezwykłego. Tacy osobnicy są niesłychaną rzadkością, aż strach myśleć o tym, co potrafią... Czują przepływ czasu i potęgę przestrzeni. Trzymają palec na pępku świata. Są blisko Stwórcy. Może są tymi wybranymi... dzięki którym pojmiemy początek czasu i wszechświata... i jeszcze więcej.

ROZDZIAŁ 24

Lloyd wracał do swojego mieszkania, w myślach układając kolejne fragmenty artykułu. Zapomniał nawet o przemarzniętych stopach. Z zadumy wyrwał go chór klaksonów z tyłu. Ku swemu zdumieniu znalazł się w Wapping i odruchowo zatrzymał się przed przejściem dla pieszych. Tym razem jednak pieszych nie było, a on stał i czekał...

101

Zmieszany ruszył dalej, zastanawiając się, co jeszcze się przydarzy w drodze z Epsom.

Przekroczy dozwoloną prędkość? Wiedział, że kierowcy mają w głowie coś w rodzaju „automatycznego pilota”, wykonując podświadomie wiele czynności i ruchów. Jak to jest? — myślał. — Od godziny jadę z Epsom do Londynu, a nie zapamiętałem po drodze niczego.

Ta refleksja trochę go przeraziła.

ROZDZIAŁ 25

Dochodziła jedenasta w nocy, gdy Lloyd skończył pracę i wrócił do siebie. Mieszkanie było ciemne i nieprzytulne.

Po wyjeździe Sarah zrobiło się puste. Zwykle na niego czekała z ciepłym posiłkiem, gdy wracał późno. Rozmawiali o wydarzeniach dnia przy jedzeniu, dyskutowali o sporcie, wreszcie szli do łóżka, kochali się i zasypiali w swych objęciach. Tęsknił za nią, i to bardzo.

Na kolację zjadł kanapkę z serem. Rano zapomniał wyjąć chleb z lodówki, więc teraz nóż z trudem radził sobie z pieczywem. Postanowił podgrzać bochenek w kuchence mikrofalowej; tymczasem przysiadł przed telewizorem, kątem oka kontrolując kuchenkę. Interesowało go, jak potoczą się losy Saddama Husajna; czy podejmie on na nowo walkę? Miał taśmę od doktora Prentice'a, ale chciał ją obejrzeć rano, na świeżą głowę. Miniony dzień był ciężki; Lloyd czuł się zmęczony. Marzył o tym, by porządnie się wyspać.

Nim zasnął jednak, wspomniął o sugestii Teda Prentice'a. Powtarzał sobie, by obudzić się o 4.30 — kiedy to zwykle głęboko jeszcze spał.

Śniły mu się dziwne, zielone oczy André. Tańczyły przed nim, zimne i nieruchome. Oddalając się i zbliżając.

Rozszerzające się źrenice tych oczu zdały się go pochłaniać i naraz znalazł się wśród gwiazd Drogi Mlecznej, pośród niezliczonych galaktyk wszechświata. Rozglądał się gorączkowo i widział ekspansję kosmosu — wszystkie gwiazdy nawzajem oddalały się od siebie. Czas upływał od miejsca, które było ośrodkiem Wielkiego Wybuchu: miejscem Stworzenia. I wtedy się przebudził, całkiem przytomny i zlany potem. Krew tętniła mu w uszach. Zamknął oczy, ale bał się trafić ponownie w tę nieskończoną ciemność. Przez okno połyskiwał pomarańczowo neon nad pobliskim sklepem.

102

Cholera, pomyślał, co za parszywy sen. Może najadłem się jakiegoś świństwa? Zaschło mu w gardle, więc poszedł do kuchni i napił się mleka prosto z butelki. Zamykając drzwi od lodówki zerknął na zegarek.

Czwarta trzydzieści cztery.

Do licha! 4.34! To znaczy, że musiał zbudzić się równo o 4.30! Lloyd usiadł w kuchni i usiłował pozbierać myśli.

Zimna butelka z mlekiem mroziła mu dłoń. To szaleństwo, mówił sobie. Jak uwierzyć w to, że człowiek ma wmontowany budzik? No tak, a jednak obudziłem się o 4.30.

Lloyd zaczął przypominać sobie słowa doktora Prentice'a. Upił bezmyślnie jeszcze nieco mleka i poczuł chłód w żołądku. Popatrzył na swoją rękę: trzęsła się teraz. Czuł zamęt w głowie; to było coś irracjonalnego, a jednak wytłumaczalnego. Siedział tu sam, wystraszony własnym snem. Zresztą przed świtem ludzie odczuwają ten specyficzny niepokój...

Lloyd nie czuł jednak niepokoju; czuł strach.

ROZDZIAŁ 26

POŁUDNIOWY IRAK Środa, 6 marca 1991

Dla kaprała Williego Mellisha ze szkockiej jednostki królewskiej wojna potoczyła się wszawo. Pokój też nie zapowiadał się ciekawie.

Bardziej od nieprzyjaciela dokuczał mu piasek. I to nie taki piasek, jaki znał z wakacji w Grecji, ale drobny, miąłki, wciskający się wszędzie pył. Nie znosił też deszczu, który natychmiast wszelki stały grunt zamieniał w błoto. Nade wszystko jednak doskwierała nuda. Upierdliwi dziennikarze także dorzucali kamyk do ogródka. Kaprał musiał pilnować około tysiąca irackich jeńców. I przez nich nie wziął udziału w popijawie z okazji zwycięstwa, jaką jego kumple zorganizowali w pobliskim Bahrajnie.

Willie naciągnął czapkę, popatrzył na ponure niebo. Pomyślał, że jak znowu zacznie padać, to chyba strzeli sobie w łeb. Popatrzył na swoich Irakijczyków i zapalił papierosa. Niektórzy jeńcy przełknęli na ten widok ślinę, Willie jednak oduczył się już rozdawania fajek. Obóz, ogrodzony drutem kolczastym, zajmował jakieś dwieście metrów kwadratowych. Znajdowały się tu prymitywne wiaty, pod którymi więźniowie szukali

103

schronienia, gdy padało. Po deszczu wdrapywali się na zadaszenie, żeby nie siedzieć w błocie. Stanowili żałosny widok. Wszyscy mieli zapadnięte oczy od niewyspania i miesięcy na głodowym wikcie. Większość była marnie odziana — w stare, wojskowe kurtki, które

szybko przemakały — i obuta w rozpadające się kamasze. Kapral nie pojmował, jak iraccy oficerowie mogli tak traktować podwładnych — zdarzały się przypadki chłosty wobec tych, którzy „nie wykazali się odwagą”. Ci biedni jeńcy nie mieli nawet blaszek, zwanych potocznie nieśmiertelnikami. Teraz i tak wyglądali lepiej niż po dostaniu się do niewoli. Otrzymywali codzienne racje żywności i wodę do picia. Pierwsi schwytani Irakijczycy okazywali niepokój dowiedziawszy się, że wpadli w ręce Brytyjczyków. Większość wywodziła się z ubogich rodzin i wierzyła, że niewierni zabijają muzułmanów. Chcieli trafić do niewoli Saudyjczyków, czyli również Arabów. Szybko jednak pogodzili się z losem, widząc, iż mają tu lepiej niż w armii Husajna. Siedzieli teraz na plandekach z tworzywa sztucznego i rozmawiali ściszymi głosami. Niektórzy spali — nadrabiając zaległości z ubiegłych tygodni. Tylko niewielu znało angielski. Ci właśnie usiłovali gadać z Williem. Dziś jednak wyczuli jego ponury nastrój i trzymali się z daleka.

Willie rozważał pewien pomysł — aby wrócić do namiotu i zrobić sobie herbatę. Zająłoby to z godzinę. Najpierw trzeba było uruchomić gazową maszynkę, a to oznaczało dokładne oczyszczenie jej z piachu. Potem przefiltrować wodę choć po łąbkach — drobny pył przeciskał się nawet przez papier. Wreszcie dokładnie wymyć kubek. I tak wychodziła ostatecznie mętna lura. Piach chrząścił między zębami.

Kapral raz jeszcze przeklął tę wojnę.

Nie było tu nic do roboty poza czytaniem. Willie nigdy w życiu się tyle nie naczał.

Rozpakował kolejną przesyłkę z kraju z ofiarowanymi przez ludzi pozycjami. Ulokował się na amerykańskim polowym łóżku. Zaraz jednak dosłyszał odgłos silnika zbliżającego się do obozu pojazdu. Po gangu rozpoznał terenowego nissana.

Następna cholerna ekipa telewizyjna, pomyślał. Reporterzy już zdążyli wkurzyć Williego. W zeszłym tygodniu zwałił się tu jakiś pacan z filmowcami, zanim zapanował tu względny porządek. Napływali jeszcze Irakijczycy z rękami uniesionymi na znak poddania. Willie starał się trzymać kamerzystów na dystans, bo takie były przepisy: brytyjskie dowództwo nie chciało, by padały zarzuty upokarzania jeńców i łamania

104

konwencji genewskiej. Willie nie docenił jednak dzisiejszej techniki telewizyjnej. Tamtego popołudnia w dziennikach całego świata pokazano zbliżenia wychudzonych twarzy irackich żołnierzy. Co gorsza okazało się, że przybyły reporter nie miał nawet właściwego zezwolenia. No i dostało się Williemu od zwierzchników. Od tamtej pory nienawidził dziennikarzy.

Teraz polecił przybyłym zatrzymać się z dala od obozu, obok stosu broni i amunicji, jaką odebrano więźniom. Kierowcą nissana okazała się kobieta w mundurze sierżanta. Przywiozła ze sobą dwóch facetów — w tym jednego pseudowojskowego w nowiutkim uniformie. Willie nie miał zamiaru odpowiadać na jego powitalny uśmiech.

— Pracujemy dla Ministerstwa Obrony — wyjaśnił Max, okazując dokumenty i przepustkę.

— Szukamy załogi pewnego irackiego czołgu. Interesuje nas sprzęt, jakim się posługiwali.

Jeńcy oczywiście nie muszą odpowiadać na nasze pytania. Nie będziemy naciskać.

Przepustki były w porządku, przybysze nie mieli kamer, więc Willie nie zgłaszał obiekcji.

Nissan wjechał do obozu i zatrzymał się przy drutach. Wszyscy jeńcy z zaciekawieniem obserwowali nowych ludzi. Wylegli z latryn, budząc tych, którzy spali. Pojawienie się nissana było czymś niezwykłym w monotonii dnia. Irakijczycy skupili się wokół pojazdu, zastanawiając się, co teraz będzie.

Max Shannon i Leo Buller już od dwóch dni objeżdżali obozy jenieckie. Sierżant Caroline Morgan weszła na dach wozu i z mikrofonem w rękę zwróciła się do jeńców po arabsku, wyjaśniając, iż poszukuje niejakiego Khalida al Karniego z załogi T-55, porzuconego na szosie z Kuwejtu do Basry. Dodała, że brytyjskie władze wojskowe pragną zwrócić Khalidowi coś, co do niego należało, a co znaleziono w czołgu. Czy wśród jeńców znajduje

się poszukiwany? A jeśli nie, to czy ktoś wie, co się z nim stało? Jednocześnie Max i Leo pokazywali powiększone zdjęcie T-55 z namalowaną na wieży odwróconą swastyką.

— Daję słowo, że Khalidowi ani jego towarzyszom nie grozi z naszej strony nic złego — zapewniła sierżant Morgan. — Ci panowie chcą z nim tylko porozmawiać. Tutaj, na waszych oczach.

Wynędniali jeńcy gapili się na sierżant Morgan. Wszędzie było to samo. Albo Irakijczycy im nie wierzyli, albo też bali się o los swego kolegi. Sierżant wcale ich za to nie winała. Na pewno wielu z tych tutaj brało udział w rozbojach i przestępstwach, jakie miały miejsce w Kuwejcie. Obawiali się surowych kar.

105

I nagle ktoś uniósł rękę.

— Ja znam Khalida — odezwał się ktoś poprawną angielszczyzną. Max i Leo wymienili spojrzenia i polecili Irakijczykowi podejść bliżej.

Miał około dwudziestu lat; był wyższy od swych pobratymców i nie nosił — w przeciwieństwie do większości z nich — wąsów. Miał na sobie workowate spodnie i luźny anorak z kieszeniami wypchanymi jedzeniem. Uśmiechnął się niepewnie do przybyłych. Leo zaprosił go do wozu. Jeniec usiadł z tyłu nissana. Sierżant Morgan stała w otwartych drzwiach, na wypadek gdyby okazała się potrzebna jako tłumacz. Pozostali Irakijczycy ciekawie zaglądali do wnętrza pojazdu.

Leo wyciągnął notes i włączył zapis w magnetofonie. Zanotował numer obozowy jeńca. Miał mu się dokładnie przyglądać, próbując zorientować się, czy rozmówca przypadkiem nie kłamie. Specjalizował się w tej materii.

— Jak się nazywasz? — zapytał i uśmiechnął się szeroko, usiłując rozluźnić jeńca. Tamten jednak milczał, wyraźnie podenerwowany. Tak czy owak Irakijczyk darzył większym zaufaniem Leo, cywila, niż tego drugiego, w mundurze oficera, z krótko przyciętymi włosami.

— Adnan Barhadin. Leo zanotował nazwisko.

— Wzięli cię do wojska z poboru, Adnan? — spytał.

Adnan skinął głową. Leo domyślał się, że Adnan wywodzi się ze średnio zamożnej rodziny i zadał mu parę swobodnych pytań o jego pochodzenie. Wreszcie dał znak Maxowi, który przeszedł do rzeczy.

— Znałeś Khalida al Karniego?

— Najpierw musicie mi powiedzieć, czy on znalazł się w opałach.

— Nie — stwierdził Max. — Daję słowo honoru.

Irakijczyk przyjrzał się twarzy Maxa i zdecydował, że może mu zaufać.

— No więc znałeś Khalida? — powtórzył Max.

— Trochę. Służył w mojej jednostce pancерnej. Dołączył dość późno. Max otworzył pudełko od cygar, które znalazł w T-55. Pokazał jeńcowi zdjęcia przedstawiające rodzinę.

— Czy Khalid jest na tej fotografii? Irakijczyk popatrzył na zdjęcia.

— O... Już je kiedyś widziałem — wskazał na postać chłopca. — To jest Khalid. Obecnie jest oczywiście znacznie doroślejszy.

— Czy nadal ma jasne... blond włosy?

106

Jeniec zdobył się na nikły uśmiech. Wyraźnie zaczynał się rozluźniać.

— Tak. Robiliśmy sobie z niego...

— Żarty?

— Tak, no tak. Był chrześcijaninem i Kurdem, ale jego matka mieszkała w Bagdadzie. Mówił mi, że mają letni domek na północy. Niektórzy Kurdowie są tacy jak on... błdzi. I bogaci.

— Czym zajmował się jego ojciec?

— Zarządzał. Bankiem. Ważny człek... to jest człowiek.

— No, stać go było na wakacje w Anglii — zauważył Leo, biorąc do ręki zdjęcie z pałacem westminsterskim w tle.

Adnan podniósł wzrok i pokręcił głową.

— Nie... Khalid ma dwa domy... Nie, nawet trzy domy. W Bagdadzie, w Londynie i w Kurdystanie.

— A kiedy ostatnio przebywał w Londynie? Irakijczyk popadł w namysł.

— Bardzo niedawno. Chyba mówił, że w styczniu. Dokładnie nie pamiętam.

— W styczniu tego roku?

— No... chyba tak.

Leo poczynił jakąś notatkę. Max zmienił temat: — Po co namalował znak na czołgu?

— To nie Khalid — uśmiechnął się Adnan. — To myśmy namalowali tę swastykę — ostatnie słowo wymówił z osobliwym, arabskim akcentem.

Max poruszył ustami.

— Dlaczego?

— Bo on miał szczęście.

— Jak to?

Leo dostrzegł, iż to pytanie zmieszało Adnana. Irakijczyk spojrzął na sierżant Morgan i szybko powiedział coś do niej po arabsku.

— Po prostu szczęście mu dopisywało — przetłumaczyła. — Nie wiadomo dlaczego. Mawiał, że wróg nigdy go nie dostanie. Miał błogosławieństwo samego Allacha. On był... — tu sierżant zadała Adnanowi dodatkowe pytanie. Ten popukał się dłonią w czoło.

— Głupi? — podsunął Max. — Opóźniony w rozwoju?

— Opóźniony — odrzekł Irakijczyk. — Tak, o to chodzi. No, ale świetnie kierował czołgiem.

Był bardzo szybki. I dokładny. Ludzie z jego załogi uwielbiali go. Jego dowódca też.

Wszyscy go kochaliśmy. Miał szczęście i myśleliśmy, że podzieli się nim z nami.

107

Max spojrzął ostro na Adnana. Ów odwrócił oczy. Max podjął:

— Czy cieszył się specjalnymi względami u oficerów? Czy jego czołg wyposażono w jakieś wyjątkowe urządzenia?

Te pytania jakby rozbawiły Araba. Potem pokręcił gwałtownie głową.

— Nasz oficer był tikritczykiem. Rozumie pan?

— Tikrit to rodzinne miasto Saddama Husajna — wyjaśniła sierżant Morgan. — Ludzie stamtąd wielbią Saddama i otrzymują najlepsze stanowiska.

Zdziwiłaby się pewnie wiedząc, że Max mieszkał kiedyś w najlepszym hotelu w tym mieście jako gość rządu irackiego. Max milczał przez chwilę. Coś się dowiedział, ale nic konkretnego.

Taśma w magnetofonie szumiała cicho. Pokazał Adnanowi znaleziony, nie ukończony list Khalida.

— Umiesz czytać po angielsku?

— Nie.

— Kto to jest Andy?

— Proszę?

— Ten list Khalid zaczął pisać do kogoś o imieniu Andy, ale nie ma tu adresu. Kto to jest Andy?

— Nie wiem.

— Chyba ktoś z Anglii, co?

— Nie wiem.

Leo skinął głową. Jeniec mówił prawdę. Max zbliżył twarz do twarzy Araba.

— Czy Khalid potrafił robić sztuczki? — Zauważył, że to pytanie wyraźnie zmieszało Irakijczyka. Zresztą z trudem ukrywał swoje uczucia.

Adnan spojrział na twarze innych jeńców, zerkających przez szyby.

— Sztuczki? Nie rozumiem.

Max nie spuszczał twardego wzroku z Adnana.

— A ja sądzę, że świetnie rozumiesz, Adnan... No więc?

Młody Irakijczyk poruszył się niespokojnie. Wyczuł, że przed rozmówcą o surowych, szarych oczach nie da się niczego ukryć. Zaczynał pojmować, dlaczego Brytyjczycy są takimi świetnymi żołnierzami. Nie wrzeszczą na swoich podwładnych, nie znęcają się nad nimi. Nie muszą. Wystarczy, że zmierzają ich surowym, zimnym wzrokiem.

— Czy Khalid umiał robić sztuczki? — powtórzył Max.

— Sztuczki? — zapytał niepewnie jeńiec. Po chwili przyznał. — Tak. Ale będą się panowie śmiać...

108

— Nie będziemy — stwierdził twardo Max. — Jakiego rodzaju sztuczki?

— Odgadywał godzinę. Bez... — postukał palcem w swój zegarek.

— Można było spytać go o czas, a on nigdy się nie mylił.

— Co jeszcze?

— Nic.

Leo odchrząknął.

— Co jeszcze? — nie ustępował Max. Jego głos brzmiał teraz lodowato.

— On... umiał robić grzmoty.

Leo przerwał notowanie. Popatrzył na jeńca.

— Jakie grzmoty? — zapytał Max nieco łagodniej.

— No... Grzmoty.

— Głośne? Ciche? Bliskie? Dalekie? — w głosie Maxa wyczuwało się tonowane napięcie.

— Grzmoty. Całkiem głośne. Ale niezbyt często. Kazał nam ucichnąć i wtedy słyszeliśmy grzmot, jak burza. Pewnego dnia poprosiłem go, żeby ściągnął grom. I sprawił, że huknęło. Bardzo głośno. Aż wszyscy pomyśleli, że to salwa z amerykańskich okrętów.

— I co jeszcze? — Adnan znowu zawahał się na parę chwil. Napotkawszy jednak ponownie szare oczy Anglika skapitulował. Pogrzebał w wypchanej kieszeni anoraka i wyciągnął gumowy przedmiot. — Piłka tenisowa

— powiedział. — Moja piłka. Khalid rzucił ją o ścianę. A potem ją..

— Złapał?

— Tak. Złapał ją i oddał mi... Ale zrobiła się już taka. Max wziął piłkę, przyjrzał się jej, ścisnął i przekazał ją Leo. Była to dość typowa piłka do tenisa.

Miała tylko jedną osobliwą cechę. Była wywrócona wnętrzem na wierzch.

ROZDZIAŁ 27 POŁUDNIOWA ANGLIA

To był szczęśliwy dzień.

W szkole dla dzieci specjalnej troski nie oczekiwano, że André wróci tak szybko z Singapuru i wszystkim nauczycielom powierzono już inne zadania. Laura postanowiła więc zrobić dobry użytek z wolnego czasu.

109

Matka i córka spędziły ten dzień na naprawianiu uszkodzeń spowodowanych przez zimę.

Przycinały gałęzie owocowych drzewek, wymieniały pęknięte szybki w cieplarni, łątały dziury w płocie oraz wysprzątały w kurniku i klatce królika. O zmierzchu Laura, ku radości André, rozpałała ognisko. Dziewczynka uwielbiała patrzeć na płomienie i iskry strzelające w niebo. Laura musiała ją upominać, by nie podchodziła za blisko ognia.

— A teraz prysznic — oznajmiła Laura. — Obie cuchniemy od dymu. A potem grzanki opiekane nad ogniskiem. Jak ci się podoba pomysł?

—*Prysznic — zgodziła się André. — I „Sąsiedzi” ' dwadzieścia minut i trzydzieści sekund od... teraz.

Laura zmarszczyła czoło. Nie lubiła, jak André popisывała się swoim talentem, nawet przed nią.

— Ten program nigdy nie zaczyna się na czas i wtedy się denerwujesz — wytknęła.

— Nie grzanki — powiedziała André cicho.

— Dlaczego, Andy?

— Środa.

Oczywiście. Środa. Laura była rozczarowana. Miała nadzieję, że po podróży przez pół świata André o tym zapomni. A jednak nie... Głupia nadzieja. Andy nie zapomniała o sprawach w jakikolwiek sposób powiązanych z czasem. A środy zawsze były dla niej szczególne.

— Ciężko dziś pracowałeś, Andy. Bardzo mi pomogłeś. Może wolałabyś zostać wieczorem ze mną?

Jak się Laura spodziewała, André nie miała ochoty zmieniać zwyczajów. Dziewczynka potrząsnęła głową i spojrzała na matkę.

— Lubię wychodzić.

Laura uśmiechem zamaskowała rozgoryczenie i objęła ramieniem córkę.

— Jasne — odezwała się, kiedy weszły do domu. — Jasne. Wiesz co? Puszczę wodę, żeby zaczęła lecieć ciepła, przygotuję coś szybkiego do zjedzenia w kuchence mikrofalowej, a potem razem weźmiemy prysznic, dobrze? Nie robiły tego razem od przynajmniej sześciu miesięcy. André w zeszłym roku dostała pierwszy w życiu okres i zaczęła się krępować własnego ciała przed matką. Laura wyczuwała to; teraz, chcąc ośmielić córkę, pierwsza się rozebrała i weszła pod prysznic.

Laura czuła coś dziwnego, namydlając ciało André. W ostatnim czasie Andy niebywale rozwinęła się fizycznie. Wiedziała, że rosną jej piersi, ale nie miała pojęcia, że zrobiły się już takie pełne. Dziewczynie wyrosły też

110

na wzgórku gęste, ciemne włosy łonowe. Natura czyniła z dziecka kobietę. Andy przestawała już być „małą dziewczynką”.

— Musimy pojechać w sobotę do Guildford, żeby kupić ci nowe staniki — powiedziała wesoło Laura, kierując na André strumień wody.

— Czy one uciskają?

— Nie.

— Twój zostawił okropne ślady — rzekła André, dotykając palcem odcisku ponad przepołą matki.

„Okropne” — to było nowe słowo w słowniku André. Dziewczyna rozwijała się nie tylko fizycznie. Laura zaśmiała się i umyła szamponem długie, ciemne włosy córki. Lubiła je suszyć; uwielbiała patrzeć, jak robią się miękkie i piękne.

— Bo ja kupuję sobie tylko tanie biustonosze. Ty dostaniesz najdroższy i najlepszy.

— Czemu nie kupiłaś dla siebie najlepszego, mammo?

To niewinne pytanie wywołało dreszcz u Laury. Po raz pierwszy André powiedziała nie „mamusiu”, lecz „mamo”. I po raz pierwszy zainteresowała się, dlaczego matka kupuje rzeczy w najlepszym gatunku jej, a nie sobie. Szkolny psycholog, który ostatnim razem badał André, miał rację: Andy się zmieniała.

— Pani córka rozwija się i dojrzeewa, pani Normanville — stwierdził ów psycholog. — Powiększa jej się zasób słownictwa. Wzrasta też iloraz inteligencji. I to, muszę dodać, w niesamowitym tempie.

Wówczas Laura nie zwróciła szczególnej uwagi na te opinie, twierdząc, że André zachowuje się tak jak zawsze, pomijając chwile, kiedy jest zdenerwowana.

— Uwierzę w pańskie zapewnienia w dniu, kiedy ona się uśmiechnie — dodała. — Ona nigdy się nie śmieje. Czasem płacze, ale... Nigdy nawet mnie nie objęła.

Spokojny ton Laury zaintrygował psychologa. Przyjrzał się uważnie młodej matce, dziwiąc się, że tak szybko odrzuciła jego argumenty. Zwykle rodzice autystycznych dzieci chętnie słuchali rad lekarzy i stosowali się do nich bardzo gorliwie. Z radością przyglądali się zmianom, jakie zachodziły w ich pociechach.

— Czy chce pani, by ona się rozwijała, pani Normanville?

— Ależ naturalnie!

Wojowniczość tonu Laury zastanowiła psychologa jeszcze bardziej.

111

Być może matka pragnęła opiekować się dzieckiem przez całe życie, a jej miłość i oddanie wpływały z poczucia winy. Zdarzył się kiedyś przypadek, że pewna matka karmiła jeszcze piersią trzyletniego syna. Może Laura obawiała się, że André nie będzie już potrzebować jej miłości, a dawanie miłości córce było jedynym celem w życiu tej kobiety. Podobne historie zdarzają się, niestety, dosyć często. Laura usadziła teraz André na drogim krześle w sypialni dziewczyny i zaczęła jej rozczesywać kaskadę bujnych włosów. Sama zawsze pragnęła mieć takie. I jak zwykle w takiej sytuacji zaczęła mówić do córki.

— Dzisiaj zrobiliśmy wiele wspaniałych rzeczy. Już myślałam, że będziemy musiały zapłacić Jeffowi Harcourtowi za wysprzątanie ogrodu, a ty wiesz, ile on żąda za swoją pracę. Teraz niech tylko zasadzi nam ziemniaki. Siedź spokojnie, kochana.

André wyciągnęła rękę i dotknęła fotografii Khalida, oprawionej w srebrną ramkę, która stała na kosmetyczce. Ten gest bardzo ujął Laurę. Niegdyś Khalid i André wyprawiali się wycieczki rowerowe, gdy młody Kurd przebywał w Durston Wood. Teraz już jednak Khalid bardzo wyrósł i ku rozpaczy rodziców dostał powołanie do wojska. A z André też robiła się kobieta. Gdyby Andy i Khalid... Nie! To niemożliwe!. Odegnęła myśl od siebie.

— Te sosny chyba wyciągają wszystkie soki z gleby — plotła Laura. — Urosnąć tu mogą tylko kartofle. Jutro wykopimy tyczki na fasole z grządek. Do licha, jak ten czas leci. Jak szybko czegoś nie zasiejemy, to będzie za późno. Laura odeszła i otworzyła szafę. Wszystkie rzeczy André były w najlepszym gatunku. Matki innych dzieci z zazdrością spoglądały na stroje Andy. Wyjęła teraz dla córki kubraczek i białe spodnie.

— Nie — oznajmiła André, gdy Laura położyła ubranie na łóżku. Laura spojrzała zaskoczona.

— O co chodzi, kochanie?

— Spódniczka — rzekła Andy.

— Chcesz założyć spódnicę, moja kochana? Cóż... Dobrze — wróciła do szafy i wyjęła długą, plisowaną spódnicę.

— Nie — oświadczyła André i wyciągnęła z szafy krótką, białą spódniczkę.

— André, najdroższa. Nie możesz już tego wkładać. Pasowała na ciebie w zeszłym roku, ale od tamtej pory wyrosłaś. Jest za krótka i pewnie za ciasna.

112

Andre nie zwracała uwagi na zaklinania matki. Wciągnęła spódnicę na biodra. Ten widok sprawił, że Laura poczuła, jakby nagle sama cofnęła się wstecz o dwadzieścia lat. „Lauro! Absolutnie zabraniam ci zakładać tę kieckę! Frank! Możesz porozmawiać ze swoją córką!? Ona chce iść na przyjęcie ubrana jak ładacznica! ' ' Ku przerażeniu matki André znalazła następnie biały, kaszmirowy sweter, który Laura zamierzała oddać na wiosnę Sally Freeman. Potem Andy stanęła przed lustrem i dokładnie się w nim przejrzała.

„Dziewczyno, musisz zakładać stanik! Nie słyszysz, co do ciebie mówię!? Chcesz, żeby chłopaki się na ciebie gapili? Tego chcesz!?” Tak było przed laty. Różnica polegała na tym, że Andy nie stała teraz w wyzywającej pozie przed swoją matką i nie patrzyła na nią ironicznie. André rzadko okazywała emocje. Chyba że bardzo się zdenerwowała.

Dobry Boże, pomyślała Laura. I co ja mam teraz począć? Dostrzegła wzrok André w lustrze i, mimo wzburzenia, zdobyła się na ciepły uśmiech. Doświadczenie podpowiadało jej, że nie może krzyczeć na Andy, jak to czyniła jej własna matka.

— Wyglądasz ślicznie, Andy. Naprawdę ślicznie. Obróć się. André spełniła prośbę. Laura pomyślała: jeśli ona będzie jeździła na

rowerze w takim stroju, to wszyscy będą widzieć jej majtki. Objęła córkę.

— Wyglądasz nieziemsko, Andy. Wszyscy oniemiają. Możesz jednak coś dla mnie zrobić, kochana? Chodzi mi o drobiazg.

André nie odpowiadała.

— W nocy jest strasznie zimno. Przeiębisz się w samej kurtce. Załóż ten długi, zapinany płaszcz od mamusi, dobrze? I nie zdejmuj go potem z siebie.

— Który?

— Ten z kapturem, podbity futerkiem. Miałaś go na sobie tylko raz, a jest przecież taki śliczny.

Dziewczyna pokręciła głową. Laura zacisnęła pięści.

— Proszę cię, Andy. Zamartwiam się, że dostaniesz kataru. Chyba nie chcesz chorować, prawda?

André znów pokręciła głową.

— I obiecasz mi, że go nie zdejmiesz?

— U Jacko jest gorąco.

— Wiem, ale proszę, obiecaj mi to.

Tym razem André ustąpiła. Laura tryumfowała.

113

— Powiedz: obiecuję.

— Obiecuję — odrzekła głucho Andy.

Laura uśmiechnęła się z ulgą. Wiedziała, że Andy nie może złamać danej obietnicy.

ROZDZIAŁ 28

Zapadała noc, kiedy André wyprowadziła z garażu swój rower. Laura zerkała z niepokojem na ciemniejące niebo. Nie zapowiadano deszczu, lecz tu, w Sussex, pogoda potrafiła zmieniać się szybko i niespodziewanie.

André stała cierpliwie, gdy Laura dopinała jej podbity futrem płaszcz.

— Masz wszystko, kochana?

— Pieniądze — powiedziała André. Poszła do salonu i wyciągnęła z torebki Laury czerwoną portmonetkę. Znalazła w niej zwitek banknotów pięćdziesięciofuntowych, który wsunęła sobie do kieszeni. Gdy z powrotem wyszła na dwór, Laura uściskała ją na pożegnanie.

— Baw się dobrze, kochanie. Wróć o wpół do dziesiątej i obiecuj, że zadzwonisz, jak się rozpada.

— Obiecuję — odparła André zupełnie spokojnie.

Pożegnała się z matką i ruszyła drogą, zapaliwszy światło nad przednim błotnikiem.

Laura patrzyła za nią nerwowo, jak w każdą środę w tym roku. Wszyscy w majątku byli wielce zdumieni, widząc jak nieporadna André radzi sobie na rowerze. Na tym, który dostała na gwiazdkę, kiedy przebywał u nich Khalid. Andy potrafiła wyprawiać z rowerem istne cuda — na przykład, popisując się przed Khalidem, przejechała po szczycie ogrodowego murku.

Mur ten nie był szerszy od zwykłej cegły.

Jeden z tutejszych farmerów powiedział do swojej żony:

— Dzieciak jest zapóźniony, to fakt. Ale jeździ na rowerze tak, że Laura powinna ją oddać do cyrku.

Teraz Laura zamknęła drzwi i wróciła do salonu.

Płomienie z kominka odbijały się w lakierowanej, sosnowej podłodze. Meble stały tu dość niewyszukane. Zasłony były z materiału kupionego na wyprzedazy. Nieco już wyblakły, ale pasowały jakoś do tego pomieszczenia.

Znajdował się tu także tani odbiornik telewizyjny. Drugi, znacznie kosztowniejszy, był w pokoju André.

114

Laura pozostawiła uchylone drzwi od pokoju, chcąc w razie czego słyszeć telefon. Dorzuciła szczap do ognia i próbowała oglądać telewizję, ale nie mogła się skupić. Bezmyślnie zmieniała kolejne kanały. Nienawidziła śród. W ten jedyny dzień tygodnia traciła kontrolę nad André.

Nie powinna była kupować córce roweru, no ale z drugiej strony nie umiała Andy niczego odmówić. Dziewczyna, kiedy zobaczyła coś, co jej się podobało, przystawała przed sklepową wystawą i niemo gapiła się na przedmiot. Tak też wpatrywała się w rower podczas zeszłorocznych zakupów przedświątecznych. I oczywiście znalazła ten rower pod choinką. W nowym roku André niespodziewanie oświadczyła, że chce się wybrać do kafejki Jacko. Była to oddalona o jakieś trzy kilometry knajpka dla kierowców. Stały tam stare maszyny do bilardu, szafa grająca; schodziły się do Jacko tutejsze dzieciaki. Wolały to miejsce od nudnego młodzieżowego klubu, gdzie mogły najwyżej pograć w ping-ponga.

— Puść ją tam — poradziła Laurze sąsiadka, Sally Fielding. — Trochę swobody jej nie zawadzi. Ja tam nie zabraniałam chodzić swojej Janice.

— Tylko że ona chce się tam wybrać wieczorem, Sal. Sama i na rowerze.

— No i co? Przecież Andy świetnie jeździ... Nie wiem, czego się boisz. Dzieci nie można trzymać pod kluczem, bo inaczej wyrwą się na dobre, jak już będą starsze.

— Ale André dotąd nie lubiła żadnych zmian — poskarżyła się Laura. — A teraz przyszło jej do głowy coś takiego.

— Ona rośnie, Lauro. Dzieciaki się zmieniają. Puść ją. Nic jej się tam nie stanie... Przychodzą też inne dzieci. Zaopiekują się tam Andy.

Laura niechętnie przyznała Sally rację. Rzeczywiście, Andy nic się nie stało. I od tamtej pory podejmowała już swe rowerowe wyprawy co środa.

Laura dorzuciła do ognia następną szczapę. Z porąbanej wcześniej brzozy. Uśmiechnęła się do siebie. Jeszcze jakieś dziesięć lat temu nie miała pojęcia o drzewach. Umiała je dzielić tylko na iglaste i liściaste. A obecnie wiedziała nawet, jakie gatunki są najlepsze do kominka. Kiedy BBC zaczęła nadawać wieczorne wiadomości, wyszła na dwór i popatrzyła w niebo. Wzmagał się wiatr. Na twarz spadło jej parę kropel deszczu. Zastanawiała się, czy wziąć samochód i pojechać po André. Jacko i Freda z pewnością zaopiekowaliby się rowerem. Wróciła przed telewizor, usiłując odgonić od siebie głupie przeczucie, że coś jest nie tak.

115

ROZDZIAŁ 29

André oparła rower o wielką reklamę pepsi-coli przed kafejką Jacko i przymocowała go łańcuchem do słupka.

Pchnęła drzwi i weszła do zadymionego wnętrza. Za dnia wpadali tu kierowcy ciężarówek i pałaszowali okropne, tłuste i smażone jedzenie. Knajpa nie była może elegancka, ale lubiły przychodzić tu dzieciaki, które były jeszcze za młode na tutejsze puby.

Tego wieczora wpadł tu jakiś tuzin młodzików, w tym Dabber Young i Greaser Evans, ubrani w motocyklowe kurtki i grający namiętnie na automatach. André zaraz powitały dziewczyny, które ją znały. Wyrostki z panienkami raczej ją zignorowały — uważały André za jakiś wybryk natury. Za ladą stała Freda. Widok André wywołał na jej szerokiej twarzy ciepły uśmiech.

— Cześć, Andy. Znowu mamy środę, co? Jak ten czas leci, no nie? André skinęła głową, a Freda natychmiast podała jej kubek coli ze

słomką. Rozmieniła banknot i wydała André resztę.

— Proszę, mała. Zimno na dworze, prawda?

André znowu przytaknęła. Postawiła swoją colę na pustym stoliku i podeszła do szafy grającej. Wrzuciła monetę jednofuntową, za co dostała sześć gier. Wcisnęła guziki od 13 do 18. W ubiegłym tygodniu wcisnęła te od 7 do 12. Za tydzień miała zamiar powtórzyć grę, wybierając numery od 19 do 24. Taki miała system. Z szafy grającej dobiegły dźwięki Dire Straits grających „Telegraph Road”. Andy wróciła do stolika i obserwowała zmagania Dabbera i Greasera z automatami. Ci oczywiście nie zwracali na nią uwagi. André Normanville była dla nich jakimś dziwadłem.

Freda trąciła Jacko w żebro. Był równie otyły jak Freda, czyli jego żona. Wciąż miał problemy z facetami kontrolującymi stan sanitarny knajpy. Teraz usiłował naprawić stary toster. Rozebrał go na części i nie wiedział, jak złożyć z powrotem.

— Co jest? — spytał.

— Przyszła Andy. Popatrz, jaką ma kapotę.

Jacko zerknął przez ladę. Dziewczyna siedziała odwrócona do niego plecami. Długie, drogie piato Andy sięgało niemal brudnej podłogi.

— I co z tego?

Dabber i Greaser myśleli, że Jacko patrzy na nich, więc zdwoili swe wysiłki przy automacie.
116

— Jak to, co z tego? Ona zawsze ma niezłe ciuchy, ale ten jest na prawdziwym futrze. Jej matka wydała na niego chyba z parę stów.

Jacko machnął ręką i wrócił do swojego tosteru.

— Jak ją na to stać? Odkłada z nauczycielskiej pensji? — zastanawiała się Freda.

— Ja wolałbym się dowiedzieć, jak działa ten cholerny toster — odezwał się na to Jacko. Przy jednym ze stolików rozpętała się kłótnia. Dwóch gówniarzy spierało się o plakat przedstawiający Jasona Donovana. Ostrzegawcze warknięcie Jacko ucięło kłótnię. Młodzi z Jacko nie zadzierali.

O wpół do dziewiątej André dopiła colę i kupiła następną. Wróciła do stolika i dalej obserwowała grę na automatach.

— Zdaje się, że ona cię czaruje, Dab — mruknął Greaser do kumpla.

— Odchrzań się — rzucił tamten, nie odrywając oczu od flippera. W knajpce było gorąco; Andre czuła się źle w swoim grubym palcie.

Obiecała wprawdzie matce, że go nie zdejmie, ale nie znaczyło to, iż nie mogła go rozpiąć. Zaraz też właśnie to zrobiła.

Greaser oparł się o automat i powiedział do Dabbera:

— Coś wygląda mi na to, że ta mała Normanville chce nam coś powiedzieć.

Dabber przegrał ostatnią rundę i zerknął na Andy. Ze zdziwienia aż wypił łyk coli.

— O kurwa — rzucił. — Ona ma nogi. I to niezłe.

— I cyce. I dupsko.

Dabber raz jeszcze obrzucił André spojrzeniem.

Zobaczył kusą spódniczkę i ciasny sweterek. W końcu rzekł:

— Jak rany koguta, Grease. Ona jest stuknięta.

— Co z tego? Rasowa szesnastka. Do pieprzenia nie trzeba myślenia. Na to Dabber nie znalazł równie ciętej riposty.

Zerknął na dziewczynę kątem oka. Ona nie patrzyła na nich. Siedziała z rozwartymi nogami, zadartą nieco kiecką... Jakby ich prowokowała.

— Chyba jest dziewczicą?

— Jasne.

— Kurwa.

— No tak.

— Jak to, co z tego? Ona zawsze ma niezłe ciuchy, ale ten jest na prawdziwym futrze. Jej matka wydała na niego chyba z parę stów.

Jacko machnął ręką i wrócił do swojego tosterka.

— Jak ją na to stać? Odkłada z nauczycielskiej pensji? — zastanawiała się Freda.

— Ja wolałbym się dowiedzieć, jak działa ten cholerny toster — odezwał się na to Jacko.

Przy jednym ze stolików rozpętała się kłótnia. Dwóch gówniarzy spierało się o plakat przedstawiający Jasona Donovana. Ostrzegawcze warknięcie Jacko ucięło kłótnię.

Młodzi z Jacko nie zadzierali.

O wpół do dziewiątej André dopiła colę i kupiła następną. Wróciła do stolika i dalej obserwowała grę na automatach.

— Zdaje się, że ona cię czaruje, Dab — mruknął Greaser do kumpla.

— Odchrzań się — rzucił tamten, nie odrywając oczu od flippera. W knajpce było gorąco; Andre czuła się źle w swoim grubym palcie.

Obiecała wprawdzie matce, że go nie zdejmie, ale nie znaczyło to, iż nie mogła go rozpiąć. Zaraz też właśnie to zrobiła.

Greaser oparł się o automat i powiedział do Dabbera:

— Coś wygląda mi na to, że ta mała Normanville chce nam coś powiedzieć.

Dabber przegrał ostatnią rundę i zerknął na Andy. Ze zdziwienia aż wypił łyk coli.

— O kurwa — rzucił. — Ona ma nogi. I to niezłe.

— I cyce. I dupsko.

Dabber raz jeszcze obrzucił André spojrzeniem.

Zobaczył kusą spódniczkę i ciasny sweterek. W końcu rzekł:

— Jak rany koguta, Grease. Ona jest stuknięta.

— Co z tego? Rasowa szesnastka. Do pieprzenia nie trzeba myślenia. Na to Dabber nie znalazł równie ciętej riposty.

Zerknął na dziewczynę kątem oka. Ona nie patrzyła na nich. Siedziała z rozwartymi nogami, zadartą nieco kiecką... Jakby ich prowokowała.

— Chyba jest dziewicą?

— Jasne.

— Kurwa.

— No tak.

Greaser i Dabber wszystko robili razem. Mieszkali w tej samej wsi, pracowali w tym samym magazynie w Guildford; jeździli na japońskich motocyklach typu Kawasaki. Obaj przestali być prawiczkami w 1989 na festiwalu rockowym w Reading — z tą samą dziewczyną o tej samej godzinie, w tym samym namiocie. Greaser był być może odrobinę inteligentniejszy od swego kompana.

— Jak wyjdzie, to pójdziemy za nią — postanowił. — Tylko bez robienia cyrku.

Nagle z parkingu doszedł gang motorów.

— Chryste... mapety przyjechały — jęknął Greaser.

Grupa pstrokato ubranych nastolatków wtoczyła się do środka i z hałasem obstawiła kontuar.

André zapięła płaszcz, dopiła colę i wyszła.

Freda zaczęła wyklócać się z dziećmi, które nie miały drobnych. Dopiero po dobrej chwili zauważyła zniknięcie André, a także Greasera i Dabbera. Te chłopaczyska zawsze ulatniały się bezszelestnie — nie tak jak te małolaty, nie potrafiące ani chwili usiedzieć spokojnie.

ROZDZIAŁ 30

Na drodze nie było widać tylnego światełka przy rowerze André. Droga była ciemna i wiła się przez las.

Początkowo Greaser sądził, że dziewczyna pojechała asfaltem na skróty, lecz wtedy Dabber dostrzegł charakterystyczne, czerwone światło jakiegoś dwieście metrów przed nimi.

Wskoczyli szybko na motocykle i wyjechali na drogę.

Reflektory szybko wymacały sylwetkę Andy na rowerze.

Musiąca ich usłyszeć, jednak pedałowala wolno i równo przez cały czas, nie oglądając się nawet na boki. Wyrostki zwolniły i znalazły się obok André, jadąc teraz wolno.

— Cześć! — zawołał Greaser. André spojrzała na niego bez emocji.

— Może poznamy się trochę lepiej? — ciągnął Greaser. — Ty jesteś André, no nie?

Ścieżka zwięzła się. Motor jechał teraz tak blisko, że Greaser i Dabber niemal ocierali się kolanami o André. Rączka hamulca stuknęła o wsteczne lusterko motocykla.

118

— Hej! — wrzasnął Greaser. — Zarysujesz mi motor, suko jedna! Dabber zajechał jej drogę. Zatrzymała się i zeszła z roweru, nim

straciła równowagę. Tamci też przystanęli i postawili motocykle na stopkach, nie gasząc jednak silników. Również reflektory świeciły nadal.

— Myślałem, że chcesz się przejechać na prawdziwej maszynie — powiedział Greaser i dotknął włosów André. — No a potem... — urwał i uśmiechnął się, nim dokończył: — zafundujesz coś mnie i Dabberowi.

André patrzyła na niego, lecz bez cienia strachu. Greaser pomyślał, może ona serio tego chce?

— No i co, Dab? Brzmi uczciwie, nie? Przysługa za przysługę? Dabber wyszczerzył zęby.

Czuł już erekcję w spodniach.

— Cholernie uczciwie, Grease.

Greaser zaczął rozpinać palto André. Robił to z całkiem dużą wprawą. Złapał ją za uda i wcisnął palce między jej nogi. Andy nadal mierzyła go zimnym, nieobecny spojrzeniem. Ten wzrok nieco speszył Greasera. Chryste, pomyślał nagle ze złością. Przecież ona jest przygłupia. Co my, do cholery, robimy? Kombinujemy ze stukniętą? Cofnął rękę. W owej chwili kopnęła Greasera kolanem w jądra. Po upływie sekundy cisnęła rowerem w Dabbera. Greaser zawył i zgiął się wpół z bólu.

— Dziwka! Cholerna suka!

Dabber był tym wszystkim kompletnie zaskoczony. Greaser rzucił się w pogoń za dziewczyną, ale potknął się o leżący na ścieżce rower.

— Łap ją! — krzyknął do Dabbera, André już jednak uciekła całkiem daleko. Nim obaj się pozbierali i ruszyli na motocyklach za Andy, ta się ulotniła.

Po chwili Dabber spostrzegł w świetle reflektora boczną ścieżynkę. Zawołał kumpla i zawrócił. Greaser zobaczył Dabbera znikającego gdzieś w lesie. Andy zdradził błysk klamerki od paska. Znajdowała się około stu metrów przed motocyklistami.

Greaser dodał gazu i wyprzedził Dabbera. Mknął pośród drzew. Dostrzegł wyraźnie dziewczynę, która zatrzymała się przed stertą ściętych sosen, blokujących jej ucieczkę.

Drwale wycinali bowiem od pewnego czasu drzewa, zniszczone przez wichurę przed kilkoma laty. Nagle wskoczyła na kłody, umykając Greaserowi, który chciał ją już złapać za włosy. Zaklął i zrobił ostry zwrot.

119

Dabber znalazł się przy nim. Musieli teraz objechać przeszkodę, klucząc między drzewami w lesie. Byli jednak sprawnymi motocyklistami. Stercząca gałąź zdrapała naraz lakier z baku motoru Greasera. Ów ponownie zaklął siarczyście. André potknęła się i upadła. Wstała po chwili i dalej ruszyła przed siebie. Była wyczerpana, serce waliło jej jako młot. Silniki motorów napełniały nocny las przerażającym rykiem. Pogoń była niebezpiecznie blisko. W końcu dotarła do drucianej siatki, wysokiej na trzy metry.

Wiedziała, że nie zdoła jej pokonać.

Ze stopami w kałuży zwróciła się w stronę prześladowców. Poły jej palta były szeroko rozchylone, nogi ochlapane błotem. Cała postać André znalazła się w świetle reflektorów zbliżających się maszyn.

— NIE! — krzyknęła ze złością, upadając. — WSZYSTKO ŻLE! WSZYSTKO ŻLE!

ROZDZIAŁ 31

Eksplozja wstrząsnęła knajpą Jacko, wybijając kilka szyb. Jacko potrafił działać szybko, kiedy zachodziła taka potrzeba. Błyskawicznie przesadził kontuar i pierwszy znalazł się na parkingu. Słyszał teraz długie, niezwykle długie echo — jakby odległego gromu. Cichło stopniowo, niczym ryk silników odlatującego concorde'a.

Na południu widać było na niebie dziwną poświatę — huk gromu zaś dochodził z przeciwnego kierunku. Freda znalazła się niebawem przy mężu, a za nią wyległa hałaśliwa gromadka nastolatków.

— Cholera jasna! — rzucił cicho Jacko. — Wygląda na to, jakby coś się stało na plantacji Tannera.

— Wybuch gazu? — podsunął jeden z młodzików, wskakując na skuter. Dzieciakom strasznie się spieszyło, by poznać przyczynę eksplozji.

— Nie — odparł Jacko, wpatrując się w tunę. — Rozbił się samolot albo coś takiego.

— Patrz, Jacko — Freda wyciągnęła rękę. — Co to jest? Widzisz? Tamten słup światła.

Jacko odwrócił głowę. Niebo przecinało coś, co przypominało zorzę. Między odległymi drzewami, gdzie wybrzmiewał jeszcze pogłos gromu, migotało światło.

120

— Pewnie spadł samolot — stwierdził ponuro Jacko. — Biedne sukinsyny — dodał, mając na myśli pasażerów.

ROZDZIAŁ 32

Leśniczy Rob Jones pomyślał dokładnie to samo, widząc ognisty słup: jakiś samolot, pewnie dosyć duży, spadł na plantację Tannera. Ale dziwne: pobliskie lotnisko zwykle nie działało w nocy. I skąd ten przeciągły huk, jak podczas burzy? Bardzo dziwne.

Rob sądził, iż powinien się wspiać na pobliską wieżę strażniczą. Nigdy dotąd nie robił tego jednak po ciemku. Tylko ze starej platformy mógł coś zobaczyć ponad koronami drzew.

Źródło ognia znajdowało się około kilometra na południe. Jeśli nie zareaguje szybko, to pożar pochłonie las pełen pięknych sosen.

Coś tu jednak nie grało. Pożary nie wybuchały w ten sposób. Zamrugał powiekami, ale widział to co i wcześniej: słup dziwnego, przymglonego światła, jak z reflektora używanego przez obronę przeciwlotniczą. Światła, które przygasało. Rob pobiegł do domku, gdzie znajdował się telefon, i zadzwonił na miejscową policję. Nim ktokolwiek się zgłosił, Rob dostrzegł, że białe światło już zgasło.

ROZDZIAŁ 33

Huk eksplozji oderwał od odbiorników telewizyjnych wszystkich mieszkańców Durston Wood. Większość wyległa z domów na drogę.

— To chyba wybuch gazu, jak myślisz? — zapytała Laura Sally Fielding. Instalacje gazowe zawsze ją niepokoiły.

— Raczej nie — odparła Sally, spoglądając na niebo. Pobliskie drzewa przesłaniały horyzont.

— Pamiętam wybuch gazu... Byłam wtedy dzieckiem. To brzmiało inaczej. Krótki huk, nie taki jak ten... Nie taki jak burza.

Ktoś wyniósł tranzystorowe radio i nastawił na lokalną rozgłośnię. Płynęła muzyka, jakby nigdy nic.

— André powinna już wracać do domu — powiedziała Laura nerwowo. — Powinam chyba...

121

— Nic jej nie będzie — stwierdziła Sally. — O której miała wrócić?

— O wpół do dziesiątej.

— No cóż, daj jej jeszcze kwadrans — powiedziała Sally praktycznym tonem. — Jak nie wróci, to pojedziesz jej poszukać, a ja zostanę pod twoim telefonem.

Odpowiedź Laury zagłuszyło wycie syren na pobliskiej szosie. Zebrana gromadka nie wiedziała, co się dzieje i nie miała sposobu się dowiedzieć. Ludzie zaczęli rozchodzić się do siebie.

— Przestań się denerwować — uspokajała Laurę Sally. — André pewnie ogląda pożar albo coś takiego...

Laura pobiegła do kuchni i nastawiła radio. Teraz poinformowano już o zagadkowym wybuchu w Sussex. Zabrała się do robienia herbaty, kiedy usłyszała hałas na zewnątrz. Otworzyła drzwi. To André wlokła do garażu swój rower. Piękny, futrzany płaszcz miała w strzępach, a sama utaplana była w błocie. Jej zielone oczy błyszczały dziwnie.

— Andy! Moja droga! Co się stało?

André wyrwała się z objęć matki i weszła do kuchni.

Podeszła do zlewu i nalała sobie szklankę wody. Laura z ulgą stwierdziła, że André nie jest ranna. Wiedziała, że musi teraz zachować spokój. Pomogła córce zdjąć podarte palto.

— Co się stało, Andy?

— Nie słyszę.

Dreszcz strachu przeszył Laurę. Już wcześniej obawiała się, że tamten wybuch mógł ogłuszyć André.

— Jak to, nie słyszysz? Co się stało? — Laura podniosła głos. — No co!?

— Spadłam z roweru.

— Coś cię boli? Żadnej odpowiedzi.

Laura histerycznym tonem powtórzyła pytanie. André zaprzeczyła ruchem głowy i wypita wodę ze szklanki, zerkając na matkę z ukosa. Odwróciła się do zlewu, gdy Laura chciała się jej dokładniej przyjrzeć. Taka reakcja zaniepokoiła Laurę. Przecież André nie miała żadnego powodu bać się własnej matki, która darzyła ją bezgraniczną miłością. W przeszłości zdarzył się wyjątek... Laurę poniosło jeden, jedyny raz, kiedy Andy skończyła dziesięć lat.

122

— Nic jej nie będzie — stwierdziła Sally. — O której miała wrócić?

— O wpół do dziesiątej.

— No cóż, daj jej jeszcze kwadrans — powiedziała Sally praktycznym tonem. — Jak nie wróci, to pojedziesz jej poszukać, a ja zostanę pod twoim telefonem.

Odpowiedź Laury zagłuszyło wycie syren na pobliskiej szosie. Zebrana gromadka nie wiedziała, co się dzieje i nie miała sposobu się dowiedzieć. Ludzie zaczęli rozchodzić się do siebie.

— Przestań się denerwować — uspokajała Laurę Sally. — André pewnie ogląda pożar albo coś takiego...

Laura pobiegła do kuchni i nastawiła radio. Teraz poinformowano już o zagadkowym wybuchu w Sussex. Zabrała się do robienia herbaty, kiedy usłyszała hałas na zewnątrz. Otworzyła drzwi. To André wlokła do garażu swój rower. Piękny, futrzany płaszcz miała w strzępach, a sama utaplana była w błocie. Jej zielone oczy błyszczały dziwnie.

— Andy! Moja droga! Co się stało?

André wyrwała się z objęć matki i weszła do kuchni.

Podeszła do zlewu i nalała sobie szklankę wody. Laura z ulgą stwierdziła, że André nie jest ranna. Wiedziała, że musi teraz zachować spokój. Pomogła córce zdjąć podarte palto.

— Co się stało, Andy?

— Nie słyszę.

Dreszcz strachu przeszył Laurę. Już wcześniej obawiała się, że tamten wybuch mógł ogłuszyć André.

— Jak to, nie słyszysz? Co się stało? — Laura podniosła głos. — No co!?

— Spadłam z roweru.

— Coś cię boli? Żadnej odpowiedzi.

Laura histerycznym tonem powtórzyła pytanie. André zaprzeczyła ruchem głowy i wypita wodę ze szklanki, zerkając na matkę z ukosa. Odwróciła się do zlewu, gdy Laura chciała się jej dokładniej przyjrzeć. Taka reakcja zaniepokoiła Laurę. Przecież André nie miała żadnego powodu bać się własnej matki, która darzyła ją bezgraniczną miłością. W przeszłości zdarzył się wyjątek... Laurę poniosło jeden, jedyny raz, kiedy Andy skończyła dziesięć lat.

122

Jednakże teraz znów dostrzegła strach w zielonych oczach dziewczyny. Laura pokręciła głową. Nie... To niemożliwe. Objęła André ramionami.

— Słyszałaś ten huk jakieś dwadzieścia minut temu? Musiałaś usłyszeć.

André skinęła głową.

— A syreny?

Andy znów przytaknęła.

Laura odetchnęła z ulgą. Oczywiście. Jej córkę z pewnością wystraszył tamten wybuch, a potem wycie policyjnych czy strażackich syren. Jak inaczej André mogła spaść z roweru? Jeździła przecież doskonale.

— Och, kochana. Jesteś taka wystraszona, a mamusia jeszcze na ciebie nakrzyczała. Tak mi przykro. Proszę, wybacz mi. Laura pocałowała André w czoło — i zobaczyła upalone końce włosów. Cofnęła się o krok i przyjrzała się też twarzy dziewczynki.

— Andy... Masz usmalone włosy i brwi!

— Usmalone?

— Spalone!

— Ognisko w ogrodzie.

Naturalnie. Laura sama ostrzegła André przed iskrami tego wieczora. Coś tu jednak nie grało.

— Ale przecież dostrzegłabym to pod prysznicem...

— Ognisko — powtórzyła André. — Za blisko.

Laura westchnęła. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. André nigdy nie kłamała.

Laura zawsze twierdziła, że jej córka to prawdomówne dziecko. Łganie wymagało specyficznej inteligencji. A zresztą, co za różnica? Grunt, że André wróciła cała i zdrowa.

Laura uśmiechnęła się i pogłaskała córkę po włosach.

— Wszystko jedno... Przygotuję ci kąpiel. Musisz się dobrze wymoczyć. No, chodź, dziecinko. Zrzuć te ciuchy.

Pół godziny później Andy była już w łóżku i oglądała telewizję. Laura wyszła z jej sypialni. Muszę z nią porozmawiać, pomyślała matka, uruchomiwszy pralkę. Wrzuciła do niej brudne ubranie Andy. Przyjrzała się płaszczowi na futrze. Nie wyglądało tak źle. Błoto można było zmyć, a drobne uszkodzenia zaszyć.

123

I nagle spostrzegła coś... Ugięły się pod nią nogi.

Laura musiała aż przysiąść na krześle. Ręce zaczęły się trząść. „Boże, nie. To niemożliwe... Nie, nie sprzedam tego majątku. Tu jest tak cudownie. André też lubi to miejsce. Jesteśmy tu szczęśliwe. Oby tak było dalej...” Laura zdawała sobie jednak sprawę, że błaganie nie pomogą. Nie uda się zmienić losu. Wiedziała, że bezpieczeństwo André zależy od niej samej. Ruszyła do pokoju córki, trzymając w rękę płaszcz. Otworzyła drzwi.

Andy spojrzała na matkę stojącą w progir. Pojęła, czemu ta przyniosła jej odzienie. Wyciszyła głos w telewizorze.

Zapadła ciężka cisza. Laurze zakręciły się w oczach łzy.

— Futro jest usmalone, Andy. Widzisz? Okopcone. A przecież nie miałaś go na sobie w ogrodzie, kiedy paliłyśmy ognisko.

W oczach André pojawił się strach.

Laura podeszła do łóżka. Kipiała w niej wściekłość.

— Zrobiłaś to!

— Musiałam! — krzyknęła Andy. Odrzuciła kołdrę i zaczęła tłuc w poduszkę pięściami —

Musiałam! Musiałam! Musiałam! Musiałam!

— Dlaczego!?! Laura schwyciła córkę za rękę. — Dlaczego!?!

— Chcieli mnie skrzywdzić! — wrzasnęła André.

— Kto?

— Dwaj chłopcy. Z kafejki. Jechali za mną.

Laurze zdało się, że zaraz zemdleje. Wzięła z komódki ozdobną szczotkę do włosów. Z całej siły cisnęła ją w fotografię Khalida. Szkło rozbiło się na podłodze.

André zawyla z rozpacz. Dziewczyna ukryła twarz w poduszce i zaczęła szlochać żałośnie.

Zdumiona Laura zamarła. Upuściła szczotkę i delikatnie dotknęła córkę.

André płakała. Naprawdę płakała.

ROZDZIAŁ 34

AMARAH, POŁUDNIOWY IRAK

Amarah było zaiste kosmopolitycznym miastem, miejscem gdzie mówiono przeróżnymi dialektami. Nuri i Khalid poczuli się tu swobodniej.

124

Najpierw natknęli się na zatłoczonej ulicy na kupca, który wymienił dwieście dolarów z pieniędzy Nuriego — oczywiście zdarł z nich niemiłosiernie, oferując trzy dinary za jednego dolara. Gdy Nuri zaprotestował, Arab tylko wzruszył ramionami i zauważył, że milczenie ma swoją cenę: dostrzegł bowiem gruby plik banknotów w ręku Nuriego.

Potem Nuri był już ostrożniejszy; ostrożniej postępował z kolejnymi cinkciarzami. Ale teraz mógł przynajmniej bez wzbudzania podejrzeń kupić to i owo.

Obaj z Khalidem zgrywali ludzi interesu. Nabyli dwa nesesery, do których upchali cały dobytek, w tym i kowbojskie buty, z którymi Nuri nie chciał się rozstać.

Stare plecaki wyrzucili na śmietnik — ku radości bosonogich chłopców, którzy natychmiast je wydobyli z odpadków.

Miejscowy cyrulik ostrzygł i ogolił Nuriego.

Dotarli na pewne podwórze, gdzie handlowano obuwem.

Nuri kupił dla siebie i Khalida pantofle z czarnej skóry i dwie pary ciemnych skarpetek. Od jednego Turka nabył jasne garnitury, białe koszule i krawaty. Teraz wyglądali na typowych biznesmenów. Nie wzbudzali podejrzeń — jasnowłosa Khalid nieustannie się uśmiechał.

Na pozór nie dręczyły ich żadne problemy. Nuri przejrzał się w lustrze ustawionym na jednej z wystaw. Pomyślał, że nigdy jeszcze nie miał na sobie takiego porządnego ubrania.

Złapali taksówkę, która zawiozła ich do czterogwiazdkowego hotelu „Iris”, wybudowanego nad Tygrysem w północnej części miasta. Taksówkarz oczywiście zawiózł ich tam określoną drogą, klucząc niezliczonymi uliczkami. Hotelowy recepcjonista był bardziej zainteresowany meczem piłkarskim w telewizji niż przybyszami. Nuri wpisał ich do księgi meldunkowej. Za pokój należało zapłacić z góry. Przyjmowano też amerykańskie dolary. Arabowie nie przelali swej nienawiści wobec Zachodu na amerykańską walutę. W szpiegowskich filmach nowi goście hotelowi zawsze zwracają uwagę siedzących w holu i czytających gazety tajniaków. Tu znajdował się tylko jeden facet, wyglądający zresztą całkiem przyjaźnie i przeglądający francuski „Paris Match”. Nie pasował na szpicla. Raczej na kogoś czekał. A jednak jego obecność nie przyniosła Nuriemu i Khalidowi szczęścia. Wstał bowiem i podszedł do lady. Recepcjonista wyłączył telewizor. Musiał okazywać szacunek pracownikom tajnej policji.

125

Zaznajomił więc dyskretnie przyjaznego faceta z wpisami w księdze, jakie wcześniej poczynił Nuri. Pokazał mu też studolarowy banknot, który tamten obejrzał z wielkim zaciekawieniem. Potem podziękował grzecznie, zwrócił banknot i wyszedł na dwór.

Oczywiście, mogła to być rutynowa kontrola, ale nadmiar ostrożności nie zawadził. Niespełna dwa lata wcześniej miała miejsce eksplozja w pobliskich zakładach zbrojeniowych, co bardzo wzmogło czujność tajnej policji.

Zachodni dziennikarz, piszący dla „Observera”, przypłacił życiem zbytnią ciekawość. Zniknął „bez śladu”.

Okolice Amarah kontrolowano szczególnie pilnie i skrupulatnie. Hotelowych gości odnotowywano w komputerach tajnej policji irackiej. Obecnie odbywało się to ze zwłoką, ponieważ przegrywano zapisywane na dyskach informacje na potężną maszynę elektroniczną, potajemnymi kanałami sprowadzoną z Francji przez pośredników pracujących na rzecz wywiadu Saddama Husajna. Tak więc identyfikacja dwóch przybyszów musiała zająć nieco czasu.

ROZDZIAŁ 35

POŁUDNIOWA ANGLIA Czwartek, 7 marca 1991

W redakcji „Science UK” kipiło jak w ulu, kiedy Lloyd przyjechał do pracy. Okazało się, że zeszłej nocy spadł na miejscowość Durston w hrabstwie Sussex spory meteoryt. Koledzy Lloyda oglądali na telewizyjnym ekranie reportaż, w którym pokazywano zniszczenia dokonane przez asteroid. Miejsce wyglądało tak, jakby doszło tam do katastrofy dużego samolotu pasażerskiego.

Gary Pepper chciał, by wydarzenie to stało się tematem głównego artykułu do następnego numeru czasopisma, Lloyd jednak sprzeciwił się temu pomysłowi.

— Napiszemy o tym, gdy opadną emocje. Nie jesteśmy sensacyjnym szmatławcem — stwierdził.

— Jednak tam stało się coś dziwnego — zaproponował Gary. — Nie ma śladu meteorytu.

126

— Bzdura — uciął Lloyd krótko. — Zamieścimy tylko krótką informację. Może za miesiąc zbadamy sprawę dokładniej — powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia. Nie trzasnął za sobą drzwiami — to było nie w jego stylu — ale potrafił okazywać, kto tu rządzi.

W jego gabinecie znajdował się dwukasetowy magnetowid. Uruchomił maszynę, pragnąc przeagrać taśmę, którą pożyczył od Teda Prentice'a. Chciał ją też obejrzeć w trakcie kopiowania. Program nosił tytuł „W ich małych główkach”. Wedle informacji na pudełku wyświetlono go sześć lat temu — w roku 1985. Ted Prentice został wymieniony jako producent programu. Przedstawiono nadzwyczajne talenty kilkorga niezwykłych dzieci: Tommy'ego Jeffersona, młodocianego geniusza muzycznego; paru chłopców, którzy błyskawicznie liczyli w pamięci, oraz nastoletniego, jasnowłosego Irakijczyka, Khalida al Karniego, który bezbłędnie odgadywał czas. To właśnie o nim wspominał wcześniej Ted Prentice. Lloyd obejrzał fragment z Khalidem dwa razy.

Irakijczyk potrafił dokładnie to co André: był jakby chodzącym zegarem. Ted Prentice, nieco młodszy na filmie niż obecnie, oznajmił widzom, że badał chłopca, a ten za każdym razem podawał czas precyzyjnie, co do sekundy.

Wszystkie eksperymenty odbyły się, rzecz jasna, za zgodą rodziców. Pojawiły się napisy końcowe. Dalej nagrany był fragment, którego emisji odmówiono. Lloyd bardzo chciał obejrzeć go niezwłocznie, lecz nie mógł z powodu natłoku obowiązków. Do pokoju weszła Della, przynosząc przefaksowane listy, które wymagały natychmiastowej odpowiedzi.

Rozległo się też pukanie do drzwi — paru dziennikarzy z redakcji pilnie pragnęło poinformować Lloyda o swych pomysłach. Lloyd zaklął. Wkurzało go, że nie może poświęcić się całkowicie problemowi, który go absorbował. Wyłączył monitor. Kopiowanie taśmy w

magnetowidzie trwało jednak nadal — przegrywał się akurat końcowy fragment, nie pokazany przed laty w telewizji.

ROZDZIAŁ 36

AMARAH, POŁUDNIOWY IRAK

Khalid zademonstrował Nuriemu, jak działają różne urządzenia w ich apartamencie. Nuri pomyślał, że życie w Ameryce wcale nie jest tak cudowne, jak to się pokazuje na filmach. Naukowcy w jego kraju też pewnie zdołaliby zaprojektować nowoczesny prysznic i elektryczny mikser.

Nuri zbudził się o szóstej rano, wziął prysznic, a potem wrócił do łóżka. Zwlókł się z niego ostatecznie trzy godziny później, kiedy Khalid wciąż jeszcze spał. Za pomocą pilota włączył telewizor, który ryknął niespodziewanie — mając nastawioną głośność na maksimum — i zbudził Khalida. CNN nadawała akurat nowiny z Bliskiego Wschodu.

— Przepraszam — powiedział Nuri, gdy spod koca wynurzyła się jasna grzywa Khalida. — Może jesteś przyzwyczajony do tych wszystkich zabawek, ale ja nie. Szybko się jednak uczę. Postanowił raz jeszcze się wykapać, używając całe mydło z łazienki.

— Pachniesz teraz jak moja matka — zauważył Khalid.

— Nie wiem, czy to zniewaga czy komplement — odparł Nuri, przyglądając się w lustrze szczecinie na swoim podbródku.

— Ona jest bardzo ładna.

Nuri zerknął ostro na kompana; Khalid nagle skrzywił się jakby z bólu. Było to coś niezwykłego.

— Może cała twoja rodzina ma szczęście, Khalid.

— Chyba nie... Nuri... — Khalid zawahał się i wreszcie zapytał. — Czy daleko jeszcze do Bagdadu?

— Ominiemy Bagdad — wyjaśnił mu Nuri. — Nidel mówił, że w Bagdadzie jest zbyt niebezpiecznie.

— Moi rodzice mieszkają w Bagdadzie. Chciałbym ich odwiedzić. Nuri okazał zaskoczenie.

— Myślałem, że w Kurdystanie.

— Tak... W lecie. Mamy ładny domek koło Duhok. Teraz są jednak w Bagdadzie. W Mansour.

Nuri milczał. Chociaż nigdy nie był w Bagdadzie, to słyszał o Mansour. Było to bogate, willowe przedmieście dla bogatych — z basenami, torami wyścigowymi i tak dalej.

128

Okolica, gdzie Saddam Husajn sprowadził i osiedlił swoich wiernych tikritczyków...

Wyprawa do Mansour nie wchodziła w grę. Dwóch kurdyjskich dezertersów natychmiast by tam ujęto, nie zwracając nawet uwagi na ich papiery.

Nuri chciał już głośno wyrazić sprzeciw, lecz nagle wspomniawszy swoich bliskich i zmienił zdanie. Uścisnął Khalida i zapytał:

— Czy w twoim domu są takie pokoje jak tutaj?

— Znacznie lepsze.

W oczach Khalida błysnęła iskra radości. Nuri pomyślał, że może warto ponieść ryzyko.

* * *

Zjedli śniadanie w hotelowej restauracji. Khalid nauczył Nuriego, jak obsługuje się automat do kawy i maszynę do tostów w bufecie. Potem Nuri wyszedł na parking, gdzie czekały taksówki. Spytał o coś jednego z szoferów i za informację zapłacił dziesięć dinarów. Wrócił do holu, gdzie czekał Khalid.

— Najlepiej jak kupimy używany samochód — powiedział Nuri. — Są teraz tanie. Ludzie wyzbywają się wozów i kupują żywność. Benzynę można dostać, chociaż z kłopotami. Możemy jednak kupić auto z pełnym bakiem i kilkoma zapasowymi kanistrami.

— Pozwolisz mi prowadzić, Nuri? — zapytał Khalid z radością. Nuri zaśmiał się i poklepał kamrata po plecach.

— Jasne.

Usłużny taksówkarz podrzucił ich na parking z używanymi samochodami, gdzie Nuri dał 750 dolarów za solidnie wyglądającego forda escorta z nowymi oponami.

Kwadrans po tej transakcji pędzili już autostradą biegnącą wzdłuż wschodniego brzegu Tygrysu. Czasami mijali zniszczone przez naloty mosty. Okazało się to korzystne dla przewoźników, którzy ze swymi tratwami i łódkami oczekiwali na klientów po obu brzegach rzeki.

Khalid utrzymywał prędkość stu kilometrów na godzinę; jechałby jeszcze szybciej, gdyby Nuri nie upomniał go, że muszą oszczędzać paliwo. Im dalej na północ, tym rzadziej trafiały się czynne stacje benzynowe. Gdy Khalid mijał na pełnym gazie kolejne ciężarówki, Nuri odruchowo zapierał się rękami o przednią szybę. Młodszy z nich miał

129

jednak bezbłędne wyczucie czasu i przestrzeni. Tak samo jak wcześniej

— jako szofer ich wysłużonego czołgu T-55.

— Proszę cię, Khalid — odezwał się Nuri, gdy tamten wyprzedził ryzykownym manewrem następnego auto, kierowca którego wściekle nacisnął klakson. — Nie możemy tak szaleć.

— Próbuję pozbyć się peugeota — wyjaśnił z beztroskim uśmiechem Khalid.

— Nie jesteśmy na wyścigach.

—... Jedzie za nami od hotelu. Za kierownicą siedzi człowiek, którego wczoraj widziałem przy recepcji.

— Co takiego!?! — Nuri odwrócił głowę i zobaczył granatowy wóz jakieś pięćset metrów za nimi; akurat wyprzedził furgonetkę. — Tamten niebieski?

— To ten sam człowiek — powtórzył Khalid, wciąż się uśmiechając.

— Widziałem go w holu dwa razy. Jechał za nami na parking z używanymi samochodami i śledzi nas teraz.

Tym razem Nuri wkurzył się nie na żarty.

— Stuknięty jesteś? Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej!?

— Nie musiałem. On nie ma mojego szczęścia..

Nim Nuri odpowiedział, Khalid skręcił ostro w boczną dróżkę, biegnącą między polami.

— Nie udało się — jęknął Nuri, widząc, że peugeot skręcił za nimi. Czuł rosnący strach. Jeśli to prawda, iż facet podążał za nimi od hotelu, to musiał być agentem tajnej policji.

Przejechali wzniesienie i jechali teraz w dół.

Autostrada zniknęła z widoku. Khalid dodał gazu i naraz ostro zahamował. Na szczycie wzniesienia pokazał się peugeot, który zatrzymał się około trzystu metrów od escorta. Przez kilka sekund nic się nie działo. Potem kierowca peugeota wysiadł z wozu i stanął krok z boku. W rękę trzymał kałasznikowa, który bardzo nie pasował do jego błękitnego garnituru. Facet z peugeota pomachał ręką. Po chwili ruszył wolno w stronę escorta. Broń trzymał gotową do natychmiastowego użycia. Nuri zorientował się, że ich prześladowca ma ulepszony model karabinka, na pociski mniejszego kalibru — bardziej celną, o większej szybkostrzelności. Mógłby poszatkować jak sito escorta z ich pasażerami.

— Dobra! Teraz! — odezwał się Nuri, który sądził, że Khalid zatrzymał się, chcąc wywabić tamtego z auta i zyskać czas na ucieczkę.

130

Minęłyby ładnych parę sekund, nim agent znalazłby się ponownie za kierownicą swojego wozu. Khalid jednakże tylko gapił się na tamtego.

— Jedź! — wrzasnął Nuri głosem podszytym strachem. — Nie pozwól mu podejść bliżej!

Tamten niespodziewanie zaczął biec. Naraz zatrzymał się i wycelował z biodra. Z lufy kałasznikowa wyłonił się błysk. Nuri przeklął głupotę Khalida i wyskoczył z escorta, rzucając się na ziemię.

ROZDZIAŁ 37 POŁUDNIOWA ANGLIA

Lloyd nie poszedł z innymi na lunch do restauracji, tylko został w swoim biurze, by obejrzeć kopię kasety Prentice'a. Pnasonic przeagrał oryginał idealnie. Przewinął taśmę do momentu, kiedy na monitorze ukazał się jasnowłosy Irakijczyk. Zobaczył nastolatka otoczonego hałaśliwą gromadką młodszych dzieciaków. Lloyd rzucił okiem na swoje notatki, poczynione po rozmowie z Prentic'em. Na ekranie, w tle dużego pomieszczenia, znajdowali się rodzice, popijający herbatę z plastikowych kubków i zerkający na swe dzieci. Niektóre z nich były najwyraźniej niewidome. Potem studio opustoszało; na krześle przed kamerami pozostał płowowłosy Irakijczyk, wierząc się niespokojnie.

Teda Prentice'a nie było widać, lecz dobiegał z taśmy jego głos:

— Twoja mama mówi, że odgadujesz godzinę bez zegarka, Khalid. Czy to prawda?

Nastolatek popatrzył w obiektyw kamery i przytaknął głową.

— Dobrze, Khalid. Czy jesteś gotów? Chłopak znów skinął nerwowo.

— Którą mamy więc teraz godzinę?

— Jedenasta pięćdziesiąt sześć i dziesięć sekund.

— Doskonale... Dobrze, wróć teraz do mamy.

Lloyd przewinął taśmę do przodu na podglądzie. Doszedł do miejsca, kiedy Khalid odwrócił piłkę do tenisa wnętrzem na wierzch... Młodociany blondyn trzymał w ręku piłeczkę i spoglądał niepewnie w kamerę. Dzieci hałasowały w de, ignorując upomnienia kierownika programu.

131

— Teraz cię rejestrujemy, Khalid — powiedział Prentice, z trudem ukrywając podekscytowanie w głosie. — Zrób to jeszcze raz, tak aby kamera wszystko dokładnie uchwyciła.

Khalid wyciągnął w kierunku obiektywu kamery dłoń. Trzymał w niej zwyczajną tenisową piłkę.

— Kiedy doliczę do trzech, odbij ją o ścianę.

Zrozumiałeś? Khalid gorliwie potwierdził. Kobiety głos powiedział coś do niego po kurdyjsku i chłopak wyraźnie się uspokoił.

— Raz... dwa... trzy...!

Irakijczyk mocno rzucił piłką o ścianę. Odbity przedmiot złapała dziewczynka o długich, ciemnych włosach.

Na jej widok Lloyd chwycił pilota i zatrzymał taśmę.

Teraz oglądał dokładnie klatkę po klatce, co chwila unieruchamiając obraz na ekranie.

Dziewczyna była młodsza — mogła mieć wtedy z dziesięć lat — ale Lloyd poznał ją bez wahania po tych niesamowitych zielonych oczach.

To była André.

ROZDZIAŁ 38 POŁUDNIOWY IRAK

Nuri odruchowo przyłgnął do ziemi, chcąc ukryć się przed kulami. Jednakże zamiast odgłosu wystrzałów posłyszał straszliwy trzask, a zaraz potem jakby huk gromu, który trwał przez długie sekundy. Odwrócił głowę i zobaczył kontury escorta. Drzwi wozu pozostawały otwarte, od chwili kiedy, wyskoczył z niego.

Nuri był przekonany, że Khalid nie żyje. Podczołgał się do samochodu i ostrożnie wyjrzał zza zderzaka w kierunku granatowego peugeota. Nie było śladu faceta z kałasznikowem. Nuri obrzucił spojrzeniem pobliski teren, szukając jakiegoś zagłębienia w ziemi. Nie dostrzegł nic takiego. Powoli wstał i krzycząc: „Nie strzelaj!”... uniósł nad głowę obie ręce.

Nic się nie zdarzyło. Nuri rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem agenta z bronią gotową do użycia.

Zobaczył jednak tylko Khalida, uśmiechającego się zza przedniej szyby. Po chwili Khalid wyszedł z wozu i kiwnął ręką w stronę peugeota.

132

— Co jest? — spytał zdumiony Nuri, wciąż gorączkowo rozglądając się po okolicy.

— Przepadł — wyjaśnił Khalid, zwyczajnie wzruszając ramionami.

— Co?

— Ja mam szczęście. Nuri popatrzył na Khalida.

— Szczęście? Co ty wygadujesz? Coś huknęło jak bomba!

— Jak grom.

Nuri, usiłując się połapać, co to wszystko znaczy, ruszył w kierunku peugeota. Agent rzeczywiście zniknął.

Nuri natknął się jedynie na szczątki magazynka od kałasznikowa. Przedmiot wyglądał tak, jakby został rozłupany siekierą i nadtopiony w ogniu.

— Ekspłodowała mu broń! — zawołał pokazując magazynek Khali-dowi. — Słyszałem o takich przypadkach... Nie myślałem, że to możliwe. Rzeczywiście masz piekielne szczęście. Widać w tajnej policji są też sabotażyści — teraz Nuri rozejrzał się wokół i ściągnął brwi. •— No ale gdzie on jest?

— Bum... bum! — zaśmiał się Khalid i nagle spowaźniał — Nuri... Musisz mnie wysłuchać. Coś w głosie młodszego kolegi zastanowiło Nuriego ponadto Khalid wcale się nie uśmiechał.

— Dobrze. Słucham.

Khalid spojrzał na miejsce, w którym niedawno stał agent tajnej policji. Kurd miał wyraźne kłopoty z doborem słów:

— Ja zawsze... mam wielkie szczęście.

— Wcale mnie to nie martwi.

— Ale chodzi o coś jeszcze. Na przyszłość, w niebezpieczeństwie, musisz się zawsze trzymać blisko mnie.

— Nigdy cię nie pozostawię, Khalid. Przecież wiesz o tym.

— Nie to miałem na myśli... Wskoczyłeś z samochodu. Ta uwaga zdenerwowała Nuriego.

— Jasne, że wyskoczyłem! Nie chciałem, żeby mnie ustrzelił jak kaczkę! Khalid zacisnął dłoń w kułak.

— Nie, nie w tym rzecz. Gdyby Abbi nie odszedł wtedy od czołgu, to żyłby nadal.

Nuri przypomniał sobie tamtą scenę.

— Wtedy, gdy chciał znaleźć paliwo?

133

— Tak. Mówiłem mu, żeby się nie oddalał, ale on nie słuchał. Nuri... Moje szczęście to coś więcej niż zwykły fuks.

Teraz Nuri myślał przede wszystkim o tym, żeby się stąd oddalić, zanim zbiegną się miejscowi chłopcy. Odwrócił się, ale Khalid niespodziewanie złapał go bardzo mocno za ramię. Nuri nigdy dotąd nie widział kolegi tak zdenerwowanego.

— Proszę cię, Nuri. Jak będzie źle, to musisz się mnie trzymać! — Khalid mierzył Nuriego intensywnym spojrzeniem. To nadało twarzy młodszego Kurda zupełnie inny wyraz. —

Zawsze trzymaj się blisko mnie.

Nuri wzruszył ramionami.

— W porządku, Khalid.

— Obiecuj!

Zabrzmiało to jakoś dziecinnie. Nuri machnął ręką.

— Dobra. Obiecuję.

Khalid puścił wreszcie ramię Nuriego. Znowu wesoło się uśmiechnął i pokiwał aprobująco głową

Nuri na nowo zajął się przepatrywaniem okolicy. Nigdzie jednak nie mógł dojrzeć szczątków zwłok agenta. Jakoś nie był w stanie uwierzyć, że eksplozja magazynka z amunicją starła dorosłego mężczyznę z powierzchni ziemi. Najwyraźniej jednak tak się właśnie stało. Zajrzał to peugeota i z ulgą stwierdził, że w środku nie było nadajnika ani choćby krótkofalówki. A więc być może nikt nie wiedział, gdzie wybrał się ów agent. Nie znalazł też żadnych papierów i dokumentów. Ten fakt utwierdził tylko Nuriego w przekonaniu, że mieli do czynienia z pracownikiem tajnej policji. Po chwili Nuri wyjął kluczyki ze stacyjki peugeota i wrzucił je do pobliskiego kanału melioracyjnego. Kumpie tamtego zapewne pomyśla, po odnalezieniu wozu, że ich człowiek porzucił samochód z jakiegoś powodu.

— Wynośmy się stąd! — rzucił wreszcie.

Tym razem Nuri nie utyskiwał na szybką jazdę Khalida. Dopiero po przebyciu paruset kilometrów zaczął odczuwać ulgę.

ROZDZIAŁ 39

POŁUDNIOWA ANGLIA

Problem w tym, pomyślał sierżant policji Grahame „Yorkie” Barr, że wszelkie eksplozje przykuwają ciekawość gapiów. Pogrzebał butem w błocie. Coś huknęło w lesie i zrobił się zamęt. Wszyscy krzyczeli: niewypał! A przecież wojsko nigdy nie odbywało w tych okolicach ćwiczeń. Poza tym bomba wyłobiłaby w miękkim gruncie solidny lej; odłamki zmasakrowałyby pobliskie drzewa. A tu nawet nie ogołociły gałęzi z igliwia — zdawało się paradoksalnie, że wręcz przeciwnie.

I jeszcze jedno: eksplozja bomby rzadko powodowała pożar. A tu widział osmalone konary i pnie sosen. Zarząd lasów narobił paniki. Strażacy wylali mnóstwo wody, zamieniając teren w bagnisko. I jak w takich warunkach szukać drobnych śladów? Wyszedł na ścieżkę, gdzie stał terenowy samochód, należący do tutejszego nadleśniczego. Odezwał się teraz radiotelefon sierżanta. To konstabl z posterunku w Mount Browne chciał poznać wyniki oględzin miejsca wypadku.

— Odpowiedź brzmi: nie — stwierdził Yorkie znużonym głosem.

— Pewnie się ucieszycie. Spece z armii mówią to samo. Saperzy i eksperci z Ministerstwa Obrony badali już tę okolicę wczoraj w nocy, zjawiając się tu specjalnym helikopterem. Zleciały się i inne śmigłowce, krążąc w ciemnościach nad okolicą niczym rój rozjuszonych os nad zniszczonym gniazdem.

— Ulżyło mi — odparł Yorkie.

— Macie tam pozostać. Jedzie do was profesor Gordon Walters z londyńskiego uniwersytetu. Powinien dotrzeć o drugiej.

Yorkie zgodził się zaczekać na przybycie profesora. Przeszedł po błocie do samochodu.

Miejscowy leśniczy, Rob Jones, wysiadł ze swojego auta na widok zbliżającego się sierżanta.

— Rob — rzucił sierżant — pewnego dnia ktoś mniej wyrozumiały ode mnie zmyje ci głowę za utrudnianie roboty policji.

— Ja się nie mieszam do waszych spraw. Tylko że w nocy nie wrócili do domu jacyś tutejsi motocykliści. Ostatnio widziano ich w mordowni Jacko. Pewnie wyciągnęli kopyta, bo Jacko zaserwował im swoje zarcie.

— Byli z Witley? Na ich miejscu też bym tam nie wracał — zauważył kwaśno Yorkie, — Zwali się tutaj jakiś bubek z uniwersytetu. Może on nam powie, co się właściwie stało.

135

ROZDZIAŁ 40

CENTRALNY IRAK

Nuri zaklął pod nosem, widząc na drodze posterunek policyjny. Wszystkim pojazdom zmierzającym na północ nakazywano zjechać na pobocze. Miejsca pilnowała Gwardia

Republikańska — grupa żołnierzy z wycelowanym w szosę karabinem maszynowym kalibru 12,7 mm zainstalowanym na terenowej toyocie. Na szczęście zatrzymywane samochody kontrolowano raczej pobieżnie. Szukano najwyraźniej broni. Policja zajrzała pod siedzenia, do bagażnika. Wkrótce escort Nuriego i Khalida ruszył dalej.

Po przejechaniu paru kilometrów stało się jasne, dlaczego urządzono kontrolę. W pobliskiej wsi miała miejsce strzelanina pomiędzy szyitami a Gwardią Republikańską. Siepacze Saddama Husajna szybko zdusili opór i teraz wrzucali na ciężarówki zakrwawione zwłoki poległych. Na ten widok nawet Khalid przestał się uśmiechać. Dwaj Kurdowie ruszyli w milczeniu przed siebie. Wczesnym popołudniem dotarli do Kut nad Tygrysem.

Dotychczas wszystko szło względnie gładko. Na miejscowej stacji benzynowej, ozdobionej wielkim plakatem irackiego dyktatora, Nuri musiał dać łapówkę za napełnienie baku escorta paliwem. Pobliski pomnik ustawiono na cześć Turków, którzy w 1916 roku zadali tu klęskę brytyjskiej armii. Zginęło tu wówczas ponad dwadzieścia tysięcy angielskich żołnierzy.

Dwaj uciekinierzy doprowadzili się do ładu w toalecie.

Nuri kupił samochodową mapę okolicy — większość map wycofano ze sprzedaży po wybuchu wojny iracko-irańskiej — i zdecydował, że lepiej objechać centrum Kut, a zatrzymać się w jakiejś przydrożnej knajpce, by ustalić dalszą trasę.

Znajdowali się w odległości stu dwudziestu kilometrów od Bagdadu. Szosa nadal biegła wzdłuż Tygrysu, lecz tu już zaczynały się żyźniejsze, bardziej urodzajne tereny.

— Wjedziemy do miasta około szóstej, kiedy zacznie się ściemniać — powiedział Nuri, przeżuwając podwójnego hamburgera. — W ten sposób może ominiemy posterunki. Znasz drogę do domu rodziców?

— Poradzę sobie — zapewnił Khalid, pochłaniając ciastko i uśmiechając się wesoło na myśl o spotkaniu z ojcem i matką. W knajpie huczało

136

radio. Spiker rzucał inwektywy pod adresem Kurdów, nazywając ich zdrajcami i zapowiadając wprowadzenie jeszcze surowszych restrykcji. Nuri skończył jedzenie i w zamyśleniu popatrzył na towarzysza.

— Kochasz swoich rodziców, prawda, Khalid?

— Bardzo.

Spiker radiowy grzmiał nadal. Nuri rozejrzał się po restauracji. Goście byli dobrze ubrani; pewnie znajdowało się wśród nich wielu tirkitczyków. Jedna z rodzin wyraźnie świętowała z jakiejś okazji. Za oknem, koło drogi, kobiety sprzedawały żywność na straganach. Nuri przechylił się przez blat stolika i ściszył głos.

— Będziesz chciał z nimi zostać?

— Oczywiście — Khalid wyglądał na zaskoczonego pytaniem.

— Zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy dezertkami? Khalid uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Szczęśliwymi dezertkami.

— Na razie... tak. Jednak czy wiesz, co się stanie, jak się dowiedzą, że twoja rodzina ukrywa zbiegów?

— Mój ojciec jest bogaty. Ma wielu przyjaciół.

— Twój ojciec jest Kurdem! A Kurdowie nie mają teraz przyjaciół. Nadstaw ucha i posłuchaj!

— Czego?

— Radia! Khalid wsłuchiwał się chwilę, ale nie stracił pogodnego nastroju ani pewności. Nuri stracił nadzieję, że zdoła cokolwiek wytłumaczyć młodszemu koledze. Wstał nagle zeżłony na Khalida, na całe otoczenie — na wszystko.

— Chodź — powiedział. — Lepiej już jedźmy.

* * *

Jechali całe popołudnie. Im bliżej stolicy, tym większy ruch panował na szosie. Iraccy żołnierze zatrzymywali jedynie wybrane pojazdy. Na escorta tylko machali ręką, każąc jechać dalej. Minęli zniszczoną dzielnicę przemysłową Salman Pak — zburzoną w rezultacie intensywnych alianckich nalotów. Powoli zapadał już zmierzch, kiedy na rogatek miasta dostrzegli ogromne tablice z portretami Saddama Husajna.

Jednak nie to wzburzyło kurdyjskie serce Nuriego. Bardziej zirytował go wielki, zaiste amerykański neon z nazwą stolicy. Rzymskie litery drażniły jego oczy.

137

Wiedział, że w minionych latach zachodnie mocarstwa finansowały rezydującego tu tyrana, który brutalnie represjonował Kurdów. To stąd wystartowały samoloty, które zrzuciły trujący gaz na jego rodzinną miejscowość w 1988 roku, zabijając tysiące ludzi, w tym ukochaną siostrę. A przecież to tutaj właśnie kwitła dawna stolica Mezopotamii, gdzie setki lat wstecz istniały biblioteki, gdzie astronomowie sporządzali mapy niebios, gdzie uczeni określili zasady matematyczne. Gdzie rozgrywała się miłosna, bajkowa akcja „Tysiąca i jednej nocy”. Gdzie wznoszono minarety, świątynie, zakładano ogrody zwane cudami świata. Ta nazwa była niegdyś synonimem światłości i mądrości. A teraz wiązała się wyłącznie ze strachem i nienawiścią. Bagdad.

ROZDZIAŁ 41 ARABIA SAUDYJSKA

Przeciwpancerny pocisk, wystrzelony z. challengera, trafił w T-55. Wieża czołgu wyfrunęła niczym spodek w powietrze i spadła na piasek jakieś dwadzieścia metrów dalej, wznosząc tuman kurzu i pyłu. Podwozie natychmiast zajęło się płomieniami.

Kapitan Jack Roper wychylił się z luku, złożył ramiona i obserwował płonący czołg.

— Myślę, panowie — zwrócił się do trzech cywilów wpatrujących się w T-55 przez lornety — że teraz możemy powiedzieć: honor uratowany.

Test odbył się kilka kilometrów od Dahrajnu, skąd miano ewakuować sprzęt 7. Brygady Pancерnej z powrotem do Niemiec. Iracki czołg został tu przyciągnięty przez transporter z Kuwejtu po sporach z Amerykanami, którzy chcieli zabrać T-55 do muzeum w Stanach.

Siedzący na stanowisku kierowcy kapral Alan Dearborn z mieszanymi uczuciami patrzył na czarny dym wydobywający się z kadłuba T-55. Teraz bez trudu unicestwili wraży czołg, lecz nie wyjaśniło to zagadki, dlaczego nie udało się tego dokonać wcześniej. Bez sensu, pomyślał.

Leo Buller odjął lornetkę od oczu. Nie miał zamiaru przypatrywać się płomieniom. Próba sprawiła, że odpadły wszystkie logiczne wytłumaczenia — poza jednym, któremu jednak trudno było dać wiarę.

138

Wspomniał teorie Jonaha van Elkmanna, przez wszystkich niemal odrzucane jako szalone. Otóż Elkmann uważał, że ludzki mózg dysponuje telekinetyczną mocą — i tym tłumaczył „cuda” dokonywane przez osobników pokroju Uriego Gellera.

Rzeczywiście, urągało to naukowym podstawom logiki — podstawom, w które sam Leo dotąd święcie wierzył. Czyżby błędził przez całe życie? To tak, jakby papież odkrył niezbity dowód, iż Chrystus nigdy nie istniał. Pierwszych podejrzeń i wątpliwości Leo nabrał w hotelu w Rijadzie, gdzie widział tenisową piłeczkę, wywróconą wnętrzem do wierzchu. Chciał wierzyć, że to jakiś żart — jednak kto i jakim cudem tego dokonał?

— Dziękujemy, kapitanie — stwierdził krótko Max. Dowódca czołgu zerknął z góry na naukowców i skinął głową.

— Do usług, panie Shannon. Panie Ramsay... Czy mógłbym prosić na słówko?

Ramsay spojrział zdziwiony na kapitana, który wy dostał się z wieży czołgu. Kapitan powiedział:

— Gdyby pan i pańscy współpracownicy z Ministerstwa Obrony zdecydowali się złożyć zamówienie na serię challengerów II w wytwórni Vickersa, to. upraszam, by wszystkie egzemplarze zostały wyposażone w urządzenia do obserwacji pola walki opracowane przez panów Shannona i Bullera. Właśnie dzięki nowoczesnej elektronice wygraliśmy tę wojnę.
— Potraktujemy pańskie uwagi bardzo poważnie, kapitanie — stwierdził Stephen Ramsay lodowatym tonem.

Teraz Jack Roper odezwał się do miniaturowego mikrofonu przy swoim hełmie:

— Kierowco.

— Tak jest.

— Czy wystarczy nam paliwa na powrót do Niemiec?

— Obawiam się, że nie, panie kapitanie.

— Dobrze... W takim razie wracamy do Dahrajnu. — Zasalutował Ramsayowi, Maxowi i Leo i rzekł: — Życzę miłego dnia, panowie.

Zahuczał wysokoprężny silnik challengerera. Czołg wykonał .zwrot w miejscu i ruszył ku drodze, wznosząc chmurę kurzu.

Trzej cywile wsiedli do nissana i podjechali ku szczątkom T-55. Ugasili wrak za pomocą gaśnicy i zaczęli go dokładniej badać. Max podszedł do Leo, który zainteresował się głównie wieżą.

— Dobrze się spisali — stwierdził Max.

139

Wspomniał teorie Jonaha van Elkmanna, przez wszystkich niemal odrzucane jako szalone. Otóż Elkmann uważał, że ludzki mózg dysponuje telekinetyczną mocą — i tym tłumaczył „cuda” dokonywane przez osobników pokroju Uriego Gellera.

Rzeczywiście, urągało to naukowym podstawom logiki — podstawom, w które sam Leo dotąd święcie wierzył. Czyżby błądził przez całe życie? To tak, jakby papież odkrył niezbitą dowód, iż Chrystus nigdy nie istniał. Pierwszych podejrzeń i wątpliwości Leo nabrał w hotelu w Rijadzie, gdzie widział tenisową piłeczkę, wywróconą wnętrzem do wierzchu. Chciał wierzyć, że to jakiś żart — jednak kto i jakim cudem tego dokonał?

— Dziękujemy, kapitanie — stwierdził krótko Max. Dowódca czołgu zerknął z góry na naukowców i skinął głową.

— Do usług, panie Shannon. Panie Ramsay... Czy mógłbym prosić na słówko?

Ramsay spojrział zdziwiony na kapitana, który wydostał się z wieży czołgu. Kapitan powiedział:

— Gdyby pan i pańscy współpracownicy z Ministerstwa Obrony zdecydowali się złożyć zamówienie na serię challengerów II w wytwórni Vickersa, to. upraszam, by wszystkie egzemplarze zostały wyposażone w urządzenia do obserwacji pola walki opracowane przez panów Shannona i Bullera. Właśnie dzięki nowoczesnej elektronice wygraliśmy tę wojnę.

— Potraktujemy pańskie uwagi bardzo poważnie, kapitanie — stwierdził Stephen Ramsay lodowatym tonem.

Teraz Jack Roper odezwał się do miniaturowego mikrofonu przy swoim hełmie:

— Kierowco.

— Tak jest.

— Czy wystarczy nam paliwa na powrót do Niemiec?

— Obawiam się, że nie, panie kapitanie.

— Dobrze... W takim razie wracamy do Dahrajnu. — Zasalutował Ramsayowi, Maxowi i Leo i rzekł: — Życzę miłego dnia, panowie.

Zahuczał wysokoprężny silnik challengerera. Czołg wykonał .zwrot w miejscu i ruszył ku drodze, wznosząc chmurę kurzu.

Trzej cywile wsiedli do nissana i podjechali ku szczątkom T-55. Ugasili wrak za pomocą gaśnicy i zaczęli go dokładniej badać. Max podszedł do Leo, który zainteresował się głównie wieżą.

— Dobrze się spisali — stwierdził Max.

139

Leo nie od razu odpowiedział. Dotknął namalowanej swastyki, jakby spodziewając się, iż spowoduje to coś niezwykłego. Potem wyprostował się i pokręcił głową.

— Nie wiem, Max. Myślę o tym prawie bez przerwy i nic nie składa się w sensowną całość. Ale coś jednak...

Max postawił na ziemi neseser. Znał Leo na tyle długo, by wiedzieć, kiedy nie należy go naciskać. Wyczuł, że Buller bije się z myślą, której nie potrafi zaakceptować.

— Czy słyszałeś kiedykolwiek o teleradiestezji? — zapytał Leo.

— Nie — odparł Max.

— Nie... Oczywiście, że nie. Bo to brzmi jak bzdura. Nie wiem nawet, dlaczego strzeliło mi to do łba.

— No to opowiedz mi coś o tym.

— To umiejętność, jaką posiadają pewni, obdarzeni niezwykłymi cechami osobnicy.

— Jaśniej.

— Dwadzieścia lat temu opublikowano absurdalny artykuł o autystycznym chłopcu, który jakoby potrafił wpływać na materię.

— To znaczy kształtować materię? Telekinetyka?

— Coś mocniejszego, Max.

Max usiadł na wieży i poprosił Leo, by ten przysiadł obok. Obaj patrzyli przez moment na Ramsaya, fotografującego kopące szczątki podwozia T-55.

— Jak nazywał się autor tamtej publikacji? — spytał Max. — Jonah van Elkmann. Zmarł jakieś pięć lat temu, a jego szalone teorie odeszły wraz z nim. Elkmann powiadał, że nasz dzisiejszy świat jest stanem osobliwości materialnej. Przyjął, iż wszechświat rozwinął się z jedności. Zakładał, że materia kosmosu ukształtowała się z jedności, jaka istniała przed Wielkim Wybuchem.

— Cwaniak — odparł Max ironicznie.

— Wyjaśniał dalej, że prędkość ucieczki owej masy pierwotnej przekracza wartość prędkości światła. Jak wiesz, fizycy zakładają, iż nie ma prędkości wyższej od tej, z którą biegnie światło. Napisał, iż Wielki Wybuch, który zapoczątkował ekspansję wszechświata, był osobliwością.. To jest zjawiskiem nie poddającym się logicznemu opisowi. Innymi słowy, nasze istnienie jest czymś „nienonnalnym”... Gdyż „normalnie” wszystkie cząstki materii winny współistnieć w ciele o nieskończenie wielkiej masie w centrum świata.

140

— To ma ręce i nogi — zauważył Max. — Czarne dziury pochłaniają przecież światło i to dlatego ich nie widzimy. I dlatego nic nie może opuścić czarnej dziury.

— ...I wszystkie czarne dziury, miliardy galaktyk i biliony gwiazd w tych galaktykach wyłoniły się z tej pierwotnej megamasy. I „to” było właśnie naturalnym stanem wszechświata. Wielki Wybuch nie powinien był nastąpić.

— A jednak nastąpił. Inaczej nie siedzielibyśmy teraz tu, na tej cholernej wieży. Tak?

— Tak — przyznał Leo ze smutkiem. — Tylko że ten van Elkmann twierdził ponadto, że pewni osobnicy mają moc cofania materii do początków czasu, do chwili stworzenia naszego świata.

Zapadła cisza, którą przerwał Max.

— Rozumiem, że nie darzysz tegoż van Elkmanna nadmierną sympatią? Jesteś do jego teorii nastawiony tak, jak ekolodzy do knajp McDonalda?

Leo słabo się uśmiechnął i pokiwał głową.

— A jednak w każdym kraju pełno jest restauracji McDonalda, a w nich aż tłoczno od klientów — rzekł Max i wbił czubek buta w piasek. — W rozważaniach van Elkmanna może tkwić ziarno prawdy. Wedle obliczeń matematycznych naturalnym stanem wszechświata jest olbrzymia czarna dziura o nieskończenie wielkiej masie. Nadal ustalić można tylko to, co działo się dopiero po Wielkim Wybuchu. Teoretycznie kosmos powinien wyglądać tak samo z każdego punktu, a jednak jest inaczej. Jakies zaburzenie w chwili Wielkiego Wybuchu spowodowało wytworzenie dzisiejszego chaosu w kosmosie. To dlatego rzeczy różnią się od siebie. Na podstawie tych różnic opracowano prawa rządzące fizyką... I dlatego właśnie dwaj faceci na wieży czołgu, tu na środku pustyni, rozumują trochę odmiennie i trochę inaczej wyglądają.

— I zastanawiają się, co dalej — uzupełnił Leo.

— Pudło. Ja wiem, co musimy teraz zrobić. Leo spojrział w szare oczy Maxa.

— No? Co takiego, Max?

— Powinienem był wcześniej pójść do rozumu do głowy. Przecież sam swoimi wynalazkami udowodniłeś, że można stworzyć sztuczny system nerwowy, zdolny zastąpić większość funkcji mózgu: postrzeganie, kontrolę ruchów, rozróżnianie barw, koordynację... Teraz stoi

141
przed nami wyzwanie. Zarobimy miliardy, jeżeli się uda... A uda się z pewnością, Leo.

— Chyba oszalałeś. Max się uśmiechnął.

— To samo powiedziałeś, kiedy rzuciłem pomysł naszej ostatniej pracy. A wynalazek przyniósł nam kupę forsy.

— Na litość boską, Max. Aby dopiąć celu tym razem, musielibyśmy przeprowadzać eksperymenty z ludźmi. I to nie zwyczajnymi. Należałoby znaleźć osobę obdarzoną zdolnościami, o których wspominał van Elkmann.

Max otworzył neseser i wyjął z niego wywróconą wnętrzem piłkę do tenisa. Odkupił ją od irackiego jeńca wojennego za trzydzieści paczek papierosów. Dwaj mężczyźni patrzyli przez chwilę na przedmiot.

— Dokonał tego Khalid al Karni — stwierdził Max. Leo zachnął się i powiedział:

— Najprawdopodobniej już nie żyje.

— Owszem — przyznał Max — ale została jeszcze tajemnicza osoba o imieniu Andy.

Według naszego rozmownego jeńca rodzice Khalida jeszcze w styczniu mieli dom w Anglii. Rozpocząłem już poszukiwania ludzi o nazwisku al Karni w Londynie. I otrzymałem faksem informację, że namierzono takiego osobnika. Może dotrzemy do kręgu jego przyjaciół, znajomych...

— Może — powiedział Leo. — Lecz jedno musimy sobie wyjaśnić teraz, Max. Nie będę eksperymentował na mózgach żywych ludzi. To zbyt ryzykowne.

Max uśmiechnął się i stanął na piasku. Pomyślał, że Leo da się urobić, ale z czasem, nie teraz.

— No, nie mamy tu już nic do roboty — odezwał się. — Możemy wracać do kraju. Nie powiem, żeby mnie to smuciło.

— Ja też nie — zgodził się Leo. Naraz Max zmarszczył czoło.

— Coś mnie jednak zastanawia, Leo. Ten huk gromu, jaki słyszała załoga challengerera. Pilot thunderbolta wspomniał o tym samym. No i ten jeniec. Stwierdził, że Khalid umiał ściągać burzę. Wszystko zdaje się łączyć ze sobą, ale jaki to ma związek z kształtowaniem czy kontrolowaniem materii? — Max wyczuł, że Leo się spiął. — O co chodzi, Leo?

142

— O nic.

— Sądzę, że powinieneś mi powiedzieć.

Leo zerknął na Maxa i dostrzegł znajomy chłód w szarych oczach.

— To niezbyt istotne.

— A ja myślę, że owszem.

Leo wiedział, że przed Maxem niczego się nie da ukryć. Będzie wiercił dziurę w brzuchu, wracał do sprawy bez końca, aż wyciągnie to, co chciał wiedzieć.

— Coś sobie przypomniałem. Przed laty pisała do mnie listy pewna kobieta z Anglii. Rozpisywała się o swojej córce, która nabrała zdumiewających cech czy umiejętności po wypadku samochodowym. Ona też twierdziła, że jej córka potrafi wywołać grom.

— Interesujące — stwierdził na to po chwili Max.

— Mieszkałem wtedy w Ameryce. Przeczytała o mnie jakiś artykuł i myślała, że zdołam pomóc jej dziecku. Jej listy wydawały mi się wówczas tak głupie, że nie odpowiedziałem na nie nawet.

— Ale ich nie wyrzuciłeś, prawda?

— Przecież wiesz, jak obchodzę się z listami. Niektóre trafiają do kominka na podpałkę. Max znowu się uśmiechnął — tym irytującym, zimnym uśmieszkiem, pod którym skrywał złość. W takich chwilach odzywał się też charakterystycznym, na pozór zupełnie obojętnym głosem.

— Cóż, miejmy nadzieję, że z tymi listami tak nie postąpiłeś, Leo.

ROZDZIAŁ 42 POŁUDNIOWA ANGLIA

— Meteoryt! — oznajmił profesor Gordon Walters, stojąc w poplamionych spodniach w centrum zniszczonego obszaru. Swoim aparatem fotograficznym wykonał kilka zdjęć okolicznych sosen. — Ci z telewizji mieli rację — stwierdził z entuzjazmem.

Yorkie zachnął się wymownie. Z jego punktu widzenia profesorowie uniwersyteccy byli osobliwymi dziwakami w staroświeckich nieco ubraniach. Nie nosili dżinsów, stroili się za to na modłę księcia Karola.

— W takim razie — zauważył sierżant — powinien tu być krater.

143

— Tak... Celny strzał.

Celny? — pomyślał Yorkie. Trafił w sedno. Ale nie był przecież na zawodach strzeleckich.

— Zaraz, zaraz — profesor ściągnął brwi. — Tylko dlaczego stacje sejsmologiczne w południowej Anglii nie odnotowały żadnych niezwykłych wstrząsów? — Obaj przeszli po błocie na skraj strefy zniszczeń.

— Wygląda na to, że meteoryt spłonął w atmosferze tuż nad ziemią

— stwierdził profesor, biorąc w dłoń bryłkę błota. — Meteoryty mają rozmaite kształty.

Większość z nich wnika w ziemską atmosferę z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na sekundę i wypalają się przed zderzeniem z powierzchnią planety. Ten zaliczyłbym do kategorii małych asteroidów. Miał około dwudziestu metrów średnicy, nim wszedł w atmosferę.

— Jak tamten na Syberii na początku wieku? — spytał Yorkie, który był fanem telewizyjnych programów popularnonaukowych.

— Meteor tunguski — wyjaśnił spokojnie profesor — był prawdopodobnie jądrem komety. Ekspłodował na wysokości kilku kilometrów, niszcząc drzewa na przestrzeni wielu mil kwadratowych. I też nie wyłobił krateru. O...! — Przykucnął nagle i podniósł coś, co Yorkiemu przypominało spalony placek. Profesor starannie wytarł znalezisko w chusteczkę.

— Co to takiego? — zapytał Yorkie wyczuwając, że naukowiec tłumii podekscytowanie.

— Kawalek wytopionej gliny. W chwili zdarzenia temperatura musiała być tu niezwykle wysoka. Fascynujące. Teraz już wiem, dlaczego sejsmografy niczego nie odnotowały. Meteoryt musiał eksplodować na ułamek sekundy przed uderzeniem w grunt.

— To dlaczego — spytał Yorkie wskazując wygięte czubki sosen

— te cholerne drzewa wygięły się w tę stronę? Profesor zetknął niepewnie.

— Właśnie to mnie zadziwia — przyznał. — Meteoryt zapewne najonizował atmosferę...

Wytworzył rodzaj próżni wypełnionej, nastąpiła implozja i powietrze pod wielkim ciśnieniem wypełniło próżnię.

— Nie brzmi to przekonująco.

— Czemu? Tego rodzaju zjawiska są dosyć powszechne. Grom jest dźwiękiem powietrza wypełniającego próżnię po błyskawicy.

ROZDZIAŁ 43

BAGDAD, CENTRALNY IRAK

W zapadającym zmierzchu Nuri i Khalid patrzyli na rezultaty miesiąca nieustannych bombardowań. Dotychczas widzieli zniszczenia wojenne tylko w Kuwejcie, jeśli nie liczyć mijanych po drodze zdruzgotanych mostów. Tu alianckie samoloty zrównały z ziemią całe dzielnice przemysłowe. Minęły już dwa tygodnie od ostatniego nalotu na Bagdad, a tu i ówdzie z ruin nadal wydobywał się dym.

Nuriego jednakże zaskoczyła przede wszystkim mnogość baterii przeciwlotniczych wciąż gotowych do strzału. Wszędzie sterczały ku niebu lufy szybkostrzelnych dział — czyli Saddam Husajn nie kłamał mówiąc, że Bagdad to najsilniej bronione miasto świata.

Khalid z trudem odczytywał znaki i w rezultacie skręcił w niewłaściwą ulicę. Znaleźli się w jednej z najuboższych dzielnic stolicy, gdzie z okien marnych slumsów wyglądały ponure twarze, a dzieci bawiły się śmieciami w rynsztokach. Młode dziewczęta i chłopcy, widząc dwóch dobrze ubranych mężczyzn w zachodnim wozie, oferowały gestami usługi seksualne. Pewna nastolatka, dziecko prawie, pokazała im przez szybę swe rozwijające się dopiero piersi. Krzyczała, że ma jedenaście lat — co zapewne było prawdą — i że jest dziewicą — co już raczej z prawdą się mijało. Kierowcy pojazdów prowadzili tu rachityczne automobile wolno — najwyraźniej oszczędzając drogocenne opony. Khalid i Nuri minęli długą kolejkę ludzi przed ciężarówką z której rozdawano żywność. Żołnierze ciskali w tłum wyciągniętych rąk cukier i chleb. Panowało straszliwe zamieszanie. Silniejsi młócili łokciami, odpychając starców i dzieci. Cuchnęło tu straszliwie — tylko patrzeć, jak rozpanoszy się epidemia cholery.

Bliżej centrum miasta przybywało meczetów, przed którymi wystawały objuczone zwierzęta. Rząd drzew na nadbrzeżu Tygrysu, wzmocnionym niegdyś przez Brytyjczyków, wycięto na opał. Pnie sterczały żałośnie jak zepsute zęby. Ślepi żebracy w brudnych łachmanach wyciągali chude ręce na poboczu jezdnii.

Lecz Bagdad to miasto szokujących kontrastów. Wkrótce zbliżyli się do luksusowej dzielnicy, gdzie — jak wyjaśnił Khalid — bogacze i prominenci schodzili się do pięknych restauracji i nocnych klubów. Na

145

tutejszych bazarach sprzedawano wyroby jubilerskie i zachodni sprzęt stereofoniczny. W minionych wiekach Bagdad był jakby pępkiem świata

— przechodziły przez miasto trakty wiodące ze Wschodu na Zachód. Handlu nie stłamsiła nawet wojna w Zatoce Perskiej. Do Bagdadu wciąż ciągnęli kupcy z różnymi towarami. Na Bliskim Wschodzie handel i polityka są od siebie ściśle odseparowane. Nawet w trakcie ciężkich zmagania pomiędzy Irakiem i Iranem przez linię frontu przenikali szmuglerzy z Teheranu do Bagdadu. Rządy wojujących krajów po cichu handlowały uzbrojeniem.

Przejechali obok hotelu „Al Rasheed”, pod którym stały toyoty, mercedesy i BMW zamożnych tirkiczyków. Lokalne nocne dyskoteki nie narzekały na brak gości.

— Musimy się stąd wydostać — stwierdził Nuri, kiedy utknęli w kolejnym korku.

Khalid wychylił się przez boczną szybę, chcąc zobaczyć, dlaczego zatrzymał się przed nimi stary, piętrowy autobus, jakie niegdyś jeździły ulicami Londynu.

— Chyba zniszczone są wszystkie mosty, Nuri. Jednak musimy się jakoś przedostać przez rzekę. Dom jest na zachodnim brzegu. Autobus przejechał... więc może jakiś most ocalał — kombinował na głos Khalid.

— Więc jedź za autobusem! — rzucił poirytowany Nuri.

Sznur pojazdów potoczył się wolno ku Rashid Street, ulicy która biegła wzdłuż koryta rzeki. Obowiązywał tu zakaz skrętu w lewo, a wszystkie mosty — jak przewidział Khalid — uległy zniszczeniu. W końcu jednak udało im się mimo wszystko przedostać na drugi brzeg po prowizorycznym moście pontonowym. A kiedy przejechali przez tory kolejowe wiodące do Mosulu, Khalid wyraźnie odzyskał rezon. Po upływie pół godziny znaleźli się w Mansour, gdzie na ulicach działała nawet sygnalizacja świetlna. Samoloty alianckie nie bombardowały dzielnicy, w której znajdowały się ambasady. Prąd do tutejszych domów dostarczał wojskowy generator. Jedną z mijanych willi otaczał piękny ogród z tryskającą fontanną.

— Dlaczego Amerykanie zbombardowali wszystkie elektrownie?

— odezwał się Nuri. — Po co im to było? Chyba wiedzą, że wojsko ma swoje generatory?

Musieli wiedzieć: przecież wojskowe generatory są amerykańskiej produkcji. Narobili szkód tylko biedakom.

Zapał w ponure milczenie, przypominając sobie zaułki dzielnic nędzarzy, gdzie z pewnością tysiące dzieci umrze w nadchodzącym roku.

146

Alianci głosili, że chcą zniszczyć jedynie broń Saddama Husajna, nie pozbawili jednak tyrana jego najsroższych broni, którymi gnębił własny naród: głodu i nędzy.

— To moja ulica — powiedział podekscytowany Khalid, kiedy escort skręcił w wąską alejkę, na której rosły młode palmy. Wskazał ręką na wysoką mosiężną bramę w kamiennym murze.

— A to mój dom! Dlaczego fontanna nie działa? Mój ojciec był taki dumny ze swojego ogrodu.

— Jedź dalej — warknął Nuri, kiedy zobaczył, że w oknach domu jest ciemno. Khalid chciał zaprotestować, ale Nuri uciał. — Sąsiedzi nie powinni wiedzieć, że wróciłeś.

— Ale to nasi przyjaciele!

— Rób, co mówię!

Khalid przejechał ze sto metrów i zatrzymał się w miejscu wskazanym przez Nuriego, pomiędzy dwiema ulicznymi latarniami. Wysiedli z wozu i w milczeniu ruszyli z powrotem w stronę domu Khalida.

Brama okazała się uchylona. Pchnęli wrota i podeszli do białego budynku ze spadzistym dachem i balkonem na piętrze. W przymglonym blasku ulicznych latarni widać było, że stało się tu coś złego; uszkodzone zostały na przykład drzwi do garażu, powybijano szyby na parterze. I co najgorsze — frontowe wejście trzymało się ledwie na jednym zawiasie. — Zostań tutaj — rzucił Nuri. Nie musiał tego powtarzać.

Przez chwilę stał i gapił się na dom. Poruszył wargami, ale nic nie powiedział.

Przecisnął się przez zniszczone drzwi. W holu zatrzymał się, by przyzwyczaić wzrok do ciemności. Od razu wyczuł jednak nosem przykry zapach. Śwąd, jaki dobrze pamiętał z latryń w Kuwejcie. Fetor odchodów. Dom najwyraźniej splądrowano. Jego kroki odbijały się echem. Wszedł przez próg do dużego pokoju. Niegdyś musiano tu jadać obiady. Wszystko co cenne zostało stąd ukradzione, a reszta roztrzaskana w drobny mak, nawet wentylatory. Nie oszczędzono także kominka — popękane cegły wały się po posadzce. Nuri rozejrzał się po pomieszczeniu i wspominał czasy, gdy jako dziecko bawił się w chowanego w grobowcach perskich książąt, odkrytych w okolicach jego rodzinnego Halabji przez archeologów.

Zdawało mu się, iż można tam znaleźć jeszcze jakieś pozostawione skarby. Tutaj nagle poczuł to samo. Jego własny dom był w porównaniu z tą willą zwyczajną norą. Wyobrażał sobie, jak wygodnie się tu musiało żyć właścicielom. Pewnie panowała tu radosna, pogodna

147

Alianci głosili, że chcą zniszczyć jedynie broń Saddama Husajna, nie pozbawili jednak tyrana jego najsroższych broni, którymi gnębił własny naród: głodu i nędzy.

— To moja ulica — powiedział podekscytowany Khalid, kiedy escort skręcił w wąską alejkę, na której rosły młode palmy. Wskazał ręką na wysoką mosiężną bramę w kamiennym murze.

— A to mój dom! Dlaczego fontanna nie działa? Mój ojciec był taki dumny ze swojego ogrodu.

— Jedź dalej — warknął Nuri, kiedy zobaczył, że w oknach domu jest ciemno. Khalid chciał zaprotestować, ale Nuri uciał. — Sąsiedzi nie powinni wiedzieć, że wróciłeś.

— Ale to nasi przyjaciele!

— Rób, co mówię!

Khalid przejechał ze sto metrów i zatrzymał się w miejscu wskazanym przez Nuriego, pomiędzy dwiema ulicznymi latarniami. Wysiedli z wozu i w milczeniu ruszyli z powrotem w stronę domu Khalida.

Brama okazała się uchylona. Pchnęli wrota i podeszli do białego budynku ze spadzistym dachem i balkonem na piętrze. W przymglonym blasku ulicznych latarni widać było, że stało się tu coś złego; uszkodzone zostały na przykład drzwi do garażu, powybijano szyby na parterze. I co najgorsze — frontowe wejście trzymało się ledwie na jednym zawiasie. — Zostań tutaj — rzucił Nuri. Nie musiał tego powtarzać.

Przez chwilę stał i gapił się na dom. Poruszył wargami, ale nic nie powiedział.

Przecisnął się przez zniszczone drzwi. W holu zatrzymał się, by przyzwyczać wzrok do ciemności. Od razu wyczuł jednak nosem przykry zapach. Śwąd, jaki dobrze pamiętał z latryn w Kuwejcie. Fetor odchodów. Dom najwyraźniej splądrowano. Jego kroki odbijały się echem. Wszedł przez próg do dużego pokoju. Niegdyś musiano tu jadać obiady. Wszystko co cenne zostało stąd ukradzione, a reszta roztrzaskana w drobny mak, nawet wentylatory. Nie oszczędzono także kominka — popękane cegły wały się po posadzce. Nuri rozejrzał się po pomieszczeniu i wspomniawszy czasy, gdy jako dziecko bawił się w chowanego w grobowcach perskich książy, odkrytych w okolicach jego rodzinnego Halabji przez archeologów. Zdawało mu się, iż można tam znaleźć jeszcze jakieś pozostawione skarby. Tutaj nagle poczuł to samo. Jego własny dom był w porównaniu z tą willą zwyczajną norą. Wyobrażał sobie, jak wygodnie się tu musiało żyć właścicielom. Pewnie panowała tu radosna, pogodna
147

atmosfera, bo Khalid mówił o rodzicach wyłącznie z dumą i miłością. Bezmyślność wandalów, kierowanych chciwością i zawiścią, zdawała się symbolizować nieszczęścia, jakie spadły na świetny niegdyś Babilon.

W zrujnowanej kuchni smród był jeszcze bardziej intensywny. Na bielonych ścianach ktoś wymazał ekskrementami: NIECH ŻYJE SADDAM HUSAJN. Nuri wyszedł z domu. Khalid stał tam gdzie wcześniej, nawet się nie poruszył. Wciąż wpatrywał się w fasadę budynku i jakby nie dostrzegł wracającego towarzysza.

Nuriemu zrobiło się żal młodzieńca. Kurdowie byli niemal tak samo przywiązani do swych domostw, jak do rodzin i krewnych.

— Nie ma ich tam, prawda, Nuri?

— Nie.

— A gdzie są?

— Nie zostawili żadnej wieści. Nic.

Khalid postąpił krok naprzód, ale Nuri schwycił go za ramię.

— Tam nie ma nic — powtórzył chrapliwym głosem. — Nic. Splądrowano wszystko.

Rozumiesz?

Ton głosu Nuriego przywrócił Khalida do świadomości. Potrząsnął głową.

— A jednak chcę tam wejść, Nuri. To mój dom.

Nuri pogrzebał w kieszeni marynarki i wyciągnął zapalniczkę.

— Masz — powiedział. — Może ci się przydać.

Khalid wszedł do środka. W mroku dostrzegł zniszczenia, jakie dosięgły jego domostwo. Zawołał matkę, licząc, iż zaraz wyłoni się z kuchni, lecz odpowiedziało mu tylko echo. Nie kochał niczego ponad dom, matkę i ojca. A teraz wszystko przepadło. Wszedł po schodach do

swojej dawnej sypialni. Chciał schować się we własnym łóżku, nakryć kocem i czekać, aż matka powróci do domu. Krzyknął na widok zniszczeń w swoim pokoju. Zostały tylko strzępy ubrań, rozrzucone na podłodze. Rabusie zerwali nawet miedziane karnisze nad oknami.

Rozglądał się z rozpaczą i łyzy podeszły mu pod powieki.

Na posadzce zobaczył fotografię, która niegdyś oprawiona była w srebrną ramkę. Podniósł ją i przyjrzał się kolorowemu zdjęciu dziewczyny. Miała długie, ciemne włosy, łukowate brwi i zielone oczy, spoglądające jakby nieprzytomnie.

— André... — powiedział cicho Khalid. Przycisnął zdjęcie do ust i łyzy spłynęły mu po policzkach. Powrócił myślami do radosnych chwil

148

w Anglii, do rowerowych przejażdżek drózkami Surrey. Ostatni raz widział André ledwie przez kilkanaście tygodniami, na początku roku — wydawało się jednak, iż od tamtej pory upłynęły wieki.

Zgubił jej listy, ale teraz odnalazł tę fotografię. Wsunął ją do wewnętrznej kieszeni i zszedł po schodach. Wyszedł na zewnątrz do czekającego nań Nuriego.

Nuri chciał już zbesztać Khalida za to, że ów zmarnował tak dużo czasu, gdy nagle zdał sobie sprawę, iż jego towarzysz patrzy na coś za jego plecami. Odwrócił się i zobaczył postać w mundurze, obserwującą ich z bramy. Na zewnątrz ogrodzenia stał wóz policyjny. Nuri nie słyszał, kiedy podjechał. Khalid krzyknął i puścił się pędem na człowieka, który błyskawicznie rozpiął kaburę i wyciągnął pistolet.

ROZDZIAŁ 44 POŁUDNIOWY IRAK

Chociaż kapral Willie Mellish wiedział, że w ciągu najbliższych trzech dni powróci do Europy, to z każdą chwilą tracił spokój. Wraz z Ianem Hunterem stali teraz w swoich pelerynach koloru khaki, przypominając pewnie wampiry, i patrzyli na światła, jakie ukazały się na pustyni od północy. Te same światła dostrzegło też tysiąc dwustu irackich jeńców za drutami kolczastymi. Budzili śpiących towarzyszy niedoli i patrzyli na konwój ciężarówek. Część spoglądała z nadzieją lub strachem, większość z rezygnacją. Niektórzy spoglądali na swoje tanie zegarki.

Wiedzieli, że za dziesięć minut nie będą już jeńcami aliantów. Pierwsza ciężarówka zatrzymała się sto metrów od obozu. Pozostałe też wyhamowały. Smugi światła reflektorów przebiegały przez strugi deszczu.

Zostało jeszcze siedem minut.

— To bez sensu — westchnął Hunter. — Tak po prostu ich przekazywać. Tysiąc dwustu facetów... Wykarmiliśmy ich za frajer.

— No i ten sprzęt — dodał Willie, wskazując na stos hełmów i karabinów. Bronią mieli się zająć magazynierzy aliantów, ale w końcu w ogóle się nie zjawili.

Jeńcy tłoczyli się teraz przy drutach.

149

Pięć minut.

— Bez sensu — powtórzył Hunter.

Willie jednak miał swoje zdanie. W ciągu długich godzin pilnowania Irakijczyków naczytał się powieści Franza Kafki. Czeski pisarz doskonale wiedział, że każde szaleństwo rządzi się własną logiką. Konwencja genewska przewidywała wymianę jeńców natychmiast po zakończeniu działań wojennych. Obóz Williego znajdował się na terytorium irackim, więc Brytyjcy strażnicy mieli po prostu być stąd zabrani. O północy byli jeńcy zostaną ponownie wcieleni do armii Saddama.

Wcześniej, tego popołudnia, Willie podsłuchiwał rozmowę dwóch oficerów.

— Problem w tym — stwierdził wtedy pewien kapitan — że minister spraw zagranicznych nie chce drażnić Irakijczyków. Uważa, że Irak stanowi przeciwwagę dla wpływów tureckich i irańskich na Bliskim Wschodzie.

— A więc dlatego oddajemy Saddamowi Husajnowi jego żołnierzy — rzucił drugi z przełożonych Williego.

— Naszym politykom nie zależy na Saddampie, tylko na Iraku. Chcą uchronić Irak od rozpadu za wszelką cenę.

Hałas czyniony przez prowadzącą konwój ciężarówkę wyrwał Williego z zadumy.

Trzydzieści pokrytych brezentem pojazdów ruszyło naprzód. Pierwszą maszyną był radziecki żółty. Z kabiny wyskoczył przysadzisty człowiek w mundurze, pułkownik irackiej armii.

Zasalutował brytyjskim wartownikom.

— Przybyłem, żeby odebrać swoich ludzi — oznajmił poprawną angielszczyzną.

W tej samej chwili huk z ciężkiego moździerza rozległ się na pustyni gdzieś daleko na północy. Iracki oficer przekrzywił głowę i uśmiechnął się kwaśno do Williego. Popatrzył na zegarek i nabrał jakby odwagi.

— Już północ — stwierdził.

Willie i Hunter bez słowa otworzyli bramę obozu.

Otworzyły się też drzwi szoferek. Rozpoczęło się nawoływanie.

Jeńcy, bez najmniejszego entuzjazmu, powlekli się do ciężarówek. Niektórzy spojrzeli z wyrzutem na brytyjskich wartowników, do których nabrali już zaufania. Czuli się zdradzeni.

Willie nie patrzył w ich stronę. Iraccy oficerowie krzykiem zaczęli ustawiać żołnierzy w dwuszeregi i nakazali im zajmować miejsca w ciężarówkach. Willie i Hunter obser-

150

wowali to przez kilkanaście minut, wreszcie doszli do wniosku, że nic tu po nich.

Wsiedli do swojego landrovera. Willie uruchomił silnik i skierował się ku oswobodzonemu Kuwejtowi.

Przysadzisty iracki pułkownik popatrzył za odjeżdżającym wozem Brytyjczyków i z pogardą splunął na piasek.

ROZDZIAŁ 45 BAGDAD

— Hazma! — zawołał radośnie Khalid — To ja! Khalid! Omal nie rzucił się policjantowi na szyję; tamten jednak odpechnął Khalida i warknął:

— Ręce na kark!

— Co ty, Hazma!...

— Rób, co powiedziałem!

Zaszokowany Khalid posłusznie spełnił polecenie. Policjant wycelował teraz broń w Nuriego, który planował skoczyć, w pobliskie krzewy. Człowiek w mundurze skierował jednak na jego twarz latarkę. Nuri pojął, że jest bez szans i również uniósł ramiona.

— A teraz chodź tutaj!

Nuri zrobił kilka kroków i stanął obok Khalida.

— Hazma — jęknął Khalid. — To ja.

Policjant zgasił latarkę, schował ją za pas i kiwnął pistoletem w stronę samochodu.

— Wsiadać!

Nuri i Khalid znaleźli się na tylnym siedzeniu, a policjant usiadł z przodu. Włączył oświetlenie i dłuższą chwilę przyglądał się schwytanym podejrzliwymi, ciemnymi oczami.

Był mniej więcej w wieku Nuriego, źle ogolony; najwyraźniej zaciął się też tępą żyłką. Pod nosem miał gęste wąsy. Nuri nie miał wątpliwości, że gliniarz gotów jest w każdej chwili użyć broni. O dziwo jednak rysy policjanta jakby nieco zmiękły. W końcu schował nawet pistolet do kabury.

— Co ty tu robisz, Khalid? — spytał. — Myślałem, że nie żyjesz. Khalid zaczął pospiesznie się tłumaczyć; gorączkowo i chaotycznie.

Policjant machnął ręką i kazał mu zamilknąć.

151

— A teraz powiedzcie, dlaczego jesteście tutaj i czemu nie macie na sobie mundurów?

— Chciałem się spotkać z rodzicami. Gdzie oni są, Hazma? Proszę... Musisz mi powiedzieć.

Policjant spojrzął pytająco na Nuriego.

— Wracamy do naszej jednostki w Mosulu — wyjaśnił Nuri.

— Po cywilnemu?

— Tylko takie ubrania dostaliśmy. Straciliśmy wszystko...

— Jesteście dezertierami — to było raczej stwierdzenie niż pytanie.

— Nie było z czego dezertować — rzekł Nuri. — Zniszczona została cała nasza brygada.

Policjant umilkł na moment, potem zerknął na Khalida.

— Twoi rodzice myśleli, że zginąłeś. Twoje nazwisko nie znalazło się na liście jeńców, przekazanej przez Amerykanów i Anglików Czerwonemu Półksiężycowi.

— Myśmy też myśleli, że już po nas — dorzucił Nuri. Hazma jednak puścił tę uwagę mimo uszu.

— Hazma... — zaczął Khalid — gdzie moi rodzice?

— Otrzymaliśmy rozkaz internowania wszystkich Kurdów — rzekł surowo policjant.

— Ależ moi rodzice zawsze byli lojalni i uczciwi! — krzyknął Khalid. — I zawsze dobrzy dla ciebie.

Zakoczony Nuri spojrzął na swojego towarzysza. Normalnie Khalido-wi dobór trudniejszych słów sprawiał kłopoty. Teraz jednak, zdenerwowany, zrobił się elokwentny.

— Pięć dni temu dostaliśmy rozkaz, żeby ich aresztować — powtórzył Hazma. — Zjawiliśmy się po nich, ale zniknęli. Pieniądze, biżuteria, samochód... wszystko zniknęło. Ktoś musiał im dać cynk.

— A kto ograbił dom? — spytał Nuri. Hazma wzruszył ramionami.

— Mógł każdy. Nie pilnujemy kurdyjskich posesji.

— Tikritczycy — Nuri sam odpowiedział sobie na pytanie.

— Myśl sobie, jak chcesz... — teraz policjant spojrzął ostro na Khalida. — Czy wiesz, dokąd zbiegli twoi rodzice?

Khalid pokiwał głową.

— Oczywiście. Uciekli do...

— Nie mów mi tego! — Hazma nagle wrzasnął, podnosząc rękę.

152

Khalid zamilkł i popatrzył urażony na policjanta.

— Dokumenty! — warknął Hazma.

Nuri zawahał się. Przecież ten człowiek znał tożsamość Khalida, więc okazanie papierów wpędzi ich pewnie w jeszcze większe kłopoty. Po chwili wyciągnął jednak dokumenty z kieszeni i podał je policjantowi. Hazma oglądał je starannie jakiś czas. Potem pogrzebał w kasetce i wyciągnął z niej stempel. Wpisał coś w papiery i przystawił pieczętki. Następnie zwrócił je Nuriiemu.

— Zaświadczyłem wam, że zgłosiliście się na policję i dostaliście pozwolenie podróżowania na północ — rzekł Hazma. Zbył podziękowania Nuriego zirytowanym machnięciem dłoni i polecił dezertierom wysiadać z wozu. Uruchomił silnik, lecz nim odjechał, wychylił się jeszcze przez boczną szybę: — Najlepiej wyjedźcie z Bagdadu jak najszybciej — dodał z uśmiechem. — Powodzenia.

Następnie odjechał.

— To Hazma ostrzegł moich rodziców — powiedział Khalid patrząc za odjeżdżającym autem.

— Domyśliłem się tego — odparł Nuri. — Lepiej zrobmy to, co powiedział.

Objął Khalida ramieniem i wrócili do swojego samochodu.

ROZDZIAŁ 46

POŁUDNIOWA ANGLIA Piątek, 8 marca 1991

Lloyd był wstrząśnięty. Przycisnął mocniej słuchawkę do ucha.

— Nic? — powtórzył. — Zupełnie nic?

— To była mała wytwórnia filmowa i splajtowała ze trzy lata temu — wyjaśnił Ted Prentice.

— Cała ich dokumentacja poszła na przemiał. Jest pan pewien, że to ta sama dziewczyna, którą widział pan w samolocie? Przez sześć lat dzieciaki bardzo się zmieniają.

Lloyd miał akurat przed sobą, na ekranie magnetowidu zatrzymaną klatkę filmu z André siedzącą przed kamerą.

— Jestem pewien... I mam jej nazwisko: Andre Normanville. Widziałem też jej matkę. Ona również niezbyt się zmieniła.

153

— Teraz ją sobie przypominam — powiedział po chwili Prentice.

— Tak... Laura Normanville. Zadzwoiła do nas z ogłoszenia. Twierdziła, że jej córka umie ściągać burze. Jednak podczas próby nic z tego nie wyszło, więc wykreśliliśmy ją z programu. Czemu nie pochwaliła się wtedy, że jej dziecko umie odgadywać czas? Bez sensu...

Lloyd zadał sobie identyczne pytanie, oglądając sfilmowaną, nieudaną próbę André.

— Zapytam ją o to, jak ją odnajdę — obiecał.

— Liczę, że się panu uda — rzucił Prentice. — Jak już mówiłem... Osobnicy odgadujący czas są niezwykli. Jestem wkurzony, że przepuściłem taką gratkę.

Lloyd zapewnił psychiatrę, że będzie go informował o postępach i rozłączył się. Przewinął taśmę wideo do końca, a tymczasem na ekranie Sky News prezentował po raz dwudziesty zniszczone drzewa w Surrey i powybijane szyby w okolicznych domach.

Lloyd pograżył się w myślach. Wypisał sobie wcześniej interesujące go ujęcia na filmie pożyczonym od Prentice'a.

André siedząca w kącie sali prób wraz z matką... André rozmawiająca na stronie z irackim chłopcem, Khalidem al Kami... Nie słychać było ich głosów, ale André zdawała się ożywiona; bynajmniej nie przypominała autystycznej dziesięciolatki. Odwróciła na moment oczy ku kamerze

— oczy, które rozbliły na zielono.

Zarejestrowana została jednak ścieżka dźwiękowa podczas nieudanej próby André. Szum rozmów w de, stłumione odgłosy megafonów na stacji Waterloo...

— W porządku, Andy? — zapytał Prentice zza kamery, głosem łagodnym i ciepłym.

Andy kiwnęła głową.

— Twoja mamusia mówi, że umiesz ściągać burzę. Zrobisz to teraz dla mnie?

André ponownie potwierdziła.

— Policzę do trzech, dobrze? Znowu skinięcie.

Czyjś głos proszący o ciszę. Przytłumiony szum zza ścian.

— Raz... Dwa... Trzy...

André zamknęła oczy i ściągnęła brwi w skupieniu.

154

Odległy głos z megafonu obwieścił przyjazd pociągu z Portsmouth; gromu nie było jednak słychać.

— Spróbujemy jeszcze raz, André? — zapytał Prentice zza obiektywu.

Scenę powtarzano trzy razy, ale bez skutku.

Ostatnie ujęcie pokazywało André trzymającą piłkę tenisową, którą Khalid cisnął o ścianę. Tę samą piłeczkę ktoś podsunął do samego obiektywu kamery.

Lloyd podrapał się za uchem. Wpadł na pewien pomysł i zadzwonił do studia Rikkiego Steadmana. Mimo wszystko nie liczył zbytnio na to, że inżynier dźwięku od Rikkiego mu pomoże.

Cr-

ROZDZIAŁ 47

CENTRALNY IRAK

Teraz Nuri i Khalid nie obawiali się już posterunków na drogach. Po zatrzymaniu wysiadali, nim ich o to poproszono, i okazywali papiery. Khalid bez pytania otwierał bagażnik. Nuri doszedł do wniosku, iż dają w ten sposób świadectwo, że byli kontrolowani już wielokrotnie i nie mają nic do ukrycia.

Tym razem jednak, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Bagdadu, na szosie do Kirkuk, zawracano wszelkie pojazdy.

Żołnierzy nie interesowały ani dokumenty, ani też bagażniki.

— Kirkuk jest otoczony przez wojsko — wyjaśnił pewien kapral w zamian za papierosa, jakim poczęstował go Nuri.

— Dlaczego?

Żołnierz wrzucił ramionami.

— Podobno Kurdowie szykują rozruchy w Kirkuk i Arbil.

Nuri pomyślał: Kirkuk to główny ośrodek bogatego w ropę regionu na obrzeżach Kurdystanu, na północnym wschodzie; Arbil, dalej na północ, to znaczne kurdyjskie miasto, a jego mieszkańcy, w liczbie dwustu tysięcy, często buntowali się przeciw bagdadzkim władzom. W Kirkuk znajdowały się też wielkie koszary wojskowe, w pobliżu których przebiegał rurociąg — oficjalnie nieczynny, choć szeptało się, iż pompowano nim ropę do Jordanii w zamian za broń. Powinni z Khalidem objechać to

155

miasto. Kierowali się do Mosulu, gdzie mieściła się główna baza kurdyjskich powstańców.

Jazda przez Kirkuk była ryzykowna, ale przez Tikrit jeszcze bardziej. Tikrit to miejsce urodzenia Saddama Husajna oraz siedziba jego fanatycznych popleczników, którymi dyktator obsadzał kluczowe stanowiska w kraju.

— Jak chcecie jechać na północ, to musicie nadłożyć drogi i skierować się na Tikrit — podsunął żołnierz — ale nie daję głowy, czy i tam nie zamknięto przejazdu.

Nuri podziękował, wsiadł do escorta i kazał Khalidowi zawracać. Tikrit! Cóż, dotychczas ominęły ich rozmaite niebezpieczeństwa. Może i tu nie przestanie im sprzyjać szczęśliwa gwiazda.

Khalid miał już zawrócić, lecz musiał najpierw przepuścić kolumnę sześciu wojskowych transporterów. Były zachodniej produkcji i wyglądały na nowiutkie.

— Po co tam jadą? — zawołał Nuri do żołnierza. Ów znów wrzucił ramionami.

— Może chodzi o naprawę dróg? Na północy są znaczne zniszczenia.

Istotnie, za transporterami posuwały się ogromne buldożery na platformach. Widok koparek na olbrzymich, nowych oponach zastanowił Nuriego. Nie wiedział, dlaczego buldożerom i koparkom towarzyszy wojsko. Dlaczego te żółte pojazdy miały wojskowe tablice?

ROZDZIAŁ 48

POŁUDNIOWA ANGLIA

Niegdyś, w lepszych czasach, Rikki Steadman miał sieć nowoczesnych, dobrze wyposażonych studiów nagraniowych — młodzi artyści przysyłali mu taśmy demo, uznani muzycy nagrywali u niego piosenki. Padł jednak, jak wielu z branży, ofiarą recesji. Cieszył się, gdy zgłaszało się trzech klientów na tydzień. Miksery, systemy MIDI, syntezatory, samplery — cały ten sprzęt często po prostu stał i zbierał kurz. Mimo wszystko Rikki, hipis z lat sześćdziesiątych, chętnie pomagał przyjacielom. Teraz, słuchając i oglądając taśmę, jaką

przyniósł Lloyd, pożałował swej uprzejmości. Na jego szerokim obliczu malowało się bolesne rozczarowanie.

156

— Cholera, Lloyd. Coś ty tu przyniósł? To kopia kopii jakiegoś głównianego programu, kręconego w studiu, które nie miało nawet izolacji dźwiękowej. Słyszać jakieś peronowe szczekaczki.

— Ciepło, Rik. To odgłosy ze stacji Waterloo. Więcej zaciekawienia okazał Rikki postacią André.

— Niezły dzieciak — stwierdził.

— Więcej — dodał Lloyd.

— I sądzisz, że przez te peronowe odgłosy można dosłyszeć słaby grzmot? Tylko że grom to dźwięk o niskiej częstotliwości. A takie bardzo trudno wyizolować.

— Wiem, że sobie poradzisz, Rik — powiedział Lloyd, wiedząc, iż dawny hipis jest łasy na schlebianie.

Rikki odchrząknął. — No... Może coś z tego będzie. Ostatecznie nie prosisz o zbyt wiele.

— Spróbuj, Rik. Proszę.

Rikki wziął się do pracy. Przepisał analogową ścieżkę dźwiękową na system cyfrowy, przepuścił przez komputer i za pomocą myszy usuwał na ekranie wyrażone graficznie fale dźwiękowe. Czasami posługiwał się słuchawkami.

— Wiesz co, Lloyd? Tutaj rzeczywiście słysząc coś dziwnego... Być może odgłos kolejki podziemnej, ale... — włączył odtwarzanie.

Reżyserkę wypełnił głos Prentice'a. W tle odgłosy stacji Waterloo, wykasowane przez komputer, zastąpiło ciche bzyczenie.

— „W porządku, Andy?”. Chwila ciszy.

— „Twoja mamusia mówi, że umiesz ściągać burzę. Zrobisz to teraz dla mnie?”. Pauza.

— „Policzę do trzech, dobrze?” Kolejna pauza.

— „Raz.... Dwa... Trzy...” I teraz z głośników w studiu dobiegł odgłos przetaczającego się gromu. Trwał niesamowicie długo i wreszcie zaczął cichnąć — jak gdyby przebijając się przez kolejne warstwy atmosfery uchodził w przestrzeń kosmiczną.

Nagranie dobiegło końca. Rikki powiedział:

— Cały program był nudnawy, ale to... niezła sztuczka. Wiesz co, Lloyd? Jak kiedyś natkniesz się na tę małą, to zapytaj ją ode mnie, jakim cudem to zrobiła.

ROZDZIAŁ 49

— Pani Normanville?

Laura rzuciła okiem na legitymacje sierżanta Barra oraz kobiety w cywilnym ubraniu, pracującej w tutejszej policji. Yorkie dostrzegł nagły błysk niepokoju w oczach Laury, ale ludzie często reagują tak odruchowo na widok policyjnego munduru w swoich progach.

Kobiecie, z którą się zjawił, także nie umknął ów szczegół.

— Słucham.

— Jestem detektyw sierżant Barr, a to pani Williams z tutejszego komisariatu. Wypyujemy ludzi o dwóch chłopaków... Motocyklistów, którzy zaginęli we środę. Czy możemy wejść?

— Przykro mi, ale ja nie wiem nic o żadnych...

— Ostatni raz widziano ich w kafejce Jacko właśnie we środę wieczorem. Wiemy, że była tam wtedy i pani córka, więc może ona coś wie. Czy moglibyśmy z nią porozmawiać?

W ciągu dziesięciu lat odseparowywania André od zewnętrznego świata Laura nabrała pewnej specyficznej przebiegłości. Rozumiała, iż protesty pobudzą tylko podejrzliwość policji. Otworzyła więc szeroko drzwi i z uśmiechem powiedziała:

— Naturalnie. Proszę wejść. Wprowadziła przybyłych do saloniku.

— Chyba już się kiedyś poznaliśmy, pani Normanville — odezwał się Yorkie.

— Tak? Nie pamiętam... \

— Och... To było z pięć lat temu, kiedy pracowałem jeszcze jako posterunkowy. Pewien pijaczyna, Crabbie Howard, przepadł pewnej nocy po ciężkiej popijawie.

Laura uśmiechnęła się przelotnie.

— Ach, tak. To już tyle czasu upłynęło? — otworzyła francuskie okno i zawołała: — Andy! Pewni państwo przyszli z tobą porozmawiać!

Gdy Yorkie i jego koleżanka wstali na widok wchodzącej do pokoju André, Laura ostrzegawczo mrugnęła do córki zza ich pleców.

— Jest coś, co powinien pan wiedzieć, sierżancie Barr — rzekła Laura, gdy wszyscy znów usiedli. — André jest...

— Tak... Oczywiście, zdajemy sobie sprawę — wtrąciła przybyła kobieta. — Proszę się nie martwić, pani Normanville...

158

— Skąd o tym wiecie? — uniosła się Laura i natychmiast pożałowała zbyt gwałtownej reakcji.

— Od pani sąsiadów.

Laura pokiwała głową i ujęła dłoń André.

— Andy... Ci państwo chcą zadać ci kilka pytań. Odpowiedz im. Mamusia prosi.

— Cześć, André — odezwał się Yorkie z uśmiechem. — Zechcesz nam pomóc?

André spojrzała na niego bez mrugnięcia. Yorkie poczuł się nieswojo.

— Znasz kafejkę Jacko, prawda, André?

André popatrzyła na matkę i przytaknęła ruchem głowy.

— Jacko i Freda powiedzieli, że byłeś u nich zeszłej środy. Zgadza się?

— Ona chodzi tam w każdą środę — wtrąciła Laura. — Przepraszam, sierżancie, ale André niezbyt dobrze zna się na kalendarzu.

Yorkie wyciągnął zdjęcie przedstawiające Dabbera i Greasera, siedzących na swoich motocyklach typu Kawasaki.

— Widziałaś tych dwóch w kafejce, André?

Andy skinęła głową chociaż nawet nie zerknęła na fotografię w dłoni sierżanta.

— Obserwowałaś ich, jak grali na automatach? — spytał Yorkie.

— Tak — odezwała się po raz pierwszy André.

— Rozmawiałaś z nimi?

— Nie.

Yorkie schował zdjęcie i zajrzał do notatnika. Jacko i Freda potwierdzili, że dziewczyna nie rozmawiała z zaginionymi chłopakami.

— Czy widziałaś, jak odjeżdżali na motorach?

— Nie.

— Wyszłaś wcześniej? Przed nimi?

I znowu pytanie jakby zdziwiło André.

— Chyba Jacko i Freda musieli to widzieć? — wtrąciła Laura.

— Zajmowali się akurat czymś innym, pani Normanville — wyjaśnił Yorkie i ponownie zadał pytanie, lecz znów nie uzyskał odpowiedzi. Zamknął notes.

— Dziękujemy, André... Pani Normanville, nie sądzę, byśmy wracali jeszcze do tej kwestii.

— Co teraz będzie? — spytała Laura. Yorkie wzruszył ramionami.

159

— Rutynowa procedura. Obaj byli pełnoletni. Pracowali i zarabiali. I już w przeszłości urywali się gdzieś na parę dni.

Dwoje policjantów wróciło do swojego wozu.

— Zauważyłaś coś? — zapytał kobietę, kiedy ta zapinała pas bezpieczeństwa.

— Matka raczej nie dawała znaków córce. Wtrącała się tylko, gdy dziewczyna wyglądała na zmieszaną.

— Coś jeszcze?

— Nie.

Yorkie uruchomił silnik. v

— Matka nie zainteresowała się nazwiskami zaginionych. Nawet nie spojrzała na zdjęcie. Zupełnie inaczej niż ludzie, z którymi dotąd rozmawiałem. Trochę dziwne. I dziwne, że nie spytała mnie o zaginięcie starego Crabbiego Howarda.

— Naprawdę pamiętasz twarze po tylu latach?

— Owszem — stwierdził Yorkie. — Nigdy nie zapominał twarzą... W domu Laura bliska była łez. Uścisnęła André i pocałowała ją w policzek.

— Świetnie, kochana! Mamusia jest z ciebie dumna. Wcale nie musimy się stąd wyprowadzać. To cudownie, prawda?

Laura cofnęła się myślami dziesięć lat wstecz, do roku 1981. Siedziała tego dnia na kocu na pagórku i patrzyła na córkę, która bawiła się z Senatorem. Trudno było uwierzyć, że od wypadku nie upłynął jeszcze rok. Tempo, w jakim André wracała do zdrowia, zdumiewało wszystkich, w tym pana Housemana, neurochirurga ze szpitala Atkin-son Morley.

Senator, labrador matki Laury, zbiegał po zboczu za kijem rzucanym przez André. Potem przynosił kij w pysku.

Było ciepło, jesienne popołudnie. Niebo jaśniało błękitem, śpiewał samotny skowronek. W takich warunkach aż wierzyć się nie chciało we wszystko, co zdarzyło się wcześniej — straszny wypadek zdawał się koszmarnym snem.

Obok Laury brakowało jednak teraz Davida. Nie obejmował jej ramieniem, nie trącał kciukiem jej piersi, co zdarzało mu się nawet w towarzystwie. Wspomniała ich ostatni piknik, kiedy wszyscy nieco wstawili się szampanem.

Zaśmiewali się, kibicując wyścigom konnych zaprzęgów.

160

McArdle'owie wzięli nawet ze sobą lokaja, a ten roznosił usłużnie kawior i kurczaki na zimno. Całe towarzystwo uwielbiało André. Słodką, wesołą dziewczynkę, zawsze roześmianą. Lindsay McArdle nazywał ją słonecznym promykiem. Wszyscy uważali Laurę i Davida za szczęśliwą parę... Laura pomachała André i popatrzyła na połyskującą powierzchnię wody. Na pobliskim jeziorze sunęły żaglówki.

Może był gdzieś pośród nich jacht Blake'ów „Takapuna”...

Ale czyż nie wspominali, że wybierają się na Bermudy? Dlaczego właściwie o nich myślała?

Co ją obchodził ich jacht? Co ją obchodziło, kogo zaproszą w sierpniu na wielkie przyjęcie, wyprawiane we Francji? Po wypadku ci wspaniali znajomi Laury ograniczyli się do przysyłania kartki z kondolencjami. Tamto życie już się skończyło. Skończyło się wraz ze śmiercią Davida. A Laura czuła się jakby winna owych minionych, radosnych szaleństw; obwiniła się za wypadek. Uważała, że wszystkiemu winna była jej własna głupota i egoizm. Łatwiej jednak przyznać się do błędów, niż rozpocząć całkiem nowe życie. Laura postanowiła — odetnie się radykalnie od przeszłości.

— Mamusiu! — André rzuciła znowu kij w powietrze. Z pozoru była zwyczajną pięciolatką, bawiącą się z psem na trawie. Uważny obserwator zauważyłby jednak osobliwość: dziecko w ogóle się nie uśmiechało.

Laura uwielbiała weekendy, kiedy mogła cały czas poświęcić André. Przeprowadziła się teraz do domu swej matki w Petersfield. Jej ojciec zmarł w zeszłym roku, a siostra, Imogen, mieszkała w Londynie z narzeczonym — zamierzała się zresztą przenieść do Singapuru. W rodzinnym domu było więc mnóstwo miejsca — a matka Laury bardzo lubiła zajmować się André.

— Mamusiu! — Andy stała teraz zaledwie o kilka metrów od koca. Wywijiała patykami, a Senator podskakiwał w miejscu, nie mogąc się

doczekać rzutu.

Laura znów pomachała. Zamierzała niebawem kupić dom za pieniądze ze spadku po ojcu i częściowo z forsy Davida.

Nie miała zamiaru nabywać niczego pretensjonalnego — jakieś domostwo na wsi, gdzie ludzie będą dobrzy i wyrozumiali dla André. Najlepiej gdzieś blisko matki i gabinetu Ivora Housemana, do którego musiała zawozić dziecko na konsultacje.

Początkowo Laura jeździła z Andy do neurologa co dwa tygodnie, potem co miesiąc. I zawsze zadawała identyczne pytania:

161

— Czy są jakieś postępy? Czy André wyzdrowieje całkowicie? Doktor nieodmiennie odpowiadał z ostrożnym optymizmem:

— Jestem pewien, że do końca stulecia badania nad budową i strukturą ludzkiego mózgu doprowadzone zostaną do pomyślnego końca. Wtedy nauczymy się regenerować komórki nerwowe, pani Normanville. Wtedy możliwa będzie operacja, w wyniku której doprowadzimy mózg André do całkowitego porządku. Teraz jednak Andy potrzebuje przede wszystkim miłości, spokoju i wyrozumiałości.

André cisnęła sporą gałąź i upadła.

— Andy! — zawołała Laura. — Ten kij jest za duży. Znajdź coś mniejszego.

Dziewczynka zignorowała prośby matki i zaczęła znowu wywijać nad głową kijem.

Zapewnienia Ivora Housemana rozpały w Laurze isierkę nadziei. Postanowiła, że pieniądze po Davidzie przeznaczac będzie wyłącznie na potrzeby André. Sobie nie weźmie z nich ani pensa. A dobrze ulokowany kapitał z pewnością podwoi się do końca wieku. I w ten sposób Andy będzie miała zapewnioną przyszłość.

Z zadumy wyrwał Laurę gniewny krzyk córeczki: — Mamusiu!

Laura podniosła oczy. Kij, którym wywijała André, leciał teraz prosto na nią.

— Mamusiu!

I nagle rozległ się huk gromu. Siła eksplozji zrzuciła Laurę z koca. Grom przetoczył się za horyzont — huczał jednak nadal boleśnie w uszach Laury. Ogłuszona i oszołomiona myślała początkowo, że gdzieś w pobliżu rozbił się samolot. Zdołała usiąść i otworzyła oczy.

Senator warczał i biegał jak szalony między nią a André. Andy siedziała na trawie ściskając dłońmi uszy.

Laura zdołała wstać, lecz natychmiast straciła równowagę.

Po chwili dopełza do André. Usiłowała coś powiedzieć, ale nie słyszała własnych słów.

Intuicyjnie osłoniła córkę swoim ciałem, jakby oczekując, że coś jeszcze spadnie z nieba.

Mijały sekundy i minuty. Huk w uszach Laury przycichł na tyle, że słyszała warczenie Senatora. Usiadła, a wtedy pies podbiegł do niej i zaczął ją lizać po twarzy.

Pomogła podnieść się André. O dziwo, dziecko wcale nie było przerażone; jakby nawet poweselało. Oczy André lśniły dziwnym, zielonkawym blaskiem.

162

Laura upewniła się, że dziecku nic się nie stało i rozejrzała się wokół. Wszystko wyglądało normalnie. Niebo nadal było niebieskie, ptaki wciąż śpiewały. Tyle że obok spostrzegła płachtę wypalanej trawy. Ziemia w tym miejscu zamieniła się w dziwną substancję, połyskującą w słońcu.

Dotknęła tego — było ciepłe.

— Coś mi się zdaje — odezwała się niepewnie Laura — że o mało nie trafił w nas grom.

— Andy zrobiła bum — powiedziała na to André.

Laura uśmiechnęła się i potrząsnęła głową mając nadzieję, że w ten sposób ustąpi dzwonienie w jej uszach.

Zaraz też zaniepokoiła się o słuch dziewczynki. Dziecko jednak beztrósco pociągało Senatora za obrozę.

— Chyba czas wracać do domu. Zobaczymy, co babcia przygotowała na podwieczorek. Gdzie jest tamten kij? — Laura zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu kija, który widziała ostatnio, jak leciał w jej stronę. — Gdzie ten duży kij, Andy?

— Zniknął, jak było wielkie bum — wyjaśniła Andy...

W tamtym roku André dwa razy jeszcze popisała się umiejętnością ściągania gromu. Przekonało to Laureę, że coś dziwnego tkwi w mózgu jej córki. Gorączkowe rozmowy z Ivoem Housemanem niczego nie wyjaśniły — głównie z tego powodu, że neurolog nie wierzył w jej relacje. André wywoływała burzę w stanie nadzwyczajnego napięcia. Poirytowana sceptycyzmem Laura zaczęła pisać listy do magazynów paranaukowych. Dowiedziała się, że istnieją osobnicy, którzy — jak André — posiadają niesamowite, oryginalne umiejętności.

W „British Medical Journal” wyczytała o powrocie do Anglii Leo Bullera, specjalisty neurologa. Napisała mu, że jej córka potrafi to samo co Amerykanin o nazwisku Freeman. List pozostał bez odpowiedzi. Napisała jeszcze kilka razy, wreszcie Buller odpisał grzecznymi słowami, żeby nie zawracała mu głowy. Inny specjalista z Ohio — który też nie okazał entuzjazmu — wkrótce zmarł.

Na początku 1985 roku zobaczyła ogłoszenie w „Surrey Advertiser”, skierowane do rodziców „savants”, w którym proszono o telefon pod pewien numer w Londynie. Po parę dniach Laura zdobyła się na odwagę, zatelefonowała i dowiedziała się, że chodzi o program telewizyjny. Kiedy oświadczyła, iż André to dziewczynka, która wcześniej doznała urazu głowy, wytwórnia Mind way Films wykazała szczerze zainteresowanie i zaprosiła ją na próbne zdjęcia

163
Próba zakończyła się niepowodzeniem. Po wszystkim, na stacji Waterloo, dziesięcioletnia André powiedziała, wyczuwając rozdrażnienie matki:

— Ale ja naprawdę zrobiłam bum, mamusiu.

Laura od dawna nie była taka zła na André. Przyklekła i poprawiła córce sukienkę.

— Oczywiście, kochanie. Mamusia się nie gniewa. Tu jest mnóstwo sklepów. Więcej niż w Guildford. Chodź, kupimy ci zimowe palto. A potem pójdziemy do kina i zjemy hamburgera. Chcesz?

Parę godzin później złapały pociąg do Portsmouth i wysiadły w Wit-ley, gdzie Laura pozostawiła wcześniej samochód. Wracały do Durston Wood ciemnymi drogami. Laura zaczęła rozmowę z André.

— Pamiętasz tego miłego irackiego chłopca? Jak on się nazywał...? Och, Boże... Takie śmieszne nazwisko...

— Khalid al Kami — odpowiedziała André.

Laura poruszyła się zaskoczona. Może neurolog miał rację? Z Andy trzeba często rozmawiać.

— A tak, kochana... Khalid. Wiesz co? Rozmawiałam z jego matką... Chyba ma na imię Sajji. Piękna z niej kobieta. Wkrótce wracają do Bagdadu. Zastanawiałymy się, czy nie chciałybyś korespondować z Khalidem. No wiesz, pisywać do siebie listy,

— Listy? — powtórzyła André.

— Będiesz do niego pisała raz w miesiącu o tym, co robisz, czym się zajmujesz. Jakbyś prowadziła dziennik. Mam adres Khalida w Bagdadzie. Jego rodzina ma też domek gdzieś na północy ich kraju. I nawet apartament tu, w Europie. Wygląda na to, że są dosyć bogaci. Khalid często zresztą przyjeżdża do Anglii z Sajji i ojcem, więc...

— Mamusiu!

Na szosie zamajaczył cień. Laura nacisnęła hamulec. Opony pisnęły dziko. Laura mocniej uchwyciła kierownicę.

O nie! — błagała w myślach. Boże, proszę... Nie! Po chwili odzyskała panowanie nad wozem. Poczowała mdlenie w żołądku, gdyż mknęła wprost na pijaka, który nie miał już szans uskoczyć spod kół.

I wtedy rozległ się potworny grzmot. I błysk oślepiającego światła. Pijak gdzieś przepadł. Zniknął.

Zjechała na pobocze. W samochodzie czuła swąd spalonej gumy. Laurze dzwoniło w uszach. Wyskoczyła z wozu. Była pewna, że pijany przeleciał przez dach jej auta i zginął na miejscu.
164

Dlaczego prowadziłam tak szybko? I to w ciemnościach? Gorączkowo pobiegła wzdłuż szosy. Zastanawiała się, co będzie, jak zamkną ją w więzieniu. Co stanie się wtedy z André? Droga była pusta. Pewnie wpadł do rowu. Och, nie...

Nie miała szans dostrzec go w tym mroku.

Wróciła za kierownicę i przejechała kilkadziesiąt metrów na wstecznym biegu, Ucząc, iż zobaczy coś w świetle reflektorów. Na asfalcie widniał ślad po ostrym hamowaniu. Gdzieś w oddali wył pies. W pobliżu żadnego śladu życia.

Na pewno był w trupa pijany. Jak go znajdą to policja zbada mu krew. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze... Zdawało jej się, że widzi coś koło żywopłotu. Była to jednak tylko plastikowa torba. Czy to możliwe, że ofiara, uderzona przez samochód, przeleciała przez wysoki żywopłot? Nie... wykluczone.

— Zniknął. Bum zniknęło tego pana. Laura starała się wypatrzeć coś w rowie.

— Bum zniknęło pana — powtórzyła André. Laura chwyciła Andy za ramiona.

— Andy... Co ty opowiadasz? — histeryczne rozdrażnienie przebijało przez jej głos.

— Pan zniknął.

— Zniknął? Jak to, zniknął? Gdzie on jest!?

— Na początku.

— Co takiego?

— Na początku.

Laura zdała sobie sprawę, że ktoś, kto będzie tędy przejeżdżał, może się zainteresować, co tu się stało. Przejechała kilkaset metrów.

— Andy — zapytała spokojnie — czy ściągnęłaś grom? André skinęła głową.

— Z powodu tego pana? Znowu skinięcie.

Laura wołała nie zadawać dalszych pytań. A jednak musiała:

— I gdzie on teraz jest?

Dziecko spojrzało na nią zielonymi oczyma.

— Zniknął.

— To znaczy, że nie żyje? — głos Laury podminowany był panicznym strachem.

165

— Po prostu zniknął.

— I gdzie jest teraz.

— Na początku.

Laura zacisnęła zęby. Walczyła ze sobą, żeby nie krzyknąć.

— Na początku czego, Andy?

— Czasu.

— Czasu?

— Czasu. Po trzecim sygnale będzie godzina dwudziesta trzecia pięćdziesiąt jeden i dziesięć sekund. Bip... bip... bip... Po trzecim sygnale będzie dwudziesta trzecia pięćdziesiąt jeden i dwadzieścia sekund. Bip... bip... bip... Po trzecim...

— Przestań! — Laura mocno potrząsnęła córką. — Czy on zginął?

— Nie. Tylko zniknął — poprawiła André.

— O mój Boże. To potworne, Andy. Coś ty narobiła?

— Zrobiłam burzę — odrzekła zwyczajnie André.

Laura jakoś zdołała dojechać do Durston Wood. Szybko ułożyła André do łóżka i wróciła do garażu, aby dokładniej obejrzeć samochód. Nie było śladu najmniejszych uszkodzeń, z wyjątkiem tego, że przedni zderzak był lekko nadtopiony.

Wzięła z kąta farbę w aerozolu i szybko spryskała nią cały zderzak. Wyglądał jak nowy. W tym czasie ochłonęła nieco. Mogła wreszcie pozbierać myśli. Przyszło jej do głowy, że kiedy wyjdą na jaw zdolności André, to policja z pewnością odbierze jej córkę. Teraz Laura cieszyła się z niepowodzenia próby przed kamerami. Przypomniła sobie okoliczności pierwszego zdarzenia, kiedy Andy ściągnęła grom. Straszliwy łoskot, wypalona trawa, pies oszalały ze strachu... Dlaczego nie pomyślała wtedy, że to takie niebezpieczne? Mogła wytłumaczyć André, iż nie wolno tego więcej robić. Tylko jak? Jak przekonać o czymś dziecko o ilorazie inteligencji równym czterdziestu punktom? Gdyby zaczęła przed laty, to może nauczyłaby ją... Tak jak nauczyła nie moczyć się łóżku. Lecz teraz André skończyła już dziesięć lat.

Wstrząs? Może to poskutkuje? Gdyby coś przerażającego odwiodło Andy od ściągnięcia gromów? Laura zamknęła garaż na kłódkę i wróciła do domu.

Wiedziała już, co należy uczynić. Choć robiło jej się niedobrze na samą myśl o tym, to jednak wszystko było lepsze od perspektywy, że odbiorą jej dziecko.

166

André oglądała telewizję w swojej sypialni. Laura otworzyła drzwi i zobaczyła córkę siedzącą na łóżku. Matka wyłączyła telewizor i wzięła do ręki perłową szczotkę do włosów.

— Andy — odezwała się cicho — nie wolno ci nigdy już tego robić. Nigdy w życiu.

Rozumiesz?

Dziewczynka splotła ramiona i zaczęła się kołysać na łóżku.

— Po trzecim sygnale minie... Laura postąpiła naprzód.

— Rozumiesz!?

W oczach dziecka czaiło się przygnębienie, ale nie strach. Oczywiście, po tylu latach nie mogła się bać kochającej i czulej matki. Nie krzyczała. Nie okazywała emocji. André nigdy nie płakała nigdy się nie śmiała. Tę noc miała jednak zapamiętać do końca życia. Laura postanowiła że tak się musi stać.

— Zdejmij piżamę.

André wciąż się kołysała, wydając z gardła dziwaczny dźwięk.

— Zdejmij piżamę! Andy wykonała polecenie. Złożyła piżamę w kostkę, tak jak wcześniej nauczyła ją tego Laura. Stała naga przed matką, nadal wydając gardłowy, przytłumiony dźwięk. Trudno było uwierzyć, że to blade ciało dysponuje taką straszliwą mocą. Być może mocą, której nie dałoby się wygnać egzorcyzmami jak średniowiecznego demona. Lecz uspić na resztę życia, jakie pozostało André.

Laura przyciągnęła elżbietański taboret na środek pokoju. Zacisnęła palce na szczotce.

Wskazała stołek.

— Uklęknij.

André stała bez ruchu, patrząc na matkę z czymś w rodzaju niedowierzania.

— Powiedziałam: uklęknij!

André posłusznie uklękła przed taboretom.

Pięć minut później Laura, zataczając się, weszła do łazienki i zaczęła gwałtownie wymiotować do sedesu. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że nie mogła prawie uchwycić spustowej dźwigni. Potem otarła usta i spryskała twarz zimną wodą; powlokła się do swojej sypialni. W ubraniu rzuciła się na łóżko. Łzy spłynęły jej po twarzy wsiąkając w poduszkę. Boże, przebac mi, pomyślała. Musiałam to zrobić.

Po kilku minutach odzyskała siły na tyle, by wstać i podsłuchiwać pod drzwiami André. Nie dobywał się zza nich żaden dźwięk. Laura wróciła do siebie i znów znalazła się w łóżku.

Zasnęła dopiero przed świtem.

W lokalnej prasie napisano o zaginięciu człowieka. Szum jednak prędko ucichł.

W ciągu lat, jakie upłynęły od tamtej fatalnej nocy w 1985 roku, Laura dbała o to, by André prowadziła względnie normalne życie. Do wąskiego kręgu przyjaciół i znajomych dopuściła tylko Khalida i jego rodziców. Sajji, Hamet i ich syn często odwiedzali Durston Wood. Parę razy Khalid zostawał pod opieką Laury, gdy jego rodzice musieli wrócić do Bagdadu. Irak toczył zaciętą wojnę z Iranem. Rodzice chłopca, jako Kurdowie, nienawidzili Saddama Husajna i nie chcieli, by ich syn wchłonięty został przez jego wojenną machinę. Choć nie mówili o tym głośno, to płacili słone łapówki, żeby Kalid nie trafił do czynnej służby.

Khalid był o pięć lat starszy od André i bardziej rozwinięty umysłowo. A jednak, pomimo dzielących oboje różnic, chłopak bardzo się zaprzyjaźnił z dziewczyną. André wprawdzie jak zwykle nie zdradzała się ze swoimi uczuciami, ale w towarzystwie Khalida stawała się wyraźnie spokojniejsza. Chodzili razem na długie spacery, oglądali kreskówki i komiksy.' André pokazywała mu swoje sztuczki na rowerze. Razem wyglądali cokolwiek osobliwie — André nigdy się nie śmiała, Khalid uśmiechał się przez cały czas.

Na początku 1991 roku wybuch wojny pomiędzy Irakiem a koalicją krajów zachodnich spowodował zamknięcie filii Kurdyjskiego Narodowego Banku Inwestycyjnego w Londynie. Władze brytyjskie okazały się jednak dość wyrozumiałe.

Rozumiejąc, że Kurdowie to przeciwnicy reżimu Husajna, nie zamroziły bankowych kont. Tyle że wszyscy obywatele iraccy musieli opuścić granice kraju lub liczyć się z deportacją czy też internowaniem. Matka Khalida powiedziała ze łzami w oczach Laurze, że jej mąż udał się z deputacją do siedziby brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tam jednak odrzucono twierdzenie, że on i jego klienci nie są Irakijczykami tylko Kurdami. Kurdystan nie jest niezawisłym państwem, oświadczone, lecz częścią Iraku. A Irakijczycy muszą opuścić Zjednoczone Królestwo.

— Nigdy nie chcieliśmy wchodzić w skład Iraku — powiedziała Sajji podczas ostatniej wizyty w Durston Wood. — Brytyjczycy siłą przyłączyli Kurdystan do Iraku po pierwszej wojnie światowej. A kiedy pokolenie mego dziadka wywołało powstanie przeciwko rządowi Bagdadu, Anglicy przysłali swój korpus ekspedycyjny i pomogli Irakijczykom dokonać masakry. Brytyjczycy zawsze walczyli z Kurdami.

Laura pocieszała roztrzęsioną kobietę najlepiej jak umiała. Od spotkania w studiu telewizyjnym stały się dobrymi przyjaciółkami. Miały ze sobą wiele wspólnego.

— Będziesz opiekować się Khalidem, póki nie skończy się to zamieszanie w Kuwejcie? Proszę, Lauro... Błagamy cię o to. Saddam Husajn już niedługo utrzyma się u władzy.

Zorganizujemy powstanie i obalimy go

— dodała z nagłą wojowniczością.

— Ale nasze władze poleciły wam wszystkim wyjechać z Anglii.

— Nie mogą wyrzucić Khalida! To jeszcze dziecko. Tutaj jest taki szczęśliwy!

— Sajji — Laura powiedziała cicho — Khalid ma dwadzieścia jeden lat. Według brytyjskiego prawa jest dorosły już od trzech lat. Nie zrobią dla niego wyjątku.

— W Iraku wciągnęli go na listę poborowych! Wyślą go do Kuwejtu!

— Och, na pewno nie, Sajji. Przecież Khalid nie nadaje się do wojska. Wiem, że ma wyższy iloraz inteligencji od André, ale...

— Lauro... Nic nie rozumiesz. Opłacaliśmy pewnego oficera w Bagdadzie, by Khalid nie został powołany. Niestety, tamtego oficera odwołano. Hamet otrzymał faks, że Khalid ma się stawić w jednostce.

— Nie możecie poprosić, żeby go tutaj internowano?

— Oczywiście, że o to prosiliśmy! — wybuchła matka Khalida.

— Zastłonili się przepisami. Mówię ci, Brytyjczycy nienawidzą Kurdów. Zawsze tak było. Nie kiwnęli palcem, kiedy Irakijczycy zrzucili gaży bojowe na Halabji. Nadal handlują z Saddamem Husajnem...

Laura usiadła obok Sajii, która zalała się łzami.

— Chcielibyśmy zostawić go u ciebie, Lauro — zwróciła się Sajii błagalnym tonem. — Tu jest tak spokojnie. Nikt się nie dowie. Dobrze ci zapłacimy.

Laura pomyślała o konsekwencjach; policja zaczęłaby się kręcić koło jej domu w poszukiwaniu Khalida — nielegalnie przebywającego w Anglii obywatela kraju, z którym Wielka Brytania prowadziła wojnę. Mogliby skojarzyć talenta Khalida z umiejętnościami André. Po nitce do kłębka dotarliby zapewne do tajemniczego zniknięcia tamtego pijaka przed paroma laty. Takiego ryzyka nie mogła podjąć, choć ciężko było o tym poinformować matkę Khalida.

— Nie, Sajii... Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić.

Sajii wbiła wzrok w podłogę, ale po chwili spojrzała zaczerwienionymi oczami na Laurę.

Sajii była atrakcyjną kobietą, zawsze miała na sobie

169

drogie stroje. Nie utraciła powabu, mimo że zbliżała się już do pięćdziesiątki. Jej mina wyrażała teraz smutek i przygnębienie.

— Khalid jest dla nas wszystkim — powiedziała. — Pragnęliśmy więcej dzieci, ale podczas ciąży... Zresztą już ci o tym opowiadałam.

— Sajii... Przecież wiesz, że zrobiłabym to, gdybym tylko mogła. Poza tym, zobaczysz, nie będzie żadnej wojny. Saddam Husajn przekona się, iż nie ma szans na zwycięstwo.

Sajii wstała i odwróciła od Laury zapłakaną twarz.

— Nie pojmujesz, jak myślą Arabowie, Lauro. Inaczej niż ludzie na Zachodzie. To nasza tragedia... — podeszła do drzwi i zawołała po kurdyjsku Khalida, który obserwował André, wyczyniającą cuda na rowerze.

Potem Laura razem z André patrzyły na odjeżdżające BMW Sajii.

— Khalid wraca do domu? — spytała André.

— Tak... Wraca.

Dwa dni później stacje telewizyjne pokazały w dziennikach kolejkę Irakijczyków, czekających na odlot z lotniska Heathrow. Mignęły smutne twarze Hameta i Sajii.

Był z nimi Khalid.

Uśmiechał się, jak zwykle...

ROZDZIAŁ 50

Środa, 9 marca 1991

W ciągu trzydziestu lat pracy w zawodzie prywatnego detektywa Harry Mathison spotykał się już z klientami w różnych miejscach, ale jeszcze nigdy w kafeterii dla podróżnych na stacji Waterloo. Otrzymywał też osobliwe zlecenia, to jednak było najbardziej niezwykle. Spojrzał znad notatnika i napotkał smutne, szare oczy Simmondsa.

— To będzie sporo kosztowało, panie Simmonds, więc wyjaśnijmy teraz wszystko. Chce pan, żebym zrobił zdjęcie każdego neonu w Londynie, który kończy się na „...ingham Court” oraz adres takiej posesji. Zgadza się?

— Owszem, panie Mathison. Widziałem fotografie swojej żony wykonane przed budynkiem, gdzie mieszka jej kochanek. Chcę odzyskać swoją żonę. Bardzo ją kocham.

170

— Robota może się przeciągnąć.

— Ma pan chyba jakieś sposoby, co?

Harry nie odpowiedział. Nie miał zwyczaju zdradzać swoich metod, a już na pewno nie facetowi, który najwyraźniej podał mu fałszywe nazwisko. Zastanawiał go ten Simmonds.

Drogi, szary garnitur, dziwny krawat, krótkie włosy, jak u wojskowego. Mężczyzna o zranionej dumie? A może wcale nie?

— Można najpierw zrobić listę miejsc takich jak Fellingham Court, Nottingham Court — ciągnął Simmonds — ale chyba pan wie najlepiej, co zrobić.

— Tak — rzekł Harry. — Wiem.

— Posesje bogaczy raczej nie wchodzi w grę — dorzucił Simmonds.

— Niech pan się skoncentruje na dzielnicach zamieszkałych przez średnio zamożnych. Będę do pana dzwonił codziennie od jutra i pytał o postępy. Proszę nikomu nie wspominać o naszej umowie. Chyba pan się orientuje, że telefony komórkowe można podsłuchiwać?

— Owszem — odparł Harry. — Orientuję się.

Co za ostrożność! Harry regularnie korzystał z telefonu komórkowego.

— Proszę zrobić zdjęcia miejsc odpowiadających mojemu opisowi

— ciągnął Simmonds. — Wtedy zjawię się sam w Londynie.

— Mogę je przesłać pocztą — podsunął Harry, który wolał znać adresy klientów.

— To nie będzie potrzebne. Lubię przyjeżdżać do Londynu... Nawet tak wcześnie. Chcę, żeby szybko pan coś znalazł, panie Mathison. Dowiedziałem się, że ma pan sześciu pomocników. Proszę ich zatrudnić do tej roboty... Bardzo pragnę odzyskać swoją Edith.

Tymczasem Harry zdecydował, iż nie wieźmie tej roboty.

To jakaś śmierdząca sprawa. I nie podobał mu się ten typek o wyglądzie i manierach wojaka.

Miał wprawę w pozbywaniu się takich klientów:

— Cena za usługę wynosi tysiąc pięćset funtów dziennie, w tym VAT i wydatki, panie Simmonds. Ponieważ nie podałeś mi adresu, a przypuszczam, że nazywa się pan inaczej, chcę zapłaty za dwa dni z góry.

Simmonds nawet nie mrugnął okiem. Wyjął portfel i wyciągnął z niego trzydzieści banknotów stu-funtowych.

— To pański szczęśliwy dzień, panie Mathison. Dostaje pan trzy tysiące gotówką, a ja nawet nie chcę poświadczenia. A oto jeszcze trzysta

171

za to, by od razu przystąpił pan do dzieła — oznajmił Simmonds, dopił kawę i wstał. Przeszył detektywa lodowatym wzrokiem i dodał. — Powodzenia, panie Mathison. I choć zapłaciłem panu poważną sumę z góry, proszę nie uważać mnie za jelenia. Jeśli zrobi mnie pan w konia, to źle pan na tym wyjdzie.

— Nie lubię pogroźek, panie Simmonds.

— To nie pogroźki. Po prostu lojalnie uprzedzam. Być może zresztą zbytecznie. Mówiono mi, że jest pan świetny w swoim fachu. Życzę dobrego dnia.

Simmonds wyszedł z kafeterii i skierował się do budki telefonicznej. Zadzwoił do Kimmeridge do Leo Bullera.

— I cóż, Leo?

— Max... Sprawdzam wszystkie swoje papiery. Mówię ci, to strata czasu. Przed laty zrobiłem generalne porządki... Znam siebie i wiem, że nie zachowałbym jakiegoś listu od neurotycznej matki.

Max zdusił ochotę powiedzenia czegoś zjadliwego. To na nic by się zdało.

— Trudno, Leo. Mam nadzieję, że przynajmniej mnie się uda.

— Jak ci poszło?

— Dostałem po kieszeni — odparł Max. — Mój pociąg odjeżdża za dwadzieścia minut, więc może dzisiaj będzie można przeprowadzić testy. Do zobaczenia.

ROZDZIAŁ 51

CENTRALNY IRAK

Szczęście Nuriego i Khalida jakby się zachwiało, kiedy odjechali ledwie trzy kilometry od motelu „Sammara”, gdzie spali bez wygod ostatniej nocy. Zeszłego dnia postanowili

wcześniej przerwać podróż i porządnie odpocząć, aby nazajutrz ruszyć dalej ze świeżym zapasem sił. Jechali teraz wolno, wypatrując bocznej drogi, którą chcieli ominąć Tikrit. Wciąż posuwali się na północ, tym razem jednak po prawej stronie Tygrysu, mijając gliniane lepianki, a po lewej ręce mając linię kolejową z Bagdadu do Mosulu, wzdłuż której rosły palmy. Teren wznosił się stopniowo.

172

Daleko na wschodzie widać było podnóża Jabal Hamarin, a sam Tikrit wyłaniał się na żyznej równinie pomiędzy Tygrysem a Eufratem. Zaraz za rodzinnym miastem Saddama Husajna zaczynały się pagórki, a dalej wyrastały góry zamieszkane przez ludność kurdyjską.

Khalid jechał szybko, jak zwykle. Wyprzedził sznur pojazdów wojskowych, także zmierzających do Tikrita. Nuri milczał. Sądził, że brawura Khalida chroni ich choć trochę: żaden Kurd, zamierzający przyłączyć się do powstania, nie pędziłby wśród kolumny transporterów tą szosą.

Odnaleźli wreszcie drogę pod Daur, ta jednak okazała się zamknięta dla pojazdów cywilnych.

— Jedź dalej! — warknął Nuri, gdy Khalid wyhamował przed zakrętem.

— Nie możemy jechać do Tirkitu, Nuri.

— Nie mamy wyjścia. Ta mapa jest bezużyteczna. Skręcimy teraz w lewo, gdziekolwiek nas to zaprowadzi. Khalid spojrział żałośnie na towarzysza i dodał gazu.

Nuri wpatrywał się w mapę, nie wiedząc, że przerywanymi liniami zaznaczono na niej szlaki karawan sunących przez pustynię. Teraz chciał po prostu możliwie najszybciej dotrzeć na północ kraju i wstąpić do partyzantki. W górach poczuliby się nareszcie bezpieczniej. Gdyby tylko mieli wóz terenowy z napędem na cztery koła. A może ukraść taki? Dźwięk klaksonu wyrwał Nuriego z zamyślenia. Z przerażeniem zobaczył, że Khalid wyprzedza nowoczesny transporter z platformą ze znakiem 1. Batalionu Czołgów Gwardii Prezydenckiej. Na platformie znajdował się T-72 w malowaniu maskującym. Khalid w ostatniej chwili zwolnił i schował się za czołgiem, unikając czołowego zderzenia z jadącą z naprzeciwka ciężarówką.

— Zawsze to samo! — zawołał Nuri do Khalida. — Jedź spokojniej! Nie ściągaj na nas uwagi!

— Wszędzie ich tu pełno, Nuri. Nigdzie się nie przedostaniemy. Jakby na potwierdzenie tych słów pojawił się przed nim następny transporter. Nuri usłyszał eksplozję. Początkowo sądził, że ktoś do nich strzela. Potem spostrzegł płomień i dym pod maską i pomyślał, że najechali na minę — ale przecież w takim wypadku Khalid nie utrzymałby panowania nad wozem.

— Silnik wysiadł — obwieścił Khalid, zjeżdżając wolno na pobocze. Wysiedli; Khalid uniósł maskę, a Nuri zajrzał do silnika, z którego

173

wydostawała się chmura gazów i pary wodnej. Woda zalała przewody elektryczne.

Obaj krzywo wpatrywali się w silnik. Nuri zaklął siarczyście.

— Co jest, Nuri? — spytał Khalid, który był świetnym kierowcą, ale nie znał się wcale na mechanice.

— Diabli wzięli ten rupieć — Nuri z wściekłości machnął pięścią w powietrze. — I co my teraz zrobimy?

— Może kupimy następny samochód? — podsunął Khalid. Nuri aż miał ochotę huknąć przyjaciela w zęby.

— Też pomysł! Zatrzymaj jakiś wóz i odkupimy go od kierowcy. Nuri musiał zaraz chwycić Khalida za ramię, bo tamten miał zamiar wprowadzić słowa w czyn. Nie pojmował kpin.

— Idioto! Tylko żartowałem. Musimy wydawać pieniądze ostrożnie. Ty zostaniesz tutaj, a ja dostanę się jakoś do Sammary i poszukam warsztatu.

— Nie, Nuri! — zaklinał Khalid. — Musimy trzymać się razem!

— Nie możemy zostawić tego wozu na pastwę losu. Ma prawie nowe opony. Zaraz je ktoś ukradnie. Rozumiesz?

Khalid nadal szarpał starszego kolegę za rękaw.

— Musimy trzymać się razem! Inaczej opuści nas szczęście.

— Chyba już nas opuściło, co? — stwierdził gniewnie Nuri. Dostrzegł transporter wiozący na platformie czołg, który wcześniej został wyprzedzony przez Khalida.

— Udawaj, że naprawiasz silnik! — syknął Nuri i zanurkował pod osłonę maski.

Obaj nie podnosili głów, gdy platforma przejechała obok. Mimo to transporter zwolnił i zatrzymał się kilkanaście metrów dalej. Usłyszeli trzask zamykanych drzwi od szoferki.

— I gdzie to twoje szczęście? — szepnął Nuri. Zza pleców dobiegł ich basowy głos.

— Rzuciłem na was przekleństwo... ale nie myślałem, że zadziała tak szybko.

Nuri udawał, że jest zaskoczony pojawieniem się człowieka. Odwrócił głowę i spostrzegł, że ma do czynienia nie z żołnierzem, tylko z otępłym, nie ogolonym i brudnym facetem w roboczym kombinezonie. Ów gość ze źle ukrywanym niezadowolaniem mierzył wzrokiem wystrojonych w drogie garnitury facetów.

174

— Przepraszam za tamto wyprzedzanie — powiedział Nuri, czując ulgę, że nie rozmawia z gwardzistą Husajna.

— Mało nie zepchnęliście mnie z drogi — rzekł szofer.

— Spieszyliśmy się — Nuri wzruszył ramionami i wskazał na silnik escorta. — Cóż, teraz to i tak bez znaczenia.

Kierowca zajrzał do silnika.

— Co się stało?

— Chyba poszedł gaźnik. Czy w Sammarze jest jakiś dobry warsztat? Nie pochodzimy stąd... Szofer zaśmiał się tubalnie.

— Tutaj nic nie znajdziecie, ale za to są dobre warsztaty w Tikricie. Będzie kłopot z częściami zamiennymi, chyba że macie dużo forsy.

Nuri miał talent aktorski. Ukrył dreszcz, jaki wzbudziła w nim nazwa znienawidzonego miasta, pod obojętnym uśmiechem.

— Dziękujemy. Może ktoś nas stąd podrzuci.

— Ja was pociągnę — zaoferował kierowca, biorąc z platformy z czołgiem metalową linkę. Machnął ręką na opory Nuriego. — Nie ma problemu. I tak tam jadę. Będzie tam parada zwycięstwa i po to te czołgi — uśmiechnął się do Khalida. — Ciągnęli cię kiedyś?

Khalid natychmiast pokiwał głową.

— Tak. Na ćwiczeniach.

Szofer zamocował koniec linki na występie platformy.

— Moja ciężarówka uciągnie i wasz wóz. Nawet pod górkę. Tylko już bez wyprzedzania, dobra?

— Dobrze — powiedział Khalid, serio odbierając słowa kierowcy. Nuri i Khalid wsiedli do escorta i karawana ruszyła. Ten pierwszy westchnął z ulgą i rzekł:

— Wiesz co? Już myślałem, że mu powiesz: „na ćwiczeniach w wojsku”.

— To by chyba nie był dobry pomysł, Nuri — odparł Khalid wpatrując się przed siebie przez przednią szybę.

Nuri, mimo napięcia, zdobył się na uśmiech. Zapadło milczenie. Znaki drogowe na poboczach podawały, ile zostało jeszcze kilometrów do Tikritu. Wreszcie ciężarówka ciągnąca platformę zatrzymała się dwa kilometry od miasta przed warsztatem wzniesionym z cegieł. Wyblakła tablica na zewnątrz informowała, że są tu honorowane karty kredytowe American Express. Obok wisiał portret Saddama Husajna. Na zabłoconym

175

— Przepraszam za tamto wyprzedzanie — powiedział Nuri, czując ulgę, że nie rozmawia z gwardzistą Husajna.

— Mało nie zepchnęliście mnie z drogi — rzekł szofer.

— Spieszyliśmy się — Nuri wzruszył ramionami i wskazał na silnik escorta. — Cóż, teraz to i tak bez znaczenia.

Kierowca zajrzał do silnika.

— Co się stało?

— Chyba poszedł gaźnik. Czy w Sammarze jest jakiś dobry warsztat? Nie pochodzimy stąd... Szofer zaśmiał się tubalnie.

— Tutaj nic nie znajdziecie, ale za to są dobre warsztaty w Tikricie. Będzie kłopot z częściami zamiennymi, chyba że macie dużo forsy.

Nuri miał talent aktorski. Ukrył dreszcz, jaki wzbudziła w nim nazwa znienawidzonego miasta, pod obojętnym uśmiechem.

— Dziękujemy. Może ktoś nas stąd podrzuci.

— Ja was pociągnę — zaoferował kierowca, biorąc z platformy z czołgiem metalową linkę. Machnął ręką na opory Nuriego. — Nie ma problemu. I tak tam jadę. Będzie tam parada zwycięstwa i po to te czołgi — uśmiechnął się do Khalida. — Ciągnęli cię kiedyś? Khalid natychmiast pokiwał głową.

— Tak. Na ćwiczeniach.

Szofer zamocował koniec linki na występie platformy.

— Moja ciężarowa uciągnie i wasz wóz. Nawet pod górkę. Tylko już bez wyprzedzania, dobra?

— Dobrze — powiedział Khalid, serio odbierając słowa kierowcy. Nuri i Khalid wsiedli do escorta i karawana ruszyła. Ten pierwszy westchnął z ulgą i rzekł:

— Wiesz co? Już myślałem, że mu powiesz: „na ćwiczeniach w wojsku”.

— To by chyba nie był dobry pomysł, Nuri — odparł Khalid wpatrując się przed siebie przez przednią szybę.

Nuri, mimo napięcia, zdobył się na uśmiech. Zapadło milczenie. Znaki drogowe na poboczach podawały, ile zostało jeszcze kilometrów do Tikritu. Wreszcie ciężarówka ciągnąca platformę zatrzymała się dwa kilometry od miasta przed warsztatem wzniesionym z cegieł. Wyblakła tablica na zewnątrz informowała, że są tu honorowane karty kredytowe American Express. Obok wisiał portret Saddama Husajna. Na zabłoconym

175

podwórku koło budynku stał dziesięcioletni nissan bluebird z wypisaną na kartce z ceną — 1000 dinarów. Wrota do warsztatu ledwo wisiały na starych zawiasach. W ciemnym wnętrzu stało kilka aut.

— Na szczęście warsztat jest przed wjazdem do miasta — stwierdził cicho Nuri.

Szofer transportera odczepił linkę, machnięciem dłoni zbył podziękowania i ofertę zapłaty i w końcu ruszył dalej.

Nuri i Khalid weszli do wnętrza zakładu, właściciel którego drzemał w półciężarówce. Był niski, brudny i wyglądał na Turka.

— Nie teraz. Za godzinę — mruknął leniwie, kiedy Nuri popukał go po ramieniu.

— Potrzebujemy pomocy. Zepsuło nam się auto.

— Nie ma jak go tu ściągnąć.

— Stoi tuż przed wjazdem.

Mamrocząc pod nosem Turek wytoczył się z pojazdu i podejrzliwie popatrzył na przybyłych.

— Ford escort. Popsuty gaźnik.

Właściciel wyjrzał przez drzwi i zobaczył escorta stojącego po przeciwnej stronie szosy.

— Części do takiego modelu muszę sprowadzać aż z Ankary. Potrwa jakiś tydzień. Jak chcecie poczekać, to w mieście jest mnóstwo hoteli.

Nuri wolał nawet nie myśleć o spędzeniu tygodnia w hotelu w Tikricie.

— Jesteście Kurdami? — spytał właściciel.

— Jesteśmy biznesmenami — odparł Nuri. W pamięci przeliczył, ile im jeszcze zostało pieniędzy. — Mamy do załatwienia pewną pilną sprawę na północy. Może sprzeda nam pan tego nissana?

Turek wzruszył ramionami.

— Tysiąc dinarów. Ni mniej, ni więcej.

— Damy czterysta dolarów — rzekł Nuri. — I zostawimy escorta. Teraz właściciel warsztatu stał się jeszcze bardziej podejrzliwy. Nuri zastanawiał się, czy nie zaoferował Turkowi za wysokiej sumy. Oczy tamtego zwięźły się wyraźnie.

— Dolary? Macie amerykańskie dolary?

— Prowadziliśmy interesy w Kuwejcie, zanim zaczęło się to całe... zamieszanie — przeszło gładko przez gardło Nuriemu.

— Płacicie gotówką?

— Gotówką — potwierdził Nuri.

176

— Sześćset pięćdziesiąt dolarów.

— Czterysta pięćdziesiąt — odparł Nuri. Właściciel splunął na brudną podłogę.

— Tyle samo dałem za ten wóz.

Nuri obojętnie wzruszył ramionami i stwierdził:

— Trudno. W Tikricie jest sporo warsztatów.

— Pięćset.

Nuri udawał, że rozważa propozycję. Wreszcie pokiwał głową.

— Zgoda.

— Czy wóz jest na chodzie? — spytał Nuri.

— Tak, ale najpierw pieniądze — oczy Turka łypały chciwie. Nuri sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki i wymacał pięć banknotów studolarowych. Turek był i tak podejrzliwy — nie należało mu pokazywać całego zwitka.

Właściciel wziął pieniądze i obejrzał je pod światło.

— To prawdziwe banknoty — rzekł z uśmiechem Nuri.

Tamten zachnął się i wcisnął forszę do kieszeni kombinezonu. Wyprowadził Nuriego i Khalida na podwórko.

— Zaczekajcie tutaj, a ja przygotuję papiery bluebirda. To potrwa z dziesięć minut.

Khalid na widok kupionego auta aż zatarł ręce z radości. Nuri już chciał usiąść na miejscu obok kierowcy, kiedy dostrzegł kabel telefoniczny biegnący do wnętrza warsztatu. Nuri podążył za Turkiem.

— Nuri... Musimy...

Nuri uciszył protesty towarzysza nerwowym gestem, ów jednak patrzył z trwogą za starszym kolegą, który zniknął w mrocznym wnętrzu warsztatu.

Przyczajony za drzwiami na tyłach zakładu Nuri usłyszał dźwięk obracanej tarczy telefonu.

Zajrzał przez szparę do wnętrza ciasnego pomieszczenia, które służyło Turkowi za biuro, kuchnię i sypialnię. Turek siedział przy zagraconym stole, tyłem do drzwi.

— Halo? — powiedział do słuchawki

— Połączcie mnie z policją. To pilne... Nuri rozejrzał się wokoło. Turek mówił:

— Słuchajcie uważnie. Dzwonię z...

Nie dokończył. Słowa uwieźły mu w gardle i wypuścił z dłoni słuchawkę. Palcami wczepił się w kabel, który Nuri owinał wokół jego

177

szy. Ciskał się konwulsyjnie, kopiąc w stół, lecz Nuri ściągnął go na podłogę i przytrzymał ciężarem własnego ciała. Nuri dostrzegł w zasięgu ręki niklowaną rurkę. Chwycił ją, wcisnął pod kabel na szyi Turka i zaczął nią kręcić. Kabel wpił się w tłuste ciało niby nóż w dojrzały ser. Ofiara rzuciła jeszcze konwulsyjnie tułowiem i znieruchomiła.

Nuri nie tracił czasu na sprawdzanie, czy Turek już wyzionął ducha. Podniósł słuchawkę, przeprosił za pomyłkę i odłożył na widełki. Przy nodze stołu znalazł dokumenty i kluczyki od bluebirda w kopercie z napisem. Z kieszeni Turka wyciągnął dolary. Na ściennej półeczce starał się znaleźć jakąś samochodową mapę okolic — wkrótce natknął się na taką i wsunął ją do kieszeni. Ostatnim zadaniem było zawleczenie ciała właściciela warsztatu do jego furgonetki i przykrycie go czymś. Może minie godzina lub dwie, nim ktoś go znajdzie. Wyszedł ostrożnie na podwórko. Zdało mu się dziwnie spokojne — ale po atakach amerykańskich samolotów B 52 i A 10 nic już nie było mu straszne.

— Weź nasze rzeczy — polecił Khalidowi.

Gdy ten wpakował nesesery do bagażnika bluebirda, Nuri sprawdził stan baku. Na szczęście okazał się pełny.

Skoczył raz jeszcze do warsztatu i wrócił z dziesięciolitrowym, wojskowym kanistrem z benzyną. Znalazł też kilka plastikowych butelek oleju silnikowego. Wszystko to wrzucił do bagażnika.

Khalid pokręcił kierownicą.

— Dobra — stwierdził. — Nie stawia oporu.

Nuri wyciągnął z kieszeni mapę i rozłożył ją na masce.

— Na razie jedźmy na zachód, a tam poszukamy jakiejś drogi na północ.

Khalid przestał bawić się przełącznikami na tablicy rozdzielczej.

— Kierujemy się na pustynię, Nuri?

— Musimy od teraz omijać wszelkie posterunki na drogach. Na pieczątki twojego kumpla policjanta już się mogą nie nabrać. Cholera... Musimy przejechać przez Tikrit — jego palec utknął na zaznaczonym na mapie rozlewisku między Tygrysem i Eufratem. Zjazd z głównego szlaku znajdował się dopiero za zniechęconym miastem.

Khalid pomyślał o ryzyku, jakie wiązało się z przejazdem przez rodzinną miejscowość Saddama Husajna.

— Czy naprawdę musimy, Nuri?

178

— Albo to, albo powrót do Bagdadu — złożył mapę i zajął miejsce obok Khalida. — Dobrze już. Ruszajmy.

ROZDZIAŁ 52

POŁUDNIOWA ANGLIA

Przybrzeżne skały zbliżały się do Leo z prędkością ponad półtora tysiąca kilometrów na godzinę. Przy takiej prędkości ląd zdawał się akwarelową mozaiką kolorowych plam. Od czasu do czasu migały dachy wiejskich domostw.

— Cel odnaleziony, tatusiu — posłyszał w słuchawkach cichy, słodki głosik. Był to wgrany w komputer i przetworzony przez sampler głos córki, która mieszkała z jego byłą żoną w Kalifornii. Pewnego dnia narażeni na stresy piloci wojskowi będą słyszeć z pokładowych komputerów głosy drogich im osób.

System identyfikacji wizualnej, współdziałający z radarem, odkrył cel i nadał stosowny sygnał. Samolot ostro zanurkował.

— Piętnaście kilometrów. Cel rozpoznany, tatusiu.

Biały kwadrat wokół celu zamienił się w czerwony sześciokąt.

— Dziesięć kilometrów. Pocisk odbezpieczony, tatusiu. Wszystko odbywało się automatycznie. Rakiety oderwały się od

myśliwca i pomknęły w ziejący tunel, Leo nie zobaczył skutku ich uderzenia. Poczuł przeciążenie, charakterystyczny ucisk w kroczu i lekki zawrót głowy. Po licznych próbach tego typu wiedział już, że nie od razu po wyjściu z nurkowania widzi się przed sobą błękitne niebo.

Teraz rozległ się trzask, który wstrząsnął całą kabiną. W tej samej chwili wszystko ucichło i pogasły wskaźniki przyrządów. Nie uległy bynajmniej zniszczeniu — zostały tylko wyłączone. Nagła cisza wprowadziła zmysły w dezorientację. Leo wysunął się z plastikowej kapsuły. Symulator lotu zastygł pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w stosunku do podłoża. Leo przycisnął kilka guzików, wyrównując tym samym położenie trenera. Odpiął pasy i zdjął z głowy pękaty hełm z zainstalowanym systemem „Wirtualnego Świata”. Popatrzył pytająco na Maxa, siedzącego za konsolą kontrolną. Laboratorium mieściło się w dawnej sali balowej.

179

Na galerii dla muzyków stał komputer — wyglądający jak wielka szafa grająca. Na dole zaś, w miejscu gdzie niegdyś znajdował się olbrzymi stół, ustawiono symulator lotu.

Nowoczesne maszyny kontrastowały osobliwie ze staroświeckimi ozdobami na ścianach.

— No i jak? — spytał Leo gramoląc się z kabiny. Nigdy nie przepadał za gimnastyką.

Max spojrział zza konsoli.

— Minimalnie za późno. Jednak różnica wyrażona jest w tysięcznych ułamkach sekundy.

Leo przyjrzał się wydrukowi z komputera.

— Cholera. Tyle roboty, a postęp minimalny.

Max skrupulatnie wpisał wynik do tabeli. Wewnątrz też czuł irytację. Pracowali ciężko nad skonstruowaniem symulatora mózgu, lecz wciąż nie mogli trafić w sedno. Sukces ich omijał. Nadal czekali na ten przełom, dzięki któremu uda im się stworzyć system dublujący reakcje ludzkiego mózgu.

— Coś mi się zdaje, Leo — mruknął Max — że brniemy w ślepią uliczkę, kopiując mózg morświna. Drepczemy w miejscu. Pozostawmy inne kwestie Stevensowi i Hardingowi, a sami skoncentrujmy się na tym problemie.

— Max... Nie możemy sobie na to pozwolić. Ryzykujemy stratę mnóstwa pieniędzy, jeśli zawiesimy prace nad pozostałymi projektami.

— Tworząc defensywny system jak tamten w irackim T-55 zgarniemy całą pulę.

Niewyobrażalnie wiele forsy.

— Czyżby, Max? Świat szybko się zmienia. Związek Radziecki jest na krawędzi rozpadu. Kraje trzeciego świata kumają się z Amerykanami, bo nie mogą już liczyć na Rosjan...

— Na świecie robi się coraz mniej bezpiecznie — wtrącił Max. — Rozleci się równowaga nuklearna, gdy radzieckie republiki uzyskają niepodległość. Tylko patrzeć, jak czarni przejmą arsenał atomowy w Afryce Południowej. Wyobraź sobie nuklearne starcie jakichś murzyńskich plemion.

— No tak... — przyznał z rezygnacją Leo.

— I coś jeszcze: za trzy lata Pakistan będzie w stanie przeprowadzić pierwszy podziemny wybuch jądrowy. Pomyśl... Bomba w rękach fanatycznych muzułmanów. Sęk w tym, że nasz świat staje

180

się cholernie niebezpiecznym miejscem. Każdy, kto opracuje parasol ochronny... jak ten, z którym zetknęliśmy się w T-55... zarobi olbrzymie pieniądze.

Leo spojrział twardo na kolegę. Choć Max mówił cicho jak zwykle, to jego szare oczy dziwnie lśniły.

— Nigdy nie rezygnujesz, co, Max? Myślałem, że doszliśmy do pewnych wniosków w samolocie. Nie mamy osobnika posiadającego niezwykle cechy, którym moglibyśmy manipulować. A tamta piłka od tenisa... O niczym jeszcze nie świadczy.

Max sięgnął do kieszeni i rozłożył list, który znaleźli w T-55. Zaczął czytać na głos: — „Droga Andy. Twój list doszedł przez Czerwony Półksiężyc. Z uwagi na bombardowania szedł bardzo długo, trzy tygodnie. Nie mogę napisać, gdzie teraz jestem, ale cieszę się bardzo, że się do mnie odezwałaś. Potrafię teraz wywoływać grom, tak jak mi pokazywałaś, i wciąż pamiętam sztuczki z piłkami tenisowymi. Znów zaczyna się ostrzał, więc dokończę list jutro...” — Max starannie złożył papier i schował do kieszeni — „Potrafię teraz wywoływać grom, tak jak mi pokazywałaś” — powtórzył. — Z pewnością mamy do czynienia z „sawantem”, Leo. Może ta Andy rzeczywiście pozostaje jeszcze poza naszym zasięgiem. Jednak prędzej czy później namierzemy ją.

Leo w złości zacisnął pięści.

— A jak już ją odnajdziemy, to wyobrażasz sobie, że przebadam ją, poddam eksperymentom, których, być może, nie przeżyje?

Max odpowiedział z niezmaconym uśmiechem:

— Znam cię dobrze, Leo. I wiem, co zrobisz.

ROZDZIAŁ 53

PÓŁNOCNY IRAK

Przedmieścia Tikritu nie różniły się specjalnie od istniejących w innych irackich miastach — niezliczone ceglany domki i sklepiki — za to było tu dziesięciokrotnie więcej niż gdzie indziej portretów Saddama Husajna. Na jednym z placów znajdował się ogromny pomnik przywódcy; pomnik wykuty przez prawdziwego artystę. Dzieło sztuki po prostu.

181

Dziwnym trafem kojarzyło się z gotyckimi monumentami w niegdysiejszej Trzeciej Rzeszy Hitlera.

Nuri łpał na pomnik kątem oka, gdy Khalid objeżdżał plac. Tu, w tym mieście, Saddam Husajn rozpoczął swą krwawą karierę. Gdyby alianci pojmovali mentalność Arabów, to ów plac wpisaliby na listę najważniejszych celów, przeznaczonych do zniszczenia. Fakt że bomby na Tikrit nie spadły, upewnił popleczników Saddama Husajna w tym, iż ich wódz jest niepokonany.

— Moglibyśmy to zniszczyć, Nuri — rzekł cicho Khalid, zmieniając biegi i zatrzymując się przed światłami.

Nuri popatrzył na kompana.

— Jasne, to proste — odparł ponuro. — Brakuje nam tylko dynamitu. No i zaraz potem zawisnęlibyśmy na stryczku.

— Nie... Ja mógłbym to zniszczyć — sprostował Khalid. — Tak jak tamtego człowieka.

— Skup się lepiej na prowadzeniu — odrzekł Nuri. Samochody ruszyły.

— Mógłbym, Nuri.

— Jak?

— Tak jak zabiłem tamtego, co nas śledził.

Nuri się zachnął. Rozmowy z Khalidem czasem były bez sensu.

— Przecież eksplodowała mu broń — zauważył.

— Nie — stwierdził Khalid. — To ja go zabiłem.

Nuri przebiegł pamięcią ciąg niezwykłych, szczęśliwych zdarzeń, począwszy od walk nad Zatoką do dziwnej śmierci agenta tajnej policji. I właściwie złapał się na tym, że nie wie, co o tym wszystkim myśleć.

Wyjechawszy z miasta obaj odprężyli się nieco. Kolejne znaki informowały, ile jeszcze kilometrów pozostało do Mosulu. Mosul to czwarte pod względem wielkości miasto Iraku. Zawsze znajdowało się tam wiele garnizonów. Dla Khalida i Nuriego liczyło się jednak przede wszystkim, iż Mosul leżał na południowej granicy Kurdystanu i zamieszkały był w większości przez ich ziomków.

Zatrzymali się przed tanim zajazdem, gdzie zjedli tłustą, pożywną potrawę z baraniny.

— Jeżeli wybieracie się na północ, to omijajcie Mosul — ostrzegł ich przy barze kierowca cysterny, który posłyszał kurdyjski akcent Nuriego. — Wszędzie panoszy się tam Gwardia Republikańska. Aresztują każdego

182

podejrzanego o sprzyjanie powstańcom. Pojedźcie szosą wzdłuż rurociągu na zachód od Baji, a po pięćdziesięciu kilometrach skręćcie na północ tuż przed wielką zaporą w Qaddissiya. To pustylna droga, ale w dobrym stanie.

Nuri ograniczył się do podziękowań za radę. Razem z Khalidem ruszyli na północ. Pod Baji Khalid zjechał z głównego traktu w boczną drogę, przebiegającą obok starego ropociągu Amman—Kirkuk.

Otoczenie zmieniło się wyraźnie. Widzieli teraz duże, nawodnione pola bawełny, pomiędzy którymi wyłaniały się czasami jałowe, żółtawe wzgórza. Całą tę krainę pokrywały niegdyś piaski, jednak pokolenia farmerów wyszarpywały pustyni kolejne połacie ziemi. Z tutejszej bawełny wyrabiano muślin — cienką, drogą tkaninę, której nazwa pochodzi właśnie od lokalnego ośrodka miejskiego: od Mosulu.

Z kolejnymi kilometrami jakość drogi wyraźnie się pogarszała. Khalid, ulegając słowom Nuriego, zmniejszył nieco prędkość. Grunt wznosił się i stawał się coraz bardziej jałowy. Mijane wsie wyglądały biedniej. Plantacje bawełny ustępowały poletkom pszenicy i innych zbóż.

Znajdowali się teraz blisko granicy syryjskiej. Droga przestała się więc, przecinając obecnie pole lichego prosa. Khalid wyciągnął przed siebie rękę.

— Patrz, Nuri — powiedział podekscytowany.

Musiałoby być coś niezwykłego w dwóch nastolatkach, gdyż Khalid zwolnił, wyprzedzając ich pstrokaty wóz, zaprzężony w osły, obładowany ziemniakami. Obie miały na sobie inne stroje, niepodobne do arabskich, dopasowane do dziewczęcych figur. Ubiory te przypominały raczej długie, zachodnie suknie.

Dziewczęta były Kurdyjkami.

Obie były wysokie i dumne, chociaż młodsza uśmiechnęła się do przejeżdżających. Wietrzyk przyciskał cienki materiał ich sukni do piersi. Starsza dzierżyła lejce.

Patrzyła przed siebie, udając że nie zwraca uwagi na spojrzenia podróżnych.

— Jesteśmy w domu, Nuri! — zawołał Khalid z uniesieniem, tłukąc pięścią w kierownicę.

— Jedź dalej — stwierdził sucho Nuri, nie chcąc dać poznać po sobie, że i jemu widok tych dziewcząt przyniósł jakąś ulgę.

Powoli zapadał zmierzch.

183

Gdy zbliżyli się do skraju wzgórza, Nuri nakazał nagle Khalidowi przystanąć.

— Zgaś silnik! — rzucił opuszczając boczną szybę.

Khalid spełnił polecenie. Obaj zaczęli nasłuchiwać. I obaj usłyszeli przytłumiony łoskot łopat helikoptera i daleki huk wystrzałów.

— Wjedź pod te drzewa! — syknął Nuri.

Khalid zjechał z drogi i zatrzymał wóz pod rozłożystymi, częściowo uschniętymi gałęziami w opustoszałym gaju migdałowym. Nuri wysiadł i zaczął się wpatrywać w szarzące niebo.

Uschnięte drzewa nie dawały należytej osłony. Załoga śmigłowca przeczesującego teren wypatrzyłaby ich bluebirda natychmiast. Nuri wyciągnął Khalida zza kierownicy.

— Chodź! Musimy zostawić wóz!

Wbiegli w głąb gaju, gdzie, na skraju prawie wyschniętego nawadniającego kanału, wypatrzyli gęste trzciny rosnące w wilgotnym podłożu. Schowali się tam i Nuri wtedy odetchnął z ulgą.

— I co teraz zrobimy? — spytał szeptem Khalid.

— Poczekamy, aż helikopter odleci — odpowiedział Nuri i wyciągnął z kieszeni mapę samochodową. Z tego, co się zorientował, znajdowali się dwa kilometry od wsi Afan. Tam zamierzał poszukać noclegu.

Dźwięk turbin niewidocznego śmigłowca stawał się coraz donośniej-szy. Maszyna musiała lecieć bardzo nisko — lecz Nuri nie miał odwagi wychylać głowy z trzcin. Przez krótką chwilę sądził nawet, że helikopter przemknie tuż nad ich głowami. Śmigłowiec zawisł jednak tylko nieruchomo w powietrzu, a potem skierował się ku drodze, którą wcześniej jechali Nuri i Khalid.

— Tamte dziewczęta! — krzyknął Khalid. — Zobaczyli tamte dziewczęta! — Chciał wstać i wyrzec, ale Nuri schwycił go za nogi i pociągnął na ziemię.

— Zostajemy tutaj!

— Ale tamte dziewczyny! Musimy im pomóc!

— Zostaniemy w ukryciu! — wycedził Nuri, przytrzymując Khalida. — Oni nic im nie zrobią.

A jednak ci ze śmigłowca wyraźnie się czymś zainteresowali. Dźwięk wirnika przycichł, jakby maszyna usiadła na ziemi. Po paru minutach Nuriemu zdało się, że słyszy krzyk — chociaż nie był tego pewien. Khalid usłyszał to również i jęknął gardłowo, ale nie próbował już się wyrwać. Po upływie kwadransa rozległy się strzały z broni automatycznej.

184

— Nie! — odezwał się Khalid płacząc. — Nie! Nie! Nie! Kolejna seria.

Po chwili powietrze znowu wypełnił huk wirnika i helikopter skierował się ku Afan. Dźwięk cichł stopniowo, wreszcie umilkł. Nuri domyślił się, że śmigłowiec wylądował we wsi. Panował zmrok. Nuri dał Khalidowi znak, by ten szedł za nim. Obaj wydostali się z kryjówki i pospieszyli skrajem kanału. Kiedy rozpoczęła się strzelanina, przyłgnęli do zbocza wzgórze. Dwa kilometry przed nimi znajdowała się niewielka wioska o nazwie Afan. Kilka gospodarstw na krzyż. Tam też bez wątplenia mieszkaly obie kurdyjskie dziewczyny. Ze stoku wzgórze Nuri i Khalid wyraźnie widzieli osadę. Jej budynki skąpane były w świetle halogenowego reflektora śmigłowca, który stał nie opodal. Łopaty wirnika wzniosły w powietrze tumany kurzu, w półmroku przypominającego dym.

Strzelanina ustała. Wirnik helikoptera nabierał stopniowo obrotów. Maszyna oderwała się od podłoża. Na ziemi podobna do ducha postać zdawała się szukać schronienia przed tumanami kurzu. U wylotu lufy działka na dziobie helikoptera ukazał się ogień i postać znieruchomiawszy osunęła się na piasek. Śmigłowiec zawisł na wysokości trzystu metrów. Jego sylwetka była teraz widoczna na tle czerwonej poświaty na zachodzie.

Nuri zaklął i powiedział:

— Francuski frelon!

W istocie była to maszyna innego typu, ale cóż to miało za znaczenie? Sprzęt ten należał teraz do Saddama Husajna, choć został zaprojektowany we Francji, nafaszerowany elektroniką w Szwajcarii i zaopatrzony w rakiety i działka w Anglii. Wszystko to odbyło się pod uprzejmą kuratelą Stanów Zjednoczonych. Śmigłowiec skierował się obecnie na wschód. Khalid próbował zerwać się na nogi, ale Nuri złapał towarzysza za kostkę i nie pozwolił wstać.

— Musimy im pomóc, Nuri!

— Nie wpadniemy tam przecież po ciemku. Poczekamy tutaj do rana.

— A może wrócić do samochodu?

— Jeżeli zostawili gdzieś żołnierzy z noktowizorami, to ciepło z silnika natychmiast nas zdradzi. Zanocujemy tutaj, a o świcie się rozejrzemy.

Z nastaniem nocy znacznie jednak spadła temperatura, wobec czego obaj dezserterzy z konieczności wrócili do bluebirda. We wnętrzu skryli się przynajmniej przez mroźnym wiatrem.

185

Nuriemu zdawało się, że będzie mógł zasnąć — budził się wielokrotnie i zerkał niespokojnie przez przednią szybę.

Chociaż sam przesłużył w wojsku wiele lat i brał w udział w licznych brutalnych ekspedycjach, to jednak bał się poranka — i tego, co zapewne zobaczą w Afan.

ROZDZIAŁ 54

POŁUDNIOWA ANGLIA Niedziela, 10 marca 1991

Grube, ważące chyba z kilogram wydanie „Sunday Timesa” wleciało przez szparę na listy w drzwiach i wylądowało z hukiem na podłodze, budząc Laurę. Dawnymi czasy niedzielne poranki, a także poranki innych dni tygodnia, spędzała wylegując się w łóżku. Rankami zwykle kochała się z Davidem; im więcej wypili na przyjęciu poprzedniego wieczora, tym namiętniej kochali się następnego dnia rano. Znowu zaczęły ją teraz nawiedzać słodkie, lecz zaprawione goryczą wspomnienia...

Nie! — powiedziała sobie twardo.

Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Wszelkie niedogodności traktowała jako pokutę za dawne grzechy. Początkowo z trudem znosiła surowy reżim, jaki sama sobie narzuciła, z latami jednak weszło to w krew... Narzuciła szlafrok na powypychaną piżamę, podniosła z posadzki gazetę i poszła do kuchni zaparzyć sobie herbatę.

Tam oniemiała na widok kwiatów w wazonie na kuchennym stole, o który stała oparta koperta. Drżącymi rękami otworzyła ją i wyjęła z niej laurkę.

SZCZĘŚLIWEGO DNIA MATKI DLA NAJMILEJSZEJ MAMY NA ŚFIECIE OD ANDRÉ NORMANVILLE.

Laura usiadła i parokrotnie przebiegła wzrokiem koślawe, drukowane litery nabazgrane czerwonym mazakiem.

Podstawa każdej była nienaturalnie równa, jakby pisała od linijki — czego niegdyś próbowała ją nauczyć Laura. Laura czuła, jak wzruszenie ściska jej gardło. André zrobiła tak niewiele błędów, a swoje trudne nazwisko napisała całkowicie poprawnie. Pierwszy raz jej córka skreśliła coś bez pomocy. Listy do Khalida pisywały razem i zwykle zabierało to

186

cały wieczór. Może tym razem pomógł André ktoś w szkole? Nie... Andy nigdy nie potrafiła uknuć takiej intrygi, nie potrafiła planować. A jednak... Te kwiaty...? Skąd wzięła na nie pieniądze? Może odkładała sobie z kieszonkowego, które dostawała co środę? Mimo wszystko oszczędzać znaczy myśleć planowo — a Laurze się zdawało, że Andy nie wie nawet, iż zbliża się Dzień Matki.

Laura schowała twarz w dłoniach i wybuchła płaczem.

Nie wiedziała, dlaczego płacze — czy z radości z powodu laurki, czy też dlatego, że André nieuchronnie się zmieniała. André musiała przecież znaleźć w książce telefonicznej numer do kwiaciarni i zamówić je; uzgodnić dostarczenie ich o konkretnej porze. A co więcej: ułożyć je pięknie w wazonie, napisać laurkę i zakraść się do kuchni, póki matka jeszcze spała. Innymi słowy — szybko się uczyła. Psycholog w szkole wspominał wprawdzie, że André się rozwija — to jednak nie były zwyczajne postępy. Andy uczyniła olbrzymi krok naprzód. I wtedy napełniła Laurę strachem nagła myśl, która zaświtała jej w głowie.

Przypuśćmy, że André rozwija owe inne swoje zdolności? Co będzie, jak wkrótce zdarzy się kolejny dziwny „wypadek”? Kiedy ludzie dowiedzą się o mocy André i odbiorą ją jej, Laurze? Pomyślała, że musi odgrodzić córkę od społeczności. Inaczej Andy spędzi resztę życia pod kluczem, w pustym pokoju kiwając się bez słowa na stołku.

ROZDZIAŁ 55

W barze „Pod różą i koroną” w Salisbury panował tłok.

Harry Mathison dostrzegł Simmondsa siedzącego przy stoliku, na którym stała szklaneczka. Zaczaj się do niego przeciskać, niosąc w jednej dłoni piwo, a w drugiej teczkę.

— Dobry wieczór, panie Simmonds.

Max oderwał wzrok od „Sunday Telegraph” i uśmiechnął się.

— O, pan Mathison... Punktualny, co do minuty. To mnie utwierdza w przekonaniu, że jest pan solidną firmą.

— Za to mi pan płaci — odparł Harry siadając.

Pomyślał: Chryste, nic dziwnego, że tego zrzedę porzuciła żona.

— Proszę mi powiedzieć, czy pańska uprzejmość jest naturalna czy wyćwiczona przed lustrem?

187

Max zachnął się i dopił dzin z tonikiem.

— Zostańmy przy stwierdzeniu, że moje talenta nie liczą się przy pańskich kwalifikacjach. Z pańskiej informacji, jaką uzyskałem przez telefon wnioskuję, że idzie dobrze?

— Znaleźliśmy piętnaście budynków, na których widnieje napis, kończący się na „...ingham Court”.

— Wyśmienicie.

Harry otworzył teczkę i podał Maxowi dużą kopertę.

— Moi chłopcy wykonali fotografie większości frontonów... Przykro mi, ale musieli pracować w nocy.

— Po zakończeniu akcji będą mogli się wyspać — uciął Max. — No cóż, świetnie. Tylko tak dalej.

— Na odwrocie każdego ze zdjęć widnieje adres posesji.

— Ach tak — rzekł Max. — Jestem pod wrażeniem pańskiej daleko-wzroczości.

Harry zastanawiał się, czy jego dziwny klient usiłuje być miły, czy też sobie kpi. Podejrzał, iż raczej to drugie. Powiedział:

— Budynki te znajdują się w centralnych dzielnicach Londynu. Kolejnych dziesięć zlokalizowaliśmy na obrzeżach miasta. Powinniśmy się z nimi uporać do jutra wieczorem.

Max wstał i wsunął kopertę pod ramię.

— Dziękuję, panie Mathison — rzekł. — Świetna robota. Zadzwoń jutro i umówimy się na spotkanie gdzieś w pobliżu pańskiego biura. Jadę na północ, więc mogę być z powrotem o dosyć późnej porze.

Harry tylko wzruszył ramionami.

— Przepraszam, ale teraz musimy się już pożegnać — powiedział Max. Wyszedł z baru, nie słysząc już za sobą, jak Harry Mathison wzdycha.

Max nie zostawił swego BMW na parkingu, tylko kilka przecznic dalej. Nie chciał, by ten prywatny detektyw wyjrzał przez okno i zanotował numery jego wozu — był niemal pewien, że Mathison ma dostęp do głównego komputera policyjnego. Jak zawsze, Max starał się myśleć o wszystkim z wyprzedzeniem.

Usadowiwszy się za kierownicą popatrzył, czy nie jest śledzony i raz jeszcze przejrzał zdjęcia. Na jedno z nich już wcześniej zwrócił szczególną uwagę, choć nie chciał się z tym zdradzać przed Mathisonem. Porównał zdjęcie numer trzy z fotografią rodziny Karni przed ich apartamentem

188

Max zachnął się i dopił dzin z tonikiem.

— Zostańmy przy stwierdzeniu, że moje talenta nie liczą się przy pańskich kwalifikacjach. Z pańskiej informacji, jaką uzyskałem przez telefon wnioskuję, że idzie dobrze?

— Znaleźliśmy piętnaście budynków, na których widnieje napis, kończący się na „...ingham Court”.

— Wyśmienicie.

Harry otworzył teczkę i podał Maxowi dużą kopertę.

— Moi chłopcy wykonali fotografie większości frontonów... Przykro mi, ale musieli pracować w nocy.

— Po zakończeniu akcji będą mogli się wyspać — uciął Max. — No cóż, świetnie. Tylko tak dalej.

— Na odwrocie każdego ze zdjęć widnieje adres posesji.

— Ach tak — rzekł Max. — Jestem pod wrażeniem pańskiej daleko-wzroczości.

Harry zastanawiał się, czy jego dziwny klient usiłuje być miły, czy też sobie kpi. Podejrzewał, iż raczej to drugie. Powiedział:

— Budynki te znajdują się w centralnych dzielnicach Londynu. Kolejnych dziesięć zlokalizowaliśmy na obrzeżach miasta. Powinniśmy się z nimi uporać do jutra wieczorem. Max wstał i wsunął kopertę pod ramię.

— Dziękuję, panie Mathison — rzekł. — Świetna robota. Zadzwoń jutro i umówimy się na spotkanie gdzieś w pobliżu pańskiego biura. Jadę na północ, więc mogę być z powrotem o dosyć późnej porze.

Harry tylko wzruszył ramionami.

— Przepraszam, ale teraz musimy się już pożegnać — powiedział Max. Wyszedł z baru, nie słysząc już za sobą, jak Harry Mathison wzdycha.

Max nie zostawił swego BMW na parkingu, tylko kilka przecznic dalej. Nie chciał, by ten prywatny detektyw wyjrzał przez okno i zanotował numery jego wozu — był niemal pewien, że Mathison ma dostęp do głównego komputera policyjnego. Jak zawsze, Max starał się myśleć o wszystkim z wyprzedzeniem.

Usadowiwszy się za kierownicą popatrzył, czy nie jest śledzony i raz jeszcze przejrzał zdjęcia. Na jedno z nich już wcześniej zwrócił szczególną uwagę, choć nie chciał się z tym zdradzać przed Mathisonem. Porównał zdjęcie numer trzy z fotografią rodziny Karni przed ich apartamentem

188

w Londynie. Nie miał już wątpliwości: identyczne wejście, taki sam trawnik, identyczny krój liter na napisie. Wszystko pasowało. Na zdjęciu wykonanym przez współpracowników Harry'ego Mathisona widniała pełna nazwa: TUSHINGHAM COURT. Odwrócił fotografię i przeczytał adres.

Max poczuł, że w końcu ma coś konkretnego. Był przekonany, że tajemnicza Andy, „savant”, który miał mu przynieść fortunę, wpadnie w jego sidła, nim skończy się ten tydzień.

ROZDZIAŁ 56 PÓLNOCNY IRAK

Osiólek wciąż jeszcze był zaprzęgnięty do pomalowanego na jaskrawe kolory wózka. Ze stoickim spokojem żuł liście sięgającej pasa kukurydzy, ignorując dwóch mężczyzn skradających się ostrożnie do niego.

Nigdzie nie było widać dziewcząt, ale ogromne zakole wydeptanego ścierniska i dwa pokosy połamanej kukurydzy promieniujące od środka koła w kształcie litery V pozwalały przypuszczać, co zaszło tu przed chwilą. Przynajmniej dwudziestu mężczyzn, którzy wysiedli z super-frelona ruszyło w siad za dziewczętami. Scenariusz wypisany na polu był tak jednoznaczny, że czytelny nawet dla Khalida.

— Nic tu po nas. Chodźmy do wioski — powiedział cicho Nuri.

— Nie, musimy je znaleźć — mimo zdecydowania w głosie Khalida pobrzmiwał strach.

— Przypuszczam, że zostały porwane. Były bardzo ładne.

— Przecież nie zawsze to robią, prawda, Nuri?

Nuri znał dobrze opowieści o kurdyjskich dziewczynach wciąganych do helikoptera, gwałconych zbiorowo podczas lotu i wyrzucanych z dużej wysokości. Kiedyś widział zmiażdżone szczątki jednej z ofiar, ale nie chciał wdawać się w dyskusje ze swym towarzyszem.

— Sprawdź tamtą stronę, ja pójdę tędy — powiedział Khalid, wyjątkowo przejmując inicjatywę. — Musimy to zrobić. — Zanim Nuri zdążył zaprotestować, młodszy mężczyzna oddalał się pasem wygniecionej kukurydzy, a wczesnoporanne słońce igrało w jego włosach.

189

Nuri ruszył wytyczonym szlakiem i przeszedł jakieś dwieście metrów. Tu trop nagle się urywał. Druga z dziewcząt musiała biec szybciej i dalej, bowiem Khalid nadal podążał przez łan zielonej kukurydzy.

Umysł ludzki, który zetknie się z czymś naprawdę przerażającym, zachowuje się w taki sposób, iż ci, którzy tego doświadczyli, nie mają ochoty opowiadać o tym zdarzeniu, by nie zostali uznani za istoty bez serca. Wzrok skupia się na najmniejszym drobiazgu sugerującym normalność. W przypadku Nuriego był to kos, który przycupnął na brzegu wydeptanego koła kukurydzy w poszukiwaniu robaków. Przeskakiwał z miejsca na miejsce, nasłuchując chwilę z przekrzywionym łebkiem nim wbił pracowity dziób w ziemię. Następną rzeczą była mozaika światła i cieni na łanie kukurydzy, utworzona przez wietrzyk, poranne słońce i przepływające chmury....

Błagam cię Boże — spraw by wszystko było normalne!

Jako nastolatek Nuri jadący z przyjacielem na motorowerze miał wypadek i wykatapultował przez przód maszyny. Pomimo złamanej kostki podniósł się na nogi i naprawił uszkodzenie — tak wielkie było jego pragnienie powrotu do normalności w obliczu katastrofy. Podczas przedłużającej się wojny z Iranem widział, jak jeden z żołnierzy próbuje wepchnąć z powrotem do brzucha rozlane wnętrzności współtowarzysza walki.

Nuri zmusił się, by spojrzeć znów na nagą dziewczynę. Leżała na plecach w groteskowo sprośnej pozie, a szeroko rozwarte nogi i martwe ciało tworzyły wykrzywioną literę T. Stwierdzenie, czy była to młodsza, czy też starsza z dwóch dziewcząt, było niemożliwe, ponieważ miała zmasakrowaną twarz. Jej piersi zostały niezdarnie obcięte, przypuszczalnie za pomocą bagnetu. Nuri wiedział dlaczego. Podczas kampanii Fao jeden z oficerów przechwalał się nieraz swych kapciuchem na tytoń — osobliwym brązowym woreczkiem, pomarszczonym i związanym u góry kawałkiem tasiemki.

— Kurdyjski cycek — mawiał z dumą, obracając woreczek na palcu, gdy ktoś pytał go, co to jest. — Sprawia, że tytoń jest świeży przez wiele tygodni. Jankesi robili takie podczas wojny z Indianami.

Tydzień później, podczas szczególnie zaciętej bitwy Nuri wykorzystał okazję i strzelił oficerowi w plecy.

Sekundy mijały, a on nie był w stanie się poruszyć.

Słońce oświetlało żałosne ciało dziewczyny, jej włosy łonowe zmatowiały od zakrzepłej spermy. Poniżej widniała plama zaschniętej krwi,

190

w miejscu gdzie żołnierz okaleczył ją próbując wyciąć łechtaczkę na pamiątkę.

Odwrócił się na dźwięk krzyku. Khalid biegł w jego stronę z twarzą zalaną łzami. Przyłgął do Nuriego, szlochając rozpaczliwie i wskazując palcem kierunek, z którego przyszedł.

— Ona wygląda jak Andy! — łkał z rozdzierającym smutkiem. — Tak bardzo przypomina mi Andy!

Zanim Nuri zdążył zapytać, co ma na myśli, Khalid zobaczył drugą dziewczynę. Jęknął i opadł na kolana u jej boku. Nie zwracając uwagi na potworne rany głowy, tulił pozbawiony życia kształt do piersi, kołysząc się w tył i w przód, a jego ciałem wstrząsał głęboki szloch. Patrząc na niego Nuri pomyślał, że biedna dziewczyna ma przynajmniej kogoś, kto ją oplakuje; wątpił, czy kogokolwiek z jej wioski zostawiono przy życiu.

ROZDZIAŁ 57 POŁUDNIOWA ANGLIA

W rzędzie pojazdów zaparkowanych wzdłuż barierki Komisji Leśnictwa stał escort detektywa sierżanta Barra. W pierwszym odruchu Laura miała ochotę zawrócić w kierunku głównej ulicy.

Zacisnęła palce na dłoni André. Zręczność w chronieniu córki wyostrzona niedawnymi zdarzeniami sprawiła, że uznała za bardziej rozsądne iść dalej. Większość z mieszkańców wioski Durston zdążyła odwiedzić miejsce, w którym leżał meteoryt, i jej brak zainteresowania mógłby zacząć budzić podejrzenia.

Ruszyły wzdłuż traktu. Chłodny wiatr ze wschodu poruszał rosnącymi nie opodal modrzewiami, jodłami i świerkami. Obie kobiety były ubrane, jakby wybierały się na spacer po polach.

Laura miała na sobie długą, znoszoną kraciastą kurtkę, André kożuszek. Podeszły do nowo postawionej bramy, w poprzek wąskiej drogi. Była otwarta, a tuż obok niej stał mały zielony domek na kółkach. W uchylonych drzwiach pojawił się Rob Jones.

— Dzień dobry, Lauro... Andy.

191

— Witaj, Rob. Chciałybyśmy zobaczyć miejsce upadku meteorytu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Żaden problem. Jestem tu po to, żeby przeganiać przyjezdnych. Wprost roi się tu od mądrali z uniwersytetów. Chciałbym, żeby wynieśli się stąd i żebyśmy mogli wziąć się wreszcie za robienie porządku. — Gestem dłoni zaprosił je do wejścia przez bramę. — To jakieś sto osiemdziesiąt metrów stąd. Trzymajcie się oznaczeń, kiedy dotrzecie na miejsce. Mrugnął okiem do André, ale odpowiedziała pustym spojrzeniem. Te zielone oczy zawsze przyprowadzały go o dreszcze.

Kobiety dotarły do miejsca, w którym André uciekła Dabberowi i Greaserowi w ubiegłą środę wieczorem.

— Czy to było tutaj, Andy? — zapytała niepotrzebnie Laura. Badając wzrokiem zniszczony las, starała się jak mogła nie okazać przerażenia.

— Tak. — W głosie André nie było strachu, jednak zaciśnięcie palców na dłoni Laury zdradzało wielkie napięcie. Może odczuwała teraz te same emocje co matka.

— Już dobrze Andy, kochanie nie masz się o co martwić.

Jednak miały się o co martwić. Zdjęcia, które Laura widziała w telewizji i gazetach, nie przygotowały jej na widok, jaki miała teraz przed sobą. Wyglądało to tak, jakby gigantyczna piła tarczowa runęła pośród sosny, zwalając je na ziemię, obdzierając z kory aż do surowej, białej miazgi i tworząc ogromną, paskudną wyrwę w ścianie lasu. Tereny leśne w tym rejonie uległy znacznym zniszczeniom w wyniku huraganu w początkach 1987 roku, jednak nie dało się tego porównać z tym, co obecnie oglądały. Polana była oświetlona przedwieczornym słońcem, które przedzierało się przez ołowiane chmury i zalewało plantację dziwnym, upiornym blaskiem.

Grupa młodych mężczyzn i kobiet pracowała na brzegu wyrwy, a w dalekim końcu terenu paru policjantów w zniszczonych ubraniach szukało czegoś pomiędzy leżącymi drzewami. Szeroka aleja zrytej ziemi biegnąca środkiem pokosu krzyżowała się z białymi wstążkami, tworząc kratkowany wzorek.

Brzegiem zdewastowanego terenu, pomiędzy ocalałymi drzewami, biegła wydeptana ścieżka oznakowana dwoma rzędami znaków drogowych w kształcie stożków i chorągiewek.

Kolorowe, plastikowe oznakowania łopotwały wesoło na wiosennym wietrzyku, jakby naigrawały się z rosnącego przerażenia Laury. Podeszły ścieżką do zajętej pracą grupy.

Studenci przekopywali jeden z oznaczonych chorągiewkami kwadratów

192

z pomocą gęstych sit i gumowego węża podłączonego do parszającej pompy motorowej. Z chwilą gdy błotnista maź i żwir zostały przepłukane przez sito, wąż przekazano drugiej

grupie, pierwsza zaś zajęła się zbieraniem zawartości sit. Małe, lśniące kawałki skały wrzucano do różnobarwnych pudełek oznaczonych numerami. Pomimo całego zamieszania i ciężkich warunków widać było, że studenci trzymają się ustalonej wcześniej procedury.

— Co robicie? — zawołała Laura do jednego z nich.

— Zbieramy tektyty — odpowiedział. Nakazano im być uprzejmym wobec miejscowej ludności.

— Tektyty?

Wyłowił lśniący kawałek skały wielkości piłki golfowej z jednego z pudeł i podał go Laurze. Przyjrzała mu się z ciekawością. Barwą i woskowatym, półmatowym połyskiem przypominał świeżo rozłupany krzemień.

— Zeszkłona glina — wyjaśnił. — Spaliła się w wysokiej temperaturze wydzielanej przez parujący meteoryt.

— To znaczy, że meteoryt przemienił glinę w szkło?

—: Z całą pewnością. Kiedy już zbierzemy wszystkie tektyty, będziemy mogli obliczyć ilość zużytej energii, a tym samym poznamy przybliżoną wielkość meteorytu w chwili rozpadu. Laura zaczęła liczyć napełnione pojemniki, ale szybko się poddała; były ich dziesiątki.

— Wygląda na to, że znaleźliście mnóstwo fragmentów — stwierdziła, mając nadzieję, że zachowuje się jak ciekawski, ale postronny obserwator.

— Jak dotąd jakieś cztery tony. Większość została już stąd zabrana. Te pojemniki to plon dzisiejszego dnia. Ostatnie obliczenia wykazują, że wybuch wyzwolił energię równą dziesięciu tonom TNT.

Laura wyciągnęła dłoń, by zwrócić skałę. Miała nadzieję, że student przypisze jej drzenie chłodnej pogodzie.

— Nie trzeba, proszę to zatrzymać — powiedział. — Jeden mały fragment nie będzie miał wpływu na wyniki obliczeń.

Laura podziękowała mu i wsunęła kawałek zeszkłonej skały do kieszeni kurtki. Gdy wracały tą samą ścieżką, zerknęła na policjantów przeszukujących ziemię między powalonymi drzewami i zauważyła wśród nich sierżanta Barra. Policjant także ją zauważył i gapił się na nią i André przez całą szerokość przecinki. Laura poprawiła uchwyt na dłoni córki i zmusiła się do beztroskiej paplaniny.

193

— Jak tylko dotrzemy do domu zadzwonię do firmy „Autobusy szkolne” i powiem, żeby podjechali po ciebie jutro rano o normalnej porze. Miejmy nadzieję, że automatyczna sekretarka działa. Pamiętasz, jakie miałyśmy problemy zimą, gdy wyłączyli prąd? Założysz tę niebieską sukienkę, którą kupiłam ci w Singapurze, czy chcesz zachować ją na szczególną okazję? Po namyśle uważam jednak, że jest jeszcze za chłodno na sukienkę, zostanmy przy spódnicy i swetrze przez najbliższe dwa tygodnie. Zastanawiam się, czy jednak nie wezmę wolnego do końca tygodnia i nie zrobię porządku w ogrodzie. To oznacza, że będę miała czas pichcić wszystkie twoje ulubione dania. To by było miłe, prawda kochanie?

Dochodziły do drogi głównej. Laura czuła wzrok policjanta wbijający się w jej plecy. Była jeszcze twarda bryłka w kieszeni kurtki, która uwierała ją w biodro — przerażające przypomnienie mocy, jakie posiadała André. Niebo przyciemniło się, kiedy ołowiana chmura zamknęła lukę, którą słońce znalazło dla siebie. Przenikliwy wschodni wiatr wzmógł się, zwiększając rosnące w Laurze przeczucie nieszczęścia; dłoń André wydawała się nienaturalnie zimna. Laura wiedziała, że to irracjonalne, ale ponure przesłanie nieba, wiatru i lodowatego uchwytu palców córki sugerowało, że najgorsze jeszcze przed nimi.

W dodatku zdawało się jej, że wiatr zaczął szeptać.

ROZDZIAŁ 58 PÓLNOČNY IRAK

Nuri mylił się, we wsi Afan pozostawiono przy życiu paru mieszkańców. Wszystkie sześć ocalałych osób było zmarszczonymi od przeżytych lat kobietami, zbitymi w stadko w końcu

stodoły. To właśnie przytłumiony, zawodzący płacz jednej z kobiet rozpaczającej nad ciałem męża zdradził ich kryjówkę.

Szlochały z przerażenia, kiedy Khalid otworzył rozsuwane drzwi, więc Nuri przemówił do nich szybko po kurdyjsku, by uspokoić ich obawy. Wpatrywały się w nieznajomych rozszerzonymi ze strachu oczami, ale żadna z nich nie odważyła się przemówić lub opuścić stodoły.

Kurczęta i kozły uciekały spod nóg mężczyzn, którzy szukali reszty mieszkańców wioski. Znaleźli ich w zadbanym kuchennym ogrodzie nowo-

194

czesnego, wzniesionego z kamienia bungalowu przypuszczalnie własności rodziny posiadacza ziemskiego. Około trzydziestu mężczyzn, kobiet i dzieci ustawiono pod ścianą i rozstrzelano. Nuri ostrożnie przewrócił na plecy zwłoki jednej z kobiet; muchy wzbijały się w powietrze kłębami protestując. Wiedział, czego się spodziewać, nawet zanim martwe oczy wpatrzyły się w niego; wepchnięto jej do ust genitalia paru współmieszkańców wsi.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w nią, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Gdzieś wysoko nad nimi skowronek umiał spokojne, czyste powietrze swą pieśnią. Kozą skubała nie opodal trawę z cichym, trzeszczącym dźwiękiem.

— Dlaczego, Nuri?

Nuri nie wiedział co odpowiedzieć. Khalid powtórzył pytanie.

— Nie znam odpowiedzi na to twoje głupie pytanie! — nagle wrzasnął Nuri. — Skąd mam wiedzieć, co dzieje się w ich głowach! Zapytaj tych, co to zrobili!

Nuri poczuł się bardzo spragniony. Podeszedł do pompy stojącej na środku wsi i nacisnął przełącznik. Nic nie zadziało. Oczywiście, te sukinsyny zniszczyli generator — zawsze tak robili. Była tam jednak zapasowa ręczna korbka. Nacisnął dźwignię parę razy i poczuł, że pompa zaskoczyła. Woda chlusnęła na podstawione dłonie.

— Nie! Nie pij tego! — polecenie wykrzyczano w języku kurdyjskim. Nuri podniósł wzrok. Jedna ze staruszek wyłoniła się ze stodoły.

Pokuśtykała w kierunku Nuriego, wspierając się na lasce, jej plecy były zgarbione i skrzywione od osteoporozy. Wskazała palcem betonową klapę wjazdu awaryjnego pompy, na której stał Nuri.

— Odsunęli ją i wrzucili tam jakiś proszek.

Nuri powąchał dłoń w miejscu, gdzie woda przeciekła mu przez palce. Nikły zapach przywodził na myśl obrazy z dzieciństwa, migdałowe ciasto, które matka zwykła piec. Studnia została zatruta cyjankiem potasu.

Pojawił się Khalid i zaczął wpatrywać się na przemian w swego towarzysza oraz w stojącą obok staruszkę.

— Nie pij tej wody — ostrzegł Nuri i dodał: — Przepraszam cię za swoje zachowanie.

Jednak jego wybuch został zapomniany i Khalid spytał:

— Co dolega tej wodzie, Nuri? — jego twarz była bledsza niż zazwyczaj.

195

Emanowało z niego napięcie gotowe wybuchnąć w każdej chwili.

— Jest zatruta.

— Będziemy musieli zostać tu przez pewien czas, Nuri. Trzeba im pomóc. Pochowamy zabitych i zadbamy o to, żeby kobiety miały co jeść. Musimy to zrobić.

Nuri milczał, wpatrując się w klapę studzienki. Gdy podniósł wzrok na przyjaciela, zobaczył w jego oczach łzy cierpienia. Przynajmniej ktoś jeszcze płacze nad losem tych ludzi. Jeśli zaś chodzi o niego, wydarzenia których był świadkiem tego dnia, odebrały mu siły do sprzeciwiania się i logicznego myślenia. W końcu skinał głową.

— Zostaniemy — zgodził się.

ROZDZIAŁ 59

BARNSLEY, PÓŁNOCNA ANGLIA Poniedziałek, 11 marca 1991 r

Główny inżynier firmy Dunlop, Slazenger, pogodny, pulchny człowiek, z Yorkshire, był tak dumny ze swej linii produkcyjnej, że gotów był oprowadzić gościa, pokazując każdy z kolejnych etapów. Jednak w odróżnieniu od większości zwiedzających ten starannie ubrany typek, który zadzwonił ni stąd, ni zowąd, zaproponował, że zapłaci za krótką wycieczkę oprowadzającą.

Zastanawiał się teraz, czy szeroki uśmiech pana Simmondsa został mu dany na stałe przy urodzeniu.

Produkcja piłek tenisowych nie wymagała zbyt zaawansowanej technologii. Kiedy już kitowata, powlekana gumą substancja została właściwie wymieszana, maszyna formująca kształtowała z niej półkule, które następnie łączono ze sobą pod prasą i jednocześnie napompowywano sprężonym powietrzem.

— Interesujące — zauważył Max, podczas tego postoju, mając nadzieję, że zwiedzanie dobiega końca. Prawdziwy powód wizyty znajdował się bowiem w aktówce.

W końcu piłki przechodziły przez zautomatyzowaną maszynę testującą, która sprawdzała ich wagę, stopień napompowania i sprężystości, a potem w procesie parowym czyszczono i czesano meszek, nadając

196

żółtym piłkom charakterystyczny, włochaty wygląd. Wreszcie były stemplowane znakiem firmowym Dunlop Fort i pakowane do próżniowych pojemników.

— To by było na tyle, panie Simmonds — powiedział inżynier — Ma pan jakieś pytania?

— Nawet kilka — odparł Max. — Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

Obaj mężczyźni weszli do małego biura. Max otworzył aktówkę i podał przez biurko inżynierowi wywróconą na lewą stronę piłkę uzyskaną od irackich jeńców wojennych.

— Co pan o tym sądzi? — zapytał Max. Inżynier obracał piłkę w palcach.

— Jest to wewnętrzna część piłki przed procesem... — Przerwał i zmarszczył czoło.

Przyglądał się wyraźnym liniom i dołkom wyżłobionym na powierzchni piłki. — Niech mnie szlag wymamrota! — Cholernie dziwne. Wyłowił lupę z szuflady biurka i zaczął uważnie badać piłkę.

Max czekał cierpliwie.

— Widzi pan te wyżłobienia i dołki, panie Simmonds? To kod znakowy dla danej partii wykonywany za pomocą matrycy. Dzięki temu wiemy, kiedy dana piłka została wyprodukowana, a także kto jest jej odbiorcą.

— Domyśliłem się, do czego służą — odparł Max.

— Jednak powinny znajdować się wewnątrz piłki. Chcąc sprawdzić reklamowaną piłkę, musimy przeciąć ją na pół.

— Myślę, że ta piłka tenisowa została wywrócona na lewą stronę — zauważył sucho Max. — Jest to prawdziwy powód mojej wizyty. Chcę, żeby powiedział mi pan, czy jest, czy też nie jest oryginalna.

Inżynier uśmiechnął się nagle.

— Wątpię. Staramy się produkować je właściwą stroną.

Uśmiech zgasł, kiedy coś przyszło mu do głowy. — Jeśli mówi pan poważnie, będę zmuszony rozciąć ją na pół.

— Proszę bardzo.

Inżynier znów sięgnął do szuflady i wy dobył skalpel. Max podciągnął krzesło bliżej biurka i przyglądał się uważnie, kiedy inżynier przycisnął piłkę mocno do biurka i zagłębił ostrze w gumę. Rozległ się cichy syk uchodzącego powietrza. — Z całą pewnością jest to rdzeń piłki

— mruknął inżynier. — Była łączona pod ciśnieniem.

197

żółtym piłkom charakterystyczny, włochaty wygląd. Wreszcie były stemplowane znakiem firmowym Dunlop Fort i pakowane do próżniowych pojemników.

— To by było na tyle, panie Simmonds — powiedział inżynier — Ma pan jakieś pytania?

— Nawet kilka — odparł Max. — Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

Obaj mężczyźni weszli do małego biura. Max otworzył aktówkę i podał przez biurko inżynierowi wywróconą na lewą stronę piłkę uzyskaną od irackich jeńców wojennych.

— Co pan o tym sądzi? — zapytał Max. Inżynier obracał piłkę w palcach.

— Jest to wewnętrzna część piłki przed procesem... — Przerwał i zmarszczył czoło.

Przyglądał się wyraźnym liniom i dołkom wyżłobionym na powierzchni piłki. — Niech mnie szlag wymamrotał. — Cholernie dziwne. Wyłowił lupę z szuflady biurka i zaczął uważnie badać piłkę.

Max czekał cierpliwie.

— Widzi pan te wyżłobienia i dołki, panie Simmonds? To kod znakowy dla danej partii wykonywany za pomocą matrycy. Dzięki temu wiemy, kiedy dana piłka została wyprodukowana, a także kto jest jej odbiorcą.

— Domyśliłem się, do czego służą — odparł Max.

— Jednak powinny znajdować się wewnątrz piłki. Chcąc sprawdzić reklamowaną piłkę, musimy przeciąć ją na pół.

— Myślę, że ta piłka tenisowa została wywrócona na lewą stronę — zauważył sucho Max. — Jest to prawdziwy powód mojej wizyty. Chcę, żeby powiedział mi pan, czy jest, czy też nie jest oryginalna.

Inżynier uśmiechnął się nagle.

— Wątpię. Staramy się produkować je właściwą stroną.

Uśmiech zgasł, kiedy coś przyszło mu do głowy. — Jeśli mówi pan poważnie, będę zmuszony rozciąć ją na pół.

— Proszę bardzo.

Inżynier znów sięgnął do szuflady i wy dobył skalpel. Max podciągnął krzesło bliżej biurka i przyglądał się uważnie, kiedy inżynier przycisnął piłkę mocno do biurka i zagłębił ostrze w gumę. Rozległ się cichy syk uchodzącego powietrza. — Z całą pewnością jest to rdzeń piłki — mruknął inżynier. — Była łączona pod ciśnieniem.

197

Wepchnął ostrze w głąb powlekanej gumą ścianki i używając skalpela niby piły wyciął małe kółko, które wypadło na biurko. Uwolniony od ciśnienia piłki, miseczkowaty dysk odzyskał oryginalny kształt, tak że żółty meszek znajdował się teraz na zewnątrz.

— Jasna cholera — zaklął pod nosem inżynier, wziął do ręki dysk i zaczął go uważnie oglądać.

— Rozumiem z tego, że piłka jest oryginalna? — Na zewnątrz Max starał się utrzymać swój normalny, lodowaty spokój, ale wewnątrz wręcz kipiał z podniecenia.

Inżynier nie odpowiadał przez chwilę. Zmienił kąt padania światła lampki biurowej, zajrzał do środka piłki i obmacał wnętrze otworu czubkiem małego palca. Ta pobieżna inspekcja zdawała się mu wystarczyć.

— Skąd pan to ma, panie Simmonds?

— Z tej fabryki, śmiem twierdzić.

Mmmmmm Inżynier skorzystał ze szkła powiększającego, by zbadać krążek. Zmierzył meszek, drapiąc go paznokciem kciuka.

— Pokrywamy nasze piłki specjalną tkaniną, której zawdzięczają swą wyjątkową jakość. Wątek tkacki to mieszanka wełny i nylonu, a nitki przeciągnięte podłużnie są z bawełny.

Proszę spojrzeć — podał gościowi piłkę i szkło powiększające.

Max wsparł się na łokciach i zbadał krążek pod lampą. Natychmiast zauważył różnice w strukturze i gatunku wątku i osnowy.

— Uważa pan, że jest oryginalna?
— Nie mam najmniejszych wątpliwości, panie Simmonds.
— Czy istnieje możliwość wyprodukowania podróbki, z zastosowaniem oryginalnych surowców Dunlopa?
— Wykluczone — inżynier spojrział na swego gościa. — To nie jest pierwszy raz, gdy zwracają nam takie piłki.
Uprzejmy uśmiech Maxa ani trochę się nie zmienił.
— Bardzo interesujące. Proszę powiedzieć mi coś więcej.
— Panie Simmonds, pan powie mi, jak wszedł w posiadanie tej piłki, ja zaś powiem panu wszystko, co wiem. Umowa stoi?
— Jak najbardziej — powiedział Max, nie widząc powodu, dla którego nie miałby powiedzieć prawdy. — Dopiero co wróciłem ze Środkowego Wschodu. Otrzymałem ją od pewnego Araba w zamian za parę papierosów.

198

Zapadła cisza, podczas której inżynier wziął do ręki piłkę i jeszcze raz ją obejrzał.
— Szczerze mówiąc, nie widziałem dotąd czegoś takiego — przyznał — i nie wstydę się powiedzieć, że nawet teraz nie mogę uwierzyć własnym oczom. Jednak mój poprzednik opowiadał mi o tym, że kiedyś przyniesiono mu identyczną piłkę z prośbą o potwierdzenie jej autentyczności. To musiało być jakieś pięć czy sześć lat temu. Pracuję tu od trzech lat.
— Gdzie jest teraz pański poprzednik?
— Zmarł w ubiegłym roku.
— Więc co pan może wyczytać z tych kodów znakowych? — nalegał Max.
Inżynier obejrzał dokładnie rowki i dołki na zewnętrznej powierzchni piłki i nabazgrał parę liczb. Zadzwoił pod wewnętrzny numer, podyktował komuś zapisane liczby i poprosił o zidentyfikowanie danej partii. Czekał bębniąc palcami i wpatrując się w dziwną piłkę na biurku. Osoba, do której dzwonił, podała mu żądane informacje.
— Dobra, w porządku. Czy wiemy, kto złożył zamówienie...? Dobra, w porządku. Na razie.
— Odłożył słuchawkę i spojrział wprost na swego gościa. — Nie wiem, czy pomoże to panu, ale numer serii zdecydowanie należy do nas. Ta piłka była częścią zamówienia eksportowego sprzed trzech lat. <

— Dokąd została wyeksportowana?
— Odbiorcą przesyłki był hurtownik z Bagdadu.

ROZDZIAŁ 60 PÓLNOCA ANGLIA

— Daj spokój Lindo — protestował Lloyd przez telefon. — Jesteś ostatnią osobą, po której spodziewałbym się tak absurdalnego podejścia.
— Nie mogę tego zrobić, Lloyd. Regulamin stowarzyszenia jest bardzo surowy. Nie wolno mi podawać nazwisk i adresów.
— Dostarczyłaś mi mnóstwo informacji, kiedy pisałem artykuł o autystycznych dzieciach — zauważył Lloyd.
— Tylko dlatego, że rada wyraziła zgodę na twoją wizytę — odparowała sekretarka. — Zresztą ta dziewczynka....

199

— André Normanville.
— André Normanville. Istnieje możliwość, że jej rodzice nie są członkami naszego stowarzyszenia. Zaledwie sześćdziesiąt procent autystycznych dzieci jest zarejestrowanych u nas.
— Jej matka pochodzi z klasy średniej, a sama mi powiedziała, że większość rodziców z klasy średniej jest waszymi członkami. Zgadza się?
— Zgadza — przyznała Linda. — Ale i tak nie wolno mi podawać adresów.
— Nie chcę adresów, Lindo, tylko ten jeden adres. André Normanville.

— Nie.

— Wiem, gniewasz się na mnie, ponieważ nie pokazałem ci, jakim potrafię być niegrzecznym chłopcem po tamtej kolacji?

Linda roześmiała się.

— Gniewałabym się, gdybyś choćby próbował pokazać. Lloyd zmienił taktykę.

— W jaki sposób mam więc zwrócić tej małej książeczkę do malowania?

— Jaką książeczkę do malowania?

— Książeczkę do malowania, którą zostawiła w samolocie — wybrnął gładko Lloyd. —

Wygląda na dość kosztowną. Zapelniona zaledwie w połowie. Chciałbym zwrócić ją dziewczynce. Już wiem. Podaj mi adres szkoły specjalnej, do której uczęszcza, prześlę ją do sekretariatu z prośbą o przekazanie właścicielce. Co ty na to? Tylko nie mów mi, że przepisy zabraniają podawania nazw i adresów szkół specjalnych, bo i tak ci nie uwierzę.

— Nie zabraniają — powiedziała bez przekonania Linda.

— Błagam cię, Lindo! To bardzo piękna książka. Jestem pewien, że mała będzie zachwycona, gdy ją odzyska.

Nastąpiła krótka chwila wahania, po czym Linda skapitulowała.

— W porządku — powiedziała zrezygnowana.

— Więc jak się nazywa ta dziewczynka?

Lloyd powiedział jej, a potem przeliterował. Słyszał odległy stukot klawiatury komputera.

Potem zaległa cisza.

— Znalazłaś ją? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Nic nie mówię, ale jeśli prześlesz książkę na adres sekretariatu Szkoły Specjalnej Candice Webb, Billingshurst, Wschodni Sussex, istnieją wszelkie szanse, że zostanie zwrócona prawowitej właścicielce. Jedna

200

z najlepszych w naszym kraju. Wystarczy? Lloyd zapisał zdobytą informację.

— Lindo?

— Tak, wiem, kochasz mnie.

— Namiętnie — oznajmił z radością Lloyd, przesłał jej buziaka i odłożył słuchawkę.

Następny telefon był do Teda Prentice'a, któremu opowiedział o wizycie w studiu nagraniowym Rikkiego Steadmana i objaśnił techniki analiz cyfrowych stosowane do wyizolowania dźwięku grzmotu z nagrania na kasecie wideo.

— Ona naprawdę robiła grzmoty, Ted — podsumował Lloyd.

— Dźwięk był bardzo słaby i odległy, ale przewijał się przez całe twoje nagranie.

— Jestem zaintrygowany — przyznał psychiatra.

— Wyślę ci pocztą kopię nagrania Rika — kontynuował Lloyd.

— Powinieneś dostać ją jutro. Druga wiadomość jest taka, że odnalazłem André, to znaczy adres szkoły specjalnej, do której uczęszcza. Wybieram się tam teraz, żeby zobaczyć, czy matka odbiera ją ze szkoły, a jeśli tak, to dowiem się, gdzie mieszka.

Prentice jęknął.

— Wytrwały z ciebie gość. Nie rozumiem, dlaczego nie pisujesz dla prasy brukowej.

— Ponieważ wciąż wpadam na takie żałosne marudy jak ty — odparował Lloyd. —

Będziemy w kontakcie.

Odwiesił słuchawkę i zaczął studiować dokładną mapę północnej Anglii. Flamastrem zakreślił nierówny, trzydziestokilometrowy promień wokół Billingshurst. Okręg obejmował paręnaście stref telefonicznych. Następnym krokiem powinno być sprawdzenie każdej strefy w biurze numerów i spisanie abonentów o nazwisku Normanville. Jednak to wymagało czasu, a on preferował działanie bezpośrednie.

Dochodziła godzina czternasta. Jeśli trafi na właściwe połączenie, powinien dotrzeć do Billingshurst w niecałą godzinę.

ROZDZIAŁ 61 PÓŁNOCNY IRAK

W południe Nuri i Khalid zakończyli upiorną pracę rozpoczętą poprzedniego dnia. Po bezsennej nocy w jednej z opustoszałych nagle chat zupełnie opadli z sił, mimo to harowali nieprzerwanie przez cały ranek, kopiąc głęboki dół na skraju polećka, które służyło wieśniakom za cmentarz.

Użyli traktora z przyczepą, by zwieźć wszystkie ciała z ogródka przy kuchni.

Nuri poszedł odszukać staruszkę, która ostrzegła go przed zatrutą wodą. Znalazł ją w stodole, gdzie razem z resztą ocalałych kobiet siedziała na twardym jak beton klepisku pijąc herbatę. Krąg bezwolnych, poznaczonych zmarszczkami i obramowanych chustkami twarzy przyglądał mu się, kiedy szedł w kierunku kobiety.

— Przygotowaliśmy już wszystko do pochówku — powiedział. Przymknęła i opuściła głowę.

— Chcemy ułożyć mężów obok żon, dzieci z matkami. Potrzebujemy waszej pomocy.

Nuri pomógł staruszce podnieść się na nogi i odnalazł jej laskę. Wyszli na słońce. Dowiedział się, że ma na imię Sheena i że wioska została zaatakowana, ponieważ Irakijczycy spodziewali się tu znaleźć jednego z czołowych działaczy PKK, sądząc, że jest jej mieszkańcem.

Stara kobieta rozpoznawała jedno ciało po drugim. Dopiero gdy dotarli do ostatniego, zwłok mężczyzny koło pięćdziesiątki, załamała się. Jednak nawet wtedy jej płacz był bezgłośny — jakże inny od szaleńczego, przesywającego zawrota głowy z sąsiadek ze stodoły.

— Mój syn — powiedziała po prostu. Starła się znosić rozpacz z godnością, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Nuri pomógł jej spocząć na pieńku. Minął dłuższy czas, nim była w stanie przemówić. — Zabrali ich wszystkich do jego domu. Potem słyszałyśmy strzały.

— Ten nowoczesny bungalow? — zapytał Nuri i jednocześnie dał Khalidowi znak, by zaczął zapelniać dół.

Staruszka przytaknęła, patrząc na grudy suchej ziemi spadające na nieruchome kształty.

202

— Miał dobrą pracę w Bagdadzie i nie przyjeżdżał tu często. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy mamy się go spodziewać. Wiedzieli o tym — słyszałam rozmowę oficerów — ale nikt go nie wydał. — W jej głosie zabrzmiała nuta dumy. — Nikt. Więc zabili wszystkich.

— Ale ktoś musiał go zdradzić — powiedział Nuri. — W przeciwnym razie skąd by wiedzieli, kiedy mają przyjechać?

Pokręciła głową.

— Nie wiem. Byłam z synem i jego żoną przez cały wczorajszy dzień. Miał jedyny telefon w wiosce i nikt inny z niego nie korzystał. — Pomyślała przez chwilę, potem skinęła głową. — Zadzwoił do swoich przyjaciół, którzy mieszkają w Ankarze. Trzydzieści minut później nadleciał helikopter.

Podłuch telefoniczny, pomyślał Nuri. Sierżant łączności powiedział mu kiedyś, że mają sprzęt służący do monitorowania rozmów długodystansowych na liniach obsługujących kurdyjskie wioski. Należący do PKK syn staruszki powinien był o tym wiedzieć. Więc albo był głupcem, albo była to bardzo pilna rozmowa.

Nuri przykrył spracowane dłonie kobiety swoimi.

— Pomścimy twojego syna, Sheeno. Pomścimy ich wszystkich obiecuję ci to. — Nie była to zbyt żarliwa przysięga, ale nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Uśmiechnął się, patrząc w jej zmęczone wiekiem oczy. — A teraz muszę już iść pomóc przyjacielowi.

— Jeśli zamierzacie zostać tu na noc, zatrzymajcie się w domu mojego syna. Jest bardzo wygodny.

Nuri uśmiechnął się w podzięcie i pomógł jej wstać.

Mężczyźni skończyli wypełniać dół koło południa. Gasili pragnienie wodą znaną w beczce na deszczówkę, którą wprawdzie ugotowali, by zabić ławice wijących się larw moskitów. Po chwili obaj padli na wznak na ziemię, zmęczeni wysiłkiem, każdy mięsień ich ciała krzyczał.

— Czy teraz ruszymy dalej? — zapytał Khalid.

— Po tym wszystkim powinieneś przyłączyć się do PKK, nie do swoich rodziców.

— Tak, ale wprawdzie musimy pomóc tym ludziom, Nuri. Musimy zostać tu i wykopać im studnię.

Nuri zamknął oczy przed perspektywą ponownego kopania — jednak szybko uświadomił sobie bezsens dalszej podróży w obecnym stanie

203

zmęczenia. Dobry posiłek — w wiejskim sklepiku było mnóstwo jarzyn, i noc przespana w wygodnych łóżkach powinny zdziałać cuda i podnieść ich na duchu. Podobnie jak kąpiel i zmiana ubrań, zwłaszcza po pracy, jaką wykonali tego dnia. Postanowił sprawdzić dom, z którego Sheena pozwoliła im skorzystać, i z wysiłkiem podniósł się na nogi. Stuknął Khalida nogą, ale ten zasnął twardo.

Nuri wszedł do bungalowu, który ku jego zaskoczeniu nie został przeszukany i przewrócony do góry nogami. Nawet telewizor i magnetowid, łakomy cel dla złodziei, stały na swoim miejscu. Oficerowie musieli mieć bardzo ważny powód, by nie zezwolić na płądrowanie tego domostwa.

Odpowiedź znajdowała się na małym stoliku w salonie. Nietknięty aparat telefoniczny.

Automatyczne urządzenia nagrywające Mukharabatu będą włączone, rzecz jasna z myślą o innych członkach PKK, którzy powrócą do wioski i zechcą się skontaktować telefonicznie ze swoimi towarzyszami w Turcji.

Nuri wyszarpnął sznur z gniazdka i roztrzaskał aparat o kamienny kominek. Zebrał kłębowisko kabli i kawałki plastiku, po czym wrzucił wszystko do skrzyni.

ROZDZIAŁ 62 PÓLNOCNA ANGLIA

Szkoła Specjalna Candice Webb okazała się dużym budynkiem z fasadą wykładaną piaskowcem, niecałe półtora kilometra na wschód od Billingshurst krętą autostradą A272. Niepewny, czy szkołę zamykają o 15 czy 15.30, Lloyd dociskał pedał gazu swego lotusa, pędząc drogą A29 i dotarł na miejsce o 14.50.

Zaparkował w pewnej odległości od ogrodzenia; niezbyt dogodny punkt, lecz uznał, że młody człowiek obserwujący uczniów i uczennice przez lornetkę powinien raczej zachowywać się dyskretnie.

O 2.55 zaczęły podjeżdżać samochody z kobietami za kierownicą. Znikały za zakrętem podjazdu na tyłach szkoły i pojawiały się po chwili z dziećmi w środku. Żaden nie należał do matki André. Stary, mający jakieś trzydzieści miejsc autobus, ozdobiony nazwą jednej z firm przewo-

204

zowych z Guildford minął punkt obserwacyjny Lloyda i zajechał pod wejście do szkoły.

Autobus szkolny? Że też był na tyle głupi i nie pomyślał

o tym. Nie mógł się zdecydować, czy powinien ruszyć za autobusem, czy też zostać na miejscu i poczekać na matkę dziewczynki. Oczywiście istniała też możliwość, że André nie podjęła jeszcze nauki w szkole.

Autokar pojawił się znów i zatrzymał się przy bramie wjazdowej, czekając na przerwę w ruchu ulicznym. Był pełen dokazujących dzieci. Lloyd starannie ustawił ostrość w lornetce, kiedy pojazd wysunął się naprzód, i przez chwilę, nim autobus ruszył w jego stronę, przez szybę mignęła mu znajoma twarz.

Rzucił lornetkę na siedzenie obok i ruszył w ślad za autobusem, zachowując jednak bezpieczną odległość.

W sposób typowy dla autobusów szkolnych pojazd poprowadził go w wesoły taniec po bocznych drogach Wschodniego Sussex i Surrey: Wisborough Green, Northchapel, Plaistow. Za każdym razem, gdy zatrzymywał się, by wysadzić dzieci, Lloyd zmniejszał prędkość i zostawał w tyle. Jednak André nie było pośród rozsiewanych przez autobus dzieci. Po trzydziestu dwóch kilometrach zaczęło wyglądać na to, że w autobusie nie ma już żadnego dziecka. Autobus przejechał granicę hrabstwa Sussex — chyba po raz dziesiąty, jak zdołał obliczyć Lloyd — i zgrzytając biegami sunął przez maleńkie miasteczko Durston. Durston?

Dlaczego ta nazwa wydawała mu się tak znajoma? Droga wyprostowała się i zdawała się przecinać na pół cienistą plantację Komisji Leśnictwa, której dochodowe, lecz wyjąławiające glebę sadzonki świerków i jodeł tłoczyły się na poboczu po obu stronach. Autokar przyspieszył

I Lloyd także. Był tak skupiony na tym, żeby go nie zgubić, że prawie nie zauważył dwóch umundurowanych policjantów ustawiających punkt kontroli pojazdów. Lloyd zaklął i wdepnął hamulec, kiedy autobus najwidoczniej nie stanowiący obiektu zainteresowania dla policjantów został przepuszczony i zniknął za wzniesieniem. Lloyd nie miał tyle szczęścia. Opuścił szybę i miał odpowiednio głupawy uśmiech na twarzy, gdy jeden z policjantów podszedł do niego.

— Mam nadzieję, że nie przysypiamy za kółkiem, sir?

— Panie funkcjonariuszu, w tym samochodzie nie sposób zasnąć. Policjant zlustrował wzrokiem samochód sportowy, szacując jego wartość.

205

— Jestem w stanie uwierzyć w to, sir.

Następny samochód został zatrzymany przez drugiego policjanta. Zatrzymał się za Lloydem.

— Często jeździ pan tą trasą, sir?

— Nie. Nie pamiętam, żebym już tędy kiedyś jechał.

— Czy przebywał pan w tym rejonie w zeszłą środę wieczorem, sir? Szóstego marca — dokładnie pięć dni temu.

— Nie, z całą pewnością nie.

Policjant podał Lloydowi ulotkę zatytułowaną „Czy widzieliście te osoby?“, zawierającą fotografie i rysopisy Dabbera Younga i Greasera Evansa. Na trzecim zdjęciu widniał kawasaki Z-1000, z widocznymi dwoma cyframi rejestracji.

— Ci dwaj motocykliści zniknęli w ubiegłą środę, sir — wyjaśnił policjant — Jeśli zobaczyłby pan ich lub ich motory, byłbym wdzięczny za telefon pod ten numer. Proszę nam wybaczyć, że musieliśmy pana zatrzymać.

Lloyd odjechał, gotując się ze złości. Kiedy oddalił się od punktu kontroli, wcisnął pedał gazu, ale autobusu nie było nigdzie widać. Objazd, do którego dotarł, zmniejszył i tak już nikłe szanse na odnalezienie go, więc postanowił wracać do domu.

Nagle wpadła mu do głowy pewna myśl. Nie miał pojęcia dlaczego, ale jakaś część podświadomości podpowiadała mu, że to ma jakiś związek z kawałkiem układanki, który znajdował się poza jego zasięgiem, ale nie przestawał kusić. Zatrzymał się, zadzwonił do biura z przenośnego telefonu i poprosił Delię, by połączyła go z Garym Pepperem.

— Gary. Mówi Lloyd. Zrobiłeś już coś z tym meteorem, który spadł na ziemię w Sussex, w ubiegłym tygodniu?

— Powiedziałeś, żebym nie ruszał tego.

— Wiem, co powiedziałem, Gary. Jednak nie mam wątpliwości, że powęszyłeś trochę na własną rękę.

— Uniwersytet Londyński opublikuje raport wewnętrzny w przyszłym tygodniu.

— Gdzie dokładnie spadł?

— W Surrey.

— Tak, wiem, ty błźnie. Gdzie dokładnie w Surrey?

— Tuż obok miejsciny, która nazywa się Durston. Błagam, nie pytaj mnie, czy tam byłem, zaprzeczę wszystkiemu i powiem, że jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi.

206

Lloyd roześmiał się.

— Byłem pewien, że nazwa Durston kojarzy mi się z czymś. Jestem jakieś półtora kilometra od tej dziury. Za godzinę zacznie się ściemniać, więc będę wdzięczny za parę wskazówek.

Gary powiedział mu, jak dotrzeć na miejsce i dodał:

— Powiedz strażnikowi Komisji Leśnictwa, że pracujesz na uniwersytecie. Nie sprawdzają tego.

Lloyd podziękował mu i odłożył słuchawkę. Trzymając się wskazówek Gary'ego, bez trudu odnalazł metalową balustradę wiodącą w głąb lasu. Nie zauważył nikogo w pobliżu przyczepy stojącej przy bramie, więc wjechał do środka i zaparkował tuż za ciężarówką stojącą na brzegu ogromnego pokosu połamanych sosen.

Gasnące światło dzienne nie robiło wiele, by umniejszyć przerażające rozmiary katastrofy, która zdziesiątkowała rozległą plantację. Mężczyzna ubrany w zabłocone dzinsy i podkoszulek Garfielda z napisem „Nie lubię poniedziałków” stał oparty o ciężarówkę.

Kończył rozmowę przez radiostację służbową, kiedy Lloyd doszedł do niego. Pokazał legitymację prasową i przedstawił się.

— Gordon Walters — powiedział wesoło właściciel podkoszulka, ściskając dłoń Lloyda. — Zawsze gotowy pogadać z ludźmi z „Science UK”. Zarządzam tym wszystkim i zaczynam żałować, że tak jest.

— Dlaczego to? — zapytał Lloyd, zerkając na grupę ludzi pracujących w dalekim końcu połaci powalonych i wyrwanych z korzeniami drzew. — Zdawało mi się, że wielu da sobie obciążać prawą rękę za możliwość badania miejsca uderzenia dużego meteorytu.

— Z całą pewnością poszedłbym na to, gdybym tylko miał pewność, że jest to miejsce uderzenia lub rozpadu komety — przyznał smętnie profesor Walters. — Jednak zaczynamy mieć poważne wątpliwości. Teoria o zderzeniu meteoru została odrzucona, ponieważ nie ma krateru i nie zarejestrowano niezwykłych wstrząsów sejsmicznych w ubiegłą środę. Teoria o rozpadzie cząstkowym komety też zaczyna już padać, ponieważ zniszczenia są zbyt skupione, a żaden z teleskopów Earthwatch nie namierzył komety w pobliżu Ziemi. Jednak najbardziej zbija nas z tropu wysoka temperatura wyzwolona w chwili zderzenia czy też tego, czymkolwiek to było. Chce pan zobaczyć dzisiejszą kolekcję tektytów? — Nie czekając na odpowiedź, odłożył notatnik i wskazał dziesiątki plastikowych pojemników.

207

Lloyd wziął do ręki jeden z największych kawałków zeszkłonej gliny i zaczął go oglądać. Bryła została poddana działaniu tak wysokiej temperatury, że niemal przemieniła się w ceramikę.

— Stwierdziliście wzmożone objawy promieniowania?

— Dzięki Bogu, nie — powiedział profesor. — W przeciwnym razie wysunęlibyśmy teorię, że ktoś zrzucił tu własnoręcznie zrobioną bombkę wodorową. Ta myśl nie byłaby bardziej szalona niż niektóre z wysuwanych przez nas pomysłów.

— A która teoria jest najbardziej szalona?

— Jedna z moich.

— To znaczy? Profesor zawahał się.

— Niezobowiązująco?

— Niezobowiązująco — zgodził się Lloyd.

— Wszystkie dowody wskazują na to, że nie jest to miejsce, w którym coś wylądowało, lecz miejsce, z którego odleciało. I do tego opuściło tę cholerną planetę w pieprzonym pośpiechu.

— Czy przypuszcza pan, co to mogło być?

— Nie mam pojęcia. Najmniejszego.

Lloyd spędził tam kolejne dziesięć minut i odjechał, kiedy studenci zaczęli wsiadać do ciężarówki. Po dotarciu do głównej drogi oraz przejechaniu paru minut wypatrzył zapraszające światła zapyziałej przydrożnej kawiarni i uznał, że przydałaby mu się filiżanka kawy. Puby otwierano później, więc było to jedyne miejsce, w którym mógł posłuchać miejscowych plo teczek.

Jacko przecierał pokryte plastikiem blaty zniszczonych stołów obrzydliwą, cuchnącą pomyjami szmatą, kiedy Lloyd wszedł do dusznej, wyludnionej kafejki.

— Poproszę kawę i kanapkę z serem — zawołał Lloyd siadając przy stoliku o suchym blacie. Był zawiedziony brakiem gości.

Jacko burknął coś pod nosem i zajął się wycieraniem zaschniętego sosu z nakrętek napełnionych keczupem plastikowych pomidorów. Niepisane prawo tego przybytku stanowiło, że klienci podchodzili do wysokiego ołtarza syczącego, chromowanego ekspresu do herbaty, by złożyć zamówienie. Zniknął za kontuarem, zajął się czymś przez chwilę i pojawił się ponownie z kubkiem czarnej jak smoła kawy i ogromną kanapką. Te rozkosze kulinarne zostały rzucone na blat stolika tuż przed nosem Lloyda.

208

— Byłem w miejscu upadku meteoru — powiedział Lloyd i ugryzł mały kęs kanapki.

Zawartość była doskonałym przykładem kunsztu serowarstwa — kupowane w plasterkach, topione świństwo, które barwą, konsystencją i smakiem przypominało mydło.

Otworzył kanapkę i stwierdził, że masło, jeżeli to w ogóle było masłem, zostało naniesione przy użyciu pistoletu do malowania. — To musiał być straszny huk — w zesłą środę, zgadza się?

— Grzmotnęło jak cholera — zgodził się łaskawie Jacko, otwierając egzemplarz „Sun”. — Aż wybiło mi parę szyb. Kiedy dowiedzą się, czyja to sprawka, mogą być pewni, że wystawie im rachunek.

Lloyd skosztował łyk kawy i naprawdę był pod wrażeniem; obskurny przybytek, który podaje ersatz z czasów wojny, kawę na bazie cykorii, i pozostaje w interesie do roku 1991, to zaiste niewiarygodne wręcz osiągnięcie. Rozejrzał się po wykładanych boazerią ścianach. Pokryte tłuszczem plakaty coca coli, tizera i 7-Up z lat pięćdziesiątych przypuszczalnie były sporo warte, pod warunkiem że zostałyby wyczyszczone i zdjęte ze ścian za pomocą pary. Znacznie nowszy plakat przyklejony do ściany keczupem był powiększoną wersją policyjnej ulotki o zaginionych motocyklistach.

— Jaki dokładnie był ten huk?

— Jak to huk — mruknął Jacko, wpatrując się w dziewczynę z siódmej strony. Jaka tam z niej kobieta. Chuda jak diabli.

— Czy to był trzeszczący dźwięk, czy bardziej dudniący, jak na przykład grzmoty?

Jacko westchnął. Najwidoczniej miał do czynienia z kolejnym londyńskim dupkiem, który nie zamierzał dać mu spokoju.

Ostatnimi czasy kręciło się tu ich całe mnóstwo, przeszkadzali ludziom, zamawiając jedzenie i picie, narzekając na kawę i spieczone brzegi jaj, które im przyrządzał.

— To był dudniący dźwięk podobny do grzmotu, z tym tylko, że milkł znacznie wolniej niż grzmoty. Nadal było go wyraźnie słychać, kiedy wypadliśmy na dwór.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, Lloyd przypomniał sobie błyskawicę, która trafiła w boeinga 747 na Heathrow. Zupełnie jakby zaprzeczający logice kawałek układanki wpasował się niespodziewanie i idealnie na swoje miejsce.

— Jest pan jednym z tych mądrali z uniwersytetu?

209

Lloyd zapewnił go, że nie jest. Kiedy odstawił kubek, uświadomił sobie, że jego dłoń drży.

— Cholerne, lalusiowate dupki. — warknął Jacko — Banda nie znających się na niczym nierobów. Byłem tam wczoraj. Widziałem, jak wydurniali się z tymi cholernymi sitami i pojemnikami. To przecież cholernie jasne, co się tam stało. Tak oczywiste, że powinno ugryźć ich w nos.

— Więc pańskim zdaniem, co się tam stało? Jacko wskazał palcem drogę.

— Łądowisko Dunsfold jest niecałe sześć i pół kilometra stąd. Harriery, myśliwce pionowego startu, hałasują nam tu przez cały dzień. Zgadza się?

— Zgadza — przyznał Lloyd.

— Jeden z nich rozbił się na terenie plantacji. Przymusowe lądowanie, ale trzymają to w tajemnicy, żeby uniknąć ciągów. Boją się opinii publicznej, jasne? Więc jadą tam, podreperowują maszynę i odlatują w cholerę, żeby uszło im to na sucho. Huk był słyszalny, kiedy harrier przekroczył barierę dźwięku. Jasne i proste.

— Proste — powtórzył Lloyd, pełen podziwu dla sposobu myślenia właściciela kawiarni. Jacko oparł ogorzałe przedramiona na kontuarze.

— Tego bałaganu nie spowodowało coś, co przybyło na to miejsce. W żadnym razie. To jasne jak cholera — spowodowało to coś, co odlatywało.

ROZDZIAŁ

63 PÓŁNOCNY IRAK

Słońce krwawoczerwone i opasłe zawisło nad wschodnimi wzgórzami, kiedy masowy pogrzeb dobiegł końca. Wysoka góra ziemi została wygładzona przez kłodę ciągniętą przez traktor w tę i z powrotem po długiej mogile. Z czasem wzgórek osiadzie i będzie można postawić nagrobki. Na razie trzydzieści pięć dusz powierzonych ziemi zostało zidentyfikowanych na kawałkach kamienia z jej lub jego imieniem wymalowanym przez starą kobietę.

210

Kanie przyciągnęły spojrzenie Khalida. Krążyły nad głowami przez większość dnia, zwabione zapachem krwi; obaj mężczyźni ignorowali je. Ale teraz ptaki wypatrzyły coś na południu. Opadały na ziemię, rozpościerały szeroko skrzydła, by stabilizować gwałtowny spadek.

— Dziewczęta — wyszeptał Khalid. — Zapomnieliśmy o nich!

— Jutro się nimi zajmiemy — odpowiedział Nuri. W tej chwili interesowało go tylko ugotowanie dania z ziemniaków i wczolganie się do dużego, podwójnego łóża w bungalowie.

— Musimy zrobić to teraz, Nuri. Skorzystamy z ich wózka. Jutro zaś zaczniemy kopać studnię.

— Przywieź je sam, jeśli masz tyle sił — jęknął.

— Błagam cię, Nuri. Musimy trzymać się razem. Nuri przytaknął.

— Dobra. Wobec tego ruszajmy.

Powrócili do wioski za godzinę, kiedy akurat zaczął zapadać zmierzch, prowadząc osiołka za uzdę. Śliczny wózek należał do dziewczyn; w pewien sposób wydawało się właściwe, że nie musiały dzielić go z nikim w swej ostatniej podróży.

Khalid wskazał dym unoszący się nad jedną z chat, kiedy zbliżyli się do małego skupiska domów. Sheena przykuśtykała do nich, zajrzała do wózka i zawołała coś przenikliwym głosem. W wejściu do stodoły pojawiła się kobieta. Zobaczywszy wózek, wydała z siebie przeciągły skowyt i mszyła biegiem. Widok ciał przerodził skowyt w przejmujący jęk żalu. Pomimo podeszłego wieku rzuciła się na ciała, tuląc je do siebie, wykrzykując pełen bólu smutek w kierunku pociemniałego nieba i bijąc się w piersi. Pozostałe kobiety wyłoniły się z chaty i stodoły. Kiedy zobaczyły wózek, padły na kolana z ramionami rozrzuconymi szeroko w błagalnym geście, dołączając swój udręczony lament do wieczornych gwiazd.

— To były jej wnuczki — powiedziała głucho Sheena. — Myślałyśmy, że zdołały uciec.

Tak jak wcześniej, łzy, które spływały po jej pomarszczonych policzkach, były bezgłośnie, ale niepohamowane i nie umniejszały jej wewnętrznej siły, która symbolizowała męstwo i hart ducha jej narodu.

ROZDZIAŁ 64

PÓŁNOCNA ANGLIA

Max był zmęczony po długiej podróży z fabryki Dunlopa, jednak nie na tyle, by zapomnieć o wpojonej ostrożności. Zaparkował swoje BMW w jednej z bocznych uliczek Swiss Cottage, z dala od świateł ulicznych, i przeszedł pozostałe czterysta metrów dzielące go od celu.

Tushingam Court było jednym z małych, typowych dla przedmieść budynków mieszkalnych, które rozmnożyły się w latach sześćdziesiątych, kiedy to firmy budowlane wpadły na pomysł zastępowania trzech lub czterech posiadłości w stylu króla Edwarda jedną, co wyglądało znacznie lepiej na arkuszu kalkulacyjnym. Zamożne sąsiedztwo, dobrze utrzymane w tej dzielnicy ogrody, jasno oświetlony parking i zamontowane kamery sugerowały, że każdy, kogo było stać na wynajęcie tu apartamentu, musiał być dobrze sytuowany. Znajdował się tam niewielki hall z tablicą domofonu, z której wynikało, że budynek mieścił szesnaście mieszkań na czterech piętrach. Max nacisnął guzik portiera. Pojawił się niski staruszek o potarganych, siwych włosach.

Max uśmiechnął się do niego i wyjaśnił, że szuka niejakiego pana al Karni.

— Będzie pan musiał długo czekać — powiedział portier, zręcznie chowając w dłoni dziesięciofuntowy banknot podany przez Maxa. — Irakijczycy. Kazali się nazywać Kurdami. Hamet al Kami i ich syn, Khalid. Miły dzieciak. Mili ludzie. Zostali wykopani z kraju gdzieś w początkach tego roku. Nie sprawiali żadnych kłopotów.

— W dzisiejszych czasach niełatwo znaleźć dobrych lokatorów — westchnął Max. Portier wzruszył ramionami.

— Mnie tam nic do tego. Zapłacili czynsz i świadczenia dodatkowe za rok z góry.

Max myślał szybko.

— Więc mieszkanie nadal jest wynajęte na ich nazwisko, panie...?

— Straw. Benny Straw. Stoi tak, jak je zostawili.

— Ach! To wyjaśnia wszystko, Benny. Żona odebrała telefon od pana al Karni, który prosił, bym podjął się wyceny jego obrazów. Była przekonana, że dzwoni ze swojego mieszkania. Powiedział, że nosi się

212

z zamiarem sprzedania ich. Czy istnieje możliwość, bym zajrzał na chwileczkę do tego mieszkania?

Benny miał zamiar powiedzieć, że to niemożliwe, ale dwa kolejne banknoty dziesięciofuntowe uczyniły to możliwym.

Zniknął w swoim mieszkaniu i powrócił z kompletem kluczy.

Max ruszył za nim na pierwsze piętro. Portier mocował się przez chwilę z nietypowymi zamkami apartamentu numer 11.

Były aż dwa: klasyczny zamek wpuszczany i hiszpański trójbrotowy na klucz kołkowy.

Kiedy portier wreszcie otworzył drzwi, Max zauważył, że są umocowane na pojedynczym, biegnącym przez całą długość drzwi zębatkowym zawiasie. Włamanie się do tego mieszkania graniczyło z niemożliwością. Z drugiej zaś strony dostanie się do służbówki Ben-ny'ego było dziecinnie proste, a z pewnością przechowywał tam zapasowe klucze do pustych mieszkań. Max wszedł do mieszkania. Było urządzone kosztownie, ale w sposób prosty. Domyślił się, że gobeliny i lśniące perskie dywany były warte więcej niż samo mieszkanie i z całą pewnością o wiele starsze. Pośrodku pokoju stał niski, okrągły, ręcznie wykonany stolik z mosiądzu, który zaczynał już tracić swój złotawy połysk z braku polerowania. Jedynym nowoczesnym sprzętem był długi regał, który mieścił telewizor oraz wieżę hi-fi i półki zastawione oprawionymi w ramki fotografiami rodzinnymi. W pozostałej części mieszkania

znajdowały się wspaniale wyposażona kuchenka, prosta łazienka i dwie skąpo urządzone sypialnie. Nigdzie nie było widać obrazów.

— Wygląda na to, że zabrali obrazy ze sobą — stwierdził Benny, gdy wracali do saloniku. Od kiedy przekroczyli próg mieszkania, ani na chwilę nie spuszczał oczu z Maxa.

— Na to wygląda — odparł Max. Nagle jego uwagę przyciągnęła oprawiona w srebrne ramki kolorowa fotografia wielkości pocztówki, zrobiona podczas dziecięcego przyjęcia, ale starannie ukrył zainteresowanie. Zdjęcie stało na jednej z półek regału. Wskazał przeciwległą ścianę. — Trzeba by paru dzieł starych mistrzów, by dorównać wartością tym gobelinom. Zanim zostaną wystawione na sprzedaż, dodaje im się parę lat przez przepędzanie po nich wielbłądów i kóz. Powąchaj go, a zrozumiesz, co mam na myśli.

Portier powąchał gobelin. — Śmierdzi stęchlizną.

213

— Właśnie po tym ocenia się autentyczność gobelinu — odpowiedział Max, wsuwając fotografię do kieszeni marynarki.

Podziękował wylewnie Benny'emu Strawowi i powrócił do samochodu. Przejechał kilometr i zatrzymał się, by obejrzeć zdobycz. Zdjęcie zrobiono na przyjęciu dla dzieci wydanym z okazji Święta Ofiary. Rozpoznał Khalida znanego mu ze zdjęć znalezionych w T-55. Na tej fotografii był starszy; Max ocenił go na siedemnaście lat. Jego matka, jasnowłosa jak syn, uśmiechała się łagodnie na drugim planie, ale uwagę Maxa przyciągnęły pozostałe dzieci. Z jednym wyjątkiem wszystkie były roześmiane i wszystkie miały jasnożółte plakietki w kształcie uśmiechniętej twarzy ze swymi imionami wypisanymi na nich flamastrem.

Alan, Stacy, Khalid, Peter, Andy.

Andy była jedyną, która się nie śmiała. Znajdowała się najbliżej aparatu i wpatrywała się wprost w obiektyw.

Max wrzucił zdjęcie do schowka swego BMW razem z wywróconą na lewą stronę piłką tenisową.

Więc ta tajemnicza Andy była dziewczynką, do tego bardzo małą.

Interesujące.

Oczywiście, będzie musiał złożyć kolejną wizytę w Tushingam Court, by przeszukać mieszkanie, jednak tym razem bez czujnej obecności Benny'ego Strawa. Nie wątpił, że te szuflady są warte sprawdzenia.

Następnym miejscem postoju był pub przy Edgware Road, gdzie Harry Mathison wręczył mu komplet fotografii. Oczywiście zamówiono małego czerwonego śledzia.

— Doskonale, panie Mathison — powiedział Max, wpatrując się z entuzjazmem w zdjęcie bliżej nie określonego budynku w Roehampton.

— To z całą pewnością jest dom, w którym moja żona się puszcza. Wykonał pan świetną robotę.

— Musimy jeszcze rozliczyć należność wypłaconą mi przez pana

— powiedział Harry Mathison. — Więc jeśli poda mi pan swój adres....

— Proszę postawić swoim pracownikom drinka lub wpłacić nadwyżkę na fundusz emerytalny podstarzałych prywatnych detektywów, czy też wydać, jak pan tylko zechce — powiedział hojny Max. — Dziękuję panu, panie Mathison. Jestem bardzo zadowolony z pańskich usług. Godzinę później Max podążał na południowy wschód autostradą M30, zmęczony, lecz zadowolony z siebie. Powodzenie całodziennych, żmudnych poszukiwań natchnęło go nową nadzieją.

214

To kwestia paru dni, nim on i Leo odnajdą Andy i określą zasięg jej niespotykanych zdolności. A wtedy będą mogli je wykorzystać.

ROZDZIAŁ 65

Wtorek, 12 marca 1991

Dziesięć minut spędzonych w stymulatorze lotów Cybemetu nie zdołało wpłynąć na niezdrową bladość Stephena Ramseya. Wręcz przeciwnie, przeżycie to widocznie dodało podstarzałowemu słudze publicznemu dobre pięć lat.

— Niewiarygodne — wymamrotał drżącym głosem do asystenta, który odsunął ekran i pomógł mu wysiąść. Max, siedzący za konsolą kontrolną, powstrzymał się przed wybuchem śmiechu na widok stanu, w jakim znajdował się jego gość, i przesunął się, by zrobić mu miejsce na jednym z wolnych krzeseł stojących przy szerokim biurku.

— Dziewięćset węzłów, cel zniszczony, atakujący samolot bezpieczny — zaobserwował Max. Zwolnił asystenta i dodał, kiedy już zostali sami: — Jak to mówi reklama, docieramy do celu.

— Tak, no cóż, wciąż daleka droga przed nami, nim dotrzemy — zauważył kwaśno Ramsey.

— To jest naprawdę dobre, Max. Nie zamierzam ukrywać, że jestem pod wrażeniem.

— Więc nie przewiduje pan problemów z zaaprobowaniem planów prac na najbliższy kwartał?

— Absolutnie żadnych, Max.

— A na najbliższe dwa kwartały?

— Nowy rok rozrachunkowy? Tak — mamy pokrycie. Powinniśmy dać radę.

— Doskonale — powiedział rozpromieniony Max. — To oznacza, że możemy zatrudnić najlepszych naukowców do pracy nad tym projektem, zaś ja i Leo będziemy mogli zająć się całkowicie nowym przedsięwzięciem.

Ramsay wyglądał na zmartwionego.

— Nowe wydatki projektów R i D będą musiały przejść przez głosowanie, Max.

— Rozwazałem pokrycie kosztów z naszych własnych źródeł.

215

— Twoich źródeł, Max. Max zaśmiał się.

— Wybacz mi, Steve. Wciąż zapominam o tym, że jesteś wrażliwy na punkcie holdingu twojej żony w Radzie Doradczej Cybernetu... Powiedz, zastanawiałeś się kiedyś nad przejściem na wcześniejszą emeryturę?

Ostatnimi czasy Ramsay rzadko myślał o czymś innym. Przytaknął.

— Chciałbym przejść na emeryturę po skończeniu pięćdziesięciu pięciu lat — za pięć lat. Ale to spowoduje znaczny uszczerbek w moich dochodach.

— Ministerstwo Obrony straci świetnego dyrektora Wydziału Badań i Rozwoju Zaawansowanych Technologii Uzbrojenia — zauważył Max, obserwując reakcję Ramsaya, lecz tak, by ten tego nie zauważył.

— Co u licha chodzi ci po tej diabelsko cwanej głowie, Max?

— Co byś powiedział na to, że twój holding — poprawka, holding twojej żony — w naszej firmie będzie wart kilkanaście milionów za najbliższe pięć lat?

— Powiedziałbym, że oszalałeś.

— Oczywiście. A teraz pomyśl przez chwilę, Steve. Istnieje niewiarygodnie użyteczny wynalazek z dziedziny science fiction, zresztą od paru dziesiątków lat. Pamiętam go z czasów, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Wiesz, o czym mówię?

— Zabójczy promień? Max przytaknął.

— Przy ostatnich osiągnięciach w technologii laserów nie jest to takie niezwykle. Co jeszcze przychodzi ci do głowy?

Ramsay pomyślał, że ich rozmowa zaczyna graniczyć z absurdem, ale Max nie ustępował.

— No dobrze — powiedział Ramsay nie kryjąc irytacji. — Skoro upierasz się przy tych dziecięcych gierkach — pole siłowe.

Max uśmiechnął się.

— Bingo. Chroniąca, lecz niewidzialna zasłona, która zatrzyma nadlatujące rakiety, bomby, pociski — absolutnie wszystko. Bardzo użyteczny wynalazek — nie uważasz?

— Powróćmy do tego tematu w Roku Pańskim 2050, Max.

— Porozmawiajmy o tym tu i teraz — powiedział spokojnie Max. Urzędnik spojrział uważnie na Maxa. Zazwyczaj potrafił dojrzeć drwinę w jego szarych oczach, jednak nie tym razem. Chyba nie mówił poważnie?

216

— To chyba nie ma związku z fiaskiem projektu T-55?

— Ma ścisły związek. Posłuchaj uważnie, Steve.

Max mówił przez ponad pięć minut. Streścił teorię Leo na temat manipulowania „savantami” i o możliwości stworzenia sieci sztucznych systemów inteligencji, by zduplikować ich umiejętności, wykorzystując najnowsze techniki odwzorowania neuronów. — Pokazał gościowi piłkę tenisową i opowiedział o jej pochodzeniu, ale nie wspomniał słowem o próbach odnalezienia Andy.

— Zdziwiałające — powiedział Ramsay, zwracając Maxowi piłkę. — Jednak będziesz musiał znaleźć odpowiedniego „savanta”.

— Powiedzmy, że jesteśmy na tropie kogoś takiego i nie wnikajmy w ten temat.

— W naszym kraju?

— Bliżej, niż przypuszczasz — odpowiedział enigmatycznie Max. Wysoki urzędnik państwowy spojrział bacznie na swego gospodarza.

— Ty chyba mówisz poważnie, prawda?

— Mówimy tu o patencie, dzięki któremu twoje udziały w firmie będą warte nie miliony funtów, Steve, lecz miliardy. — Max przerwał

I uśmiechnął się szeroko na widok zszokowanego wyrazu twarzy swego gościa. — Myślę, że przesadziłeś grubo z rokiem 2050. Będziemy mieli opatentowany, działający system przed końcem 1997 roku, pod warunkiem że nie puścimy pary z ust, zaczniemy działać, i to działać bardzo szybko.

ROZDZIAŁ 66

Ted Prentice nie był zachwycony mieszkaniem Lloyda.

— Mieszkanie typowego yuppie — oświadczył, zerkając wojowniczo na lśniąca powierzchnię lakierowanych desek podłogowych. — Nie mógłbym żyć spokojnie, wiedząc, że tysiące dokerów straciło pracę, żebym mógł zamieszkać w zaadaptowanym magazynie.

— Wykonują pożyteczne funkcje społeczne, udostępniając małemu biznesowi tanie lokale — Lloyd odpowiedział mu z części przeznaczonej na kuchnię, gdzie przyrządzał lasagne w kuchence mikrofalowej.

— Jak na przykład kobieta, która ma tu przyjść?

— Tak. Dziękuję, że wpadł pan tak szybko po moim telefonie.

217

Prentice mruknął niezobowiązująco i obejrzał pożyczoną kasetę wideo. Była to klasyka gatunku science fiction, „Odyseja kosmiczna: 2001”.

— No cóż, skoro to był jedyny termin, w którym była wolna. Lubi pan oglądać tego typu bzdury?

Zazwyczaj Lloyd zacząłby bronić swego smaku w doborze filmów, ale teraz był skupiony na gotowaniu kolacji.

— W porządku, Ted. Przygotuj się na największe w twoim marnym, ograniczonym życiu, wydarzenie kulinarne roku. Gotowe.

Zasiedli przy stole pod oknem, skąd mogli obserwować mijające światła ruchu rzeczno-

— Mrożone jedzenie — powiedział Prentice, podejrzliwie grzebiąc widelcem w swojej porcji.

— Teraz nie jest już mrożone.

— Jedynym jedzeniem, które dobrze znosi pobyt w zamrażarce, są lody.

— To jest bardzo drogie lasagne z delikatesów dla smakoszy — wyjaśnił Lloyd napełniając kieliszki winem.

Psychiatra skosztował kęs i niechętnie przyznał, że danie rzeczywiście jest smaczne.

— Twój problem, Ted, polega na tym, że masz zbyt ograniczone poglądy, jak na swój wiek. To dość niebezpieczne w twoim fachu, gdzie co dzień przybywają nowe koncepcje i teorie. Prentice mruknął, skosztował wina i z zalem stwierdził, że mu smakuje.

— Z których najnowsza głosi, że twoja „savantka” ponosi odpowiedzialność za to, że meteor uderzył w ziemię w Surrey?

— Uniwersytet Londyński utrzymuje, że to nie był meteor. Ani też rozpad cząsteczkowy komety — odpowiedział Lloyd. — Prawdę mówiąc w ogóle nie wiedzą, co o tym myśleć.

— Widziałem w telewizji zniszczenia, jakie to poczyniło. Żaden „savant” nie mógłby tego zrobić. Naoglądałeś się zbyt wielu kiepskich filmów science fiction.

— Ale potrafia wyrzucić piłkę tenisową na drugą stronę — zauważył Lloyd.

— Tak, ale czy widzisz jakąś logikę w skoszeniu plantacji drzew?

— A czy jest jakaś logika w wywracaniu piłeczki tenisowej na lewą stronę? — odparował Lloyd.

218

— Tak, ponieważ jest to namacalny pokaz niemożliwego, które stało się możliwe. — Prentice zaczął się denerwować. — Zniszczenie lasu możesz przypisać przyczynom naturalnym, huraganom, meteorom lub kometom. Ale nie masz argumentów w przypadku piłeczki tenisowej, którą Khalid wyrzucił na drugą stronę. Ona istnieje naprawdę — jako wyzwanie dla logiki i zdrowego rozsądku. W przeciwieństwie do obalonych drzew.

— Spierasz się na gruncie skali, nie zaś pryncypiów — rzekł Lloyd, któremu dyskusja sprawiała przyjemność, ponieważ działała jako katalizator dla jego myśli. — Potrafisz zaakceptować wywróconą na lewą stronę piłeczkę, ale skoszonego lasu już nie. Twój sposób myślenia przywodzi mi na myśl opowieść o dziewczynie, która usprawiedliwiała fakt posiadania nieślubnego dziecka tym, że było to bardzo małe dziecko. Kiedy już raz zaczniesz łamać lub naginać ustalone prawa wszechświata, skala przestaje się liczyć. Zostały złamane i tylko to się liczy.

Nagle Prentice zaśmiał się. Wypite wino rozluźniło go.

— Rozumiem twój punkt widzenia, jednak uważam, że nie należy lekceważyć skali. Możesz wziąć piłeczkę do ręki, ale lasu nie weźmiesz.

— Zakładasz, że „savant” musi być w stanie zmieścić coś w dłoni, by móc tym manipulować?

— Wydawało mi się, że jest to oczywiste... — Prentice przerwał, jakby coś nagle wpadło mu do głowy. — Cholera — wymamrotał.

Lloyd spojrzął z zainteresowaniem na swego gościa. Widział, że psychiatra zмага się w myślach z koncepcją, do której nie potrafi dopasować racjonalnego wytłumaczenia.

— Masz problem ze swoją teorią? — zapytał Lloyd.

— Ogromny problem — przyznał niechętnie Prentice. Skończył posiłek i zrezygnował z dokładki. — Mogę zapalić? Pełno tu przeciągów, więc dym nie powinien ci przeszkadzać.

— Proszę bardzo.

Prentice nabił fajkę i zapalił. Czynności te dały mu czas na zebranie myśli.

— Odwrotnie, niż uważasz, nie jestem ograniczony w swych poglądach i potrafie przyznać się do błędu. W tym kraju żyje już jeden geniusz psychokinezy: Uri Geller — izraelski milioner. Zbił fortunę jako ekspert od rzadkich minerałów. Informuje firmy wydobywcze, gdzie mają kopać, by znaleźć, powiedzmy, kadm. Kopia i bingo — znajdują kadm.

Lloydowi zdawało się, że słyszał już gdzieś to nazwisko.

219

— Czy on jest „savantem”?

Prentice zaciągnął się głęboko dymem i pokręcił głową.

— Nie on. To błyskotliwy i uroczy człowiek. Zanim stał się jasnowidzem znajdującym pokłady rzadkich minerałów, wyrobił sobie nazwisko jeszcze w latach siedemdziesiątych,

gnąc na odległość łyżeczki. Mój stary przyjaciel, producent telewizji BBC, był zdecydowany zdemaskować Gellera jako oszusta — naprawdę zawiązał się na niego — wynajął człowieka, który wydmuchuje szkło, i poprosił, by umieścił srebrną łyżeczkę Mappin and Webb w szklanej rurce. Nawet sfilmował go przy pracy. Chcąc nagłośnić całą sprawę, zatrudnił strażnika firmy Securicor, by pilnował próbki przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, aż do chwili gdy program pojawi się na antenie.

— Uri Geller, wwieziony do studia na wózku, został poinformowany w uprzejmy, ale bardzo zdawkowy sposób, że są w posiadaniu łyżeczki, której nie zdoła zgiąć, w związku z czym program zostaje odwołany. Prezenter pokazał mu próbkę. Geller obejrzał ją potrząsnął parę razy i poprosił operatora kamery o zbliżenie. Szok, przerażenie, ogólna konsternacja i wybuch niepohamowanej radości ze strony zebranej w studiu publiczności, kiedy zbliżenia pokazały tę cholerną łyżeczkę zgiętą na pół. Kolejny wybuch radości, kiedy Geller zaproponował, że może ją wyprostować. Prezenter był zmuszony rozbić tę przeklętą próbkę na oczach milionów widzów. Ekspert firmy Mappin i Webb, którego ściągnęli do studia, potwierdził, iż z całą pewnością była to ta sama łyżeczka. Po tym zdarzeniu mój przyjaciel odszedł na emeryturę, przeniósł się na wieś, gdzie hoduje róże i rozmawia z nimi.

— Lloyd uśmiechnął się.

— Zaś Uri Geller nawet nie tknął tej łyżeczki?

— Zgadza się. Słyszałem, że po tym programie linie lotnicze odmawiały mu wstępu na pokład swoich samolotów, ponieważ obawiały się, że może zgnieść przewody paliwowe w śnie. Co zresztą było bardzo możliwe. Zmierzam do tego, że ludzie obdarzeni zdolnościami telekinetycznymi nie są czymś nieznanym, aczkolwiek są rzadkością. Może ma to jakiś związek z bajerem w strukturze mózgu — ktoś to może wiedzieć.

— Bajerem — skomentował Lloyd. — Oto fachowe określenie medyczne, które spodziewałem się usłyszeć od zawodowca.

Prentice zachichotał.

— Lubimy udawać, że wiemy wszystko na ten temat. Prawda jest taka, że jesteśmy dobrzy w rozpoznawaniu i klasyfikowaniu zjawisk

220

psychogenicznych, jednocześnie nie rozumiejąc do końca, co dzieje się w ludzkim umyśle.

— Innymi słowy, nic nie wiemy?

— Przy czym udało nam się przemienić tę niewiedzę w zadziwiająco precyzyjną naukę — odparł Prentice. — Ale to się musi zmienić. Współczesne techniki odwzorowania neuronów

— skanery PET i SPECT...

— SPECT? Co to takiego? Prentice zapalił wygaśłą fajkę.

— Komputerowy tomograf emitujący pojedyncze fotony. Metoda polega na wprowadzaniu gazów niskoradioaktywnych do mózgu, co umożliwia precyzyjne i dynamiczne odwzorowanie poszczególnych neuronów i aksonów podczas pracy. Struktura fizyczna, zmiany chemiczne, przemiany elektryczne — wszystko zostaje zarejestrowane.

— To brzmi dość niebezpiecznie.

— Wszelkie metody odwzorowania intrusywnego są niebezpieczne, ale SPECT szczególnie. Stosuje się go wyłącznie na ssakach. Jednak mógłbym się założyć, że większość eksperymentów z użyciem SPECT przeprowadza się na ssakach wyższego rzędu, takich jak delfiny czy morswiny, które mają mózg podobny do naszego bardziej, niż ktokolwiek chciałby przyznać. Świat pełen jest szaleńców, którzy uważają, że zwierzęta są ważniejsze od ludzi.

Lloyd zebrał naczynia i zaparzył kawę.

— Dlaczego nie poświęciłeś dzisiejszego dnia na odnalezienie szkoły specjalnej, do której uczęszcza André Normanville? — zapytał Prentice.

— Zamierzałem to zrobić, ale miałem mnóstwo pracy w biurze — odpowiedział Lloyd. — Ktoś musi wydawać magazyn. Odwołałem parę jutrzejszych spotkań, żeby móc wyjść trochę wcześniej. Mogę być zafascynowany tą całą sprawą, ale praca zawsze jest na pierwszym miejscu. — Spojrzał na zegarek. — Pani Dyson będzie tu za jakieś dziesięć minut. Potrafi być równie uciążliwa co ty.

— Skąd wzięłeś pomysł, by skorzystać z pomocy kogoś, kto czyta z mchu warg?

Lloyd pomachał wypożyczoną kasetą wideo.

— Z filmu który wyśmiałeś... kiedy dotarłem tu zeszłej nocy, byłem totalnie wkurzony: dziewczyna wystawiła mnie do wiatru — grywamy w squasha w każdy poniedziałkowy wieczór, w telewizji nie było nic

221

godnego uwagi, udałem się więc do pobliskiej wypożyczalni i wybrałem „Odyseję”, jeden z moim ulubionych filmów. Jest tam scena, kiedy dwóch astronautów próbuje uszkodzić komputer pokładowy statku kosmicznego, nie zdając sobie sprawy z tego, że potrafi on czytać z ruchów warg... Zabrzęczał domofon.

— To pewnie nasza niezawodna panna Dyson — powiedział Lloyd. — Rzecz jasna nie ma sensu, żebym pytał.

Zbiegł szybko po krętych schodach, by przywitać nowo przybyłą. Prentice wstał, kiedy małeńka, stalowosiwa pani weszła do mieszkania, i wyciągnął rękę na powitanie.

— Co to za nonsens z zapraszaniem mnie tu, żebym obejrzała film z wideokasy? — zapytała z pretensją, kiedy Lloyd zakończył prezentację. Przycupnęła na brzegu sofy i z wyraźną dezaprobatą zlustrowała otwartą przestrzeń mieszkania. — Bóg jeden wie, jak pan może tu wytrzymać. Zupełnie jakby się mieszkało w sklepie wielobranżowym.

— Całkowicie zgadzam się z panią, panno Dyson — wyznał Prentice, witając serdecznie gościa. Interesował go każdy, kto rozwijał i wykorzystywał szczególne zdolności, by pokonać ułomność. Jej głos, pomimo że był bardzo wyraźny, miał niez wykłe brzmienie wynikające z tego, że nie mogła się usłyszeć.

Kładła ledwie słyszalny, lecz niewłaściwy akcent na poszczególne sylaby, co sprawiało, że wydawała się bardziej opryskliwa, niż była w rzeczywistości. Specjalnie nauczyła się ukrywać fakt, że czyta z mchu warg podczas konwersacji, więc kiedy odwracała głowę, by zobaczyć, czy ktoś mówi, wyglądało to na normalny gest kogoś, kto poświęca rozmówcy uprzejme zainteresowanie. Trudno było uwierzyć, że żyje w świecie całkowitej ciszy.

— To tylko parominutowe nagranie, panno Dyson — wyjaśnił Lloyd, nalewając gościowi kawy z kropelką rumu. — Widzimy rozmowę paru dzieciaków, niestety bez dźwięku. Chcielibyśmy wiedzieć, o czym rozmawiają. Co mam robić? Chce pani, żebym puścił parosekundowy fragment? Zobaczylibyśmy, co z tego wyjdzie.

Panna Dyson upiła łyżeczkę kawy i skinęła głową w stronę telewizora.

— No dobra. Wał śmiało.

Lloyd wcześniej obejrzał nagranie i ustawił licznik na fragmenty, które go interesowały.

Włączył telewizor, wziął do ręki pilota i upewnił się, że

222

Prentice czeka w pogotowiu z notatnikiem. Puścił scenkę, w której Khalid rozmawiał z André.

— Było to ujęcie ogólne i dzieci nie uświadamiały sobie, że kamera jest na nie skierowana.

— Stop! — rozkazała panna Dyson. — Dziewczynka stoi plecami do kamery. Gdyby był pan bardziej konkretny dzwoniąc do mnie, przyniosłabym ze sobą kryształową kulę.

— Proszę zrobić, co się da, panno Dyson — zwrócił się cierpliwie Lloyd. Zauważywszy spojrzenie Prentice'a z trudem zachował powagę.

— Chłopiec powiedział: „Nazywam się Car Lid”. Cóż za absurdalne imiona rodzice dają dzieciom w dzisiejszych czasach.

— Khalid — wyjaśnił Lloyd. — Piszę się przez K. To zagraniczne imię.

— Ani przez chwilę nie myślałam, że jest angielskie — odparowała panna Dyson. — Tak czy inaczej dziewczynka musiała odpowiedzieć mu coś, bo nastąpiła przerwa. Potem chłopiec powiedział: „Ukończyłem piętnaście lat. A ty?” Pomijam jego wygląd, ale sądząc po sposobie mówienia angielski nie jest jego rodzimym językiem.

Prentice spojrział na kobietę z ogromnym zdziwieniem. Nachylił się, by dać jej do zrozumienia, że zamierza coś powiedzieć.

— Potrafi pani ocenić to z mchu warg?

Odwróciła szybko głowę, by zobaczyć, co do niej mówi.

— Oczywiście. Gdyby był rodowitym Anglikiem, powiedziałałby: „Mam piętnaście lat”. Kiedy jest się głuchym, panie Prentice, zauważa się drobne szczegóły, do których ludzie słyszający nie przywiązują wagi. Proszę puścić kolejny fragment.

Lloyd odtworzył następne parę sekund do momentu, w którym Khalid śmieje się z czegoś, co André powiedziała. Obaj mężczyźni spojrzeli pytająco na Millicent Dyson.

— Chłopiec powiedział: „Dlaczego tu jesteś?” Potem, jak już widzieliśmy, nastąpiła odpowiedź dziewczynki, która tak go rozbawiła. A później powiedział: „Kto to słyszał o robieniu burzy. Tylko Bóg potrafi wywołać burzę i grzmoty”. Dalej, proszę.

Podczas kolejnego ujęcia kamerzysta zmienił pozycję, by ukazać profil André.

— Proszę cofnąć ten fragment i puścić go jeszcze raz — powiedziała panna Dyson, ale to nic nie dało. — Przeszkadzają mi włosy dziewczynki,

223

a twarz chłopca jest widoczna z profilu. Czytanie z ruchu warg w tej pozycji jest niezwykle trudne. Następny.

— Lloyd przewinął parę ujęć z fonią, w tym to ukazujące, jak André chwyta piłeczkę tenisową, którą Khalid odbił o ścianę.

— Ach — to jest to, czym jesteśmy szczególnie zainteresowani, panno Dyson.

Obraz zmienił się w szerokokątne ujęcie André i Khalida siedzących na krzesłach ustawionych obok siebie pod ścianą.

Khalid trzymał w dłoni zwyczajną piłeczkę tenisową i najwyraźniej pokazywał ją dziewczynce. Prentice i Lloyd domyślili się, że Khalid próbuje nauczyć André zadziwiającej nowo nabytej umiejętności wywracania piłeczki na lewą stronę.

— Kamera jest zbyt daleko — poskarżyła się panna Dyson. — Nie mogę zrozumieć.

— Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby zechciała pani spróbować jeszcze raz, panno Dyson. To jest bardzo ważne. Chłopiec próbuje nauczyć dziewczynkę czegoś i chcielibyśmy wiedzieć czego.

— Są za bardzo oddaleni od kamery, oświetlenie jest fatalne, a oni nie usiedzą spokojnie ani jednej chwili.

— Błagam panią, panno Dyson.

Kobieta zaczęła mamrotać coś do siebie. Podniosła się i usiadła w fotelu stojącym bliżej telewizora.

— Zagraj to jeszcze raz, Sam — rozkazała.

Lloyd cofnął i ponownie włączył pozbawiony dźwięku fragment filmu. Prentice pykał fajkę coraz bardziej zniecierpliwiony, gdy kolejne sekundy mijały.

— I jeszcze raz.

Kiedy Lloyd włączył scenkę po raz trzeci, kobieta westchnęła.

— Wydaje mi się, że dziewczynka powiedziała coś, że to jest bardzo łatwe... Niestety nie dla mnie. Mam wrażenie, że nie formułuje słów właściwie. Ach! Stop!

Twarcz André zastygła na ekranie.

— Wydaje mi się, że powiedziała coś o trzymaniu piłeczki w dłoniach i ściskaniu jej ze wszystkich sił. Proszę mi to cofnąć.

Lloyd cofnął scenkę i włączył odtwarzacz. Panna Dyson nachyliła się, by być bliżej ekranu, i energicznie przytaknęła głową.

— Tak. Z tego, co jestem w stanie zrozumieć, powiedziała: „To jest takie łatwe...” Coś tam... coś. „To jest takie łatwe, Khalid. Wystarczy

224

wziąć ją w dłoń... Tak... Właśnie tak... A teraz ściśnij ją ze wszystkich sił i zacznij myśleć wstecz”. Powtarza to przez resztę sceny... Mówi: „Myśl wstecz”. A może: „Cofnij czas myślami”.

— Cofnij czas myślami? — powtórzył Lloyd. — Jest pani pewna?

— Oczywiście, że nie jestem! — warknęła panna Dyson. — Nie słyszał pan, co powiedziałam przed chwilą? Na to mi wygląda, ale nie mogłabym przysiąc — przerwała i spojrzała na obu mężczyzn z pogardą.

— Nie potraficie nawet odczytać właściwie języka gestów. Jeśli chcecie wiedzieć, to chłopiec wcale nie uczy jej niczego — lecz dziewczynka go uczy.

Ta sama myśl olśniła jednocześnie Lloyda i Prentice'a. Wpatrywali się w kobietę bez słowa.

Odwzajemniła im się piorunującym, pełnym złości spojrzeniem i zerknęła na zegarek. — Jeśli skończyliście już te głupie zabawy, czas, bym położyła się do łóżka.

Lloyd podziękował wylewnie panie Dyson i odprowadził ją do drzwi wyjściowych.

Powrócił na swoje miejsce i siedział tam, gapiąc się na Prentice'a.

— Wygląda na to, że pomyliliśmy się w stosunku do Khalida

— zauważył.

Prentice oderwał wzrok od ekranu telewizora i przytaknął. Jego głos miał dziwne, gardłowe brzmienie, kiedy powiedział:

— Lloyd, myślę, że odnalezienie tej dziewczynki stało się sprawą niecierpiącą zwłoki.

ROZDZIAŁ 67 13 marca 1991

W wieku dwudziestu ośmiu lat ksiądz Denis Fowley nie był może najmłodszym wikarym we Wschodnim Sussex, ale na pewno najbardziej zdeterminowanym. Wkładał mnóstwo entuzjazmu i energii w każde powierzone mu zadanie, a należały do nich cotygodniowe lekcje religii dla dzieci wyznania katolickiego w Szkole Specjalnej Candice Webb. Szczęśliwie była to stosunkowo mała grupa sześciorga hiperaktywnych malców; prowadził zajęcia z tą grupą od świąt Bożego Narodzenia i zaczynał czuć się jak u siebie w domu. Dzieci polubiły go, więc czternastoletni Michael

225

Thomas przestał walić pięścią w stół, Carol Rogers nie wpadała już w histerię i nie krzyczała, ilekroć spojrzał na nią, zaś Jenny Carson — czternastoletnia, nadmiernie rozwinięta i rozbudzona pomimo kuracji hormonalnej, która miała zredukować ilość testosteronów produkowanych przez jej ciało — przestała podciągać bluzkę i obnażać się przed nim. A przecież te dzieci wybrano spośród uczniów sprawiających najmniej kłopotów!

Rzecz jasna, przekonał ich do siebie dzięki swym talentom aktorskim. Zamiast czytać im Biblię, wolał odgrywać poszczególne scenki, wcielając się w każdą postać z ogromną swobodą i pewnością siebie. Szczególnie był dumny ze swego Heroda, który teraz przykuł uwagę i zachwycił dzieci, gdy miotał się po sali, przeklinając Jana Chrzciciela; szybkie zmiany ról osiągał poprzez zmianę głosu i sposobu bycia. Był utalentowanym aktorem w szkole John Session, jednak nie miał złudzeń co do swych osiągnięć; dzieci poświęcały mu tyle samo uwagi, ile przyznałyby iluzjonistom na przyjęciu urodzinowym; i z bardzo podobnych powodów. Były zaabsorbowane posłańcem, nie posłaniem.

— Więc gdzie jest twój Bóg? — Herod zapytał swego więźnia. Szybka zmiana postawy.

— Jest wszędzie — obwieścił Jan Chrzciciel.

— Ha! — wykrzyknął Herod, rozglądając się wokół siebie, by wreszcie wbić uważny wzrok w Petera Cardewa, który skręcał się i pisał w oczekiwaniu na dalszy ciąg. — Więc gdzie

on jest? Może ukrył się pod ławką Petera? — Ku radości autystycznego chłopca i uciechy reszty grupy ojciec Denis odegrał brawurowo scenkę zagładania pod biurko Petera. Kiedy się wyprostował, poczuł się nieswojo uświadomiwszy sobie, że jedno z dzieci nie przyłączyło się do ogólnej zabawy. Jak zwykle André Normanville siedziała w ławce milcząca i nieruchoma, uderzająco schludna w plisowanej spódniczce i nieskazitelnej błękitnej bluzce, wpatrując się w dobrego księdza tymi ogromnymi, błyszczącymi oczami, które zawsze sprawiały, iż czuł się głupio i nie na miejscu. Zupełnie jakby te oczy były oknami lochu, w którym wymachujący rozpaczliwie dorosły był uwięziony w opóźnionym umyśle młodej dziewczyny. Nie była katoliczką, jednak jej matka pragnęła, by córka poznała podstawy wiary chrześcijańskiej.

— Czy jest w piórniku Carol? — ryknął Herod.

226

— - Nie! — pisnęła w odpowiedzi zachwycona Carol, piórnik prawie wypadł jej z rąk, kiedy w podnieceniu porwała go z pulpitu, by ukryć przez wzrokiem rozwścieczonego Heroda.

— Gdzie więc jest twój Bóg? — zagrzemiał Herod.

— Andy go schowała — ktoś pisnął.

Perspektywa wciągnięcia André do gry onieśmieliła ojca Denisa. Szybko zmienił postać.

— Bóg jest wszędzie. Widzi nas wszystkich. Kocha wszystkich — oświadczył Jan Chrzciciel. Powrócił drwiący Herod.

— Więc pokaż mi go. Wskaż, gdzie się teraz znajduje.

— Jest wszędzie! Jest tu z nami w tej chwili! Czuwa nad nami.

— A gdzie jest to niebo?

— Wszędzie wokół nas! — obwieścił Jan Baptysta.

— Nie — powiedziała nagle André. — To nie tak. Zupełnie nie tak. Ojciec Denis był tak zdziwiony, że na chwilę zapomniał, jaką postać odgrywa. Porzucił obie i uśmiechnął się dobrotliwie do André.

— Przepraszam cię André. Co powiedziałaś?

Zielone oczy wpatrywały się w niego. Ojciec Denis powtórzył pytanie. André pokręciła głową.

— Nie tak.

— Co jest nie tak, André? — zapytał łagodnie ksiądz.

— Wcale nie wszędzie.

Dobry Boże, pomyślał ojciec Denis. Wreszcie udało mi się dotrzeć do któregoś z nich. Może odbiera wypaczone przesłanie, ale przynajmniej coś trafia do niej.

Pozostałe pięcioro dzieci zostało zapomnianych przez chwilę. Niespodziewanie umilkły, jakby wyczuwały, że może wydarzyć się coś znacznie ciekawszego od popisów aktorskich ojca Denisa.

— Czy chcesz powiedzieć, że Boga nie ma wokół nas, André? Dziewczynka wyglądała na onieśmioną nagłym zainteresowaniem

i przytaknęła, ani na chwilę nie odrywając nieruchomego spojrzenia od twarzy duchownego.

— Więc gdzie twoim zdaniem jest Bóg, André?

— Nie tutaj. Nie przez cały czas.

Ojciec Denis ukląkł, by mogli rozmawiać jak równy z równym. Doświadczył nagłego przyływu podniecenia, kiedy uświadomił sobie, że oto ma

227

przed sobą dziewczynkę o wskaźniku inteligencji poniżej 60, a która potrafi myśleć abstrakcyjnie.

— Gdzie więc?

— W miejscu, w którym zaczyna się czas. Większej abstrakcji nie można było sobie wymarzyć.

Ksiądz starał się zachować spokój. Niedawno „The Tablet” zaczęło zamieszczać rozprawy teologiczne na temat tego, czy Bóg był obecny w konkretnym punkcie wszechświata określającym miejsce, w którym nastąpił Wielki Wybuch i Stworzenie — zwanym też osobliwością. Jeden z dyskutantów nazwał ten teoretyczny punkt miejscem, w którym rozpoczyna się czas, i zaproponował, że powinien on oznaczać fizyczne położenie nieba. Była tam też wypowiedź szanowanego rabina, który zasugerował, że duchowa koncepcja Boga jest wynikiem pomyłki popełnionej przez samego człowieka. Nie było właściwie nic duchowego w Wielkim Wybuchu, dlatego więc nazywać duchowym wszystko, co nastąpiło potem? Nadszedł czas, by poszukiwać Boga z pomocą instrumentów i wskaźników, a nie modlitwy. Prawdziwe święto dla fundamentalistów.

— A gdzie znajduje się miejsce, w którym zaczyna się czas, André? — zapytał ojciec Denis i przeklął się w tej samej chwili, gdy pytanie zostało wypowiedziane. Zabrzmiało to dość protekcjonalnie, a chciał tego uniknąć.

Jednak w odpowiedzi André nie było ani teologii, ani filozofii. Przymrużyła oczy, jakby próbowała pomyśleć, i wskazała sufit nad drzwiami.

— Tam — powiedziała zwyczajnie. — Tamtędy.

Na korytarzu rozległ się dźwięk dzwonka sygnalizujący koniec lekcji, który wywołał chór radosnych okrzyków i stukania w ławki. Autobus szkolny wjechał na dziedziniec i zatrzymał się pod oknem, silnik na ropę turkotał nierównym rytmem.

Ojciec Denis wstał i uśmiechnął się do dziewczynki.

— Szkoda że nie mamy już czasu, by kontynuować rozmowę, André. Dziewczynka spojrzała twardo na księdza i powiedziała:

— Przy trzecim uderzeniu czas wymierzany przez Dokładnego wskaże drugą pięćdziesiąt siedem i dziesięć sekund. Tik... Tak... Tik...

Cóż za szkoda, pomyślał z żalem ojciec Denis. Przez parę magicznych chwil ksiądz uwierzył, że sięgnął głębiej niż to puste spojrzenie, i dotarł do

228

przed sobą dziewczynkę o wskaźniku inteligencji poniżej 60, a która potrafi myśleć abstrakcyjnie.

— Gdzie więc?

— W miejscu, w którym zaczyna się czas. Większej abstrakcji nie można było sobie wymarzyć.

Ksiądz starał się zachować spokój. Niedawno „The Tablet” zaczęło zamieszczać rozprawy teologiczne na temat tego, czy Bóg był obecny w konkretnym punkcie wszechświata określającym miejsce, w którym nastąpił Wielki Wybuch i Stworzenie — zwanym też osobliwością. Jeden z dyskutantów nazwał ten teoretyczny punkt miejscem, w którym rozpoczyna się czas, i zaproponował, że powinien on oznaczać fizyczne położenie nieba. Była tam też wypowiedź szanowanego rabina, który zasugerował, że duchowa koncepcja Boga jest wynikiem pomyłki popełnionej przez samego człowieka. Nie było właściwie nic duchowego w Wielkim Wybuchu, dlatego więc nazywać duchowym wszystko, co nastąpiło potem? Nadszedł czas, by poszukiwać Boga z pomocą instrumentów i wskaźników, a nie modlitwy. Prawdziwe święto dla fundamentalistów.

— A gdzie znajduje się miejsce, w którym zaczyna się czas, André? — zapytał ojciec Denis i przeklął się w tej samej chwili, gdy pytanie zostało wypowiedziane. Zabrzmiało to dość protekcjonalnie, a chciał tego uniknąć.

Jednak w odpowiedzi André nie było ani teologii, ani filozofii. Przymrużyła oczy, jakby próbowała pomyśleć, i wskazała sufit nad drzwiami.

— Tam — powiedziała zwyczajnie. — Tamtędy.

Na korytarzu rozległ się dźwięk dzwonka sygnalizujący koniec lekcji, który wywołał chór radosnych okrzyków i stukania w ławki. Autobus szkolny wjechał na dziedziniec i zatrzymał się pod oknem, silnik na ropę turkotał nierównym rytmem.

Ojciec Denis wstał i uśmiechnął się do dziewczynki.

— Szkoda że nie mamy już czasu, by kontynuować rozmowę, André. Dziewczynka spojrzała twardo na księdza i powiedziała:

— Przy trzecim uderzeniu czas wymierzany przez Dokładnego wskaże drugą pięćdziesiąt siedem i dziesięć sekund. Tik... Tak... Tik...

Cóż za szkoda, pomyślał z żalem ojciec Denis. Przez parę magicznych chwil ksiądz uwierzył, że sięgnął głębiej niż to puste spojrzenie, i dotarł do

228

pustego umysłu ukrytego za nim, zazdrośnie strzegącego duszy dziewczynki i nie dopuszczającego do niej zarówno jego samego, jak i Boga. Jednak był to tylko przelotny przebłysk inteligencji — krótkie, kuszące uchYLENIE okiennicy, która teraz zamknęła się szczelnie.

ROZDZIAŁ 68

Laura zaniechała dalszej walki z pniakiem sosny. Chwiał się, ale nie pozwalał się wyrwać, bez względu na to, jak silnie napierała na niego, pomszając nim w tył i w przód. Była to jedna z prac, z którą Jeff Harcourt poradziłby sobie w dziesięć minut i kazał sobie zapłacić pięć funtów. Przekonała się jednak, że lepiej płacić Jeffowi za podobne prace i znosić jego gburowatość, niż korzystać z uprzejmości żonatych sąsiadów, gotowych wykonać robotę za darmo — i zwlekających z odejściem przez godzinę, pijąc herbatę i prawiąc komplementy w nadziei, że ich dobroć otworzy im drogę do jej sypialni. Była to jedna z bardziej przykrych rzeczy związanych z życiem wdowy w małej społeczności — żony zaś przyglądały ci się podejrzliwie, widząc w tobie drapieżnika. Nie, wynajmowanie Jeffa do podobnych robót okazało się bezpieczną, aczkolwiek kosztowną polityką. Poza tym zwalisty, uprzejmy majsterkowicz nigdy nie okazał najmniejszego zainteresowania jej osobą, ani też żadną inną kobietą. Obsesyjna miłość jego życia miała raczej dwa kółka niż dwie nogi.

— Weszła do domu, wykręciła numer Jeffa i wyjaśniła mu sytuację.

— Mogę zająć się tym dzisiaj, pani Normanville. Mam kupę czasu do zmierzchu.

Laura zachichotała.

— Chcesz powiedzieć, Jeff, że przydałoby ci się trochę pieniędzy, żeby upić się dziś wieczór.

— Skończyłem z gorzałą, pani Normanville — powiedział wesoło Jeff. — Muszę spłacić nowy motor.

— Tylko nie mów, że kupiłeś jeszcze jeden. Który to już w tym roku?

— Ale ten to prawdziwe cacko. Japończyk.

— Japończyk?

— Kawasaki. Będę tam za jakieś pięć minut, z kilofem i siekierą. Zgoda?

229

— Dobrze Jeff. I dziękuję.

Laura przeszła do kuchni i zajęła się przygotowywaniem kolacji. Zerknęła na zegar w radioodbiorniku. Piętnasta. Andy wróci do domu za jakieś pół godziny. Cholera — dziś jest środa. Jedyne wieczór, w który Andy wypuszczała się sama do kawiarni Jacko.

Laura usiadła przy kuchennym stole, wsparła twarz na dłoniach i zaczęła rozważać, co ma ze sobą zrobić. Rozmyślenia o przerażających wydarzeniach poprzedniej środy sprawiły, że dostała gęsiej skórki. Andy z całą pewnością będzie upierała się przy tym, żeby wyjść. Te środy stały się częścią jej rutyny. Laura wiedziała, że jeśli postawi sprawę na ostrzu noża, zakończy cotygodniowe, samotne wypady André, nie obejdzie się bez awantury. Z drugiej strony, Laura wyczuła podejrzliwość w głosie detektywa sierżanta Barra, kiedy zadzwonił, żeby wypytać się o zaginionych motocyklistów. Z całą pewnością zdążył już przesłuchać

Jacko i wszystkich, którzy znajdowali się w kawiarni w tamtą środę, i dowiedział się, że André odwiedza ten lokal każdego tygodnia o tej samej porze. Jeśli André nie pojawi się w kawiarni tego wieczoru, zmiana w jej zwyczajach może wzbudzić jeszcze więcej podejrzeń. Najrozsądniejszą rzeczą było pozwolić jej iść.

Laura wstała i podeszła do stojaka na jarzyny. Parę zwiędłych porów leżących w drucianym pojemniku przypomniało jej nagle szeroką aleję powalonych sosen na plantacji Tannera. Tym razem napływające falami uczucie przerażenia było tak silne, że zmusiło ją do schronienia się w łazience, gdzie zwymiotowała.

ROZDZIAŁ 69 PÓLNOCNY IRAK

— Uważaj!

— Jednak ostrzegawczy krzyk Nuriego dotarł zbyt późno. Ściany studni zapadły się, zasypując nogi Khalida aż po pachwiny. Nuri położył się płasko na brzuchu i wyciągnął dłoń w kierunku przyjaciela, a Khalid chwycił podaną dłoń i uwolnił się. Na szczęście ziemia była sucha i piaszczysta. Zdarzyło się to już czwarty raz tego popołudnia. Kiedy zaczęli kopać poprzedniego dnia, zrobili otwór szerokości metra kwad-

230
ratowego, tak by było w nim dość miejsca dla człowieka kopiącego i napełniającego kosz. Po ostatnim osunięciu się gruntu otwór był dwa razy szerszy i nadal zaledwie trzy metry głęboki. — Wszystko na nic — powiedział Nuri ze złością. — Kopiemy tu od dwóch dni. Ściany zapadają się bez względu na to, jak szybko kopiemy. W tym tempie nie dotrzemy do poziomu wody wcześniej niż za miesiąc.

Khalid wygramolił się z dołu i spojrzał na przyjaciela dużymi, poważnymi oczami.

— Czy nie moglibyśmy wzmocnić ścian kawałkami drewna?

— Ostemplować ją?

— Tak.

Nuri westchnął i obejrzał się za siebie. Dwie starszki dreptały drogą w kierunku wioski. Na ich przygarbionych ramionach spoczywały nosidła, na końcach których umocowano dwa pięciolitrowe pojemniki na wodę, napełnione dwa kilometry dalej przy wąwozie, w którym on i Khalid ukryli się przed helikopterem. Wlewały błotnistą wodę do koryta, by kurczaki i kozy mogły zaspokoić pragnienie, potem dwie inne kobiety umieszczały nosidła za ramionach i wyruszały w długą drogę do wąwozu.

Nuri zaczynał przeklinać czas spędzony w wiosce. Ta przeklęta studnia, którą kopali na skraju pola w bezpiecznej odległości od zatrutego otworu wiertniczego, zajmie im więcej czasu, niż przypuszczał. Jedyne, czego pragnął w tej chwili, to ruszyć znów w drogę na północ i przyłączyć się do PKK.

Khalid przerwał te rozmyślenia.

— Co trzeba zrobić, żeby ostemplować tę studnię, Nuri?

Starszy mężczyzna zaczął gestykulować ze złością, wskazując zabudowania. Wszystkie były wzniesione w tradycyjnym kurdyjskim stylu: ściany z cegieł ulepionych z błota, wspierające krokwie dachu zrobionego z rosnących szybko, młodych drzew iglastych.

— To ty mi powiedz, skąd weźmiemy materiały! Potrzebujemy desek, ty głupi kretynie!

Khalid był zbyt skupiony na szukaniu rozwiązania tego problemu, by zareagować na obelgę. Nagle jego twarz rozpromieniła się.

— Nuri, w domu, w którym mieszkamy, jest warsztat zbudowany z drewnianych desek.

Widziałem tam też różne narzędzia, którymi będziemy mogli je dopasować.

Starszy mężczyzna zamierzał zgłosić obiekcje, ale uświadomił sobie, że

231

Khalid ma rację. Przy domu stał porządny, kosztowny warsztat z prefabrykatów zbudowany z modrzewiowych desek.

— W porządku — powiedział wreszcie. — Chodźmy rzucić na to okiem.

ROZDZIAŁ 70 PÓŁNOCNA ANGLIA

Autobus szkolny ruszył dokładnie tą samą trasą co w poniedziałek, wypuszczając dzieci pojedynczo i dwójkami w wioskach i miasteczkach Wschodniego Sussex i Surrey. Lloyd za kierownicą swego lotusa super 7 jechał w przyzwoitej odległości za nim, zwalniając, by przyjrzeć się dzieciom, które wysiadły, a potem przyspieszając dla zmniejszenia odległości, na wypadek gdyby autobus wziął zakręt, którego wcześniej nie zauważył. Drogi były zbyt wąskie, by wyprzedzać, więc ciągnęła obecność Lloyda za autobusem nie powinna wzbudzić podejrzania kierowcy. Minęło dwadzieścia pięć minut, nim dotarli do Durston i miejsca, w którym został zatrzymany przez policję w poniedziałkowe popołudnie. Osiemset metrów dalej autobus włączył światła stopu i zatrzymał się na przystanku. Lloyd zaparkował parę metrów przed zakrętem oznaczonym tablicą z napisem Las Durston i czekał.

Jakaś dziewczynka wysiadła z autobusu i ruszyła w jego kierunku. Natychmiast poznał charakterystyczną, kanciastą postać. Po raz ostatni widział André w sali odpraw lotniska Heathrow. W krótkim czasie, jaki minął od tamtego spotkania, zdążyła pozbyć się dziecięcej niezgrabności; poruszała się teraz z wdziękiem. Dzięki dobranemu strojowi, rzecz jasna: długi, wysoko zapięty płaszcz, świetnie uszyty, z wciętą talią, dodawał jej wyrafinowanej elegancji i podkreślał wysoką sylwetkę.

Nagle tuż za nią pojawił się motocykl. Kierowca zauważył przed sobą André w ostatniej chwili. Zwiększył obroty, wywołując charakterystyczny chropowaty warkot kawasaki, wrzucił niższy bieg i zjechał na trawiaste pobocze. Zamiast odwrócić się, by zobaczyć, co to za hałas, André krzyknęła. Zastłoniła dłońmi uszy i opadła na kolana najwyraźniej przerażona.

232

Nagle atmosfera zgęstniała, jakby została potężnie naładowana pozytywnym jonami. Błękitne iskry trzeszczały pod opuszkami palców Lloyda, kiedy złapał za klamkę. Wyskoczył z samochodu i podbiegł do dziewczyny. Motocyklista znajdował się mniej niż osiemnaście metrów od André i zwalniał prędkość.

— Nie, André! — krzyknął Lloyd. — Nie! Wszystko w porządku! Dziewczyna spojrzała na Lloyda. Strach w jej oczach zmienił się z błysk poznania. Dokładnie w tej samej chwili rozległ się ogłuszający huk, a zaraz potem potężny strumień powietrza wbił się w plecy Lloyda niczym noga słonia i pchnął go do przodu, aż wylądował na trawie tuż przed André. Podmuchał prawie wyrwał rączki kawasaki z dłoni kierowcy. Maszyna chybotwała się, kiedy usiłował odzyskać nad nią kontrolę, w końcu był zmuszony położyć motocykl i zeskoczyć w bezpieczne miejsce. Osłona z włókna szklanego wyryła głęboką bruzdę w miękkim poboczu; pedał zaczepił o wzniesienie i obrócił maszynę.

Zatrzymała się około metra od miejsca, w którym klęczała dziewczyna, silnik wciąż pracował na najwyższych obrotach, kręciło się również tylne koło.

Lloyd podciągnął się na jedno kolano. W pierwszej chwili pomyślał o dziewczynie, jednak był poważnie potłuczony po upadku i przez parę sekund niezdolny do najmniejszego ruchu. Podniósł głowę i zobaczył, że motocyklista jest cały i zdrowy, upadł szczęśliwie, mimo że miał przy sobie plecak z czymś, co wyglądało na siekiere i oskard. Podeszedł do André i pomagał jej podnieść się na nogi.

— Niech to szlag — powiedział. — Przepraszam cię, Andy. Nie chciałem cię przestraszyć. Wiedziałem, że rozrząd nawala, ale nie przypuszczałem, że może spowodować taki strzał do gaźnika. — Zerknął na Lloyda. — Wszystko w porządku, brachu?

Lloyd podniósł się na nogi.

— Chyba tak — odpowiedział zszokowany.

— A co z tobą?

— W porządku, nic mi nie jest — odpowiedział spokojnie Jeff Harcourt. — Nie pierwszy raz byłem zmuszony położyć motor. I z całą pewnością nie ostatni.

Miał jakieś trzydzieści pięć lat i był doświadczonym kierowcą, ponieważ właściwie zsiadł z maszyny, kiedy stracił nad nią kontrolę, zamiast trzymać się jej. Miał wygląd starzejącego się hippisa. Lloyd

233

przypuszczał, że rozpoczął karierę motocyklisty jeszcze w latach siedemdziesiątych.

Gdy André wstała, mężczyźni otrzepali jej płaszcz z trawy i ziemi. Ona tymczasem patrzyła się wprost przed siebie, jakby nieświadoma lub nie zainteresowana wyraźnym zaniepokojeniem i troską, jaką jej okazywano. Kiedy Jeff upewnił się, że nic jej nie jest, zarzucił plecak na ramię, postawił swą maszynę i włączył silnik. Dokonał pobieżnej inspekcji motocykla.

— Wygląda na to, że nic mu nie jest — stwierdził. — Taki wsteczny przepływ gazów potrafi rozwalić tłumik, ale jestem pewien, że Japonce znają się na robocie. — Skrzywił się widząc głębokie koleiny w trawie.

— Musiałem uderzyć w coś, lecz nie widzę tu niczego.

— Compact — powiedziała nagle André, kiedy dotarło do niej, skąd zna Lloyda.

— Cześć, Andy — rzekł Lloyd, uśmiechając się do dziewczyny.

— Nic ci nie jest?

— Cholera. Światła nie działają — stwierdził Jeff, przełączając ze złością przycisk. — Widzę, że znasz Andy?

Lloyd zdobył się na krzywy uśmiech. — O, tak. Znamy się dobrze, prawda, Andy?

— Więc wyświadcz mi przysługę, brachu. Nazywam się Jeff Har-court. Odwieź Andy do domu i powiedz Laurze, co się tu stało. Jechałem do niej, żeby wykonać pewną drobną robotkę, ale przez te światła muszę zawrócić. — Jeff poprawił plecak na ramieniu. — Muszę wrócić do domu i naprawić je. Powiedz Laurze, że wpadnę jutro o tej samej porze. Dobra?

— Zrozumiałem — powiedział Lloyd. Wziął André delikatnie pod ramię i poprowadził w kierunku samochodu. Jeff przerzucił nogę przez siodełko kawasaki i zapalił stacyjkę. Na dźwięk silnika André zadrżała.

— Wszystko w porządku, André — powiedział uspokajająco Lloyd.

— Nie powinien być podjeżdżać tak blisko ciebie. Każdy by się wystraszył. Zwłaszcza takiej potężnej maszyny.

Otworzył drzwiczki od strony pasażera i zebrał drobiazgi z siedzenia.

— Mieszkasz gdzieś w pobliżu, Andy?

— Ta droga. — Dziewczyna usiadła skromnie na uprzątniętym siedzeniu i wskazała zakręt w kierunku Durston Wood. Lloyd zapiął jej pasy, zapalił silnik i ruszył w stronę posiadłości.

Sztywne zawieszenie lotusa nie znosiło zbyt dobrze jazdy po wyboistej drodze. Zazwyczaj

dziwna, nieangielska różnorodność domów zaintrygowałaby go, ale teraz umysł miał zaprzątnięty dziwnym zniknięciem dwóch motocyklistów i pobliskimi zniszczeniami, przypuszczalnie spowodowanymi przez meteoryt.

— Jaki numer, Andy?

— Szesnaście — wskazała drogę prowadzącą do jej domu. Numer szesnaście znajdował się na samym końcu małej, ślepej dróżki.

Wykładany drewnem bungalow otaczały sosny, świerki i modrzewie, w towarzystwie wszędobylskiej srebrnej brzozy i jesionów, które rosły wysoko na ubogich glebach tej części Surrey. Lloyd skręcił w podjazd, zastanawiając się, jak ma sobie poradzić z oczywistą wrogością Laury Normanville. Wciąż miał w pamięci wściekły wyraz jej oczu, kiedy odkryła André podającą mu czas w samolocie z Singapuru.

— Compact? — zapytała André i spojrzała na niego z uwagą. Lloyd zaśmiał się.

— Nie ruszam się nigdzie bez niego.

Boczne drzwi bungalowu otworzyły się i wyszła Laura. W luźnych, workowatych dżinsach i spranym, ale obcisłym podkoszulku prezentowała się znacznie lepiej niż w dobranych bez gustu rzeczach, w których Lloyd widział ją ostatnio. Żałował, że zebrała włosy w śmieszny, mały koczek. Podeszła do lotusa z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

André odpięła pasy i wyskoczyła z samochodu.

— Mamo! To Compact!

Ona naprawdę wygląda na podekscytowaną, pomyślał Lloyd. Otworzył drzwiczki i wysiadł.

— Witaj. Miło mi znów cię widzieć. Oczy kobiety rozszerzyły się z przerażenia.

— Ty! — niemal parsknęła. — Czego chcesz od mojej córki?

— Kiedy André wysiadła ze szkolnego autobusu, wydarzył się mały wypadek i...

— Natychmiast wynoś się z mojego podjazdu. Jak śmiesz tu przyjeżdżać!

— Ale-Laura zrobiła krok w jego kierunku.

— Jeśli nie wyniesiesz się stąd w tej chwili, wezwę policję. Lloyd nie chciał być brutalny, ale wrogi stosunek kobiety nie pozostawił mu wyboru. Sięgnął do samochodu i wyjął policyjną ulotkę o dwóch

235

zaginionych motocyklistach. Spodziewał się zobaczyć błysk przerażenia w oczach Laury, nawet zanim rozłożył papier, ale nie zareagowała.

— Miałem nadzieję, że będziesz wiedziała coś na ten temat.

— To plakat policyjny. I co z tego?

— Compact — powtórzyła André.

— Wejź do środka, Andy — powiedziała szorstko Laura.

— Compact!

— Rób, co ci każe!

André mszyła ścieżką i zatrzymała się przy kuchennych drzwiach, przyglądając się dwójce dorosłych.

Laura odwróciła się, by stawić czoła Lloydowi. Początkowa złość zniknęła, ustępując miejsca stalowej powściągliwości i przebiegłości, które chroniły André przez wszystkie lata.

— Czego pan chce, panie Wheeler?

— Zapamiętała pani moje nazwisko.

— Nigdy nie zapominam ludzi, którzy wtrącają się w nie swoje sprawy. Proszę powiedzieć, co pan ma do powiedzenia, i odejść stąd.

— Mam całe mnóstwo do powiedzenia. Ogromny kawałek wykar-czowanego lasu niecały kilometr, stąd. Dwóch zaginionych motocyklistów i niejaki Jeff Harcourt, który omal nie skończył w równie tragiczny sposób...

Lloyd przyglądał się uważnie kobiecie, wypatrując najmniejszej oznaki zmieszania, ale daremnie. Patrzyła mu prosto w oczy, tak że zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie popełnił omyłki. W przeciwnym wypadku musiała być naprawdę utalentowaną aktorką.

— Jeff? — wreszcie raczyła okazać odrobinę niepokoju. — Co się stało? Nic mu nie jest?

— Na szczęście zjawiłem się w odpowiednim momencie. Ryk motocykla przestraszył Andy. To był kawasaki — pokazał ulotkę, którą trzymał w dłoni. — Właściwie nie dziwię się, dlaczego.

— Dlaczego?

— Czy mogę wejść do środka? Tylko na chwilę?

Laura zawahała się przez chwilę. Potem westchnęła i pchnęła drzwi.

— Proszę wejść, jeśli pan musi, ale uprzedzam, że jestem zajęta.

Lloyd ruszył za nią do kuchni. Było to przytulne, swojskie pomieszczenie zdominowane przez lodówkę tak wielką, że bungalow musiał zostać zbudowany wokół niej. Pod jedną ze ścian stał stary walijski

236

kredens kuchenny z resztami farby przebłyskującymi gdzieś w pęknięciach wiekowych kafelków. Sosnowy stół wyglądał, jakby został uratowany z wyprzedazy staroci, podobnie jak windsorskie krzesła o wyplatanych oparciach, wygodne dzięki temu, że położono na nich koronkowe poduszki. Nozdrza Lloyd'a zostały zaatakowane przez smakowite zapachy domowej kuchni, przypominając mu, że minęło dużo czasu od ostatniej wizyty u rodziców.

— Compact — powiedziała André. Lloyd uśmiechnął się do dziewczyny.

— Czy chciałabyś pobawić się nim, Andy? Skinęła głową.

— Więc biegnij po niego. Jest na podłodze za siedzeniem.

Laura otworzyła usta, by upomnieć Lloyd'a za zwracanie się do André z taką poufałością, jednak zanim zdążyła wymówić, słowo jej córka zrobiła coś jeszcze bardziej niezwykłego niż kupno kwiatów w ubiegłą niedzielę: zarzuciła ramiona na szyję nieproszonego gościa i pocałowała go w policzek, przelotnie i bez onieśmienia.

Lloyd także był zaskoczony, jednak mniej niż Laura, ponieważ nie uświadamiał sobie, jak niezwykły i niespotykany charakter miał ten pocałunek. André wróciła, niosąc przenośny komputer i wypożyczoną kasetę wideo z filmem „2001”, którą Lloyd wrzucił do samochodu z zamiarem zwrócenia do wideoteki. Zaczęła rozsuwać zamek, by wyjąć Compaq z pokrowca.

— Może wolałabyś wziąć go ze sobą do saloniku albo do swojego pokoju — zasugerował Lloyd. — I możesz obejrzeć film, jest naprawdę bardzo dobry. Muszę zwrócić kasetę, więc obchodź się z nią ostrożnie. — Uśmiechnął się krzywo do Laury, kiedy André zniknęła ze sprzętem i kasetą. — Szkoda że nie kupiłaś jej komputera w Singapurze.

— Byłam zbyt zajęta — odparła chłodno Laura, pewna, że nie widać już wrażenia, jakie wywarło na niej zachowanie André.

Objęła go za szyję i pocałowała! Pocałowała nieznajomego, a nigdy przez te wszystkie lata nie pocałowała nawet mnie!

— Nadal jestem zajęta — powiedziała dobitnie. — Muszę przygotować kolację.

— Czy mogę usiąść?

Lloyd usiadł przy kuchennym stole. Robiąc to, zerknął na telefon stojący na kredensie. Nie było numeru na plakietce; z całą pewnością nie

237

znajdował się w książce telefonicznej. British Telcom ostrzegał swych abonentów o zastrzeżonych numerach przed umieszczaniem ich na aparatach, ale istniały inne sposoby, by zdobyć numer telefonu.

— Myślę, że filiżanka herbaty zrobiłaby dobrze nam obojgu. Laura przełknęła inwektywę, która cisnęła się jej na usta. Na Boga

— ależ ten sukinsyn miał tupet! Jednak obawa przed tym, co mógł wiedzieć, zredukowała dziką wściekłość do kontrolowanej złości. Im prędzej dowie się, co ma do powiedzenia, tym prędzej będzie mogła się go pozbyć. Był zewnętrznym światem, który wtargnął do spokojnego, odizolowanego małego świata, który budowała z mozołem przez tyle lat, grożąc, że może rozbić go na kawałki. W myślach już zaczęła planować, że wyprowadzi się z miasteczka, lecz problemy z tym związane były zbyt wielkie, by mogła o nich myśleć: sprzedaż domu w okresie recesji; zakłócenie nauczania i rutyny André; konieczność znalezienia nowej pracy... A próba skutecznego zatarcia za sobą śladów musiałaby zakończyć się fiaskiem. Zewnętrzny świat zawsze będzie mógł ją odnaleźć, wciskając się bezlitośnie w najmniej widoczną szczelinę w jej pancerzu. Napęliając czajnik, zacisnęła mocno dłoń na rączce, by powstrzymać ich drżenie. Nie! Dlaczego miałybyśmy uciekać?

— Więc dlaczego interesuje się pan André? — zapytała cicho, nie odwracając się.

— Tak jak już powiedziałem, znam okoliczności zniknięcia tych dwóch motocyklistów.

Wiem też, że zdolności Andy miały jakiś związek z tą sprawą.

Już wiedziała, co powinna zrobić. Musi zabić tego człowieka — tego intruza. W ciągu paru minut, gdy stała odwrócona plecami do niego, opracowała plan działania. Zabije go, wyniesie jego ciało do samochodu po zapadnięciu zmroku i wywiezie stąd. Ukryje samochód i zwłoki w pobliskim lesie, a potem wróci po André. André sprawi, że samochód i ciało znikną raz i na zawsze.

Laura zaśmiała się głucho.

— Naprawdę? I uważasz, że wszyscy uwierzą w tę bajkę? Tuż pod ręką miała duży nóż Kitchen Devil. Trzydzieści centymetrów ostrza jak brzytwa, z nierdzewnej stali. Kiedy się odwróci, jej prawa ręka znajdzie się przy jego lewym boku. Wprowadzi ostrze prosto w jego serce.

— Nie. Ale też nie zamierzam mówić o tym nikomu — odpowiedział Lloyd.

238

— Przecież jesteś dziennikarzem. — Jej palce skradały się w kierunku noża.

Jej nienaturalny spokój zaniepokoił Lloyd.

— No cóż, jestem. Ale proszę, uwierz mi, Lauro...

Lauro! Ten sukinsyn zdążył się dowiedzieć, jak mam na imię!

— ... daję ci słowo, że nie zrobiłbym...

Wyczerpujące partie squasha staczane z dziewczyną przydały się Lloydowi. Miał na tyle szybki refleks, by złapać Laurę za prawy nadgarstek — lecz nawet przeważający wzrost i siła nie wystarczyły, by zatrzymać pęd jej niespodziewanego ataku. Wykręcał ciało na boki, jednocześnie próbując odepchnąć ją od siebie. Ostrze ciężkiego noża wbiło się głęboko w sosnową boazerię tuż nad jego ramieniem. Próbowwała wyciągnąć go, lecz nie znalazła oparcia dla nóg, a Lloyd był szybszy. Zacisnął dłoń na jej nadgarstku i wykręcił go ze wszystkich sił, zmuszając ją do rozwarcia palców, tak by mógł wyszarpnąć jej rękę z rękojęści noża. Jęknęła z bólu i próbowała uderzyć go w twarz lewą pięścią. Lloyd obrócił ją tak, że znalazła się plecami do niego, przygwoździł obie ręce do ciała i unieruchomił, obejmując ciasno ramionami. Gdyby zaczęła kopać, nie miałby skrupułów i odpłaciłby tym samym, ale znacznie mocniej.

— Posłuchaj, ty głupia suko — warknął do jej ucha. — Tylko my dwoje znamy prawdę o Andy i nie powiemy o tym nikomu! Zrozumiałaś? Nie powiemy o tym nikomu! A teraz, na litość boską, zacznij zachowywać się rozsądnie, kobieto.

— Boli mnie to, co robisz! — parsknęła.

— Świetnie. Nie ma jak odrobina bólu, by poprawić myślenie. Za chwilę uwolnię cię i posadzę na krześle. Jeśli spróbujesz wykonać kolejny popis, przysięgam na Boga, uderzę cię tak, że spędzisz tydzień w szpitalu. Nie mam skrupułów, jeśli chodzi o bicie kobiet, które próbują mnie zarżnąć. Kapujesz?

Wyglądało na to, że szarpanina wyczerpała ją, ale nie zamierzał ryzykować. Pchnął ją na krzesło, wyrwał nóż ze ściany i zagroził jej nim.

Jednak groźby nie były już konieczne. Wpatrywała się w niego, jej pierś wznosiła się miarowo, a łzy spływały bezgłośnie po twarzy. Dziwne, ale całe zdarzenie odbyło się bez większego hałasu. Przez uchylone drzwi dobiegały ich odległe eksplozje i dźwięk dział laserowych, dowodząc, że André skutecznie utrudnia życie wrednym Egronom.

239

Lloydowi nagle zrobiło się żal tej kobiety. Wtargnął siłą do jej przytulnego, dobrze chronionego świata, który zbudowała z sosnowych kredensów i warkoczy suszonych główek czosnku, a jego wiedza i obecność groziły zniszczeniem tego życia i odebraniem jej córki. Nic dziwnego, że zaatakowała go. Położył nóż na suszarce i nalał wody do plastikowego kubka. Oczekiwał, że wytrąci mu go z ręki, ale przyjęła go bez słowa.

Usiadł, chcąc by poczuła się mniej zagrożona, ale przysunął krzesło, gotów złapać ją, jeśli będzie musiał.

— Posłuchaj, Lauro — zacznij łagodnie. — Proszę, przestań się mnie bać. Przysięgam, że jestem twoim przyjacielem. Naprawdę chcę ci pomóc. Błagam, zechciej mi uwierzyć.

— Nie potrzebuję niczyjej pomocy. — Szloch, który starała się powstrzymać, sprawił, że wypowiedziane zdanie zabrzmiało jak drżąca skarga.

— Myślę, że potrzebujesz, Lauro. Nie wiem, jak długo szarpałaś się, próbując dać André normalne życie, ale...

— Nie — nie wiesz — mruknęła Laura z odrobiną dawnej werwy. — Nikt nie może tego wiedzieć. Ale nie obchodzi mnie to. Nie przestanę opiekować się Andy do końca życia, jeśli będę musiała...

— Nie możesz, Lauro. Prędzej czy później może dojść do kolejnego wypadku, takiego jak w ubiegłą środę...

Usiadła prosto i wpatrzyła się w niego. W jej oczach pojawił się dziki błysk.

— A cóż ty możesz wiedzieć o środku? Możesz cokolwiek udowodnić? Nie! Więc zostaw nas w spokoju.

— Lauro, posłuchaj, ja nie chcę niczego dowodzić. Jednak potrafię domyślić się, co się wtedy wydarzyło, ponieważ widziałem, co przytrafiło się przed chwilą Jeffowi Harcourtowi.

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Była już bardziej opanowana.

— Co właściwie mu się przytrafiło? Lloyd opowiedział jej.

— Nic mu nie jest? — przerwała mu zaniepokojona, tym razem naprawdę przejęta. — Nie wybaczyłabym sobie, gdyby...

— Jest cały i zdrowy, ale tylko dzięki temu, że zdążyłem krzyknąć na André. Jest przykonany, że to był strzał z tłumika. To było naprawdę niezwykle. Na chwilę przed tym hukiem cała atmosfera wydawała się

240

naelektryzowana potężnym dodatnim ładunkiem. Iskry przeskakiwały pomiędzy moimi palcami a samochodem, kiedy wysiadałem. To wszystko było bardzo dziwne. Czy widziałas już kiedyś, żeby coś takiego działo się z Andy?

Laura spojrzała na niego.

— Przysięgasz, że nie powiesz o tym nikomu?

— Tak. Jest jednak ktoś, kto wie — Ted Prentice. Był producentem programu telewizyjnego, w którym André miała wystąpić. Lecz on nie powie nikomu.

Po tylu latach samotnego życia, Laura miała trudności z zaufaniem komukolwiek, ale uświadomiła sobie, że nie ma wyjścia i musi zawierzyć temu wysokiemu mężczyźnie o zdradziecko łagodnym sposobie bycia.

— Chodzi mi o naelektryzowanie powietrza — przypomniał jej Lloyd. — Czy widziałas już coś takiego?

Laura pokręciła głową i wypła łyk wody.

— Nie, niezupełnie — to nie było wyładowanie — zawahała się. Opowiadanie komuś o André było jak walka z sobą samą — jak rzucenie wieloletniego przyzwyczajenia. — Ona... zmieniła się. W zeszłą niedzielę kupiła mi kwiaty z okazji Dnia MatM. A przed chwilą... Przed chwilą... Pocałowała cię. Nigdy wcześniej tego nie robiła... Jednak niełatwo było opowiadać o wspomnieniach, które powracały tak boleśnie.

Lloyd pomyślał, że może ją onieśmiela i odsunął się z krzesłem — a Laura ku swemu przerażeniu uświadomiła sobie, że jest jej przykro.

Nie, nie daj się zwieść temu łagodnemu głosowi i współczującej wyrozumiałości ani jego obietnicom! Jest twoim wrogiem. Musisz walczyć z nim, w przeciwnym razie odbierze ci André!

Lloyd wyczuł nagłą zmianę nastroju.

— Może zrobiłbym nam herbaty? — zaproponował.

Normalnie myśl o tym, że ktoś miałby korzystać z jej kuchni, przeraziłaby Laurę, jednak teraz znajdowała się w stanie głębokiej rozterki wewnętrznej, część jej zdecydowana była walczyć z intruzem zębami i pazurami, część zaś odczuwała ogromną ulgę, że znalazł się ktoś, z kim mogłaby podzielić się swoimi problemami. Wreszcie przytaknęła.

— Znajdziesz wszystko co trzeba w szafce nad zlewozmywakiem. Czajnik jest pełen.

Lloyd włączył elektryczny czajnik, znalazł dwa kubki i postawił je na stole. Czekaając, aż woda się zagotuje, opowiedział wszystko Laurze,

241

począwszy od zainteresowania, jakie wzbudziła w nim umiejętność podawania czasu André podczas lotu z Singapuru i wizyty u Teda Prentice'a w Epsom. Przerwał, by zrobić herbatę i dopowiedział resztę.

— Więc André rzeczywiście wywoływała burzę podczas tego przesłuchania? — wtrąciła się Laura, kiedy powiedział jej o wynikach analizy nagrania wykonanej przez Rikkiego Steadmana.

Lloyd uśmiechnął się.

— Ted Prentice jest ci winien przeprosiny. Czuje się winny z tego powodu. Czy André nadal potrafi wywracać piłeczki tenisowe na lewą stronę?

— Nie. Nigdy nie potrafiła. To Khalid, syn Sajii'a. Poznaliśmy się podczas przesłuchania i staliśmy się przyjaciółmi. Są Irakijczykami

— Kurdami. Biuro Imigracyjne wydalilo ich z kraju na początku tego roku.

— Pamiętasz z tego spotkania kamerzystę, który chodził wszędzie filmując dzieci?

— Chyba tak. Mówił, że to pomoże im oswoić się z kamerą.

— Pewna kobieta, która potrafi czytać z ruchów warg i widziała fragment rozmowy Andy z Khalidem, uważa, że to ona pokazywała chłopcu, co można zrobić z piłką.

— André nie potrafi wywracać piłek na drugą stronę. Nigdy tego nie robiła.

— Może i nie — powiedział zamyślony Lloyd. — Kobieta czytająca z ruchów warg nie była stuprocentowo pewna tego, co mówili do siebie. Może André obudziła w Khalidzie ukryte zdolności?

Laura skrzywiła się.

— Gdyby wywracanie piłek na drugą stronę było jedynym, co potrafi, nie tkwiłybyśmy teraz po uszy w kłopotach.

— Myślisz, że mogła zabić tych dwóch motocyklistów? — Zobaczył przerażenie w jej oczach i zaczął żałować, że zadał pytanie tak obcesowo.

— No, a co ty o tym myślisz? — zapytała po chwili.

— Naprawdę nie wiem, co mam myśleć, Lauro — przyznał Lloyd.

— Najbardziej zadziwia mnie to, że „savanci”, o których czytałem, mają tylko jedną określoną zdolność. Potrafią podawać dokładny czas, robić w pamięci skomplikowane obliczenia, zagrać dowolny utwór muzyczny lub narysować scenkę z pamięci z zadziwiającą dokładnością. André zaś ma dwie odrębne zdolności; potrafi podawać czas i potrafi wywołać burzę,

242

która wykarczuje połowę lasu. Dwie umiejętności, chyba że istnieje jakiś związek pomiędzy nimi, którego niestety nie umiem nazwać. Poza tym jest kobietą, co jest niezwykle rzadkie.

— Dzieje się tak dlatego, że cierpi na sawantyzm nabyty — powiedziała cicho Laura.

— Słucham?

Nastąpiła długa chwila ciszy, nim Laura odpowiedziała. Kiedy przemówiła, jej głos był cichy i napięty.

— Ona nie urodziła się z autyzmem. Wpakowałam ją w to przez swoją głupotę.

Nagle rozległ się ostry terkot zegara piekarnika.

— Muszę zająć się kolacją — powiedziała Laura wstając. — Dziękuję za to, że przywiózł pan André do domu, panie Wheeler.

— Przyjmę podziękowania, jeśli zaczniesz mówić do mnie Lloyd. Wstał, jego umysł pracował na pełnych obrotach, usiłując znaleźć pretekst do ponownego spotkania.

— Spróbuję odzyskać komputer. Andy rzeczywiście podłączyła się do niego.

— Będę musiała kupić jej taki.

Lloyd nagle doznał olśnienia. — Nie kupuj nowego, Lauro. Przy tej ilości konkurencyjnych firm i spadku zainteresowania możesz wybrać sprzęt pierwszej klasy na wyprzedzaży za ułamek oryginalnej ceny. Słuchaj, Putney organizuje wyprzedaż w każdy czwartek. Czwartki są zazwyczaj najspokojniejszymi dniami w biurze, zresztą mam setki nadgodzin, więc może wpadnę po ciebie jutro i pomogę ci coś wybrać?

Laura nie była przekonana.

— Muszę się zastanowić. Zaraz przyniosę twój komputer.

Zastała André leżącą w poprzek łóżka i bębniącą w klawiaturę z ponurą determinacją. Ciche eksplozje dobiegające jedna po drugiej z głośnika sugerowały, że flota kosmiczna należąca do złych Egronów z gry „StarGlider” ponosiły sromotną klęskę.

Lloyda dobiegły odgłosy sprzeczki. Wziął słuchawkę telefonu i wykręcił 175 — wewnętrzny numer testowy British Telcom. Odezwał się nagrany na taśmie kobiecy głos informujący, z jakim numerem się połączył. Powierzył go swej pamięci i odłożył słuchawkę. Laura pojawiła się minutę później z przepaszającym wyrazem na twarzy.

— Gra w „StarGlider”. Czy istnieje możliwość zatrzymania gry, tak jak je zatrzymujemy w stacji BBC w szkole?

243

— Eeee... Nie. Kiedy wyłączy się komputer, trzeba zacząć grę od początku.

Laura zmarszczyła czoło.

— Cholera.

— Ale w czym problem?

— Powiedziała, że doszła do piątego poziomu i nie chce przerwać gry. Lloyd spojrzał z niedowierzaniem.

— Poziom piąty? To niemożliwe.

— Moja córka nie kłamie, panie Wheeler.

— Nie, oczywiście, że nie — powiedział szybko Lloyd. — Chodzi

o to, że nigdy nie udało mi się wyjść poza trzeci poziom — przerwał

i uśmiechnął się. — Słuchaj, to żaden problem. Niedaleko stąd jest obskurna kafejka. U

Jacko. Wpadłem tam w poniedziałek. Pójdę coś przekąsić i wrócę tu, powiedzmy, za godzinę, by odebrać sprzęt. Przypuszczam, że nie będzie potrzebowała więcej czasu. Utrzymanie się dłużej na poziomie trzecim graniczy z niemożliwością.

Laura uśmiechnęła się blado.

— Nie mogę pozwolić, byś jadał u Jacko. Nie chcę mieć jeszcze i ciebie na swoim sumieniu.

— Zawahała się. — Czy chciałbyś zjeść z nami kolację? Jeszcze zanim pytanie zostało wypowiedziane, nie mogła uwierzyć, że padło z jej ust.

— Nie, nie powinienem...

Dobra więc — idź do Jacko i życzę ci smacznego. Ale nie powiedziała tego. Usłyszała natomiast, jak mówi:

— Przyrządziłam pudding ze stekiem i cynaderką, więc powinno starczyć dla każdego.

— Własnoręcznie?

Pozbądź się go, ty głupia dziwko!

— O, tak. Wzięłam parę dni wolnego. Kiedy mam czas, lubię ugotować coś domowego. Jest jednak pewien problem... Skinęła głową w kierunku małego, czarno-białego telewizorka

stojącego na kredensie. — Będiesz musiał zaliczyć kolejny odcinek „Sąsiadów”, o siedemnastej trzydziści.

Lloyd roześmiał się.

— To bardzo miło z twojej strony.

Dla puddingu ze stekiem i cynaderką jestem gotów znieść godzinę z Des O'Connor.

244

Laura przyłączyła się do śmiechu. Była naprawdę piękna, kiedy się śmiała.

ROZDZIAŁ 71

PÓŁNOCNY IRAK

Nuri wyrównał szpadlem piaszczystą glebę pod drewnianą ramą i umieścił deskę we właściwej pozycji, pomagając sobie młotkiem. Wyprostował się i poprawił przepaskę zbierającą pot z czoła, a następnie zaczął zaklinowywać deski za pomocą gontów wyjętych z dachu szopy przy bungalowie. Było gorąco i praca w wykopie wyczerpywała siły. Spojrzał na górę na kwadrat światła sześć metrów nad głową. Deski i krzyżakowe wzmocnienia rozperek, którymi wyłożyli prostokątny otwór, nie wyglądały zbyt solidnie, ale były wystarczająco odporne. Pomysł Khalida o wykorzystaniu drewnianego warsztatu jako źródła materiałów okazał się trafiony; dwucentymetrowej grubości deski powinny wytrzymać wiele lat.

Powrócił do rozbijania oskardem twardego piaskowca. Jeszcze pół godziny i przyjdzie kolej na Khalida. Ziemia była teraz miękka i ustępliwa na skutek przecieków wilgoci; woda ochlapała workowate spodnie i buty, które wraz z Khalidem znaleźli w bungalowie. Niemile widziana woda zwiększyła ciężar kosza ziemi, który trzeba było wyciągnąć na powierzchnię. Nagle poczuł głucho drżenie pod stopami i przerwał pracę, by posłuchać. Wykop rezonował i wzmacniał dziwny dźwięk.

Było to groźne dudnienie potężnych ciężarówek.

Khalid przysiadł na grzbiecie dachu, wyciągając gwoździe z desek na wpół rozebranego warsztatu, kiedy usłyszał krzyk jednej ze staruszek. Podniósł głowę. Ze swego doskonałego punktu obserwacyjnego zobaczył tuman kurzu i to, co go wznieciło.

Zeskoczył z dachu bliski paniki i przebiegł sto metrów dzielące go od góry ziemi przy nowej studni.

— Nuri! — krzyknął. — Transportery piechoty!

Dokładnie w tej samej chwili pojawiła się na szczycie prowizorycznej drabiny głowa Nuriego. Zdążyli opracować plan działania na wypadek

245

podobnej sytuacji, toteż Khalid zobaczywszy Nuriego wyłaniającego się ze studni, popędził w kierunku najbliższej stodoły, płosząc po drodze kurczaki.

Bluebird był częściowo ukryty pod stertą siana w ciemnym końcu budynku wzniesionego z cegieł z błota, przodem na wprost otwartych wrót. Znalazł się za kierownicą na chwilę przed tym, jak Nuri wskoczył na siedzenie pasażera i schwycił załadowaną strzelbę leżącą na podłodze. Palce Khalida zacisnęły się na kluczyku tkwiącym w stacyjce. Ich plan był prosty: kiedy żołnierze zaczną przeszukiwać stodołę, Khalid mszy wprost przed siebie i wyjedzie z wioski, podczas gdy Nuri będzie strzelał po oponach.

Czekali w chłodnym półmroku, serca biły im jak oszalałe, nerwy mieli napięte do granic wytrzymałości, wzrok wbity w plamę światła dziennego przy wejściu. Nasłuchiwali dźwięków silników Diesla zgrzytających bliżej i bliżej. Khalid przekręcił kluczyk w stacyjce, by zwolnić blokadę kierownicy nissana. Ubita ziemia zadrżała. Z uczuciem ulgi Nuri pomyślał, że są to transportery ciężkie; były zbyt ciężkie jak na typowo uzbrojone wozy piechoty.

Sowiecka ciężarówka w barwach kamuflażowych przetoczyła się obok wejścia do stodoły, jej silnik pracował na niskim biegu. Z początku Nuri myślał, że pojazd gaśnicowy na platformie pierwszego transportera to czołg.

— Buldożer — syknął Khalid, jego oczy były szeroko otwarte. Drugi pojazd przetoczył się z ogłuszającym warkotem. On także wiózł

jaskrawożółty buldożer Intemationala. Warkot pojazdów milkł w oddali, ale ziemia wciąż dudniła od głuchych wstrząsów, gdy potężne opony pokonywały wyboje.

Kiedy Nuri uznał, że transportery są już kilometr od nich, położył strzelbę na podłodze samochodu i ostrożnie wyszedł na słońce. Osłonił dłonią oczy i spojrzał na oddalającą się kawalkadę, która wspinała się na wzniesienie, podążając na północ.

— Do czego są im potrzebne te buldożery, Nuri? — zapytał Khalid, który pojawił się u boku starszego mężczyzny.

— Nie wiem. — Nuri pokręcił głową i wtedy przypomniał sobie, że już wcześniej widzieli na drodze głównej koparki i buldożery firmy JCB podążające na północ.

Coś wielkiego działo się lub miało się wydarzyć na jego ojczystej ziemi. Strach zacisnął lodowate palce na sercu Kurda.

ROZDZIAŁ 72

PÓŁNOCNA ANGLIA

Kolacja w przytulnej kuchni Laury okazała się sukcesem w dużej mierze dzięki temu, że Lloyd zdawał się zapomnieć, jak blisko zamordowania go była uroczą gospodyni niecałą godzinę temu.

Jego bezpośredni sposób bycia zdawał się przywracać André do życia; nie spuszczała z niego oczu. W pewnej chwili postarała się o coś na kształt uśmiechu, słysząc jeden z jego żartów.

Reakcja ta zdziwiła Laurę i była bolesnym przypomnieniem tego, co jej córka musi tracić, nie mając ojca, z którym mogłaby porozmawiać. Lloyd nie wiedział o tym, ale był pierwszym mężczyzną, z którym Laura jadła kolację w swojej kuchni. Jak tylko zakończyli posiłek, André zniknęła w swoim pokoju, by podjąć walkę z niegodziwymi Egromami.

— Nie za długo, młoda damo — zawołał za nią Lloyd. — Twoja mama zechce mnie wkrótce wyrzucić.

— Niedługo, Lloyd — obiecała André.

— Wolę tę formę od Compacta — zauważył Lloyd. — Nie pasuje do mnie.

Pozytywna reakcja André na przyjacielskie upomnienie Lloyda była kolejną, zaskakującą niespodzianką dla Laury w tym dniu pełnym niespodzianek. André zawsze podzielała nieufność matki wobec obcych, ale jej stosunek do Lloyda dowodził, że zaczyna formułować własne opinie. André dziecko oddalała się bezpowrotnie od niej, Laura była tego świadoma, ale nie wiedziała, czy cieszy ją to, czy smuci.

— To było bardzo miłe z twojej strony, Lauro. Od miesiący nie jadłem tak dobrej kolacji — powiedział szczerze Lloyd. — Nie chciałbym jednak nadużywać twojej gościnności.

Spojrzała uważnie na niego i uznała, że jego troska jest nie udawana.

— Nie przejmuj się — powiedziała, stawiając na stoliku filiżanki do kawy. — W środowe wieczory André wymyka się spod władzy rodzicielskiej i spędza wieczór poza domem.

— Dokąd chodzi zazwyczaj? Nalała im kawy z dzbanka.

— Do spelunki Jacko. Lloyd zaśmiał się.

247

— Nie jest zbyt wybredna.

— Okoliczna młodzież nie ma wielkiego wyboru.

Spoważniał, wiedząc, że zamierza wkroczyć na niebezpieczny grunt.

— Czy właśnie tam wybrała się w zesłą środę?

— Tak.

— Może nie będzie chciała wyjść dziś wieczór?

— Będzie — powiedziała zdecydowanie Laura.

— Opowiedz mi o tym wypadku. Ile miała lat, kiedy to się wydarzyło? — zapytał łagodnie Lloyd.

Laura spojrzała ostro na niego.

— Czego dokładnie zdołałeś się dowiedzieć podczas swoich dziennikarskich poszukiwań?

— Powtórzyłem ci już wszystko, co wiem, Lauro. Powiedz — proszę. Wolno mieszała kawę. Potrzebowała czasu, by zebrać myśli.

On jest bardzo dociekliwy. Jeśli nie powiem mu i tak dowie się z innego źródła, więc co mam do stracenia?

— To wydarzyło się w 1980 roku. Ja i David byliśmy na przyjęciu...

— David?

— Mój mąż. Wypił znacznie więcej ode mnie, więc ja usiadłam za kierownicą...

Lloyd zobaczył ból w jej oczach i miał ochotę poprosić ją, żeby przerwała, jednak wyczuł, że Laura czuje potrzebę mówienia i nie odezwał się słowem.

— Andy siedziała z tyłu. Miała pięć lat. Specjalne krzeselka dla dzieci nie były czymś powszechnym w tamtych latach....

W ciągu najbliższych trzydziestu minut usłyszał całą historię. Powiedziała mu o potworności życia z podwójną winą, bycia odpowiedzialną za śmierć męża i ciężkie obrażenia głowy André. Opowiedziała o wysiłkach związanych z zapewnieniem córce możliwie normalnego życia i nie kończących się wizytach u specjalistów — setkach listów pisanych do osób prywatnych i instytucji na całym świecie. Przypomniała pierwsze zdarzenie, gdy André zademonstrowała swoje niezwykle umiejętności. Sprawiała mianowicie, że patyk rzucony psu zniknął. Zawahała się jedynie wtedy, gdy miała opowiedzieć o tym, jak ona i Andy wracali do domu ze stacji Witley po wizycie w Londynie związanej z audycją telewizyjną. Nie było sensu zwiększać niebezpieczeństwa sytuacji, w jakiej się znajdowali, opowiadając Lloydowi o zniknięciu mężczyzny. Zresztą, mimo upływu

248

sześciu lat nie potrafiła sobie wybaczyć, że wówczas świadomie zadała André ból.

Kiedy skończyła mówić, zapadła niezręczna cisza; kawa Lloyda zdążyła ostygnąć. Myślał intensywnie nad tym, co powinien powiedzieć, kiedy André wmaszerowała do kuchni, niosąc Compaq'a w futerale. Była ubrana do wyjścia i wyglądała zaskakująco elegancko w długim, obszytym futrem skórzanym płaszczu, który, jak Lloyd przypuszczał, musiał kosztować w granicach trzystu funtów. Wziął komputer od André i zdecydował, że powinien już iść. Po raz drugi podziękował serdecznie za posiłek. Ku jego radości Laura zgodziła się na wspólną wyprawę po komputer dla André. Umówili się, że wpadnie po nią o jedenastej następnego ranka.

Kiedy wracał do domu, uzmysłowił sobie, że osiągnął więcej tego dnia, niż mógłby sobie zamarzyć. Jednak nie mógł złamać obietnicy i napisać artykułu o „savantach”: byłaby to zdrada. Przez chwilę pożałował, że zaangażował się tak osobiście; skorzystanie z zaproszenia na kolację podkopało jego profesjonalizm. Potem przypomniał sobie przyjemność, jaką odczuł, widząc, jak się śmieje z jego marnego dowcipu na temat Des O'Connor, i uznał, że jest to rodzaj podkopu, na którym jego profesjonalizm nie ucierpi.

ROZDZIAŁ 63

Detektyw sierżant Barr postawił samochód na parkingu przed kawiarnią Jacko, tuż przy samym wejściu, by móc dokładnie widzieć wchodzących i wychodzących gości. George Michael w połączeniu z wybuchami śmiechu i gwarem głosów, dudnił za zaparowanymi szybami okien kawiarni. Obok jego samochodu stała różnorodność ozdobionych tablicami z literą „L” hond i suzuki — w większości motorowerów, aczkolwiek wypatrzył też parę skuterów. Kiedy się widziało, jak popularna wśród nastolatków stała się ta niepozorna buda w lesie, myślał Yorkie, człowiek zaczynał się zastanawiać, czy radni ze swymi ambicjami, by budować kosztowane ośrodki dla młodzieży, nie popełniali czasem błędu.

Światło po lewej stronie przyciągnęło uwagę sierżanta.

Rowerzysta zbliżał się w jego kierunku, omijając z wprawą dziury w podjeździe. Była to André Normanville — powód, dla którego tu się znajdował. Przejechała przez teren, który był wielkim skupiskiem kałuż,

249

nie zmoczywszy opon. Sierżant był pod wrażeniem tego wyczynu, ale przypomniał sobie opinię jednego z jej sąsiadów, że jeździ genialnie na dwóch kółkach. Opuścił szybę i obserwował dziewczynę jadącą na rowerze, w którym rozpoznał wart parę setek model wyczynowy firmy Dawes.

Zajechała przed wejście do kawiarni i zahamowała. Potem zrobiła coś, czego policjant nie widział nawet w cyrku. Zatrzymała się, lecz zamiast postawić jedną nogę na ziemi, stała nieruchomo na idealnie zbalansowanym rowerze, nie zdejmując nóg z pedałów. Znajdowała się zaledwie dwa metry od niego, a jednak wyraźnie go ignorowała, chociaż — czego sierżant Barr był pewien — wiedziała, że siedzi w samochodzie i obserwuje ją. Jego podejrzenia potwierdziły się, kiedy spięła rower łańcuchem i wyprostowała się. Wszzechwidzące, zielone oczy, które wpatrywały się w niego, były pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, a jednak policjant nie mógł pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, że drwi sobie z niego. Odwróciła wzrok, lecz wcale nie dlatego, że poczuła wyrzuty sumienia, tylko tak jej pasowało. George Michael wtargnął na parking, kiedy pchnęła drzwi i weszła do zadymionego wnętrza przybytku Jacko, nie obejrzawszy się za siebie.

Sierżant Barr siedział zatopiony w myślach przez dłuższą chwilę. Był niemal pewien, że dziewczyna nie pojawi się — nie żeby miało to coś znaczyć. Najbardziej przykre było to, że Yorkie nie wiedział, co ma myśleć. Najpierw zniknięcie Crabbiego Howarda, pijanego w pestkę, a teraz tych dwóch motocyklistów.

Kiedy awansował na detektywa, był przekonany, że zostanie obdarzony nieomylną intuicją i samymi niezawodnymi przeczuciami. No cóż, nie brakowało mu przeczuć; jednak czteroletnie doświadczenie nauczyło go, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich zawodzi, a pozostały jeden procent nie zda się na wiele bez dowodów. Westchnął i zajrzał do notatnika. Miał na tapecie ponad pięćdziesiąt spraw. Zniknięcie Dabbera i Greasera będzie musiało zejść na koniec listy i zostać tam. Dwie żyjące, oddychające istoty ludzkie przemieniły się w statystykę przez kaprys opóźnionej w rozwoju dziewczyny obdarzonej zielonymi oczami i zadziwiającym poczuciem równowagi — a on nie mógł nic na to poradzić.

ROZDZIAŁ 74

14 marca 1991

W godzinę po wyprawieniu André do szkoły, Laura usiadła, nie mogąc skoncentrować się na żadnej czynności — aczkolwiek było parę domagających się uwagi. Spotkanie z Lloydem Whleerem poprzedniego dnia rozdrażniło ją. Miał czelność zrobić to, co zrobił — wytropić ją w ten sposób. A jednak skończyło się na tym, że zaprosiła go na kolację! Absurdalne — podobnie jak jej zgoda na dzisiejsze spotkanie. To nie był zwykły wypad po zakupy, lecz cały dzień poza domem, z lunchem i konwersacją a także zobowiązaniami, bez których mogłaby się obejść. Radziła sobie świetnie sama przez ponad dziesięć lat, więc chyba potrafiłaby kupić komputer bez męskiej pomocy... Miała ochotę zadzwonić do niego i odwołać wszystko, ale było piętnaście po dziesiątej i pewnie był już w drodze. Przypomniała sobie, że ma on przenośny telefon, ale Bóg jeden raczył wiedzieć, gdzie położyła jego wizytówkę.

10.15! Na Boga! Jak późno!

Popędziła do łazienki i wzięła prysznic. Nie miała pojęcia, w co powinna się ubrać. Pod wpływem impulsu otworzyła lewe drzwi szafy, część, do której od lat nie zaglądała, i przejrzała parę schowanych do plastikowych pokrowców sukienek, oszczędzanych z czasów odległych szczęśliwych dni z Davidem. Zostały zepchnięte w daleki koniec wieszaka, jednak pomiędzy nimi znalazła się granatowa, wełniana, zapinana za guziczki sukienka z białym

kołnierzykiem, na tyle prosta, by nie zestarzeć się i na tyle krótka, by znów stać się modną. Należała do sukienek, które David lubił najbardziej — i wciąż pasowała jak ulał. To dziwne, ale Laura ważyła tyle samo co dziesięć lat temu. Było to coś, czemu nie poświęcała zbyt wiele czasu, ponieważ do tej pory nie miało to żadnego znaczenia... Rajstopy — tak rzadko kupowała je dla siebie, ale na szczęście André miała dziesiątki nie noszonych par. Miała przelotne poczucie winy, kiedy je wkładała, obiecała sobie jednak przetransferować pieniądze za nie ze swojej czarnej portmonetki do czerwonej, którą przeznaczyła dla André. Buty — para białych, noszonych tylko raz pantofli na wysokich obcasach, które pasowały do stroju podróżnego. Obcasy mogły okazać się problemem; nie nosiła obuwia na obcasach od wypadku. Parę próbnych kroków po sypialni i uznała, że da sobie radę.

251

Boże, zachowuję się jak nastolatka przed pierwszą randką. Obejrzała się krytycznie w lustrze toaletki. Trzeba zrobić coś z tym kokiem...

Pięć minut później, po wyszczotkowaniu włosów i zrobieniu makijażu kosmetykami Mary Quant wypożyczonymi z sypialni André, zobaczyła swe odbicie w wysokim lustrze córki i prawie zemdląła z wrażenia. Patrzyła na kogoś, o kim myślała, że nie żyje: godne potępienia stworzenie, które zabiło ukochanego mężczyznę, zniszczyło życie córki i pozbawiło ją ojca. W pierwszym odruchu miała ochotę zedrzyć z siebie wszystko — ale powstrzymał ją dźwięk potężnego silnika na podjeździe.

ROZDZIAŁ 75

Lloyd nie był jedynym, którego zaskoczyła transformacja Laury.

Wysoka, elegancka kobieta idąca podjazdem do czekającego, jask-rawożółtego lotusa spowodowała zamieszanie wśród zerkających zza siatkowych firanek sąsiadów, którzy znali Laurę od chwili jej zamieszkania w Durston Wood.

Lloyd wziął się w garść i wyskoczył z samochodu, by otworzyć drzwiczki od strony pasażera. — Wyglądasz fantastycznie, Lauro — zawołał, czując się niezręcznie w spodniach i luźnym swetrze. Mile zaskoczony i pochlebiony, był bliski powiedzenia jej, że wygląda dużo lepiej bez koka, ale uznał, że nie powinien przekraczać pewnej granicy.

Laura obdarzyła go ciepłym uśmiechem; jego widoczny zachwyty pozwolił jej zapomnieć o poczuciu winy. Minęło tyle lat, od kiedy jakiś mężczyzna obdarzył ją komplementem, toteż poczuła lekki, przyjemny dreszczyk, widząc Lloyda zerkającego z aprobatą na jej nogi, gdy wsiadała do samochodu. Dawna, zamknięta w sobie Laura, walcząca przez wszystkie te lata o rehabilitację i uznanie, zaczęła odczuwać, że wreszcie została zauważona.

ROZDZIAŁ 76

Max był zbyt przebiegłym fachowcem, by zachowywać się w sposób wzbudzający podejrzliwość. Żadnego kulenia się na przednim siedzeniu

252

ani podobnych nonsensów. Rzecz jasna, byłby szczęśliwszy, gdyby mógł zaparkować w pewnej odległości od Tushingham Court, jednak chcąc obserwować budynek, musiał znajdować się blisko niego. Nie przejmował się zbyt; ludzie rzadko zagląдают do zaparkowanych samochodów, a Benny Straw, portier Tushingham Court, nie był tu wyjątkiem.

Ford escort podstarzałego portiera wyjechał z parkingu dla lokatorów i potargany staruszek spojrzął ostrożnie w prawo i lewo, podczas gdy Max siedział w swoim BMW beztrzesko przerzucając kartki przewodnika po Londynie. Portier wyjechał, minął Maxa, dotarł do końca ulicy i zniknął. Max natychmiast wysiadł z BMW, wyjął teczkę i zamknął drzwiczki. Kiedy nacisnął przycisk pilota przy kluczykach, mechanizm zamka centralnego zareagował serią jednoczesnych trzasków. Te małe urządzone działają bez zarzutu i Maxowi podobało się to. Lubiał wszystko, co spełniało swe zadanie z maksymalną skutecznością. Podobnie jak jego

schludny, ciemnoszary garnitur, aktówka i energiczny sposób bycia: przebranie pasujące idealnie do tego sąsiedztwa. Pojaw się w eleganckiej, elitarnej dzielnicy Swiss Cottage ubrany w adidas, dżinsy i sportową kurtkę, a telefony pogotowia policyjnego Scotiand Yardu zaczęły się urywać.

Przeszedł, przez ulicę, zakładając cienkie zamszowe rękawiczki i wszedł do małego holu Tushingham Court. Kamera systemu bezpieczeństwa została zamontowana nad wejściem zbyt wysoko; w efekcie oznaczało to, że trudno będzie ustalić wzrost danej osoby — najbardziej cenna informacja niezbędna policji do identyfikacji podejrzanego.

Max nacisnął guzik dzwonka mieszkania portiera. Miał dom pod dyskretną obserwacją od poprzedniego dnia i wiedział, że Benny Straw mieszkał sam, jednak nie zaszkodziło sprawdzić.

Czekając, zbadał zamek przy drzwiach wejściowych. Z poprzedniej wizyty, kiedy to portier wpuścił go do mieszkania Hameta al Karniego, pamiętał, że niewielkie mieszkanie w tym budynku zabezpieczono różnorodnymi, skomplikowanymi zamkami. Jednak nie mieszkanie portiera. Zamek Benny'ego Strawa był zwyczajnym yale, a drzwi słabe i nie zabezpieczone. Wyjmowanie łomu z teczki byłoby stratą czasu. Max był niski, jednak dzięki regularnym treningom solidnie zbudowany, a podczas wielu lat spędzonych w wojsku nauczył się i stosował różne zabójczo skuteczne techniki.

Drzwi wpadły do środka przy pierwszym pchnięciu. Nie było żadnych odprysków drewna — zaczep zamka wyrwał dwie śruby mocujące

253

z framugi, tak że można było dokręcić je później z powrotem, nie zostawiając śladów włamania. Ale to dalsza sprawa.

Zastawił drzwi krzesłem i rozejrzał się wokół. W korytarzu znajdowało się pięć drzwi. Najmniejszy pokój służył za biuro. Tushingham Court. Staromodne, żaluzjowe biurko pękało od rachunków i faktur. Ściany były wyłożone półkami pełnymi pędzli, puszek farby i lakieru, narzędzi.

Spojrzenie Maxa przyciągnął czarno-biały monitor przekazujący obraz uchwycony przez kamerę zamkniętej sieci telewizyjnej na zewnątrz. Z ulgą stwierdził, że nie jest podłączony do magnetowidu. Zajrzał do salonu i zobaczył bliźniaczy monitor na telewizorze — magnetowid stojący obok na podłodze nie był nawet podłączony do sieci, więc nie musiał go sprawdzać. Gdyby był włączony, Max musiałby przejrzeć końcówkę nagrania; wolał uniknąć zostawiania swego portretu.

Powrócił do biura. Szczęście go nie opuszczało: pęki kluczy do mieszkań nie były przechowywane w sejfie, ale zgodnie z jego oczekiwaniami wisiały na drewnianej tablicy, każdy haczyk oznaczono właściwym numerem mieszkania. Max ominął rozmontowaną kosiarkę do trawy i wziął klucze do mieszkania numer 11. Opuścił mieszkanie, zaklinowując drzwi wejściowe kawałkiem złożonej gazety. Pokonał schody biorąc po dwa stopnie naraz i wszedł do mieszkania Hameta al Karniego.

Benny Straw był pięć kilometrów od Tushingham Court, kiedy uświadomił sobie, że zostawił kartkę z wymiarami okna pani Ridley w biurze. Zaklął pod nosem. Miał ochotę zapomnieć o tym i kontynuować wyprawę po zakupy, ale obiecał pani Ridley z mieszkania numer 32, że naprawi wybitą szybę w najbliższy weekend, ona zaś zadeklarowała się, że dostanie napiwek w wysokości dwudziestu funtów, jeśli dotrzyma słowa.

Niech szlag trafi tę głupią babę, która zostawia okno otwarte przy takim wietrze. Czy naprawdę wierzyła, że ten jej cholerny kanarek wróci do domu? Przypuszczalnie znajduje się już w brzuchu podwórkowego kocura. Zawrócił escorta i mszył z powrotem do Tushingham Court.

ROZDZIAŁ 77

Pomimo początkowych obiekcji Laura bardzo dobrze bawiła się w towarzystwie Lloyda. Po tylu latach niezależności zapomniiała, jak miło jest mieć kogoś, kto podejmie za nią decyzje. Pełne podziwu spojrzenia, jakimi obdarzano ją i lotusa, wywołały echo dawnych dni Davida i jego porsche. To dziwne, ale wspomnienia te nie były bolesne — może dlatego, że Lloyd potrafił być uroczym towarzyszem.

Podczas wyprzedaży zastosowała się do jego rady i kupiła prawie nowy komputer PC kompatybilny z IBM-em, z nowoczesnym kolorowym monitorem i twardym dyskiem. Po raz pierwszy kupiła dla André rzecz używaną, ale było to najrozsądniejsze rozwiązanie.

Lloyd zauważył, że zapłaciła gotówką wydobytą z czerwonej portmonetki pełnej banknotów dwudziesto- i pięćdziesięciofuntowych. Za pakiet gier komputerowych kupionych w sklepie z oprzyrządowaniem firmy Virgin także zapłaciła z czerwonej portmonetki. Jednak kiedy Laura uparła się, by zapłacić za lunch zjedzony w pubie w drodze powrotnej do Durston, zaintrygowany Lloyd zauważył, że wyjęła pieniądze z prawie pustego czarnego portfela.

ROZDZIAŁ 78

Max pracował szybko. Zaryzykował i postanowił ominąć główną sypialnię: szuflady kredensu były co prawda zapełnione dokumentami, przeważnie w języku arabskim... Wróci jeszcze do nich, jeśli starczy mu czasu.

Pokój chłopca wyglądał bardziej obiecująco. W komodzie znalazł parę angielskich książeczek dla dzieci: Khalid musiał dostawać w prezencie każdą książkę wydawnictwa Ladybird, jaką kiedykolwiek opublikowano. W dolnych szufladach leżały rysunki czołgów, motocykli i samochodów — odręczne szkice — niektóre z nich zaskakująco dobre. Przejrzał dokładnie każdy dokument, by nie przegapić niczego, a zarazem czuł, że jest bliski odkrycia miejsca, w którym przebywa tajemnicza savantka o imieniu Andy. Wypisane starannie drukowanymi literami tytuły i rysunki przywiodły mu na myśl list, który znaleźli z Leo w irackim czołgu T-55. Zdążył już nauczyć się go na pamięć:

255

DROGA ANDY

TWÓJ LIST DOTARŁ OZDOBIONY CZERWONĄ PIECZĘCIĄ I DOPIERO PO TRZECH TYGODNIACH Z POWODU BOMBARDOWAŃ. NIE MOGĘ NAPISAĆ CI, GDZIE TERAZ JESTEM, ALE BYŁEM BARDZO SZCZĘŚLIWY, ŻE ODEZWAŁAŚ SIĘ DO MNIE. NAUCZYŁEM SIĘ ROBIĆ GRZMOTY, TAK JAK MI POKAZAŁAŚ I WCIAŻ UCZĘ SIĘ NOWYCH SZTUCZEK Z PIŁECZKAMI TENISOWYMI. ZNÓW ROZPOCZĘŁO SIĘ BOMBARDOWANIE, WIĘC DOKOŃCZĘ LIST JUTRO....

Rozwiązał wstążki przy papierowej teczce. Brak czucia spowodowany rękawiczkami złościł go, ale stawka była zbyt wysoka, by mógł z nich zrezygnować. Pojedynczy odcisk kciuka znaleziony na farmie Letherslade doprowadził do ujęcia gangu, który dokonał napadu stulecia. Jednak łup w wysokości dwóch i pół miliona funtów był niczym w porównaniu z potencjalnymi korzyściami z tej operacji.

Liścik napisany na kartce z notesika wypadł na podłogę. Schylił się po niego. Był napisany dziecięcym charakterem pisma, z niewprawnymi kółeczkami zamiast kropek na literami „i”.
ANDRÉ NORMANVILLE 16 DURSTON WOOD W POBLIŻU ALFOLD SURREY RH14 OPN

DROGI KHALIDZIE

MAMUSIA POWIEDZIAŁA, ŻE WRACASZ DO DOMU. OTO MÓJ PAMIĘTNIK Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Max nie czytał dalej. Wepchnął list do kieszeni, położył wszystko na swoim miejscu i opuścił mieszkanie. Powrócił do mieszkania portiera i po krótkiej chwili gorączkowych poszukiwań znalazł zapalki w zagraconej kuchence Benny'ego Strawa, które zamierzał umieścić w otworach po śrubach w drzwiach wejściowych, a śrubokręt zostawić w biurze. Przeszukał podłogę, by znaleźć zaczep zamka i śrubki — które, jak wszystkie upuszczone śrubki,

zastosowały się do prawa Murphy'ego i wpadły w najbardziej niedostępne kąty.

256

Trzy kroki dalej, w biurze, monitor telewizyjny pokazywał Benny'ego Strawa parkującego samochód przed głównym wejściem.

Max wepchnął zapalki do otworów po śrubach i ułamał równo z powierzchnią framugi.

Umieścił fragment zamka we właściwej pozycji i przytrzymał jedną ręką, podczas gdy drugą przykręcał go śrubokrętem. Wreszcie gwint zaskoczył. Dokręcił śrubkę i miał zamiar umieścić drugą, kiedy usłyszał odgłos kroków w holu. Wskoczył do biura i zobaczył escorta Benny'ego Strawa na monitorze.

Klucz przekręcił się w zamku i drzwi się otworzyły. Max usłyszał okrzyk zdumienia Benny'ego, kiedy nie dokręcony zaczep zamka wypadł na podłogę.

Benny wszedł do biura i zamrugał oczami ze zdziwienia, widząc Maxa.

— Witaj — powiedział przyjaźnie Max, zaciskając palce na ręczce długiego śrubokręta. — Strasznie mi przykro, staruszkule, ale obawiam się, że wróciłeś za wcześnie.

ROZDZIAŁ 79

Kobięcy zbytek sypialni André zaskoczył Lloyda, kiedy wnosił tam komputer. Kiedy Laura przygotowywała miejsce na polakierowanym na czarno biurku w stylu mapie, ogarnął wzrokiem otomanę przykrytą kosztownym pledem, puszysty dywan, biały telewizor Bang and Olufsen z pasującym magnetowidem i toaletkę. Lustrzane, rozsuwane drzwi wbudowanej szafy były otwarte, ukazując obfitość pięknych strojów i bielizny, kosztownych pantofli, butów i sandałów. Mimo to nie był to pretensjonalny pokój; dokładne dobranie odcieni pastelowych tapet i zasłon, ukryte oświetlenie, sugerowały, że urządzenie jest dziełem dekoratora wewnątrz. Sarah wyraziłaby pełną aprobatę. Lloyd, niosąc komputer z samochodu, mijał uchylone drzwi do pokoju Laury. Proste sosnowe łóżko i sznurkowy dywanik, które zauważył, kontrastowały rażąco z tą ekstrawagancją.

— Myślisz, że zdążysz podłączyć go, zanim Andy wróci ze szkoły? — zapytała Laura.

Lloyd podłączył klawiaturę i zaczął szukać gniazdka elektrycznego.

— Postaram się — odparł z uśmiechem. — Podłączanie PC bywa zdradliwe. Znalazł gniazdko za fotografią jasnowłosego, młodego mężczyzny, w którym rozpoznał Khalida z nagranej audycji.

257

— Przygotuję coś do jedzenia — powiedziała Laura, zbierając się do wyjścia. — Mam nadzieję, że lubisz kodety jagnięce.

— Nie mogę narzucać ci się dwia wieczory z rzędu. Wróciła i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Możesz i powinienes, Lloyd. Przypuszczam, że żywisz się fasolką i grzankami, teraz kiedy twoja dziewczyna wyjechała.

Lloyd roześmiał się. Podczas lunchu Laura zarzuciła go bezlitosnymi pytaniami na tematy osobiste.

— Fasolka na grzance? — powiedział naśladowując gwarę z Yorkshire.

— Nie, moja panno — to cholerny luksus. Moja kolacja składa się z plastra kaszanki doprawionej trocinami, przybranej kapką wczorajszego sosu i skibką chleba z tłuszczem spod pieczenia na deser.

Było to udane naśladowanie klasycznego skeczu Monty Pythona „Kiedy byłem chłopcem” i opuszczająca pokój Laura pokładała się ze śmiechu.

Wreszcie udało mu się uruchomić sprzęt, ale poprzedni właściciele wyczyścili twardy dysk, włącznie z systemem operacyjnym. Gdy zainstalował DOS i ustawił konfigurację, Jeff Harcourt pojawił się w ogrodzie i zaczął atakować pniak sosny siekierą. Laura zajrzała do pokoju.

— Kawa, jeśli możesz zrobić sobie przerwę.

— Świetny pomysł — powiedział Lloyd idąc za nią do kuchni.

— Zresztą prawie skończyłem.

Zdjęła wyjściową sukienkę, co było zrozumiałe, ale żałował, że włosy znów zebrała w węzeł. Stał przy zlewozmywaku, popijając kawę i gawędząc z Laurą, która obierała jarzyny. Okno kuchenne wychodziło na ogród, gdzie Jeff Harcourt mocował się z pieńkiem w zapadającym szybko zmroku. Zdawało się, że zapomniał już o przykrym wypadku, jakiemu uległ poprzedniego dnia. André jeździła na rowerze po trawniku nadal ubrana w szkolny strój. Koła zostawiały koleiny w miękkiej ziemi, co zmusiło Laurę do otwarcia okna i powiedzenia Andy, żeby trzymała się ścieżek.

— Potrafi być nieznośna, kiedy wsiądzie na ten rower — poskarżyła się Lloydowi zamykając okno. — Ale prosiłam ją, żeby nie plątała się pod nogami, dopóki nie skończysz.

— Dobry Boże! — westchnął Lloyd.

Laura poszła za jego zdumionym wzrokiem i roześmiała się. André jechała wolno po wąskim, ozdobnym ogrodowym murku, z wprawą omijając kępy zeszłorocznych porostów.

258

— Mówiłam ci, że potrafi być nieznośna. Był czas, że wystawiała na ciężką próbę mnie i naszych sąsiadów, jeżdżąc po murkach. Zdążyliśmy jednak przyzwyczać się do tego. Dziewczyna dojechała do miejsca w którym mur wykruszył się pod wpływem ostrych mrozów, tak że musiała pokonać kawałek drogi, balansując na bardzo wąskim występie; mimo to poprowadziła rower po kraszącym się fragmencie muru z brawurową pewnością siebie.

— W życiu nie widziałem czegoś podobnego — oświadczył Lloyd.

— Oczywiście, że widziałeś — odparła Laura. — Musiałeś widzieć w telewizji dzieciaki wykonujące różne akrobacje na górskich rowerach.

— Nie zdarza jej się spaść?

— Nigdy. Jednak dostałaby dobrą nauczkę, gdyby kiedyś spadła. Lloyd opróżnił kubek.

— Wracam do pracy — powiedział wychodząc. — Daj mi jeszcze jakieś dziesięć minut.

Włączył komputer i wprowadził parę niewielkich plików, które ułatwiłyby załadowanie gier. System operacyjny standardowego peceta był równie dostępny dla użytkownika co osaczony sznur. Prawie kończył, kiedy usłyszał głosy André i Jeffa Harcourta wchodzących do kuchni. Laura zapłacała i podziękowała mu, po czym matka i córka pozostały w kuchni gawędząc. Laura, jak zwykle, była tą, która mówiła więcej. Wydawała się radosna i ożywiona. Lloyd sprawdził każdą z gier po kolei, by upewnić się, że zostały właściwie załadowane. Nagły ruch na lustrzanej powierzchni drzwi szafy przyciągnął jego wzrok. Zobaczył André, z Laurą tuż za jej plecami ciekawą reakcji córki na widok nowego nabytku.

— Cześć, Lloyd — powiedziała André. Na tyle na ile potrafił wnioskować z jej bezbarwnego, pozbawionego wyrazu głosu, była zadowolona, że go widzi.

— Cześć, Andy. Co, sądzisz o komputerze, który kupiła ci mamusia? Niezły, prawda? André stanęła obok niego i zerknęła na kolorowy monitor.

— Duży — powiedziała bez emocji.

— Duży i o wiele łatwiejszy w obsłudze niż mój laptop. Nie cieszysz się?

Dziewczyna nie zareagowała.

Uczucie zawodu przebiegło przez twarz Laury.

— Zostawię was samych — powiedziała cicho i wróciła do kuchni.

259

Lloyd spróbował wyobrazić sobie, ile podobnych zawodów spotkało ją w ciągu minionych paru lat. André stała przy nim, przyglądając się, jak kończy wprowadzać pliki.

— „StarGilder”? — zapytała.

— Tak, mamusia kupiła ci dziś dużo gier. Masz szczęście, młoda damo. Mnie nikt nie kupował takich rzeczy, kiedy byłem chłopcem.

Nie odpowiedziała, ale wyraźnie nie przejmując się jego obecnością, zaczęła zdejmować spódnice, bluzkę i halkę. W pierwszym odruchu Lloyd chciał opuścić pokój i z całą pewnością zrobiłby to, gdyby zaczęła ściągać bieliznę, ale postanowił zostać i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

— Zainstaluję teraz twojego „StarGildera”, Andy — rzucił niedbale. Odetchnął głębiej, widząc jak wsuwa długie i zadziwiająco zgrabne nogi w nogawki dresu. Wcale nie była taka kanciasta, jak mogło się wydawać — tylko szczupła i wysoka. — Masz tu też dżojstika i mysz, co ułatwi ci zadanie.

Pokazał jej, na jakiej zasadzie działają. Przełożenie horyzontalnych ruchów myszy po blacie biurka na identyczne poprzeczne mchy strzałki na ekranie monitora nie sprawiało jej większego problemu, podobnie jak nieskomplikowane manerwy dżojstikiem.

— Bardzo dobrze, Andy — powiedział z uznaniem, gdy sprawnie trafiła w czołg jednej z wojennych gier, posługując się myszą. — Wiesz, parę osób, z którymi pracuję, miałoby z tym problem.

Jej intuicyjne zdolności przestały go dziwić. Z zakamarków jego umysłu zaczęła wyłaniać się teoria, że André ma niezwykłą zdolność przyswajania wszystkiego, co ma związek z mchem i przestrzenią. Nie potrafił powiązać tego faktu z innymi jej umiejętnościami, ale nie mógł pozbyć się natrętnej myśli, że posiadają wspólny mianownik — coś tak fundamentalnego, że przeklnie swoją ślepotę i głupotę, kiedy przypadkiem na to wpadnie.

Stała u jego boku, przyglądając się uważnie, jak kopiuje grę „Star-Glider” z dyskietki na twardego dysku komputera. Skończył ładować i „Star-Glider” pojawił się na monitorze w żywych, kontrastowych kolorach. André pisnęła z zachwyty i zarzuciła ramiona wokół szyi Lloyd’a. Zaniepokoił go nie tyle świadomie prowokujący napór jej piersi na jego klatkę, co namiętny, aczkolwiek niezdamny sposób, w jaki pocałowała go w usta. Przez chwilę nawet próbowała wsunąć mu język do ust.

260

Jasna cholera! Jak poradzić sobie z tym?

Odsunął ją stanowczo od siebie, ale domyśliła się z wyrazu jego twarzy, że jest zaniepokojony.

— Nie powinnaś tego robić, Andy — powiedział surowo, grożąc jej palcem. — Kto nauczył cię całować w ten sposób?

Zielone oczy były pozbawione wyrazu.

— Przyjacieli.

Pewnie jeden z miejscowych chłopców, pomyślał — ale zaraz zmienił zdanie, widząc jak patrzy na fotografię Khalida.

Podczas lunchu Laura opowiedziała mu o przyjacielskich stosunkach z rodziną al Kami i o tym, że Khalid był często w Durston Wood — ostatnia wizyta miała miejsce na krótko przed tym, jak Irakijczycy zostali wydaleny z kraju, w styczniu.

— Chciałam powiedzieć dziękuję — powiedziała André. Przytulił ją lekko, żeby pokazać, że się nie gniewa.

— Wystarczyłby mi całus w policzek. I jeszcze jedno, Andy, nie powinnaś rozbierać się w ten sposób, przy nieznanym.

— Nie jest nieznanym. — Czyżby wyczuł w jej zazwyczaj bezbarwnym głosie nutę wyrzutu?

— Właśnie, że jestem. Kiedy w pokoju znajduje się ktokolwiek poza twoją mamusią, nie rozbieraj się przy nim nigdy więcej. Zrozumiałaś?

Skinęła głową.

Spojrzał na nią rozbawiony, zadowolony i odrobinę zdziwiony poziomem porozumienia, jaki zdołał osiągnąć. Potem przypomniał sobie zdziwienie Laury poprzedniego wieczoru, kiedy André pocałowała go, gdy pozwolił jej pobawić się komputerem.

— Mamusia kupiła ci to wszystko. Nie uważasz, że byłoby jej miło, gdybyś podziękowała? Objęła ją za szyję i dała jej buziaka?

Dziewczyna nie przestała wpatrywać się w niego. Lloyd dałby wszystko, żeby wiedzieć, co też chodzi jej po głowie.

— No idź, Andy — powiedział stanowczo, odwracając ją i pchając lekko w kierunku drzwi.

— Idź podziękować mamusi.

Wyszła z sypialni i wróciła do kuchni. Lloyd skończył instalować gry i dołączył do nich parę minut później z intencją poproszenia Andy, by przeszła z nim do sypialni, gdyż chciał nauczyć ją obsługiwać komputer. Laura była sama, stała przy lodówce. Ponieważ nie odwróciła się, Lloyd podszedł do niej i zobaczył łzy spływające jej po twarzy. Natychmiast

261
domyślił się, co było tego przyczyną. Objął ją w pasie i przyciągnął mocno do siebie — to nie była odpowiednia chwila na ostrożne, stopniowe badanie gruntu. Był zadowolony widząc, że nie robi nic, by mu się oprzeć.

— Powiedziała dziękuję... — wyszeptała Laura. — Po raz pierwszy podziękowała mi...

Lloyd zacieśnił ramiona.

— Nie możesz winić jej za to. Dotąd tego nie rozumiała. Sama powiedziałaś, że kupiła ci kwiaty na Dzień Matki. Po prostu potrzebowała słowa zachęty.

Pokiwała głową.

— Domyśliłam się, że to twoja zasługa. Weszła tu, objęła mnie i pocałowała. Po tylu latach... Nie żebym oczekiwała wdzięczności. Bóg mi świadkiem, że to jest ostatnia rzecz, na jaką zasługuję. Ale kiedy pocałowała cię wczoraj... — zawahała się, nie mogąc znaleźć właściwych słów.

— Jesteś bardzo dobry dla niej, Lloyd. Może pozbawiłam ją autorytetu właściwego rodzaju... Może powinnam była wyjść ponownie za mąż...

Lloyd miał ochotę pocałować ją w szyję u nasady włosów: ten idiotyczny koczek ułatwiłby mu zadanie. Jednak obawa przed odtrąceniem kazała mu się powstrzymać.

— Nie opowiadaj głupstw. Ma cudowną, oddaną jej matkę... największy autorytet na świecie.

— Jego słowa wywołały kolejne łzy. Urwał kawałek papierowego ręcznika i delikatnie wytarł jej policzki. — Hola, panienko. To moja jedyna chusteczka. Jakbym nie miał na co wydawać emerytury.

Nagle Laura uśmiechnęła się. *

— Jesteś stuknięty, Lloydzie Wheeler. Jak mam ci dziękować?

— Pozwalając mi przedstawić cię i Andy Tedowi Prentice. Chciałby znów zobaczyć Andy i przeprosić cię za tamtą audycję.

— Nie ma mnie za co przepraszać. Zresztą cieszę się, że Andy nie została wybrana. W tamtym okresie szukałam rozgłosu myśląc, że znajdzie się ktoś, kto ją wyleczy. Teraz zaczynam się przekonywać, że jest to niemożliwe przynajmniej przez najbliższe dziesięć lat.

— Nie powinnaś tracić nadziei.

— Po dziesięciu latach... przychodzi mi to coraz łatwiej. Zgoda, ustal termin spotkania.

262

— Wybacz moje wścibstwo, Lauro, ale czy Andy ma chłopaka? Wyczuł, że stężała.

— Dobry Boże, nie. Dlaczego pytasz?

— No a Khalid?

Zawahała się przez chwilę, nim odpowiedziała.

— To była dwójka dzieciaków. Bawili się w dziecięce zabawy i jeździli na rowerach. Robili wszystko to, co robią dzieci.

I przypuszczalnie parę rzeczy, których nie powinni byli robić, pomyślał Lloyd.

— Nie zawiera łatwo znajomości — kontynuowała Laura obronnym tonem. — Nawet nie wiesz, ile zachodu kosztowało zbudowanie związku między mną a nią przez te wszystkie lata.

A z tego co wiem, rzadko rozmawia z młodzieżą w kawiarni Jacko. Chodzi tam, słucha szafy grającej i wydaje połowę kieszonkowego na cola-colę. Dlaczego pytasz?

Lloyd wzruszył ramionami.

— Bez powodu. To wspinała dziewczyna po prostu byłem ciekaw. Pytanie: Jak powiedzieć matce, że jej szesnastoletnia córka, której zapewniła niezwykle bezpieczne życie, może nie być dziewicą? Odpowiedź: Nie mówić. Po pierwsze, możesz się mylić; po drugie, to nie ma wielkiego znaczenia, chyba że dziewczyna jest w ciąży; po trzecie, to nie jest twój interes. Więc trzymaj gębę na kłódkę i zakończ ten temat.

ROZDZIAŁ 80

Benny Straw otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Max był szybszy. Były oficer wiedział dobrze, co powinien zrobić. Zrobił krok naprzód, schwycił garść siwych, potarganych włosów i szarpnął głowę mężczyzny do tyłu. Jednocześnie wykonał szybki ruch prawą ręką do góry. Długi śrubokręt zagłębił się w szczękę Benny'ego, przebił podniebienie, wbił w jamę zatoki, gdzie kości są najcieńsze, i dotarł do mózgu. Oddolne uderzenie było zadane z taką siłą, że czubek śrubokręta zatrzymał się na wewnętrznej ścianie czaszki Benny'ego Strawa, niemal odrywając go od ziemi.

Leo Buller powiedział kiedyś, że mózg ludzki jest w stanie wytrzymać niewiarygodną liczbę uszkodzeń, bez powodowania śmierci właściciela. Max jeszcze nigdy nie zabił człowieka śrubokrętem — zawsze wolał nóż,

263

szybki i cichy — przy minimalnym ryzyku. Złapał Benny'ego za klapy marynarki, by utrzymać go na nogach, i zaczął poruszać śrubokrętem w tył i w przód, używając szczęki portiera jako punktu oparcia. Nie było to konieczne Benny Straw nie krztusił się, nie kaszłał, nie wrywał się, nie kopał: właśnie skończył. Pojedyncze pchnięcie napastnika zabiło go na miejscu.

Max zacisnął obie dłonie na rękojeści śrubokręta, zaparł się i dźwignął ciało Benny'ego, wiszące jak kawałek mięsa na rzeźnickim haku. Zawlókł je z powrotem do saloniku i rzucił na zniszczony fotel stojący przed telewizorem. Wyszarpnął śrubokręt powodując, że głowa portiera opadła na pierś jakby drzemał. Był zdziwiony małą ilością krwi — tylko strużka na znoszonej koszuli staruszka. Może więc śrubokręt był skuteczniejszy od noża; w każdym razie na pewno spełnił swoje zadanie. Obejrzał garnitur: czysty jak łąka. Domyślił się, że serce ofiary zatrzymało się natychmiast. Morderstwo doskonałe.

Był z siebie zadowolony.

Max wrócił do biura i wyciągnął szuflady biurka. Policja uzna włamanie i morderstwo za dzieło zawodowca — co w pewnym sensie, rzecz jasna, było zgodne z prawdą. Znalazł tandetną skarbonkę, którą utworzył za pomocą narzędzia zbrodni, i rozrzucił monety po podłodze. Zamarł usłyszawszy odgłos kroków za drzwiami, ale poszły schodami w górę. Zadzwoił telefon, który odebrała automatyczna sekretarka. Gdy skończył mocować zamek, rozejrzał się po raz ostatni, czy nie pominął czegoś. Monitor pokazywał opustoszały parking. Myśl, że wewnętrzny system ochrony pomaga w przestępstwie, rozbawiła Maxa. Opuścił mieszkanie, zamykając cicho drzwi.

Szedł ulicą i zastanawiał się, czy został zauważony przez kogoś z mieszkańców bloku, jednak nie przejmował się tym zbytnio, a już na pewno nie oglądał się za siebie, żeby to sprawdzić. Parę lat wcześniej stacja ITV wyemitowała film zatytułowany „Słoń”. Właściwie trudno to nazwać filmem; składał się wyłącznie z serii odgrywanych scen morderstw sekciarskich, które miały miejsce w Północnej Irlandii. Najpierw kamera przez dłuższy czas podążała śladem przyszłych morderców. W większości przypadków byli to zwyczajni ludzie, chodzący po zwyczajnych ulicach, otwierający zwyczajne drzwi, a potem wyciągający broń z kieszeni i strzelający do swoich ofiar. Później odwracali się na pięcie i powtarzali cały ten

zwyczajny proces — szli zwyczajnymi ulicami do zwyczajnych

264

domów. Nie było tam krycia się w cieniu, brawurowych pościgów samochodowych, piszczących opon, muzyki. Tylko zwyczajne, skuteczne zabijanie. I żaden z przechodniów nie zwrócił na nich uwagi; tak jak nikt nie zwróci uwagi na Maxa.

Doszedł do samochodu, opadł na siedzenie kierowcy i zdjął rękawiczki. Później będzie trzeba je spalić, ale na razie powędrowały do schowka. Obejrzał mapę północnej Anglii i wyszukał drogę do Durston Wood. Następnie złożył starannie mapę i zapalił silnik.

To był bardzo owocny dzień, ale nie dobiegł jeszcze końca.

ROZDZIAŁ 81

Lloyd pomagał Laurze posprzątać po kolacji, kiedy André pojawiła się w kuchennych drzwiach. Stała w progu, obserwując Lloyda z uwagą, ale nie odezwała się.

— Co się stało, Andy? — zapytała Laura.

— Gra przestała działać — odparła, nie odrywając zielonych oczu od Lloyda.

— Która? — Lloyd chciał wiedzieć.

— Latająca gra.

— Wygląda na to, że komputer się zawiesił — powiedział Lloyd wycierając dłonie. —

Niektóre gry, symulatory walki są nie dopracowane.

— Idź zobacz, co się stało — powiedziała Laura. — Dokończę mywanie sama.

Lloyd nie zamierzał znaleźć się znów sam na sam z André w jej sypialni.

— Myślę, że nie zaszkodzi, abym przy okazji nauczył cię zresetować komputer — rzucił niedbale do Laury. — W końcu nie zostanę tu do końca dnia.

Wyglądało na to, że Laura ma ochotę coś powiedzieć, ale zmieniła danie i skinęła głową.

— Zgoda.

Powędrowali we trójkę do sypialni André. Lloyd usiadł przy komputerze i opisał procedurę jego buforowania i ładowania programów, zkoła, w której Laura uczyła, miała parę komputerów BBC, więc szczególne czynności nie były jej obce. Jednak André zaczęła się

265

domów. Nie było tam krycia się w cieniu, brawurowych pościgów samochodowych, piszczących opon, muzyki. Tylko zwyczajne, skuteczne zabijanie. I żaden z przechodniów nie zwrócił na nich uwagi; tak jak nikt nie zwróci uwagi na Maxa.

Doszedł do samochodu, opadł na siedzenie kierowcy i zdjął rękawiczki. Później będzie trzeba je spalić, ale na razie powędrowały do schowka. Obejrzał mapę północnej Anglii i wyszukał drogę do Durston Wood. Następnie złożył starannie mapę i zapalił silnik.

To był bardzo owocny dzień, ale nie dobiegł jeszcze końca.

ROZDZIAŁ 81

Lloyd pomagał Laurze posprzątać po kolacji, kiedy André pojawiła się w kuchennych drzwiach. Stała w progu, obserwując Lloyda z uwagą, ale nie odezwała się.

— Co się stało, Andy? — zapytała Laura.

— Gra przestała działać — odparła, nie odrywając zielonych oczu od Lloyda.

— Która? — Lloyd chciał wiedzieć.

— Latająca gra.

— Wygląda na to, że komputer się zawiesił — powiedział Lloyd wycierając dłonie. —

Niektóre gry, symulatory walki są nie dopracowane.

— Idź zobacz, co się stało — powiedziała Laura. — Dokończę mywanie sama.

Lloyd nie zamierzał znaleźć się znów sam na sam z André w jej sypialni.

— Myślę, że nie zaszkodzi, abym przy okazji nauczył cię zresetować komputer — rzucił niedbale do Laury. — W końcu nie zostanę tu do końca dnia.

Wyglądało na to, że Laura ma ochotę coś powiedzieć, ale zmieniła danie i skinęła głową.

— Zgoda.

Powędrowali we trójkę do sypialni André. Lloyd usiadł przy komputerze i opisał procedurę jego buforowania i ładowania programów, izkoła, w której Laura uczyła, miała parę komputerów BBC, więc loszczególne czynności nie były jej obce. Jednak André zaczęła się

265
domów. Nie było tam krycia się w cieniu, brawurowych pościgów samochodowych, piszczących opon, muzyki. Tylko zwyczajne, skuteczne zabijanie. I żaden z przechodniów nie zwrócił na nich uwagi; tak jak nikt nie zwróci uwagi na Maxa.

Doszedł do samochodu, opadł na siedzenie kierowcy i zdjął rękawiczki. Później będzie trzeba je spalić, ale na razie powędrowały do schowka. Obejrzał mapę północnej Anglii i wyszukał drogę do Durston Wood. Następnie złożył starannie mapę i zapalił silnik.

To był bardzo owocny dzień, ale nie dobiegł jeszcze końca.

ROZDZIAŁ 81

Lloyd pomagał Laurze posprzątać po kolacji, kiedy André pojawiła się w kuchennych drzwiach. Stała w progu, obserwując Lloyda z uwagą, ale nie odezwała się.

— Co się stało, Andy? — zapytała Laura.

— Gra przestała działać — odparła, nie odrywając zielonych oczu od Lloyda.

— Która? — Lloyd chciał wiedzieć.

— Latająca gra.

— Wygląda na to, że komputer się zawiesił — powiedział Lloyd wycierając dłonie. —

Niektóre gry, symulatory walki są nie dopracowane.

— Idź zobacz, co się stało — powiedziała Laura. — Dokończę zmywanie sama.

Lloyd nie zamierzał znaleźć się znów sam na sam z André w jej sypialni.

— Myślę, że nie zaszkodzi, abym przy okazji nauczył cię zresetować komputer — rzucił niedbale do Laury. — W końcu nie zostanę tu do końca życia.

Wyglądało na to, że Laura ma ochotę coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie i skinęła głową.

— Zgoda.

Powędrowali we trójkę do sypialni André. Lloyd usiadł przy komputerze i opisał procedurę jego buforowania i ładowania programów. Szkoła, w której Laura uczyła, miała parę komputerów BBC, więc poszczególne czynności nie były jej obce. Jednak André zaczęła się

265
nudzić. Włożyła kasetę do magnetowidu i usiadła na łóżku, by pooglądać telewizję. Trafiła na fragment „Tako rzecze Zarathustra” Richarda Straussa.

— Dwa tysiące jeden — stwierdził Lloyd, pokazując Laurze, jak utworzyć skorowidz podrzędny na twardym dysku, i przekopiować nań pliki. — Ciekawe, jak to odbierze.

Zakończenie zaskoczyło mnie, kiedy oglądałem to po raz pierwszy.

— Żle!

Zdziwieni, Laura i Lloyd spojrzeli na André. Dziewczynka wpatrywała się w ekran i wyglądała na zrozpaczoną.

— W czym problem, Andy — zapytała Laura.

— Żle! — nagle André zerwała się na nogi i stanęła przed telewizorem. — Wszystko źle! — krzyknęła. Żle! Żle! Żle!

Udrczony wyraz jej twarzy był dokładnie taki sam, jaki Lloyd widział podczas lądowania boeinga na Heathrow. Laura zerwała się szybko. Lata doświadczeń nauczyły ją, że natychmiastowe działanie może zatrzymać wybuch złości.

Szybko przytuliła rozdrażnioną dziewczynkę i zaczęła szeptać jej uspokajające słówka, ale jej głos nie powstrzymał naglej nie kontrolowanej fali łez. Transformacja André z młodej kobiety w dziewczynkę potrzebującą miłości i opieki była niemal natychmiastowa i przerażająca.

Laura poprosiła Lloyda gestem dłoni, by wyłączył telewizor. Na ekranie pojawiła się wspaniała scena początkowa filmu, w której Słońce, Ziemia i Księżyc ustawiły się w

magicznym szeregu, a potem Słońce wschodziło emanując ciepłem i światłem niczym rozrastająca się kula ogarniająca promieniami twarz dziecka — planety Układu Słonecznego. Lloyd zatrzymał taśmę i wyłączył telewizor. Odwrócił się do obu kobiet. André szlochała przytulona do matki. Laura kołysała ją łagodnie w tył i w przód, głaszcząc długie, czarne włosy. Po chwili płacz ustał.

— To jedyne, czego potrzebuje w podobnych przypadkach — powiedziała cicho Laura. — Usuń przyczynę tego, co ją drażni, i daj jej miłość, poczucie bezpieczeństwa, pocieszenia. To zawsze działa.

Lloyd wyjął kasetę z magnetowidu i popatrzył na nią w zamyśleniu.

— Ale dlaczego ten film wyprowadził ją z równowagi?

— Nie wiem. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Pewna myśl zaświtała w głowie Lloyda.

— Chyba że... nie, to absurdalne.

Laura spojrzała na niego, nie przestając gładzić włosów córki.

266

— Chyba że co?

— To kompletna głupota. Nie uważasz, że mogła rozzłościć się z powodu błędu w filmie?

— O czym ty, u licha, mówisz?

— Błąd w scenie początkowej filmu. Właściwie trudno nazwać to błędem — raczej wizją artysty. Scena ukazująca planety ustawione w szeregu nie jest zbyt poprawna zdaniem purystów, ponieważ Słońce wydaje się być poza płaszczyznę zodiakalną.

Laura wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

— O czym ty, u licha, mówisz? — powtórzyła. Lloyd uśmiechnął się przepraszająco.

— Zapomnij o tym, Lauro. Zaczynam bredzić — ukląkł przy kobietach. — Chyba się już uspokoiła.

— To wszystko, czego jej trzeba. Być tuloną w ramionach i czuć się bezpiecznie.

— Dlaczego to nie sprawdziło się podczas lotu z Singapuru? Wspomnienie powróciło wyrazem bólu w oczach Laury.

— Nie wiem — wyznała. — To coś, co nie przestaje mnie zastanawiać i martwić.

Lloyd delikatnie dotknął ramienia André. Jej reakcja zaskoczyła ich oboje. Nagle wyswobodziła się z objęć Laury, oplótła ramionami Lloyda i przytuliła się mocno. Wyraz oczu Laury zdradzał mieszane uczucia: André nie zwracała się o pomoc do nikogo prócz niej, kiedy była w tym stanie. Jednak dziewczyna przestała drżeć; uspokoiła się, wyciszyła, i tylko to się liczyło.

Lloydem także targały sprzeczne uczucia, tulił do siebie teraz już spokojną dziewczynę.

Jednak spośród innych myśli wyróżniała się jedna jedyna, świeciła niby latarnia morska, a jej przesłanie było jasne i jednoznaczne: jeśli naprawdę pragnie czegoś w życiu, to jest to chęć chronienia razem z Laurą tej niezwyklej dziewczyny przed brutalnym, wrogim światem, który nigdy jej nie zrozumie.

ROZDZIAŁ 82

Dobiegała północ, kiedy Max zjechał z autostrady A281 za Godalming i kierując się znakami ruszył do Plaistow. Po piętnastu minutach jazdy

267

znalazł się na krętej wiejskiej drodze, w okolicy gdzie tablice informacyjne zastąpiono łatwymi do przegapienia wąskimi kawałkami dykty, umieszczonymi wysoko na dębowych palach dla wygody kierowców autobusów. Po dwóch postojach, by spojrzeć na mapę, trafił do Durston Wood.

Nie wjeżdżał na teren posiadłości, lecz zaparkował BMW na końcu rzędu anonimowych samochodów przed szeregiem domków. Zamknął samochód i ruszył szybkim krokiem. Dla przypadkowego obserwatora był jednym z nawróconych na wiejskie życie mieszczuchów rozkoszujących się wieczornym spacerem.

Spacer zajął Maxowi więcej czasu, niż założył, ponieważ numer 16 znajdował się w końcu ślepej uliczki, którą przegapił za pierwszym razem. Nie było oświetlenia na tej wąskiej uliczce — co stanowiło duży plus. Co więcej, bungalow stał pogrążony w ciemnościach na końcu długiego podjazdu. Jedynym utrudnieniem było to, że nie mógł zorientować się w rozkładzie domu bez przyjrzenia mu się z bliska.

Zwolnił kroku i zaczął rozważać możliwości. Dojście do bungalowu podjazdem było ryzykowne — jednak dobre planowanie zostawiało margines błędu. Jedyne, czego potrzebował, to szybki rekonesans.

Ruszył podjazdem i zauważył lotusa super 7 Lloyd'a.

Lista wyborcza tego okręgu zawierała tylko jednego wyborcę mieszkającego pod adresem Durston Wood 16 — Laurę Normanville. Czy jest możliwe, by kobieta jeździła takim samochodem? Wykluczył to. Nagle zapaliło się światło w holu z boku bungalowu i drzwi frontowe otworzyły się. Max przeszedł parę kroków na palcach i przykucnął za krzakiem. Kobięcy głos życzący dobrej nocy gościowi płci męskiej.

Cholera! To oznaczało, że samochód należał do odwiedzającego. Max oddalił się szybko i bezszelestnie od samochodu starając się jednak mieć go między sobą, a frontowymi drzwiami i rozmawiającą parą. Przyklęknął na kolano za krzakiem ligustru i czekał. Na szczęście nie było błota, jednak czuł wilgoć przesiąkającą przez nogawkę spodni.

Cholera! Słyszał wyraźnie każde ich słowo.

— To był cudowny dzień, Lloyd — powiedziała kobieta. — Dziękuję ci za wszystko co zrobiłeś dla Andy.

— Nie ma za co — odpowiedział mężczyzna. — Świetnie się bawiłem. Jednak boję się, że samochód może ją obudzić.

Laura roześmiała się.

268

— Jest wykończona. Nic nie jest w stanie jej obudzić. Wzięłeś wszystko? Masz kasetę?

— Nie zapomniałem niczego — zawahał się. — I Lauro, zadzwonię do Teda Prentice'a jutro z samego rana. Wiem, że bardzo chciałby zobaczyć się z Andy — zapewne pojawi się tu w ciągu kilku najbliższych dni. Nie masz nic przeciwko temu?

Max usłyszał rozbawienie w jej głosie.

— Absolutnie.

Nie było pocałunków na dobranoc. Przyjacielskie pomachanie ręką i parę słów pożegnania, a potem mężczyzna wsiadł do samochodu i zapalił silnik.

Max schował się za krzew, kiedy lotus wycofywał się długim podjazdem. Zaczął oddychać głębiej, kiedy samochód odjechał. Teraz wystarczy poczekać i zobaczyć, który pokój jest sypialnią kobiety.

Światło, które błysnęło w jednym z okien od frontu, odpowiedziało na to pytanie. Od tej chwili stwierdzenie, gdzie mieści się sypialnia André, opierało się na prostym procesie eliminacji. Okno z matową szybą to na pewno łazienka; okno, pod którym znajdowało się parę rur, musiało wychodzić z kuchni. Salon znajdował się w głębi bungalowu — francuskie okna. Pojedyncze okno po lewej stronie musiało należeć do sypialni dziecka. Poblizie domu było wyłożone betonowymi płytami — nie musiał się martwić o odciski stóp na miękkiej ziemi.

Max podszedł cicho pod sam dom i scyzorykiem sprawdził stan framug. Wystarczyło mocne pchnięcie, by ostrze weszło w drewno na głębokość centymetra. Szczęście mu dopisywało.

Max wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą, by podsumować zdobyte informacje.

Położenie domu było oczywiście dużym plusem, niemniej jednak porwanie André Normanville należało zaplanować w najdrobniejszych szczegółach. Powinien przewidzieć każdą możliwą sytuację.

Uwielbiał tego rodzaju wyzwania.

ROZDZIAŁ 83 15 marca 1991

Peter Barber był młodszym inspektorem wydziału zdrowia i w tej chwili żałował, że nie wybrał bezpieczniejszego zajęcia, jak na przykład

269

testowanie wadliwych granatów ręcznych. Stał na szczycie drabiny, z ciałem uwięzionym w otworze wylotowym wiodącym do ciemnej, wąskiej przestrzeni za boazerią Kimmeridge House. Max i jego sekretarka stali poniżej, trzymając mocno drabinę, jednak Peter zdołał zaklinować się tak skutecznie, że równie dobrze mogli ją zabrać. Skorzystanie z pomocy rąk granoczyło z niemożliwością, ponieważ łokcie uwięzły pomiędzy belką dachu a ścianą. Co gorsza, powoli zaczynał się dusić w masce ochronnej Martindale i prawie ośleplł w dopasowanych goglach, które zaparowały. Rozważywszy to wszystko uznał, że bycie młodszym inspektorem sanitarnym nie było zabawne.

Wreszcie udało mu się ustawić latarkę we właściwej pozycji z pomocą podbródka, tak że oświetliła płytę izolacyjną. Zaczął badać paskudny, włóknisty strzęp, który udało mu się wygrzebać z płyty izolacyjnej za pomocą pincety. Podobną próbkę widział tylko raz, ułożoną na płycie Petriego, podczas kursu szkoleniowego. Studenci podawali sobie tę płytkę z rąk do rąk, jakby była bombą. Wreszcie przetarł szkiełka gogli i zdecydował, że włókna mają zdecydowanie niebieskawy odcień. To nie wyglądało najlepiej. Popchnął latarkę do przodu, tak by oświetliła wnętrze niszy. Na boku płyty izolacyjnej widniał napis:

WYPRODUKOWANO W RODEZJI.

Jeszcze gorzej.

Zazwyczaj prosta czynność wsunięcia włókien do plastikowej torebki i zabezpieczenia jej była fizycznym tryumfem determinacji nad okolicznościami.

— Schodzę! — wrzasnął do stojących u stóp drabiny. Wygramolił się z otworu, wzniesając tuman kurzu i zszedł po drabinie z odpowiednio poważnym wyrazem twarzy.

— No więc? — zapytał Max.

Peter zdjął maskę i gogle i wydobyl woreczek z próbką. Podstawił strzęp włókien pod lampkę na biurku i zaczął badać.

— Panie Shannon, obawiam się, że mam złe wieści. Materiał izolacyjny to bez wątpienia błękitny azbest.

— Cholera — jęknął Max. — To nie moja branża. Czy to może być niebezpieczne?

— Bardzo niebezpieczne. Jest to afrykański azbest chryzotylowy — najgorszy gatunek. Jego włókna wywołują nie tylko pylicę azbestową, ale także raka płuc i mesoteliomę.

270

— Co to takiego? — zapytała szybko Helena Frost.

— Mesotelioma? Nowotwór płuc. Ale proszę się nie martwić, właz jest odpowiednio zabezpieczony, włókna nie przedostają się do pokoju. Wróć do biura, panie Shannon, i przefaksuj panu listę firm specjalizujących się w błękitnym azbecie. Będą musieli zbadać to dokładnie.

— Spojrzał w górę na otwór. — Miejmy nadzieję, że problem ogranicza się wyłącznie do obecności błękitnego azbestu. Tymczasem powinien pan przenieść gabinet do innego pomieszczenia.

Max wyglądał na zmartwionego.

— Ile czasu potrwa uzyskanie świadectwa sanitarnego?

— Trudno powiedzieć. Tydzień. Dwa tygodnie. Max zaklął.

— Przenoszenie laboratorium i sprzętu nie wchodzi w rachubę.

— Pomyślał przez chwilę, po czym podjął decyzję. — Nie widzę innego wyjścia — będziemy musieli zamknąć interes. — Zwrócił się do swojej sekretarki. — Proszę, zajmij się tym, Heleno. Powiedz wszystkim, żeby zakończyli najważniejsze sprawy i poszli do domu przed

lunchem. Niech nie stawiają się w pracy przed przyszłym poniedziałkiem. Będziemy w kontakcie i oczywiście otrzymają pełne wynagrodzenie.

— Już biegnę, panie Shannon — Helen wypadła z pokoju, by przekazać wszystkim radosną wieść.

— Cieszę się, że podchodzi pan do tego tak odpowiedzialnie, panie Shannon — powiedział Peter. — Oszczędzi nam to konieczności wystawienia nakazu.

— Niewykluczone, że będzie pan musiał wysłać nakaz mojej żonie i nakłonić ją do przeprowadzenia się do hotelu — powiedział ponuro Max.

— Może powinien pan umieścić jakąś tablicę ostrzegawczą na głównej bramie?

— Zajmiemy się tym — obiecał Peter.

Leo Buller wrócił do biura po lunchu. Podeszedł do okna i wyjrzał na opustoszały parking.

— Ponuro tu jak w kostnicy — powiedział pod nosem.

— I dobrze — stwierdził Max, nie podnosząc wzroku znad kartek, które wpinał do organizera Psion.

Po sposobie zachowania wspólnika Leo nabrał przekonania, że coś chodzi mu po głowie. Nie wymagało geniuszu, by domyślić się, co to może być.

271

— Chyba przyznasz, że mój mały podstęp się udał? Mamy cały budynek dla siebie co najmniej na tydzień i nikt nie będzie wiedział, że tu jesteśmy. Duży, pusty, odosobniony budynek. Czy mogłoby być lepiej?

— To będzie kosztowało nas fortunę.

— Właśnie na tym polega problem tego kraju — zauważył Max. — Każdy boi się inwestować.

— Nie zamierzam dokładać do interesu.

— Uczciwie stawiasz sprawę.

Leo odwrócił się i spojrzał ze złością na wspólnika, który wrócił do porządkowania organizera, wyraźnie nie poruszony. Boże — Max Shannon potrafił doprowadzić go do wściekłości. — Co, u licha, ma znaczyć „uczciwie stawiasz sprawę”?

— Dokładnie to, co znaczy, Leo.

— Na litość boską, Max — mówimy tu o porwaniu i morderstwie! Zamierzamy wykonać odwzorowanie neuronów, stosując szczególnie paskudny izotop.

— Taki, który pozwoli nam osiągnąć szybsze i dokładniejsze wyniki.

— Taki, za który możemy dostać dwadzieścia lat!

Max otworzył szufladę i wręczył Leo jakiś dokument. Naukowiec zaczął czytać go z niedowierzaniem.

— Co to jest?

— Potrafisz czytać, Leo. Rozwiązanie spółki. Sam prosiłeś o umieszczenie takiej klauzuli — masz okazję skorzystać z niej. Ponieważ twoim wkładem do spółki był umysł, a nie finanse, wystarczy, że podpiszesz dokument, ja dołączę swój podpis i będziesz mógł opuścić ten budynek z czekiem wolny od wszelkich zobowiązań.

— Jestem ci potrzebny, Max. Max uśmiechnął się ironicznie.

— Jeśli stracę wspólnika, z całą pewnością będę potrzebował pomocy. Może kogoś takiego jak Nils Perelmann?

Leo pobałdł ze złości na wspomnienie znenawidzonego rywala. Szwedzki neuropatolog uprzedził go kiedyś z opublikowaniem ważnych danych na temat dysfunkcji receptorów melatoniny — danych, dzięki którym Szwed zdobył międzynarodowe uznanie, a co ważniejsze w ocenie Leo, hojny fundusz badawczy od La Roche. Nadszedł czas, by zignorować blef Maxa i pokazać mu, że nie może manipulować każdym, tak jak mu się podoba.

272

— Perelmann nie będzie zainteresowany pracą w takim zespole, więc przemysł to sobie, Max. Max westchnął, przerzucił papiery leżące na biurku i podał współpracownikowi faks. Nadał go Perelmann. Szwed był bardzo zainteresowany kuszącą ofertą Maxa i czekał na wiadomość, gotów przylecieć do Londynu, gdyby Max pragnął przedyskutować sprawę.

Faks wyśliznął się z palców Leo. Raz jeszcze został pokonany. Ogromne obciążenia funduszy na badania spowodowane światową recesją oznaczały, iż czasy, w których naukowiec o jego sławie mógł zgłosić się na wybrany uniwersytet i otrzymać wydział lub katedrę wraz z odpowiednimi funduszami, skończyły się. Spotkał wzrokiem uśmiechnięte, szare oczy Maxa.

— Dziś wieczór — powiedział Max przyjaznym, lecz nie pozbawionym tryumfu tonem.

— Dziś wieczór? Tak szybko?

— Dziś wieczór — powtórzył Max.

Leo odwrócił się i opuścił gabinet bez słowa.

Max wziął do ręki faks i spojrzał na niego z podziwem. Planowanie — tak nazywa się ta gra. Nie pomiń najmniejszego szczegółu. Prostych szczegółów, jak zdobycie oryginalnego faksu od Nilsa Perelmanna oraz wykorzystanie nagłówka i odręcznego podpisu w celu zrobienia fotokopii z fałszywą treścią. Fotokopia została następnie przepuszczona przez kopiarzkę faksu, w rezultacie czego powstał oryginalny faks na oryginalnym papierze.

Takie proste.

Max był przekonany, że podobnie będzie z resztą operacji. ROZDZIAŁ 84

Lloyd wstał wcześniej, dotarł do biura na 9 i prawie natychmiast zadzwonił do Teda Prentice'a.

— Więc na co jeszcze czekasz? — warknął Ted. — Przyjedź po mnie! Po krótkiej rozmowie z Laurą, która zapewniła, że nie będzie miała nic przeciw zakłóceniu domowej rutyny przez dwa kolejne dni, Lloyd wsiadł do lotusa i ruszył w drogę: Durston Wood via Epsom i Ośrodek Dziecięcy w Horton Manor.

273

Ted Prentice dotarł do Durston Wood, narzekając na brak ogrzewania w lotusie i wygłaszając opinię, że każdy, kto kupił sobie taki samochód, musiał mieć więcej pieniędzy niż rozumu.

Laura natychmiast go polubiła. Był typem człowieka wzbudzającego zaufanie, poza tym, wyglądało, że André także się podoba. Lloyd z zadowoleniem zauważył, że ciasny koczek, w który Laura zwykła zbierać włosy, zniknął. Miejmy nadzieję, że na dobre.

Typowy syndrom Aspergera, pomyślał Prentice witając się z André; obojętny wyraz twarzy, sposób, w jaki przenikała go wzrokiem jakby jej spojrzenie koncentrowało się gdzieś za nim. Urywane zdania, nieużywanie zaimków w pierwszej osobie, prosta składnia — jednak był to powszechnie akceptowany sposób wystawiania się, zgodnie z kanonami luminarzy edukacji. Reasumując, poprawna zdolność porozumiewania się. Łagodny autyzm. Jednak pragnął wydać szczegółową diagnozę, czego nie był w stanie zrobić po dziesięciominutowej rozmowie przy kawie.

— Proszę zabrać Lloyda na półgodzinny spacer po okolicy, pani Normanville — zaproponował Prentice. — Dobrze mu to zrobi. Ta blada, niezdrowa cera to wynik żywienia się gotowym jedzeniem.

— I tak zdołał złożyć ci grzbiet w squasha — odparował Lloyd.

— Andy lubi, żebym była przy niej podczas wszelkich badań — powiedziała niepewnie Laura.

— Najwyższy czas zmienić to, droga pani — powiedział Prentice, puszczając oczko do André. — Proszę się nie martwić — bycie sam na sam z nastolatkami nie przeraża takiego starego wyjadacza jak ja.

ROZDZIAŁ 85

Max wracał do Kimmeridge House nowym, dopiero co nabytym samochodem. Granada estate świetnie się prowadziła i była w bardzo dobrym stanie. Co prawda, wolałby ciemniejszy

kolor, ale burgund nie był najgorszy. Rzecz jasna obejrzał go wpierw dokładnie, a nawet stargował tysiąc funtów z ceny wywoławczej, po pięciu minutach fachowej rozmowy ze sprzedawcą. Odbył dziesięciminutową podróż taksówką, by dokonać zakupu, gdyż wołał nie kupować samochodu w swojej dzielnicy. Zapłacił zań gotówką, używanymi banknotami pięćdziesięciofuntowymi, podając sprzedawcy fałszywe nazwisko. Ten samochód nie pomoże w ich wy-

274

tropieniu. Leo proponował kupno półciężarówki, ale on nie znał się na tym. Każda dłuższa jazda nie oznakowanym busem, szczególnie nocą, była proszeniem się o kłopoty — policja w większości krajów traktowała je jako łatwy łup na punktach kontroli. Samochód zaś tej marki był wystarczająco duży, by ukryć w nim uśpione dziecko.

Wykorzystał korek uliczny i wprowadził zakup do organizera. Kieszonkowy komputer posiadał program kasowania danych napisany przez niego, który uruchamiał się przez naciśnięcie trzech klawiszy. Nie tylko kasował katalogi, tak by można było odtworzyć dane, ale także przepisywał pamięć RAM. Przypominał sobie wszystkie czynności, jakie wykonał tego dnia. Wołałby mieć więcej czasu, ale zakładając, że Leo wykona swoją część roboty, mają godzinę zapasu.

ROZDZIAŁ 86

Spacerowali w milczeniu. Lloyd nie zaczynał rozmowy, będąc niespokojnym o córkę Laury. Przeszli piętnaście minut główną szosą w kierunku kawiarni Jacko, gdy Laura orzekła, że czas wracać.

— Dajmy Tedowi jeszcze parę minut — zasugerował Lloyd, kiedy mijali przystanek autobusowy przy zakręcie do Durston Wood. Ślady opon na trawie, w miejscu gdzie Jeff Harcourt spadł z kawasaki nadal były widoczne.

Usiedli pod wiatą i Lloyd zaczął zaśmiewać się z napisów o tematyce seksualnej wyrytych na drewnianych ścianach.

— Graffiti wiejskie jest trwalsze od miejskiego — zauważył.

— Nóż robi większe szkody niż aerozol.

Laura rozejrzała się wokół i zmusiła do uśmiechu.

— Miejscowi nazywają to młodzieżowym klubem Durston Wood. Lloyd zaśmiał się.

— Nie mogę w to uwierzyć. Wieś pozostanie wsią.

— Jest to jeden z powodów, dla których jestem tak opiekuńcza w stosunku do André. Jest zupełnie bezbronna.

Lloyd miał zamiar powiedzieć coś o zniknięciu dwóch motocyklistów, ale zdołał się powstrzymać.

— To zrozumiałe. Gdyby te drzewa potrafiły mówić...

— Sądząc po rysunkach, te deski potrafią.

275

Roześmiali się.

— Przyznam szczerze — powiedział ostrożnie Lloyd — że ja też zaczynam martwić się o Andy.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— W jakim sensie?

— Trudno mi to powiedzieć.

— Chcesz powiedzieć, że zadurzyła się w tobie? Lloyd spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Więc wiesz?

— Nie bądź niemądry, Lloyd — oczywiście, że wiem. Nie jestem ślepa. To jest zupełnie nieszkodliwe. Zaczyna dorastać.

— Moim zdaniem już dorosła — poczuł, że przybrała obronną pozę i zaczął żałować, że poruszył ten temat.

— W jakim sensie? — zapytała chłodno Laura.
— Kiedy przywieźliśmy komputer do domu, zaczęła przebierać się w mojej obecności. Nie poprosiła mnie o to, żebym wyszedł, ani nawet nie dała mi takiej możliwości. Laura nie wyglądała na przejętą.
— Tak, domyśliłam się tego. I co z tego?
— Powiedziałem jej, że nie powinna tego robić. Ona jednak nie widziała w tym nic zdrożnego. Poza tym, pocałowała mnie.
— Mnie też — powiedziała Laura. — Sam namówiłeś ją do tego. Chciała ci podziękować.
— To nie był pocałunek tego typu — powiedział poważnie Lloyd.
— Więc jakiego? O, cholera!
— No więc... To był dorosły pocałunek.
— Bardzo dorosły?
— Próbowała wsunąć mi język do ust. Laura wstała.
— No cóż — powiedziała szorstko. — Posunęła się dalej niż ja. Lloyd dołączył do niej. Szła bardzo szybko.
— Nie wściekaj się na mnie, Lauro, ale czy kiedykolwiek przeszło ci przez myśl, że stosunki pomiędzy Khalidem a Andy mogły, powtarzam mogły, przerodzić się w coś więcej niż miłość między bratem a siostrą?
Zmierzali w kierunku Durston Wood. Przyspieszyła kroku, jakby dodatkowy wysiłek pomagał jej zignorować coś, od czego on nie zamierzał odstąpić.

276

— Lubili się — powiedziała obronnym tonem. — To zupełnie naturalne — znali się ponad pięć lat.
— A teraz powiedz mi o tym, co nie daje ci spokoju. Zwolniła kroku.
— Instykt nakazuje mi oskarżyć cię o molestowanie i zażądać wyjaśnienia, co właściwie insynuujesz. Wściekam się, ponieważ masz rację. Khalid spędził tu miesiąc w grudniu ubiegłego roku. To była jego ostatnia wizyta, tuż przed tym jak al Karnisowie wrócili do kraju. Wybrałam się po zakupy do Guildford, a kiedy wróciłam, śmiali się i żartowali, wycierając się nawzajem po wspólnym prysznicu. Nie kryli się z tym, więc potraktowałam to tak, jak wydawało mi się, że oni traktują — jako niewinne zdarzenie. Ale teraz nie jestem już taka pewna. Ta sytuacja mogła nie być odosobnionym przypadkiem. W końcu mieli mnóstwo okazji.
— André nie bierze pigułki? — zaryzykował Lloyd, wiedząc, że wkracza na niebezpieczny grunt. Przygotował się na najgorsze, ale doczekał się spodziewanej reakcji. Laura pokręciła przecząco głową i przyspieszyła kroku, unikając jego wzroku.
Usłyszeli głuchoe grzmienie, które mogło zwiastować nadejście burzy, jednak było znacznie niższe i ledwie słyszalne, jak dudniący dźwięk wadliwej aparatury hi-fi. Dziwny dźwięk sprawił, że Lloyd przerwał zdanie i zastygł w bezruchu. Przez chwilę myślał, że się przesłyszał, ale Laura także słyszała ten dźwięk. Złapał ją za ramię, kiedy próbowała rzucić się do biegu.

— To gdzieś parę kilometrów stąd.

— Nie, dźwięk dochodził od strony bungalowu! — Uwolniła się z jego uchwytu i zaczęła biec.

ROZDZIAŁ 87 PÓLNOCNY IRAK

Drewniana szopa straciła jedną za ścian i dużą część dachu, deski zostały przycięte i użyte do oszalowania szybu studni.

Zmuszony zdobyć budulec na kolejny fragment ściany, Khalid zajął się rozbieraniem ciężkiego stołu warsztatowego.

277

Zaczął od wyjęcia szuflad: tyle wspaniałych narzędzi — podobnie jak reszta warsztatu, który rozbierali. Khalid przypomniał sobie warsztat ojca przy domku nad jeziorem w pobliżu Duhok, w którym garażowali motorówkę przez całą zimę. Każdego roku w czerwcu, po zniknięciu śniegów i mrozu, spędzał tam weekendu, pomagając rodzicom przygotować dom przed nadchodzącym sezonem. Szczególnie lubił tamten warsztat z zapachem farby i nafty. Pamiętał zadowolenie, z jakim szorował burzę łodzi i przygotowywał miękkie siedzenie. To był ekscytujący okres: zwiastował nadejście ciepłych, leniwych dni lata, z dala od duszących upałów Bagdadu.

Stół był zawalony starymi gazetami i narzędziami, ale Khalid nie trudził się ich sprzątaniami; pozbawiony szuflad stół był na tyle lekki, że mógłby go przenieść. Kiedy odsunął mebel od ściany, zauważył zielony kabel. Gapił się na niego przez chwilę, zanim zrozumiał, do czego może służyć. Idąc śladem kabla zawędrował do sterty gazet, pod którymi znalazł to, czego się spodziewał.

Aparat telefoniczny.

Rzecz jasna, nie będzie działał. Od kiedy rozpoczęły się bombardowania dodzwonienie się do rodziców granoczyło z cudem...

Położył dłoń na słuchawce. Była prawdziwa — to nie zabawka. Wstrzymał oddech i podniósł ją. Brzęczący przy uchu dźwięk oznajmił mu, że telefon działa. Będzie mógł zadzwonić do rodziców! Usłyszy ich głosy! Wszystko znów będzie dobrze.

— Khalid!

Był to głos Nuriego. Upuścił z trzaskiem słuchawkę na widełki i zdążył ukryć aparat pod starymi gazetami, nim Nuri wszedł do środka.

— Gdzie są te deski? — zapytał ze złością. — Czekałem nasłuchując, ale nie słyszałem niczego, co przypominałoby piłowanie.

— Już się za to biorę, Nuri — powiedział szybko Khalid, biorąc młotek do ręki.

Wziął się ochoczo do wyciągania gwoździ i piłowania desek. Dziś wieczór, kiedy Nuri zaśnie, skorzysta z telefonu.

ROZDZIAŁ 88

POŁUDNIOWA ANGLIA

Laura wpadła do pokoju i jednym spojrzeniem ogarnęła całą scenę. Ted Prentice próbował uspokoić André, która leżała na brzuchu w poprzek sofy szlochając i bijąc oparcie pięściami ze złością.

— Żle! — krzyczała André. — Całkiem źle. Wszystko nie tak! Przy trzecim uderzeniu zegara czas wymierzany przez Miłującego Dokładność wyniesie...

Laura odepchnęła Prentice'a i przygarnęła wyprowadzoną z równowagi córkę. Kołysała ją w ramionach, przyciskając jej głowę do piersi i gładząc policzek.

— Już dobrze, kochanie. Mamusia jest przy tobie. Wszystko będzie dobrze. Nie ma się czego bać.

Lloyd oczekiwał, że rozdygotana dziewczynka uspokoi się, ona jednak zarzuciła swe chude ramiona na szyję matki, przyłgnęła do niej i trwały tak dłuższą chwilę, przy czym Laura gładziła córkę po włosach i przemawiała niskim, kojącym głosem — ale bez większego efektu.

— Co się stało? — zażądała wyjaśnienia Laura.

Zamiast jej odpowiedzieć, Ted rzucił Lloydowi pytanie, które wydało się dość zabawne w obecnych okolicznościach.

— Czy w tym domu jest globus?

— Co takiego?

— Globus! Mapa świata namalowana na kuli. Dobry Boże, muszę ci to narysować?

— Sąsiedzi mają globus — odpowiedziała Laura. — Ale dlaczego...

— Którzy sąsiedzi? — warknął Prentice. — Gdzie mieszkają? Odpowiadaj, kobieto!

— W tamtą stronę — Laura oderwała ramię od André i zrobiła szybki gest.

— Przynieś go! — rozkazał Prentice Lloydowi.

— Po co?

— Przynieś globus! Nie gap się, człowieku. Jazda!

Lloyd ruszył pędem. Wypadł z domu i pobiegł podjazdem wiodącym do domu Sally Fielding. Zobaczyła go, ponieważ otworzyła drzwi na sekundę przed tym, jak zamierzał skorzystać z kołatki. Lloyd wrócił za

279

dwie minuty, niosąc mały, plastikowy globus. Prentice wyrwał mu go z ręki, wyjął kulę z plastikowej podstawki i klęknął przed André.

— Andy! — powiedział stanowczo. — Posłuchaj mnie! To jest to, o czym ci mówiłem.

— Nie ma potrzeby krzyczeć na nią — zaprotestowała Laura.

— Proszę pozwolić, że osądzę to sam. Andy! Spójrz, co tu mam dla ciebie. Patrz! — Prentice przysiadł na piętach i czekał, trzymając globus w wyciągniętych dłoniach niby prezent na przeprosiny. W końcu André uniosła lekko głowę z piersi matki. Laura odgarnęła włosy z oczu córki

I zobaczyli, że wpatruje się w globus. Głos Prentice'a złagodniał. — Widzisz, Andy?

Dokładnie tak, jak obiecałem... Obejrzyj go sobie.

Dziewczynka uspokajała się stopniowo, przez cały czas nie spuszczać wzroku z globusa.

— Weź go do ręki, Andy — głos Prentice'a zabrzmiał jeszcze łagodniej. Był wręcz ojcowski, Lloyd przypomniał sobie, że w podobny sposób przemawiał do młodego „savanta” u siebie w domu.

Nie odrywając wzroku od globusa, bez najmniejszego mrugnięcia okiem, André oswobodziła się z objęć matki i ostrożnie wyciągnęła rękę w kierunku globusa. Zupełnie jakby znów była małym dzieckiem zahipnotyzowanym przez błyszczącą zabawkę.

— Weź to, Andy... należy do ciebie — Prentice uśmiechał się zachęcająco. Wziął jedną z dłoni André i położył ją na globusie. Nie sprzeciwiała się, a Laura i Lloyd wpatrywali się w nią z zadziwieniem. Ta transformacja graniczyła z cudem: w ciągu paru sekund dziewczynka uwolniła się z ciemnych, samotnych głębin historii i teraz wyciągała obie dłonie do globusa, po twarzy przemknął jej cień uśmiechu. Oczy André lśniły radością i zadziwieniem, kiedy Prentice przykrył jej dłonie swoimi i przycisnął stanowczo do nierównej powierzchni kuli.

— To jest to? — zapytała cichym, wystraszonym głosem. Prentice uśmiechnął się ciepło.

— Tak, to jest to, Andy. Piękna, prawda?

— Piękna — powtórzyła Andy, jej zielone oczy lśniły szmaragdowym blaskiem. Otarła łzy i natychmiast położyła dłoń z powrotem na globusie, jakby bała się, że chwilowy brak kontaktu może spowodować jego zniknięcie.

— Co jej pan zrobił? — wyszeptwała Laura.

— Ukazałem jej prawdę — odpowiedział Prentice, ani na chwilę nie spuszczać oczu z dziewczyny. — Coś, czego nikt nie zadał sobie trudu

280

jej pokazać, ponieważ myśleli, że jest zbyt głupia, by to zrozumieć. Przeklęte szkoły specjalne i rodzice, którzy wiedzą najlepiej. Mój Boże, ktoś powinien rozliczyć ich z tego.

— To, co mówisz, jest bez sensu, Ted — zauważył Lloyd. Prentice spojrział na młodszego mężczyznę z urazą.

— Doświadczyłeś paru krótkich chwil dezorientacji i niewiedzy, Lloyd. Tymczasem ta piękna, młoda dama przeżyła wiele lat nie tylko dezorientacji, ale także terroru. Terroru, którego w żaden sposób nie potrafisz sobie wyobrazić — zwrócił swoją uwagę ku André — Pozwól, że ci pokażę, gdzie znajdujesz się w tej chwili, Andy.

Zaniepokoiła się na chwilę, ale potem pozwoliła, by uniósł jej palec wskazujący i skierował go na północną Anglię.

— Dokładnie tutaj. Zauważyłaś, że opuszek twojego palca przykrył niemal cały kraj? Gdyby to było prawdziwe, pograżylibyśmy się w ciemnościach... Gdzie jest ta podstawka?

Lloyd sięgnął po podstawkę i obejmę globusa. Prentice wziął je od niego i uśmiechając się nadal ciepło do André powiedział:

— Pozwól, że pokażę ci, jak umieścić go na podstawce.

André bardzo niechętnie zgodziła się, by Prentice zabrał jej globus. Przyglądała się uważnie jak mocuje go na osi i sprawdza, czy lekko się obraca. — Widzisz, jak się kręci, Andy?

Pamiętasz, ile czasu trwa zrobienie pełnego obrotu?

— Dzień — odpowiedziała Andy. — To może potrwać tylko jeden dzień, bo inaczej wszystko jest źle. — Wyrwała mu globus i przycisnęła w obronnym geście do piersi.

Prentice uśmiechnął się krzywo do Laury, która wpatrywała się w córkę z wyraźnym niedowierzaniem.

— Wydaje mi się, że będzie pani musiała kupić sąsiadom nowy globus. Andy nie zamierza rozstać się z tym. Poglądził dziewczynę po policzku.

— Myślisz, że wyglądałby dobrze na twojej toalecie, Andy? Dziewczyna przytaknęła.

— Biegnij więc i sprawdź to.

André zerwała się ochoczo na nogi i ruszyła w kierunku drzwi, przyciskając do siebie globus jak gracz rugby szykujący się do ataku. Zatrzymała się i zerknęła na Prentice'a. Poruszała ustami jakby wy-próbowywała zdanie w myślach, zanim je wypowie.

281

— Dziękuję — powiedziała zawstydzona. — Teraz wszystko jest w porządku.

Potem zniknęła, zostawiając oszołomionych Lloyda i Laurę ze zdziwienia oraz rozgniewanego Teda Prentice'a.

Laura kręciła wolno głową nadal nie niedowierzając i nie potrafiąc pojąć tego, czego była świadkiem.

— Nie rozumiem.

— Powinnaś była zrozumieć — powiedział poważnie Prentice.

— Miałas wystarczająco dużo czasu i dość rozumu, by odczytać znaki. Od wypadku minęło już jakieś dziesięć lat, prawda?

— Co zrozumieć? Jakie znaki? — powiedziała kategorycznym tonem Laura. — Panie Prentice, jestem panu wdzięczna za to, co pan zrobił — to znaczy byłabym, gdybym wiedziała, o co tu chodzi.

Prentice usiadł na sofie. Wyjął notes z kieszeni i przejrzał parę stron, zanim spojrzał krytycznie na Laurę.

— Omówmy te znaki w kolejności występowania. Lloyd opowiadał mi o pierwszym spotkaniu z André podczas lotu z Singapuru w ubiegłym miesiącu. — Spojrzał na Lloyda. — Zgadza się?

Lloyd przytaknął.

Prentice przeniósł wzrok na Laurę.

— Co właściwie wydarzyło się podczas tego lotu, pani Normanville? Czy Andy zdenerwowała się czymś?

Laura skinęła głową.

— Na początku nic się nie działo, lecz w miarę upływu czasu sytuacja się pogarszała. A kiedy mieliśmy lądować w Singapurze, była bliska hysterii. Wyprowadzenie ją z tego stanu zajęło cały tydzień, a potem podczas lotu powrotnego wszystko powtórzyło się od początku.

— Biedne dziecko — powiedział cicho Prentice. — Biedna dziecina... pewnie pomyślała, że to koniec świata.

— Czy mógłby mi pan wreszcie wyjaśnić mi, o co tu chodzi?

— rzekła stanowczo Laura.

— Pani córka w pełni uświadamia sobie takie pojęcia jak czas, przestrzeń i ruch. Wiedziała pani o tym?

— Jestem nauczycielką, panie Prentice. Zawsze wiedziałam, że Andy ma znakomite wyczucie przestrzeni.

Prentice spojrzął wręcz pogardliwie.

282

— Toby nawet mogło być zabawne, gdyby nie było tak cholernie tragiczne. Boże, chroń nasze dzieci przed szkołami pedagogicznymi, w których uczą stuprocentowej zdolności bełkotu i zero procent zdolności zrozumienia. Powiedziałem, że Andy ma świadomość. To, czego nie posiadała, a posiadała zaledwie parę minut temu, to zrozumienie, ponieważ nikt nie zadał sobie trudu, by jej to wytłumaczyć. Ten globus był wszystkim czego potrzebowała. Czy nie uświadomiła sobie pani, że istnieje pewien związek pomiędzy jej zdolnościami? Sposób, w jaki potrafi podać czas z dokładnością do ułamka sekundy; wyjątkowe poczucie równowagi; to, że świetnie radzi sobie z grami komputerowymi i to, że potrafi wywołać grzmoty — przerwał i popatrzył najpierw na Lloyda, a potem na Laurę. — André potrafi stabilizować chaos wszechświata. Rozumie pojęcia czasu i przestrzeni. Co więcej, mam podstawy przypuszczać, że potrafi wysyłać materię z powrotem do początków czasu, nie poprzez wprawianie jej w ruch, lecz przez utrzymywanie jej w bezruchu.

Zapadła głucha cisza.

— Świadczą o tym wszystkie kolejne znaki — kontynuował Prentice. — Najważniejszym z nich jest to, co wydarzyło się w Singapurze, który leży niemal dokładnie na równiku, w miejscu gdzie Ziemia zatacza największy krąg wokół swej osi — z szybkością tysiąca sześciuset kilometrów — i Andy musiała to wyczuć!

Usta Laury złożyły się w literkę „O”, ze zdziwienia.

— Na tej szerokości geograficznej — kontynuował Prentice — Ziemia wykonuje dokładnie pół długości obrotu mniej. W rzeczywistości ważymy do kilku kilogramów więcej tu niż na równiku. Zabrała pani Andy z tej szerokości, gdzie Ziemia kręci się najwolniej, do czego zdążyła przyzwyczaić się przez całe swoje życie, i wywozła do Singapuru. A kiedy zdążyła przyzwyczaić się do nowych warunków, przywiozła ją pani z powrotem do domu. Nagle cały jej sposób postrzegania wszechświata zmienił się. Świat dosłownie wirował wokół niej. Czy wyobraża sobie pani, przez co musiała przejść podczas tych lotów? Robiła, co mogła, by zrównoważyć ruch wirowy ziemi z lotem samolotu, ale z chwilą gdy samolot przestał kołować, jej świat stanął na głowie.

Zapadła długa cisza. Lloyd przypomniał sobie, iż powiedział Prentice'owi, że Andy straciła przytomność dokładnie w chwili, gdy boeing zatrzymał się. Prentice zajrzał do notesu.

283

— Jak David Frost zwykł mawiać podczas jednego z tych głupich teleturniejów, „mamy wszystkie dowody w rękę”. Dokładnie tak jak w naszym przypadku. Rozważmy je po kolei... Lloyd, powiedziałeś, że André wykazuje naturalny talent do gier komputerowych związanych z przestrzenią i trójwymiarowym ruchem, jak na przykład symulatory lotów?

— To nie jest naturalny talent — ona jest wprost genialna. Prentice przytaknął.

— Można się było tego spodziewać.

Jej zrozumienie gry wykracza daleko poza przeciętność tak dalece, że potrafi przewidzieć, co nastąpi za chwilę. Jakaś część jej mózgu rozpędza jej świadomość do tego stopnia, że świat zewnętrzny zdaje się zwalniać. Byłaby wspaniałym kierowcą wyścigowym.

— Czy dlatego potrafi wykonywać niesamowite popisy kaskaderskie na rowerze? — zapytał Lloyd.

— Po części — odparł Prentice. — Może nie mieć idealnego wyczucia równowagi, jednak posiada zadziwiający dar wyczucia przestrzennego, co wiąże się z niezwykle zdolnością

przewidywania. Jest wyjątkową młodą damą, pani Normanville. Byłbym dumny, mając taką córkę.

Jego słowa wzruszyły Laurę. Przez wszystkie lata prowadzenia André do różnych specjalistów żaden nie pochwalił dziewczynki, ani też nie powiedział Laurze, że ma szczęście; żaden z nich nie nazwał zdolności André darem, ani też nie włożył tyle wysiłku w zrozumienie jej córki.

— Naprawdę nie wiem, jak mam panu dziękować, panie Prentice...

— powiedziała cicho. — Zrobił pan tak wiele. Prentice zbył ją machnięciem ręki.

— Wystarczy mi, że mogłem choć trochę pomóc.

— Czy zbliżyło nas to do zrozumienia szczególnych zdolności André?

— zapytał Lloyd.

Doktor przecząco pokręcił głową.

— Nie, Lloyd. I szczerze wątpię, czy kiedykolwiek zdołamy je zrozumieć — przenosił wzrok z Lloyda na Laurę. — Domyślam się, że sprowadziły was odgłosy burzy?

Lloyd potwierdził, że dokładnie tak było. Prentice chrząknął.

— Powiedziałem jej, że w powietrzu jest materia. Że powiew wiatru, który czuje na twarzy, składa się z cząsteczek niewidzialnych dla oka.

284

— Uśmiechnął się. — Nie spodziewałem się, że zrozumie, ale zrozumiała. Namówiłem ją, aby spowodowała zniknięcie paru molekuł z naszej atmosfery. Właśnie to wywołało cichy, a mimo to przerażający grzmot burzy... Zadziwiające. — Uśmiechnął się łobuzersko do Laury.

— W chwili gdy próbowałem wyjaśnić jej, że kula ziemską jest okrągłą, zaczęła wpadać w złość. Wykraczało to poza granice jej pojmowania. Więc... mam nadzieję, że wybaczone mi, pani Normanville?

Laura odwzajemniła uśmiech.

— Oczywiście, że tak. Jednak chciałabym wiedzieć, czy ta choroba jest wyleczalna. Za każdym razem gdy zadawałam to pytanie, otrzymywałam wciąż tę samą odpowiedź: może pewnego dnia, w przyszłości. Ja jednak chciałabym wiedzieć, kiedy nadejdzie ten dzień?

— Myślę, że będzie szczęśliwsza teraz, kiedy rozumiała to, co ją otacza — zauważył Lloyd.

— Możliwe — odpowiedział Prentice, wpatrując się w podłogę.

— Jednak zrozumienie zasad działania diabelskiego młyna nie umniejsza strachu, jaki odczuwamy wsiadając nań. Ponadto jest jeszcze jeden problem... Bardzo poważny problem

— podniósł wzrok na Laurę. — Zawsze potępiałem rodziców, którzy starali się tłamsić talenty swoich dzieci „savantów” i nie zmieniłem swojego stanowiska. Większość „savantów” uwielbia demonstrować swoje zdolności i pozbawianie ich tego byłoby szczytem okrucieństwa. Czerpią niewypowiedziane zadowolenie, widząc nasze zaskoczenie, co w ogromnej mierze wynika z chęci zrekompensowania swej odmienności i nieprzystosowania.

— Zawahał się. Do tej pory mówił z pełnym przekonaniem, czerpiąc ze swego doświadczenia, by jego słowa trafiały do zdrowego rozsądku i nie budziły większych sprzeciwów. Ale teraz miał zapaść się w nieznane; i postanowił zdać się na swój instynkt.

— Jednak w tym przypadku, Lauro... — powiedział

— czy mogę mówić ci po imieniu? W tym przypadku uważam, że postąpiłaś właściwie, zniechęcając Andy do korzystania z jej szczególnych zdolności. Przeprowadanie czasu, jazda na rowerze i gry komputerowe są w porządku... Ale nic więcej. Gdyby ktoś dowiedział się o tym, co przytrafiło się tym motocyklistom... — Pozostawił zdanie nie dokończone.

— Ale czy kiedykolwiek zostanie wyleczona? — nalegała Laura.

— Masz na myśli leczenie operacyjne?

— Tak.

Psychiatra prychnął z pogardą.

— Spotkasz neurologów przekonujących cię jeden przez drugiego, że jest to możliwe. Ale ci hochsztaplerzy będą jedynie zainteresowani tym, by odkryć, co czyni ją wyjątkową, i ujrzeniem swoich nazwisk w druku. Istnieją też niedawno wynalezione, zwyrodniałe metody odwzorowywania poszczególnych neuronów. Nie — zawsze będę myślał przede wszystkim o dobru dziecka. Dziecka? Ha — młodej kobiety. André jest teraz szczęśliwa. Ma dom, kochającą i wyrozumiałą matkę, zabezpieczenie finansowe — przynajmniej tak zakładam. Poza tym potrafi znakomicie przystosować się do środowiska, a wspominałaś, że z każdym dniem jest coraz lepiej. Jeśli nawet była dzieckiem autystycznym, to teraz z całą pewnością nie jest. Mogę pokazać ci dzieci żyjące we własnym świecie

I nie uświadamiające sobie faktu istnienia świata zewnętrznego. Andy z całą pewnością nie jest taka. Nie jest agresywna, jest schludna i czysta

— nie ślini się i nie moczy. Osobiście radziłbym zostawić ją w spokoju. Wykonałaś wspaniałą robotę, przez wszystkie te lata, Lauro. Nikt nie mógłby być lepszą matką. Laura miała ochotę zarzucić Prentice'owie ręce na szyję i uściskać go.

— A co z jej seksualnością? — zapytała niepewnie i zerknęła na Lloyda. — Uwidacznia się w zastraszającym tempie. Jak mam sobie z tym poradzić?

Prentice zastanawiał się przez chwilę.

— Tak, dzieci o ograniczonym ego nie zawsze potrafią dostosować swoje zachowanie do tego, co my w naszym świecie uważamy za dopuszczalne. Zabawianie się ze sobą w miejscach publicznych...

— Nie, André nie robi tego — powiedziała zawstydzona Laura.

— To oznacza, że jednak posiada ego. Dziesięć lat temu odpowiedź byłaby prosta — podawaj jej pigułkę. Jednak w dzisiejszych czasach nie jest to wystarczające zabezpieczenie... Nie przejmuj się tym, Lauro. To nie jest aż tak wielki problem. Jeśli jednak jej zachowanie ulegnie zmianie, przepiszę odpowiednią kurację hormonalną. — Spojrzał na nią z uwagą.

— Dla dobra Andy, najważniejszą rzeczą w tej chwili jest umocnienie zasad, których instynktownie przestrzegałaś przez tyle lat. Rzecz jasna nie zakazuj jej przepowiadać czas, bawić się komputerem i szaleć na rowerze... Ale nie pozwalaj jej robić burzy i korzystać ze zdolności nadnaturalnych.

— Masz coś przeciwko temu, żebym wetknął nos w nie swoje sprawy? — zapytał Prentice, kiedy Lloyd odwoził go do Epsom.

— Tak.

— No cóż, i tak to zrobię. Jakie stosunki łączą cię z jej matką?

— Nie twój interes — powiedział Lloyd zmieniając biegi, by wyprzedzić ciężarówkę.

— Nie uganiaś się za bogatą wdówką?

— Za nikim się nie uganiam. Co pozwala ci sądzić, że Laura jest bogata?

Prentice westchnął. Spróbował zapalić fajkę w pędzącym samochodzie, ale zrezygnował.

— Rozczarowujesz mnie, Lloyd. Dałbym głowę, że taki wścibski dziennikarzyna jak ty zauważy, że garderoba tej młodej damy kosztowała jej matkę ładne paręnaście tysięcy funtów. Jej dresy były najlepszej marki, przynajmniej dwieście funtów; podobnie zresztą jak kurtka. To szaleństwo, ale proszę cię bardzo. Żyjemy w świecie topiącym ciężkie pieniądze w kieszeniach zwariowanych projektantów. Zresztą to, czy jest, czy też nie jest bogata nie należy do tematu. Jest atrakcyjną i rozsądną kobietą. Potrzebujesz odrobiny powściągliwości w swym życiu, żebyś przestał trwonić pieniądze na takie głupstwa jak ten samochód.

Jednakże bez względu na to, czy zaangażujesz się jeszcze bardziej, czy też pozostaniecie tylko przyjaciółmi, będziesz miał problem z tą małą. Oszalała na twoim punkcie.

— Szczęnięca miłość — powiedział Lloyd. Prentice westchnął.

— Nadaj problemowi miano, a uznasz go za rozwiązany.

— Powiedziałaś Laurze, że to nie jest problem — zauważył chłodno Lloyd. Ta rozmowa nie podobała mu się zbytnio.

— Zastanawiam się nad tym. Większość dorastających dziewcząt potrafi zapanować nad swą tak zwaną szczenięcą miłością — jednak w tym przypadku to coś więcej, Lloyd. Ona miała już związek z erotyzmem — została rozbudzona przez kochanka. Założę się, że nie jest już dziewicą.

Zdolności percepcyjne Prentice były wprost zadziwiające.

— Jak się domyśliłaś? — zapytał Lloyd.

— Widziałem to już przedtem. Seks potrafi być problemem u autystycznego dziecka które nie ma świadomej kontroli nad uczuciami. Emocje Andy są niczym bomba — wybuch może być skierowany ku pierwszemu mężczyźnie, który okaże jej sympatię i zrozumienie. Jeśli zamierzasz

287

rozwinąć bliższe stosunki z Laurą, radziłbym ci stąpać ostrożnie przez pewien czas. Wszelkie awanse ze strony dziewczyny będą musiały spotkać się z łagodną odprawą, jednak nie może poczuć się odepchnięta i wyobcowana. Zaczyna wychodzić ze swej muszli i nie chciałbym widzieć powrotu do stanu poprzedniego. Być może po dwóch latach uda ci się wyrobić w niej odczucie winy, ale nie stawiałbym na to.

— Rozumiem, że ta zawiła przemowa oznacza jedno, mam zachowywać się dyplomatycznie

— odparł Lloyd.

Prentice westchnął i zapatrzył się na krajobraz, który mijał zbyt szybko jak na jego gust.

— Gdyby tylko to było aż tak proste — powiedział ze smutkiem.

ROZDZIAŁ 89

Max sprawdził solidne deski, którymi jego wspólnik zabił okna swego mieszkania w Kimmeridge House, i uśmiechnął się do niego.

— Doskonale Leo. Rzecz jasna będziemy podawać jej środki nasenne, więc nie istnieje niebezpieczeństwo ucieczki.

Leo milczał. Do tej pory miał trudności z zaakceptowaniem myśli, że Max naprawdę zamierza wprowadzić w życie ten szalony i ryzykowny plan, ale teraz gdy przyglądał się, jak tamten wprowadza dane do przeklętego psiona, zaczął uświadamiać sobie śmiertelną powagę jego zamiarów. Resztę wątpliwości rozwiało następane pytanie Max a.

— Sprawdzales piec?

— Na litość boską, Max. Czy ty naprawdę?...

— Sprawdzales? — ton głosu Maxa był niestety spokojny.

— Nie.

— Więc proszę, zrób to teraz, Leo.

— Max, nie możemy tego zrobić. To dziecko!

— Czym jest jedno dziecko wobec bezpiecznej przyszłości całego gatunku ludzkiego, Leo?

— Max uśmiechnął się. — Oczywiście, jeśli uda ci się zniszczyć jej wspomnienia o nas, kiedy skończymy... Jednak jak sam powiedziałaś, nie możesz dać mi absolutnej gwarancji i dlatego należy sprawdzić, czy piec i filtry działają należycie. — Podeszedł do drzwi. —

Zróbmy to razem.

288

Ciśnieniowy, przemysłowy piec indukcyjny został zainstalowany w laboratorium na parterze przed dwoma laty do wyrobu prototypów wysokonapięciowych izolatorów. Od tamtego czasu masywna, ceramiczna konstrukcja służyła do spopielenia, dzięki osiągnięciu bardzo wysokich temperatur rzędu trzech tysięcy stopni Celsjusza, kondensatorów elektrolitycznych i od czasu do czasu zwłok morświnów.

— Max otworzył ciężką, okrągłą klapę pieca i położył na kracie jeden z drobiazgów z kości słoniowej należący do jego żony, w czasie gdy Leo nastawił przełącznik na maksymalną moc. Max zatrzasnął klapę i skinął głową. Leo wcisnął guzik.

Zapalenie się gazów wewnątrz komory spowodowało głuchy pomruk. W okienku rozjarzyło się mleczne światło. Minuta wystarczyła, by ozdoba z kości słoniowej rozpadła się na atomy. Leo wyłączył moc. Kiedy rygiel bezpieczeństwa wskazał, że temperatura rdzenia spadła do bezpiecznego poziomu, Max otworzył klapę. Drobiazg zniknął bez siadu. Max zachichotał i pogłaskał czule obudowę pieca.

— Byłem pewien, że jeszcze kiedyś się nam przyda. Cóż za zadziwiająca bestyjka. Potrafi zniszczyć nawet zęby.

ROZDZIAŁ 90

Lalki André zostały wypędzone z jej łóżka. Pan Chips, olbrzymi, pluszowy miś panda, był zbyt duży, żeby zmieścić się na dno zapchanej szafy, został więc wepchnięty bezceremonialnie pod łóżko. Pozostałe maskotki: Kermin, dwa misie i dalmatyńczyk o imieniu Fritz, siedziały teraz pogrążone w całkowitych ciemnościach. Jedyną, której udało się uniknąć tego losu, była Myszka Minnie, która każdej nocy za rozsunięciem zamka błyskawicznego rodziła koszulę nocną lub pidżamę André poprzez cesarskie cięcie. Uzurpatorem stał się plastikowy globus ofiarowany przez Sally Fielding. Kiedy Laura weszła do pokoju, by życzyć André dobrej nocy, dziewczynka siedziała w łóżku z globusem przyciśniętym do piersi i oglądała telewizję.

Wyciągnęła ramiona, by przytulić się przed snem do matki. Pomimo że dziewczyna nigdy się nie uśmiechała, Laura czuła zadowolenie córki z tego, że jest trzymana w ramionach.

289

— Lloyd zostaje? — Na prośbę Laury, po odwiezieniu Teda Prentice'a do Horton Manor, Lloyd wrócił do bungalowu i spędzili we trójkę radosny, spokojny wieczór.

Laura pokręciła głową.

— Nie. Zaraz go wyrzucę. Odsunęła André na długość ramion i przyjrzała się jej uważnie. — Lubisz Lloyda, prawda?

André przytaknęła energicznie. *

— Czy mogę powiedzieć mu dobranoc?

— Oczywiście, kochanie.

Lloyd wszedł po pokoju chwilę później.

— Uciekam — powiedział wesoło. — Twoja mamusia już mnie wyrzuca. Zrobiło się całkiem późno. Hej — wyglądasz tak ładnie, że mam ochotę cię zjeść.

André zerwała się i uklękła na łóżku, by go przytulić. Przycisnęła się do piersi Lloyda trochę zbyt entuzjastycznie, lecz podobne gesty przestały go niepokoić i zgodnie z sugestiami Teda Prentice'a delikatnie wyzwolił się z jej ramion i lekko cmoknął w nos. Była tak szczęśliwa, iż wydawało się, że za chwilę może się uśmiechnąć.

— Przyjedziesz jutro, Lloyd?

— Nie mogę, aniołku. Czeka mnie mnóstwo pracy. Na szczęście twoja mamusia zaprosiła mnie na kolację w niedzielę, więc na pewno się zobaczymy. — Zatrzymał się przy drzwiach. André znów tuliła globus, wpatrując się w niego wielkimi, smutnymi oczami. — Pa aniołku.

— Pa, Lloyd.

André wyciszyła telewizor i zaczęła wsłuchiwać się w przytłumione głosy w holu. Minutę później usłyszała jak Lloyd zatrzaskuje drzwiczki samochodu.

Niedziela. Dwa dni czekania.

Włączyła fonię, kiedy Laura wróciła do pokoju i przysiadła na jej łóżku.

— Nie oglądaj telewizji zbyt długo, kochanie. Miałaś dziś bardzo ekscytujący dzień. Dać ci coś na sen?

— Nie.

— Ja chyba wezmę proszek. Tyle się dziś wydarzyło. Ale to był bardzo radosny dzień.
— Radosny dzień — przyznała André. — Teraz wszystko w porządku.

290

Laura objęła palcami dłoń córki.

— Chcę, żebyś posłuchała mnie uważnie, Andy. Dziś ten miły pan Prentice poprosił cię o to, żebyś zrobiła burzę.

Dziewczynka wpatrywała się w nią, nie rozumiejąc.

— Myślałam, że to będzie w porządku.

— Było w porządku, kochanie. Nie gniewam się. Ale nie rób tego więcej. Nigdy, przenigdy. Rozumiesz?

— Nawet jeśli Lloyd mnie poprosi?

— Nie poprosi cię. Ale jeśli nawet cię poprosi, musisz mi obiecać, że nie zrobisz tego. Jeśli to zrobisz, źli ludzie przyjdą tu i zabiorą cię daleko od mamusi, zamkną cię w dużym, zimnym pokoju i już nigdy mnie nie zobaczysz.

— Nigdy nie zobaczę Lloyda?

— Nigdy już nie zobaczysz nikogo. Czy możesz obiecać mi, że już nigdy nie będziesz robiła burzy?

André skinęła głową.

— Powiedz: „Obiecuję, że już nigdy nie będę robiła burzy”. Powiedz to, proszę cię, kochanie.

— Obiecuję, że już nigdy nie będę robiła burzy — André powtórzyła z powagą.

Laura przyciągnęła ją do siebie i pocałowała.

— Jesteś bardzo grzeczną dziewczynką, kochanie. André nagle wskazała palcem ekran telewizora.

— Takie sukienki, jakie pokazywała nam Sajii.

W nocnym wydaniu wiadomości pokazywano reportaż o rodzinach kurdyjskich przygotowujących się do wojny domowej. Kolejne ujęcie przedstawiało rozentuzjarmowanych, skandujących ochotników ćwiczących w obozie na północy Iranu. Komentator wyraził przekonanie, że pokonane i rozproszone wojska Saddama Husejna nie zdołają stłamsić powszechnej rebelii kurdyjskiej. Obraz zmienił się, ukazując atak uzbrojonych helikopterów irackich na pozycje rebeliantów w górach podczas powstania w 1988 roku. Dwa tygodnie dzieliły uwiecznione zdarzenia od tragedii zakończonego fiaskiem powstania 1991 i na ekranie pojawiły się rodziny kurdyjskie uciekające w góry.

— To potworne, przez co musieli przejść — powiedziała Laura, zastanawiając się, ile André z tego rozumie. — Obozy uchodźców w Turcji — a przecież Turcy nienawidzą ich. Sajii mówiła mi, że Kurdowie nie mają prawa używać w Turcji własnego języka.

291

— Przecież mówią po angielsku i chodzą do kościoła.

— Ponieważ Hamet i Sajii są Kurdami wyznania chrześcijańskiego.

— A Khalid?

— Tak, on też — Laura spojrzała uważnie na córkę, ale nie dostrzegła żadnych emocji.

André obracała globus długimi, szczupłymi palcami.

— Nie mogę znaleźć ich miejsca na moim świecie.

— Kurdystan? — zapytała Laura. — Nie znajdziesz. Jest częścią Iraku i paru innych państw. Pokażę ci. Ujęła palec wskazujący André i nakierowała go na północny Irak.

— Tutaj — to jest Kurdystan. Hamet i Sajii mają letni dom na północy, w pobliżu Turcji.

Widzisz Turcję?

— Zawsze przed snem odmawiam za nich paciorek. Laura pocałowała ją.

— Ja też, maleńka. — Położyła dłoń na globusie. — Chcesz, bym postawiła go na toalecie?

André zacisnęła uchwyt na swoim nowym talizmanie.

— Nie. Chcę go trzymać.

Laura zamierzała ponowić próbę, ale zmieniła zdanie. Jakież to miało znaczenie, że André wolała globus od swoich lalek? Przemiana, jaka dokonana się za sprawą Teda Prentice'a była zadziwiająca; przyszłość przestała być czymś przerażającym. Jednak świadomość straconych lat złościła ją. Złorzeczyła w myślach armii lekarzy i tak zwanych ekspertów, którzy zdobywali sławę na nieszczęściu jej córki, nie dając nic w zamian. Ted Prentice w ciągu zaledwie paru minut nie tylko odkrył, co prześladowało Andy przez wszystkie te lata, ale też znalazł rozwiązanie problemu. Cholerna niesprawiedliwość.

Ponownie pocałowała André i wstała. Niech szlag trafi wszystkich tych szarlatanów — odmawiają matkom niezaprzeczalnego prawa do układania swoich dzieci do snu.

— Jestem wykończona. To był długi dzień i chyba położę się wcześniej spać. Nie podkrecaj tego zbyt głośno. Dobranoc, kochanie.

— Dobranoc mammo.

André skierowała pilota na odbiornik i podgłośniła dźwięk. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślała Laura. Przydadzą mi się te środki nasenne.

ROZDZIAŁ 91

— Zapasowe koło? — zapytał Max, stukając palcem w wszechwiedzący organizator.

— Mam.

— Sprawdź ciśnienie.

— Jest w porządku — zaprotestował Leo i prawie uderzył głową w otwarte tylne drzwi granady wyprostowując się.

— Proszę cię, Leo, sprawdź ciśnienie — nalegał Max. Leo pomruczał pod nosem, ale zrobił, co mu kazano.

— Dwie atmosfery — zameldował.

— Świetnie. Koce turystyczne. Duże. Dwie sztuki.

— Koce turystyczne. Duże. Dwie sztuki. Zapakowane.

— Rękawiczki. Czarne. Bawełniane. Dwie pary.

— Rękawiczki. Czarne. Bawełniane. Dwie pary. Max, to nie jest operacja wojskowa.

— Powodzenie tej akcji zależy od sposobu, w jaki zostanie przeprowadzona — odparł Max.

— Dobrze. Załatwiliśmy sprawę transportu. Sprawdźmy sprzęt.

Mężczyźni otworzyli duży karton stojący na podłodze w pobliżu granady. Został dostarczony przez posłańca dużej firmy farmaceutycznej. Firma Cybernet Consultancy była cenionym klientem, więc zawsze dowożono na miejsce zamówione towary.

Max wyjął mały, szklany walec. Wyjął zawór i ostrożnie powąchał szjfbko ulatniający się gaz.

— To jeden z ich najlepszych środków odurzających. — Przykręcił adaptor do otworu wylotowego i umocował metrową, gumową rurkę o małym przekroju. — Miejmy nadzieję, że dziewczyna sypia przy zamkniętych drzwiach i oknach. Mam tu też parę próbek — są przeznaczone do celów badawczych, rzecz jasna. — Wyjął płat plastikowej folii, w każdej z kieszonek spoczywał płaski, czerwony krążek. Wyglądały jak hermetycznie zapakowane sztony do gry w ruletkę.

— Jeśli przyjrzesz się im uważnie, zauważysz małe kolce — wyjaśnił Leo. — Działające wolno, ale bardzo skuteczne środki uspokajające. Wystarczy przykleić jeden z tych krążków do szyi i będziesz spokojny jak baranek przez co najmniej sześć godzin.

293

— A jak zamierzasz ją żywić, kiedy będę przeprowadzał odwzorowywanie? To może zająć nawet dwa dni.

Max wskazał palcem drugi karton.

— Sprzęt do podawania płynów dożylnie plus parę niezbędnych narzędzi to wszystko, czego trzeba nam en voyage.

— Kiedy ruszamy?

Max zająrzył do organizera.

— O północy. Zgodnie z planem powinniśmy być w Durston Wood o drugiej trzydzieści. Dziewczyna będzie już spała.

ROZDZIAŁ 92

PÓŁNOCNY IRAK Sobota, 16 marca 1991

!*

Khalid nie spał, wsłuchując się w odgłosy nocy. Zostawił drzwi otwarte, żeby słyszeć, jak Nuri oddycha. Jego organizm domagał się snu, a każdy mięsień bolał po dniu ciężkiej pracy przy studni, ale zmusił się do czuwania.

Budowa studni wreszcie dobiegła końca. Tego wieczoru wdzięczne kobiety, którym udało się ocaleć z masakry w Afan, wyciągnęły pierwsze wiadro czystej wody. Żeby to uczcić, ugotowały swym dbbroczyńcom barani gulasz. O pierwszym brzasku on i Nuri mieli ruszyć w dalszą drogę.

Khalid zaczekał do północy, aż Nuri zaśnie głębokim snem, i wysliznął się z łóżka. Prócz butów, które teraz wciągnął na nogi, był w pełni ubrany. Nuri nalegał, by nie rozbierali się do snu, na wypadek gdyby musieli uciekać. Przez chwilę nasłuchiwał pod drzwiami Nuriego. Mężczyzna cicho pochrapywał.

Khalid zapalił świeczkę i wykradł się na mroźne, nocne powietrze. Bluebird stał przed wejściem, załadowany przygotowaną wcześniej wodą, jedzeniem i odzieżą. Przeszedł do szkieletowatej pozostałości po warsztacie. W ostatniej fazie rozbiórki budynku robił wszystko, by aparat telefoniczny pozostał nie zauważony i sprawny. Teraz zdjął plik gazet, pod którymi był schowany, i podniósł słuchawkę. Usłyszał trzask i ciche brzęczenie. Nadal działał! Palce mu drżały, a serce tłukło niespokojnie,

294

kiedy wykręcał numer domu rodziców w pobliżu Duhok. Za chwilę usłyszysz głos ojca!

Jednak dźwięk pozostał nieprzerwany.

A może źle wykręcił numer? Bardzo wątpliwe. Miał trzy numery telefoniczne wryte głęboko w sercu: po pierwsze numer swojego domu w Bagdadzie; numer w Duhok był drugi.

Niemniej jednak nacisnął widelki i spróbował jeszcze raz. Wynik był taki sam. A może rodzice udali się z wizytą do przyjaciół? Mieli ich mnóstwo. Spróbuje znów za pół godziny.

Khalid postanowił poczekać, zbyt podekscytowany, by poczuć prze-nikliwy chłód nocy.

ROZDZIAŁ 93 POŁUDNIOWA ANGLIA

Godzina zero Maxa przesunęła się o pięć minut.

Skręcił w drogę wiodącą do Durston Wood o 2.35. Silnik mruczał cicho, kiedy samochód jechał przez uśpioną okolicę. Wjechał w boczną alejkę wiodącą do numeru 16 i zaparkował. Bungalow, podobnie jak pozostałe domy, był pogrążony w ciemnościach. Pracujący ciężko mieszkańcy Durston Wood szli spać z kurami.

— wielka szkoda, że nasz kochaś nie wpadł z wizytą dzisiejszego wieczoru powiedział Max na widok pustego podjazdu.

Leo przetarł oczy.

— Dlaczegoż to? Max westchnął.

— Czy ty nigdy nie myślisz, Leo? W jaki sposób kochankowie spędzają wspólne noce?

— Kochając się?

— Dokładnie. Bardzo wyczerpujące zajęcie. Nie kopulujące pary zazwyczaj zapadają w głęboki sen.

Dwaj mężczyźni w czerni wysiedli z samochodu, zostawiając uchylone drzwi. Max otworzył klapę bagażnika. Przezornie naoliwił wszystkie ruchome części, więc mechanizm otworzył się bez hałasu. Jeden po drugim przenieśli potrzebne części sprzętu pod okno, które jak Max wcześniej stwierdził, należało do sypialni André. Jednak chciał mieć absolutną pewność.

295

Skierował promień światła z latarki na kabel telewizyjny przechodzący przez otwór w framudze. Zauważył zapomnianą lalkę siedzącą na parapecie, ale Max uwielbiał perfekcję. Włączył wzmacniacz dźwięku i nałożył słuchawki. Następnie zmoczył przyssawkę mikrofonu i przykleił go do szyby. Nasłuchiwał z uwagą, stopniowo zwiększając moc wzmacniacza. Głuche syczenie, jakie słyszał w słuchawkach, musiało być wynikiem wsysania prądów powietrza przez grzejnik pod parapetem okiennym, szum tła sypialni. Wzmacniacz był podłączony do pięciocalowego, podświetlonego ekranu, który teraz pokazywał fale skaczące w rytm słyszanych dźwięków tła. Max zmniejszył moc, aż fale opadły poniżej poziomu, a kiedy to zrobił, ekran zarejestrował kolejny napływ fal, których jego słuch początkowo nie wyłapał. Patrzył i słuchał, potem przekazał słuchawki Leo i skierował moniterek w jego stronę. Leo skontrolował regularność odstępów pomiędzy kolejnymi falami dźwięku i przytaknął.

— Regularny oddech. Ktoś tam śpi. To musi być sypialnia.*

— Bardzo prawdopodobne, że to jest sypialnia — wyszeptał Max.

— Nigdy jednak nie ma stuprocentowej pewności.

Poruszał lekko kablem telewizyjnym, który zniknął we framudze okna. Ktokolwiek go instalował, był mistrzem ligi szybkiego zarobku za sfusze-rowaną pracę; otwór był dwa razy większy, niż było to konieczne, i Max bez najmniejszego trudu wsunął obok kabla plastikowy kabel podłączony do szklanego walca. Zamierzał skorzystać z dłuta, ale okazało się to zbyteczne. Uśmiechnął się zadowolony.

— Miej oko na przyspieszenie oddechu, kiedy gaz zacznie działać

— wyszeptał. — Dobra? Leo skinął głową

Pomimo pozornego opanowania Max nie potrafił ukryć drżenia palców przy odkręcaniu zaworów pojemnika.

Gaz usypiający cicho sycząc, zaczął dostawać się do sypialni André.

ROZDZIAŁ 94

PÓŁNOCNY IRAK

Khalid nie potrafił zrozumieć zasad działania przycisku samoczynnie powtarzającego numery w nowoczesnych telefonach. Wybrał numer tele-296

fonu rodziców z ogromną uwagą, przywołując kolejne cyfry z pamięci, jedna po drugiej. Tak jak poprzedni rozległ się ciągły, wolny sygnał.

Pozwolił mu brzęczeć przez pięć minut i poddał się. Miał już zamiar wrócić do łóżka, kiedy przypomniał sobie trzeci numer telefonu, który znał na pamięć. Wyłowił z kieszeni fotografię André. Zawsze wyglądała pięknie, ale teraz, przy blasku świecy, nawet piękniej. Dotknął jej włosów i przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie.

— Andy.... wyszeptał do zdjęcia.

Znów podniósł słuchawkę. Zabrzęczała uspokajająco. Oczywiście był to znacznie dłuższy numer, ale widział go wyraźnie przed oczami, cyfra po cyfrze. Najpierw wykrecił 00, by wskazać systemowi, że zamierza dzwonić poza Irak. Zaczekał na sygnał i wykrecił 44 żeby powiedzieć mu, że chcesz dodzwonić się do Anglii. A potem wykrecił...

ROZDZIAŁ 95 POŁUDNIOWA ANGLIA

Dźwięk telefonu prawie ogłuszył Leo. Zaklął i zdał słuchawki z uszu.

— Cholera — wymamrotał. — Kto mógłby dzwonić o tej porze? Max zakręcił zawór pojemnika z gazem w tej samej chwili, kiedy

usłyszał dzwonienie. Szybko wyciągnął rurkę z dziury we framudze i wsunął całość pod pobliski krzew. Przygięta pozycja pozwoliła mu ukryć twarz przed Leo. Nagły dźwięk telefonu wstrząsnął nim.

— Nie wiem — powiedział spokojnie. — Będziemy musieli poczekać. Lepiej włącz nasłuch.

— Niech najpierw umilknie to przeklęte dzwonienie. Jednak telefon nie przestawał dzwonić.

Trzy metry od miejsca w którym mężczyźni kucali pod oknem André poruszyła się niespokojnie. Dźwięk telefonu w kuchni wreszcie przedarł się przez sen. Instynktownie sięgnęła po globus stojący przy łóżku i przycisnęła go mocno do piersi. Zimna krągłość dawała dziwne, ale uspokajające pocieszenie.

Telefon powtarzał natarczywe dźwięki. Zaczęła zastanawiać się, dlaczego matka nie wstaje, by go odebrać. Umysł podpowiedział jej, że osoba po tamtej stronie straciła nadzieję, iż słuchawka zostanie podniesiona.

297

Wstanie z łóżka wiązało się dla niej jedynie z życzeniem, by wreszcie umilkł.

Jednak nie przestawał; dźwięk powtarzał się w regularnych odstępach, przytłumiony przez dwoje drzwi, a mimo to przenikliwy i nieustępliwy niby płacz dziecka. André opuściła stopy na podłogę i wsunęła do futrzanych kapci, które wyglądały jak puszyste, śnieżne kule.

Ruszyła do kuchni, podciągając po drodze spodnie do pidżamy. Była przekonana, że telefon przestanie dzwonić, gdy tylko go dotknie. Podniosła słuchawkę.

Prócz rzadkich telefonów do zegarynki w celu potwierdzenia dokładności własnego zegarka, André rzadko korzystała z aparatu; ostatni raz zrobiła to, chcąc zamówić kwiaty na Dzień Matki. Równie rzadko odbierała telefon, wiedząc, że rozmowy nie są do niej. Matka podawała ostatnie cztery cyfry telefonu, odbierając go, więc André zrobiła dokładnie to samo i dodała z ważną miną:

— Mówi André Normanville.

Rzecz jasna nie wiedziała zbyt wiele o systemie połączeń. Nie wiedziała, że rozmowy międzynarodowe są cyfrowo wzmacniane, dzięki czemu głos dzwoniącego dociera nienaturalnie głośno i wyraźnie.

— Andy! — zakrzyknął głos — Cześć. Mówi Khalid. André zakreśliło się w głowie.

— Khalid? Khalid! — Jej głos zawołał przez Europę i Azję. Poczowała, że jej nogi są jak z waty. Te trzy wypowiedziane przez niego słowa wystarczyły, by przywołać nagłą wilgotność, podobną do tej jaką podczas ostatniego spotkania wywołały jego niecierpliwie palce i wargi.

— Khalid! Khalid! Khalid!

Nie była w stanie sformułować składnego zdania i nie uświadomiła sobie, że krzyczy.

— Andy, kochanie. Nie krzycz. Nie krzycz, proszę! Słyszę cię. André miała wrażenie, że jej głowa pęknie za chwilę. Jej oczy

i pochwa płakały. Jej ciało stało się polem bitwy pomiędzy rozpaczą, a zmysłową ekstazą, przy czym rozpacz wyszła zwycięsko z tej potyczki. Z wściekłością uderzyła pięścią w blat kredensu, starając się zmusić mózg do tego, by przełożył na słowa uczucia, które kłębiły się w jej żołądku niby dwaj zapaśnicy sumo. Jej zszokowany umysł dokonał rzeczy niemożliwej jasność eksplodowała w nim na krótką sekundę, pozwalając jej zdobyć tyle kontroli nad lewą półkulą, by zdołała wykrztusić:

— Khalid! Kocham cię!

298

— Andy... tak bardzo tęsknię za tobą.

— Gdzie jesteś?

— Dzwonię z Iraku. Rozumiesz?

Jej umysł zawirował. Jeszcze wczoraj nie wiedziałyby, o czym mówi, ale dziś zrozumiała.

— Irak! Tak! Tak! W moim świecie! Jadę do domu nad jeziorem, do rodziców. Masz zdjęcia, które ci dałem?

— Tak, jezioro! — zawołała Andy. — Irak.

— Muszę już kończyć, Andy. Ktoś może usłyszeć nasze głosy. To jest zbyt niebezpieczne.

Ludzie próbowali zabić mnie na wojnie.

Strach w jego głosie przeniknął ostrzem bólu przez i tak udręczone ciało André. Khalid zawsze był roześmiany. Nigdy się nie bał. A teraz ci wstrętnei ludzie próbują go zabić! Nie skłamałby przecież, zwłaszcza jej.

— Khalid! — zawołała.

— Kocham cię Andy. Zawsze cię kochałem. Do widzenia Andy. Pomyślała o dokumentalnym filmie w telewizji, o helikopterach i żołnierzach zabijających Kurdów. Nie potrafiła zrozumieć, że film został nakręcony przed, trzema laty. Dla niej to działo się teraz — helikoptery tropią Khalida i próbują go zabić!

— Khalid! Khalid!

Ale połączenie zostało przerwane.

Opadła na podłogę, serce wyrywało jej się przez gardło wraz z imieniem Khalid, kiedy krzycząc i szlochając wykrzykiwała je w głuchą słuchawkę. Kopiając wściekle nogami przewróciła krzesło, jednak żaden fizyczny ból nie był w stanie przeniknąć głębi rozterki umysłowej.

Taką właśnie znalazła ją Laura.

ROZDZIAŁ 96

PÓŁNOCNY IRAK

Był jeszcze ktoś, kto usłyszał rozmowę Khalida. W dużym, klimatyzowanym samochodzie łączności zaparkowanym na obrzeżach Mosulu Ali Hassan czekał, aż Radio Wolny Kurdistan zacznie nadawać. Skanery VHF zamontowane na wysokich stojakach przeszukiwały fale FM i natychmiast zareagowałyby w chwili rozpoczęcia nadawania na jakiegokolwiek innej częstotliwości. Znalezienie miejsca nadawania było sprawą sekund. O tak późnej porze istniała niewielka szansa, by któraś z wrogich rozgłośni weszła na antenę. Niemniej jednak cyfrowe okienko odbiornika Icom pokazywało, że fala są nieustannie przeszukiwane. Na stojakach stało parę innych odbiorników przeszukujących poszczególne częstotliwości.

Nawet telefony milczały, co nie było czymś niezwykłym w środku nocy. Ciężarówka General Motors była połączona grubym przewodem z telefoniczną skrzynką przyłączową zbierającą wszystkie linie na tym terenie, które szły dalej do centrali cyfrowej w Mosulu.

Ali Hassan ziewnął i zaczął z trzaskiem wyłamywać palce.

W końcu znalazł jakieś zajęcie. Zaczaj rozważać zrobienie sobie kolejnej filiżanki kawy.

Allach jeden wiedział, jak to świnstwo niszczyło mu żołądek. Znow ziewnął.

Nuda. Nuda. Nuda.

Jakże inaczej było w zeszłym tygodniu, kiedy wraz z całą grupą łącznościowców pomagał na południu w stłamszeniu rebelii szyitów. Teraz przyszła kolej na tych przeklętych Kurdów. Jak dotąd doszło do paru drobnych potyczek, ale ostateczna, konfrontacja była sprawą dni. W centrali Alego krążyły wieści o przemieszczaniu sprzętu wojskowego w kierunku północnym. Nie w kolumnach — to mogłoby zaalarmować amerykańskie satelity szpiegowskie — lecz dwójkami i trójkami. Nawet ciężarówka Alego została przemalowana, tak że przypominała samochód firmy przeprowadzkowej. Sądząc po chorągiewkach na mapie, w ostatnich dniach przybyło jeszcze parę podobnych. Wszelkie połączenia biegnące przez enklawy Kurdów zostały zabezpieczone. Ali wiedział, że nie zawaha się nawet chwili, gdy zostanie wezwany do wypełnienia zaszczytnego obowiązku, jakim było bronienie Iraku przed tymi, którzy chcieli pchnąć go nożem w plecy.

Odezwał się alarm urządzenia rejestrującego sygnały. Ali zapał się nogą, by przesunąć krzesło obrotowe w pobliże magnetofonu. Światelko sygnalizujące nagrywanie paliło się, a ogromne szpule obracały. Trzeba było przyjrzeć się uważnie, by stwierdzić, że się poruszają; taśmy nagrywały się bardzo wolno. Na jednej z pięciuset linii telefonicznych przechodzących

przez ciężarówkę łączności ktoś wysyłał ton podwójnego zera, by uzyskać połączenie międzynarodowe. Numery telefonu dzwoniącego i odbiorcy wyświetliły się 300

na monitorze Packard Bella. Numer odbiorcy był poprzedzony dwiema czwórkami. Ktoś próbował dodzwonić się do Wielkiej Brytanii.

Ali wystukał numer telefonu osoby dzwoniącej na klawiaturze i musiał odczekać trzy sekundy, podczas gdy komputer przeszukiwał twardy dysk, by znaleźć nazwisko i adres abonenta.

Pojawiła się nazwa Afan. Wioska.

W Afanie był tylko jeden telefon. Ali widział imię i adres abonenta parę dni wcześniej: człowiek podejrzany o działalność w PKK. Ktoś musiał zbagatelizować organizacyjne zalecenie zachowania czujności. Nie widział potrzeby wsłuchiwać się w rozmowę. Była to rozmowa międzynarodowa z wrogim państwem i to mu wystarczyło.

Złapał za słuchawkę czerwonego telefonu.

ROZDZIAŁ 97

POŁUDNIOWA ANGLIA

Trzymając po jednej słuchawce przy uchu, z wzmacniaczem całkowicie wyciszonym, Max i Leo słyszeli każde słowo dramatu rozgrywającego się w bungalowie w Durston Wood;

— Muszę jechać do Iraku krzyczała André. — Muszę! Muszę!

— Andy — błagała Laura. — Nie możemy jechać do Iraku. Tam toczy się wojna. Przecież widziałas to w telewizji, na litość boską ostatnio prawie nie pokazują niczego innego.

— Muszę pomóc Khalidowi! — szalała Andy. — Muszę jechać do Kurdystanu!

— Proszę cię, Andy nie możemy mu pomóc. Jedyne co możemy zrobić, to modlić się. Nic więcej!

— Nic cię to nie obchodzi!

Głosy stały się głośniejsze, kiedy matka z córką przeszły do sypialni. Rozległ się stuk, który mógł powstać przy tym, jak dziewczyna rzuciła się na łóżko. Zduszony szloch, potem głos matki znacznie bliżej:

— Obchodzi mnie to, Andy. Martwię się tym, co z nimi będzie — z Hametem, Sajii i Kha...

— Nieprawda! Nienawidzę cię! Nienawidzę!

301

— Porozmawiamy o tym jutro rano, Andy. — Sądząc po głosie kobieta była u kresu sił.

Kroki kobiety opuszczającej pokój. Max podkreślił wzmocnienie. Dziewczyna została w pokoju, płacząc z twarzą ukrytą w poduszce, jak przypuszczał po zduszonym szlochu. Szafa otwierana i zamykana gdzieś w tle, woda leżąca z kranu przez krótką chwilę. Potem kobieta wróciła.

— Weź to, Andy pomogą ci zasnąć.

— Nie chcę!

Znów rozpętała się burzliwa wymiana zdań. Dziewczyna powtarzała wciąż, że musi jechać do Kurdystanu. Awanturę przerwał nagle dźwięk głośnego, mocnego policzka. Histeria dziewczyny przerodziła się z czasem w wystraszone popiskiwanie.

— Połkniesz te proszki i spróbujemy zasnąć! Połknij je! Odgłosy połykania.

— Wszystkie! Znów połykanie.

— A teraz połóż się! Szelest pościeli.

Głos kobiety oddalił się.

— Tak jest dużo lepiej. I jeśli usłyszę dziś w nocy choćby jeszcze jedno chlipnięcie, młoda damo, zapomnę o tym, że jesteś już duża i wlepię ci parę klapsów.

Przerażone piśnienie:

— Nie, mamusi... Proszę, nie.

— Więc idźże spać!

Trzask. Światło przenikające przez firanki zgaśło.

Dwaj mężczyźni kucający pod oknem spojrzeli po sobie i zaczęli uważnie nasłuchiwać. Płacz dziewczyny nie ustawał przez dziesięć minut. Od czasu do czasu wymawiała imię Khalida i powtarzała, że musi jechać do Kurdystanu. Minęło kolejne dziesięć minut, gdy umilkła; pozostał regularny wzór na małym ekranie wzmacniacza.

Max wyprostował się i przeciągnął. Bungalow znów był cichy i pogrążony w ciemnościach. Podczas gdy Leo nasłuchiwał dźwięków dochodzących z pokoju, Max wepchnął plastikową rurkę przez otwór w parapecie i odkręcił zawór pojemnika z gazem usypiającym.

ROZDZIAŁ 98 PÓLNOCNY IRAK

Nuri pierwszy usłyszał przerażający łoskot nadlatujących helikopterów. Więcej niż dwóch — dużo więcej. Popędził do pokoju Khalida i obudził go, potrząsając za ramię.

— Śmigłowce! Wynosimy się stąd! Szybciej! Ruszaj się!

Minutę później mężczyźni wypadli z domu i wskoczyli do samochodu. Niebo nad wioską było rozświetlone reflektorami i flarami. Jedna ze starszek głośno zawodziła. Khalid spóźnił się o sekundę z zapalaniem samochodu i Nuri zaczął krzyczeć na niego, bijąc pięścią w deskę rozdzielczą. Silnik zaskoczył. Tylne koła bluebirda zakreśliły się, wzbijając tuman błękitnego kurzu, zanim wgrzyzły się w podłoże i samochód skoczył naprzód. Jego tył poruszał się przez chwilę jak ogon rekina, kiedy Khalid na drugim biegu naciskając na gaz zwiększył moment obrotowy i odzyskał przyczepność.

— Na północ! — wrzasnął Nuri, pokazując kierunek przez przednią szybę. Ciemne kształty opustoszałych chat obskoczyły ich ze wszystkich stron. Khalid kręcił kierownicą w prawo i w lewo. Otarł się o stodołę, ale samochód kontynuował swą szaleńczą szarżę. Strzałka szybkościomierza weszła na czerwone pole, gdy przekroczył sto kilometrów na godzinę.

— Rozwalisz silnik kretynie!

Khalid jednak już wrzucił czwarty bieg i skierował samochód w stronę wzniesienia. Droga wyrównywała się za wioską, umożliwiając mu nabranie jeszcze większej szybkości. Cztery koła oderwały się na chwilę od ziemi, gdy dotarli na szczyt, silnik zaryczał krótko i uspokoił się, kiedy opony z hukiem zetknęły się z nierównym podłożem. Nuri miał zamiar krzyknąć coś o zawieszeniu, lecz zauważył światła reflektorów i obły kształt helikoptera tuż przed nimi. Lądował na zoranym polu na skraju drogi. Światła o potężnej mocy zawahały się i spoczęły na bluebirdzie. Żołnierze w pełnym rynsztunku zaczęli wyskakiwać z maszyny, ich postacie rzucały długie, groteskowe cienie na nagą ziemię. Unieśli karabiny automatyczne do pozycji strzeleckiej. Jeden z nich opadł na kolano i przyłożył do ramienia szeroką tubę wyrzutni pocisków.

303

Nuri sprężył się w oczekiwaniu na obrócenie samochodu o 180 stopni za pomocą hamulca ręcznego, był pewien, że Khalid to zrobi. Zamiast tego młody człowiek nakierował samochód wprost na żołnierzy, wrzucił drugi bieg i wcisnął pedał gazu do dechy.

— Co ty wyprawiasz, do cholery? — krzyknął, kiedy koła bluebirda trafiły na miękką ziemię. Nie mógł w to uwierzyć; Khalid uśmiechał się! Ten szalony imbecyl uśmiechał się od ucha do ucha!

— Życz nam szczęścia! — odkrzyknął Khalid. Włączył światła drogowe i reflektory dodatkowe. Żarówki halogenowe mogły oślepić żołnierzy, ale nie było szans, żeby nie trafili do samochodu szarżującego szaleńczo w ich kierunku. Helikopter, z którego oddział wyskoczył, znów wzbiał się w powietrze, oblewając bluebirda paroma kilowatami oślepiającego, białego światła. Kiedy żołnierze unieśli karabiny do strzału, Nuri doświadczył tego samego dziwnego uczucia strachu, jak podczas ucieczki czołgiem z Kuwejtu. Powietrze zdawało się naelekt-ryzowane, powodując, że włosy na jego ramionach, głowie i brodzie stanęły dęba. Żołnierze otworzyli ogień z odległości dwudziestu metrów.

Potworny huk uderzył w uszy Nuriego, kiedy rozbłysła 155-milimetrowa lufa. Silny podmuch rozbił coś blisko niego — była to szyba po jego stronie, a towarzyszący temu gwizd zmusił go do rozwarcia szczęk. Eksplozja zdawała się nie mieć końca. Jego ciało było rzućane z boku na bok, kiedy samochód pędził naprzód, a mimo to miał wrażenie, że jest odłączony od swej cielistej powłoki i unosi się w powietrzu. W końcu przez jego otępiełe zmysły przedarły się ryk silnika i wyjące turbiny helikoptera. Oślepiające światło, które zaatakowało nerwy oczne, zostawiło za sobą eksplozję kolorowych błysków tańczących szaleńczo na jego siatkówkach. Zamknął oczy, ale wizualny atak trwał nieprzerwanie, drażniąc umysł.

Kiedy wreszcie odzyskał wzrok, spodziewał się, że pierwszą rzeczą, jaką zobaczy będzie martwe ciało Khalida przewieszane przez kierownicę ze sztywniejącą nogą wpartą w pedał gazu. Jednak siedział prosto. Nuri zaczął się zastanawiać, czy śmierć pozwoliła mu zachować życie, odbierając w zamian zdrowe zmysły. Łaskawie ciemności opadły go ze wszystkich stron. Odgłos opon zmienił się, gdy zjechały z pola. Potem wydawało mu się, że słyszy śpiew. Zmusił się do otwarcia oczu i zagapił się z niedowierzaniem na wyboistą drogę znikającą pod maską pędzącego samochodu.

304

I ten śpiew!

Był to Khalid. Dał Nuriemu sójkę w bok i uśmiechnął się szeroko. — Mieliśmy kupę szczęścia, co Nuri?

Odpowiedź Nuriego utonęła w nagłym wrzasku turbiny helikoptera. Wiązka szperaczy skierowała się w ciemne niebo pięćdziesiąt metrów przed bluebirdem* a potem ruszyła wprost na niego.

ROZDZIAŁ 99

POŁUDNIOWA ANGLIA

Obaj mężczyźni wiedzieli dobrze, co każdy z nich ma robić. Pracowali bez słów i bez zbędnych gestów.

Okno było słabo osadzone w ramie. Max podważył cienki pasek plastikowej pianki pod zapadką, podczas gdy Leo przesuwiał kaseton okna w prawo i w lewo. Język zapadki wskoczył na miejsce, umożliwiając Maxowi otwarcie okna. Odsunął firankę i skierował światło latarki na łóżko.

Była teraz starsza i dużo ładniejsza, ale była tą samą dziewczyną z fotografii, którą wykradł z mieszkania w Swiss Cottage. Gaz ulotnił się szybko, kiedy powietrze wpadło do sypialni przez otwarte okno. Dziewczyna poruszyła się. Max wiedział, że będzie musiał pracować szybko. Leo przerzucił jeden z kocy przez parapet okna i pomógł mu wdrapać się do środka. Podszedł do łóżka i przetoczył André na brzuch. To dziwne, ale tuliła do siebie globus zamiast lalki. Jej lśniące włosy opadły na poduszkę, ukazując szyję. Max zdążył zedrzyć papierowe zabezpieczenie z plastikowej kieszonki ze środkiem uspokajającym; wystarczyło przyłożyć go do nasady szyi i mocno docisnąć. Pierwotny plan przewidywał porwanie dziewczyny i ucieczkę, ale Max był elastyczny i potrafił korzystać z okazji. Właśnie taka powstała w wyniku kłótni między matką a córką.

Otworzył szafę i oniemiał na widok szerokiego wyboru odzieży najlepszego gatunku. Znalazł na dnie szafy dużą kraciatą torbę i zaczął wpychać do niej bieliznę, dzinsy, skarpetki, kombinezon, swetry, podkoszulki i dwie pary butów. Podał torbę Leo razem z długim, podszytym futrem skórzanym płaszczem. Zadowolony, że wybrał wszystkie części

305

garderoby, o których pamiętałyby dziewczyna uciekająca z domu, zwrócił swą uwagę na André.

Zdjęcie spodni od pidżamy nie było problemem, ale góra okazała się znacznie opomiesza, ponieważ dziewczyna zaciskała palce na globusie. Max odgiął palce siłą. Choć była

nieprzytomna, jęknęła cicho i próbowała umocnić uchwyt. Gdy rozebrał ją do naga, uświadomił sobie, że jest bardziej rozwinięta, niżby oczekiwał. Właściwie była dorosłą kobietą. Owinął ją dokładnie kocem i podniósł z łóżka. Bezwładny ciężar sprawił, że zatoczył się, ale Max był silnym mężczyzną. Podał ją przez okno oczekującemu Leo i zaczął oddychać odrobinę spokojniej, kiedy wspólnik ulokował ją w tylnej części granady.

— Lepiej podaj mi ten globus, wydaje się bardzo przywiązana do niego — wyszeptał Leo.

Max wzruszył ramionami i podał mu globus.

Rozejrzał się po sypialni. Była bardzo schludna. No, skoro André była taką porządną dziewczynką... Poprawił poduszki, wyrównał prześcieradło i nakrył łóżko kapą. Następnie złożył jej pidżamę i schował do zapinanej na suwak pluszowej Myszki Minnie. Co jeszcze zabierałyby ze sobą dziewczyna uciekająca z domu?

Pieniądze.

W pokoju nie było żadnej skarbonki czy szkatułki na pieniądze. Pokonferował niskim głosem z Leo stojącym pod otwartym oknem. Max miał zamiar dokonać poważnego odstępstwa od planu. Istniało pewne ryzyko, jednak Max uznał, że opłaca się je podjąć. Ruszył do drzwi sypialni.

— Tylko pospiesz się — wyszeptał niecierpliwie Leo. Szczęście nie opuszczało Maxa.

Promień latarki trafił na damską

torebkę leżącą na sofie. W czarnej portmonetce znalazł parę jednofun-towych banknotów i dopiero zawartość drugiej, czerwonej, zaskoczyła go: była zapchana banknotami w większości pięćdziesięcio i dwudziestofun-towymi. Złapał garść pieniędzy, wepchnął je do kieszeni i zostawił wszystko tak, jak zastał.

Jeszcze jedno szybkie spojrzenie na pokój dziewczyny.

Strumień światła zatrzymał się na wysadzanych macicą perłową przyborach toaletowych.

Max zaczął się zastanawiać, czy to właśnie tą szczotką matka miałaby wymierzyć André obiecane klapsy. Jeśli tak, może okazać się pomocna przy namawianiu dziewczyny do współpracy.

306

Zgarnął cały komplet, lusterko, grzebień oraz szczotkę i wyszedł przez okno.

ROZDZIAŁ 100 PÓŁNOCNY IRAK

Gdyby ścigający bluebirda helikopter był maszyną uzbrojoną w działka, sprawy wyglądałyby gorzej, na szczęście jednak był to beli używany do przewozu wojska. Dwaj żołnierze zwisający z otwartych drzwi nie byli w stanie wychylić się na tyle, by uzyskać dobrą pozycję strzelecką, a tym samym trafić kluczącego nissana. Żołnierz po prawej stronie zyskał taką szansę, kiedy beli został z tyłu i leciał równoległe do pędzącego samochodu, jednak szybko ją stracił, oślepiony błyskiem szperaczy odbijającym się od przedniej szyby samochodu.

Pilot próbował zastosować inną taktykę. Przestał krążyć i ruszył wprost za bluebirdem. Miał dobrą widoczność przez boczne szyby u swoich stóp. Obniżył lot tak, że prawa, podobna do narty, płoza znalazła się na wysokości tylnej szyby samochodu, po czym z trzaskiem wbiła się w szkło.

— Zrób coś! — krzyknął Nuri, kiedy tylna szyba rozpadła się jak miniaturowa bomba, wypełniając wnętrze samochodu odłamkami szkła.

— Zaczynj myśleć! — odkrzyknął Khalid, gimnastykując się za kierownicą.

Warkot turbiny Avco helikoptera zagłuszył zgrzyt i trzask płozy ślizgającej się po dachu bluebirda. Maszyna ta mogła pomieścić piętnastu ludzi ze sprzętem i uzbrojeniem; oderwanie tylnych kół nissana od powierzchni drogi, tak by samochód stracił przyczepność, było teoretycznie możliwe, pod warunkiem że pilot miał odpowiednie przygotowanie, doświadczenie i co najważniejsze drugiego pilota, który nie spuszczałby oczu z drogi. W tej samej chwili gdy Khalid dodał gazu, rotory bella natrafiły na ażurową, stalową konstrukcję wieży wysokiego napięcia. Nie była ona zbyt wysoka, ani też solidna, ale nie musiała być.

Pozbawiony rotoru helikopter stracił równowagę. Tylony rotor pękł, energia skumulowana w wirującej turbinie sprężarki została przeniesiona na kadłub. Koziółkujący beli runął na drogę tuż za nissanem, a rozpedzony wrak został wchłonięty przez potężną, podobną do kuli ognia eksplozję paliwa.

307

— Tym razem nie potrzebowaliśmy szczęścia — krzyknął zwycięsko Khalid. — Co teraz Nuri?

Minęło parę sekund, nim Nuri zdołał oderwać wzrok od przygasającej łuny. Odwrócił się ku drodze przed nimi.

— Jedź przed siebie — rozkazał. Serce ciążyło mu niby ołów. Szczęśliwa passa nie mogła trwać wiecznie. Do tej pory udawało im się, ponieważ mieli papiery i nikt ich nie szukał. Jednak teraz wszystko się zmieni: staną się zwierzyną łowną dla potężnych sił kontrpowstańczych Komanda Północnego.

ROZDZIAŁ 101

POŁUDNIOWA ANGLIA

Lloyd stał pośrodku sypialni André, chłonąc każdy szczegół. Starannie zasłane łóżko; puchate kapcie stojące jeden obok drugiego; poranne słońce igrające na dywanie; brzemienną Myszkę Minnie uśmiechającą się do niego; otwarte okno; Laurę tulącą się do niego; jej paznokcie wbijały mu się w ramię.

— Zniknęły też jej ubrania? — zapytał.

Laura przytaknęła. Paznokcie wbiły się jeszcze głębiej.

— Torba podróżna. Parę praktycznych ubrań. 1 parę mniej praktycznych.

Lloyd spojrział na nią bacznie.

— Jak bardzo niepraktycznych?

— Sweter i spódnica, z których wyrosła w zeszłym roku. Miałam zamiar oddać je na wyprzedaż sezonową.

— Gdzie jest policja? Skoro ja dotarłem tu w niecałą godzinę, dlaczego ich nie ma jeszcze?

— Ponieważ nie zadzwoniłam na policję.

— Powiedziałaś mi przez telefon...

— Nie chciałam, żebyś dzwonił do nich, zanim zobaczysz się ze mną — przerwała mu Laura.

Lloyd spojrział jej w oczy i zauważył, że płakała.

— Dlaczego?

— Ponieważ ona uciekła.

308

— To oczywiste, ale dlaczego miałyby robić coś takiego, Lauro? Wydawała się taka szczęśliwa, kiedy rozstawałem się z wami. Przypomniłam sobie, jak André przyłgnęła prowokacyjnie do niego i zaczął zastanawiać się, czy nie zareagował zbyt ostro. Starał się być delikatny, ale uczucia młodych dziewcząt są równie zmienne i kapryśne co wiatr.

Ruszył za Laurą do kuchni, a następnie usiadł, gdy zajęła się przygotowaniem herbaty.

— Czy zrobiła już kiedyś coś takiego?

— Nigdy.

— Może ja nieodpowiednio się zachowałem lub powiedziałem coś niewłaściwego? — zastanawiał się głośno.

Laura postawiła filiżanki i spodki na stole i naląła herbaty. Usiadła naprzeciw Lloydowi, jej twarz była ściągnięta ze zmartwienia, ale całkowicie panowała nad emocjami.

— Nie, nie chodziło o ciebie, Lloyd. Coś wydarzyło się tu, kiedy odjechałeś. Opowiedziała mi o rozmowie telefonicznej i awanturze, która nastąpiła wkrótce potem.

— Jasna cholera — powiedział pod nosem. — Czy wzięła ze sobą globus?

— O, tak. Tuż po tym, jak wyszedłeś, pokazałam jej, gdzie leży Kurdystan.

Myśl, która zaświtała w głowie Lloydowi, byłaby komiczna, gdyby nie powaga całej sytuacji.

— Myślisz, że będzie próbowała dostać się do północnego Iraku? Laura piła herbatę małymi łydkami. Drżenie palców spowodowało, że część rozlała się na spodek; Lloyd uspokoił jej dłoń.

— André postrzega rzeczy w uproszczonych kategoriach. Jest punkt A i jest punkt B. By dostać się z jednego do drugiego, wystarczy poruszać się po najkrótszej linii łączącej oba punkty.

— Więc może nie jest tak źle, jakby się wydawało? — zasugerował Lloyd. — Zawiadomimy policję i niech rozstawią ludzi we wszystkich portach nad kanałem.

Nagle wyczuł, że zeszywniała. Spojrzała na niego z wyrazem żelaznej determinacji.

— Nie chcę dzwonić na policję. Rozumiesz?

— Ale...

— Nie!

309

— Z powodu tych dwóch motocyklistów? Nie będą w stanie udowodnić...

Złość przebiła się przez niepokój Laury.

— Nie będą musieli, sama im powie. Jest bardzo prawdopodobnym dzieckiem.

— Ale przecież nie będą pytali jej o to, Lauro. Jej złość narastała.

— Posłuchaj. Policja zgarnie André z Newhaven, Folkstone czy innego podobnego miejsca. Wiedzą kim jest, więc skontaktują się z tutejszą policją. Tak to działa. W lokalnych siłach jest detektyw, który zaczął coś podejrzewać. Przesłucha Andy i ona powie mu wszystko...

— A jeśli nawet mu powie, to co? Jest autystycznym dzieckiem. Myślisz, że narażałby swoją karierę...

— Nie chodzi mi o tych dwóch motocyklistów. Coś podobnego wydarzyło się tu jakieś pięć lat temu.

Lloyd odstawił filiżankę i wpatrzył się w nią. Bez zbędnych wstępów Laura opowiedziała mu o nocnym powrocie ze stacji kolejowej oraz pijaku, który zniknął.

— I nigdy nie został odnaleziony — zakończyła. Spuściła wzrok. Siedziała załamana, z przygarbionymi ramionami. Kiedy Lloyd przysunął się bliżej z krzesłem i objął ją całą dotychczasowa stanowczość i zdecydowanie Laury zniknęły. Przyłgnęła do niego płacząc bezgłośnie.

— Tak bardzo się boję, Lloyd... Tak bardzo... Zabiorą mi ją i umieszczą w domu, gdzie będą dawać jej proszki do końca życia — zrobią z niej warzywo. Albo jeszcze gorzej...

— Nikt nie zrobi jej czegoś takiego.

— Obiecuj mi, że nie pójdziesz na policję... Obiecuj mi, błagam cię!

— Musisz przecież...

— Błagam, obiecuj mi!

— Dobrze, zgodził się niechętnie. — Obiecuję. Ale co zamierzasz zrobić? Dziewczyna podróżująca samotnie... nie chcę cię straszyć, Lauro, jednak musisz to wziąć pod uwagę — ktoś znajdzie ją i...

— Nikt jej nie wykorzysta. Ta naiwność rozżłościła go.

— Oczywiście, że tak, ty głupia kobieto! Na litość boską, spójrz prawdzie w oczy — nie czekaj, aż staniesz przed faktem dokonanym. Jak myślisz, czego chcieli od niej ci dwaj motocykliści? Pobawić się z nią

310

— Z powodu tych dwóch motocyklistów? Nie będą w stanie udowodnić...

Złość przebiła się przez niepokój Laury.

— Nie będą musieli, sama im powie. Jest bardzo prawdopodobnym dzieckiem.

— Ale przecież nie będą pytali jej o to, Lauro. Jej złość narastała.

— Posłuchaj. Policja zgarnie André z Newhaven, Folkstone czy innego podobnego miejsca. Wiedzą, kim jest, więc skontaktują się z tutejszą policją. Tak to działa. W lokalnych siłach jest detektyw, który zaczął coś podejrzewać. Przesłucha Andy i ona powie mu wszystko...

— A jeśli nawet mu powie, to co? Jest autystycznym dzieckiem. Myślisz, że narażałby swoją karierę...

— Nie chodzi mi o tych dwóch motocyklistów. Coś podobnego wydarzyło się tu jakieś pięć lat temu.

Lloyd odstawił filiżankę i wpatrzył się w nią. Bez zbędnych wstępów Laura opowiedziała mu o nocnym powrocie ze stacji kolejowej oraz pijaku, który zniknął.

— I nigdy nie został odnaleziony — zakończyła. Spuściła wzrok. Siedziała załamana, z przygarbionymi ramionami. Kiedy Lloyd przysunął się bliżej z krzesłem i objął ją, cała dotychczasowa stanowczość i zdecydowanie Laury zniknęły. Przyłgnęła do niego płacząc bezgłośnie.

— Tak bardzo się boję, Lloyd... Tak bardzo... Zabiorą mi ją i umieszczą w domu, gdzie będą dawać jej proszki do końca życia — zrobią z niej warzywo. Albo jeszcze gorzej...

— Nikt nie zrobi jej czegoś takiego.

— Obiecay mi, że nie pójdziesz na policję... Obiecay mi, błagam cię!

— Musisz przecieżyć...

— Błagam, obiecay mi!

— Dobrze, zgodził się niechętnie. — Obiecuję. Ale co zamierzasz zrobić? Dziewczyna podróżująca samotnie... nie chcę cię straszyć, Lauro, jednak musisz to wziąć pod uwagę — ktoś znajdzie ją i...

— Nikt jej nie wykorzysta. Ta naiwność rozżłościła go.

— Oczywiście, że tak, ty głupia kobieto! Na litość boską, spójrz prawdzie w oczy — nie czekaj, aż staniesz przed faktem dokonanym. Jak myślisz, czego chcieli od niej ci dwaj motocykliści? Pobawić się z nią

310

w chowanego? Chcieli zerwać z niej ubranie, przycisnąć do ziemi z szeroko rozsuniętymi nogami i rznąć ją na zmianę!

Świadoma taktyka wstrząsu zadziałała, ale nie w sposób oczekiwany przez Lloyda. Laura pobiegła do swojej sypialni i zatrzasnęła drzwi. Jeśli spodziewała się, że zacznie dobijać się nerwowo do jej drzwi pytając, czy nic jej nie jest, była w błędzie; wpadł do środka tuż za nią i złapał za ramiona, zanim zdążyła rzucić się na łóżko. Odwrócił ją twarzą do siebie i potrząsnął mocno.

— Sukinsyn! — prychnęła. — Obrzydliwy, sadystyczny sukinsyn!

— Powiedziałem to, żeby tobą wstrząsnąć! Niestety, tak wygląda prawda! Ładne dziewczęta podróżujące bez pieniędzy są bezbronne...

— Ona ma pieniądze!

Lloyd spojrział ze zdziwieniem na Laurę, a potem uwolnił uchwyt z jej ramion.

— He?

— Wystarczająco dużo, by trzymać się z dala od kłopotów.

— Ile?

— Dziewięćset pięćdziesiąt funtów.

— Co takiego?

— Wzięła pieniądze z mojej torebki. Prowadzę bieżące zapiski, ile tam jest. Dokładnie tyle brakuje.

— Aż tyle ukradła? Cholera — to zmienia sytuację. Laura poczerwieniała ze złości.

— Nie ukradła! To są jej pieniądze i wiedziała o tym.

— Po jakie lichy nosisz przy sobie tyle pieniędzy?

— Słuchaj, to jest moje życie i nic ci do tego!

— Masz rację, przepraszam — powiedział Lloyd pojednawczym tonem. — Nie zajdziemy daleko, skacząc sobie do gardła. Ale fakt, że posiada przy sobie tak znaczną sumę pieniędzy, naprawdę zmienia wszystko.

— Nie może wyjechać z kraju, nie ma paszportu. Do Singapuru podróżowała na moim. Leży w szufladzie. Sprawdzałam.

— Nie może wyjechać z kraju? — powtórzył Lloyd. — Posiadając taką sumę pieniędzy, oczywiście, że może. Kupi nowe ubrania, doda sobie pięć lat. Zgoda, może mieć problemy na lotnisku, ale nie w porcie morskim. Mogłaby uprosić kierowcę ciężarówki, żeby ją przemycił w zamian za swoje względy. Jezu, Lauro, czy podróżowałaś ostatnio

311

w chowanym? Chcieli zerwać z niej ubranie, przycisnąć do ziemi z szeroko rozsuniętymi nogami i rznąć ją na zmianę!

Świadoma taktyka wstrząsu zadziałała, ale nie w sposób oczekiwany przez Lloyda. Laura pobiegła do swojej sypialni i zatrzasnęła drzwi. Jeśli spodziewała się, że zacznie dobijać się nerwowo do jej drzwi pytając, czy nic jej nie jest, była w błędzie; wpadł do środka tuż za nią i złapał za ramiona, zanim zdążyła rzucić się na łóżko. Odwrócił ją twarzą do siebie i potrząsnął mocno.

— Sukinsyn! — prychnęła. — Obrzydliwy, sadystyczny sukinsyn!

— Powiedziałem to, żeby tobą wstrząsnąć! Niestety, tak wygląda prawda! Ładne dziewczęta podróżujące bez pieniędzy są bezbronne...

— Ona ma pieniądze!

Lloyd spojrzał ze zdziwieniem na Laurę, a potem uwolnił uchwyt z jej ramion.

— JJe?

— Wystarczająco dużo, by trzymać się z dala od kłopotów.

— JJe?

— Dziewięćset pięćdziesiąt funtów.

— Co takiego?

— Wzięła pieniądze z mojej torebki. Prowadzę bieżące zapiski, ile tam jest. Dokładnie tyle brakuje.

— Aż tyle ukradła? Cholera — to zmienia sytuację. Laura poczerwieniała ze złości.

— Nie ukradła! To są jej pieniądze i wiedziała o tym.

— Po jakie lichy nosisz przy sobie tyle pieniędzy?

— Słuchaj, to jest moje życie i nic ci do tego!

— Masz rację, przepraszam — powiedział Lloyd pojednawczym tonem. — Nie zajdziemy daleko, skacząc sobie do gardła. Ale fakt, że posiada przy sobie tak znaczną sumę pieniędzy, naprawdę zmienia wszystko.

— Nie może wyjechać z kraju, nie ma paszportu. Do Singapuru podróżowała na moim. Leży w szufladzie. Sprawdzałam.

— Nie może wyjechać z kraju? — powtórzył Lloyd. — Posiadając taką sumę pieniędzy, oczywiście, że może. Kupi nowe ubrania, doda sobie pięć lat. Zgoda, może mieć problemy na lotnisku, ale nie w porcie morskim. Mogłaby uprosić kierowcę ciężarówki, żeby ją przemycił w zamian za swoje względy. Jezu, Lauro, czy podróżowałaś ostatnio

311

promem przez kanał? W dzisiejszych czasach kontrole graniczne pomiędzy krajami EWG niemal nie istnieją! Może znajdować się na promie nawet w tej chwili, więc co zamierzasz zrobić?

ROZDZIAŁ 102 PÓŁNOCNY IRAK

Pierwsze promienie brzasku wkradały się na wschodnie niebo, kiedy Khalid wjechał w szeroką, zadrzewioną dolinę. Nuri odczuł ogromną ulgę. Przynajmniej nie znajdowali się już na otwartej przestrzeni, gdzie helikoptery wyposażone w wizjery na podczerwień

wypatrzyłyby ich z odległości parunastu kilometrów. Dolina rozszerzała się i już po chwili jechali przez ogromny, upiorny sad, w którym stały schludne rzędy drzew owocowych, otulonych muślinem dla ochrony przed mrozem. Brzoskwinie, damaszki i śliwy rosły na południowych stokach, bardziej odporne grusze i jabłonie na północnych. W brzasku budzącego się dnia małe grupki robotników, niektórzy z nich w tradycyjnych strojach kurdyjskich, zdejmowali i starannie składali zwoje śnieżnego muślinu.

Nuri polecił Khalidowi zatrzymać się, chcąc zapytać o drogę grupkę rozszczebiotanych dziewcząt. Skierowały ich do zajazdu otwartego przez cały dzień, by sprostać potrzebom pracowników ogromnej spółdzielni.

Właściciel zajazdu w Al Fathan był Kurdem, potężnym, roześmianym mężczyzną o ogromnym brzuchu. Podał Nuriemu i Khalidowi dzbanek pachnącej rozkosznie kawy i świeżo upieczony chleb, który postawił na stole przed nimi z przesadnie wymyślnym ukłonem. W zadymionym lokalu tłoczyli się okoliczni robotnicy — Kurdowie z uboższych, północnych wiosek, którzy mieszkali w hotelach robotniczych należących do spółdzielni. Była to hałaśliwa, pogodna grupa i dwóch podróżników czuło się dobrze w ich towarzystwie. — Najnowsze wieści głoszą, że Mosul, Kirkuk i Arbil zostały zablokowane przez wojsko — powiedział karczmarz, opierając ogorzone ramiona na kontuarze. — Nikt nie może wjechać ani wyjechać stamtąd bez ich zgody.

Wiadomości te zaniepokoiły Nuriego.

312

— Dlaczego? Trwają tam walki?

— Nie więcej niż zazwyczaj. Jednak wszyscy są przekonani, że już wkrótce rozpocznie się coś poważnego. Wybrałem się wczoraj do Mosulu po zapasy. Napięcie wprost wisi w powietrzu.

— Mówili coś o tym w radiu? — zapytał Nuri. Karczmarz pokręcił głową.

— Kurdowie, którzy zostali zatrzymani w ubiegłym tygodniu w Bagdadzie, są już na wolności.

— Są jakieś aktualniejsze wiadomości?

— Nic — powiedział karczmarz. — Zresztą podobnie jak w tureckim radiu TRT, które odbieramy przez satelitę. Cisza. — Wspominając znienawidzonych Turków, odwrócił głowę i splunął, trafiając dokładnie do spluwaczki. — Nie wiemy, co się dzieje. Od czasu do czasu odbieramy na fali FM 104 radiostację powstańczą PKK. Nawołują ochotników, by przyłączali się do ich szeregów. Przypuszczam, że znajdują się gdzieś przy granicy i wiedzą niewiele więcej niż my. Jedno jest pewne, że szykuje się coś naprawdę poważnego.

— W Turcji są duże amerykańskie bazy wojskowe — powiedział Khalid. — Nieraz latają nad domem moich rodziców. Nie pozwolą by coś się tu stało.

Nie zrobiło to wielkiego wrażenia na karczmarzu.

— Muszą uzyskać zgodę Turków, zanim podejmą jakiegokolwiek działania. Myślisz, że Turcy poprą pomysł wspierania Kurdów? Nienawidzą nas nawet bardziej niż Saddam Husajn.

— Musimy dojechać do Duhok — powiedział nagle Khalid. Kopniak wymierzony pod stołem przez Nuriego okazał się spóźniony.

Ileż razy powtarzał Khalidowi, że nie wolno nikomu zdradzać celu ich podróży?

— Zapomnijcie o tym — powiedział karczmarz.

— Tam są moi rodzice — zaprotestował Khalid. — Mają wspaniały, letni dom nad jeziorem. Karczmarz wzruszył masywnymi ramionami.

— Żeby dostać się tam samochodem, musielibyście korzystać z głównych dróg. Może uda wam się dotrzeć szczęśliwie, a może nie. Chodzą słuchy o dużych ruchach wojsk — nie tylko helikopterów. Lepiej zostańcie tutaj i załatwcie sobie robotę przy zbieraniu owoców. W tej chwili brakuje im rąk do pracy. Przyuczą was. Płacą kiepsko, ale będziecie

313

bezpieczni w hotelu robotniczym. Przeczekacie całe to zamieszanie, a potem ruszycie na północ.

Nuri rozejrzył się po barze, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Pulchna żona karczmarza próbowała nastroić antyczne radio lampowe.

— Nie możemy zostać.

— Więc róbcie to, co uznacie za stosowne.

— Czy zna pan inną drogę do Mosulu?

— Znam taką którą dotrzecie do Tall'Afar. Prowadzi przez parę sadów — to droga okrężna. Jednak odcinek górski bywa bardzo niebezpieczny — używa się jej wyłącznie podczas powodzi, a teraz miejscami przypomina ścieżkę dla kóz. Jest przejezdna dla samochodów z napędem na cztery koła.

— Jesteśmy gotowi zaryzykować tę przeprawę.

Karczmarz odwrócił się, by zbesztać niecierpliwego klienta. Powrócił do Nuriego.

— Zatrzymajcie się tu na parę nocy. Liczę trzy dinary od osoby. Jutro narysuję wam mapę.

Nuri węszył podstęp, nawet jeśli wydawało się mało prawdopodobne, by zostali zdradzeni przez przyjaznego Kurda. Po wielu dniach ciągłej ucieczki nauczył się nie ufać nikomu prócz siebie i Khalida.

— Chcielibyśmy ruszyć jutro w drogę. Brzuch karczmarza zatrzęsł się od śmiechu.

— Wygląda na to, że przydałoby się wam parę godzin snu. W tym stanie spadniecie w pierwszą przepaść. Musicie być wypoczęci i czujni, wierzcie mi, przyjaciele — to niebezpieczna droga, ale doprowadzi was na północ. Zostańcie tu dziś i jutro. Wypocznijcie, wypijcie się, a w poniedziałek wyprawię was w drogę z mapą.

— Dlaczego chcesz zatrzymać nas tu na dwa dni? — zapytał mimochodem Nuri.

Karczmarz wyglądał na zdziwionego.

— Widzę, że jesteście chrześcijanami? Zgadza się?

— Tak.

— Przyjacielu, troszczę się o wasze bezpieczeństwo. Jutro jest pierwszy dzień ramadanu. Mało kto wpada tu w czasie dnia. Większość z nas traktuje pierwszy dzień postu bardzo poważnie — więc jeśli zdecydujecie się ruszyć w dalszą podróż, możecie wzbudzić podejrzenia. Ale drugiego dnia nie wyda się to aż tak niezwykle.

314

Nuri uśmiechnął się i odprężył.

— Zapomniałem — przyznał.

Nagle żona karczmarza uciszyła zebranych krzykiem. Umilkł gwar i wszystkie oczy zwróciły się w kierunku radia. Dobiegł ich głos spikera. Dekretem prezydenta wprowadza się godzinę policyjną od zmierzchu do świtu, na północ od 35 równoleżnika. Dekret wchodzi w życie o godzinie dwunastej. Każdy nie uprawniony spotkany poza domem pomiędzy północą a świtem tego dnia i pomiędzy zmierzchem a świtem każdego następnego dnia może zostać zastrzelony.

— Dokładnie w ramadan — warknął karczmarz. — Ten wieprz chce nas zrujnować, a potem zniszczyć... Więc chcecie pokój, przyjaciele? Jest bardzo wygodny. Za jedyne trzy dinary.

Tak?

— Dobrze — zgodził się Nuri.

— Od osoby.

— Zgoda.

— I dwa dinary za posiłki.

— Zgoda.

— Od osoby.

— W porządku.

— I dinara za mapę.

— Zgoda.

— Płatne z góry.

Karczmarz bez wątpienia był prawdziwym Kurdem żywiącym głębokie poszanowanie dla kurdyjskich tradycji; Nuri wiedział, że można mu ufać.

ROZDZIAŁ 103

POŁUDNIOWA ANGLIA

Andre otworzyła oczy, skupiła wzrok na drapieżnej twarzy pochylającej się nad nią i krzyknęła.

Leo postawił sok pomarańczowy na stoliku przy łóżku i wycofał się.

— Obudziła się — obwieścił oczywistość Maxowi, który właśnie pojawił się w drzwiach salonu.

— Ja też bym krzyknął, gdyby pierwsza twarz, jaką ujrzałbym po długim śnie, należała do ciebie — zauważył Max. — Życz mi szczęścia

315

— powiedział z promiennym uśmiechem i ruszył zdecydowanie do gościnnej sypialni swego mieszkania w Kimmeridge House.

Przeszedł przez pokój i uśmiechnął do André.

— Andy, kochanie. Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej. Chorowałaś parę razy w ciągu nocy i przed chwilą powiedziałem twojej mamie przez telefon, że powodem mogła być zbyt duża dawka środków nasennych. — Przysunął krzesło i usiadł, serdeczny uśmiech nie schodził mu z twarzy ani na chwilę. — Robiliśmy, co w naszej mocy, żeby cię obudzić, ale w końcu poddaliśmy się. Ależ ty masz twardey sen, młoda damo.

André przyglądała mu się zdezorientowana. Spojrzenie omiotło dziwny pokój i szybko wróciło do Maxa.

— Nie jest mój pokój — powiedziała głucho.

— To gościnny pokój w moim domu — powiedział wesoło Max.

— Nie uważasz, że przydałoby się zmienić tu tapety?

— Nie jest dom.

— Przecież nie mogłaś zostać w domu, jeśli zamierzasz wyruszyć do Kurdystanu, nie uważasz?

André otworzyła szeroko oczy.

— Do Kurdystanu? Max ujął ją pod brodę.

— Po całym tym zamieszaniu, jakiego narobiłaś ubiegłej nocy? Oczywiście, że tak. Mamusia zadzwoniła do mnie i prosiła, żeby cię tam zawiózł. Martwiła się tym, jak bardzo przejęła się tą sprawą. Problem w tym, że kiedy dotarłem na miejsce, nie mogliśmy cię dobudzić. Jestem starym przyjacielem twojej mamusi. Leo — to ten brzydka, na widok którego krzyknęłaś — jest moim współnikiem w interesach.

André podciągnęła się i wsparła na łokciach. Nakrycia opadły i zobaczyła niebieski kombinezom, w który była ubrana. Max wyciągnął rękę.

— Nazywam się Max. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, Andy. Popatrzyła wpierw na wyciągniętą dłoń, a potem w uśmiechnięte, szare

oczy. Mimo iż była ostrożna wobec nieznanym w wyniku ciągłych upomnień matki, uznała, że lubi tego uśmiechniętego mężczyznę. Po chwili wahania ucisnęła podaną dłoń.

— Pić — wymamrotała.

Max podał jej sok pomarańczowy i patrzył, jak łykała go, nie robiąc przerwy na zaczerpnięcie oddechu. Ani na chwilę nie spuściła niepokoją-

316

cego spojrzenia z Maxa. To dziwne, ale te niewiarygodnie zielone oczy zdawały się ogniskować gdzieś za nim.

— Przypuszczam, że boli cię gardło. Tak jest zawsze po długiej podróży. Czy to łóżko jest wystarczająco wygodne?

— Przyjaciel mamusi?

— Zgadza się, Andy — odpowiedział rozpromieniony Max. — Rany, jak ty wyrosłaś.

Ostatnio widziałem cię na przyjęciu z okazji Świąt Wielkanocnych. Przypominasz sobie? Był tam Alan, i Stacy, i Peter, i Khalid — rzecz jasna. — Sięgnął do kieszeni i pokazał jej fotografię zabraną z mieszkania w Tushingham Court.

— Chyba musisz to pamiętać?

Jej puste spojrzenie zastąpiło odpowiedź.

— Kurdystan? — powiedziała niepewnie.

— Mamusia jest zbyt zajęta i prosiła, bym ja cię zawiózł. Zdenerwowała się waszą wczorajszą sprzeczką i chce to nadrobić.

— Zobaczyc Khalida?

— Oczywiście.

— Hameta i Sajii?

— Tak.

Wiadomości potrzebowały dużo czasu, by dotrzeć na miejsce. Nie przestała wpatrywać się w niego tymi zadziwiająco przejrzystymi, zielonymi oczami. Potem coś odblokowało się i André rzuciła się na niego i objęła ramionami za szyję, czym zaskoczyła nawet kogoś tak niewzruszonego jak Max.

— Jadę do Kurdystanu! — zawołała. — Zobaczę Khalida!

— Zgadza się — powiedział roześmiany Max, odwzajemniając uścisk. — Pojedziemy do Kurdystanu.

— Kiedy! Kiedy! Kiedy! — jej podniecenie było całkowicie poza kontrolą.

— Za dwa dni. — Spoważniał i odsunął ją od siebie. — A teraz posłuchaj mnie uważnie, Andy. — Upewnił się, że skupiła uwagę na nim, zanim nie zaczął mówić dalej. — Skoro mam opiekować się tobą, mamusia prosiła, żebyś robiła dokładnie to, co ci powiem.

Zrozumiałaś?

— Tak! Tak! Zobaczę Khalida! — znów objęła Maxa ramionami, jakby bała się, że może zniknąć.

Leo pojawił się w drzwiach sypialni i ogarnął ich wzrokiem, jego twarz wyrażała zatroskanie. Max uśmiechnął się do niego znad ramienia

317

André i poklepał ją czule po ramieniu. — To będzie jak kaszka z mlekiem, staruszku — wymamrotał.

W jego oczach pojawił się błysk tryumfu. Wszystko układało się nawet lepiej, niż przewidywał.

ROZDZIAŁ 104 PÓŁNOCNY IRAK

Tej nocy Nuri leżał na twardym, wypchanym słomą i końskim włosiem sienniku karczmarza i nie mógł zasnąć. Próbował skoncentrować się na równym, powolnym rytmie oddechu Khalida w nadziei, że ukołysze go do snu, ale na darmo. Myślał o ostatnim powstaniu Kurdów i brutalnym sposobie, w jaki zostało stłamszone przy użyciu gazu musztardowego. Myślał o swojej rodzinie, która wtedy zginęła.

Khalid, wieczny optymista, żył nadzieją, że alianci nie dopuszczą do tego, by podobne zbrodnie się powtórzyły, ale Nuri wiedział swoje. Zachód podjął się przeprowadzić operację wyprowadzenia Irakijczyków z Kuwejtu tylko i wyłącznie dlatego, że martwił się o zapasy ropy naftowej; nikt nie przejmował się Kurdami. A jednak tym razem wszystko musiało potoczyć się inaczej. PKK wzywała ochotników, chodziły słuchy o tworzeniu dużych obozów szkoleniowych w Libanie i Armenii. Jego krajanie byli zorganizowani lepiej niż kiedykolwiek dotąd. Odwiezie Khalida do rodziców i przyłączy się do nich.

Kiedy tak leżał, wydawało mu się, że słyszy daleki, dudniący odgłos ciężkiej artylerii.

ROZDZIAŁ 105

POŁUDNIOWA ANGLIA

Laura przeszła za Lloydem do holu. — Chciałabym, żebyś został tu dzisiaj, Lloyd.

Spodziewał się tego i postanowił nie ulegać jej prośbom, jednak nie widział potrzeby robienia tego w obcesowy sposób. Pocałował ją w policzek.

318

— Powinienem wrócić do siebie, Lauro. Nie wziąłem ze sobą szczoteczki do zębów i nie zachwyca mnie perspektywa spania w łóżku Andy.

Widział, że ją uraził.

— Nie zakładałam, że będziesz spał w łóżku Andy — powiedziała cicho.

Lloyd nie odezwał się słowem. Laura zaczerwieniła się.

— Minęło jedenaście lat, od kiedy nawiązałam jakiegokolwiek stosunki z mężczyzną. Nie ułatwiasz mi tego.

— A dlaczego miałbym ułatwiać? Chcesz, żebym został, by mieć pewność, że nie zadzwonię na policję. Najwidoczniej nie ufasz mi i jesteś gotowa użyć wszelkich środków — łącznie z ofiarowaniem mi swego ciała — by upewnić się, że nie zrobię niczego nieprzewidzianego. To nie jest zbyt dobry początek związku. To nie jest podstawa, na której można by zacząć budować związek, nawet po jedenastu latach. — Próbował podejść do drzwi, ale stanęła mu na drodze.

— Proszę cię, Lloyd. To nie jest tak, jak myślisz. — Ujęła jego dłoń i spojrzała bardziej rozżłoszczonym niż proszącym wzrokiem. — Nie chcę użyć swego ciała, jak to nazwałś.

Chodzi o to, że nie chcę być sama.

— Ale będziesz musiała przyzwyczaić się do tego, Lauro. .

Było to zbyt szorstkie stwierdzenie, uświadomił to sobie w tej samej chwili, gdy je wypowiedział, ale nie zamierzał się wycofać.

— Nie jesteś zbyt wyrozumiały, Lloyd.

— Zgadza się — nie jestem. Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz pójść z tym na policję, podobnie jak nie rozumiem, dlaczego w ogóle dałem się wciągnąć w to wszystko. Zmusiłaś mnie, żebym dał ci słowo, iż nie pójdę na policję, więc na tym kończy się moja odpowiedzialność. Jest to coś, z czym będziesz musiała poradzić sobie sama, Lauro. Ja zrobiłem, co mogłem. Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie. — Ominął ją i skierował się do drzwi. Wracał do Londynu z opuszczonym dachem; mroźne powietrze pomagało mu myśleć jasno. Zastanawiał się, czy nie był zbyt szorstki wobec Laury, doszedł do wniosku, że postąpił właściwie. Dotarcie do domu zajęło mu godzinę i przez cały ten czas przenośny telefon milczał. Przekonał sam siebie, że najlepiej będzie, jeśli zapomni o całym tym przykrym incydencie. A gdyby wpakował się w poważne kłopoty? W końcu miał własne życie.

319

Nie była to łatwa decyzja, kiedy jednak już ją podjął, poczuł ulgę. Umocniła go w niej wiadomość od Sary na automatycznej sekretarce, że tęskni za nim i wraca do domu w przyszłą sobotę. Lecz gdy próbował zasnąć w swym zimnym, miękkim łóżku, sen odpędzały wizje tego, co może dziać się dokładnie w tej chwili z wystraszoną piękną dziewczynką o zaczarowanych, zielonych oczach.

ROZDZIAŁ 106 Niedziela, 17 marca 1991

— Żadnej wzmianki w gazetach — powiedział Max, rzucając „News of the World” na plik niedzielnych gazet leżących na biurku. — Ani w radiu, telewizji czy kanałach z teletekstem. Oparł się wygodnie w kręconym krześle i patrzył na Leo z wyrazem samozadowolenia. — Więc chyba można by powiedzieć, że mój mały fortel wypalił, Leo. Policja traktuje to jak kolejną ucieczkę małolatki po awanturze w domu. W ich kategoriach nasza mała świnka doświadczalna jest tylko kolejnym numerem statystycznym.

Leo spojrział na współnika z nie ukrywanym obrzydzeniem.

— To wszystko, czym ona jest dla ciebie, prawda? Max uśmiechnął się nie poruszony.

— Najwyższy czas ją obudzić. Zobaczymy, gdzie podzieją się twoje skrupuły, kiedy już uzyskamy wyniki badań.

Spódnica André podjechała do góry, kiedy usiadła obok Maxa, ukazując długie, kształtne uda. Nie włożyła najmniejszego wysiłku w to, by je zasłonić, tylko siedziała tak, przyciskając globus do piersi i wpatrując się w Leo. Jej spojrzenie wyrażało raczej zmęczenie niż strach, ponieważ miły, uśmiechnięty mężczyzna o szpakowanych włosach, który obiecał, że zabierze ją do Kurdystanu, także był obecny w gabinecie.

Uśmiech Maxa był przyjazny i serdeczny. Położył dłoń na jej ramieniu dla dodatnia otuchy.

— Czy czujesz się już lepiej, Andy?

Przytaknęła, zadowolona z tego, że siedzi przy tym niskim mężczyźnie, a nie przy tym drugim, wysokim z przerażającą twarzą przypominającą maskę.

320

— Czy chciałabyś przebrać się w kombinezon, Andy? Możesz zmarznąć w tej spódnicy, kiedy ogrzewanie przestanie działać.

— Nie. Lubię ją. Nie mów mamusi. Max zaśmiał się.

— Będzie to naszą małą tajemnicą, prawda Leo?

— Jeszcze jedna tajemnica powiedział Leo, a w jego głosie było dość złości, by dziewczyna spojrzała na niego zaniepokojona.

— Khalid mówił mi, że potrafisz przepowiadać czas, Andy — powiedział mimochodem Max, uśmiechając się ciepło do dziewczyny. — Czy to prawda?

Przytaknęła.

— Czy zrobiłabyś to dla mnie? Dziewczyna była speszona.

— Mamusia... nie wolno z nieznajomymi.

Max nachylił się i przykrył dłoń dziewczyny swoją dłonią. Odsunęła się, ale szybko odzyskała spokój, uświadomiwszy sobie, że nie próbuje odebrać jej globusa.

— Ja nie jestem nieznajomym, prawdą Andy? Przecież jedziemy razem do Khalida.

Odbędziemy razem daleką podróż, zgadza się?

Znów zerknęła wystraszona na Leo i skinęła głową.

— Więc podaj mi czas, Andy — głos Maxa był cichy i przekonujący. — Nie zwracaj uwagi na Leo, to nie jego wina, że jest taki paskudny.

Zwiesiła głowę i zaczęła bujać się do przodu i do tyłu, jakby próbowała poradzić sobie z wewnętrznym konfliktem.

— Śmiało, Andy... chyba potrafisz podać mi czas?

Spojrzała na Maxa, a ciepło jego sposobu bycia i głosu dodały jej odwagi.

— Przy trzecim uderzeniu czas wymierzany przez Nieomylnego wskaże dokładnie dziewiątą trzydzieści. Bip... bip... bip. Po trzecim uderzeniu czasu wymierzanego przez Nieomylnego będzie dokładnie dziewiątą trzydzieści i dziesięć sekund.

André nie przestawała podawać czas, nawet kiedy Max podniósł słuchawkę i wykręcił numer do zegarynki. Wsłuchiwał się przez chwilę, a potem bez słowa przekazał słuchawkę Leo.

Spojrzenie naukowca wyrażało całkowite zaskoczenie, kiedy zaczął słuchać głosu dziewczyny na tle głosu z taśmy zegarynki.

— Idealna synchronizacja zamruczał, oddając telefon Maxowi. Cholera, coś nieprawdopodobnego.

321

— Przy trzecim uderzeniu... André przerwała, kiedy miły pan uniósł dłoń.

— Bardzo sprytnie, Andy. Daję słowo, jesteś bardzo mądrą dziewczynką.

Wyglądała na zadowoloną z komplementu.

Max był zadowolony z czynionych postępów. To był początek. Doskonały początek.

— Andy, widzę, że bardzo lubisz ten globus. Czy zechciałabyś pokazać mi go?
Andy zacisnęła palce na globusie.

— Nie.

— Co podoba ci się w nim tak bardzo?

Poznał po jej spojrzeniu, że nie rozumiała pytania, więc powtórzył je.

— Dzięki niemu wszystko jest jak trzeba — odpowiedziała.

— Co jest jak trzeba, Andy?

Obróciła globusem na plastikowej podstawie.

— Obraca się szybciej pośrodku — odpowiedziała — wtedy wszystko jest w porządku.

Mężczyźni wymienili zdziwione spojrzenia. Max spróbował jeszcze raz.

— Obraca się szybciej pośrodku — namawiał.

— Myślę, że ona chce powiedzieć, że prędkość obrotowa Ziemi jest największa na równoleżniku — zgadywał Leo.

Max rozpromienił się.

— Tak... oczywiście. Zgadza się, Andy? Ziemia kręci się szybciej na środku Ziemi?

— Singapur szybko — powiedziała André.

— Byłaś w Singapurze?

— Tak. Globus... Ziemia kręci się tam szybciej.

— Ponieważ leży dokładnie na środku. Wiedziałaś o tym? Spojrzała na globus.

— Tak. Teraz.

— Mogłoby się wydawać, że ona potrafi wyczuć ruch wirowy Ziemi — powiedział Leo, przyglądając się André z ogromnym zainteresowaniem.

Max skinął głową nie odrywając wzroku od dziewczyny. To jest dokładnie to, czego się spodziewaliśmy... Czy potrafisz coś jeszcze, Andy?

322

— Balansować na rowerze.

— Każdy z nas to potrafi.

— Stojąc w miejscu. Bez ruchu.

Max pogładził delikatnie grzbiet dłoni André. Tym razem nie cofnęła się.

— A co z robieniem burzy, Andy?

Zaczęła bujać się w tył i w przód. Najwyraźniej pytanie zmartwiło ją.

— Nie. Nie mogę.

— Leo, zostaw nas samych.

— Co zamierzasz zrobić?

— Chcę porozmawiać spokojnie z Andy. Nie przypadłeś jej do gustu, więc zostaw nas samych.

Naukowiec opuścił gabinet. Max wyczuł, że dziewczyna odpręża się, gdy drzwi zamykają się za Leo. Przesunął krzesło tak, że znalazł się na wprost dziewczyny, ich kolana niemal się stykały.

— Teraz już lepiej, Andy?

Skinęła głową i podniosła wzrok na Maxa, jej oczy były ogromne i zatroskane.

— Nie mogę robić burzy. Pogłaskał ją po przedramieniu.

— Jesteś zmarznięta, Andy.

— Trochę.

Zsunął dłoń na jej biodro.

— Nie masz na sobie rajstop.

Gładkość jej skóry pod palcami nie zainteresowała Maxa, bardziej interesowała go reakcja dziewczyny. Drgnęła i zaczęła unikać jego spojrzenia, opuściła głowę tak, że twarz ukryła się za długimi, prostymi włosami.

— Czy chciałabyś, żebym rozgrzał cię trochę, Andy?

Nie było odpowiedzi. Max przebiegł delikatnie opuszkami palców po jej nodze aż do rąbka spódnicy i poczuł delikatny dreszcz przebiegający przez jej ciało. Jego emocje były odizolowane, ale delikatna, drażniąca pieszczota dłoni na jej udzie świadomie zmysłowa klinicznie — zabawianie się pomieszаныmi emocjami osamotnionej dziewczyny Max traktował w kategoriach eksperymentu naukowego. Badacz stosujący bodziec i uważnie obserwujący reakcję. Reakcja była bardzo interesująca, taka jak przyspieszony, rwany oddech; zaciskanie i rozwieranie palców, tak że

323

globus potoczył się na podłogę; jej oczy były zamknięte, a zęby zaciśnięte. Zadziwiająco szybka reakcja na delikatne ruchy jego dłoni. Doskonale. Doskonale.

— Khalid powiedział, że potrafisz robić burzę, Andy. Miał rację?

Lekkie, niemal niedostrzegalne skinienie głowy. Opuszek palca zdradziecko dotknął jej kolana, a potem powrócił znów do rąbka spódnicy, wywołując falę gęsiej skórki.

— Ale nie lubisz robić tego dla nieznajomych?

Starannie przycięte paznokcie Maxa zagłębiały się trochę bardziej, nie za mocno, tylko na tyle by zostawić na skórze wyraźne czerwone ślady i spowodować, by oddech André zatrzymał się w gardle, a napięcie ud zelżało na tyle, że lekko rozchyliła kolana. Doświadcziała dziwnego i przerażającego uczucia wezbrania podobnego do ciśnienia narastającego w zamkniętej fontannie.

— Przecież ja nie jestem nieznajomym, prawda, Andy? — jego głos był zaledwie uwodzicielskim szeptem, a jednak przenikał przez jej świadomość niby pilnik przesuwany po brzegu metalowej płyty. — Nie jest nieznajomym... nie jest nieznajomym...

— Nie jesteś nieznajomym — przyznała André.

— Czyż to nie jest miłe?

Przytaknęła; dotyk tego delikatnego mężczyzny na jej wrażliwej skórze nieustannie przemieniał umysł w kalejdoskop emocji wykraczający poza granice jej pojmowania. Palce przesuwwały się coraz wyżej z dręczącą powolnością, zmuszając ją do mimowolnego przesunięcia się ku przodowi. Nagle palce dotarły do celu: zawór otworzył się. Jej zagubiona dusza wymusiła z niej okrzyk. Rzuciła się na niego, ramiona oplótła wokół szyi, zęby wbiły się w jego ramię. Rozdygotany, rwący oddech wyrywał się z jej gardła, kiedy ciało spazmowało niepomohowanie wśród powodzi ogarniającego ją ciepła, wyzwolonego przez nieustępliwe, torturujące ją palce.

Trzy postacie przecinające przyszyżony trawnik do miejsca, w którym otoczone murem tereny Kimmeridge House kończyły się przy urwisku skalnym, były otulone ciepło przed mroźnym, przenikliwym wiatrem wiejącym białymi płatkami od Angielskiego Kanału.

— Co za cholerstwo wychodzić na dwór w taką pogodę — zrzędził Leo, zakładając kaptur pikowanej kurtki. Pistolet sportowy kaliber 22

324

zbieł go i wypychał kieszeń. Na ramieniu niósł futerał z przenośną kamerą wizyjną zespoloną z magnetowidem.

— Powiedziała, że robienie tego w domu może być niebezpieczne — stwierdził Max. Oprócz płaszcza miał na sobie lekką, sięgającą bioder kamizelkę kuloodporną. Krążki plastiku i tkaninę z włókna węglowego, z którego się składała, połączono za pomocą metody opatentowanej przez Cybernet Consultancy.

— I nie wyjaśniła dlaczego? — zapytał Leo. Max zaśmiał się.

— Przypuszczam, że sama nie wie dlaczego, ale zaraz poznamy powód. Jeśli nawet ktoś nas zauważy, to co? Troje ludzi na spacerze.

Doszli do ogrodzenia i ruszyli wzdłuż niego w kierunku Lulworth Cove. Fale uderzały o podnóże skały. W tej części przylądka nie było plaż, morze sięgało skał w każdej fazie przypływu. André pisnęła radośnie i pobiegła za zającem, który szybko wskoczył do jamy. — Wydaje się szczęśliwa. Ciekawe, jak udało ci się nakłonić ją, żeby zapomniała o tym przeklętym globusie.

Max uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

André podbiegła do mężczyzn. Poły długiego, skórzanego płaszcza łopatoły na wietrze. Ulegając sugestii Maxa, przebrała się w kombinezon. Wróciła do nich po chwili i stanęła u boku Maxa. Wzięła go za rękę i wpatrywała się w jego twarz, szukając aprobaty, kompletnie ignorując Leo.

— Młoda damo, sprawiasz, że czuję się bardzo stary — roześmiał się Max. — I niski. Jesteś chyba wyższa ode mnie.

— Pojedziemy dziś do Kurdystanu?

— Dzisiaj nie, Andy. Wkrótce.

— Do domu nad jeziorem?

— Nad jezioro — zgodził się Max.

André wypatrzyła kolejnego zająca i już jej nie było.

— Wygląda na to, że zyskałaś sobie jej sympatię — mruknął Leo.

— Jestem bardzo miłym człowiekiem, Leo. Ty zaś paskudnym, starym capem, który przeraża młode dziewczęta.

— O co chodzi z tym domem nad jeziorem?

— Letni dom rodziców Khalida gdzieś w północnym Iraku. Dzwoniłem tam, ale niestety, nikt nie odpowiadał. Pomyślałem, że dobrze byłoby, gdyby André znów usłyszała głos Khalida.

325

Leo był zdziwiony.

— Namierzyłeś numer telefonu?

— I adres.

— Przecież międzynarodowe informacje telefoniczne nie podają adresów.

Max westchnął.

— Nie lubisz myśleć perspektywicznie, prawda Leo? Zapominasz, że dzięki kontraktowi SAAD 16 mamy w Iraku kontakty na najwyższym szczeblu... Andy!

Dziewczyna podbiegła do Maxa. Wiatr targał jej skórzanym płaszczem. Cała trójka zatrzymała się przy ławce.

— Co powiesz na to miejsce, Andy? — zapytał Max.

— Mam robić burzę?

— Tak... przecież obiecałaś.

Wyraz radości zniknął z twarzy André. Pokręciła głową.

— Dlaczego nie, Andy? — zapytał Max, nie przestając się uśmiechać.

Myślała intensywnie przez chwilę, po czym zerknęła na zamglone, popołudniowe słońce.

— Za wcześnie. Zrobię burzę za dwadzieścia jeden minut.

Max objął ją ramieniem; zaaprobowała ten gest i wtuliła się w niego.

— Dlaczego nie teraz, Andy? André wskazała palcem ziemię.

— Grzmot pójdzie w złą stronę. Nie w niebo.

— Dokąd więc pójdzie?

— W dół. Uderzy w ziemię.

Zdezorientowani mężczyźni wymienili spojrzenia i usiedli na ławce. Przed nimi rozciągał się wspaniały widok.

Oddaliła się. Stanęła przy skalnym ogrodzeniu, wpatrując się w morze.

— Co o tym sądzisz? — zapytał Max. — Uderzenie trafi w ziemię? Dziwne.

Leo myślał przez chwilę.

— A może... Nie — to jest zbyt absurdalne.

W początkach współpracy uzgodnili, że będą wyrażać wszelkie myśli i idee, bez względu na to, jak dziwaczne te myśli i pomysły mogłyby się wydawać.

326

Max czekał cierpliwie.

— To wydaje się szalone, ale mam wrażenie, że ona mówi o określonym, stałym punkcie odniesienia gdzieś w kosmosie — powiedział wolno Leo. — Jeśli wywoła teraz burzę, to coś czymkolwiek by było, uderzy w ziemię. Jednak jeśli zaczekamy dwadzieścia jeden minut, ziemia obróci się wokół swej osi na tyle, że wspomniany punkt odniesienia znajdzie się nad horyzontem.

Max skinął głową. Był opanowany jak zawsze, ale w jego głosie zabrzmiało niezwykle podniecenie.

— Tak... Bardzo dobrze, Leo to ma sens. Andy.... Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego.

— Czy już teraz można robić burzę?

— Nie czekać?

— Nie. Mamy mnóstwo pracy. Musimy zacząć pakować się przed wyjazdem do Kurdystanu. Było to wykalkulowane działanie. Wystarczyło, by Max wymówił magiczne słowo „Kurdystan”, a Andy była gotowa spełnić, każde jego życzenie.

— Zrobię burzę — zgodziła się Andy. Pomachała dłonią przed twarzą. — Poruszyć powietrze.

Max nie mógł zrozumieć, o czym ona mówi. Podniósł kamień i pokazał go dziewczynie.

— Czy możesz zrobić to tym? Spojrzała powątpiewająco.

— Za duży.

Leo wykopał mniejszy kamyk i podał André. Zważyła go w dłoni.

— Ten też jest za duży. Zbyt wiele hałasu.

Chryste, pomyślał Leo. Przechwycił spojrzenie Maxa i wyszukał kawałek krzemienia wielkości paznokcia.

— Nie — nadal za duży. — Nagle wypatrzyła coś w krótkiej, zmierzwionej przez wiatr trawie. — Niedopałek! — zawołała. Przełamała filtr na pół, zgmiotła w palcach, formując kuleczkę i podała Maxowi. — Rzuć ją do góry.

— Jest zbyt mała, bym mógł nią rzucać. Czy nie mógłbym wystrzelić jej, o w ten sposób? Odwrócił się plecami do wiatru, położył małą kuleczkę papieru na otwartej dłoni i przyłożył do niej palec wskazujący oparty o kciuk.

327

André wygięła jego dłoń ku górze, tak by kulka papieru spadała większym łukiem.

— Teraz jest dobrze — powiedziała. — Cofnij się.

— Dobra. Co mam robić. Liczyć do trzech?

— Liczyć do trzech — zgodziła się Andy.

Leo otworzył torbę i wyjął kamerę. Cofnął się o parę kroków, by objąć wzrokiem André i Maxa.

— Jest zbyt mała, bym mógł ją widzieć.

— Zrób, co się da, powiedział zirytowany Max. Uśmiechnął się do dziewczyny. — Jesteś gotowa, Andy?

— Gotowa.

— Liczę do trzech... Raz...

Leo ustawił kamerę i wyregulował ostrość na małym ekranie.

— Dwa...

Obraz w celowniku Leo nagle się rozmył. Poczł, że włosy u nasady karku kłują go niby rozgrzane igiełki. Otworzył usta, by powstrzymać Maxa, ale było już za późno.

— Trzy!

Paznokcie Maxa zetknęły się ze zwiniętym w kulkę filtrem z głośnym trzaskiem. Kulczka wystrzeliła w górę i została porwana przez wiatr. Wskaźniki kamery określające datę i czas oszalały — migały szaleńczo, zmieniając się od zera do dziewięciu.

Rozległ się potworny huk, tak głośny, że mężczyźni pomyśleli, iż tracą słuch. Fala uderzeniowa, która nadeszła tuż potem, runęła przez równinę, zwalając ich z nóg. Max stracił równowagę i usiadł na ziemi. Zauważył, że André otworzyła usta do krzyku, patrząc na niego z niepokojem, ale nie słyszał niczego prócz dzwonienia w uszach. Kamera wypadła z rąk Leo, który wylądował parę stóp dalej. Świszczący podmuch powietrza powalił ich na ziemię.

Jednak nie można było tego porównać z tym, co nastąpiło za chwilę. Max próbował podnieść się na nogi, gdy nagle poczuł głucho dudnienie ziemi. Zupełnie jakby siedział na torach kolejowych i słyszał nadjeżdżający pociąg, jednocześnie nie mogąc go zobaczyć.

Przerażający łoskot stawał się coraz głośniejszy. Nagle wąski jęzor wytrysnął z ziemi niecałe dziesięć metrów od nich. Nastąpiła przerażająca erupcja — uwalniając snop ognia, ryczących gazów i ciekłej materii. Wszystko to trwało mniej niż trzy sekundy, jednak im wydawało się, że cały spektakl był znacznie

328

dłuższy. Nieoczekiwanie rozgrzany do białości płomień zgasł, zupełnie jakby otwór został nagle zamknięty. Nastąpiła głucha cisza prócz rozpaczliwego wrzasku bębenków. Ognisty jęzor płonących gazów zniknął, zostawiając im jedynie wrażenie potwornego ciepła na twarzach.

ROZDZIAŁ 107

Jezu Chryste Wszchemogący — wymamrotał Leo. Zerwał się na nogi i wbił wzrok w miejsce, gdzie ziemia rozstąpiła się na chwilę, ukazując otchłanie piekielne szalejące głęboko pod pokrywą planety. Jego twarz wyrażała połączenie strachu z fascynacją.

Max już stał. Błyszczące oczy wyrażały tryumf.

— Zrobimy to Leo! Uda się nam! Przeniósł wzrok z wypalonego poletka trawy na André, która leżała zwinięta w ciasny kłębuszek. Ukłękł obok niej i położył dłoń na jej ramieniu. Natychmiast objęła go ramionami i wtuliła się w niego w panice.

— Ja nie chciałam tego zrobić! Nie chciałam! Za wcześniej!

Max ostrożnie oswobodził się z mocnego uścisku i pomógł jej podnieść się na nogi.

Wstrząsały nią dreszcze. Starła się powstrzymać łzy, które napłynęły niepohamowaną falą mocząc mu kurtkę. Trzymał ją w ramionach, kołysząc w przód i w tył i mrużąc coś jednostajnie i uspokajająco. Leo przyglądając się temu czuł do siebie nienawiść za to, że pozwala na wykorzystywanie tej słodkiej, ufnej dziewczyny, by zaspokoić własną chciwą ciekawość. Oczywiście najgorsze miało jeszcze nastąpić... Dokładnie w tej chwili pomyślał, że nie zdoła przejść przez kolejne etapy planu. Musi wymyślić sposób, by odebrać André Maxowi i oddać ją matce, bez względu na konsekwencje.

— Przepraszam cię, Max — powiedziała cichutko André, kiedy płacz ustał. — Starłam się, żeby nie była duża.

— Nie musisz mnie przepraszać, Andy. Świetnie się spisałaś. Jesteśmy bardzo dumni z ciebie, prawda, Leo?

Leo nie odpowiedział. Odnalazł kamerę, podszedł do poletka wypalonej trawy i ukłękł.

Dokładnie na samym środku znajdowała się dziura. Przyglądał jej się uważnie, jakby obawiając się, że może znów eksplodować w gejzer. Otwór był zbyt mały, by przeszła przez niego piłeczka golfowa. Czuł na policzku falę ciepła unoszącego się znad otworu.

329

Dotknął wnętrza dziury czubkiem palca, ale szybko wycofał dłoń. Nagle padł na niego cień. To był Max.

— Zupełnie gładkie — oświadczył Leo. — I nadal gorące. Wstał.

Rzucił palenie dziesięć lat temu, ale teraz nagle zamarzył o papierosie.

— Co twoim zdaniem zaszło tu przed chwilą, Leo?

— Zapytaj się tej małej.

— Czy wiesz, co się tu stało, Andy?

— Kuleczka ruszyła do miejsca, w którym rozpoczyna się czas, ale ziemia stanęła jej na drodze.

Max popatrzył najpierw na André, a potem na wyglądający niewinnie otwór w ziemi.

Koncepcja zasugerowana przez niewinne stwierdzenie dziewczyny wydała się mężczyznom zbyt przerażającą by była warta rozważania.

Max odezwał się pierwszy.

— Uświadamiasz sobie, co tu zaszło, prawda? Leo skinął głową.

— Chyba tak, Max.

— Przemieniła niedopałek w antymaterię. Pomyśl o możliwościach związanych z kumulowaniem energii!

— To nie takie proste.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Widziałeś, co się stało! Leo pokręcił głową.

— Ja też tak myślałem. To wydaje się sensowne — przemiana materii i antymaterii w energię podczas ich wzajemnej anihilacji. Ale teraz myślę, że ona robi coś znacznie głębszego. Nasz wszechświat to chaos. André zaprowadza porządek.

Max polecił André usiąść na ławce. Obaj mężczyźni patrzyli w morze.

— Opowiadaj Leo.

— Jak szybko twoim zdaniem przemieszczamy się w tej chwili?

— Co masz na myśli? Prędkość orbitalną Ziemi wokół Słońca?

— Po części — zgodził się Leo. — Ziemia porusza się wokół Słońca z prędkością stu tysięcy kilometrów na godzinę. W zaokrągleniu jakieś trzydzieści kilometrów na sekundę. Pomyśl o tej prędkości, Max. Ponad trzydzieści kilometrów na sekundę! Nie czujemy tego, rzecz jasna, ponieważ poruszamy się wraz z nią. Ale założmy, że coś miałyby się zatrzymać. Coś tak małego jak zwinięty w kulkę filtr papierosa? Co by się wtedy stało?

330

Max pokiwał głową. Zaczął nadażać za tokiem myśli Leo.

— Opuściłoby naszą planetę z prędkością wielu węzłów, rzecz jasna.

— Dokładnie.

— Kulka papieru ma określoną masę — zauważył Max. — Nie wdawajmy się w obliczenia, ale wydaje mi się, że nawet przy prędkości trzydziestu kilometrów na godzinę nie zdołałaby spowodować rąbnięcia, jakiego doświadczyliśmy przed chwilą.

— Zgadza się — przyznał Leo. — A przy prędkości trzystu tysięcy kilometrów na sekundę? Bliskiej prędkości światła?

Max milczał, rozważając sugestie zawarte w ostatnim twierdzeniu współnika. Koncepcja była przerażająca, niemal wykraczała poza granice pojmowania, jednak zrozumiał jasno, do czego Leo zmierza.

— Cholera — wymamrotał. — Prędkość recesyjna uciekających galaktyk... Jakież trzy czwarte prędkości światła!

— Trafiłeś — przyznał Leo. Zastanawiał się przez chwilę, dobierając słowa równie starannie jak wtedy, gdy je zapisywał.

— Najbardziej odległe galaktyki, które widzimy, oddalają się od nas z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Dlatego też dla obserwatorów z tych galaktyk my oddalamy się dokładnie z tą samą prędkością. Każda cząsteczka materii we wszechświecie oddala się od dokładnego środka wszechświata, miejsca w którym jakieś dwadzieścia milionów lat temu nastąpił Wielki Wybuch... Każda cząsteczka, prócz tych, które André wysyła z powrotem do początku czasu...

— Niektórzy naukowcy twierdzą, że ekspansja wszechświata będzie maleć i wreszcie zatrzyma się, a wówczas zacznie on wchłaniać się sam w siebie. Właśnie wtedy czas się zatrzyma i zacznie się cofać, a wszelka materia rozpadnie się, by utworzyć sto dziewięćdziesiątą ogromną ciemną dziurę, która jest naturalną, właściwą formą wszechświata. Zgodnie z zasadą nieoznaczoności.

Podniecenie Maxa rośnie wraz z każdym kolejnym słowem Leo. Podszedł do ogrodzenia i stanął naprzeciw wpólnika, niecierpliwie uderzając pięścią w dłoń drugiej ręki. Leo nigdy jeszcze nie widział go tak wzburzonego.

— Więc co się stało z tym niedopałkiem? Przeszedł przez Ziemię?

— Cholera wie, Max. Nie jestem naukowcem. Mogę tylko zgadywać, że jego masa została przemieniona w energię, w chwili gdy przeniknął przez powierzchnię Ziemi. Ciśnienie wytworzone podczas tego procesu

331

zatkąło otwór... Z drugiej zaś strony to, co widzieliśmy, mogło być spojrzeniem do wnętrza Ziemi. — Nagle olśniła go jakaś myśl. — Max, pomyśl o związanych z tym możliwościach! Mieć w ręku potencjał energii magmy naszej planety!

— Kontrola! — wtrącił się Max — Musimy wiedzieć w jakim stopniu ona kontroluje to wszystko. Nie ma żadnych możliwości bez kontroli! Trzeba przeprowadzić test kontrolny. — Odwrócił się i zawołał. — Andy! Chodź tu do nas!

André podeszła do Maxa. Zmiana, jaka w nim zaszła, zaniepokoiła ją. Ciepły, .dodający otuchy uśmiech zniknął. Został zastąpiony stanowczym spojrzeniem, które ją przerażało.

— Pokaż jej, Leo.

— Max. Uważam, że powinniśmy...

— Pokaż jej!

Bardzo niechętnie Leo wyjął długolufowy pistolet sportowy, który ciążył mu w kieszeni i na sumieniu. Oczy André rozszerzyły się, kiedy go zobaczyła.

— Wiesz co to jest, Andy? — zapytał Max. Dziewczyna skinęła wolno głową.

— Pokaż jej pocisk.

Leo sięgnął do kieszeni kurki i pokazał André pocisk.

— Właśnie tym strzela się z pistoletu — powiedział oschle Max. — Służą do zabijania ludzi. Leo strzeli do mnie, a ty spróbujesz zatrzymać pocisk robiąc burzę. Zrozumiałaś?

Zielone oczy dziewczyny pociemniały ze strachu.

— Nie! Nie wolno!

Max nie był w nastroju do dyskusji. Położył dłonie na ramionach André i odwrócił ją twarzą w kierunku morza.

— Stój tutaj. Nie ruszaj się.

— Nie wolno — powiedziała znów na krawędzi łez.

Max nakazał Leo cofnąć się. Kiedy mężczyźni zajęli swoje pozycje, we troje tworzyli dziesięciometrowy trójkąt równoramienny. Wyglądali jak rodzinka przygotowująca się do gry w ringo. Leo stał bokiem do Maxa, więc częściowo naprzeciw dziewczyny. Jego prawe ramię zwisało wzdłuż ciała, pistolet mierzył prosto w ziemię.

— Policzę do trzech — poinstruował Max. Skrzywił się z niesmakiem widząc łzy André. — Chcesz jechać do Kurdystanu, prawda?

332

André potwierdziła ruchem głowy.

— Nie chcę, żebyś został zastrzelony.

— Nie zostanę, jeśli zdołasz zatrzymać pocisk. Jeśli zginę, Leo zabierze cię do Kurdystanu.

Zgadza się, Leo?

— Skoro tak mówisz — mruknął Leo.

Dziewczyna zwróciła przerażone spojrzenie na starszego mężczyznę. Miała ochotę zamknąć oczy; chciała być z Khalidem; chciała być z matką i Lloydem; chciała czuć się bezpieczna i chroniona. Ale nade wszystko chciała uciec przed tymi ludźmi. To nie byłoby trudne, lecz strach przed konsekwencjami, przerażenie na myśl o tym, że miałyby zostać sam na sam z człowiekiem o twarzy trupa, zatrzymały ją w miejscu.

— W porządku — powiedział Max. — Liczę do trzech. Raz...

Leo uniósł prawe ramię do pozycji horyzontalnej i wycelował w pierś Maxa. Usłyszał wystraszony szloch dziewczyny. Dokładnie w tym momencie zastanowił się, czyją właściwie śmierć chciałby mieć na sumieniu. Może ława przysięgłych, usłyszawszy wszystkie przerażające fakty okaże wyrozumiałość i nie potraktuje go zbyt surowo. Jego własna przyszłość i kariera zawodowa przestały się liczyć. Byłby w stanie żyć z wyrokiem więziennym na sumieniu, ale jego sumienie... Podjął decyzję i poczuł się znacznie lepiej.

— Wiatr — przypomniał Max.

Ale Leo zdążył już wziąć drobną poprawkę na mroźne podmuchy.

— Dwa...

Palec Leo zacisnął się na spuście. Zawsze był dobrym strzelcem. Twarz Maxa przypominała maskę. Może potrafił czytać w myślach współnika. Świetnie — niech ten zimny sukinsyn cierpi.

— Nie! Nie! Nie! — krzyknęła André. — Wszystko nie tak! ŻLE! Cienkie włoski na wyprostowanym przedramieniu Leo stanęły dęba, dziwne, drażniące uczucie, którego doświadczył już przedtem przebiegło przez jego nadgarstek jednak nie zmienił pozycji. Pistolet nadal mierzył w środek piersi Maxa.

— Trzy!

Ręka Leo przesunęła się w górę. Na tyle by muszka znalazła się pośrodku głowy Maxa. Nacisnął spust.

Była to ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił.

333

ROZDZIAŁ 108

Zazwyczaj Lloyd lubił pracować w biurze w niedziele. Przy milczących telefonach mógł nadgonić z pracą. Poza tym pomagało mu to oderwać myśli od innych spraw. Do południa przebrnął przez stertę listów zalegających w jego przegródce, zapłacił parę rachunków z poprzedniego miesiąca i rozplanował, jakie wydarzenia powinny znaleźć się na łamach gazety w ciągu nadchodzącego maja.

Uporawszy się z najważniejszymi sprawami włączył biurowy telewizor, by nie siedzieć w całkowitej ciszy, i skupił się na czytaniu zbioru najciekawszych artykułów prasowych i podań o przyjęcie do pracy. Ciężki, polityczny ton wczesnopołudniowej, niedzielnej telewizji zirytował go. Sposób, w jaki rezygnowano z nadawania regularnych wiadomości w czasie weekendów, uniemożliwiał bycie na bieżąco z najnowszymi wydarzeniami. Przełączył na Sky Net i wziął się do czytania obszernej oceny ważnej sprawy patentowej. Charakterystyczna, ozdobiona wąsami twarz Scotta Chisholma, przypominającego wykształconego wykidajkę z pubu, pojawiła się na ekranie z wiadomościami z ostatniej chwili.

— ... Brytyjski naukowiec zginął w wyniku eksplozji, do której doszło na terenach przylegających do poligonu wojskowego, na wybrzeżu w pobliżu Dorset.

Lloyd zakreślił flamastrem jeden z akapitów orzeczenia.

— ... Drugi naukowiec wyszedł z tego cało, nie licząc siniaków i skaleczeń. Eksperci wojskowi badający tę sprawę przypuszczają że mogła to być bomba z czasów wojny, aczkolwiek pewne wątpliwości budzi fakt braku krateru w miejscu wybuchu.

Flamaster zamarł w połowie narysowanego koła.

— Rzecznik Ministerstwa Obrony zaprzeczył możliwości, by naukowiec zginął w wyniku strzału oddanego z terenu poligonu. Będziemy informować państwa bieżąco o postępach w prowadzonym dochodzeniu...

Lloyd poderwał słuchawkę i zadzwonił do Laury.

ROZDZIAŁ 109

Naprawdę, panienko — powiedział Max do pielęgniarki opatrującej mu twarz — nic mi nie jest. To bardzo miło z pani strony. — Na poparcie swych słów zsunął się ze schodków karetki i stanął obok niej.

334

— Powinien pan zdjąć okrycie i pozwolić się dokładnie zbadać

— powiedział surowo lekarz. Max uśmiechnął się.

— Czuję się świetnie. Przeszedłem już przez gorsze rzeczy, proszę mi wierzyć.

— Brygada Ochrony, zgadza się, panie Shannon? — dociekał detektyw inspektor.

Kontaktował się z kolegą z Weymouth, posiadającym informacje na temat znanych, miejscowych biznesmenów.

Max pogładził dłonią węzeł krawata w barwach regimentu. Był widoczny tuż nad kołnierzem płaszcza.

— Zgadza się, panie Treloar. Cypr, Aden i rok na Borneo.

Ci wojskowi to zadziwiające typy, pomyślał policjant. Jego kumpel przed chwilą trafił do królestwa niebieskiego, a ten jest zimny jak głaz.

Pomalowany na pomarańczowo range rover policji z Dorset pokonał odcinek trawy i zaparkował w pobliżu skupiska samochodów. Za ogrodzeniem kłębił się tłumek dziennikarzy z kamerami wideo, filmujących zmagania pontonów ekip poszukiwawczych z groźnymi falami u podnóża skał. Tuż obok znajdował się porośnięty trawą teren odgradzony palikami połączonymi wstążką. Treloar zostawił Maxa zapewniającego pielęgniarkę i lekarza, że czuje się świetnie, i dołączył się do zorganizowanej naprędce konferencji w pobliżu ciężarówki wojskowej saperów.

Sierżant z Artylerii Królewskiej bronił swego stanowiska przed kapitanem z oddziału saperów.

— Zgodnie z naszymi informacjami wstrzymano ostre strzelanie na terenie poligonu jeszcze w 1950, kiedy to Ministerstwo Wojny zajęło Kimmeridge House. Od tego czasu strzela się wyłącznie w kierunku morza.

— Morze to rzeczywiście duży cel, sierżancie — zauważył kapitan.

— Ale czy jest pan pewien, że zawsze trafiacie do niego?

Dyskusja stawała się coraz gorętsza i policjant z Dorset przysłuchiwał się z ogromnym zainteresowaniem.

— Jaki więc jest pański werdykt? — wtrącił się Treloar, kierując pytanie do kapitana.

— Wygląda na to, że ziemia wokół tego miejsca została poddana działaniu bardzo wysokiej temperatury — odpowiedział tenże. — Moim zdaniem powodem mógł tu być zbiornik fosforu lub magnezu z czasów wojny. Coś w tym rodzaju. Ale to nadal nie wyjaśnia braku krateru.

335

Treloar przytaknął. Nie był to pierwszy przypadek znalezienia sprzętu artyleryjskiego na tym terenie i z całą pewnością nie ostatni. Przed dwudziestoma laty, tuż przed opublikowaniem Raportu Nugenta, Ministerstwo Obrony zgodziło się otworzyć tereny poligonu. Mimo że wojsko dokładnie sprawdziło obszar wybrzeża, zdarzały się przypadki trafienia na niewypały. Jednak rzadko kiedy podobne znaleziska eksplodowały. Jeszcze rzadziej trafiało się na nie na terenie prywatnym i nie ginęli od nich ludzie.

— Myśli pan, że to może mieć jakiś związek z naszymi przyjaciółmi, którzy lubią podkładać bomby?

— Zdecydowanie nie, panie Treloar. Policjant spojrział pytająco na sierżanta.

— Jestem skłonny przychylić się do tej opinii — powiedział podoficer. — Gdybyśmy mieli do czynienia ze współczesnym materiałem wybuchowym, brakowałoby tu kawałka skały.

— Rozumiem — powiedział funkcjonariusz. — To wszystko, co chciałem wiedzieć. Musimy potraktować to jako kolejny wypadek. Odwrócił się do kierowcy range rovera. — Macie coś? — Przed chwilą odwołałem poszukiwania, panie Treloar. Podpływanie zodiakami do skał jest zbyt niebezpieczne. Fale wyrzuciły jeden z pontonów. Proponuję, byśmy mieli ten teren pod obserwacją przez parę najbliższych dni. Jedna z łodzi rybackich może trafić na ciało, jeśli do tego czasu nie wypłynie w Weymouth.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedział Treloar. — Panowie, dziękuję wam za przybycie. Myślę, że możemy już wracać do niedzielnych obiadów. Ruszył w górę skarpy, by złożyć oświadczenia dla prasy.

ROZDZIAŁ 110

André nie widziała tego, co się stało.

Kiedy Max doliczył do trzech, krzyknęła przerażona i rzuciła się płasko na ziemię w oczekiwaniu na ogłuszającą implozję. Na szczęście znalazła się we wgłębieniu. Potężny pęd powietrza wsysał łapczywie jej skórzany płaszcz, ale nie zrobił jej krzywdy. Grzmot huczał i dudnił wzdłuż zatoki, zanim nie zniknął gdzieś w oddali. Kiedy wyjrzała ostrożnie zza nasypu, zobaczyła Maxa podnoszącego się na nogi. Nigdzie

336

nie było widać tego okropnego człowieka o twarzy jak maska, który próbował go zabić.

Z wolna zaczęła uświadamiać sobie rozmiary tego, co zrobiła. Wywołała taką samą burzę jak kiedyś bardzo dawno temu, by zatrzymać mężczyznę, który pojawił się przed samochodem mamusi, i jak całkiem niedawno, która uratowała ją przed motocylistami. Max będzie wściekły; mamusia będzie zła. Policjant, który zadawał jej tyle pytań, a potem przyglądał się jej na parkingu przed kawiarnią Jacko, przyjedzie wielką czarną ciężarówką i zabierze daleko stąd.

— Andy! — wiatr zniekształcał głos Maxa. Miał pokaleczoną twarz i czoło, krew zalewała mu oczy. Zataczając się jak ślepiec, szedł w jej kierunku.

André ogarnęła panika. Zerwała się na nogi i ruszyła wzgórzem w dół. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, ale instynkt nakazywał jej trzymać się z dala od domu. Przebiegła przez podjazd, minęła budkę przy bramie i ruszyła wyboistą, wiejską drogą. Ochlapała błotem kombinezon, ale biegła nadal. Po dziesięciu minutach zmęczenie zmusiło ją do zatrzymania się. Oparła się o skałę, z trudem łapiąc oddech, serce waliło jak szalone. Spojrzała na drogę, którą przebyła, ale nikt jej nie gonił.

Po paru minutach doszła do siebie na tyle, by móc rozejrzeć się po okolicy. Droga przecinała pagórek na pół. Biegła równoległe do morza, obrysowując kontury stromego wzniesienia upstrzonego pasącymi się owcami, w zaokrąglonych szczytach wzgórza tkwiły granitowe otoczaki. Morze, które miała po prawej stronie, było teraz oddalone o niecały kilometr. Nasłuchiwała z uwagą, ale jedynymi otaczającymi ją dźwiękami był krzyk mew i smutne beczenie owiec. Wiatr był przeraźliwie zimny, niebo ciemne i przerażające, co potęgowało jej strach. Zapięła płaszcz i schowała włosy pod kapturem. Z dłońmi rozgrzewającymi się powoli w kieszeniach poczuła się trochę lepiej.

Miała zamiar ruszyć w dalszą drogę, kiedy znów sparaliżował ją strach. Coś, czego nie widziała, zbliżało się w jej kierunku. Potworny gwizd i dudniący miarowy dźwięk, zupełnie jakby coś szatkowało powietrze. Rozejrzała się wokół siebie: jakieś dziewięćdziesiąt metrów od niej tkwił granitowy otoczek, zupełnie jakby przycupnął na stoku wzgórza. Ruszyła biegiem w tym kierunku i wśliznęła się w wąską szczelinę pomiędzy półką skalną a trawiastym stokiem.

337

Parę sekund później pojawił się helikopter Sea King. Leciał nisko doliną, kierując się w stronę przylądka. Był podobny do maszyn, które polowały na Kurdów i zabijały ich w reportażu pokazywanym w telewizji, ale ten podążał jej śladem. Skuliła się i wcisnęła głębiej w rozpadlinę. Słyszała śmigłowiec krążący nad cyplem, była jednak zbyt przerażona, żeby wyjrzeć. Hałas wzrastał się. Przeleciał tuż nad jej głową tak nisko, że była pewna, iż została zauważona. Ale zawodzący silnik i huczące rotory oddaliły się szybko i umilkły.

Minęło piętnaście minut, nim André zebrała w sobie dość odwagi, by wyczołgać się na zewnątrz — a gdy ruszyła w dół, w kierunku drogi, dźwięk zbliżających się pojazdów zapędził ją z powrotem do kryjówki. Karetka i dwa wozy policyjne sunęły wolno wyboistą drogą w kierunku cypla, przetoczyły się obok niej i zniknęły z pola widzenia. Oczy André napełniły się łzami. Najpierw helikopter, a teraz wozy policyjne. Poczowała się przeraźliwie samotna i wystraszona.

— Mamusiu — zaszlochała. — Ja nie chciałam. Nie chciałam tego zrobić...

Ale Laura nie odpowiadała; nikt nie przytulił jej do siebie; nie wypowiadał ciepłych, miłych słów pocieszenia. Pod nią była zimna, wilgotna ziemia, nad nią zaś surowy, obrośnięty mchem granit. Okrzyki rozpacz i żałości słyszały tylko mewy i owce, aż zostały porwane i poniesione przez lodowaty wiatr.

ROZDZIAŁ 111

— Na litość boską, zwolnij! — krzyknęła Laura, próbująca wysłuchać ostatnich wiadomości w samochodowym radiu, gdyż znaleźli się w zasięgu nadajników 2CR.

Lloyd zwolnił do przepisowej prędkości. W ciągu ostatniej godziny przebyli sto trzydzieści kilometrów. Przed chwilą minęli New Forest.

— Kimmeridge House! — krzyknęła Laura. — Jestem pewna, że powiedzieli posiadłość Kimmeridge House w pobliżu Lulworth Cove! Gdzie trzymasz mapy?

— Pod twoim siedzeniem — odpowiedział Lloyd, znów prowadząc lotusa z równą prędkością 140 kilometrów na godzinę. — W kieszeni przy

338

twoich drzwiach znajdziesz przewodnik po tej okolicy. Złapałem go, wybiegając z biura.

— Wlepią ci mandat — ostrzegła Laura, szukając mapy okolic Dorset.

— Zainstalowałem sobie detektor radarów.

— Te są nieaktualne. — Znalazła mapę turystyczną wybrzeża Dorset i usiłowała ją rozłożyć.

— Jak nazywało się ostatnie miasteczko, które mijaliśmy?

— Wimborne — Lloyd zerknął na Laurę. Siedziała pogrążona w milczeniu przez całe dwie godziny, od chwili gdy podjechał po nią; domyślił się, że prawie nie spała tej nocy. Kiedy zadzwonił do niej z biura, podniosła słuchawkę niemal natychmiast.

— Jakies dwadzieścia pięć kilometrów dzieli nas od Lulworth Cove — powiedziała Laura. — Skręć w lewo w Bere Regis.

Lloyd zwolnił na krętym odcinku wiejskiej drogi.

— Sprawdź, czy wspominają coś o Kimmeridge House w tym przewodniku — poradził.

Laura wepchnęła mapę do schowka u swoich stóp, nie trując się, by ją złożyć i zaczęła przeglądać spis treści.

Czytanie podczas jazdy samochodem zazwyczaj powoduje mdłości, jednak tym razem jej nerwy były tak napięte, że choroba komunikacyjna nie miała najmniejszych szans.

— Znalazłam. Jest tu też mapka. Pięć kilometrów na wschód wzdłuż wybrzeża od Lulworth. W pobliżu Durdle Door. Boże, to jakieś odludzie!

— Musi prowadzić tam jakaś droga.

— Jest tu przerywana linia, która biegnie aż do Lulworth Cove, ale to jest bardzo ogólna mapka. Nie powinniśmy mieć trudności ze znalezieniem tego miejsca. Wschodni Lulworth to wioska. Ja i David mieliśmy zwyczaj...

— Ty i David? — zapytał Lloyd, kiedy głos pasażerki ucichł.

— Nic takiego... Bere Regis jest cztery kilometry stąd, zgodnie z ostatnim drogowskazem.
ROZDZIAŁ 112

Max zaczął działać szybko, gdy tylko policja, wojsko i karetka odjechali. Fakt, że eksperyment na szczycie skały zakończył się totalną

339

katastrofą, nie przyćmił jego zdolności jasnego myślenia i dostosowania planów do nowych, krytycznych okoliczności. Z całą pewnością nie był to czas do zastanawiania się nad śmiercią współnika — każdego można zastąpić. Prawdę mówiąc, myślał o pewnym genialnym neurologu z uniwersytetu w Bagdadzie, którego poznał podczas swej ostatniej wizyty w Iraku. Max był pewien, że z pomocą szczegółowych notatek Leo i jego aparatury do odwzorowywania komórek mózgowych, wznowienie badań będzie tylko kwestią czasu. Jednak wpraw musi odnaleźć André i pozbyć się jej rzeczy, na wypadek gdyby policja znalazła ją przed nim. Dziewczyna mogłaby wyśpiewać im wszystko.

Max wrócił do Kimmeridge House, zebrał rzeczy dziewczyny i wrzucił je do pieca. Nastawił zegar na dziesięciominutowy cykl spalania, po czym przywrócił swe mieszkanie do stanu, w jakim znajdowało się przed przybyciem André. Następnie wziął ze sobą potężną lornetkę Zeissa i pobiegł do garażu, w którym stał land rover firmy. Samochód nie był najnowszy, ale prezentował się wspaniale dzięki temu, że Max przemaalował go na biało. W tej chwili najważniejsze było to, że miał napęd na cztery koła i silnik rolls-royce'a gypsy, przez co świetnie nadawał się do jazdy po górzystym terenie.

Samochód stał nie używany od dłuższego czasu. Jego niechęć do zapalenia była niebezpiecznie bliska wyprowadzenia Maxa z równowagi. Wreszcie silnik zaskoczył. Ruszył szybko przez podjazd w kierunku bramy głównej, ale nie aż tak, by wzbudzić podejrzenia ewentualnych obserwatorów. Kiedy znalazł się za bramą, zjechał z drogi i skierował się ku stromym wzgórzom. Od czasu do czasu koła buksowały na miękkim podłożu, ale system antypoślizgowy sprawiał, że wszystkie cztery były w ruchu. Owce beczwały w proteście i rozbiegały się, widząc jak nadjeżdża. Na pewnym odcinku stok okazał się zbyt stromy nawet dla range rovera, zmuszając Maxa do zrobienia objazdu, jednak przez cały czas posuwał się w górę. Z determinacją wspinał się w kierunku trójkątnego kamienia na szczycie Hambury Tor, w połowie drogi pomiędzy Kimmeridge House i Lulworth Cove. Znajdował się na wysokości 152 metrów nad poziomem morza i był najwyżej położonym punktem w tej okolicy, z zapierającymi dech w piersiach widokami we wszystkich kierunkach. Niebo było zachmurzone, ale powietrze czyste. Mając tak wspaniały punkt obserwacyjny Max był pewien, że najmniejszy ruch w tej okolicy nie ujdzie jego uwagi.

340

Lloyd pędził tak szybko, jak tylko się odważył, przez senne, małe miasteczko Wool.

— Tutaj! Tutaj! — Laura wskazywała drogowskaz przy drodze B3701. Lloyd skręcił w lewo i przyspieszył.

— Jak daleko stąd? — zapytał.

— Jakieś sześć i pół kilometra! Boże, błagam cię, niech to będzie ona i pozwól nam ją odnaleźć. Błagam cię, Boże. Błagam. — Zamilkła, jakby zawstydzona się tego nagłego wybuchu. Potem wyciągnęła dłoń i delikatnie dotknęła nią ramienia Lloyda, tak by nie przeszkadzać mu w prowadzeniu samochodu. — Przepraszam cię, Lloyd... okropna ze mnie nudziara i nawet ci nie podziękowałam. To bardzo ładnie z twojej strony, że zadajesz sobie tyle trudu.

Lloyd zerknął na nią i uśmiechnął się. — Znajdźmy ją, o nagrodę upomnę się później.

Pomimo niepokoju o zaginioną córkę Laura zdołała zmusić się do uśmiechu.

Po dziesięciu minutach wolnej jazdy pod górę Max dotarł na szczyt i zgasił silnik land rovera. Kiedy otworzył drzwi, poczuł strumień mroźnego wiatru. Stał oparty o chłodnicę, wdzięczny za ciepło, jakiego mu użyczała, i obserwował okolicę przez lornetkę. Obraz w doskonale

szlifowanych soczewkach i pryzmatach był idealnie ostry, z niewielką aberracją barwną. Przyrząd był bliski perfekcji, której Max zawsze szukał.

Zachodnie Lulworth, oddalone o niecałe dwa kilometry, było niemal opustoszałe. Paru rybaków krzątało się przy łodziach wyciągniętych z morza na wąską, kamienistą plażę. Nieliczni zdeterminowani mieszkańcy hotelu Lulworth Cove siedzieli na osłoniętym tarasie, popijając drinki. Niższe pola w dolinie były wykorzystywane przez posiadaczy ziemskich jako letni parking samochodowy. Rozciągały się na zachód od miasteczka i także wionęły pustką. W pogodne dni porośnięte trawą tereny gościły rzesze obiecujących szybki zysk biwakowiczów i ich samochody.

Jakiś nagły ruch przyciągnął jego wzrok. Przesunął lornetkę i zobaczył żółtego lotusa super 7 podążającego krętą drogą prowadzącą do odległego krańca Zachodniego Lulworth. Był to ten sam samochód, który widział na podejździe Laury Normanville w czwartkowy wieczór. Jeszcze jeden nagły ruch. Skierował lornetkę lekko ku dołowi. Postać, częściowo ukryta za skałami, pojawiła się na chwilę jakieś osiemset

341

metrów od niego w kierunku Lulworth, i zniknęła za wzniesieniem. Czekał cierpliwie, kierując lornetkę na miejsce, w którym powinna się ponownie ukazać. I wtedy zobaczył ją. Nie mógł pomylić charakterystycznego, szarpanego przez wiatr płaszcza. André!

Ona też musiała zauważyć lotusa, ponieważ biegła szybko zboczem stromego wzgórza w kierunku parkingu machając rękami.

Max wskoczył do land rovera i skierował pojazd w stronę biegnącej dziewczyny.

Lloyd zatrzymał się na małym placyku przed wjazdem na parking. Zakaz wjazdu powstrzymywał pojazdy przed wjazdem na końcowy odcinek drogi wiodącej do zatoki.

— Cholera! Musieliśmy przegapić skręt do tej posiadłości — złościł się. Laura wskazała ręką odległy koniec parkingu.

— Tam jest dróżka odchodząca w bok. To może być to, czego szukamy.

— Możliwe — zgodził się Lloyd. Zapalił silnik i wjechał na parking.

— Mamusiu! Lloyd! — André krzyczała ze wszystkich sił. Zbocze było bardzo strome, a trawa mokra, co utrudniało jej szaleńczy bieg. Mimo to zdołała wykorzystać genialną zdolność przewidywania, która teraz uchroniła ją przed utratą równowagi. Zatrzymała się, na równym kawałku ziemi i złapała pod boki. Samochód jechał szybko wzdłuż trawiastej doliny dokładnie w jej kierunku. Była pewna, że została zauważona, ale dlaczego nie odpowiedzieli jej machaniem? Z kierunku południowo zachodniego dobiegł ją dźwięk innego silnika.

Odwróciła się. To, co zobaczyła, wystarczyło, by ruszyła dalej w dół zbocza, mimo że nie zdążyła odzyskać oddechu.

Samochód przypominał jej pojazdy używane przez policję. Znajdował się czterysta metrów od niej, podskakiwał i trząsał się na wyboistym zboczach, zmierzając wprost na nią. Zobaczyła, że lotus zatrzymuje się przed bramą farmy. Znajoma sylwetka wysiadła zza kółka.

— Lloyd! — André próbowała krzyczeć. — Lloyd! — Ale jej rozpaczliwe okrzyki były raczej zduszonymi sapnięciami.

Lloyd zaklął, oglądając stalową bramę i kłódkę. Gdyby spojrzał do góry, zauważyłby André niecałe dwieście metrów dalej, biegnącą w dół

342

zbocza, wymachującą rozpaczliwie ramionami i land rovera jakieś czterysta metrów za nią, kierującego się wprost na uciekającą postać. Niestety, pobiegł z powrotem do samochodu nie rozglądając się.

— Nie możesz jej wyłamać? — zapytała Laura kiedy zwolnił ręczny hamulec.

— Samochodem o aluminiowej karoserii? Żartujesz? Wylądowalibyśmy w kostnicy. Zrobił obrót kierownicą i ruszył z powrotem przez pola w kierunku bramy wjazdowej. Tylne koła lotusa wyrzucały fontanny błota.

— Lloyd! Mamusiu...!

— Lloyd! Zatrzymaj się! — Laura próbowała przekrzyczeć ryk silnika.

W jej głosie zabrzmiało coś, co zmusiło Lloyda do zastosowania się do tego żądania.

Zatrzymał się i spojrzał na nią pytająco.

— Posłuchaj — powiedziała Laura tonem perswazji. — Nie ma sensu jeździć tak dalej po okolicy. Nigdy nie odnajdziemy tego domu. Podjedźmy do hotelu i zapytajmy się...

André oparła się o bramę szlochając. Spóźniła się — nie zauważyli jej! Nagle światła hamowania pędzącego lotusa zapaliły się jakieś sto osiemdziesiąt metrów od niej. Zatrzymał się! Policyjny dzip był już niecałe dwieście metrów dalej i zbliżał nieubłaganie.

André zmusiła obolałe nogi do tego, by przeniosły jej zmęczone ciało przez bramę i na wpeł upadła na błotnistą drogę po drugiej stronie, wstała i potykając się ruszyła ślepo za lotusem — dokładnie w chwili gdy silnik zapalił się i samochód zaczął nabierać prędkości. Nie miała szans, by dogonić go, chyba że zrobi coś ostatecznego. Coś, co tylko ona potrafiła zrobić... Coś, co wymagało maksymalnej koncentracji i stopnia kontroli., którego dotąd nie próbowała osiągnąć. Warunkiem był jednak odprężony stan umysłu, więc zatrzymała się i zmusiła do skupienia myśli.

Lotus zbliżał się do parkingu, kiedy nagle górne piętnaście centymetrów jednego z palików drewnianej bramy stojącego przy drodze tuż przed lotusem eksplodowało z ogłuszającym trzaskiem. Okna w hotelu i pobliskich domach rozprysły się. Potężny pęd powietrza wstrząsnął samochodem, tak że noga Lloyda zsunęła się z pedału gazu i wdepnęła na hamulec.

— Jezu Chryste! — krzyknął zatrzymując samochód.

— Mamusiu! Mamusiu! Lloyd!

Oboje usłyszeli rozpaczliwe wołanie dokładnie w tej samej chwili. Odwrócili się i zobaczyli André biegnącą w ich kierunku.

343

Max nie zawahał się. Skierował land rovera w środek bramy. Siła zderzenia wystarczyła, by przerwać przerdzewiały łańcuch niby kawałek sparciałego sznura i otworzyć szeroko skrzydła bramy.

Laura nie zdążyła wyprostować się po wyjściu z lotusa, kiedy André rzuciła się w jej ramiona.

— Mamusiu! — krzyczała histerycznie. — Policjant mnie goni!

Laura podniosła wzrok i zobaczyła białego land rovera Maxa pędzącego w ich kierunku.

Wepchnęła André na tylne siedzenie lotusa i wcisnęła się za nią do środka.

— Ruszaj! — zawołała do Lloyda, tuląc zrozpaczoną córkę w ramionach. — Ten land rover ściga ją!

Lloyd zauważył szarżujący pojazd w lusterku i wyprowadził samochód z parkingu dokładnie w chwili, gdy ludzie zaczęli wybiegać z domów.

Max zahamował i zwolnił. Wiedział, że nie zdoła dogonić lotusa na otwartej drodze, więc równie dobrze może zrezygnować z pościgu. Zresztą i tak wie, gdzie dziewczyna mieszka. Zatrzymał się przy wjeździe na parking. Ludzie biegli w jego kierunku, a w oknach domów pojawiały się coraz to nowe twarze.

— Co pan o tym sądzi? Zbłąkany nabój czy huk przekraczania bariery dźwięku — zapytał go jakiś staruszek.

— Moim zdaniem, tornado — odpowiedział Max. — Cholerne myśliwce. Powinni ćwiczyć dużo dalej, nad morzem. Poskarżę się do Ministerstwa Obrony.

— Ja też — oświadczył inny mężczyzna. — Sukinsyny wybili mi wszystkie okna. To było jeszcze gorsze niż ten poranny wybuch.

Lotus znajdował się dobre pięć kilometrów od Lulworth, kiedy André doszła do siebie na tyle, by móc mówić składnie, mimo że nie przestała tulić się do Laury z rozpaczliwą mocą,

kompletnie zdezorientowana wszystkim tym, co przydarzyło się jej od chwili przebudzenia w obcym łóżku, w obcym otoczeniu.

— Pojechać do Kurdystanu! Do Kurdystanu! Pomóc Khalidowi!

— Powtarzała tę prośbę raz po raz, szlochając i próbując wcisnąć swoje drżące ciało głębiej w ciepło i bezpieczeństwo ramion i piersi Laury.

— Oczywiście, że pojedziemy do Kurdystanu. Oczywiście, kochanie.

— Oczywiście. Mówiąc to Laura gładziła i całowała pochłapane błotem włosy André.

— Obiecuj! Obiecuj! Obiecuj! PROSZĘ, MAMUSIU!

344

— Oczywiście, że obiecuję ci to, Andy. Teraz jesteś już bezpieczna, kochanie. Już po wszystkim.

Lloyd czekał, aż André uspokoi się i ucichnie.

— Kurdystan? Mówisz poważnie?

— Oczywiście, że tak — odparła Laura. Zawahała się. Jej głos miał znacznie łagodniejszy ton, kiedy znów przemówiła. — Przepraszam cię, Lloyd. Nie powinnam była warczeć tak na ciebie, ale nigdy nie składam Andy obietnic, chyba że mam zamiar ich dotrzymać.

Gdy poczciwi mieszkańcy Lulworth powrócili już do swoich domów, Max obejrzał dokładnie drewniany słup. Brakujący fragment spłonął, zostawiając gładką, matową powierzchnię, jakby drewno zostało odpiłowane i wypolerowane. Najbardziej zaintrygowała go jednak nowa umiejętność, którą dziewczyna zademonstrowała.

Podążając za nią, widział dokładnie całe zajście. Nagle zatrzymała się i przyłożyła dłonie do głowy, jakby chciała włożyć maksymalny wysiłek w skoncentrowanie się. Dokładnie w tej samej chwili czubek słupa eksplodował. Z odległości stu metrów dziewczyna zdołała skupić swoje niezwykle moce na określonym celu.

Zdolność kontrolowania — właśnie na tym to polegało.

Wrócił do land rovera, by zastanowić się nad kolejnymi posunięciami. Jak zawsze jego myśli były logiczne i analityczne, nie pozostawiające nic przypadkowi. Kiedy powrócił do ostatnich, nie przewidzianych wypadków, uzmysłowił sobie drobną niedogodność. Tym razem nie mógł ryzykować — musi znaleźć sposób, by wywieźć dziewczynę z kraju. Ryzykowne, ale możliwe. Zaraz zaśmiał się sam z siebie, jakże mógł nie widzieć tak prostego i oczywistego rozwiązania.

Przypomniał sobie zaciętą sprzeczkę pomiędzy matką a córką, którą podsłuchał pod bungalowem w Durston Wood. Nie mógł nie zauważyć, że proste życzenie André, by pojechać do Kurdystanu, zdążyło przerodzić się w ślepą obsesję. To oczywiste, że jeśli ma się urzeczywistnić, to właśnie teraz. Po chwili wahania matka z całą pewnością wywiezie córkę z kraju dla niego.

Pozwolił sobie na ten luksus, by zachichotać, i zapalił land rovera.

ROZDZIAŁ 113

PÓŁNOCNY IRAK Wtorek, 19 marca 1991

Właściciel zajazdu potrząsał Nuriego za ramię.

— Czas ruszać w drogę, przyjacielu.

Niepokój w jego głosie sprawił, że Nuri natychmiast się obudził.

— Co się stało?

— Mam wieści z jednego z hoteli robotniczych. Policja rozpytuje się

o dwóch mężczyzn podejrzanym o włamanie do garażu w Tikricie. Właściciel garażu został zamordowany. Także wojsko poszukuje dwóch mężczyzn, którzy zdołali im uciec podczas oblężenia Afanu.

Nuri wyskoczył z łóżka i zaczął potrząsać Khalidem, zanim karczmarz skończył mówić.

— Która godzina? — zapytał Nuri, wkładając buty.

— Czwarta trzydzieści dwie i dziesięć sekund — powiedział sennie Khalid, sięgając po spodnie.

Właściciel zajazdu zerknął na swój zegarek w słabym świetle nisko-watowej żarówki. Nie po raz pierwszy miał okazję zetknąć się z zadziwiającymi zdolnościami Khalida.

— Pewnego dnia, gdy wszystko wróci do normy, musisz przyjechać tu i pokazać mi, jak ty to robisz — stwierdził.

— Dziękujemy za ostrzeżenie — powiedział Nuri wkładając kurtkę. Karczmarz wzruszył ramionami.

— Być poszukiwanym przez policję, a do tego przez wojsko, to podwójny pech. Macie mapę? Nuri sięgnął do kieszeni i wyjął naszkicowaną przez właściciela zajazdu mapkę. Była przerysowana z mapy w dużej skali. Karczmarz dorysował na czerwono wiejską drogę na północ, omijając miasta i główne szlaki komunikacyjne, którymi jak przypuszczali, przemieszczały się oddziały i artyleria.

— Godzina policyjna obowiązuje do świtu — ostrzegł gospodarz.

— Nie zapalajcie świateł. — Wskazał pulchnym palcem punkt na mapie.

— Poza tym musicie uważać w rejonie gardzieli rzeki Zab — wskazał rozwidlenie rzeki. — Zaczyna się tutaj. Ale gdy już przejedziecie, powinno pójść jak z płatka. Powodzenia, przyjaciele.

Trzydzieści minut później, po zjedzeniu w pośpiechu śniadania i uregulowaniu rachunku, Nuri i Khalid podążali na północ przez bogaty

346

w sady region Mosulu. Ogrzewanie bluebirda działało na pełnych obrotach, ale nie zdołało przeciwstawić się mroźnemu nocnemu powietrzu wsysanemu do wnętrza samochodu przez okno wybite płozą helikoptera.

— Przy następnym rozjeździe — poinstruował Nuri.

Khalid zapalił na chwilę długie światła i w myślach odwołał się na moment do swoich umiejętności. Zaczynało dzień, więc już wkrótce nie będzie musiał uciekać się do podobnych sztuczek, ale na razie był to jedyny sposób na pokonywanie wyboistej drogi przy zgaszonych światłach. Jeszcze jedno błysniecie reflektorami i zauważył rozwidlenie.

Droga, w którą skręcił, była rzadko używana i w jeszcze gorszym stanie niż ta, z której zjechali. Opony bluebirda podskakiwały po wybojach.

— Przebij oponę, a obedrę cię żywcem ze skóry — zagroził Nuri, wieszając się na rączce nad siedzeniem pasażera.

Khalid uśmiechnął się do niego i zwolnił.

Droga stawała się coraz gorsza. Kiedy zrobili sobie postój o siódmej, okazało się, że odjechali zaledwie czterdzieści kilometrów od zajazdu. Jednak zmieniający się krajobraz stawał się coraz bardziej znajomy obu mężczyznom. Przejeżdżali teraz przez wzgórkowaty region Mosulu, gdzie liczne dopływy Tygrysu drażyły głębokie doliny w miękkiej warstwie piaskowca i wapienia. Były to roponośne wzniesienia rozrzucone na południowych krańcach masywu Anatolii na granicy Iraku z Turcją. Zatrzymali się w miejscu, gdzie droga wciniała się w stromy stok. Cztery kilometry dalej zauważyli fragment drogi głównej — prawdopodobnie autostrady łączącej Mosul z Mardinem. Zbierali się do dalszej drogi, gdy nagle głęboki, dudniący dźwięk zmusił ich do szukania kryjówki w zagajniku gęstych sosen na stoku. Ciężki łoskot rotorów helikoptera odbijał się echem od jałowych wzgórz, utrudniając możliwość zlokalizowania go. Khalid pierwszy wypatrzył trzy śmigłowce bojowe superfrelon, lecące nisko i szybko wzdłuż gęsto porośniętej drzewami doliny i wskazał je Nuriemu. Były to maszyny, które Kurdowie znienawidzili i których nauczyli się bać w ciągu wielu lat ucisku. Mogły przenieść niszczycielską siłę ognia kolumny czołgów do najbardziej odległej, górskiej wioski w ciągu zaledwie paru minut. Wycie silników i łoskot rotorów nie umilkł nawet

wtedy, gdy się oddaliły. Nuri zrozumiał dlaczego, kiedy Khalid wskazał mu trzy kolejne śmigłowce — także zmierzające na północ.

— Co się dzieje, Nuri? — zapytał wystraszony Khalid.

347

Tymczasem kolumna sześciu sunących wolno transporterów pojawiła się daleko w dole na autostradzie biegnącej wzdłuż doliny. Każdy z nich ciągnął za sobą 155-milimetrowe haubice, działa zdolne wystrzelić 50-ki-logramowe pociski na odległość czterdziestu kilometrów. Broń przerażająco skuteczna w rejonach górskich, zwłaszcza że ogniem można było kierować ze śmigłowców.

— Nie szukają nas — powiedział Nuri ze złością. — Saddam Hussajn kieruje wszystkie siły na północ. Oddziały wojska, ciężką artylerię, lotnictwo — wszystko. Nie mamy najmniejszych szans.

— Ale Amerykanie nie pozwolą mu na to, prawda?

Nuri uśmiechnął się kwaśno i objął towarzysza ramieniem. Domyślił się, że Khalid martwi się o rodziców.

— Oczywiście, że tak.

Miał nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco.

Zatankowali bluebirda benzyną skradzioną z garażu w Tikricie i ruszyli z Khalidem za kierownicą, a Nurim studiującym mapę. Rzeką wzdłuż której jechali, skręciła nagle w miejscu, gdzie wpadała do wąwozu, a droga zdawała się wgrzyzać w skalisty stok. Szlak był zablokowany zwaliskiem małych otoczków.

— Musieliśmy zabłądzić — zawołał rozżłoszczony Nuri. — To nie może być droga, o której mówił karczmarz.

Khalid wskazał coś palcem przez przednią szybę.

— Patrz, Nuri. Te rysy na skałach. Musiały przejeżdżać tędy ciężarówki. To musi być ta droga.

Mężczyźni wysiedli z samochodu i podeszli bliżej. Nuri stwierdził, że Khalid miał rację. To, co początkowo wziął za osunięcie terenu, było miejscem, gdzie naprędce naprawiano drogę, zasypując dół drobnymi kamieniami. Przeniósł spojrzenie dalej, za stos otoczków, i zobaczył, że jest to zaledwie dróżka wyboista i szeroka na niecałe dwa metry. Jeśli mapa była dokładna, a jak dotąd była, górski dukt, na który mieli właśnie wjechać, wił się po górach przez najbliższe piętnaście kilometrów.

Jęknął i wychylił się, by spojrzeć na wodę spadającą kaskadą na skały dziesięć metrów niżej. Dziesięć metrów to nic takiego. Mapa nie podawała wysokości, ale sądząc po kącie nachylenia drogi, spadek mógł wynosić nawet paręset metrów w dalszych odcinkach. Kiedy tak patrzył w dół, coś rozprysnęło mu się na karku. Spojrzał w górę. Cholera! Czyż trasa nie była już wystarczająco niebezpieczna?

Deszcz! Zaklął cicho.

Tylko tego było im trzeba.

ROZDZIAŁ 114

VAN, WSCHODNIA TURCJA

Laura przycisnęła nos do okienka boeinga 737 Tureckich Linii Lotniczych, czekając niecierpliwie, aż samolot przestanie kołować nad lśnącymi, bogatymi w sodę wodami jeziora Van i wyładuje. Kapitan rozpoczął dekompresję i dziwny, alkaliczny zapach jeziora wniknął do samolotu. Pojawiło się wschodzące słońce, które oświetliło bladymi promieniami odległe szczyty gór Anatolii. Jej współtowarzysze podróży, stu pięćdziesięciu pasażerów, głównie mężczyzn, zostali zapakowani wraz z nią do samolotu będącego własnością linii, która nie uznawała podziału na miejsca dla palących i niepalących na trasach krajowych.

Spojrzała na André, by upewnić się, że wszystko jest w porządku. Podróż przebiegała bez problemów, pomimo że dziewczyna rozchorowała się zaraz po obudzeniu, a tuż przed

ładowaniem w Ankarze — co Laura złożyła na karb tabletek przeciw chorobie awiacyjnej. Teraz siedziała cicho pomiędzy nią a Lloydem, trzymając w dłoni miniaturowy globus podarowany przez Lloyda i oglądała przewodnik po wschodniej Turcji, pełen fotografii Troi, Bergamonu i Efezu. Właśnie Turcja, a nie Grecją jak przypuszczała Laurą była kolebką klasycznej kultury hellenistycznej. Za zakładkę służyła dziewczynie jej ulubiona pocztówka ukazująca skupisko eleganckich domów wokół sztucznego jeziora w Duhok — luksusowa enklawa powstała w wyniku współpracy pomiędzy firmą hydroelektryczną budującą tamę a prywatnym kurdyjskim przedsiębiorcą budowlanym. Od czasu do czasu smukły palec wskazujący André gładził willę zaznaczoną na zdjęciu krzyżykiem. Pod pocztówką ukryła fotografię Khalida, na którą zerkąta za każdym razem, gdy wydawało jej się, że nikt nie patrzy.

Laura pomyślała, że André jest szczególnie do twarzy w nowej, czerwonej garsonce. Cała trójka była ubrana w jasną, kolorową odzież zimową wynik pospiesznych zakupów poprzedniego dnia. Przygotowanie wszystkiego w tak krótkim czasie zakończyłoby się graniczącym z paniką

349

fiaskiem, gdyby nie opanowanie i zdrowy rozsądek Lloyda. Najcięższą bitwę stoczyli, gdy próbowała przekonać Lloyda, że pokryje za niego wszelkie koszty podróży.

André wyczuła, że matka patrzy się na nią. Uniosła głowę znad książki i uśmiechnęła się. Laura wzięła ją za rękę, ścisnęła z ogromnym uczuciem i ucieszyła się, kiedy ten gest został odwzajemniony. Nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, że samotna eskapada André na stałe odmieniła jej osobowość. Stan hysterii, w jakim znaleźli ją na parkingu w Zachodnim Lulworth, zniknął, gdy Laura obiecała, że pojedą do Kurdystanu. Po tym spała spokojnie przed resztą drogi do domu. Jednak od tej pory ilekroć Laura lub Lloyd próbowali dowiedzieć się od niej, co dokładnie wydarzyło się w Dorset, zaczynała się denerwować i zamykała z powrotem w swojej muszelce. Innymi razy była radosna i uśmiechała się na myśl o spotkaniu z Khalidem.

— Zostawmy to — powiedziała Laura. — Opowie mi o wszystkim, kiedy będzie chciała. Lloyd stwierdził, że kierowca policyjnego land rovera musiał zapisać sobie numery lotusa, a jeśli nawet nie zrobił tego, ile osób w tym kraju miało lotusy super 7 w kolorze żółtym? Przybycie wścibskiej policji było tylko kwestią godzin.

Jednak nie trafili do niego i pytania związane z ucieczką André pozostały bez odpowiedzi. Dźwięk silników 737 umilkł. Lloyd ziewnął i spojrzął na zegarek.

— Jest piąta trzydzieści — powiedziała André. Dorośli spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

— A co się stało z czasem wymierzonym przez Perfekcjonistę i tak dalej? — zapytał Lloyd. André skrzywiła się.

— Głupie. Pominęłam to.

— Jesteśmy daleko od Londynu — powiedział Lloyd, głaszcząc dłoń André. — Ale nie przejmuj się tym. Skorzystamy z twoich umiejętności, ilekroć zechcemy wiedzieć, która to godzina jest w domu.

Drugi oficer obwieścił po turecku coś, co nakłoniło część młodszych pasażerów siedzących przy oknach do osłonięcia oczu dłońmi i zerknięcia na błyszczące, pokryte śniegiem szczyty. Pilot powtórzył informację w języku angielskim i nawet Lloyd, który był wytrawnym podróżnikiem, wychylił się do przodu, żeby dojrzeć szczyt Araratu.

— Nie sądzę, aby udało nam się zobaczyć arkę Noego — zażartował. Rozległo się głucho dudnienie, gdy 737 wypuścił podwozie.

Laura nagle uświadomiła sobie, że pokryte śniegiem drogi i domy znajdują się tuż pod nimi. Śnieg nie pasował do minaretów i cebul-kowatych kopuł meczetów; zawsze wyobrażała je sobie wyłaniające się z rozgrzanego słońcem bezkresu pustyni.

Poczuł lekki podskok zwiastujący wyjątkowo udane lądowanie na pojedynczym pasie lotniska Van.

— Panie i panowie, witamy w Van — powiedział gadatliwy pilot po podaniu jakiejś informacji w rodzimym języku. — Temperatura na zewnątrz wynosi minus dziesięć stopni. W powietrzu czuć wiosnę, jednak do terminalu zawiozą państwa nasze autobusy.

Pomimo że załatwili formalności imigracyjne w Ankarze, biurokratyczne tureckie przepisy wymagały, by nieliczni pasażerowie linii krajowych byli poddawani kontroli celnej. Laura jęknęła. Podróżowali od ponad trzynastu godzin. Nie pragnęła niczego więcej, tylko paść do łóżka i zasnąć.

— Żaden problem — powiedział Lloyd. Wziął Andre za rękę, by oszczędzić Laurze trudu. — Przed nami jest najwyżej dwanaście osób.

Nie musieli długo czekać; oficer imigracyjny otwierała i zamykała paszporty w takim tempie, że z całą pewnością nie zdążyła zarejestrować w pamięci najmniejszego szczegółu. Jednak było to złudne wrażenie, ponieważ szukała trzech konkretnych nazwisk. A kiedy Laura, Lloyd i Andre minęli jej stanowisko, znalazła je. Odprawiwszy ostatniego pasażera zamknęła okienko i zameldowała szefowi zmiany, że interesująca go trójka przybyła. Przełożony podziękował jej i wziął do ręki faks, który przesłano mu z Mosulu. Jedyne, co musiał zrobić, to wykręcić podany numer telefonu i zameldować o przyjeździe trojga cudzoziemców.

Bardzo proste. Gdy podniósł słuchawkę, zastanowił się przez chwilę nad tym, że jednak jest bardzo wpływowym człowiekiem.

Lloyd niepotrzebnie martwił się tym, że przybywszy w środku ramada-*nu* do kraju bądź co bądź muzułmańskiego mogą mieć kłopoty ze znalezieniem taksówki. Przed małym budynkiem terminalu kłębił się ożywiony tłum gorliwych bagażowych, handlarzy ulicznych oferujących kilimy — wyrabiane ręczne dywaniki kurdyjskie — i kierowców taksówek. Turcja oddzieliła sprawy państwowe od religii w wyniku czego każdy, kto chciał zarobić parę lirów podczas świąt religijnych, mógł to zrobić.

351

Zostali niemal porwani przez uśmiechniętego Turka, który zatrudnił dwójkę swoich dzieci do przeniesienia bagażu podróżnych; zanim Laura czy Lloyd zdążyli zaprotestować, torby zostały umieszczone na bagażniku dachu poobijanego mercedesa, którego wewnątrz przesiąkło zapachem kóz. Półgodzinna podróż przez przystań promową, obok stadionu sportowego, słynnej Skały Van i ruin starego miasta — zniszczonego za czasów otomańskich — zakończyła się przed wejściem do nowoczesnego hotelu „Biikyuk”, gdzie uśmiechnięty taksówkarz uwolnił Laurę od stu tysięcy lirów. Suma była znacznie zawyżona, nawet przy przeliczniku 4000 lirów za funta szterlinga, ale Laura i Lloyd byli zbyt zmęczeni i onieśmieleni nieznanym otoczeniem, by się sprzeczać.

Uprzejmi agenci podróży z Guildford spisali się świetnie. Dwa-wygodne, ogrzewane pokoje połączone drzwiami oczekiwały na nich na drugim piętrze.

— Jestem za bardzo wykończona, żeby myśleć o czymkolwiek, zanim nie wejdę pod prysznic i nie prześpię się przynajmniej ze cztery godziny — oświadczyła Laura. Wysłała André pod prysznic i zaczęła się rozbierać. Zauważyła, że Lloyd przygląda się jej z zainteresowaniem i popchnęła go lekko w kierunku drzwi wiodących do pojedynczego pokoju.

— Myślałem... — zaczął.

— Nie chcę, żeby André spała sama po tym wszystkim, co się wydarzyło. Potrafisz to zrozumieć?

— Niezupełnie — odpowiedział z humorem. — Miałem zamiar odebrać obiecaną nagrodę. Czyżbyś zapomniała?

Laura pokręciła głową i uśmiechnęła się.

— Nie — oczywiście, że nie. Byłaś wspaniała, ale nie chciałam nawet myśleć o angażowaniu się w jakikolwiek nowy związek przed zakon* czeniem tej zwariowanej podróży. To

zaczyna przekraczać moje możliwości. Jestem zbyt zmęczona, żeby logicznie myśleć. Rozumiesz?

Uśmiechnął się.

— Jasne. — Przyciągnął ją do siebie z zamiarem pocałowania jej lekko w policzek, ale Laura zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała w usta. Zanim zdążył zareagować, wypchnęła go lekko za drzwi.

— Ty też powinieneś się przespać, Lloyd.

Zanim zamknęła drzwi, uśmiechnęła się ciepło do niego.

ROZDZIAŁ 115

PÓŁNOCNY IRAK

Uratowały ich niewiarygodne zdolności Khalida jako kierowcy. Wyczuł, że tylne koła bluebirda zaczynają tracić przyczepność na rozmięczonym przez deszcz podłożu lessowym i dodał gazu na tyle, by zapobiec ześlizgnięciu się samochodu w przepaść. Ruszył naprzód, odbijając się od otoczków ustawionych wzdłuż całej trasy, w wyniku czego Nuri uderzył głową w dach. Uwiesił się u rączki nad drzwiami i trwał tak bez słowa, podczas gdy Khalid manewrował samochodem, omijając kolejne urwisko. Smagany wiatrem deszcz uderzał nieustannie o skały, a ogromne krople wpadały ukosem do środka przez wybite szyby — ściana wody eksplodowała na metalu i skale, przemieniając się w gęstą mgiełkę uniemożliwiającą Nuriemu spojrzenie w dół wąwozu. Nie wiedział, czy jest głęboki, jednak fakt, iż od półgodziny wspinali się w górę po krętym szlaku, przemawiał za tym, że musi być bardzo głęboki. Wycieraczka po jego stronie szyby nie spełniała swego zadania — ślizgała się po grubej warstwie wody nie zbierając jej.

— Zwolnij — powiedział i szybko zapał się stopami w obawie przed skutkami gwałtownego hamowania. Drzwi od strony Khalida uderzały i tarły o skalną ścianę. Uśmiechnął się do Nuriego, odrywając na chwilę wzrok od drogi.

— Przeróżające, co? — Musiał krzyzczeć, żeby jego był słyszalny przez ryk silnika i drażniący nerwy zgrzt metalu o piaskowiec.

Nuri nie odpowiedział. Odkąd ruszyli górskim szlakiem, podziwiał wytrwałość starożytnych ludzi, którzy wyłobili go w skale, chcąc mieć pewność, że jedwabny szlak będzie przejezdny nawet wtedy, gdy Zeb wyleje. Teraz mógł jedynie modlić się w duchu, by ta przeklęta podróż wreszcie się skończyła. Mapa naszkicowana przez karczmarza spadła za siedzenie, ale nie miał zamiaru nawet myśleć o jej odzyskaniu.

Ulewny deszcz ustał równie niespodziewanie, jak się zaczął, dając Nuriemu możliwość zobaczenia wspaniałego wąwozu rozciągającego się poniżej. Zadrżał, zamknął oczy i zaczął powtarzać modliwę o powrót ulewnego deszczu.

— Dużo lepiej! — krzyknął radośnie Khalid, wskazując coś palcem. Przed nimi szlak poszerzał się lekko, wcinając się głębiej w ścianę

353

skały. Ku rozpaczy Nuriego, Khalid wykorzystał tę poprawę drogi, by przyspieszyć. Miał zamiar wykrzyzczeć swe niezadowolenie, gdy kaskada skał i wody runęła na samochód, wyrrywając kierownicę z rąk Khalida. Przednia szyba z hartowanego szkła rozbiła się z głośnym trzaskiem \prŁem\etvAa >n laSYę, matowego, popukanego \odw.

Nuri miewał już do czynienia ze zbitymi szybami samochodowymi, przebił szkło pięścią tak, że setki kryształowobiałych odłamków wypadło na maskę i na jego kolana. Ale było już za późno; pomimo że mały fragment szyby przed Khalidem pozostał cały, starcił pełną widoczność. Przez parę krytycznych milisekund nie zdawał sobie sprawy z tego, że samochód zmierza wprost na skraj przepaści. By dopełnić nieszczęścia, dokładnie w tym samym momencie wykonał fatalny, aczkolwiek jedyny w podobnych okolicznościach manewr i kiedy samochód obrócił się uderzając drzwiami w wystającą skałę, zdjął nogę z pedału hamulca. Za chwilę powróciła na miejsce i Khalid wdepnął pedał ze wszystkich sił.

Tyle tylko, że pedał, z którym zetknęła się jego stopa, nie był pedałem hamulca. Silnik bluebirda zaryczał. Tylne koła zabuksowały dziko, ochlapując skalną ścianę błotem i samochód skoczył ślepo na skraj urwiska. Przednie koła minęły krawędź i samochód runął ciężko, opierając się na progach. Bluebird bujał się w tył i w przód jak dziecinna huśtawka, unosząc tylne koła nad ziemią, tak jakby miały zamiar katapultować samochód w przepaść. Khalid przekręcił kluczyk, żeby zgasić silnik i pobladły odwrócił się do swojego towarzysza. Nawet tak lekki ruch wystarczył, by idealnie wyważony samochód zaczął się niebezpiecznie bujać.

— I co my teraz zrobimy, Nuri?

— Nie ruszaj się! — warknął Nuri, wpatrując się rozszerzonymi ze strachu oczami w bezkres szarego nieba. — Nawet nie oddychaj!

Sama cisza była dostatecznie przerażająca. Khalid wysunął rękę w kierunku klamki.

— NIE RUSZAJ SIĘ, POWIEDZIAŁEM!

— Musimy coś zrobić, Nuri.

— Przydałoby się nam trochę twojego szczęścia.

— Za blisko, Nuri — głos Khalida był zduszonym szeptem. Przepraszam cię, Nuri.

— Musimy coś wymyślić!

354

skąły. Ku rozpaczcy Nuriego, Khalid wykorzystał tę poprawę drogi, by przyspieszyć. Miał zamiar wykrzyknąć swe niezadowolenie, gdy kaskada skał i wody runęła na samochód, wyrrywając kierownicę z rąk Khalida. Przednia szyba z hartowanego szkła rozbiła się z głośnym trzaskiem i przemieniła w tafnię matowego, popękanego lodu.

Nuri miewał już do czynienia ze zbitymi szybami samochodowymi, przebił szkło pięścią tak, że setki kryształowobiałych odłamków wypadło na maskę i na jego kolana. Ale było już za późno; pomimo że mały fragment szyby przed Khalidem pozostał cały, starcił pełną widoczność. Przez parę krytycznych milisekund nie zdawał sobie sprawy z tego, że samochód zmierza wprost na skraj przepaści. By dopełnić nieszczęścia, dokładnie w tym samym momencie wykonał fatalny, aczkolwiek jedyny w podobnych okolicznościach manewr i kiedy samochód obrócił się uderzając drzwiami w wystającą skałę, zdjął nogę z pedału hamulca. Za chwilę powróciła na miejsce i Khalid wdepnął pedał ze wszystkich sił.

Tyle tylko, że pedał, z którym zetknęła się jego stopa, nie był pedałem hamulca.

Silnik bluebirda zaryczał. Tylne koła zabuksowały dziko, ochlapując skalną ścianę błotem i samochód skoczył ślepo na skraj urwiska. Przednie koła minęły krawędź i samochód runął ciężko, opierając się na progach. Bluebird bujał się w tył i w przód jak dziecinna huśtawka, unosząc tylne koła nad ziemią, tak jakby miały zamiar katapultować samochód w przepaść. Khalid przekręcił kluczyk, żeby zgasić silnik i pobladły odwrócił się do swojego towarzysza. Nawet tak lekki ruch wystarczył, by idealnie wyważony samochód zaczął się niebezpiecznie bujać.

— I co my teraz zrobimy, Nuri?

— Nie ruszaj się! — warknął Nuri, wpatrując się rozszerzonymi ze strachu oczami w bezkres szarego nieba. — Nawet nie oddychaj!

Sama cisza była dostatecznie przerażająca. Khalid wysunął rękę w kierunku klamki.

— NIE RUSZAJ SIĘ, POWIEDZIAŁEM!

— Musimy coś zrobić, Nuri.

— Przydałoby się nam trochę twojego szczęścia.

— Za blisko, Nuri — głos Khalida był zduszonym szeptem. Przepraszam cię, Nuri.

— Musimy coś wymyślić!

354

Obaj mężczyźni siedzieli w absolutnej ciszy. Lodowaty wiatr wpadał do samochodu przez wybitą przednią i tylną szybę, bujając nissanem, jakby był kołyską. Znow zaczęły padać

gwałtowny deszcz. Nuri uświadomił sobie, że ich jedyną szansą było przeniesienie środka ciężkości samochodu możliwie najdalej na tył. Powoli, bardzo powoli upuścił prawą rękę wzdłuż ciała i zaczął szukać pokrętła regulującego pozycję siedzenia.

Poruszające się milimetr po milimetrze palce nie natrafiły na pokrętło. Może gdyby wyprostował się... ale to oznaczało przeniesienie ciężaru ku przodowi. Lodowaty deszcz chłostający go po twarzy i wsiąkający w ubranie utrudniał patrzenie, a tym bardziej myślenie.

— Musimy przenieść ciężar na tył — powiedział ochryple, przerażony, że nawet energia wyzwalana podczas mówienia może zakłócić ryzykowną równowagę bluebirda. — Sprawdź, czy możesz odchylić siedzenie do tyłu. Poruszaj się bardzo wolno — nie sprzeczasz się ze mną — zrób to!

Khalid miał więcej szczęścia w szukaniu pokrętła. Początkowo przekręcił nim w niewłaściwą stronę.

— W drugą stronę! — syknął Nuri.

Ciało Khalida odchyłało się serią skoków, kiedy wolno manipulował pokrętłem. Bluebird upadł na tył.

— A teraz spróbuj przedostać się na tył!

Khalid ostrożnie wyprostował nogi i przeniósł tułów na tylne siedzenie.

— Dobrze, bardzo dobrze — powiedział Nuri czując, że samochód odchylił się jeszcze bardziej. Zaryzykował pochylenie się ku przodowi, by odnaleźć pokrętło. Tym razem udało mu się. Położył siedzenie tak daleko, jak mógł i powoli wyciągnął się na nim, aż obaj mężczyźni znaleźli się wyciągnięci bok przy boku z wzrokiem wlepionym w sufit. Samochód był teraz bardziej stabilny i nie bujał się gwałtownie na wietrze.

— Co teraz, Nuri?

— Spróbuję otworzyć tylne drzwi.

Palce Nuriego namacały zamek. Drzwi otworzyły się, gdy pociągnął za klamkę. Ogarnęło go uczucie ulgi, ale nie był to jeszcze koniec ich kłopotów. Jakby na potwierdzenie tych obaw przerdzewiały progi, na których wspierał się ciężar samochodu i jego dwóch pasażerów, zapadły się z jego strony.

Nuri uświadomił sobie nagle, co powinni zrobić.

355

— Czy możesz otworzyć bagażnik?

— Chyba tak, Nuri.

Lewarek otwierający bagażnik znajdował się na podłodze, pomiędzy siedzeniem kierowcy a drzwiami. Khalid znalazł go i delikatnie pociągnął. Mężczyźni usłyszeli trzask zamka bagażnika, który zaczął otwierać się na skrzypiących zawiasach.

— Dobrze. Dobrze — szepnął Nuri. — A teraz drzwi po mojej stronie. — Pchnął je stopą i w tej chwili dotarło do niego, że wykonując ten manewr przesunął środek ciężkości samochodu w niewłaściwym kierunku. Zdołał uchylić je na parę centymetrów kiedy napotkały skałę i zablokowały się.

Ulewny deszcz wsiąkał w odzież i przednie dywaniki bluebirda.

— Spróbuj swoje drzwi — poleciał Nuri.

Bok samochodu po stronie Khalida ucierpiał najbardziej przy zderzeniu ze skałą, ale drzwi wymagały tylko lekkiego pchnięcia, by otworzyć je się na całą szerokość.

— W porządku — Nuri zaczął oddychać trochę spokojniej. — Oto co musimy zrobić.

Wyślizgniesz się z samochodu głową do przodu, ale tak, by nie zdejmować ciężaru z osi tylnych kół. Czy wokół samochodu leży dużo drobnych kamyczków?

Khalid spojrział.

— Tak, całe mnóstwo, Nuri — odpowiedział, a nawet postarał się o lekki uśmiech.

Nuri ugryzł się w język. Nie było sensu krzyczeć teraz na współtowarzysza niedoli. — Spróbuj zebrać parę — ale nie wychodząc z samochodu! — i wrzucić po jednym do bagażnika. Ile tylko się da. — Nie przestawaj, aż ci powiem. Zrozumiałeś? — Jasne, Nuri — zrozumiałem.

Deszcz lał z nie ustającą zaciętością. Stwarzało to problem, którego nie przewidział nawet Nuri.

Khalid wychylił się ostrożnie przez tylne drzwi, jednocześnie starając się utrzymać ciężar na osi tylnych kół. Okręcił się i na wpół usiadł na osi, by sięgnąć po duży kamień. Bluebird zachybotał, a progi zapadły się jeszcze bardziej. Ulewny deszcz spływający ze skał tworzył błotniste strumyki, które przelewały się przez skraj urwiska.

— Nie za duże! — ostrzegł Nuri, widząc kamień, po który sięgał Khalid. — Zaczynj od małych!

356

— Z dużymi pójdzie nam dużo szybciej, Nuri. — Mówiąc to Khalid wrzucił mały kamień do bagażnika bluebirda.

Niewielki wstrząs, który poruszył samochodem, nie był silniejszy niż ten, jakiego doświadczyłby natrafiwszy na dziurę w drodze. Jednak w połączeniu z dodatkowym ciężarem wody wlewającej się do samochodu przez wybitą szybę wystarczył, by załamać osłabione przez rdzę progi. Metal wykruszył się jak aluminiowa folia do pieczenia. Kawałki ziemi i skał oderwały się od skraju urwiska i z głuchym grzechotem popędziły w dół. Samochód przechylił się na bok i wysunął ku przodowi, metal zgrzytał przeraźliwie o nierówne brzegi piaskowca.

— Nuri! — krzyknął Khalid. Kiedy samochód uniósł się, jego ciało przeważyło i zawisło nad brzegiem skały. Rozpaczliwie próbował zaczepić się o coś stopami, ale nie natrafiły one na nic. Przez strugi deszczu dostrzegł przerażoną twarz przyjaciela w otworze po tylnej szybie. Khalid wyturlał się z osuwającego się samochodu i wykonał szybki obrót ciałem w zamiarze uchwycenia tylnego zderzaka. Zdołał zacisnąć dłonie na chropowatej powierzchni, ale ciężar jego ciała nie mógł mierzyć się z dwoma tonami stali samochodu, którego środek ciężkości znajdował się teraz za krawędzią. Metal zgrzytał o metal i skałę, która wgrzyzała się głębiej w podwozie. Nagle bagażnik uniósł się lekko, a za chwilę cała żelazna konstrukcja runęła w dół. Khalid zostałby powleczony w dół, gdyby nie zdążył na czas puścić zderzaka.

— Trzymaj się mnie, Nuri! — krzyczał. — Nie zostawiaj mnie! Tylna oś minęła krawędź skalną i samochód zniknął.

— Trzymajmy się razem! Musimy trzymać się razem!

Khalid położył się płasko na brzuchu i spojrział przez brzeg urwiska. Samochód zdawał się sunąć w dół z upiorną gracją, zanim nie uderzył w stok jakieś dwadzieścia metrów dalej. Gubił koła, drzwi, klapę bagażnika oraz inne części i koziołkując tworzył w porastającej stoku roślinności szlak destrukcji i zniszczenia. Zatrzymał się jakieś dwieście metrów od miejsca, w którym leżał przerażony Khalid.

Spodziewany wybuch płomieni nie nastąpił. Tylko amerykańskie samochody na amerykańskich filmach stają w płomieniach, ilekroć spadną ze skały.

— Nuri — zajęczał Khalid w deszczu i wietrze. — Trzeba było zostać ze mną.

Rozdział 116

VAN, WSCHODNIA TURCJA

W oficjalnym sposobie bycia Bruno Kerana, uśmiechającego się teraz do Lloyda, Laury i André, nie było nic, co sugerowałoby, że jego firma Keran Tours znajduje się na skraju bankructwa.

Co więcej, właśnie w tej chwili dwa z większych banków handlowych sprzeczały się o to, które kawałki finansowej wątroby Kerana wezmą wpierw na talerz. Był to niski, ciemnoskóry

mężczyzna koło czterdziestki. Resztkę włosów przylegała do czaszki niczym warstwa farby, przez co owalna głowa przypominała oliwkę.

— Przecież ma pan dwa land rovery na zewnątrz, stoją tam beczynnie — zauważyła Laura. Keran spojrział melancholijnie na Angielkę, rozbierając ją w myślach, tak jak każdą cudzoziemkę, z którą się zetknął.

Bardzo atrakcyjna, córka zresztą też. Dziewczyna przyglądała mu się dużymi zielonymi oczami, które zdawały się czytać w jego myślach.

— Mamy ramadan, pani Normanville. Moi kierowcy nie zgodzą się przyjść do pracy — mówił po angielsku na tyle dobrze, by przekonująco kłamać. Żaden kierowca przewodnik nie chciał pracować u niego, ponieważ żadnemu z nich nie wypłacono wynagrodzenia.

To, że interes turystyczny nie wypalił, nie było winą Kerana. W 1987 roku obfitujący we wspaniałe zdjęcia japoński serial dokumentalny „Jedwabny szlak” pojawił się w telewizjach na całym świecie, wywołując w turystach zainteresowanie fascynującymi, lecz zapomnianymi zakątkami świata. Jednak granica z Irakiem przebiegająca tuż za górami Cilo Gagi i wojna w zatoce doprowadziły boom turystyczny do szybkiego końca.

— Więc dlaczego pan nie może nas zawieźć? — zapytał Lloyd.

— Niestety, mam tu sprawy niecierpiące zwłoki — powiedział z żalem Keran. Tym razem mówił prawdę. Był zaangażowany w umowę kupna starej cysterny o pojemności pięciu tysięcy litrów, którą zamierzano przewozić ropę z Kirkutu. W sytuacji gdy prezydent Ozal oficjalnie popierał embargo nałożone przez ONZ na Irak i zamknął rurociąg z tego kraju, nowy rurociąg na kółkach łączący Mosul z Mardinem gwałtownie przeradzał się w intratny interes. Turcy kupowali teraz ropę w cenie dwóch

358

↓

dolarów za baryłkę w Mosulu i sprzedawali przedsiębiorstwom naftowym w Turcji, licząc po 10 dolarów za baryłkę. Jeśli embargo utrzyma się, wielu zbije na tym fortunę.

— Dobrze więc, panie Keran — powiedziała zdecydowanie Laura.

— A może wynajmie nam pan jeden ze swoich land roverów na trzy dni, bez kierowcy?

— Dokąd zamierzacie jechać?

— Do Duhok — tuż za granicą w Iraku. Zgodnie z naszymi mapami to jest jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów.

Irak nie wróżył niczego dobrego dla Kerana: banki nałożyły na niego sankcję zabraniającą wywozu aktywów za granicę kraju. W tym również samochodów. Myślał szybko, żeby przedstawić wiarygodną wymówkę.

— Czy są jakieś problemy z przejazdem przez góry? — zapytał Lloyd, widząc wahanie Turka. — Lądując nie zauważyliśmy tam dużo śniegu.

— Nie, nie — powiedział szybko Keran. — Droga do Duhoku biegnie przez Cukurcę. Nie jest to główna trasa, a odprawa celna po irackiej stronie nie zawsze przebiega sprawnie.

— Czy to trudna droga? — zapytał Lloyd.

— Nie, momentami wąska, ale dość łatwa.

— Więc dlaczego nie może nas pan tam zawieźć? — nalegała Laura. Popukała palcem w okładkę przewodnika turystycznego. — Zgodnie z tym, co tu piszą, Duhok znajduje się w obrębie autonomicznej, kurdyjskiej strefy od ponad dziesięciu lat. Jest właściwie niepodległy. Nie stanowi problemu dla Iraku, więc w czym rzecz?

— Strasznie mi przykro, ale zawsze wstrzymuję ubezpieczenie na teren Iraku podczas ramadanu. Nie ma wtedy wielkiego ruchu w interesie.

— To śmieszne — powiedziała zniecierpliwiona Laura. — W porządku, panie Keran — kupimy jeden z pańskich land roverów.

Keran był bardzo przebiegłym człowiekiem. Przybrał wyraz niezdecydowania, pomimo że pilnie potrzebował gotówki na kupno cysterny. — To będzie zależało od waluty i tego, czy możecie zapłacić w gotówce

— odpowiedział.

— Co pan powie na funty angielskie? Chytry Turek wpatrywał się w paznokcie dłoni.

— Jestem pewien, że się dogadamy, droga pani Normanville. Trzydzieści minut później wyszli z biura Kerana wprost na gwarny

Ipek Yolu, Jedwabny Szlak, i złapali taksówkę. Dwieście metrów dalej

359

agent Mukharabatu zobaczył, jak wychodzą i obudził swego kurdyjskiego taksówkarza, potrząsając go za ramię.

Pierwszą rzeczą, jaką Laura zrobiła po powrocie do hotelu było zadzwonienie pod numer Hameta. Podobnie jak poprzednio, nikt nie odebrał telefonu.

— Cholera! — rzuciła słuchawkę na widełki.

— Jeśli to jest letni dom, może odłączają telefon po zakończeniu sezonu? — zgadywał Lloyd.

— Dlaczego więc wciąż odzywa się wolny sygnał?

— Nazywają to „dzwonieniem w zawieszeniu” — odpowiedział Lloyd. — Dźwięk telefonu jest wytwarzany w centrali. To, co słyszymy w słuchawce, wcale nie jest dźwiękiem telefonu na drugim końcu linii.

— Zerknął na André, która leżała na łóżku czytając książkę, i zniżył głos

— Co zrobimy, jeśli nie zastaniemy ich w domu, gdy dotrzemy tam jutro?

— To proste. Zostawimy im wiadomość i zatrzymamy się w hotelu w Duhok.

— Na jedną noc, Lauro. Ktoś musi wydawać to czasopismo.

— Jedna noc — zgodziła się Laura.

ROZDZIAŁ 117 PÓLNOCNY IRAK

Całą godzinę zajęło Khalidowi zejście w dół wąwozu i przedarcie się przez zarośla do miejsca, w którym spoczęły szczątki bluebirda.

Zbliżał się do wraku bardzo powoli, ślizgając się w błocie i z przerażeniem myślał o tym, co może tam znaleźć. Dolina była bardziej osłonięta od wiatru, a mimo to lodowaty deszcz ciał niby miniaturowe piły tarczowe.

Jedynym, co pozostało z karoserii bluebirda, był jego dach.

Słupki drzwiowe złamały się, w związku z czym samochód wydawał się nienaturalnie płaski.

Jeden ze wspinających, kowbojskich butów Nurie-go wystawał z wraku, jakby był częścią psikusa spletanego przez studentów przy użyciu manekina.

— Nuri?

Nie było żadnej odpowiedzi.

360

Podkraść się bliżej.

— Nuri? To ja — Khalid.

Cisza, prócz jękliwego zawodzenia wiatru.

Khalid wyciągnął ostrożnie rękę, dotknął wystającej kostki i szybko cofnął dłoń. Łzy, które spływały mu po policzkach mieszały się z kroplami deszczu przeradzającego się w ulewę. Nie wiedział, jak długo tam stał, sam na sam z natłokiem pogmatwanych myśli, zdesperowany i wystraszony po odejściu przyjaciela. Przez całe życie ktoś opiekował się nim i chronił go. Nawet w wojsku byli tacy, z którymi zdołał się zaprzyjaźnić i którzy go ochraniaли. Teraz został sam.

— Mamo! Tato! — krzyknął.

Wiatr odpowiedział, przemieniając ulewę w śnieg.

Wreszcie zimno i wilgoć zmusiły go do działania. Gdy odwrócił się, żeby odejść, jego wzrok padł na mały kwadracik bieli. Leżał w błocie pod wrakiem samochodu. Zatrzymał się, by go

podnieść, odwrócił i zobaczył, że jest to kolorowa fotografia ciemnowłosej, zielonookiej dziewczyny, ta sama, którą odzyskał ze zdemolowanego domu w Bagdadzie.

André! Kochana, słodka, cudowna André! Ona mu pomoże.

Przez wszystkie te lata, gdy się znali, wyczuli oboje, że moc, którą posiada, jest znacznie silniejsza niż jego.

Cofnij czas, Khalid. Cofnij czas aż do samego początku. Aż do samego początku czasu.

To właśnie dzięki niej udało mu się wrócić żywym z wojny w Zatoce. Teraz potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek. Wpatrywał się w zdjęcie przez niezliczone minuty, nim wsunął je do kieszeni.

Zrobiło się przeraźliwie zimno; temperatura spadała wraz z nadejściem nocy i pod stopami zaczynało już twardnieć błoto.

Odwrócił się od wraku i ruszył wzdłuż doliny.

ROZDZIAŁ 118

Środa, 20 marca 1991

Musiał minąć jeszcze tydzień nim następstwa przerażających zdarzeń — ucieczka tysięcy Kurdów do Turcji i Iranu — zostały pokazane przez światowe stacje telewizyjne.

361

Wszystko zaczęło się bardzo niewinnie pewnego bezchmurnego ranka, kiedy samotny helikopter z bazy lotniczej w Mosulu skierował się na północ, tnąc zimne, kryształowo czyste powietrze.

Z wysokości trzystu metrów wykładane błękitnymi kafelkami baseny przy willach i bungalowach stłoczone na południowym brzegu sztucznego jeziora skrzyły się zachęcająco w porannym słońcu. Kijankowaty w kształcie cień śmigłowca Aetospatiale Alouette przesunął się po porośniętym sosnami polu golfowym. Kilometr dalej, wzdłuż jedynej drogi wiodącej do kurortu, koparka JBC sunęła wolno naprzód drążąc długi, wąski tunel wśród drzewek granatu; bez wątpienia układano rury kanalizacyjne lub kabel telefoniczny. Po polu spacerowało dwóch mężczyzn grających w golfa. Wszystko wyglądało bardzo normalnie — jednak obecność krążącego Alouette wywabiła ludzi do ogrodów, gdzie stali patrząc z niepokojem w górę, przysłoniwszy oczy przed silnymi promieniami słońca. Podczas powstania 1988 roku ponad dwa tysiące kurdyjskich miast i wiosek zostało zniszczonych przez irackie wojska. W tym rejonie kraju już od 1977 roku panował spokój, nie uczestniczył on nawet w walkach 1988 roku, ale obawa, że Irakijczycy mogą wrócić, nigdy nie opuszczała mieszkańców.

Śmiech brygadiera Anwara Tulfaha zadudnił w słuchawkach Maxa, kiedy wskazywał mu biegące postacie.

— Ci tchórze usłyszeli helikopter i srają pod siebie ze strachu — powiedział z nienawiścią. Był niskim, tęgim mężczyzną. Podobnie jak Max, pilot helikoptera miał na sobie grubą kurtkę i ochraniacze na spodniach, by nie odczuwać dotkliwego zimna. Helikopter był nie oznakowany.

— Który to dom? — zapytał Max. Nie musiał przekrzykiwać ryku silnika, ponieważ porozumiewali się przez intercom.

Iracki żołnierz spojrział na mapę przypiętą do paska i wskazał palcem w dół przez boczną szybę z pleksiglasu.

— Ten z największą łodzią i pomostem.

Max poszukał wzrokiem bungalowu z przycumowanym do mola jachtem kabinowym. Skinął głową.

— Pański plan jest bezbłędny — powiedział z szacunkiem brygadier. Był pod wrażeniem prostego, aczkolwiek przebiegłego planu Maxa, mającego na celu opróżnienie posiadłości bez śladów przemocy. Był przemyślany w najdrobniejszych szczegółach, co tłumaczyło Anwarowi,

dlatego ten uśmiechnięty Anglik mówiący poprawnie, lecz wolno po arabsku, miał przyjaciół na wysokich stanowiskach. Nie wątpił w to, że w swoim czasie dowie się, co było celem tej dziwnej operacji.

— Właśnie dokładnemu planowaniu zawdzięczam swoją reputację

— odpowiedział Max. — Nie zapomnij, że chcę być przy tym obecny.

— Iracki żołnierz wzruszył ramionami.

— Będzie pan potrzebował maski.

— Mam własną — powiedział Max klepiąc wypchaną torbę Adidasa.

— Zawsze zabieram ją ze sobą, kiedy jadę do Iraku.

Brygadier zrozumiał żart i zaśmiał się. Nacisnął guzik intercomu i powiedział szybko parę słów po arabsku do mikrofonu przy hełmofonie. Kiedy skończył, położył dłoń na ramieniu pilota i wskazał kciukiem kierunek południowy.

Helikopter przechylił się w skłębieniu. Obserwatorzy z ziemi zobaczyli, jak jego rotory przemieniają się w opalizującą elipsę z promieni słonecznych, gdy zawracał. Dźwięk turbin umilkł. Po chwili został zastąpiony przez nowy i znacznie groźniejszy dźwięk znany dobrze niektórym mieszkańcom: ciężkie dudnienie uzbrojonych śmigłowców superfrelon i przenikliwy gwizd ich turbin.

Dwie maszyny pojawiły się nagle nad rzędem chroniących przed wiatrem sosen na wschodnim końcu pola golfowego. Lecący na przedzie helikopter zbliżył się do obrzeży posiadłości i zrzucił pojemnik z mąką. Ogorzona biała chmura unosząca się w powietrzu osiągnęła zamierzony efekt: spanikowani gapie pochowali się w domach. Nawet golfiarze porzucili kije i ruszyli biegiem w kierunku zabudowań. W ciągu paru sekund unoszone drzwi garaży otwierały się, a silniki samochodów zapalały. Rodziny pakowały się do mercedesów, BMW i peugeotów i tak już załadowanych zapasami na wypadek właśnie takiej ewentualności. Dwie minuty później biały obłok unoszący się nad dachami zmieszał się z kurzem wzniesionym przez karawanę samochodów oddalających się pośpiesznie drogą dojazdową.

Na przedzie jechał niebieski mercedes prowadzony przez ciemnowłosego mężczyznę w średnim wieku z ciężkimi okularami słonecznymi na nosie. Obok niego siedziała przerażona ładna blondynka, jego żona. Byli to Hamet i Sajji — rodzice Khalida. Hamet jechał szybko wąską drogą, ale musiał zahamować, gdyż drogę zajeżdżała mu koparka. Żołnierze Gwardii Republikańskiej w pełnym rynsztunku bojowym, z kara-

binkami automatycznymi AKS-74 gotowymi do strzału, wyskoczyli z nie oznakowanej ciężarówki, która zatrzymała się obok koparki.

— Zostawcie kluczyki w stacyjce i wysiadajcie z samochodów — wrzasnął do przenośnego megafonu kapitan dowodzący plutonem. Powtórzył polecenie parę razy.

Samochody za Hametem zatrzymywały się, ale kurdyjski bankier doświadczył już dość od nie umundurowanych zbirów. Ogarnęła go ślepa wściekłość. Po tym, co wraz z rodziną musieli przejść, nie zamierzał poddawać się temu bezczelnemu oprychowi bez walki. Istniała jedna niewielka, wręcz nierealna szansa ucieczki i wykorzystał ją. Wrzucił niski bieg, wykręcił kierownicę i skierował mercedesa na pobocze. Drzwi samochodu otarły się o tyżkę koparki. Dwóch żołnierzy było zmuszonych odskoczyć na bok.

Ruchy kapitana były szybkie, lecz precyzyjne. Wyciągnął zawleczkę granatu i rzucił go dokładnie ponad oddalającym się mercedesem, tak że wylądował na drodze przed samochodem. Eksplozja, która nastąpiła bezpośrednio pod nim, rozerwała zbiornik paliwa i przewróciła samochód na bok. Mercedes stanął w płomieniach i zarył nosem w rowie irygacyjnym. W parę sekund ogień strawił nawet lakier akrylowy kryjący karoserię. Kapitan

uśmiechnął się do pasażerów najbliższego samochodu. Mógł użyć karabinka, ale granat ręczny był na pewno bardziej skuteczny.

Poblądle z przerażenia rodziny zaczęły wysiadać z samochodów. W sumie znalazło się tam około czterdziestu mężczyzn, kobiet i dzieci. Jedna z kobiet ubrana w futrzaną etolę tuliła niemowlę do piersi w obronnym geście. Jej mąż próbował protestować, kiedy cała grupa została zagnana na skraj wykopu. W odpowiedzi otrzymał silny cios w skroń kolbą karabinu. Niektórzy usiłowali przebłagać kapitana, inni klęczeli modląc się, paru stało nieruchomo z oczami wbitymi w drugi brzeg jeziora. Niemowlę wyczuło niepokój matki i zaczęło płakać; uciszała je szeptem. Kobieta ubrana w długi, sięgający ziemi płaszcz próbowała coś ukryć. Kapitan obrócił ją twarzą do siebie, rozerwał okrycie i spojrzał w przerażone oczy dziewczynki mającej około trzynastu lat, uczepionej matczynej sukienki. Zrobił krok do tyłu i dał znak dwóm swoim ludziom.

— Nie! — krzyczała po arabsku kobieta, gdy żołnierze zabierali jej córkę. Próbowała bić ich pięściami po twarzy i ramionach, ale zgięła się wpool po potwornym ciosie w żołądek. Strażnicy związali dziewczynce ręce za plecami kawałkiem nylonowej linki i wrzucili ją na tylne siedzenie peugeota.

364

Na rozkaz kapitana żołnierze uformowali się w szereg wzdłuż drogi. Kierowca koparki włożył zatyczki do uszu, oparł się o pulpit sterowniczy, zapalił rothmansa zapalniczką Bica, podczas gdy seria strzałów zagłuszała krzyki dziewczynki. Siła pięciomilimetrowych pocisków rzuciła ciała na dno wykopu.

Wszystko to trwało zaledwie parę sekund. Kapitan stał nad krawędzią masowego grobu i naciskał na spust, ilekroć zauważył najmniejszy ruch. Zadowolony ze swej pracy, schował broń do kabury i przeniósł uwagę na dziewczynkę, która szlochała histerycznie, leżąc na tylnym siedzeniu samochodu, twarzą do dołu. Strażnicy, którzy odebrali ją matce, wiedzieli, co mają robić. Obserwowani przez krąg roześmianych towarzyszy wywlekli dziewczynkę brutalnie z peugeota i zdarli jej ubranie. Kopiące na oślep nogi zdawały się potęgować ich podniecenie. Kiedy była już naga rozciągnęli ją między sobą rozsunęli szeroko nogi i zaczęli obnosić dookoła niby grupa kapłanów przywódcę na zebranie. Rytuał trwał jakieś dziesięć minut pośród okrzyków bólu i przerażenia, a nawet histerycznego skowytu, kiedy jeden ze strażników próbował obciąć jej lewą pierś. Dziewczynka była słabo rozwinięta, fałdka zakrwawionej skóry wyslizgiwała mu się spomiędzy palców. Zdegustowany zrezygnował. Kapitan był ostatni. Zawsze był ostatni z bardzo szczególnego powodu. Dziewczynka zemdląca, ale nauczony doświadczeniami z 1988 roku wiedział, że to nie ma większego znaczenia. Trzymający ją mężczyźni poprawili jej pozycję, by ułatwić mu zadanie. Pchnął ku przodowi czując, że jej ciepło zamyka się wokół niego niczym miękkie wnętrze ust. Schwycił ją mocno za szyję i wbił kciuki w tchawicę. Zgranie czynności w czasie było niezwykle ważne dla maksymalnego efektu, ale miał mnóstwo doświadczenia w tej dziedzinie. Zaczęła się szamotać. Jej oczy otworzyły się nagle. Wpatrywała się w kapitana oczami rozszerzonymi z bólu i przerażenia. Jej nogi napinały się i kopały, zmuszając trzymających ją mężczyzn do pochylenia się niżej, by utrzymać równowagę. Kapitan stęknął i pchnął głębiej. Pierwsze spazmy nastąpiły jeden po drugim. Silniejszy nacisk na gardło dziewczynki. Jej tchawica wiała się pod jego palcami niczym wąż, czuł jak się zamyka. Z jej ust wymknęło się słabe rżenie. A potem seria śmiertelnych skurczy nadpłynęła nagłą, zniwalaającą falą silnych konwulsji, mięśni kurczących się i rozkurczających, wysysających z niego zmysły. Odrzucił głowę do tyłu i wydał głośny, wyczerpujący krzyk w kierunku bezkresnego błękitu nieba, jak

365

gdyby dusza udreżonej, umierającej dziewczynki uciekła poprzez niego w niebiosą.

Stopniowo skurcze stawały się coraz słabsze aż wreszcie ustały.

Było już po wszystkim.

Wstał, zapiął rozpiętkę i ruchem głowy wskazał wykop. Martwe ciało dziewczynki rzucono na zwłoki matki. Kapitan strzelił jej w głowę, by się upewnić, że nie żyje. Wszystko odbyło się zgodnie z wolą Allacha; nie mogło być wątpliwości, że dziewczynka była dziewicą, w chwili gdy została zabita. Pomachał ręką w kierunku koparki i kierowca odrzucił niedopałek i zabrał się do pracy, zagarniając łyżką ziemię, by zasypać rów.

— Audi jest mój — powiedział kapitan do swojego plutonu. — Ciągnijcie losy o pozostałe samochody.

Poza incydem z mercedesem uznał akcję za udaną. Podstęp z balonem napełnionym mąką spełnił swoje zadanie: nie było potrzeby wyganiać mieszkańców z domów ani też przewracać pomieszczeń do góry nogami w poszukiwaniu kluczyków; Kurdowie wykonali całą robotę za swych oprawców, w tym również dowieźli się na miejsce egzekucji. Wspaniały plan. Prosty i skuteczny. Zastanawiał się, kto też mógł być jego autorem.

Strażnicy byli nieprzytomnie szczęśliwi z nowych łupów. Niektórzy z lubością gładzili lśniące karoserie; inni siedzieli za kierownicą, wydając dziecinne dźwięki naśladujące warkot silnika, uśmiechnięci od ucha do ucha z radości, że oto stali się właścicielami rzeczy, na które musieliby pracować przez całe życie.

— W porządku — powiedział kapitan przez megafon, kiedy koparka zakończyła swą upiorną pracę. — Ruszajmy.

Zasiadł za kierownicą swego nowego audi i przekręcił kluczyk. Wsłuchiwanie się w słodkie, prawie niesłyszalne mruczenie świetnie wyważonego silnika napawało go niemal zmysłową rozkoszą. Tylko pomyśleć, że ten wspaniały twór należał teraz do niego. Podziwiał konsolę, przebiegając palcami po jej gładkich wypukłościach, jak gdyby badał gładkość skóry dziewczyny przed zgwałceniem. Z kieszeni magnetofonu wystawała kasetka. Pchnięta wpadła na swoje miejsce z cichym trzaskiem. Wskaźnik Dolby na odtwarzaczu blaupunkta rozbłysnął i piosenką „Ali you need is love” Beatlesów zadudniła przez głośniki. Kapitan pogłodził utwór, by wszyscy wiedzieli, jaki to wspaniały samochód posiada. Kolumna ruszyła naprzód, każdy z samochodów zwalniał, by ominąć spalonego, dymiącego mercedesa.

366

i

Kierowca koparki wykorzystał łyżkę maszyny, by zepchnąć na pole tłące się szczątki samochodu. Wycofał się z powrotem na drogę i zaczął wyrównywać głębokie bruzdy w ziemi. Gdy skończył, wyglądało tak, jakby zniszczony samochód stał tam od wielu miesięcy. Kapitan zwolnił w pobliżu jeziora i zerknął z żalem w kierunku oddalających się domów. Jego syn ucieszyłby się z jednej z tych luksusowych motorówek, ale otrzymał kategoryczny rozkaz, by zostawić domy w spokoju.

Sześć kilometrów dalej w zakamuflowanym punkcie obserwacyjnym na szczycie wzgórza Max i brygadier przyglądali się odjeżdżającemu konwojowi przez lornetkę armii brytyjskiej firmy Barr i Stroud.

Tuż za nimi dwóch techników ubranych w uniformy brytyjskiego zarządu przemysłu węglowego instalowało między płozami Alouette zaczepy do szybkiego wyrzucania ładunków. Maszyna była ukryta pod siatką maskującą. Starszy technik zameldował brygadierowi, że zaczepy zostały zamocowane i obaj mężczyźni weszli pod siatkę. Max obejrzał zaczepy, przetestował też działanie urządzenia zdalnego sterowania, które zostało przypięte pasami do ramy pomiędzy jego siedzeniem a siedzeniem pilota. Zaczepy otwierały się z głośnym trzaskiem, ilekroć Max naciskał guzik.

— Doskonale, doskonale — wyraził swoją aprobatę. — Możecie umieścić pojemnik.

Trzeba było trzech mężczyzn, by zamocować pięćsetlitrowy pojemnik z gazem na zaczepach pod helikopterem. Przypominał kształtem bombę, ponieważ miał lotki stabilizujące i krągły, obły nos. Brygadier rozpoznał produkowany w jego kraju typ pojemnika rozpryskujący się przy zderzeniu z ziemią—jednak oznakowania umieszczone na boku nic mu nie mówiły.

— Co to za gaz? — zapytał Maxa.

— Cyclopropan. Najszybciej działający środek usypiający na świecie. Wystarczy mały haust, żeby zwalić człowieka z nóg.

Amerykanie nazywają go ŚWIT.

— Jest niebezpieczny?

— Używa się go rzadko z powodu nieprawdopodobnej lotności, mimo że pojemnik jest wyposażony w pochłaniacz eksplozji. Ale i tak nie mam zaufania do tego cholerstwa. Z tego też powodu będę się upierał, żebyście odcięli dopływ elektryczności i gazu do posiadłości.

367

— To już zostało zrobione — poinformował oficer.

Max pomógł technikom utrzymać pojemnik w nieruchomej pozycji podczas mocowania zaczepów. Kiedy wyprostował się, stwierdził, że jest spocony.

— Będziecie musieli zrzucić go z wysokości przynajmniej tysiąca dwustu metrów — przypominał Max. — Powodzenie planu zależy w dużej mierze od tego, by nie potraktowali helikoptera jako nieprzyjaciela. Rozumiecie? To bardzo ważne.

— Poinstruję pilota — obiecał oficer. Spojrzał z ciekawością na podobne do bomby urządzenie podwieszane pod śmigłowcem.

— Niewidzialny gaz?

— Absolutnie.

— Ile osób może zabić zawartość takiego pojemnika?

— Ani jednej — odpowiedział Max. — W tym właśnie rzecz. Cyclopropan jest środkiem anestezjologicznym. O najszybszym działaniu.

Iracki oficer mruknął. Nie interesowały go gazy nietoksyczne. Max uniósł lornetkę do oczu i nastawił ostrość na teren posiadłości. Ubrania wisały na obrotowej suszarce w jednym z ogrodów, taczka i narzędzia ogrodnicze leżały porozrzucane na trawniku drugiego. Prócz szeroko otwartych drzwi do garażu wszystko wyglądało bardzo zwyczajnie.

Max był zadowolony.

Pułapka została zastawiona.

ROZDZIAŁ 119

To zimno, nie zaś zgrzyt ciężkich pojazdów wspinających się pod górę obudziło Khalida z głębokiego snu. Leżał nieruchomo, kończyny zeszywniały mu na przenikliwym mrozie tak, że nie mógł się ruszyć. Próbował przypomnieć sobie, gdzie właściwie się znajduje. Pamiętał, jak szedł przed siebie poprzedniego popołudnia po opuszczeniu wraku rozbitego bluebir-da. Nie miał pojęcia, jak długo ani też jak daleko szedł, jednak musiał przebyć znaczną odległość. Droga musiała być już blisko, ponieważ słyszał nadjeżdżające samochody.

Otworzył oczy — i natychmiast zamknął je z powrotem, oślepiiony promieniami porannego słońca. Stopniowo jego wzrok przystosował się,

368

mógł więc rozejrzeć się wokół siebie. Wszędzie było mnóstwo rdzy: nad nim, obok niego, nawet na jego dłoniach — co zdołał zauważyć, kiedy przysłonił ręką oczy przed słońcem. Nagle zrozumiał wszystko; znajdował się w wypatroszonym wnętrzu spalonej ciężarówki, którą odholowano na pobocze. Tapicerka została obdarta z siedzeń, na których leżał, w wyniku czego był teraz pokryty warstwą rdzy. Pomasaował tył szyi i ostrożnie podniósł głowę. Ponad tym, co było kiedyś konsolą, a teraz tylko przerdzewiałą skorupą z dziurami w miejscu dawnych instrumentów, zobaczył długi rząd transporterów GM wspinających się z trudem pod górę. Poranne powietrze, które powinno być świeże i przejrzyste, było gęste od spalin niewłaściwie wyregulowanych silników dieslowskich.

Nie liczył transporterów — nie było sensu. Zadziwiło go to, że kierowcy mieli na sobie mundury z naszywkami Gwardii Republikańskiej, ale ich ładunek nie był sprzętem wojskowym. Były to, ustawione po jednej na platformie, jasnożółte koparki firmy JCB;

wszystkie wyposażone w czerpaki na długich ramionach. W ciągu ostatnich paru dni on i Nuri często widywali te maszyny używane do budowy dróg. Jedynym logicznym wytłumaczeniem wydawało się to, że na północy powstaje nowy szlak wojskowy.

Zaczekał, aż ostatni pojazd zniknie, i wyszedł sztywno z kabiny. Znajdował się na skraju poletka, które pojawiały się po obu stronach krętej drogi. Miejscami rzędy dorodnej zimowej kapusty sięgały aż po sam brzeg urwiska. Promienie słońca grzały przyjemnie, lecz temperatura powietrza była dużo poniżej zera, o czym przekonał się, będąc zmuszony skryć się za rozbitą ciężarówką, by nie zostać zauważonym przez wojskowy gazik, który przemknął obok.

Co powinien teraz zrobić? Co mógł zrobić? Po raz pierwszy w życiu musiał podjąć samodzielną decyzję. Zastanowił się nad możliwością podróży okazją, jednak uznał to za zbyt niebezpieczne. Słońce wskazało mu, gdzie jest północ, ale odgadłby to nawet bez pomocy słońca, dzięki głębokiemu, wewnętrznemu instynktowi.

Droga była pusta. Otrzeputując zniszczoną, przemoczoną kurtkę z warstwy rdzy, Khalid doszedł do wniosku, że nie jest to główna droga wiodąca do Mosulu, lecz drugorzędna, bardziej górzysta, do której Nuri chciał dotrzeć poprzedniego dnia.

Na myśl o nieżyjącym przyjacielu zrozpaczony Khalid ukrył twarz w dłoniach i wydał przeciągły skowyt rozpaczy. — Trzeba było trzymać

369

się blisko mnie, Nuri — łkał. — Mówiłem ci, żebyś trzymał się blisko mnie.

Dźwięk kolejnego nadjeżdżającego pojazdu wyrwał go z bezmiaru smutku. Startł łzy i pozostał ukryty za wrakiem, aż ciężarówka przejechała. Była pełna radosnych, rozśpiewanych żołnierzy.

Próbował zjeść kawałek kapusty, okazała się jednak zbyt kwaśna i twarda. Wypluł ją na ziemię i ruszył przed siebie. Właśnie wtedy uświadomił sobie, że nie ma pieniędzy. To przecież Nuri zawsze wszystko załatwiał. Nie przyszło mu do głowy, żeby odzyskać rzeczy z rozbitego bluebirda, ale nawet gdyby pomyślał, nie zdobyłby się na to, by przeszukać martwe ciało Nuriego i zabrać mu portfel zawierający dolary i dinary. Wsunął dłoń do kieszeni i wyłowił dwudziestodolarowy banknot oraz trochę bilonu. Odkrycie to sprawiło, że poczuł się nieco pewniej; poza tym słońce zaczęło mocniej grzać i zimno nocy odpływało z jego kości. Poobijany pikap Cherokee załadowany pasternakiem, marchwią i ziemniakami w siatkach zbliżał się w jego kierunku z głośnym zgrzytem i szczękiem. Zahamował i zatrzymał się na widok jego wyciągniętej ręki.

Kierowcą był stary, ogorzały farmer ubrany w poplamiony kitel i zdarty, niedbale zawiązany muślinowy turban. Jego ciemne oczy szybko zlustrowały jasnowłosego autostopowicza.

Niewielu Irakijczyków było blondynami.

— Wiozę towar do Sammelu — powiedział kwaśno po kurdyjsku. Serce Khalida podskoczyło.

— Sammel! — wykrzyknął. — To tylko dziesięć kilometrów od mojego domu. Czy to daleko stąd?

— Godzina drogi. Pomożesz mi rozładować towar na targu, a zawiozę cię na miejsce. Umowa stoi?

— Stoi! — krzyknął Khalid, wskakując do samochodu i przyklepując wyciągniętą, pomarszczoną dłoń.

Cherokee ruszył i szczęśliwy Khalid rozparł się wygodnie na siedzeniu. Prawie był już w domu. Tego ranka wreszcie zobaczy znów swoich ukochanych rodziców. Znów będzie mógł jeździć na nartach wodnych po jeziorze ciągniony przez łódź kabinową, której zakup wyblagał u ojca dwa lata temu; i wyprawy na ryby; i wylegiwanie się w słońcu na brzegu basenu; wycieczki do Sammelu po zapasy mięsa pieczonego na ruszcie w pogodne wieczory, kiedy to zapraszano przyjaciół na drinki, haszysz i rozmowy aż po świt.

Wszystko znów będzie dobrze.

ROZDZIAŁ 120

Wyjechali z Van o szóstej rano, a dopiero w południe Lloyd zatrzymał land rovera przed nie oznakowanym punktem irackiej kontroli celnej. Sześć godzin wyczerpującej jazdy, by dotrzeć do granicy wytyczonej przez błotnisty dopływ rzeki Zab przecinający dolinę. Były to zapomniane, tylne drzwi Turcji do Środkowego Wschodu. Hakkari, gdzie zatrzymali się na kawę, było położone na wysokości tysiąca siedmiuset metrów nad poziomem morza. Od tego miejsca droga wiła się morderczym, krętym, stromym szlakiem w góry i wyniosła ich na trzy tysiące metrów. Od czasu do czasu napotykali cysterny z paliwem wykorzystujące swe biegi terenowe na serpentynach. Każda z nich została wyposażona w dodatkowe zbiorniki umocowane wzdłuż podwozia, tak pospiesznie spawane i dopasowywane, że ronili ciemną iracką ropę na wyboistą drogę. Gdyby nie cysterny, Lloyd wyszedłby zwycięsko ze sprzeczki o to, że powinni zawrócić i wybrać dłuższą trasę, która prowadziła główną drogą z Mardinu do Iraku. Laura broniła się argumentem, że jeśli cysterny mogą przebyć tę trasę, to land rover nie powinien mieć żadnych problemów. Poza tym zgodnie z mapą w dużej skali dostarczoną im przez Kerana, droga do Duhok krzyżowała się z dojazdem do kurortu Rajski Zakątek nad rzeką Zab, gdzie rodzice Khalida mieli letni dom.

Słupek rtęci w termometrze land rovera wskazującym temperaturę na zewnątrz spadł piętnaście stopni poniżej zera, jednak w słońcu było zaskakująco ciepło. Laura i André rozprostowały nogi, podczas gdy przyjaźnie nastawiony iracki urzędnik celny obejrzał ich paszporty i wbił stemple wiz turystycznych. Lloyd był rad z tego, że ma okazję dać ramionom odpocząć, land rover bowiem nie miał wspomaganie kierownicy. Irakijczyk ociągał się z wydaniem reszty z dwudziestodolarowego banknotu, a Lloyd nie nalegał. Urzędnik wskazał ogromne plamy ropy zostawione przez cysterny i posługując się językiem gestów poradził podróżnym, by jechali ostrożnie.

— Boże, powietrze zatyka przy głębszym oddechu, a jednak w słońcu jest niemal gorąco — narzekała Laura, kiedy wraz z André wsiadały z powrotem do land rovera.

— Kurdystan! — zawołała André, podskakując z podniecenia na tylnym siedzeniu. — Jesteśmy w Kurdystanie!

Laura uśmiechnęła się i odwróciła do córki.

— Jesteś szczęśliwa, kochanie?

371

André przytaknęła energicznie.

— Niedługo zobaczę Khalida.

— Nie rób sobie wielkich nadziei, młoda damo — powiedział Lloyd ruszając. — Nie udało nam się do nich dodzwonić.

Nic jednak nie było w stanie umniejszyć radosnego podniecenia dziewczyny.

— On jest tutaj. Bardzo blisko. Mamo, jak daleko jeszcze? Wróciła do nazywania mnie „Mamą”, pomyślała Laura badając mapę.

— Jakies czterdzieści pięć kilometrów prostą drogą. Powiedzmy osiemdziesiąt, bo droga wiję się przez większą część trasy.

Po dwudziestu kilometrach kręta droga wytyczająca szlak pomiędzy stromymi stokami skutego lodem łośpku zaczęła się obniżać. Chwilami koła land rovera ślizgały się na kałużach ropy, jednak spadek był na tyle łagodny, że jazda nie sprawiała większych problemów. Słońce grzało coraz mocniej; wskaźnik temperatury minął zero i podkraść się do dziesięciu stopni. Krajobraz był niewiarygodnie przygnębiający: szare, strome ściany po obu stronach samochodu i ani śladu roślinności, by oddalić wrażenie, że jadą przez nie kończące się walijskie łomy łupkowe.

Wyjechali z zakrętu i widok rozciągający się przed nimi eksplodował w ich zmysłach niczym bomba.

Jako dziewczynka Laura została zabrana do kina na „Tajemniczy ogród”. Film był czarno-biały do sceny, w której szare drzwi w szarym murze otwierają się szeroko. Dokładnie w momencie ukazania całego przepychu ogrodu film stawał się kolorowy. Szok, jaki wywoływała ta przemiana, został teraz powtórzony.

— Stój! — zawołała Laura. — Błagam, zatrzymaj się, Lloyd!

Ale Lloyd i tak zamierzał się zatrzymać. Wysiedli z land rovera, by nacieszyć oczy wspaniałym widokiem.

— Piękne... Piękne — wyszeptała André.

I rzeczywiście było. Rozciągnięty przed nimi w promieniach słońca widok zdawał się nie mieć końca. Dwa tysiące metrów niżej znajdowały się sady, których kwiecie spowijało zadrzewioną dolinę lekką mgiełką wonnych barw. Drzewa granatu; śliwki; damaszki; brzoskwini; moreli; czereśni — wszystkie składały się na szaleństwo pastelowych kolorów, które zachwycały wzrok różnorodnością. Nieco niżej rozciągała się kaskada pól założonych po raz pierwszy siedem tysięcy lat temu, kiedy to człowiek zrezygnował z koczowniczego trybu życia. Rozrzucone pomię-

372

dzy polami widniały garbate zarysy setek telli* — wiele nie odkopanych po dziś dzień — skrywające pozostałości po pierwszych próbach człowieka budowania cywilizowanych osad i wznoszenia grobowców, które świadczyłyby przeciwko jego śmiertelności. Z tej wysokości nie można było dojrzeć nitek antycznych, dawno zapomnianych dróg łączących wielkie telle. Był to krajobraz starszy niż spisana historia. Po prawej wiała się srebrna wstążka rzeki Tygrys, teraz oddzielona od siostrzanego Eufratu. Wody wezbrały od topiącego się śniegu, który spływał z gór centralnej Anatolii, przynosząc ze sobą żyzny less w ilościach, które zapewniały obfitość żywności przez wiele pokoleń. Nad nimi wznosiła się lazuruwa kopuła nieba zarysowana jedynie paroma nitkami cirrusów.

— Dobry Boże, jakież to wspaniałe — westchnęła Laura. Postawiła kołnierz kurtki, by Lloyd nie widział jej łez. Poczuła, że palce André wsuwają się w jej dłoń i zaciskają mocno.

Tak — na swój sposób myślisz to samo co ja, prawda, kochanie? Myślisz sobie, jakież to tragiczne, że tak piękna kraina, bogata w skarby tej ziemi jest rozdarta przez wojnę i nienawiść.

Palec Laury drżał, kiedy wskazała:

— Gdzieś tam w dole był Rajski Ogród. Lloyd był zdziwiony.

— Nie wiedziałem o tym — wyznał. — Moja edukacja nie obejmowała mitologii.

Spójrz na to, człowieku! Cóż innego mogłoby tam być?

Ostrzegawczy ryk klaksonu jadącego z przeciwnej strony samochodu wyrwał Laurę z zamyślenia. Wyjęła mapę z bocznej kieszeni land rovera i odszukała Tygrys.

— Patrzcie — wskazała. — Widzicie miejsce, w którym rzeka poszerza się? To może być jezioro... Tak, to musi być to jezioro — jedziemy we właściwym kierunku. To duże miasto to pewnie Duhok, a miasteczko tuż obok to... — sprawdziła na mapie... — Sammel! Sajii jeździ tam po zakupy.

Dudnienie grzmotu nadeszło gdzieś od widniejących w oddali zadrzewionych wzgórz.

— To nie ja — powiedziała urażona André, kiedy oboje spojrzeli na nią.

Tell — arabska nazwa sztucznego wzniesienia zazwyczaj kryjącego ruiny antycznego domostwa.

373

— Gdzieś rozpętała się burza — powiedział bez przekonania Lloyd. Na niebie nie było ani jednej deszczowej chmury.

Dudniące echa raz jeszcze przetoczyły się przez zachwycającą dolinę. Biały dym unosił się na prądach konwekcyjnych rozgrzanego słońcem powietrza od strony miasteczka.

— Chodźmy — powiedziała szybko Laura, zaganiając ich z powrotem do land rovera. — Dojedziemy tam w niecałą godzinę. — Sadowiąc się na swoim miejscu, uchwyciła wzrok Lloyda.

— To chyba była burza, prawda? Pokręcił głową.

— Nie.

— „Wystawiać na głód, kiedy kraina obfitością bogata”.

— Słucham?

— Czy twoje wykształcenie nie obejmowało także sonetów Szekspira?

— Nie — powiedział Lloyd zapalając silnik. Oczekiwał, że będzie wystraszona, tymczasem wyglądała raczej na rozgniewaną.

Dudnienie, które słyszeli, było odgłosem dział. Ciężkich dział.

ROZDZIAŁ 121

Nie było żadnego ostrzeżenia.

155-milimetrowy pocisk haubicy przeleciał nad zatłoczonym placem targowym w Sammelu i eksplodował, rozrzucając setki stalowych odłamków we wszystkich kierunkach. Krąg krwawej rzezi roztaczał się na zewnątrz od miejsca, w które uderzył pocisk niczym kamień rzucony na środek jeziora. Handlarze, kobiety dźwigające torby wypchane zakupami, podekscytowane dzieci z nowymi zabawkami, muły — wszyscy zostali rozszarpani na kawałki. W jednej chwili małe miasteczko, w którym życie toczyło się tym samym od setek lat rytmem, a w następnej tętniąca, wrzeszcząca, purpurowa pizza śmierci i kalectwa na samym środku targu pod gołym niebem.

Khalid uratował się dzięki ostatniemu workowi ziemniaków, który zdejmował z pikapa dla starego farmera. Siła uderzenia odłamka wbijającego się w worek na plecach obaliła go płasko na ziemię. Zanim przebrzmiały echa pierwszego wybuchu, drugi pocisk wbił się w jeden

374

z niskich, nowoczesnych biurowców stojących wokół placu. Budynek zachwiał się i eksplodował, wyrzucając podobne do nagrobków płyty ze zbrojonego betonu na sąsiadujące sklepy. Trzeci potężny wstrząs rzucił próbującego podnieść się Khalida do tyłu, aż uderzył głową w tylne koło cherokee.

Był na wpół przytomny. Kolejne pociski godziły w centrum miasteczka. Dookoła waliły się budynki. Pomędzy potężnymi, niosącymi śmierć i zniszczenie wybuchami rozlegały się przeraźliwe, udręczone krzyki rannych. Na Khalida upadło pozbawione głowy ciało starego wieśniaka. Przy kolejnej próbie podniesienia się na nogi zaczął ślizgać się na wiekowych kocich łbach teraz spływających krwią i posoką. Zamachał dziko rękami i natrafił na kierownicę pikapa. Była to jedyna rzecz, którą potrafił zrozumieć w świecie rozpadającym się na kawałki wokół niego. Ogarnięty paniką wskoczył na siedzenie kierowcy i otarł twarz z krwi farmera. Pomimo że nadal był zdezorientowany po mocnym uderzeniu w głowę, zdołał uruchomić silnik. Pogrom, który widział przed przednią szybą — wycie tych, którzy przeżyli, skrwawione tobołki szmat porzucane pomiędzy rozsypanymi warzywami i owocami, walące się budynki i wstrząsające ziemią wybuchy — były obrazami z filmu grozy rozgrywającego się po drugiej stronie przyciemnianej szyby cherokee. Wrzucił pierwszy bieg i ruszył przez miejsce kaźni. Chwilami koła pikapa buksowały w kałużach krwi, zbierając warstwę czerwieni, a potem znów trafiały na kocie łby i wrywały się naprzód.

Jeden z pocisków trafił w stację benzynową. Podziemny zbiornik z paliwem eksplodował i płynna, podobna do lawy ściana ognia spotęgowała tragedię. Okno wystawowe dużej kwaciarni wyleciało na zewnątrz, obsypując rannych i trupy upiornym deszczem kwiatów. Jakiś zakątek rozsądku Khalida zdołał odzyskać wystarczająco dużo kontroli nad rozszalałymi zmysłami, by przepchnąć pikapa przez płomień. Uderzył w fiata pandę, przewracając ochronną kratownicę cherokee samochód na bok.

Wymanewrował pikapa podświadomie, wykazując niezwykle zdolności prowadzenia samochodu. Nie myślał, dokąd zmierza, byleby jechać naprzód. Wzniesienie spowolniło jego szaleńczą ucieczkę, kątem oka zauważył plamę żółci po lewej stronie. Parę pocisków trafiło w tył samochodu i przebiło laminowaną szybę. Jeden z nich przeszedł przez siedzenie pasażera i zmiądzzył szybkościomierz. Khalid był na wpół oślepiiony przez spływające po twarzy łzy.

375

Nagle eksplozje ustały, a odgłosy strzałów umilkły. Zjechał z drogi, wykręcając kierownicą tak gwałtownie, że nie obciążony pikap obrócił się na zakurzonej pobocznej drodze. Tuż przed maską wyrosło drzewo. Zahamował, lecz siła zderzenia z pniem wcisnęła go w kierownicę. Przez parę sekund siedział zboląły i przygarbiony, szlochając histerycznie, łzy spływały mu po twarzy i na spodnie mokre już od uryny.

— Trzeba było trzymać się razem, Nuri! — krzyczał uderzając pięścią w kierownicę — Trzeba było trzymać się razem!

Odpowiedzią na rozpaczliwe, rozdzierające łkanie było ćwierkanie ptaków na drzewie. Minęło parę minut, nim zdołał podnieść zalaną łzami twarz i rozejrzeć się wokół siebie. Przez chmury przebił się promień słońca. Sięgnął do korbki na drzwiach i otworzył okno. Kiedy się nieco uspokoił, uświadomił sobie, że zna tę drogę: zupełnie jakby automatyczny pilot przejął kontrolę nad kierownicą podczas szaleńczej ucieczki. Albo to, albo wręcz niewiarygodne szczęście wyprowadziło go z miejsca tragedii wprost na drogę wiodącą do letniego domu jego rodziców.

Z tego miejsca mógł zobaczyć niemal całe miasteczko. Słup czarnego dymu unosił się z jego centrum, słychać było też wycie karetek. Żółta plama, którą wcześniej zauważył, okazała się kolumną potężnych buldożerów i koparek posuwającą się w kierunku miasteczka niby gigantyczna stonoga.

Wciąż tam jeszcze patrzył, gdy jadący na przedzie buldożer nagle zjechał na bok i przeciągnął łopatą po froncie rzędu budynków. Tuż za nim podążała koparka, której gigantyczne, nadmuchiwane koła chrzęściły na gruzach, a wzniesiony czerpak przebijał się przez każdy kawałek ściany pominięty przez buldożer: meble, telewizory, łóżka — wszystko było miażdżone pod jej imponujących ciężarem. Pozostałe maszyny ustawiły się w szereg niczym zespół taneczny szykujący się do występu. Dym buchał z rur wydechowych, gdy kierowcy naciskali na gaz. Po chwili cały rząd runął naprzód prosto na kompleks domków z prefabrykatów. Lekkie ścianki z aluminium składały się i rozsypywały jak domki z kart, nim zostały zmiążdżone pod bezlitosnymi gaśnicami masywnych maszyn. Rozlegały się krzyki, ludzie biegali po ulicach próbując prześlągać kierowców, niektórzy stawali na drodze zbliżających się stalowych potworów, machając rękami, wznosząc złożone dłonie ku niebiosom. Bez skutku: ci, którzy nie odskoczyli na czas, byli rozgniatani na miazgę przez stalowe gaśnice.

376

Ustawiony w tyralierę szwadron jasnożółtych monstrów zniknął w tumanach kurzu, ale odgłosy ich niszczącego dzieła wciąż dobiegały uszu Khalida. Powody, dla których on i Nuri spotykali na swej drodze tyle ciężkich maszyn drogowych podążających na północ, stały się przerażająco jasne: buldożery i koparki mogły zrównać miasta i wsie z ziemią bardziej skutecznie i przy znacznie mniejszym nakładzie kosztów niż bomby i pociski.

Wstrząśnięty Khalid zamknął oczy. Gdyby nie spanikował, może udałoby mu się wykorzystać swe szczęście, by ocalić miasteczko. Jednak wcześniej zawsze przebywał wśród przyjaciół i towarzyszy walki; w przyjaznym towarzystwie było mu łatwiej zebrać i skupić myśli. Teraz był sam. Ale nie na długo. Rozchmurzył się przypomniawszy sobie, jak blisko jest już od rodziców. Zapalił silnik cherokee i wycofał samochód na drogę. Rozległ się rozłłoszczony syk i cienka strużka pary uniosła się z chłodnicy w miejscu, gdzie coś przebiło jej obudowę. Jednak Khalid nie zwracał na to uwagi.

Teraz był już prawie w domu.

ROZDZIAŁ 122

Max zaparkował wynajęty BMW na podjeździe bungalowu i wysiadł. Unikał patrzenia na samochód, bowiem nie znosił tego odcienia czerwieni, ale w Bagdadzie nie było wielkiego wyboru. Drzwi frontowe były otwarte. Wszedł do środka z torbą Adidasa w rękę, minął ogromny hol i znalazł się w salonie. Stał, podziwiając dobry gust rodziny Karni. Dom był naprawdę piękny, o białych marmurowych posadzkach, z oknami ustawionymi tak, by w pełni ukazywać widok jeziora. Meble obite eleganckim, srebrno-kremowym damaszkiem sprawiały wrażenie kusząco miękkich. Spojrzał zamyślony na kolorowe zdjęcie Khalida na ścianie. Fotograf użył górnego oświetlenia, by podkreślić płowość włosów chłopaka. Kiedy już André będzie w jego rękach, nie zaszkodzi przeszukać kraj na wypadek, gdyby udało mu się przeżyć ucieczkę z Kuwejtu. Mieć dwoje „savantów” na swoich usługach...

Sprawdził, czy dopływ prądu został odcięty, naciskając przycisk kontaktu. Nie dowierzał Irakijczykom i ich planowaniu.

Zapach gotowania zaprowadził go do nowocześnie urządzonej kuchni. Stolik stał nakryty dla dwóch osób. Po upewnieniu się, że dopływ gazu

377

także został odcięty, Max otworzył drzwiczki piecyka kuchenki gazowej. Stał wpatrując się w pieczoną łopatkę jagnięcą obłożoną ziemniakami, pasternakiem i kalarepą. Typowo angielskie. Kolejne dwadzieścia minut i danie spaliłoby się; szkoda było marnować coś tak pysznego.

Znalazł nóż do pieczenia, ukroił sobie dużą porcję mięsa, i razem z jarzynami ułożył na obiadowym talerzu Indian Tree. Zauważył znośny claret na stojaku dla win, ale wybrał butelkę zmrożonego gravesa czekającego w lodówce. Zaniósł zdobycze na taras, ponieważ zrobiło się przyjemnie ciepło w osłoniętej od wiatru dolinie, i usiadł, żeby się pożywić z właściwą dla siebie dbałością o formę. Srebrne sztuce i wykroch-malona, śnieżnobiała serwetka. Nie musiał się spieszyć; mały odbiornik Incomu, przypięty do kieszeni na piersi, da mu znać, kiedy land rover wjedzie na teren posiadłości. Torbę Adidasa trzymał pod ręką. W środku był miniaturowy aparat do sztucznego oddychania z butelką naładowaną dziesięciominutowym zapasem sprężonego powietrza. Poza tym spoczywa w niej rewolwer Smith & Wessona.

Zastanawiał się, czy zabicie matki André i jej towarzysza jest naprawdę konieczne i stwierdził, poniekąd z żalem, że tak. Sposób dostarczenia gazu także nastęrczał pewne problemy. Nie był zachwycony pomysłem z helikopterem, ale nie wpadł na lepsze rozwiązanie w tak krótkim czasie. Poza tym brygadier był całkowicie pewien zdolności pilota do zrzucenia pojemnika w dokładnie określonym miejscu. Oczywiście dokładność nie była problemem przy zrzucaniu obiektów ze stacjonarnego punktu; unikało się skomplikowanych obliczeń związanych z trajekcją balistyczną niezbędnych podczas wypuszczania pocisków z lecących szybko samolotów. Wiatr odgrywał tu decydującą rolę, jednak dzień był pogodny — stabilizujące lotki sprawiają, że ciężki pojemnik spadnie prosto w dół, gdy kiedy zostanie zrzucony z wysokości tysiąca ośmiuset metrów. Zapisał sobie w pamięci konieczność przypomnienia brygadierowi Tul-fahowi, że musi utrzymać wysokość. Spojrzał w bezchmurne niebo i rozpiął górne guziki eleganckiej koszuli pilota. Nad jeziorem unosiła się lekka mgiełka. Było ciepło jak na tę porę roku, ale koniec marca w Anglii też potrafił zaskakiwać wspaniałą pogodą.

Jagnięcina była wyborna.

ROZDZIAŁ 123

Lloyd opuścił szybę land rovera, by zwiększyć przepływ powietrza w samochodzie.

— Cholerny upał — mruknął. — Niesamowite po tym, jak zamierzaliśmy na śmierć jeszcze parę godzin temu.

— Znajdujemy się na poziomie dwóch tysięcy metrów — powiedziała Laura, studiując mapę.
— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że góry, przez które przejechaliśmy, mają ponad cztery i pół tysiąca metrów wysokości?

— Połowa wysokości Mount Everest — zauważył Lloyd. — Cztery kilometry. Chryste, nic dziwnego, że jest tam tak zimno.

Pędzili naprzód, mijając antyczne systemy nawadniania przebiegające pod polami uprawnymi. Postacie pochylone nad pracą nie zwracały uwagi na mknący samochód.

— Mamo, jak daleko jeszcze? Laura spojrzała na mapę.

— Sześć kilometrów. Jesteśmy prawie na miejscu.

Pozbawiony wody, przegrzany silnik cherokee poddał się wreszcie kilometr od zakrętu w kierunku domu Khalida. Zjechał na pobocze i spróbował zapalić go ponownie, ale cewka hydrauliczna rozrusznika wydawała głośne, protestujące trzaski przy każdym przekręceniu kluczyka. Po nieudanej próbie pchania samochodu, by tłoki trafiły do cylindrów, uświadomił sobie, że jest potwornie zgrzany i lepki po tym, jak zmoczył się w Sammel. Rozebrał się do koszuli i spodni i ruszył przed siebie. Wilgotne spodnie uwierały go, ale wkrótce wyschną na słońcu. Przyspieszył kroku uświadomiwszy sobie, że jest już tak blisko domu. Dotarł do zakrętu zlanym potem, jednak był zbyt podekscytowany, aby to zauważyć. Gdy zobaczył odległe skupisko domów rozrzuconych wokół jeziora, wydał okrzyk radości i ruszył naprzód biegiem.

Max wytarł usta w nieskazitelnie białą serwetkę. Doskonały posiłek; szkoda, że nie było miętowego sosu, ale przecież nie można mieć wszystkiego. Przyłożył do ust miniaturowy mikrofon nadajnika i zidentyfikował się.

— Jakiś młody człowiek zbliża się drogą dojazdową — zameldował brygadier Tulfah, pamiętając o tym, by mówić powoli.

Max wypił łyk wina, myśląc intensywnie.

379

— Może to jeden z ogrodników?

— Możliwe. Idzie pieszo, więc prawdopodobnie mieszka na jednej z okolicznych farm. Często korzystają z najmniejszej siły roboczej, by mieć dobrze utrzymane ogródki.

— Zajmę się nim, jeśli to będzie konieczne — odpowiedział Max.

— Gdzie jest teraz ten land rover?

— Z tego miejsca nie widzę drogi, ale nie może być daleko. Nie przejmuj się przyjacielu — jesteśmy przygotowani.

Max usłyszał w tle dźwięk turbiny pracującej na połowie obrotów i uspokoił się.

Khalid zatrzymał się i stał patrząc na wypalony wrak mercedesa. Było w nim coś przerażająco znajomego, coś co zmroziło beztroski nastrój chłopca. Szedł wolno w kierunku zwęglonych resztek i uświadomił sobie, że ciepło emanujące od wraku nie może być efektem promieni słonecznych. Poza tym wiedział, że każda karoseria, z której lakier zszedł pod wpływem płomieni, pokrywała się cienką warstwą rdzy po kontakcie z rosą choćby przez jedną noc. Serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Był jakieś pięć metrów od samochodu i czuł gorąco bijące od niego na policzkach.

Nawet ziemia pod jego stopami wchłonęła ciepło wraku i teraz wydalała je. Wokół panował zaskakujący spokój i cisza mimo, że gałęzie drzewa granatu ponad zetlałą dachem samochodu skręcały się i tańczyły w rozgrzanym powietrzu niczym wymahujące ramiona udręczonych demonów.

Samochód osiadł z obłoku ciepła i drażniących zapachów: spalony lakier, PCV, skóra i ropa. Był tam też inny odór który zapamiętał z dramatycznej ucieczki z Kuwejtu: słodki zapach palonego ludzkiego ciała. W tej chwili dotarło do niego dlaczego samochód wydaje mu się tak znajomy. Nie wszystko zostało strawione przez płomień. Arabskie i rzymskie litery na przedniej tablicy rejestracyjnej były nadpalone, ale częściowo czytelne.

Był to samochód jego ojca.

A kiedy podkradł się bliżej i zobaczył splątana masę na wpół spalonych rąk i nóg wewnątrz samochodu, okrutna prawda dotarła do niego z bolesną wyrazistością.

— Land Rover właśnie wjechał na drogę wiodącą do posiadłości

— obwieścił głos brygadiera Tulfaha, brzmiały cienko w głośniczku Icomu — Pilot śmigłowca jest gotów do startu.

380

— Doskonale — powiedział Max. — Pamiętaj! Musi lecieć tak wysoko, jak to jest możliwe.

— Poinstruowałem go, żeby wszedł na odpowiednią wysokość zanim rozpocznie podejście

— zapewnił brygadier.

— Doskonale — odpowiedział Max. — Powiedz mu, żeby był gotów wdepnąć na gaz, kiedy dam ci znać.

Iracki oficer roześmiał się. Podobało mu się poczucie humoru Anglika.

Max schował mikrofon z powrotem do kieszeni. Rozpiął zamek błyskawiczny przy torbie Adidasa i Smith & Wesson powędrował do kieszeni kurtki. Zainstalował aparat tlenowy wokół szyi.

Jego ruchy były spokojne i metodyczne; myśli, jak zawsze, jasne i logiczne. Nie było sensu nakładać maski i marnować sprężonego powietrza aż do ostatniej chwili. Wypił łyk wina i zapatrzył się na jezioro. Warstwa mgły nad wodą gęstniała i nie było nawet najmniejszego wiatru.

Zapowiadał się wyjątkowo upalny dzień.

— Lloyd! Zatrzymaj się! Tam jest Khalid! Lloyd wdepnął na pedał hamulca, kiedy André krzyknęła, i zanim zdążył się zatrzymać, wyskoczyła z land rovera. Powinna wypaść i wywinąć koźła na zakurzonej drodze, ale w cudowny sposób zdołała odzyskać równowagę i popędziła przez pole do jasnowłosego mężczyzny kucającego przy spalonym mercedesie.

— Khalid! Khalid!

Młody człowiek wstał, a na jego twarzy malował się wyraz kompletnego zaskoczenia i niedowierzenia. Zanim dotarło do niego co się dzieje, André wpadła mu w ramiona, prawie przewracając go na ziemię.

— O, Khalidzie! — zawołała André, płacząc z radości — To ja! Teraz wszystko będzie dobrze.

Laura ruszyła przez pole w kierunku obejmującej się radośnie pary, ale Lloyd dogonił ją i przytrzymał za ramię.

— Zostaw ich samych — powiedział cicho.

— Ale...

— Nie, zostaw ich. — Był bardzo stanowczy, ucisk palców na jej ramieniu zdecydowanie silny, kiedy poprowadził ją z powrotem do land rovera.

Kłęcząc twarzą w twarz Khalid i André obsypywali się pocałunkami, nie zwracając uwagi na obłok ciepła, w którym się znajdują, z mercedesem jako jego centrum.

381

Max był tak bliski utraty wrodzonego spokoju, że zapomniał o tym, iż ma mówić po arabsku.

— Gdzie oni są, u licha? — rzucił do mikrofonu.

— To nie jest najlepszy punkt obserwacyjny — powiedział iracki oficer, domyślając się, o co Max pyta — ale z całą pewnością zjechali z głównej drogi. Helikopter właśnie wystartował.

— Powiedz pilotowi, żeby był w pogotowiu. Pamiętaj — musi wejść na maksymalną wysokość. Zrzucanie gazu rozmija się z celem, jeśli nie będziemy mieć pewności, że dziewczyna natychmiast straci przytomność.

— A może zatrzymali się, żeby porozmawiać z tym młodzieńcem? — Czy wyglądał na Kurda? — zapytał Max.

— Tak mi się wydaje — tak. Miał jasne włosy. Musi być Kurdem.

— Jasne włosy! — Max myślał gorączkowo. Jak zawsze, zdołał szybko obrócić nieprzewidziane trudności na swoją korzyść. — To musi być ten drugi! Moglibyśmy mieć ich dwoje!

Nie rozumiem — powiedział brygadier Tulfah.

Max jednak wepchnął już mikrofon z powrotem do kieszeni i biegł w kierunku BMW.

Lloyd wycofał land rovera pięćdziesiąt metrów wzdłuż drogi w kierunku, z którego nadjechali. Zjechał na pobocze tak, że André i Khalid skryli się za kolczastym krzewem; podłoże było miękkie, jak gdyby zostało niedawno przekopane i poruszone.

Para przy wraku samochodu była zbyt zajęta sobą, by zauważyć, że samochód się przemieścił.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytała Laura.

— Mam tu odrobinę cienia. Robi się cholerny upał.

Laura wyciągnęła dłoń w kierunku klamki, ale Lloyd nachylił się i powstrzymał ją — Pozwól im nacieszyć się sobą jeszcze przez parę minut.

— Na litość boską! — odparowała. — Znają się od czasu kiedy byli dziećmi. Lubią się — jak siostra z bratem.

Lloyd przecesał włosy palcami. Naprawdę robiło się gorąco.

— Wiesz Lauro, czasami wydaje mi się, że jesteś nie tylko ślepa, ale i głupia. A może po prostu nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy? Łączy ich całe mnóstwo rzeczy. Wystarczy popatrzeć na sposób w jaki się całują;

382

i uświadomić sobie stan, w jakim André była, kiedy obiecałaś, że przywieziesz ją tutaj. Nigdy nie rozstaje się z jego fotografią. To przecież jasne, że jest zakochana w tym chłopcu. Laura nie odpowiedziała.

— Kiedy dokładnie Khalid i jego rodzice zostali wyrzuceni z Wielkiej Brytanii? W początkach stycznia?

— Mniej więcej.

— Czy Khalid i André mieli okazję być całkiem sami? To zabolalo. Jej oczy otworzyły się szeroko.

— Co ty u licha insynuujesz...

— Posłuchaj! — przerwał Lloyd biorąc ją za rękę.

— Chyba nadjeżdża jakiś samochód.

— To nie wszystko!

Oboje usłyszeli huk nadlatującego helikoptera. Max usłyszał śmigłowiec, gdy pędził wzdłuż drogi dojazdowej. Wyszarpnął mikrofon z kieszeni.

— Tulfah! Twój pilot leci zbyt nisko!

— Znajduje się na maksymalnym pułapie operacyjnym dwóch tysięcy metrów — zaprotestował oficer.

— Nie opowiadaj mi bzdur! Słyszę go! Powiedz mu, że musi wejść na trzy tysiące metrów!

— Zapomina pan, że znajdujemy się powyżej poziomu morza — powiedział brygadier Tulfah. Zaczynał mieć dość przyjmowania rozkazów od Anglika. — I tak jesteśmy już tysiąc pięćset metrów nad poziomem ziemi. Nie może wejść wyżej! Max zaklął cicho. Popełnił poważny błąd taktyczny. Nie, znacznie gorzej. Zapomnieć o czymś tak fundamentalnym, jak ich położenie nad poziomem morza, było niewybaczalną głupotą. Jednak jak zwykle jego umysł pracował już nad planem awaryjnym.

Nacisnął na hamulec BMW, w chwili gdy zauważył Khalida i André przy spalonym mercedesie.

— Zmiana planów! — wrzasnął do mikrofonu Icomu. — Powiedz pilotowi, żeby zrzucił pojemnik w pobliżu spalonego samochodu na polu przy drodze dojazdowej! — Słyszał pana — odpowiedział brygadier Tulfah. — Mamy połączenie. Tak! Zameldował, że ich widzi!

Max wyjął miniaturowy aparat tlenowy i przekręcił gałkę otwierającą dopływ powietrza do właściwej komory.

383

— Leci zbyt wysoko, żebyśmy musieli się martwić — powiedział Lloyd, osłaniając oczy, by zobaczyć śmigłowiec, który krążył niemal dokładnie nad nimi. — To francuski Alouette.

Laura wskazała jasnoczerwone BMW.

— Lloyd! Ten mężczyzna ma na sobie maskę gazową! Max znajdował się pięćdziesiąt metrów od nich. Zatrzymał samochód i wyskoczył z niego.

— Pojemnik uwolniony — obwieścił brygadier.

W odróżnieniu od André Khalid wiedział dużo na temat helikopterów. Oswobodził się z zaborczego uścisku i spojrzawszy w górę zdążył zauważyć Alouette, zanim André znów przygarnęła go do siebie. Przynajmniej nie była to potężna maszyna bojowa.

Jednak, pomimo że znajdowała się wysoko, zwolniła i właśnie to zaniepokoiło Khalida.

— Nie, Andy! — powiedział ochryple, odwzajemniając jej namiętne pocałunki. — Helikopter się zatrzymał.

Tym razem odsunął ją stanowczo od siebie i spojrzał w górę. Krzyknął głośno, zobaczywszy pojemnik spadający na nich z nieba. Gbyby miał jeszcze choć ułamek sekundy, zniszczyłby go, ale teraz było już za późno. André nie widziała spadającego pojemnika, myślała, że powodem przerażenia Khalida jest sama obecność helikoptera.

— Chryste! — wrzasnął Lloyd. — Zrzucił cholerną bombę! Wyskoczył z land rovera i zanim Laura zdążyła zareagować, już biegł w kierunku André i Khalida.

Dziewięćset kilogramów aluminium, stali i plastiku, które składały się na alouette, oraz krew i tkanka jego pilota przestały egzystować w ziemskiej atmosferze. Ich zniknięcie stworzyło w atmosferze tunel podobny do tego, jaki wywołuje błyskawica, i tak jak po nastąpieniu silnego wyładowania powietrze runęło naprzód, by zapełnić próżnię. Rozpędzone cząsteczki wpadły na siebie z siłą porównywalną do czołowego zderzenia dwóch pociągów pospiesznych, i uwolniły rosnącą kulę dźwięku równą erupcji wulkanu.

André krzyknęła przerażona i opadła na kolana, przekonana, że reakcja na jej uczynek będzie natychmiastowa i potworna.

Potężny, ogłuszający huk grzmotu i krzyk André sprawiły, że Khalid stracił koncentrację w chwili gdy pojemnik uderzył w ziemię dziesięć metrów od wraku samochodu jego rodziców. Max był tuż przy młodej parze, gdy ogromny tuman gazu eksplodował w powietrzu. Kiedy silny strumień cyklopropanu wytrysnął z pojemnika,

384

gwałtowne rozkurczenie schłodziło gaz. W wyniku tego woda w atmosferze zagęściła się i przemieniła w opar, a gaz zawisł w powietrzu pod postacią wielkiej chmury białej mgły.

Lloyd padł płasko na ziemię w momencie wybuchu.

Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że znajduje się jakieś dwadzieścia metrów od rozprzestrzeniającej się szybko chmury gazu. Zdawała się żyć własnym życiem. Wirując i unosząc się w nieruchomym powietrzu zasłaniała słońce.

Uratował ich upał: warstwa gorącego powietrza unoszącego się nad ziemią i resztki ciepła bijącego od wypatroszonego samochodu sprawiły, że gaz nie dotarł na ziemię. Między polem, a spłaszczonym przez wysoką temperaturę spodem gęstej chmury zachowała się warstwa czystego powietrza.

— Andy! — krzyknął Lloyd, zrywając się do biegu w ich kierunku. — Nie wstawajcie! Nie wstawajcie!

Jednak ostrzeżenie dotarło za późno. André zerwała się na nogi i jej głowa zniknęła w obłoku gazu. Wystarczyły dwa wdechy i osunęła się na ziemię nieprzytomna. Rozległ się odgłos wystrzału, brzmiały zaskakująco głucho w kozuchu mgły.

Nagły ból w lewej łydce wydarł okrzyk bólu z gardła Lloyda, który upadł na ziemię dokładnie w chwili, gdy Max, przypominający groteskowego potwora w masce tlenowej wyłonił się z obłoku gazu. Trzymając w ręku rewolwer, nachylił się nad André i próbował podnieść ją na nogi, jednak szybko zrozumiał, że będzie potrzebował obu rąk i wepchnął broń do kieszeni. To brak wycucia czasu raczej niż zdrowy rozsądek powstrzymał Khalida przed podniesieniem się na nogi. Zobaczył, że postać z twarzą ukrytą za maską przerzuca André przez ramię i rzucił się na Maxa z pozycji klęczącej. Walczył z obłąkańczą zaciętością, nieznajomy w masce tlenowej zabił jego ukochaną André... Ciało dziewczyny osunęło się na ziemię, gdy zajadłość ataku Khalida przewróciła Maxa i jego maska została zdarta z twarzy. Mężczyźni walczyli, turlając się po ziemi i oddalając coraz bardziej od sanktuarium wraku samochodu, gdzie gaz unosił się najwyżej nad ziemią.

Podczas tych zmagania ręka Maxa natrafiła na duży kamień.

Podniósł go i opuszczył na tył głowy Khalida. Okazało się jednak, że przeciwnik jest tylko ogłuszony. Sięgnął do kieszeni po Smith & Wessona, ale wydobyć go z fałd odzieży oznaczało konieczność podniesienia się

385

na nogi. Odczuł szczególną satysfakcję, oddając pojedynczy strzał dokładnie w głowę młodego człowieka; wylatujący pocisk zburzył gęste włosy na tyle głowy. I właśnie wtedy Max uświadomił sobie, że jest bez maski tlenowej. Poczł smak butanu, kiedy nieświadomie wessał go do płuc i był bliższy wpadnięcia w panikę niż kiedykolwiek w życiu — ale nieprzytomność zamknęła się nad nim z przeraźliwą nagłością.

Lloyd podczołgał się do miejsca, w którym André leżała na plecach. Nie było czasu na sprawdzanie czy oddycha. Jedyne, co się liczyło, to zabrać ją z tego przeklętego miejsca tak szybko jak się da. Schwycił ją pod pachy i zaczął wlec za sobą. Kiedy usłyszał warkot silnika, przetoczył się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Land rover podskakiwał na wyboistej drodze, jadąc w ich kierunku.

— NIE ZBLIŻAJ SIĘ!

— Laura usłyszała ostrzegawczy okrzyk Lloyda, zobaczyła też jego rozpaczliwe gesty i zatrzymała się. Widziała wszystko od chwili, gdy eksplodował pojemnik. Nie trwało to dłużej niż minutę. Kiedy zobaczyła, jak André pada na ziemię, instynktownie wyrwała się naprzód, jednak szybko zrozumiała, że jej śmierć nie pomoże tu nikomu. Gaz unosił się ku gorze wirującymi, rzednącymi pasmami mgły, która stopniowo się rozwiewała i zniknęła w ciepłym powietrzu.

Lloyd nie podniósł głowy, lecz skupił się na wleczeniu bezwładnego ciała André w kierunku land rovera. Zmienił technikę i teraz ciągnął ją za nadgarstek, posuwając się naprzód na biodrach i kolanach jak żołnierz przeczołgujący się pod zasiekami z kolczastego drutu. Był to irytująco powolny proces, spowolniony jeszcze przez częste postoje, w czasie których musiał ostrzegać Laurę przed podejściem bliżej. Wreszcie nie wytrzymała i rzuciła się naprzód. Z nisko pochyloną głową potykała się na nierównym podłożu.

— Powiedziałem ci, żebyś się nie zbliżała! — warknął Lloyd.

— Gaz ulotnił się. Zobacz sam. Czy ona...? Słowo ugrzęzło jej w gardle — Czy ona żyje?

— Nie wiem.

— Oddycha! — Laura przygarnęła do siebie nieprzytomną córkę i przytuliła ją do piersi w obronnym geście — Andy, kochanie... Wszystko będzie dobrze. Przyłożyła palec wskazujący do szyi dziewczyny. — Puls jest normalny, oddychanie także.

Lloyd rozejrzał się wkoło. Gaz zniknął.

— Myślę, że był to gaz usypiający.

386

Dźwignął się na nogi i skrzywił, kiedy przeniósł ciężar ciała na lewą nogę. Laura zauważyła krew która przesiąkała przez nogawkę spodni.

— Musisz mi to pokazać.

— Nie mamy teraz czasu. Trzeba się stąd wynosić. Spojrzał w kierunku miejsca, gdzie leżał Max i Khalid. Nie musiał podchodzić bliżej, by stwierdzić, że młody mężczyzna nie żyje. Wzięli André na ręce i położyli na tylnym siedzeniu land rovera.

— Miej ją na oku — poinstruował Lloyd, siadając za kierownicą. — Ja poprowadzę.

— Dasz radę?

— Gdyby pocisk trafił w kość nie mógłbym stanąć na nogi. To nie może być nic poważnego. Gdy land rover zjechał z drogi dojazdowej i zmierzał w kierunku, z którego przybyli, Lloyd stwierdził, że zaczyna myśleć logicznie. Stan André był bez większych zmian, więc Laura zgodziła się na propozycję Lloyd'a, by pokonali możliwie największą część drogi, zamiast zatrzymywać się i szukać szpitala. Straciwszy helikopter Irakijczycy z całą pewnością rozpoczną poszukiwania na wielką skalę, jednak minie co najmniej godzina, zanim zdążą się zorganizować.

Kiedy już decyzja została podjęta, Lloyd docisnął pedał gazu do podłogi.

Ze wszystkich środków anestezjologicznych cyklopropan ma najbardziej nieprzyjemne symptomy powrotu do przytomności, o czym Max przekonał się, próbując stanąć na nogi. Utrzymywał się przez chwilę na niepewnych nogach, a potem opadł na kolana, zgiął w pół z bólu i zwrócił zawartość żołądka. Trzy razy próbował wstać i za każdym razem kończyło się to krztuszeniem i wymiotowaniem. Minęło sporo czasu, nim zdołał zebrać myśli na tyle, by rozejrzeć się wokół siebie.

Ani śladu po dziewczynie i land roverze. Spojrzał na zegarek i wyraźnie zaniepokoił się widząc, że był nieprzytomny przez ponad piętnaście minut. Cholera! Są już dobre dwadzieścia kilometrów stąd. Sięgnął do kieszeni na piersi. Na szczęście Icom był na miejscu. Wyjął go i spróbował skupić wzrok na absurdalnych, czerwonych guziczkach. Wreszcie udało mi się odnaleźć przycisk pamięci i dotknął go drżącym palcem. Głos

387
brygadiera Tulfaha odezwał się niemal natychmiast, domagając się informacji na temat tego, co się stało.

— Udało im się uciec — - powiedział Max.

— Słyszeliśmy grzmot, co z helikopterem? Max poczuł, że znów ogarnia go fala mdłości. Świat zawirował mu przed oczami, a teraz już pusty żołądek złościł się bezsilnie, nie mając nic do zwrócenia. Usiadł i oparł głowę na dłoniach. Potwornym wysiłkiem woli udało mu się osiągnąć normalne brzmienie głosu.

— Helikopter się rozbił. Słuchaj... zmierzają w kierunku granicy z Turcją — tą samą drogą, którą przyjechali. Musicie ich zatrzymać.

— Nie mamy żadnych patroli przy drodze. Polecono nam trzymać się z dala od granicy. Nie potrzebujemy teraz konfliktu z Turcją.

W obecnym stanie konieczność myślenia za tureckiego oficera niemal przekraczała możliwości Maxa.

— Dobra, skontaktujcie się ze strażą graniczną. Cierpliwość brygadiera Tulfaha była już na wyczerpaniu.

Ten Anglik sprawiał same kłopoty.

— Nasza jurysdykcja nie obejmuje służb celnych. Potrzebuję potwierdzenia z Mosulu. To zajmie godzinę, może dwie.

Max zamknął oczy.

— Super Frelony — wyślijcie je za nimi.

— Biorą udział w operacji na zachodzie. Mogę je odwołać, ale minie dobra godzina, zanim dotrą na miejsce.

Żelazne opanowanie Maxa zaczynało pękać.

— Więc proszę niezwłocznie skontaktować się z nimi, brygadierze — powiedział spokojnie.

— Niech przylecą tak szybko jak się da, z pojemnikami cyklopropanu na pokładzie.

Tymczasem zamiast siedzieć tu beczynnie, osobiście pofatyguję się za nimi.

Wepchnął nadajnik do kieszeni i jakimś cudem zdołał zebrać dość sił, by ruszyć biegiem w kierunku samochodu.

ROZDZIAŁ 124

Stromy podjazd na krętej, górskiej drodze zmusił Lloyda do wrzucenia pierwszego biegu, jednak nie zmniejszył obrotów, więc nadal jechali czterdzieści kilometrów na godzinę.

388

— Rozwalisz silnik! — krzyknęła Laura, chcąc być słyszana ponad rykiem zmuszanego do wysiłku silnika.

Lloyd zdjął nogę z gazu tak, że strzałka obrotomierza zeszła z czerwonego pola.

— Nie możemy zwalniać! — zawołał do niej przez ramię. — Nie będziemy mieli szans, jeśli ruszy za nami swoim BMW.

— Odzyskuje przytomność! — zawołała przejęta Laura. — Już dobrze, kochanie. Mamusia jest przy tobie. Jesteś bezpieczna.

Ogromna, nie oznakowana cysterna, wypływająca gęste, ciemne spaliny pojawiła się tuż przed nimi, gdy Lloyd wjechał w zakręt. Tył masywnego, obłego pojazdu i przyspawana do niego drabinka były oblepione czarną sadzą; jedynie rząd pokręteł zaworów na przewodzie rurowym był względnie czysty — przypuszczalnie dlatego, że używano ich przy każdym opróżnianiu cysterny. Po obu stronach podwozia umocowano dodatkowe zbiorniki. Kierowca prowadził swojego monstrualnego pupila pod strome wzniesienie, używając biegu terenowego. Nie było szans wyprzedzenia go na wąskiej drodze, pomimo że gigantyczny pojazd wspinał się z szybkością idącego człowieka. Lloyd zbliżył się do cysterny i wychyliwszy się przez okno, bezskutecznie wypatrywał szansy wyprzedzenia go. Wreszcie, kiedy duszące spaliny przepełniły wnętrze land rovera, zastosował się do błagań Laury i zwolnił.

Po dziesięciu minutach cała nienawiść, jaką Lloyd był w stanie nagromadzić, zwróciła się przeciwko kierowcy cysterny, choć wiedział, że na tym odcinku drogi nie może on zrobić nic innego, jak tylko jechać przed siebie.

Gdyby zwolnił lub zatrzymał się, szansa, ponownego uruchomienia przeładowanego pojazdu byłaby równa zeru.

Droga stała się trochę szersza. Lloyd miał zamiar to wykorzystać i prześliznąć się, kiedy usłyszał, że André wymiotuje.

— Nie martw się o nas! — krzyknęła Laura. — Skoncentruj się na jeździe!

Przełącz, przez którą jechali, otwierała się nagle po stronie Lloyda, ukazując przerażający, nie ogrodzony spadek. Trzy tysiące metrów niżej widział wijącą się drogę, po której wcześniej jechali. Liczne serpentyny sprawiały, że droga fragmentami biegła piętrowo, a mimo to czerwony samochód wspinał się bez wysiłku po stromym wzgórzu. Błękitny dym wypadał spod kół, kiedy brał zakręt przy dużej szybkości.

389

Było to BMW.

— Lauro! On jest tuż za nami! Trzy czy cztery kilometry! Zobaczył w lusterku poblądłą twarz Laury

— Dogoni nas? — Nie może nas dogonić. Ale ten sukinsyn ma broń.

— Miał ochotę uderzyć pięścią w kierownicę ze złości. — A może pozwolimy, by Andy rozprawiła się z nim?

— Znow straciła przytomność. Musimy zawieźć ją do szpitala, Lloyd.

— Na litość boską, kobieto! Wszystkim nam będzie potrzebny szpital, jeśli ten bydlak nas dogoni!

Droga wyrównała się i poszerzyła. Ton udreżonego silnika cysterny zmienił się kiedy kierowca zmienił bieg.

— Mam pomysł! — wrzasnął Lloyd. Ruszył naprzód i zdołał zmusić cysternę do zjechania na bok za pomocą świateł i klaksonu. Kiedy wyprzedził pojazd i zobaczył, jaki jest długi, zrozumiał, dlaczego kierowca nie zatrzymywał się podczas jazdy pod górę. Wyjechał dwieście metrów przed cysternę i zatrzymał land rovera na wąskim przesmyku wyrastającym ze skalnej ściany. Wskoczył z samochodu i pokuśtykał na środek drogi, przeklinając ból w łydce i machając szaleńczo do kierowcy cysterny. Gigantyczny pojazd zatrzymał się pośród wybuchów i syku z hamulców pneumatycznych. Ton silnika opadł do jednostajnego klekotu rozregulowanych zaworów. Zdziwiony, brodaty Turek spojrzał na niego z góry, zerknął na zakrwawioną nogawkę i powiedział coś szybko po turecku.

— Nie rozumiem — odpowiedział Lloyd. — Czy mówi pan po angielsku? Kierowca podróżował po całej zachodniej Europie i znał parę języków na tyle, by móc negocjować opłaty i koszty

— Trochę.

— Mamy kłopoty z samochodem. Czy mógłby pan przewieźć moją żonę i córkę do Turcji na wypadek gdyby się zepsuł po drodze? Zapłacę panu.

Kierowca był wytrawnym negocjatorem. Ze sposobu, w jaki cudzoziemiec zerkał wciąż nerwowo na drogę, domyślił się, że muszą mieć poważne kłopoty. Jakiego typu kłopoty, nie obchodziło go, jednak wyglądało na to, że mają pieniądze, a tymi już interesował się, i to bardzo.

— Przy dodatkowych pasażerach samochód zużywa więcej paliwa

— stwierdził.

W innych okolicznościach Lloyd potraktowałby to jako próbę wyłudzenia, zważywszy na to, że połowa paliwa zużywanego przez cysternę była wydalana, nie spalona przez rurę wydechową.

390

— Możemy dać panu sto dolarów. Dolarów amerykańskich — rozumie pan?

— Sto i pięćdziesiąt dolarów ja rozumieć bardzo dobrze.

— Stoi. Lloyd popędził z powrotem do land rovera i pospiesznie wtajemniczył Laurę w swój plan. Prowadzili na wprost przytomną André między sobą, niemal niosąc ją do oczekującej cysterny. Kierowca pomógł im umieścić Laurę na pryczy w części mieszkalnej kabiny.

— Moja córka bardzo źle znosi jazdę samochodem — wyjaśnił Lloyd, wręczając kierowcy trzy banknoty pięćdziesięciodolarowe.

Kierowca zrozumiał. Uśmiechnął się uprzejmie i schował pieniądze do kieszeni. Laura wróciła do land rovera po torebkę i parę cenniejszych rzeczy, potem pospieszyła z powrotem do cysterny i wykorzystując pomocną dłoń kierowcy wsiadła do kabiny. Zatrzasnęła drzwi i spojrzała z troską na Lloyda.

— Nie pozwolę mu pędzić — obiecała.

Lloyd wskazał góry, które musieli jeszcze pokonać.

— Będę potrzebował dziesięciu minut—najwyżej. Dobra—każ mu ruszać. Laura przemówiła do kierowcy i cysterna ruszyła ze zgrzytem biegów, buchając czarnym dymem prosto w twarz Lloyda.

Zbliżył się do skraju urwiska i spojrzał w dół. Z tego miejsca miał wspaniały widok na całą drogę. Zauważył błysk późnopołudniowego słońca heliografującego na przedniej szybie samochodu. Przysłonił dłonią oczy: BMW było jakieś dwa kilometry od niego. Usiadł za

kierownicą land rovera i ruszył ze średnią prędkością w ślad za cysterną. Dwie minuty później BMW pojawiło się w lusterku.

Pomimo potwornego bólu głowy, jaki odczuwał w efekcie wdychania gazu, Max poczuł się wręcz uskrzydłony, kiedy zauważył land rovera. Oślepiający ból w głębi oczu utrudniał racjonalne myślenie, lecz go nie uniemożliwiał; w typowy dla siebie, wyrachowany sposób zaczął analizować sytuację. Dziewczyna jest prawdopodobnie przytomna. Nawet jeśli tak, to wciąż nie czuje się najlepiej, a tym samym nie będzie mogła wykorzystać swych niezwykłych zdolności przeciwko niemu.

Z tej odległości miał kłopoty z odróżnieniem pasażerów land rovera. Przyspieszył lekko, by zmniejszyć odległość. Kiedy pikap wjeżdżał w zakręt, wiszące nisko słońce oświetliło go pod właściwym kątem. Jedynym pasażerem samochodu był mężczyzna. Oznaczało to, że dziewczyna leży na tylnym siedzeniu.

391

Zastanowił się, gdzie podziała się jej matka i w końcu uznał, że musiała ułożyć się obok córki.

Opuścił szybę. Gorące powietrze wysssało chłód z wnętrza BMW. Nie — nie tutaj i znów zamknął okno. W tym miejscu droga była zbyt niebezpieczna. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było trafić w koło, posyłając land rovera przez brzeg przepaści.

Wepchnął rewolwer lufą do przodu pomiędzy siedzenie a deskę rozdzielczą, by móc wydobyć go szybko w razie potrzeby.

Lloyd jechał ze stałą prędkością, tak by nie dogonić cysterny. Znajdowała się jakieś osiemset metrów przed nim i była widoczna na paru prostych odcinkach. Zastanawiał się, dlaczego BMW nie przystępuje do działania.

Wyszedł z zakrętu i wjechał na długi, prosty fragment zniszczonej przez mrozy, wyboistej drogi biegnącej skrajem doliny, którą zapamiętał z podróży w tamtą stronę. Robotnicy budujący drogę wyciosali toporne, prostokątne bloki z otoczków odrywanych od skał za pomocą dynamitu i ustawili prowizoryczną, ale skuteczną barierę wzdłuż całego pobocza. Zauważył cysternę paręset metrów przed sobą wspinającą się na długą stromiznę i wręcz ukrytą w gęstym obłoku spalin. Zaczął modlić się o to, aby Laurze i André nic złego się nie stało, nawet wtedy gdy jego plan zawiedzie.

Doskonale, pomyślał Max i przyspieszył lekko, by zmniejszyć dystans. Prosty odcinek drogi był wystarczająco długi — nie musiał się spieszyć.

Zniszczona nawierzchnia powodowała szarpnięcia kierownicy, która prawie wrywała się z rąk Lloyda. Masywne, kamienne bloki wzdłuż drogi zdawały się wybiegać mu naprzeciw. Pomimo że punkty mijania pojawiały się tu w regularnych przerwach, nie był to typ drogi, na której chciałby wykonywać manewr zawracania, gdyby z przeciwnej strony zbliżała się rozjeżdżona ciężarówka. Zerknął w lusterko. BMW jechało jakieś czterysta metrów za nim. Przyjrzał się uważnie i stwierdził, że dystans pomiędzy nimi stopniowo się zmniejsza. Jego umysł wrzucił wyższy bieg. Jakies dwieście metrów dalej stał wyjątkowo duży blok skalny. Został kiedyś potrącony przez ciężki pojazd, w wyniku czego wypadł z szeregu i wkroczył nieznacznie na drogę. Poza tym był ustawiony przy lekkim zakręcie, gdzie BMW straci go z oczu na parę sekund.

Teraz albo nigdy.

392

Kiedy już decyzja została podjęta, Lloyd zaczął myśleć jaśniej. Zgranie wszystkiego w czasie było podstawą jego planu. Po pierwsze, otworzyć zamek; po drugie wyrzucić na luz; po trzecie naprowadzić land rovera na wystający blok skalny.

Sposób, w jaki zrealizował swój plan, nie był doskonały, ale i tak wystarczająco skuteczny. W chwili gdy land rover zatrzymał się na podjeździe, Lloyd wytoczył się na drogę, zamknął drzwi kopnięciem zdrowej nogi i przeturlał się za kamienny blok. Leżąc na brzuchu, zerkał

zza skalnego wyłomu kryjówki, jak land rover toczył się tyłem w dół drogi, nabierając prędkości. Zboczył, odbił się od otoczaka i powrócił na środek drogi.

Oślepiający ból głowy spowolnił reakcje Maxa o ułamek sekundy. Pierwszą myślą, kiedy zobaczył land rovera toczącego się w jego kierunku, było to, że kierowca zawraca. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że pojazd jedzie bez kierowcy i nikt go nie prowadzi, a tym samym nabiera zawrotnej prędkości. Pikap znajdował się niecałe dwieście metrów od niego, rzucony z boku na bok odbijał się wprawdzie od ściany skalnej, a potem od kamiennych bloków. Przy jednym z uderzeń wypadły wszystkie szyby, co chwila rozlegał się ogłuszający zgrzyt metalu trącego

o skałę, jednak nic nie zdołało zmniejszyć prędkości land rovera.

Max wrzucił wsteczny bieg. Silnik zaryczał, tylne opony zadymiły

1 BMW wystrzeliło do tyłu. Odwracanie się, by widzieć drogę przez tylną szybę sprawiło, że ból głowy przerodził się w tysiące niezależnych lanc wbijających się w jego mózg. Mijanka znajdowała się zaledwie osiemdziesiąt metrów dalej...

Sześćdziesiąt metrów... Pięćdziesiąt metrów...

Nie odważył się oderwać wzroku od drogi widzianej przez tylną szybę nawet na sekundę.

Słyszał, że land rover wciąż go dogania, rzucony z boku na bok niczym gigantyczne czółenko tkackie.

Dziesięć metrów. Wdepnął na pedał hamulca i zablokował kierownicę. System ABS samochodu sprawdził się wyjątkowo dobrze na wstecznym biegu, koła nie zablokowały się i może właśnie dzięki temu, raczej szczęściu niż umiejętnościom, Max zdołał wprowadzić tył samochodu na maleńką zatoczkę. Na jego nieszczęście w wyniku ryzykownego manewru przód samochodu wysunął się na drogę.

Land rover uderzył w bok BMW, obracając go o sto osiemdziesiąt stopni i wbijając drugim bokiem w ścianę skalną. Siła zderzenia pogięła

393

karoserię, powodując, że przednia szyba wyskoczyła jak z procy. Drzwi od strony kierowcy uderzyły w wystającą skałę z takim impetem, iż Max uznał za cud to, że nie zdołała przebić zewnętrznych i wewnętrznych powłok samochodu oraz zmiażdżyć jego ciała.

Land rover dotarł do skraju urwiska i wdzięcznie stoczył się w dół. Lecąc parabolą balistyczną zniknął z oczu Maxowi.

ROZDZIAŁ 125

— Proszę! — Laura usiłowała przebłagać kierowcę cysterny. — Musi się pan zatrzymać!

— Ja zatrzymać się tutaj i nie pojechać dalej — zaprotestował kierowca. — Ja zatrzymać się tutaj i spieprzyć sprzęgło, żeby znów ruszyć! Pięć kilometrów droga z górki. Mnóstwo dolina w pobliżu granicy. Wtedy ja się zatrzymać. Ami obiecuje. Ami zawsze dotrzymać słowa — wskazał palcem rząd zdjęć zrobionych polaroidem, przyklejonych taśmą do przedniej szyby.

— Przysięgać na życie swoich dzieci. Zgoda?

— Zgoda — powiedziała zrezygnowana Laura i skupiła uwagę na André, która wyglądała, jakby znów miała się rozchorować.

Lloyd wykuśtykał z za skalnego bloku i z odrobiną dumy spojrzął w dół drogi. Jego plan powiódł się: ani śladu po land roverze i BMW. Jednak nasilający się ból w lewej łydce nie pozwolił długo się cieszyć. Zrozpaczony spojrzął na czerwoną plamę wsiąkającą w nogawkę i poczuł, że rana znów zaczęła krwawić.

Postawił stopę na kamieniu i po chwili zmagani zdołał rozpruć nogawkę wzdłuż szwu. W pierwszej chwili mnóstwo krwi sprawiło, że rana wyglądała na groźniejszą, niż była w rzeczywistości. Świeże krwawienie zmyło skrzep. Po wytarciu ukazała się paskudna, ale dość powierzchowna rana na tyle łydki. Noga mogła utrzymać ciężar jego ciała, aczkolwiek boleśnie, więc uznał, że mięsień nie został uszkodzony. Zrobił prowizoryczny opatrunek z podszewki wewnętrznej kieszeni kurtki, którym przewiązał ranę, by zatrzymać krwawienie.

Cysterna zniknęła bez śladu. Modląc się, by Laura zdołała nakłonić kierowcę do zatrzymania pojazdu, ruszył przed siebie.

394

Cisza, jaka nastąpiła po zderzeniu, zaczęła drażnić Maxa. Drzwi po jego stronie były zaklinowane przez uderzenie w skałę. Wygramolił się przez drzwi pasażera i zbiegł kawałek w dół drogi, gdzie ukrył się za skałami na wypadek pożaru. Minęły dwie minuty i nic się nie wydarzyło.

Ruszył ostrożnie naprzód i obejrzał samochód dokładnie. Był w opłakanym stanie. Jeden z boków został dosłownie oddarty od reszty karoserii i wbił się w oponę, zaś drugi, od strony skały, był wgnieciony do środka. Najważniejsze jednak, że nie zauważył śladów oleju czy benzyny na drodze ani też nie poczuł zapachu rozlanego paliwa. Max zawsze podziwiał jakość BMW — była bliska jego umiłowaniu perfekcji — a tym razem uratowała mu życie i utrzymała w grze. Niestety, solidność miała też swoje złe strony: nawet w tak opłakanym stanie karoseria była zaskakująco mocna. W pocie czoła przez całe trzydzieści minut, używając podnośnika w charakterze łomu, z zachodzącym słońcem grzejącym niemiłosiernie w kark, odginał burtę od wnętrza na koło.

Kiedy zdjął koło i zobaczył poszarpaną oponę, ogarnęło go zwątpienie. Oś na której było osadzone przednie koło i tarcza hamulcowa, były skrzywione.

Kiedy skończył zakładanie zapasowego koła, jego koszula była przesiąknięta potem i lepiła się nieprzyjemnie do pleców.

Po końcowej inspekcji wyprowadził samochód ostrożnie na drogę. Przednie łożysko zazgrzytało i przeniosło drgania na kierownicę, jednak hamulce działały, mimo że samochód wpadał w niebezpieczne drżenie, gdy mocniej naciskał pedały. Po tym, co się wydarzyło, było cudem, że BMW w ogóle jechało. Zastanawiał się, ile innych samochodów przeżyłoby zderzenie z takim czołgiem jak land rover.

Przyspieszył do bezpiecznej prędkości dwudziestu kilometrów na godzinę. Łoskot dochodzący od strony przedniego koła wzrastał się przy próbach przyspieszenia. Okulary słoneczne rozwiązały problem nie istniejącej przedniej szyby. Zwiększył prędkość do trzydziestu kilometrów na godzinę. Samochód nie rozpadł się. Domyślił się, że matka i córka złapały okazję i jadą cysterną, którą widział wcześniej na drodze.

Minął namalowany na skale znak, który informował, że do Turcji jest już tylko czterdzieści kilometrów. Zaledwie dwadzieścia pięć mil. Musi się spieszyć. Pęd powietrza zaczął łaskotać go po twarzy, gdyż zmusił okaleczone BMW do jeszcze większego wysiłku. Zaśmiał się głośno; brak przedniej szyby ułatwi mu użycie Smith & Wessona.

395

Laura zadrżała z zimna. Słońce wolno chowało się za szczytami gór Clio. Ami zerknął na nią i André leżącą na pośłaniu. Popukał palcem w wysokościomierz umocowany do wibrującej deski rozdzielczej za pomocą przyssawki.

— Trzy tysiące metrów. Koce pod łóżkiem. Ty dać jeden dziewczynce. Podziękowała mu i otuliła André najmniej cuchnącym kocem. Na

szczęście, pomimo nieustannego ryku diesla pod kabiną, po ostatnim ataku torsji André zasnęła i równo teraz oddychała. Laura wychyliła się przez okno, bezskutecznie wypatrując Lloyda. Krajobraz zmienił się. Znajdowali się teraz wysoko nad poziomem roślinności i cysterna sunęła w żółtym tempie przez ponurą, stalowoszarą dolinę. Mozolna wspinaczka pod górę zdawała się nie mieć końca. Ami wskazał klapę wjazdu na dach.

— Ty tam zobaczysz dużo więcej.

Laura wstała, otworzyła klapę i pchnęła mocno. Ami zerknął na nią, kiedy podciągała się na umieszczonych po obu stronach wjazdu uchwytach, i zaczął się zastanawiać, dlaczego tyle młodych Europejek wygląda, jakby były głodzone. Ani odrobiny mięsa na nich.

Laura wysunęła się do połowy i spojrzała wzdłuż drogi, którą pokonali. Z tego dogodnego punktu obserwacyjnego, ponad długim, podobnym do szwajcarskiej bagietki kształtem cysterny, jakieś trzysta metrów dalej wypatrzyła biegnącego niezdarnie Lloyd'a. Zauważyła, że rozdarł nogawkę i założył poplamiony krwią opatrunek na łydkę. Tuż za nim zauważyła coś, co zmusiło ją do wyjścia na dach cysterny i wczółgania się na zabezpieczone balustradką przejście biegnące przez całą długość pojazdu. Klęcząc na wibrującym, bujającym się dachu zdjęła kurtkę i zaczęła nią wymachiwać dziko. Lloyd zauważył ją i przyspieszył, ale widziała, że potykał się na licznych wybojach i parę razy omal nie upadł.

Tym, co nakłoniło Laurę do działania, był refleks zachodzącego słońca na karoserii jasnoczerwonego samochodu niecałe trzy kilometry za Lloyd'em. Wskoczyła do kabiny, otworzyła drzwi, zanim Ami zdążył zaprotestować i stanęła na najniższym stopniu. Przy żółtym tempie cysterny była to kwestia zrobienia kroku, by znaleźć się na drodze i stanąć nieruchomo, aż potężny kształt przejedzie obok niej. Podbiegła do Lloyd'a. Pomimo narastającego chłodu, spowodowanego wysokością, na jakiej się znajdowali, i zajęciem słońca, jego jasne włosy lepiły się do złanej potem, wykrzywionej z bólu twarzy.

— Szybciej, Lloyd — ponagliła obejmując go ramieniem w pasie i pchając naprzód. — Dogonimy go.

— Nie mogę... nie dam rady... Powiedz, żeby zwolnił... nie może zatrzymać się na chwilę?

— Boi się, że jeśli teraz stanie, nie będzie mógł ruszyć. Jest przeładowany.

Lloyd stanął, jego pierś unosiła się ciężko, oddech świszczął i chrypiał. Świeża krew spływała po łydce. Laura zaczęła się zastanawiać, ile też mógł jej stracić.

— Musimy biec dalej! — błagała. — Czerwony samochód jest tuż za nami.

— Co takiego!?! — wydusił z siebie. — Przecież zepchnąłem go z drogi.

Wyprostował się i obejrzał za siebie. BMW było daleko w dole, wspinało się pod górkę.

Przednie koło chwiało się na boki, jakby miało zaraz odpaść. Mimo to zdezelowany samochód poruszał się szybciej od cysterny.

Max zobaczył, że para zrywa się do nierównego biegu i uśmiechnął się ponuro. Było tak, jak przewidział — dziewczyna jechała cysterną. Prząd samochodu podskakiwał i zgrzytał, ale zaryzykował wystawienie zawieszenia i łożyska na kolejną próbę i przyspieszył o parę kolejnych kilometrów na godzinę.

Usłyszał wysoki pisk nadajnika. Zupełnie o tym zapomniał.

Wyjął mikrofon z kieszeni i zgłosił się.

— Dwa superfrelony są już w drodze — powiedział brygadier Tulfah.

— Mają na pokładzie gaz?

— Po dwa pojemniki każdy. Gdzie pan teraz jest? Max wyjaśnił mu.

— Przede mną jedzie cysterna, w której jest ta dziewczyna. Podaj pilotom ich cel. Będę tuż za nimi, więc nie powinni mieć problemów.

Nastąpiła długo chwila ciszy, zanim iracki oficer znów się odezwał.

— Będą nad panem za jakieś dwadzieścia minut.

— Dwadzieścia minut! — warknął Max. — Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy już bardzo blisko granicy?

— Przykro mi — odparł Irakijczyk. — Nie mogę zmusić helikopterów do przekroczenia ich maksymalnej prędkości.

397

Max ze złością wepchnął mikrofon z powrotem do kieszeni. Jak zawsze, poleganie na innych nie przynosiło żadnych efektów. Wszystkie jego problemy wynikały z tego, że otaczali go drobnymi partaczami, którzy nie trudzili się, by cokolwiek przemyśleć. A teraz, w wyniku ich niekompetencji, znalazł się na dachu świata, ścigając cysternę rozbitym samochodem i nie znając sposobu, w jaki mógłby przejąć dziewczynę, nie narażając się na bezpośrednie niebezpieczeństwo, jeśli była przytomna.

Docisnął lekko pedał gazu. Protestujący zgrzyt łożyska stał się jeszcze głośniejszy i kierownica zadrżała. Czekanie na przybycie helikopterów byłoby głupotą. Poza tym piloci najprawdopodobniej zabłądzą. Najlepszym wyjściem było zbliżenie się do cysterny. Wiedział, że znajdzie sposób na rozwiązanie tego naglącego problemu. Jak zawsze.

ROZDZIAŁ 126

Laura krzyknęła, gdy Lloyd nie zdołał uchwycić jej wyciągniętej dłoni. Potknął się i upadł. Zeskoczyła z ostatniego schodka i wyciągnęła go spod nadjeżdżających kół. Jeszcze chwila i potężne opony cysterny zmiażdżyłyby go.

— Przepraszam cię, Lauro — wychrypiał, gdy potężny pojazd przetoczył się obok nich. — Mam nogi jak z gumy.

Schwyciła go pod pachy i pomogła mu wstać. Był teraz tak osłabiony, że nie mógł utrzymać się na nogach.

— Drabinka! — sapnęła wskazując tył cysterny i jednocześnie podtrzymując go. — Musimy wsadzić cię na nią.

Powlekli się za samochodem. Czarne spaliny buchające z rury wydechowej powodowały drapanie w gardle i kaszel, potęgując jeszcze ich rozpacz. Laura wyciągnęła rękę w kierunku najniższego szczebla, ale był oblepiony sadzą i wysliznął się jej spod palców. Spróbowała znów i tym razem złapała się mocno, jednocześnie wykręcając ramię Lloyd'a w stronę drabiny. Nakierowała jego dłoń na jeden ze szczebli.

— Złap go! — krzyknęła.

Palce Lloyd'a nie zdołały zacisnąć się na śliskim drążku.

— Trzymaj się, Lloyd! Trzymaj się!

Był bliski omdlenia. Szedł chwiejnym krokiem jakby na nie swoich nogach, potykając się na wybojach i dziurach. Jednak zachęty Laury

398

i zimny dotyk stali zmusiły palce do zaciśnięcia się wokół szczebla niczym nieoczekiwany uścisk rączki noworodka.

— A teraz drugą ręką! — krzyczała Laura. Spaliny szczypały w oczy, toteż przez łzy prawie nie widziała, co robi. Wyciągnęła dłoń, by złapać ramię Lloyd'a, ale zdołał sam uchwycić się szczebla. Nogi wlokły się po drodze, na szczęście jednak ramiona były silniejsze od nich. Z pomocą Laury udało mu się oderwać stopy od ziemi i zaczepić o rząd zaworów upustowych. Laura spojrzała na dolną część drogi i zobaczyła, że BMW jest już tylko niecały kilometr za nimi. Dogonienie ich nawet z rozchybotanym przednim kołem było kwestią minut.

— Musimy dostać się na dach! — krzyknęła Lloydowi wprost do ucha. — Jest tam drabinka, której możesz się trzymać. Będziesz tam bezpieczny.

Podtrzymała go, kiedy zaczepił prawą ręką o kolejny szczebel, a potem podciągnął do niej lewą.

— Bardzo dobrze... dobrze — zachęcała go.

Jeszcze tylko parę szczebli. Udało jej się stanąć na szeregu pokręteł i wsunęła ramię pod jego pachwinę.

— Odpocznij! Nie ma pośpiechu!

Posłuchał jej rady i odprężył się na chwilę. Teraz, kiedy nie musiał już biec, zaczął jaśniej myśleć. Otworzył oczy. Na szczęście jego głowa znajdowała się tuż ponad warstwą morderczych, czarnych spalin. Poczuł, jak palce Laury naprowadzają jego stopy na kolejne stopnie. Jeszcze parę podciągnięć i głowa znalazła się nad dachem cysterny. Zamknął oczy i zmusił się do nadludzkiego wysiłku, by wydostać się na górę.

Zrobiwszy to przetoczył się na plecy i leżał rozciągnięty na wąskiej drabince niczym pozbawiona sznurków marionetka. Ignorując lodowatą stał wbijającą mu się w plecy, łykał świeże, mroźne powietrze. Głowa Laury pojawiła się tuż obok.

— Nie próbuj się ruszać, dopóki nie będziesz czuł się na siłach — przestrzegła.

— Nie miałem takiego zamiaru. — Powoli dochodził do siebie, aczkolwiek ból w nodze nie dawał o sobie zapomnieć. — Andy?

— Zasnęła.

Ami zawołał coś do nich. Brodata twarz kierowcy pojawiła się w otworze wjazdu. Przyłożył obie dłonie do ust.

399

— Wszystko w porządku? — krzyknął wzdłuż całej długości cysterny. Laura skinęła potwierdzająco i pomachała ręką.

Cystera zaczęła zjeżdżać z drogi i Ami zniknął szybko, by nakierować ją z powrotem na kurs. — Myślisz, że zdołasz przedostać się do kabiny?

Lloyd obejrzał się za siebie. Drabinka zdawała się mieć z kilometr długości. Przytaknął i zaczął się czołgać, zostawiając za sobą smugę krwi z postrzelonej nogi.

Kiedy Max był niecałe dwieście metrów od cysterny, zdecydował się na ryzykowny, lecz radykalny eksperyment. Zacisnął uchwyt prawej dłoni na kierownicy, starając się jednocześnie oszczędzić uszkodzonemu kołu kontaktu z najgorszymi dziurami. Wycelował Smith & Wessona. Matka stała na drabince na tyle cysterny. Z całą pewnością usłyszy gwizd rykoszetu, a wtedy zeskoczy na drogę i pobiegnie do kabiny ostrzec córkę.

Zakładając, że dziewczyna była zdolna wykorzystać swe szczególne umiejętności...

Rozległ się strzał. Pocisk świsnął nad głową Lloyd'a. Odwrócił głowę i zawołał do Laury, by dołączyła do niego, ale ona pomachała mu ręką i zniknęła. Pomyślał, że zeskoczyła na ziemię i pobiegła do szoferki.

Max zaklął i wypuścił z ręki broń, kiedy opona trafiła na głęboką dziurę. Drganie kolumny kierownicy przybrało na sile; potrzebował obu dłoni, by panować nad samochodem. Jednak eksperyment się udał. Kobieta nie pobiegła do kabiny. Widocznie dziewczyna była wciąż nieprzytomna i Max nie widział powodu, dla którego nie miałby wyeliminować wpięrkę matki.

Cysterna pokonała długą stromiznę i zaczęła teraz nabierać prędkości. Ami znał dobrze drogę. Dolina zwężała się na tym odcinku, lecz droga biegła prosto przez parę kilometrów, mógł więc wrzucić wyższy bieg i dać silnikowi szansę schłodzenia się.

Reakcją Laury na dźwięk wystrzału był raczej gniew niż strach. Duże zawory do usuwania paliwa, na których stała, natchnęły ją pomysłem. Zwisając na jednym ze szczebli, spróbowała poruszyć najbliższym pokrętkiem. Nawet nie drgnął. Zaczęła myśleć intensywnie, w którą stronę powinna kręcić, i spróbowała w przeciwną. Poruszyło się z zadziwiająco łatwością i płynnością, ale nic się nie działo nawet wtedy, gdy przekręciła je do oporu. Zajrzała pod spód i zobaczyła kołpak przymocowany długim łańcuszkiem. Najwidoczniej nie był dość szczelny, ponieważ ropa zaczęła

400

przesączać się na zewnątrz i wreszcie spływać na drogę. Wlew był poobijany i wgnieciony, co sugerowało, że powszechną metodą usuwania kołpaka było uderzanie w niego jakimś ciężkim narzędziem.

Właśnie wtedy zauważyła młot przymocowany do podwozia za pomocą zaczepu. Sięgnęła po niego i odkryła, że nakrętki motylkowe zaczepu poddają się bez oporu.

Max domyślił się, co kobieta zamierza zrobić. Zacisnął palce na kolbie rewolweru, wycelował uważnie i nacisnął spust. Dokładnie w tej samej chwili młotek trafił we właściwe miejsce, zarzuciło samochodem i pocisk nie trafił. Max zaklął, ponowił próbę, ale odległość pomiędzy nim a cysterną była zbyt duża. Będzie musiał zabić ją z bardzo bliskiej odległości.

Należało spodziewać się, że pierwszy zamach młotkiem nie trafi w cel, zważywszy na niewygodną pozycję Laury. Myślała, że ciężkie narzędzie wyrwie jej rękę ze stawu, ale zdołała wziąć kolejny zamach. Tym razem obuch wyładował dokładnie pośrodku kołpaka. Nakrętka wykonała pół obrotu, ustawiając skrzydełko w gorszej pozycji.

Max postanowił porzucić ostrożność. Nacisnął na pedał gazu, podrywając BMW niczym szarżującego byka.

Sto metrów... Siedemdziesiąt pięć... Pięćdziesiąt...

Miedziany obuch młotka wylądował z głuchym, ale skutecznym łupnięciem na pokrętło. Tym razem nakrętka wykonała pełen obrót. Ropa trysnęła cienkimi strużkami we wszystkich kierunkach. Ochlapała czoło i oczy Laury, powodując, że młotek nie trafił w punkt.

BMW znajdowało się dwadzieścia metrów od cysterny, kiedy powyginane resztki półośki przytrzymującej koło zgrzytnęły głośno i pękły. Koło urwało się i poleciało wysokim łukiem, a samochód osiadł na podwoziu, spod którego wytrysnął snop iskier. Nie mogło już być gorzej, więc Max zmusił samochód do maksymalnej prędkości. Był w stanie utrzymać tyle kontroli nad samochodem, by osiągnąć swój cel.

Z jedną ręką zaczepioną o szczebel, a drugą zaciśniętą na drzewcu młotka, Laura próbowała przedramieniem wytrzeć piekącą ropę z oczu. Udało się jej to po części i znów zamachnęła się młotkiem. Trafiła idealnie. Strumień ropy zwiększył się nagle, pokrywając głowę i ramiona Laury i zmuszając ją do wypuszczenia młotka. Jęknęła z rozpaczą próbując go złapać, ale zdążył zniknąć. Kompletnie oślepiona przez lepki miazgę sięgnęła w dół i zaczęła badać powierzchnię palcami. Kołpak nadal

401

tkwił na swoim miejscu. Wkładając w nadgarstek całą siłę na jaką mogła się zdobyć, zmusiła nakrętkę do przesunięcia o kolejne pół obrotu. Max zauważył swoją szansę i dodał gazu. Laura krzyknęła przerażona, gdy zaledwie parę centymetrów od jej palców wbiła się w podwozie maska BMW.

Ami usłyszał głośny huk, ale nie zwrócił nań uwagi. Tyle dziwnych rzeczy działo się, podczas tego kursu. Zastanawiał się, czy uda mu się obciążyć tych cudacznych obcokrajowców dodatkowymi pięćdziesięcioma dolarami za przyjemność biegania sobie po dachu jego cysterny.

Siła uderzenia wyrwała maskę BMW z zawiasów i oderwała całą przednią część karoserii, ukazując zbiornik chłodnicy. Maska odpadła i wylądowała na poboczu. Max pozwolił, by samochód został parę metrów w tyle i ponowił atak. Podwozie BMW podskakiwało na wybojach i lądowało z głośnym hukami jak motorówka o potężnej mocy pędząca na otwarte morze. Ropa tryskająca spod kołpaka przypominała groteskowy, czarny kwiat.

Laura poruszyła pokrętłem o kolejne ćwierć obrotu.

Niech to szlag! Musi się wreszcie odkręcić! Musi mi się udać!

BMW wbiło się z ogromną siłą w podwozie cysterny.

Max uniósł się z siedzenia i przecisnął przez otwór po przedniej szybie. Laura szamotała się niecałe dwa metry od niego, z twarzą i włosami zlepionymi ropą; nie było szans, żeby mogła go zobaczyć. Max poniekąd żałował tego. Oparł ciało o przedni słupek i wycelował dokładnie w jej głowę. Nie mógł chybić — nie z tej odległości.

Kolejne pół obrotu.

Dobry Boże — niech się to odkręci.

Max odciągnął kurek.

Stalowa nakrętka nagle wypadła spomiędzy palców Laury, jak gdyby jakiś olbrzym sięgnął i wyrwał ją jej z ręki. Potężny strumień ropy trafił Maxa prosto w pierś i rzucił na tył samochodu. Przez na wpół przymknięte oczy Laura widziała, jak czarna struga grubości uda dorosłego mężczyzny napelnia BMW do poziomu szyb w ciągu kilku sekund.

Nagle przeniesienie ciężaru z cysterny na samochód sprawiło, że tył ogromnego pojazdu nieco się uniósł. BMW zostało wyszarpnięte z uchwytu cysterny. Obciążone dodatkowo zawieszenie wydało głuchy jęk, trafiło na głęboką wyrwę i pośród deszczu iskier obróciło samochodem o sto osiemdziesiąt stopni. Laura starła większość ropy z twarzy, zakręciła zawór i zapatrzyła się na swoje dzieło szeroko otwartymi oczami.

BMW stanęło. Kiedy samochód wykonywał obrót wokół własnej osi, zauważyła jakieś poruszenie. To Max próbował ratować się ucieczką, ale za późno. Ogień nie spieszył się, kiedy jednak płomienie odnalazły benzynę, połączyły się z ropą, tworząc powiększającą się szybko ognistą kulę, z jęzorami ognia wyskakującymi z gęstej, ciemnej kolumny dymu. Ami zauważył nagły błysk w lusterku i zatrzymał cysternę. Wskoczył szybko z kabiny, podbiegł do płonącego BMW. Po chwili podeszła do niego zjawa z głową i ramionami oblepionymi ropą. Przemówiła kobiecym głosem.

— Gdzie jest Lloyd?

Kierowca jęknął na widok Laury. Wydał okrzyk i przemknął obok niej. Znowu krzyknął, kiedy zobaczył ropę rzygającą przez otwarty odpływ. Zakręcił zawór i wspiał się po drabinie, by zbadać szklany wziernik pokazujący poziom napełnienia każdej z czterech komór cysterny.

— Tysiąc litrów! — zawył uderzając pięścią w bok cysterny. — Wylałaś połowę ropy ze środkowej komory. To przestępstwo!

Angielski Amiego był zadziwiająco dobry, kiedy omawiał kwestie zysków i strat. W tym przypadku akurat strat.

— Zapłacę ci — powiedziała zrezygnowana Laura. — Gdzie jest Lloyd?

— Pięćdziesiąt centów za litr?

— Pięćdziesiąt centów za litr — zgodziła się Laura. Ami wyraźnie złagodniał.

— Czy nie zechciałabyś upuścić jeszcze trochę? Dam ci zniżkę. Znaleźli Lloyda rozciągniętego wzdłuż drabinki w pobliżu włazu, gdzie zemdlął z wycieńczenia.

Trzydzieści kilometrów dalej pilot jednego z dwóch śmigłowców bojowych superfrelon zauważył słup czarnego dymu wznoszący się nad gorejącym stosem pogrzebowym Maxa i połączył się z drugim helikopterem, by podać poprawkę koordynatorów kursu.

ROZDZIAŁ 127

Kabina Amiego była dobrze zaopatrzona w preparaty usuwające ropę. Kiedy Laura zdołała doprowadzić się do ładu nad maleńką umywalką w tyle kabiny, poczuła się dużo lepiej i skupiła całą uwagę na opatrzaniu

BMW stanęło. Kiedy samochód wykonywał obrót wokół własnej osi, zauważyła jakieś poruszenie. To Max próbował ratować się ucieczką, ale za późno. Ogień nie spieszył się, kiedy jednak płomienie odnalazły benzynę, połączyły się z ropą, tworząc powiększającą się szybko ognistą kulę, z jęzorami ognia wyskakującymi z gęstej, ciemnej kolumny dymu. Ami zauważył nagły błysk w lusterku i zatrzymał cysternę. Wskoczył szybko z kabiny, podbiegł do płonącego BMW. Po chwili podeszła do niego zjawa z głową i ramionami oblepionymi ropą. Przemówiła kobiecym głosem.

— Gdzie jest Lloyd?

Kierowca jęknął na widok Laury. Wydał okrzyk i przemknął obok niej. Znowu krzyknął, kiedy zobaczył ropę rzygającą przez otwarty odpływ. Zakręcił zawór i wspiał się po drabinie, by zbadać szklany wziernik pokazujący poziom napełnienia każdej z czterech komór cysterny.

— Tysiąc litrów! — zawył uderzając pięścią w bok cysterny. — Wylałaś połowę ropy ze środkowej komory. To przestępstwo!

Angielski Amiego był zadziwiająco dobry, kiedy omawiał kwestie zysków i strat. W tym przypadku akurat strat.

— Zapłacę ci — powiedziała zrezygnowana Laura. — Gdzie jest Lloyd?

— Pięćdziesiąt centów za litr?

— Pięćdziesiąt centów za litr — zgodziła się Laura. Ami wyraźnie złagodniał.

— Czy nie zechciałabyś upuścić jeszcze trochę? Dam ci zniżkę. Znaleźli Lloyda rozciągniętego wzdłuż drabinki w pobliżu wjazdu, gdzie zemdlął z wycieńczenia.

Trzydzieści kilometrów dalej pilot jednego z dwóch śmigłowców bojowych superfrelon zauważył słup czarnego dymu wznoszący się nad gorejącym stosem pogrzebowym Maxa i połączył się z drugim helikopterem, by podać poprawkę koordynatów kursu.

ROZDZIAŁ 127

Kabina Amiego była dobrze zaopatrzona w preparaty usuwające ropę. Kiedy Laura zdołała doprowadzić się do ładu nad maleńką umywalką w tyle kabiny, poczuła się dużo lepiej i skupiła całą uwagę na opatrzeniu

403

rany Lloyda z pomocą zawartości apteczki Amiego. Zanim ruszyli w dalszą drogę, przyjazny kierowca uparł się, żeby poczęstować ich herbatą. Napój nie był gorący, ponieważ na tej wysokości woda gotowała się w niższej temperaturze, ale wypiwszy dwa kubki mocnego naparu Lloyd poczuł się dużo lepiej. André nadal spała, nakryta kocem i zwinięta w pozycji embrionalnej na pryczy.

Laura patrzyła przez okno na mijany krajobraz. Surowość pustego, księżycowego terenu złagodniała nieco, gdy cysterna wyjechała z doliny wprost na zachodzące słońce. Lloyd poczuł pyknięcie w uszach i stwierdził, że wysokościomierz na desce rozdzielczej wskazuje prawie 5000 metrów. Wątpił nieco w jego dokładność, ale z całą pewnością znajdowali się bardzo wysoko. Usiłował przypomnieć sobie to, co widział na mapie. Żałował, że nie udało mu się jej zachować, jednak teraz spoczywała na dnie rozpadliny pośród szczątków land rovera.

— Turcja pięć kilometrów — obwieścił Ami, jakby czytał w myślach Lloyda.

— Czy będziemy mieli problemy z odprawą celną? — zapytała Laura.

Chichot kierowcy utonął w jego brodzie.

— O tej porze nie być nikogo na służbie.

Droga zanurkowała i pobiegła brzegiem urwiska opadającego kilkaset metrów w dół. Laura odwróciła wzrok. Niedogodnością jazdy w kabinie cysterny było to, że znajdowała się ponad szeregiem skalnych bloków — nie żeby było ich dużo na tej wysokości, ale droga była tu w znacznie gorszym stanie niż w niższych partiach, gdzie Max znalazł śmierć.

Ami wykorzystał poziomy odcinek, by wrzucić drugi bieg.

Kiedy warkot silnika wyrównał się, Lloyd odniósł wrażenie, że słyszy coś dziwnego.

Krzyknął do Amiego, żeby się zatrzymał. Kierowca nie miał ochoty na postój, jednak nagłący ton w głosie Lloyda odniósł skutek. Lloyd wysunął się ostrożnie z kabiny i pokuśtykał na skraj drogi, do miejsca, w którym była szeroka przerwa pomiędzy kamiennymi blokami.

Laura przyłączyła się do niego.

— Co się dzieje, Lloyd?

— Posłuchaj!

Po chwili usłyszała odległy łoskot rotorów i wycie turbin. Było coś niepokojącego w tym dźwięku; unosił się i opadał, a czasem w ogóle znikał.

404

— Helikopter — wyszeptwała.

— Helikoptery — poprawił ją Lloyd, wpatrując się w mrok gęstniejący w dolinie. — • Dwa identyczne śmigłowce, sądząc po sposobie, w jaki nakłada się dźwięk ich silników.

Zauważyli maszyny równocześnie. Połykały strome, pokryte skałami stoki doliny wspinając się wolno ku górze.

— Chryste.... — westchnął Lloyd. — Śmigłowce bojowe frelon. — Złapał Laurę za rękę i pokuśtykał tak szybko, jak mógł, z powrotem do cysterny.

Na ich widok Ami uruchomił silnik. — Wy mieć problemy? — zawołał widząc zmartwiony wyraz twarzy Lloyda.

— Spróbuj dotrzeć do granicy w pięć minut.

— Myślisz, że są tu z naszego powodu? — zapytała zatroskana Laura, pomagając mu wdrapać się z powrotem do kabiny. Oboje dyszeli ciężko po krótkotrwałym wysiłku w rozrzedzonym powietrzu.

— Z całą pewnością — wysapał Lloyd opadając na pryczę. Zrobił to jednak na tyle ostrożnie, by nie obudzić André. Zerknął na śpiącą dziewczynę. — Myślę, że powinniśmy ją obudzić. Laura pokręciła głową.

— Nie.

Lloyd wpatrywał się w nią niedowierzająco.

— Na litość boską, Lauro. Nie czas na skrupuły. Śmigłowce namierzą nas lada chwila. Musimy ją obudzić.

— To nie kwestia skrupułów — wyrzuciła z siebie Laura.:— Dałam jej dwie tabletki nasenne! Jeśli chcesz ją budzić, to proszę bardzo, ale to i tak nie zda się na wiele!

Ich kłótnia zakończyła się nagle, gdy, niecałe trzydzieści metrów dalej, jeden ze śmigłowców wyłonił się zza krawędzi urwiska niczym rozwścieczony potwór powstający w otchłani Hadesu. Gwizd jego turbin i ochrypty łoskot rotorów sprawiły, że Ami poskoczył na siedzeniu i zaklął głośno po turecku. Cysterna zatoczyła się i otarła bokiem o jedną ze skał, dodając przeciągły zgrzyt do ogłuszającego huku helikoptera. Lloyd zdążył zauważyć lufy karabinów maszynowych i pojemnik podczepiony do podwozia śmigłowca, zanim maszyna zanurkowała i zniknęła. Hałas umilkł nagle, jakby ktoś nacisnął guzik wyciszenia. Po chwili jednak helikopter znów się pojawił, rozlewając swą piekielną kakofonię nad skamieniałym krajobrazem, a potem odleciał.

405

Niemal natychmiast ukazał się jakieś dwieście metrów dalej, przynajmniej tak się wydawało Lloydowi, dopóki nie uświadomił sobie, że jest to druga maszyna. I ta zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Cała sytuacja zaczynała nabierać znamion absurdałnej, czarnej komedii.

Kiedy pierwszy śmigłowiec znów wyskoczył zza krawędzi skały, Lloyd przyjrzał się uważnie wirującym rotorom. Było w nich coś dziwnego. Potem obie maszyny pojawiły się jednocześnie i zniknęły w tej samej chwili jak para dobrze przygotowanych komediantów. I wtedy zrozumiał, co zaniepokoiło go w pracy rotorów: obracały się na pełnych obrotach. Wirujące ostrza gwałtownie cięły powietrze, a końcówki płatów poruszające się z szybkością dźwięku wydawały dziwny trzeszczący szum.

Czekał na ponowne pojawienie się maszyn, by potwierdzić swoje podejrzenia, ale nie wróciły.

— Może odpoczywają — powiedziała Laura z nie zamierzonym humorem, pomimo że jej twarz pobiadła ze strachu.

— A może chcą nas nastraszyć — rzucił przez ramię Ami. Przez cały ten groteskowy pokaz jechał spokojnie przed siebie, otrząsnąwszy się z początkowego szoku.

— Zatrzymaj się na chwilę! — wrzasnął Lloyd.

— Oszalałeś!

— Nie, wszystko w porządku. Stój!

W całym tym podnieceniu Lloyd zapomniał o nodze. Wyskoczył z kabiny, skrzywił się i pokuśtykał szybko na skraj urwiska.

Oparłszy się o skałę spojrział w dół i uśmiech tryumfu rozpromienił jego twarz. Zaczął się śmiać. Przekonana, że to efekt wdychania rozrzedzonego powietrza, Laura wyskoczyła szybko z kabiny i dołączyła do niego.

— Patrz! — podekscytowany wskazywał jej coś.

Śledząc wzrokiem jego palce Laura zobaczyła w oddali dwa frelony, które kierowały się na północ.

— Dlaczego zrezygnowali? — zapytała. — Czy zdołaliśmy przekroczyć granicę?

Lloyd zaśmiał się i przyciągnął ją do siebie.

— To przez tę wysokość! Pułap operacyjny większości helikopterów nie przekracza trzech i pół tysiąca metrów! Wyżej ich rotory tracą udźwig. Ci dwaj ryzykowali wiele, wchodząc na tę wysokość. Lekcja numer jeden, jeśli kiedykolwiek będziesz ścigana przez helikoptery — uciekaj w góry.

406

Laura uśmiechnęła się i odwzajemniła uścisk.

— Postaram się zapamiętać — obiecała. -- Hej, wy dwoje!

Odwrócili się. Ami wychylił się przez okno kabiny wyraźnie zaniepokojony.

— Myślałem, że wy chcecie do Turcji. Już tylko dwa kilometry. Ramię w ramię ruszyli w kierunku cysterny.

Szli wolno, objęci ramionami, wyczuwając nawzajem swoje myśli, jednak bez słów, żeby nie zepsuć uroku tej chwili.

EPILOG

WOLNY KURDYSTAN Wtorek, 20 marca

Kurdyjski urzędnik imigracyjny na lotnisku międzynarodowym w Mosulu spojrział ponownie na datę urodzenia młodej kobiety.

— Czy coś się nie zgadza? — zapytała kobieta.

Urzędnik podniósł wzrok znad paszportu i znów napotkał hipnotyzujące zielone oczy, które go peszyły. Skierował swoją uwagę na jasnowłosego chłopca u jej boku. Był szczerym człowiekiem, więc powiedział, co chodzi mu po głowie.

— Proszę mi wybaczyć, ale jest pani za młoda na to, żeby mieć...

— rozpaczliwie szukał właściwych słów. Stwierdzenie, że jest za młoda na to, by mieć dziewięcioletniego syna, mogło zabrzmieć obraźliwie; jakże łatwo obrazić kogoś, posługując się obcym językiem. Kurdyjska bezpośredniość była nie zawsze mile widziana, chociaż miał prawo upewnić się, czy chłopiec podróżujący na paszport kobiety rzeczywiście jest jej synem.

— Tak wspaniałego chłopca — dokończył i uśmiechnął się szeroko do dziecka.

— Byłam jeszcze młodsza, kiedy się urodził — powiedziała kobieta ostro, ale bez złośliwości.

Urzędnik wbił stempel do jej paszportu i życzył gościom miłego pobytu w Kurdystanie. Tuż za nimi stała para Amerykanów; kolejka do jego stanowiska ciągnęła się przez całą długość budynku terminalu. Kurdystan przeżywał turystyczny boom.

407

Władająca doskonałym angielskim dziewczyna u Hertza potrafiła szybko ocenić większość klientów, jednak poddała się w przypadku tej eleganckiej, ciemnowłosej kobiety w świetnie skrojonej czarnej spódnicy i zakiecie. Do tego posługiwała się platynową kartą kredytową Amex. Nie miała aktówki, więc prawdopodobnie nie była kobietą interesów. Dziewczyna zastanawiała się, czy towarzyszący jej chłopiec jest synem czy też młodszym bratem. Łączyło ich duże podobieństwo, jednak płowe włosy chłopca nie pasowały do całości. Uśmiechnęła się, kiedy kobieta podpisywała umowę wynajęcia samochodu.

— Nexus z otwieranym dachem — powiedziała pogodnie. — Jest trochę chłodno, więc nie opuszczaliśmy dachu. Na szczęście prognozy pogody są obiecujące. Czekają nas fale upałów. Parę stopni wiodło do punktu odbioru wynajętych samochodów. Chłopiec wziął matkę za rękę wiedząc, że nie odzyskała jeszcze w pełni poczucia równowagi.

Słońce przebijało się przez poranną mgiełkę, kiedy młoda kobieta wyjechała z ronda i włączyła się do ruchu na pasie wolnej jazdy autostrady łączącej Mosul z Zakho. Nie spieszyła się, poza tym uznała szaleńców pędzących na łeb na szyję środkowym pasem za zagrożenie.

Była to jej pierwsza samodzielna podróż za granicę. Mama, rzecz jasna, protestowała, zwłaszcza gdy usłyszała, że zamierza zabrać ze sobą chłopca.

— To jest kraj jego ojca, mamó. Chce go odwiedzić i ma wszelkie prawa ku temu. Zabieram go ze sobą i skończmy już ten temat.

— Ale przecież minie kolejne pół roku, nim odzyskasz pełnię sił.

— Czuję się tak dobrze jak nigdy dotąd. Więc proszę, przestań się niepokoić. Podjęłam już decyzję.

Chłopiec siedział u jej boku, milcząc. Chłonał wszystko wokół siebie szeroko otwartymi oczami, by nie pominąć najdrobniejszego szczegółu.

— Wiesz, mamusiu, mają tu bardzo ładne samochody — powiedział, wskazując na pająkowatą konstrukcję wież wydobywczych przy drodze. — I nigdy nie zabraknie im benzyny.

Zaśmiała się i potargała mu włosy.

— Poszukaj mi moich okularów słonecznych, kotku. Słońce zaczyna grzać. Chłopiec zanurkował dłonią do jej torebki. Rozłożył okulary firmy

Leitz i wsunął jej na nos, wsuwając zauszuki pod opaskę na włosach. Jego gesty były delikatne i troskliwe, dokładnie takie same jak dotyk jego ojca.

408

— Teraz lepiej?

— Mrnrnm... dużo lepiej.

Odprężyla się nieco. Jazda samochodem była znacznie wygodniejsza w okularach słonecznych. Ostre światło nadal ją drażniło, podobnie jak często dokuczały jej migreny, zgodnie z przewidywaniami neurochirurga kierującego zespołem w szpitalu Atkinson Morley. Zespół był zadowolony z jej postępów.

Trzydzieści minut później zjechała z autostrady na skrzyżowaniu przed Sammelem i skierowała się do małego miasteczka. Wszystko było tu nowe: ani jednego budynku, który powstałby przed 1991 rokiem, z wyjątkiem meczetu. Plac targowy był zatłoczony; musieli okrążyć go dwa razy, zanim chłopiec wypatrzył wolne miejsce do parkowania pomiędzy cadil-lakiem i discovery.

Chłopiec uparł się, żeby nacisnąć guzik pilota zdalnie zamykającego samochód. Weszli do przestronnej kwaciarni, która powitała ich zniewalającym zapachem tysięcy kwiatów. Okna wystawowe były zastawione wazonami z każdym możliwym do wyobrażenia gatunkiem kwiatów, od skromnych bukietów bratków aż po wspaniałe kompozycje egzotycznych storczyków ozdobionych barwnymi wstążkami.

Znaleźli sprzedawcę, który mówił trochę po angielsku. Wysłuchał uważnie życzeń kobiety i obiecał, że zamówienie będzie gotowe do odbioru za niecałą godzinę. Zapłaciła platynową kartą kredytową Amex.

Ruszyli na spacer po placu. Po chwili usiedli w kawiarence na świeżym powietrzu i zamówili napoje. Rozległ się komunikat obwieszczany przez głośniki po arabsku — sygnał do wstrzymania handlu na placu targowym. Kramarze przerwali swoje interesy, zostawiając klientów czekających na resztę; pozamykano sklepy. Niewidzialny imam zaintonował modlitwę. Cisza utrzymała się długo po tym, jak umilkły głośniki.

— Co się dzieje, mamusiu? — wyszeptał chłopiec. Kobieta uniosła palec do ust.

Dwie minuty później wszelka działalność została wznowiona. Chłopiec był zdezorientowany.

— Co się stało?

— Nie wiem, kochanie. Ale myślę, że zrobili to dla upamiętnienia czasów niepokoju i wojny.

— Właśnie z tego powodu tu jesteśmy, prawda? Żeby upamięt... dla upamięt... Długie słowo zmusiło go do poddania się.

409

Nagle zmarszczyła czoła.

— Martwisz się czymś, mamusiu?

Napięcie zniknęło z jej twarzy. Zerknęła na zegarek i uśmiechnęła się do niego. Pomyślał, że matka zawsze wygląda pięknie, ale szczególnie wtedy, gdy się uśmiecha.

— Staralam się zgadnąć, która może być godzina. Kiedyś trafiałam co do sekundy. — Wstała nagle i wzięła chłopca za rękę. — Chodźmy. Nasze kwiaty powinny już być gotowe.

Pogoda zmieniła się. Słoneczna obietnica wczesnego ranka ustąpiła miejsca bezpośredniej groźbie deszczu, kiedy skręcała wynajętym samochodem w drogę wiodącą do osiedla nad jeziorem.

Zwolniła, a siła rozpędu pchała samochód wolno po gładkiej, czarnej powierzchni drogi.

Rzecz jasna zaszło tu wiele zmian. Było to nieuniknione po upływie tylu lat. Pole golfowe zostało powiększone o osiemnaście nowych dołków i zagarnęło sad drzew granatu; parę grupiek graczy spacerowało po soczystej murawie. To niesamowite, jak dzięki dobrobytowi Kurdowie oszaleli na punkcie golfa. Jezioro było teraz otoczone przez piękne parki krajobrazowe, a tuż obok wyrósł nowy, okazały budynek klubu z przylegającym parkingiem. Był tam też największy symbol dostatku — lądowisko dla helikopterów.

Chłopiec nagle zamilkł. Był tu po raz pierwszy w życiu, a jednak to miejsce wydawało mu się dziwnie znajome.

— To tutaj, mamusiu?

— Prawie.

Droga weszła w lekki zakręt. Jakiś kilometr dalej zauważyła bungalowy. Było ich więcej niż zdołała zapamiętać. Niektóre opadająco nisko dachy były pokryte białymi jak kości dachówkami.

— Mamusiu, czy teraz mogę już opuścić dach?

— Proszę bardzo, ale czuję, że zbliża się burza.

Chłopiec dotknął guzika i płócienny dach samochodu złożył się starannie do schowka. Balon chłodnego, klimatyzowanego powietrza uciekł, a na dwójkę pielgrzymów opadło duszne, burzowe ciepło popołudnia.

— Patrz — wskazał coś przez przednią szybę.

Na poboczu, jakieś sto metrów przed nimi, widniała jaskrawa plama koloru. Biały renault był zaparkowany na skraju drogi, a jego kierowca,

410

młody mężczyzna w czarnym garniturze, stał samotnie z opuszczoną głową. Tuż przed nim wyrastał wysoki na metr obelisk z białego kamienia niemal całkiem ukryty pod świeżymi kwiatami. Kobieta zatrzymała nexusa na poboczu i gestem pokazała, chłopcu żeby wysiadł z samochodu nie trzaskając drzwiami. Wzięła go za rękę. Podeszli do samotnego żałobnika i zapatrzyli się na kolumnę czterdziestu czy pięćdziesięciu nazwisk wyrytych czcionką arabską i rzymską na lśniącym białym marmurze.

Mężczyzna powiedział coś po kurdyjsku i wskazał dwa nazwiska.

— Przykro mi — powiedziała wolno kobieta. — Nic nie rozumiem.

— Moi rodzice — powiedział mężczyzna po angielsku. — Przyjeżdżam tu każdego roku.

— Wydawało mi się, że nikomu nie udało się uciec.

— Byłem u swoich... — zastanowił się nad doborem właściwego słowa... — Byłem u siostry mojej matki.

Stali przez parę chwil w milczeniu. Nieznajomy życzył im miłego dnia i wrócił do samochodu. Chłopiec czekał, aż renault odjedzie, potem przesunął na bok bukiet goździków i zaczął przebiegać palcami po rzędach liter. Po chwili przestał.

— Tatusz? — zapytał patrząc niepewnie na matkę.

Kobieta skinęła głową. Jej twarz zachmurzyła się od słodko-gorzkich wspomnień.

— A te dwa nazwiska wyżej to tatuś i mamusia twojego taty. Chłopiec delikatnie pogłaskał wklęsłe litery. Przeczytał datę.

— Dziś jest dwudziesty marca. Więc to było dokładnie dziesięć lat temu.
— Dokładnie dziesięć lat co do dnia — zgodziła się jego matka i spojrzała na zegarek. — Dokładnie dziesięć lat niemal co do godziny. Chodźmy po kwiaty.
Unieśli klapki Tuwalniając delikatny zapach ogromnej wiązanki wiosennych kwiatów wypełniających całą przestrzeń bagażnika.
— Nie napiszesz czegoś na tej kartce, mamusiu?
— Ty napisz — wręczyła mu pióro. Pomyślał przez chwilę, a potem napisał: Dla tatusia, z całą moją miłością. Spojrzał z troską na swoje dzieło.
— Nie zostawiłem już miejsca dla ciebie.

411

Wzburzyła jego płową czuprynę.

— Nie szkodzi. Powiedziałaś wszystko, co było trzeba.

Wyjęli wiązankę z bagażnika i ułożyli ją troskliwie obok innych kwiatów u stóp obelisku. Ku zdziwieniu chłopca, matka nie chciała spędzić więcej czasu na podziwianiu tej kompozycji. Wzięła go za rękę i wrócili do samochodu. Otworzyła torebkę, wyjęła telefon komórkowy i nacisnęła guzik pamięci. Telefon został odebrany niemal natychmiast, po tym jak zostało uzyskane połączenie satelitarne z Anglią. Obiecali, że będą czekali cierpliwie na jej wiadomość.

— Witaj, Lloyd. Wypełniłam misję... — słuchała przez chwilę, a potem roześmiała się. — Nie. Nie — nic mi nie jest. Oboje czujemy się świetnie. Jesteś gorszy od mamy.

— Cześć, Lloyd! — wrzasnął chłopiec. Kobieta zaśmiała się i delikatnie zakryła mu usta dłonią.

— Sam słyszałeś — hałaśliwy jak zawsze. Czy mogłabym zamienić słówko z mamą? — Słuchała, a potem powiedziała cicho. — Nie. Nie budź jej. Ucałuj ją ode mnie. Powiedz, że czujemy się świetnie. Zadzwoń znowu za parę godzin. Przestała całusa i przekazała słuchawkę chłopcu, który pożegnał się hałaśliwie. Przepadał za Lloydem.

Schowała telefon z powrotem do torebki i odchyliła się do tyłu na siedzeniu z zamkniętymi oczami. Była dumna z tego, co zdołała osiągnąć.

Z oddali doszły odgłosy burzy. Potoczyły się groźnym echem po zachmurzonym, ołowianym niebie i znowu pograżyły się w ciszy.

Myślała o czasach, w których potrafiła wywoływać grzmoty.

Teraz żyła w zgodzie z całym światem i z samą sobą, wśród bliskich sobie ludzi, przede wszystkim zaś ze swoim ukochanym synem. Głębokie zakamarki jej umysłu, gdzie panował kiedyś chaos i strach, były teraz oazami słodkiego spokoju.

Dni pełne burz skończyły się.

LŚL Druk: Zakł. Graf. im. KEN, Bydgoszcz §X ul. Jagiellońska 1, FAX 21-26-71

ZabrZe

0890000226960